

Joanna Jax

ZEMSTA I PRZEBACZENIE

Tom III

Rzeka tęsknoty



VIDEOGRAF

J o a n n a J a x

ZEMSTA
I PRZEBACZENIE

Tom III

Rzeka tęsknoty

V I D E O G R A F

Redakcja
Anna Seweryn

Projekt okładki
Joanna Jax

Layout okładki
Marek J. Piwko {mjp}

Ilustracja na okładce
© *Elena Dijour, Tatyana Tomsickova / Shutterstock*

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Damian Walasek

Opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerk

Wydanie I, Chorzów 2017

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3C
tel. 600 472 609
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2016
Tekst © Joanna Jakubczak

ISBN 978-83-7835-597-7

Synowie twoi i córki zostaną dane obcemu narodowi. Z tęsknoty, patrząc za nimi codziennie, wyniszczysz twe oczy, a ręka twoja będzie bezsilna.

Pwt 28, 32

Ukochanemu Tacie i Siostron Ewie i Dorocie

1. Konstancin / Warszawa, 1942

W powietrzu unosił się zapach wiosny. Wyjątkowo mroźna zima zdawała wytracać swój impet i ustąpiła w końcu, zamieniając skutą lodem ziemię w błotniste grzędzawiska. Być może w mieście, gdzie ulice i chodniki były wybrukowane albo wylane asfaltem, nie było to tak bardzo odczuwalne, ale pola i wiejskie drogi stanowiły zarówno dla piechurów, jak i wozów prawdziwe wyzwanie.

– Jeszcze kawałek. Do tamtego drzewa, dobrze? – powiedziała cicho Alicja, trzymając pod rękę Juliana.

– Mała oszustka – uśmiechnął się Chełmicki. – Mówiłaś to już kilka drzew wcześniej.

– Słyszałeś, co powiedziała Weronika – wytknęła mu. – Jak nie będziesz dużo ćwiczył, to do końca życia pozostaniesz kulawy. A ja z takim do ślubu nie pójdę.

– Przekonałaś mnie. – Puścił do niej oko, po czym spowaźniał i powiedział: – Jak tylko zacznę poruszać się normalnie, wracam do chłopaków. A ty, moja droga, wyjedziesz do wuja.

– Nigdzie bez ciebie nie pojadę – stanowczo odpowiedziała Alicja.

– Na Boga, Alicjo, jesteś w ciąży... – jęknął Julian.

– Jestem, a ty niebawem zostaniesz moim mężem. Będziemy rodziną, a miejsce żony jest przy mężu – burknęła.

– Po prostu boję się o ciebie... O was – powiedział cicho Julian.

– Obiecuję, że jeśli tylko zrobi się niebezpiecznie, wyjadę – słodkim głosem zapewniła Alicja.

– Chciałbym, żebyś wyjechała już teraz – odrzekł stanowczo, bo upór Alicji bardzo go irytował.

– A jeśli nie? – zaszczebiotała.

– W takim razie będziesz panną z dzieckiem.

Alicja stanęła pośrodku drogi. Popatrzyła na bezkresne pola przed swoimi oczami i nagle wyjęła rękę spod ramienia Juliana, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wsi.

– Ej, no, Alicja, nie zostawiaj mnie tak samego. Do chałupy jest kawał drogi, nie dam rady pójść sam – zaczął panikować.

Zatrzymała się i odwróciła głowę.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim... powiedziałaś te okropne rzeczy. –

Machnęła ręką.

Dotarła do wiejskiej chałupy, gdzie Julian dochodził do siebie po pobycie na gestapo, i zaczęła pakować walizkę. Nie była obrażona, wiedziała, że Chełmicki droczy się z nią i niebawem ich relacje powrócą do normalności, ale uświadomiła sobie, iż musi zostawić go samego na jakiś czas. Zauważyła, że Julianowi pasuje ta ciągła troska, uwaga i koncentracja na odniesionych przez niego ranach, które już dawno się zagoiły. Taki stan rzeczy potęgowały odwiedziny Weroniki. Jej zatrwożona mina i uzalanie się nad stanem Chełmickiego przynosiły skutek odwrotny do zamierzonego i kompletnie rozleniwiły Juliana. Nie utyskiwał na swój los, ale z wielką ochotą przyjmował każdy gest, który go wyręczał w najprostszych czynnościach. Alicja pomyślała, że jeśli pozostanie sam, szybciej powróci do równowagi, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Ostatnia wymiana zdań była jej więc bardzo na rękę, bo nie odważyłaby się powiedzieć mu wprost, że zbyt to uzala się nad sobą.

Wydarła kartkę z zeszytu i napisała do niego krótki list, że spotkają się w Warszawie, jak tylko Julian do niej powróci.

Udała się na stację, wsiadła do pociągu i kilkadziesiąt minut później znalazła się w stolicy. Swoje pierwsze kroki skierowała do szpitala Dzieciątka Jezus, by porozmawiać z Weroniką. I nie miała być to miła rozmowa.

Doktor Weronika Sarnowska aż wstała zza biurka, ujrzawszy w drzwiach Alicję, po czym jęknęła.

– Coś z Julianem?

– Nie... Odkąd byłaś u niego ostatni raz, czyli od wczoraj, nic się nie zmieniło. Może oprócz tego, że już nie wymaga nianczenia i świetnie sobie radzi sam – burknęła Alicja.

– Więc co cię do mnie sprowadza? – zapytała chłodno Weronika.

– Skontaktuj mnie z majorem – równie oschle odpowiedziała Alicja. – Zostaję w Warszawie.

– A co z Julianem? – Kolejny raz Weronika zrobiła zatroskaną minę.

I wtedy Alicja nie wytrzymała, chociaż po wejściu do szpitala postanowiła, że postara się być uprzejma i pokaże klasę, o brak której podejrzewała ją doktor Sarnowska.

– Poradzi sobie sam doskonale i za dwa, trzy tygodnie również wróci do Warszawy. Nie widzę powodu, żebyś dłużej robiła z niego mazgaja i człowieka, dla którego przygotowanie sobie jedzenia jest ponad jego siły. I przestań tam jeździć co dwa dni, bo widok twojej zbolalej miny wcale mu nie pomaga.

– Alicja mówiła stanowczym głosem i z każdym wypowiedzianym zdaniem coraz głośniej.

Weronika otworzyła usta, zdziwiona wybuchem Alicji, by po chwili uświadomić sobie, iż oto ta kobieta nie dość, że próbuje ją pouczać, to jeszcze podnosi na nią głos.

– Jestem lekarzem i wiem, co należy robić, żeby pacjent jak najszybciej powrócił do zdrowia. Wybacz, ale tancerka w tym zakresie nie będzie udzielała mi rad – powiedziała Weronika, na tyle spokojnie, na ile było ją stać.

– Do wszystkich swoich pacjentów tak jeździsz czy tylko do tych, których masz ochotę zabrać innym kobietom? – zapytała jadownicie Alicja.

– Gdyby nie ja... – ściszone głosem zaczęła Weronika, ale Alicja przerwała jej.

– Tak, wiem. To ty wykręciłaś numer do Lossowa, podstawiałaś karetkę i dzięki tobie Julian żyje. Ale nie będę siedziała cicho, bo za każdym razem rzucasz mi w twarz, że uratowałaś Julianowi życie – prychnęła Alicja i dodała: – Pewnie i tak cię nie powstrzymam, ale chcę, żebyś wiedziała, co o tym myślę.

– Sugerujesz, że go uwodzę? – zaperzyła się Weronika.

– Nie sugeruję, ja to wiem – westchnęła. – Powiadom „Sokoła”.

– Powiadomię – mruknęła Sarnowska i nie powiedziała już nic więcej.

Zabolały ją słowa Alicji. Czyżby naprawdę była tak zdesperowana, że każdy mógł zobaczyć, jak szaleje za Chełmickim? Prawdą było również to, że tak częste wizyty u niego od jakiegoś czasu były kompletnie zbędne. Nie potrafiła jednak zrezygnować z Juliana, mimo że zdawała sobie sprawę z sytuacji. On kochał inną, a na dodatek ta inna była w ciąży i niebawem mieli się pobrać. Jednak nadszedł taki dzień, gdy sądziła, że straciła go na zawsze, i poczuła, jakby świat jej się zawalił. Ale przeżył, a ona irracjonalnie nie przestała mieć nadziei na ich wspólną przyszłość, mimo że w tej sytuacji stała na przegranej pozycji.

To właśnie trudne czasy wojny uświadomiły Weronice, jak kruche jest życie. Kiedy tylko Julian znalazł się w bezpiecznym miejscu i wiedziała, że nic mu nie zagraża, spakowała walizkę i pojechała na kilka dni do syna. Z przerażeniem stwierdziła, że w każdej chwili może spotkać ją coś złego, a wtedy być może nigdy już nie zobaczy swojego dziecka.

Pawełek miał już osiem lat, a ich rozłąka sprawiła, że traktował ją niemal jak obcą osobę. Próba przytulenia czy pocałowania chłopca wywoływała na jego twarzy grymas, podobny do tego, który sama robiła w dzieciństwie, gdy nieznanymi jej krewni próbowali obdarowywać ją pieścizkami.

Jej matka, wieloletnia nauczycielka w żeńskim liceum, zamknęła cicho drzwi pokoju Pawełka i poprosiła córkę o rozmowę. Dla Weroniki taki ton i stwierdzenie „musimy porozmawiać” oznaczał zawsze coś nieprzyjemnego. Tak też było i tym razem.

– Tak nie może dłużej być – powiedziała ostro matka. – Twoje dziecko przestaje kojarzyć cię jako swoją prawdziwą matkę. Wpadasz jak po ogień raz w miesiącu i uważasz, że to wystarczy?

– To co, według ciebie, powinnam zrobić? – zapytała zniepokojonym głosem Weronika.

– Wiesz, co masz zrobić. Mówię ci to za każdym razem, gdy przyjeżdżasz. Twoje miejsce jest przy dziecku.

– Chciałam go zabrać do Warszawy, ale gdy tylko o tym napomknęłam, zamieniłaś mi dwa dni życia w piekło. Mamo, jest wojna, wszędzie czai się niebezpieczeństwo. Zresztą... jeśli los tak zdecyduje, można stracić życie nawet mieszkając w spokojnym miejscu. Jestem lekarzem i wiem, że choroby i nieszczęścia nie wybierają sobie ani czasu, ani miejsca. A ja nie mogę wyjechać z Warszawy. Po prostu nie mogę... – Weronika bezskutecznie próbowała tłumaczyć swoje stanowisko.

– To twoje dziecko i oczywiście ty podejmujesz decyzje, ale jeśli wyrwiesz go z tego spokojnego świata i wywieziesz na poniewierkę, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

– Dobrze, mamo – westchnęła Weronika. – Zastanowię się. Ale jeśli zorganizuję swoje życie w Warszawie w sposób, który zapewni Pawełkowi spokój i bezpieczeństwo, po prostu po niego przyjadę i zabiorę do siebie. Jeżeli okaże się to niemożliwe, wrócę do domu. Do Bełchatowa.

– Porozmawiam z ordynatorem Janickim. Niech przygotuje dla ciebie miejsce u siebie na oddziale. – Matka Weroniki była przekonana, że jej córka nie odważy się na wywiezienie syna do stolicy.

Sarnowska milczała. Nie chciała już żadnych dyskusji, ale postanowiła, że zabierze Pawełka bez względu na zdanie matki.

Od tej rozmowy minął miesiąc. Za kilka dni miała pojechać po syna i denerwowała się równie mocno jak wtedy, gdy uciekła z przyklasztornej szkoły,

a matka przez kolejnych kilka tygodni nie wypowiedziała do niej ani słowa. I mimo że miała wówczas zaledwie czternaście lat, to wspomnienie wciąż ją prześladowało. Dla Weroniki milczenie matki było najgorszą karą. Musiała jednak zmierzyć się z tym, bo syn jej potrzebował, a ona jego. Zaś w czasie, gdy będzie w pracy, opiekę nad nim miała powierzyć dwudziestoletniej dziewczynie po szkole nauczycielskiej, którą wybrała wśród niemal dwudziestu kandydatek. Chciała, żeby osoba, która zajmie się Pawełkiem, nie tylko była troskliwą opiekunką, ale również nauczycielką i godnie zastąpiła w tej roli jej matkę.

Alicja postanowiła, że dopóki major nie znajdzie dla niej bezpiecznego lokum, zatrzyma się u profesora Litwina. Nadal była poszukiwana i groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, ale wiedziała, że w okresie przetasowań na Szucha będą mieli na głowie inne sprawy niż intensywne poszukiwania. Pomyślała, że jedna czy dwie noce spędzone u profesora nie sprowadzą na niego żadnego nieszczęścia. Jedyne osoba, która mogła jej pomóc, czyli Weronika, nie wchodziła w rachubę.

Alicja naprawdę próbowała polubić tę kobietę, zwłaszcza gdy wyciągnęła Juliana z Pawiaka, ale nie była w stanie. Nie dlatego, że miała nieczułe serce i była wściekle zazdrosna o zażyłość pięknej pani doktor z Chełmickim, ale Weronika po prostu nie dała się lubić. Zachowywała się w stosunku do niej wyniośle, a w towarzystwie Juliana dostawała przysłowiowego małego rozumu. Już nie była dystygowaną panią doktor, ale zwykłą podrywaczką, której nie zniechęciła nawet ciąża Alicji.

Popchnęła ciężkie drzwi kamienicy i powoli zaczęła wchodzić po schodach do mieszkania profesora. Gdy była już na jego piętrze, usłyszała dźwięk przekręcanego klucza. Szybko wbiegła na półpiętro i kucnęła na schodach, by móc obserwować drzwi Litwina. Nie miała pojęcia, dlaczego się wystraszyła, profesor mieszkał sam i tylko on mógł otwierać drzwi swojego mieszkania. Jednak poczuła jakiś niepokój, który nakazał jej się ukryć i upewnić, czy na pewno ma do czynienia z Litwinem.

Dziwne przecucie sprawdziło się. Z mieszkania profesora wyszła jakaś kobieta. Miała może z pięćdziesiąt lat, nie więcej. Przekręciła klucz w zamku, naciągnęła na dłonie cienkie rękawiczki i zeszła schodami do wyjścia. Litwin nie miał żadnej bliskiej rodziny, nigdy też nie korzystał z pomocy obcych mu

osób. Alicja nie podejrzewała także, aby profesor ożenił się z kimś po tak krótkiej znajomości, bowiem jeszcze do niedawna nikogo nie miał.

Wyszła na podwórko kamienicy i rozejrzała się. Kilka metrów dalej stał trzepak, a przy nim bawiły się dzieci. Postanowiła zasięgnąć u nich języka, bo bardzo martwiła się o dobrodusznego profesora. Miała nadzieję, że żadne z nich nie rozpozna w niej byłej lokatorki spod szóstki.

– Ej, ty – zagadnęła jednego z chłopców, który zdawał się najstarszy w grupie. – Znasz profesora Litwina?

Chłopak o jasnych, nieco przydługich włosach wytarł brudną dłonią nos i popatrzył podejrzliwie na Alicję.

– Zależy kto pyta – burknął.

– Ja pytam. Jestem jego kuzynką z Radomia. To jak? Znasz czy nie? – ostro powiedziała Alicja.

– Profesor nie żyje. Już ze dwa miesiące będzie, jak trupa wynieśli z mieszkania. Smród był na całej klatce, bo chyba tam długo leżał nieżywy. I w końcu Siemionek, dozorca znaczy, wszedł do jego domu, a tam profesor leżał bez życia i strasznie śmierdziało – powiedział chłopak.

Alicja zadrżała. Profesor Litwin był już wiekowym mężczyzną, ale gdy widziała go ostatnim razem, cieszył się dobrym zdrowiem. Pokiwała głową, nie mogąc wypowiedzieć z żalu ani słowa, i już miała odejść, gdy chłopak dodał coś jeszcze:

– Podobnież zaduszony na śmierć.

Alicja podniosła głowę i z przerażeniem spojrzała na chłopaka. Gdyby profesor został zastrzelony przez Niemców, umarł na Pawiaku albo z powodu choroby, nie wzbudziłoby to w niej być może takiego zdziwienia, ale nie miała pojęcia, kto mógł popełnić pospolite morderstwo.

– Jak to zaduszony? – zapytała.

– Ja tam tak dobrze to nie wiem, ale Siemionek mówił, że profesor miał krawat na szyi zaciśnięty i siny język na wierzchu. I granatowa policja przyjechała, i wypytywali wszystkich, czy nikogo obcego nie widzieli. Ale tak za bardzo to chyba nie szukali mordercy, bo nas nie pytali – odpowiedział.

– A gdyby zapytali, to co byś odpowiedział? – Alicja była podejrzliwa.

– Że kręcił się tu taki jeden gówniarz. Landrynki rozdawał i zdjęcia pokazywał. Mnie nie pytał, bobym mu tyłek skopał i kartofli nasadził, ale młodszych wypytywał o jakieś kobiety i o samego profesora. A potem znaleźli trupa. To pewnie tak sobie się nie pytał. – Dzieciak machnął ręką.

Alicja była coraz bardziej zdziwiona i zszokowana. Nie miała pojęcia, o co może chodzić. Próbowwała jeszcze wydobyć od dzieci jakieś informacje na temat chłopca z landrynkami, ale niewiele jej to dało. Dzieciaków o podobnym rysopisie było w Warszawie tysiące.

Wyszła z bramy i zastanawiała się przez chwilę, dokąd się udać. Przypomniała sobie o pewnej pielęgniarce pracującej w Referacie Opieki Otwartej, której przynosiła podrabiane dokumenty dla ukrywających się Żydów. Wsiadła do tramwaju i pojechała na Wolską, do ośrodka zdrowia, w którym niegdyś się spotkały. Pomyślała, że owa kobieta nie tylko organizuje aryjskie dokumenty dla swoich podopiecznych, ale także bezpieczne schronienie. Może pamiętając przysługę wyświadczoną jej przez Alicję, nie odmówi pomocy?

Jadąc tramwajem, wciąż zachodziła w głowę, co mogło spotkać profesora Litwina. Nie był zamożnym człowiekiem, tym bardziej konfidentem, a jednak ktoś go odwiedził i pozbawił życia. I z pewnością nie byli to Niemcy. Ktoś także wypytywał o nią albo Hankę. Ona się ukrywała i niewiele osób wiedziało, gdzie przebywa, ale Hanka wciąż mieszkała z Ireną w miejscu, w którym ulokował je profesor Litwin. A jeśli morderca zdołał uzyskać od profesora informacje na ten temat, jej przyjaciółka mogła niebawem znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Trzeba było za wszelką cenę ją ostrzec. Jeśli nie było za późno. Miała jednak nadzieję, że to ona, Alicja, była obiektem zainteresowania kogoś, kto bardzo pragnął ją odnaleźć.

2. Magnuszew, 1942

Gdy śnieg stopniał, a temperatura coraz bardziej przypominała wiosenną, małe podwórko Hanki Lewin w Magnuszewie przypominało bagno. Bez kaloszy przejście do obórki czy kurnika stawało się po prostu niemożliwe. Zarówno Hanka, jak i Irena z utęsknieniem wypatrywały słonecznych dni, by ich zagroda w końcu zaczęła przypominać podwórze, po którym można normalnie przejść, bez taplania się w błocie.

Mała Nadia była nad wyraz ruchliwym dzieckiem i po każdym jej wyjściu na podwórko kobiety dosłownie zeszkrobywały z niej błoto, bo brodzenie w nim stanowiło dla dziewczynki nie lada uciechę.

Hanka stała w progu drzwi wychodzących na obejście i z zaciekawieniem przyglądała się mężczyźnie krzątającemu się przy kurniku.

– Dzień dobry, panie Kazimierzu! – krzyknęła. – Co tym razem?

– Dach przecieka, wszystko mokre jak gnój. Irenka poprosiła, żebym się tym zajął – równie gromko powiedział pan Kazimierz.

– Prawdziwy z pana skarb. Nie wiem, jak się panu odwdzięczymy. – Uśmiechnęła się.

Kazimierz spuścił głowę i nie mówiąc już nic, przystąpił do swojego zajęcia. Kilka minut później z obórki wyszła Irena i zbliżyła się do mężczyzny, szczerząc zęby w nienaturalnym uśmiechu. Hanka powiodła wzrokiem po rozmawiającej parze i wróciła do chałupy, by za chwilę kolejny raz stanąć w drzwiach. Z powrotem zaczęła przyglądać się to Irenie, to panu Kazimierzowi i jakby doznała olśnienia. Najwyraźniej ci dwoje mieli się ku sobie. Zdziwiło ją jednak to, że „Wariatka”, która mówiła jej o wszystkim, nawet o tym, o czym nie powinna, nie pisnęła ani słowa na temat ich zażyłości. A może nie zdawała sobie sprawy, że uczynność pana Kazimierza nie bierze się tylko ze zwykłej życzliwości?

Pan Kazimierz był wdowcem, miał koło pięćdziesiątki i oprócz niezwyklej uprzejmości cechowało go poczucie humoru, tak rzadkie w świecie ogarniętym wojenną pożogą. Swoją połowicę pochował jeszcze przed wojną, był w sile wieku i fakt, że mógłby zainteresować się jakąś kobietą, nie byłby niczym dziwnym. I być może to właśnie wesoła, prostolinijna, choć nieco ociężała umysłowo Irena wpadła mu w oko.

Gdy tak Hanka roztaczała wizję romansu, a w końcu ślubu pana Kazimierza z Ireną, ich ukradkowych spotkań i słodkich wyznań, jej współlokatorka wkro-

czyła do kuchni, dzierząc w dłoni zakrwawioną kurę z obciętą głową. Rzuciła ją do cynowej miski, usiadła na drewnianym zydelku, pochyliła się nad martwym ptakiem i powiedziała:

– Rosół będzie.

– Widzę – mruknęła niezbyt zadowolona Hanka, dla której żywa kura była dużo bardziej przydatna niż martwa, bo był z niej tylko jednorazowy pożytek.

– Naucz mnie Hanka rosół robić? – zagadnęła Irena.

– Mało masz roboty? Ja ugotuję – z westchnieniem odpowiedziała Lewinówna.

– Ale ja chcę ugotować. I zanieść Kaziowi. Natyrał się dzisiaj przy tym dachu, dechy całkiem przegniły... – bąknęła Irena, odwracając wzrok.

„A więc to tak się sprawy mają” – pomyślała Hanka i uśmiechając się, powiedziała:

– W takim razie zrobimy mu najpyszniejszy rosół na świecie.

– Chcę sama – upierała się Irena.

– Dobrze, już dobrze. Ja tylko będę dyrygować. – Puściła do „Wariatki” oko i zapytała bez ogródek: – Podoba ci się ten pan Kazio?

– Podoba mi się – powiedziała, szczerząc zęby, Irena. – A jak portki zdejmuje, to jeszcze bardziej.

Hanka przełknęła ślinę. Sądziła, że to tylko umizgi ze strony wdowca, a okazało się, że była głucha i ślepa, bo romantyczna znajomość już dawno została skonsumowana, zanim stanęli na ślubnym kobiercu. Powinna być zła na pana Kazia, że do grzechu namówił Irenę, ale nie była. Musiała jednak opowiedzieć swojej przyjaciółce co nieco o tych sprawach.

– A jak już te portki zdejmuje, to co robicie? – zapytała niewinnie.

– A co to Hanka nie wie, co się robi, jak chłop portki zdejmuje, a baba kieckę? Toć dwójkę dzieci ma Hanka, a taka głupia, aż żal. – Irena wzruszyła ramionami i nieco urażona wyszła do sieni po warzywa na rosół.

Hanka otworzyła usta, by dopiero po chwili je zamknąć. Irena była jak dorastająca córka, która o pewnych sprawach rozmawiała z obcymi, by w zaciszu domowym oznajmić, że oto wie już wszystko. Hanka jednak nie była tego taka pewna, więc gdy nastał zmierzch, a dzieci przestały dokazywać, udała się na rozmowę do Kazimierza.

Mężczyzna odpoczywał po sutym rosole zaserwowanym mu przez „Wariatkę”, leżąc na kozetce i paląc machorkę, której smród roznosił się po całym domostwie i nawet apetyczny zapach rosółu nie był w stanie zabić owej specy-

ficznej woni.

– Panie Kaziu, przyszedłam rozmówić się z panem – stanowczym głosem powiedziała Hanka i zdjąwszy okrycie, usiadła na krześle naprzeciwko kozetki.

Pan Kazimierz zerwał się na równe nogi, nieco z opóźnieniem, bo jego gość zdążył się już zadomowić, przeciągnął dłonią po zmierzwionej fryzurze i z przerażeniem wydukał:

– Coś się stało, pani Hanko? – zapytał.

– Panie Kaziu – westchnęła Hanka – Irenka to dobra kobieta, ale sam pan wie, że jest trochę jak dziecko. A pan zaciągnął ją do łóżka. No jak to tak? Taki porządny chłop, a wykorzystuje poczciwą kobietę.

– Krew nie woda – mruknął pan Kazio i dodał: – To mam się żenić z Ireną?

– A kochasz ją pan? – zapytała Lewinówna.

– A bo ja to wiem? – Wzruszył ramionami. – Dobra jest dla mnie, nawet mi się podoba, bo zawsze mnie ciągnęło do dużych bab i jakoś tak mi weselej, jak tu ze mną jest. Więc może i kocham. Ale Irenka mi powiedziała, że ona za męża iść nie może, bo pani Hanka samej z dwójką dzieciaków nie zostawi.

– I co ja mam z nią zrobić? – z westchnieniem odpowiedziała Lewinówna. –

Przecież ona nie może się na mnie oglądać. Ma swoje życie, a jak za pana wyjdzie, to daleko się nie wyprowadzi. Będę ją miała prawie za miedzę. Porozmawiam z nią, a pan niech garnitur szykuje i pieniądze na ślub zbiera.

Wracała do siebie i z jednej strony żal jej było rozstawać się z Ireną, z drugiej nikt tak bardzo nie zasłużył na szczęście, jak jej „Wariatka”. Rozważała także praktyczną stronę całej sytuacji. W istocie bez Ireny będzie jej ciężko. Była dla niej niczym mąż. Ogromna, o sile tura, stanowiła dla Hanki oparcie i wyręczała ją w czynnościach, z którymi sama sobie z pewnością nie poradzi. Nie miała jednak prawa zabierać Irenie szansy na zamążpójście, bo podobna okazja, by spotkać pretendenta do jej ręki, mogła już się nie trafić.

„Wariatka” skończyła właśnie kąpać dzieci i szykowała Nadię do snu, a Grzesia na wieczorne karmienie. Podała Hance syna i usiadła przy piecu, by zacerować sfatygowane rajstopki Nadii.

– Irenka... – zaczęła delikatnie Hanka. – Ten Kazio to zakochany w tobie na zabój.

Ta machnęła ręką.

– Co też Hanka opowiada – burknęła. – Poużywać sobie lubi i dobrze zjeść.

– Jak każdy chłop. Ale miły jest dla Ireny i dobry – nie dawała za wygraną Hanka.

- No dobry. I nawet mi się podoba, jak mnie dotyka. – Wzruszyła ramionami.
- A gdyby cię o rękę poprosił? To wyszłabyś za niego?
- „Wariatka” przestała cerować, zarumieniła się i wydukała:
- Ale nie poprosił. A poza tym tutaj nie ma miejsca. Mamy tylko kuchnię i jedną izbę.
- Nie mieszkałby tutaj, tylko ty byś się do jego chałupy przeniosła. A większa niż nasza. I murowana na dodatek – dziarsko ciągnęła temat Hanka.
- Ale Irena jedynie parsknęła śmiechem na te słowa.
- Przecie Hanka to zginie beze mnie, jak Andzia w parku.
- Będziesz mi pomagać. Poza tym nie jestem taką sierotą Bożą, Irenka. Dam sobie radę – z pewnością w głosie odpowiedziała Hanka.
- Tak. Siekierą sobie zaraz palce odrąbiesz – mruknęła Irena i powróciła do cerowania rajstopek.

Nagle do Hanki dotarło, że to Irena traktuje ją jak kogoś, kto wymaga troski, uwagi i pomocy. Jakby role się odwróciły i Hanka na powrót stała się niedorajdą, dla której porąbanie drewna może stanowić czynność nie do opanowania. Postanowiła, że udowodni Irenie, iż potrafi sobie świetnie poradzić bez niej. Nie chciała, żeby ta poświęcała się dla jej rodziny i rezygnowała z zamążpójścia. Dlatego zawarły pakt i przez tydzień Irena miała nic na gospodarstwie nie robić, a jedynie odpoczywać, ewentualnie chodzić na randki z panem Kaziem, co było delikatnym określeniem na ich łóżkowe harce.

Hanka bardzo się starała, ale niekoniecznie miało to odzwierciedlenie w czynnościach, które wykonywała. Minęło wiele lat od czasu, gdy podobne zajęcia stanowiły jej codzienność. Dlatego porąbanie drewna na zaledwie kilka dni zajęło Hance bez mała cały dzień, poparzyła się wrzątkiem, przelewając go z ogromnego sagana do balii, i dwa razy musiała wyciągać z błota Nadię, która uciekła jej na podwórko, gdy ta zajęta była myciem podłogi. I chociaż ogarniało ją przerażenie na myśl, że taki stan będzie trwał o wiele dłużej niż wyznaczony tydzień, udawała bohaterkę. Wieczorami zaś padała na swoje posłanie, umęczona do ostatnich granic, i tęskniła za życiem, gdy mieszkała z Tomaszem w ogromnym domu, a we wszystkich czynnościach wyręczała ją służba.

Irena w końcu się poddała. Wciąż jednak utyskiwała, że Hanka to niezguła, która potrafi jedynie pięknie śpiewać i rodzić dzieci. Nie było to miłe określenie, ale jak zawsze szczerze i Hanka nie potrafiła gniewać się za to na „Wariatkę”.

Ślub Kazimierza Bednarka i Ireny Maroń odbył się w parafialnym kościele i zgromadził niemal całą wieś. Mieszkańców zżerała ciekawość, czy Irena nie zrobi jakiegoś małego skandalu, ale uroczystość odbyła się bez zgrzytów i niespodzianek. „Wariatka” miała na sobie jasną, ładną sukienkę uszytą przez lokalną krawcową i upięty misternie przez Hankę kok. Jedynie buty raziły w oczy, bo mimo pastowania zdradzały ich wieloletnie użytkowanie. Kazimierz, jak przystało na pana młodego, miał na sobie garnitur i chyba wychylił kilka kieliszków samogonu dla kuraju, bo jego twarz wyglądała, jakby przebywał parę godzin na palącym słońcu.

Hanka obserwowała całą ceremonię z rozrzewnieniem i tą nutką nostalgii, gdy ma się świadomość, że to już za nią i nigdy na powrót się nie zdarzy. Cóż z tego, że jej własny ślub był pełen przepychu, suknia ślubna droga i strojna, a kościół usłany kobiercem pięknych kwiatów, gdy obok stał mężczyzna, który teraz zdawał się kimś kompletnie obcym. A taka uroczystość mogła odbyć się tylko raz w życiu. Pomyślała o Igorze. Gdyby zdecydowała wcześniej, że będzie tym jedynym, on i tak nie pozwoliłby sobie na poślubienie jej w kościele i nie przysięgałby dozgonnej miłości przed obliczem księdza. Łyszkin nienawidził kleru, uważając, że omamniają prostych ludzi, mówiąc bzdury, i każą wierzyć, że jakkolwiek życie na ziemi może być pasmem udręk, tak po śmierci czeka ich nagroda w postaci rajskiego błogostanu, a to wszystko mogą mieć jedynie za złotówkę wrzucaną co niedzielę na tacę. Hanka mogła więc odpuścić sobie wyrzuty. Miała piękny ślub, wesele jeszcze cudowniejsze i musiała cieszyć się, że takie były mimo niezbyt fortunnego doboru narzeczonego. Niekiedy zastanawiała się, jak potoczyłyby się losy jej małżeństwa, gdyby nie wojna i rozłąka. Nie miała złudzeń, w tym związku prawdziwe uczucie pozostałoby pojęciem jedynie teoretycznym, a ich serca wciąż byłyby zimne i spragnione innych wrażeń niż mogli sobie nawzajem zapewnić.

Po uroczystości w kościele w domu pana młodego zaserwowano wystawny obiad, na który zaproszono zaledwie kilka osób. Nie było nikogo z rodziny, bo pan Bednarek dzieci się nie dochował, a pozostała część rodziny nie zaakceptowała wyboru narzeczonej. Pan Kazimierz nie przejął się tym faktem zanadto, ponieważ według niego rodzina nie zaaprobowałaby nawet hrabianki u jego boku. Liczni siostrzeńcy i bratankowie od jakiegoś czasu namawiali go na odpis murowanego domu i ziemi w zamian za opiekę i jeden z nich był nawet bliski celu, gdy nagle spadła na niego informacja, że z zapisu nici, bo zarówno domem, jak i wujem rychło się zajmie nowa, młoda i nad wyraz silna żona.

Gdy bratanek wpadł do pana Kazia i zrobił mu karczemną awanturę za pomysł z ożenkiem, przyszła panna młoda, nie zastanawiając się, jak zwykle, zbyt długo, chwyciła krnąbrnego krewnego, założyła na ramię niczym worek ziarna i wyrzuciła w rosnące obok domu krzaki, bratanek bowiem, podobnie jak i jego wuj, był dość mizernych gabarytów. Ostrzegła także gościa, aby nie zjawiał się więcej w ich domu z podobnymi pretensjami, bo Irena nie tylko wyrzuci go w pobliskie krzaki, ale przeniesie na grzbiecie przez całą wieś, aby każdy mieszkaniec mógł się pośmiać z cherlawego bratanka.

„Wariatka” po ślubie nie zapomniała ani o Hance, ani o jej dzieciach i prawie codziennie przychodziła do ich domostwa, by pomagać swojej przyjaciółce przy ciężkich domowych pracach albo zaopiekować się dziećmi, by ta mogła odpocząć przy herbacie i książkach.

Hanka, gdy miała czas na rozmyślenia, często wspominała dobrodusznego profesora Litwina, dzięki któremu znalazła się w tym spokojnym miejscu, a jej Irenka spotkała tutaj miłość. Było jej niewymownie smutno, gdy jego krewni powiadomili ją o nagłej śmierci profesora. Hanka zaczęła zastanawiać się, co mogło spotkać zacnego pana Litwina, bowiem jeszcze do niedawna cieszył się dobrym zdrowiem. Rodzina profesora nie wspomniała również, jakoby padł ofiarą okupacyjnego terroru. Nie powiedzieli nic więcej, tylko tyle, że zmarł, a ona zapewne chciałaby o tym wiedzieć. Podziękowała uprzejmie, ale gdy tylko drzwi jej domostwa zamknęły się, rozpłakała się, bowiem Litwin był jedną z najmiłszych osób, jakie ostatnio poznała. Kompletnie obcy człowiek okazał im tak wiele serca. Nawet więcej niż niegdyś jej prawdziwy ojciec. Profesor był mądrym, wykształconym człowiekiem, prawdziwym erudytą o wysokiej kulturze osobistej. A jednocześnie skromny i zwracający się z takim samym szacunkiem do śmieciarza, jak i do kolegi po fachu. Przyjął pod swój dach ciężarną śpiewaczkę z małą córką i ociężałą umysłową kobietę, której język i zachowanie niekiedy wprawiały go w zakłopotanie. Nigdy jednak nie ganił ani nie krytykował, a do Nadii miał wręcz anielską cierpliwość. I za to właśnie wszystkie trzy go pokochały.

3. Nowogród Wołyński, Zwiahel, Ukraina 1942

Od kilku dni, przed planowaną datą opuszczenia Kijowa przez Łyszkina, Marina niemal bez przerwy chlipała, irytując tym Igora niemiłosiernie. W czasie, gdy musiał być skupiony i dokładnie zaplanować bezpieczną przeprawę do Równego, wysłuchiwał lamentu i zrzędzenia kobiety, która nie była ani jego narzeczoną, ani przyjaciółką, a jedynie współpracownicą. Nie czynił jej jednak wyrzutów, bo Marina pomogła mu przetrwać jeden z najtrudniejszych okresów w jego życiu.

Nawet jeśli to, co robił, było jedynie starannie odgrywaną rolę, on czuł, że coś się w nim zmieniło. Zamordował człowieka, Jürgena Schwartza, i zamiast mieć wyrzuty sumienia czy chociażby popaść w przygnębienie, spłynął na niego rodzaj zadowolenia i ulgi. Zrobił pierwszy krok na drodze do unicestwiania wrogów i było mu z tym dobrze. Czuł się jak prawiczek przybity niemocą rozładowania napięcia, który nagle pierwszy raz doświadcza obcowania z kobietą. Był już gotów na kolejne ofiary i z niecierpliwością czekał na rozkaz przeniesienia do miejsc, gdzie będzie mógł wykonywać wyroki na niemieckich dowódcach. Miał świadomość, że byli to jedynie urzędnicy, niekiedy nawet nie oglądali z bliska egzekucji, ale ich rozkazy, wytyczne i przemowy nakazywały, aby trupy wręcz zalewały całe połacie ziemi. Ci oficerowie, dobrze wykształceni, niekiedy z doktoratami, czytani i inteligentni, doskonale wiedzieli, na jakich strunach zagrać, aby zrobić z niemieckich żołnierzy wszystkich formacji istne maszynki do mięsa. Potrafili także omamić czerwonoarmistów, by zamiast obozów wybierali ich szeregi, ukraińskich nacjonalistów, żeby w imię odzyskania niepodległości swojego kraju stawali się bezwzględnyimi mordercami, i wreszcie zwykłych ludzi, którym wmawiano, że wszystko, co złe, sprawili Żydzi, jakby ci ostatni bolszewizm wyssali z mlekiem matki. Igor czytał broszury i procedury przypominające niekiedy prace doktorskie, z precyzją opisujące nawet sposób oddawania strzałów, głębokość wykopywanych mogił i odległości, z jakich należy wykonywać masowe egzekucje, aby wydajność była jak najlepsza. Morale poprawiano stosownymi sformułowaniami, propagandowymi stwierdzeniami, aż zakodowano w ludzkich głowach, że to wszystko ma cel. Przekazywano je dalej, wygłaszając w miasteczkach i wsiach kwieciste przemowy, że oto naród ukraiński ma w końcu możliwość odwetu za lata

głodu, represji, spalonych i zrujnowanych domów, a także skrywanych w lasach zbiorowych mogił, gdzie leżały zwłoki ojców, braci czy przyjaciół.

Im dłużej siedział w skórze Krigeo, tym lepiej pojmował tę przebiegłą grę i musiał stwierdzić, że Niemcy działali niemal po mistrzowsku. Zatem pokonać można ich było, stosując podobne metody. Teraz rozumiał Sudopłatowa, dlaczego najpierw wysłał go na spokojne wody, by Łyszkin mógł lepiej ogarnąć cały mechanizm postępowania, zapoznać się z metodami działania i nauczył się być taki jak oni.

– Marinko... – powiedział ciepło. – Jesteś żołnierzem, a mamy wojnę. Nie możesz podchodzić do mojego wyjazdu w sposób tak emocjonalny. Ja też będę pewnie tęsknił za wygodnym łóżkiem i twoimi blinami, ale przecież czekają mnie kolejne obowiązki.

– A za mną nie będziesz tęsknił? – załkała.

– Przecież nie byłem dla ciebie miły... – powiedział cicho.

– Ale ja cię kocham – wydukała.

Igor westchnął. Gdyby nie to, że nie miał czasu na rozważania, zapewne zatrzymałby się na dłużej nad tą przedziwną relacją, jaka połączyła go z Mariną. Bywał dla niej naprawdę okrutny, a ona tymczasem zamiast go znienawidzić, coraz bardziej przywiązywała się do niego, gotowa zrobić niemal wszystko, by obłaskawił ją bezdusznym aktem seksualnym czy możliwością spania z nim w jednym łóżku.

Wyrzucał sobie, że zachował się jak idiota. Zrobił z Mariny katalizator, ku beł na niechciane emocjonalne odpadki, nie myśląc nawet, że nagle ta młodziutka dziewczyna zapala do niego uczuciem wręcz bałwochwalczym. Starał się nawet nie myśleć, jak daleko mogłoby to zajść, gdyby w końcu nie przyszedł rozkaz wyjazdu.

Pamiętał ten pierwszy raz, gdy potraktował ją instrumentalnie. Była to ta noc, gdy upił się przy placu Opery, użył sobie z prostytutką i zabił Schwartza. Czuł wówczas, jakby nagle wszedł do miejsca, gdzie królowało zło, a na dodatek bardzo mu się tam spodobało. Swoje romantyczne uczucie do Hanki schował gdzieś na dnie duszy, bo owo piękne zjawisko, jakim była miłość, zmiękczało go. Robił się sentymentalny i rozpatrywał swoje czyny w kategoriach dobra i zła, co sprawiało, że przestawał być bezwzględny i czujny. A chcąc przeżyć i pokonać wroga, musiał być właśnie taki przez cały czas.

Tej nocy wszedł do mieszkania przy placu Besarabskim i mając jeszcze krew Schwartza na rękach, udał się wprost do sypialni Mariny. Zdarł z niej

pierzynę i przez chwilę wpatrywał się w jej piękną twarz i smukłą sylwetkę. Tak bardzo chciał, aby obraz Jürgena z opuchniętą i zakrwawioną twarzą zastąpił mu inny, piękny i delikatny. Rozebrał się i położył się obok dziewczyny, wtulając twarz w jej długie ciemne włosy. Mruknęła przez sen i nie do końca rozbudzona zaczęła go pieścić, poruszając się rytmicznie i zachęcająco. Igor potrzebował tego. Czułości i delikatności. Limit brutalności wyczerpał się tego dnia i pragnął błęgiego ukojenia. Chociaż na krótką chwilę, by poczuć się znowu jak prawdziwy człowiek. Gdyby obok leżała Hanka, nie potrafiłby udawać, a ona nigdy nie zaakceptowałaby jego praktyk. A Marina chciała go takim, jakim teraz był. Manipulatora i mordercę.

Kochali się przez całą noc. Tak, to było właściwe określenie, chociaż Igor zdawał sobie sprawę, że gdy nastanie świt, ta młoda, śliczna dziewczyna stanie się na powrót tym, kim była od zawsze, towarzyszem broni – jak to niekiedy sarkastycznie jej powtarzał.

Tak w istocie się stało, a Łyszkin nawet na nią nie patrzył. Był zawstydzony swoją chwilą słabości, bo dla niego ta noc była jedynie ucieczką przed niechcianymi wspomnieniami.

Marina jednak nie dawała za wygraną. Była czuła, słodka i uczynna. Ale im mocniej się starała, aby i on coś do niej poczuł, stawał się dla niej coraz bardziej nieprzyjemny. Niejednokrotnie ganił ją za opieszałość w przekazywaniu meldunków czy wykonywaniu zadań.

– Weź się w końcu do roboty, rozmazana panno! – ryczał. – Miałaś to przepisać do dwunastej, a jest już prawie wieczór. Przez ciebie będę ślęczał całą noc przy radiostacji.

– Przepraszam – jęknęła cicho i powróciła do swojego zmudnego zajęcia. – Myślałam, że dzisiaj idziesz na plac Opery.

– Idę i dlatego chciałem załatwić sprawę wcześniej – warknął i dodał mściwie: – Jestem umówiony z jedną z tych dziwek od Ludmiły.

– Będziesz się z nią kochał? – zapytała cicho.

Roześmiał się.

– Jaka ty jesteś głupiutka, Marino. Kochać się z dziwką... Te słowa nawet do siebie nie pasują. Mężczyźni chodzą do burdeli, żeby sobie poużywać, a nie kochać się.

– A ze mną? Używałeś sobie czy kochałeś się? – zapytała smutno.

Poczuł się jak ostatni drań. I postanowił powiedzieć prawdę.

– Marinko, z tobą nie było tak, jak z tymi dziewczynami. I chodzę tam nie

dlatego, że mam taką potrzebę, tylko robię z nimi, że tak powiem, interesy. Ani ich nie lubię, ani mi się szczególnie nie podobają. A ty mi się podobasz i nawet cię czasami lubię, jak nie gadasz głupot. Ale musisz wiedzieć jedno: moje serce jest zajęte.

– Więc jestem kimś więcej niż dziewczyny od Łapiejewej i mniej niż ta twoja narzeczona? Tak?

– Tak. Ale nie cierpię, jak próbujesz ze mną rozmawiać na te tematy. Jeśli nie odpowiada ci ta rola, zrozumieć i nie będę więcej sypiał z tobą, ale nie licz na to, że pewnego dnia zakocham się w tobie, a potem będziemy żyli długo i szczęśliwie – powiedział stanowczo.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno.

– Poczekam, poczekam...

– Posłuchaj, nie czekaj, nie pytaj i najlepiej będzie, jeśli zostawisz mnie w spokoju – burknął i wyszedł z pokoju.

Przez kolejne dni trzymał Marinę na dystans, był oschły i odzywał się do niej tylko wówczas, gdy było to konieczne. Rugał ją za niedokładnie wykonane zadania, a nawet za źle odprasowaną koszulę. Jednak w końcu znowu nadchodził moment, gdy sytuacja go przytłaczała, czuł się fatalnie i szukał ukojenia w ramionach Mariny, ponownie rozbudzając jej nadzieje.

A teraz, gdy opuszczał ją, prawdopodobnie na zawsze, z jednej strony dławilo go poczucie winy, z drugiej była w tym ulga, że owa przykra gra w końcu dobiegła kresu.

– Nie byłeś miły, to prawda. Bo miotałeś się między miłością do tej swojej panny a uczuciem do mnie. I gdybyś został dłużej, na pewno wygrałabym i wybrałbyś mnie – powiedziała z uporem.

Łyszkin zastanawiał się przez chwilę. Nie wiedział, co byłoby dla Mariny lepsze. Powiedzenie prawdy, że była jedynie odskocznią, czy pozostawienie jej złudzenia, że ich związek mógłby się udać. Miał poczucie winy, więc postanowił, że nie zostawi tej miłej dziewczyny z niczym.

– Nie wiem... Być może. W końcu jesteś piękna i słodka, a ja nie jestem z kamienia – westchnął i ostatni raz przytulił Marinę.

– Jak to wszystko się skończy, odnajdę cię – szepnęła dziewczyna i popatrzyła na Igora smutnymi oczami.

Uwielbiała go. Był dla niej kwintesencją męskości, a jego niekiedy opryskliwe zachowanie i chłód w kontaktach jedynie potęgowały jej fascynację. Lubiła, gdy udawało jej się w końcu ujarzmić jego twardą naturę i dostawać od

niego to, co tak bardzo lubiła. Być może to było poczucie bezpieczeństwa, a może po prostu pragnęła czuć się przez chwilę słabą kobietką, gdy na co dzień dane jej było mierzyć się z niebezpiecznymi zadaniami, być twardą i silną, i wykorzystującą swoje kobiece atrybuty jedynie po to, by osiągnąć jakiś z góry zamierzony cel.

– Będiesz tęsknił? – zapytała ponownie, gdy już stał gotowy do wyjścia.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się jedynie i pogłaskał ją po policzku. Wiedział bowiem, że będzie. Zwłaszcza w chwilach, gdy będzie potrzebował ucieczki od natury człowieka, w którego skórę się wcielił. Zdawał sobie również sprawę, że osoba, którą był, gdy miał przy sobie Hankę, musiała odejść. Tak było lepiej. Obawiał się, że jeśli pozwoli sobie na bycie sobą, nie przeżyje.

Podróż wydawała się nie mieć końca. Na szczęście mróz zelżał i w powietrzu czuć było nadchodzącą wiosnę. Jednak dziurawe drogi, kolejne mijane po drodze kontrole i wreszcie niezbyt wygodny kübelwagen sprawiały, że po niemal stu osiemdziesięciu kilometrach Igor czuł każdy centymetr swojego ciała. Musieli jednak minąć Żytomierz i znaleźć się możliwie najbliżej Równego. To w okolicach tego miasta istniała zakamuflowana jednostka NKWD, do której powinni dotrzeć, zanim wyruszą na dalsze akcje.

Zbliżali się do Zwiahela, nazywanego przez Ukraińców Nowogrodem Wołyńskim, gdy nagle usłyszeli huk, a kübelwagen zaczął niemal tańczyć po szosie. Nikołaj Nieborow z trudem panował nad kierownicą, by w końcu przegrać tę walkę. Pojazd stoczył się do rowu, wbijając się maską w miękkie podłoże topniejącego śniegu.

– *Job twoju mać* – zaklął Nikołaj, nie zważając na fakt, że nie powinien nawet w takich sytuacjach mówić po rosyjsku.

– Co teraz? – odezwał się drugi z żołnierzy, Sasza.

Łyszkin wygramolił się z przechylnego samochodu i ocenił sytuację. Wymiana koła nie stanowiłaby problemu, mieli w końcu zapasowe, ale podczas wypadku pękła ośka, a to już eliminowało pojazd z dalszego ruchu. Rozejrzał się. Wokół ciągnęły się bezkresne pola, których lessowe gleby zamieniały się pod wpływem roztopów niemal w bagniska. Gdzieniedzie można było dostrzec plamy zagajników pełnych buków i dębów, które o tej porze roku były jedynie ciemnymi, brunatnymi połaciami badyli wystających z grubych pni.

Nieopodal tych miejsc majaczyły rzędy wiejskich chałup, skąd wydobywał się dym kłębiący się nad dachami domostw. Wszędzie daleko, niemal pustkowie i żadnej szansy na znalezienie pomocy. Powinni poczekać na jakiś niemiecki transport, ale Sasza i Nikołaj jedynie z wyglądu przypominali niemieckich żołnierzy i rychło odkryto by, że ci dwaj mundurowi to przebierańcy. Pozostawienie wszystkiego i wyruszenie piechotą stawiało zaś cały plan pod znakiem zapytania. Igor miał stawić się najpierw w Nowogrodzie i odebrać przesyłkę od Leitera. Musiał więc czekać, aż ktoś go tam przetransportuje. Zastanawiał się, czy z chłopaków nie zrobić czerwonoarmistów zdrajców, którzy przeszli na stronę wroga, ale tacy żołnierze z reguły kierowani byli do najbardziej psiej roboty i nikt nie uwierzyłby, że stanowią obstawę niemieckiego oficera.

W oddali dojrzał jadący samochód.

– Spieprzajcie! – krzyknął. – Byle szybko.

– A co z wami? – zapytał Sasza, oddalając się od samochodu w kierunku najbliższego zagajnika.

– Ja zabiorę się z nimi! – krzyknął i oparł się o maskę samochodu.

Wkrótce zobaczył niemiecką ciężarówkę wypełnioną żołnierzami, zbliżającą się w jego kierunku. Pomachał rękami, by się zatrzymali. Miał świadomość, że właśnie wchodzi do jaskini lwa, gdzie szansa na ucieczkę lub wsparcie towarzyszy była zerowa.

4. Warszawa, 1942

Niewielki skwer o tej porze roku nie zachęcał do spacerów, ale przedzierające się przez ciężkie chmury słońce zwiastowało rychłe nadejście nowej pory roku, na którą warszawiacy czekali z utęsknieniem. Kierowały nimi względy czysto praktyczne, wiosenna pora oddalała problem zdobywania opału, a małe spłachetki rabat kwiatowych, donic czy wreszcie miejskich trawników dawały możliwość posiania warzyw i w niedalekiej przyszłości urozmaicenie nędznej diety.

Adrianna Daleszyńska pchała przed sobą wózek i zastanawiała się nad własnym życiem. Krótkotrwałe zainteresowanie Emila ich synem nie przerodziło się w prawdziwie ojcowskie uczucie, ale przynajmniej nie udawał, że Karolek nie istnieje. W stosunku do niej zaś był dość uprzejmy, ale chłodny i zdystansowany. Ostatnio jej partner miał wiele problemów na głowie, a teraz musiał zrezygnować z intratnego szmuglowania jedzenia do stolicy, jednak kobieca intuicja Adrianny podpowiadała jej, że przyczyną owego chłodu może być inna kobieta. Cały czas spięty i nerwowy Emil rozkwitał i rozluźniał się jedynie w pewnych chwilach. Wówczas, gdy wkładał swój najlepszy garnitur, spryskiwał się intensywnie wodą kolońską i wygładzał włosy francuską brylantyną. Z jego twarzy zniknęło napięcie, rysy łagodniały, głos robił się niski i uwodzicielski, a ona dostawała od niego jakiś drobiazg. I byłaby szczęśliwa z tego powodu, gdyby nie fakt, że kilkanaście minut później opuszczał dom i powracał doń przed świtem. Robił to często, gdy jeszcze zajmował się szmugłem, ale wówczas zakładał zdeptane trzewiki i znoszoną kufajkę. Adrianna jednak nie ośmieliła się zadać Emilowi pytania o inną kobietę. Obawiała się odpowiedzi, jaka mogła paść. Co wówczas zrobiłaby, rozdarta pomiędzy tłącym się uczuciem a dumą? Pogrążała się więc w odmętach własnej wyobraźni, odganiając natarczywe obrazy kobiety, która zajęła jej miejsce w sercu Emila.

Zatrzymała się na chwilę przy stawie, patrząc bezwiednie na burą tafłę wody, po której pływały resztki brudnej kry. Tuż obok przystanął elegancki mężczyzna w długim płaszczu i uchylił kapelusz, by się z nią przywitać. Widywała go tutaj bardzo często, tak często, że aż zaczął jej się kłaniać. Miała ochotę, żeby pewnego dnia rozpoczął jakąś zdawkową rozmowę, bo samotność, którą czuła, zaczynała robić się nieznośna. Mężczyzna najwyraźniej także doszedł do wniosku, że spotyka Adriannę na tyle często, aby bez skrępowania móc do niej przemówić.

– Niedługo wiosna – powiedział z westchnieniem.

Adrianna odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła się.

– Już nie mogę się doczekać. Mój synek coraz częściej ma ochotę pobaraszkować na trawie, a teraz wszędzie błoto i kałuże.

– Przepraszam, że się ośmielam, ale widuję tu panią samą i pomyślałem, że pani męża być może spotkało coś złego. W końcu w dzisiejszych czasach... Nazywam się Kamil Grotowski.

– Adrianna Daleszyńska. – Wyciągnęła drobną dłoń w kierunku mężczyzny i dodała odważnie: – Nie mam męża. Nie zginął z rąk Niemców, tak jak moi rodzice, ale po prostu go nie mam.

W jej głosie zabrzmiała gorycz. Minęło już sporo czasu, odkąd powróciła do Emila, a on ani razu nie napomknął o ślubie. Ona zaś była zbyt dumna, żeby się o to upomnieć. Źle jednak czuła się, mieszkając z Emilem na tak zwaną kocia łapę, i wszystkim wokół przedstawiała się jego nazwiskiem, by nie budzić zgorszenia i niesmaku. Teraz jednak doszła do wniosku, że nie będzie kłamać, bo miała ochotę na flirt z tym przystojnym mężczyzną.

– Ja również nie mam żony. Ale ona zginęła. W trzydziestym dziewiątym. Razem z moim synem. Powoli godzę się z tym i zaczyna mnie cokolwiek cieszyć. – Kamil Grotowski uśmiechnął się smutno. – Nie będę się pani żalił, ma pani zapewne własne smutki w sercu z powodu rodziców, ale jeśli nie wydam się pani zbyt nietaktowny, możemy pójść na jakąś kawę albo prawdziwe ciasto.

Adrianna zgodziła się. Może nawet nazbyt chętnie, ale rozpaczliwie łaknęła męskiego towarzystwa. Tak bardzo chciała znowu poczuć się kobietą. Piękną, adorowaną i taką, dla której mężczyźni tracą głowy. Wciąż była urodziwa, ale zgorzkniała w przedziwnym związku z Emilem i przestała dbać o swój największy atut.

Tego dnia nie rozmawiali wiele. Bardziej obserwowali siebie, a i Karolek wykluczał jakąkolwiek intymność. Jednak po tym spotkaniu Adrianna poczuła, że znowu zaczyna żyć prawdziwie i powoli wydostaje się z oków, które sama sobie założyła we własnej duszy i sercu.

Stopniowo spotkania Adrianny z Kamilem robiły się coraz częstsze, aż pewnego dnia zostawiła Karolka pod opieką sąsiadki i sama udała się na schadzki. Wiedziała, że gdy będą tylko we dwoje, padną pytania o jej skomplikowany związek. Postanowiła nie ukrywać niczego.

– Odejdź od niego, Adrianno. Ten człowiek nie da szczęścia ani tobie, ani

waszemu dziecku. – Kamil delikatnie dotknął dłoni swojej towarzyszki.

– Nie mam nikogo. Oprócz bycia gospodynią i matką, niczego nie potrafię. Jak wykarmię Karolka i siebie? Gdzie zamieszkać? – jęknęła.

– Ze mną. Mam mieszkanie. Kamienica jest trochę pogruchotana przez pociągi, ale mój lokal ocalał i jest w nim sporo miejsca. Trzy pokoje, ładnie urządzone. Pracuję w banku. Gdy Polska jeszcze istniała, byłem naczelnikiem w Pocztovej Kasie Oszczędności, teraz jestem zwykłym liczykrupą w oddziale Banku Emisyjnego przy Bielańskiej. Nie jest to praca marzeń, ale lepsza niż mają inni. Dam radę utrzymać żonę i dziecko. Wyjdź za mnie, Adrianno – czule powiedział Kamil.

Właściwie sam nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że tak ochoczo zaproponował Adriannie ślub, chociaż tak niewiele o niej wiedział. Chyba dlatego, że czuł się równie samotny, co jego towarzyszka.

Ona także nie mogła pojąć, co nią kierowało, gdy pokiwała twierdząco głową. Adrianna po prostu chciała uciec z domu, w którym nie znajdowała ani miłości, ani szacunku. Zdawało jej się, że każdy mężczyzna będzie dla niej lepszy niż Emil, a Grotowski sprawiał wrażenie człowieka spokojnego, zrównoważonego i kulturalnego.

Przez jakiś czas spotykali się jeszcze potajemnie, chcąc wszystko zaplanować, aby Adrianna mogła z dnia na dzień opuścić mieszkanie na Woli, a im więcej czasu mijało, tym bardziej byli zdecydowani na wspólną przyszłość. Kamil jednak był człowiekiem wychowanym w kulcie szacunku dla kobiety, więc pewnego dnia, pod pozorem romantycznej wycieczki za miasto, po prostu zaciągnął Adriannę do kościoła Świętego Aleksandra przy placu Trzech Krzyży, znajdującego się nieopodal jego domu, i w godzinę później Adrianna została panią Grotowską.

Tego dnia wracała do swojego mieszkania, jakby urosły jej skrzydła. Nie bała się gniewu Emila, czekała jedynie na to, by zobaczyć jego twarz, gdy oznajmi mu, że oto oboje z Karolkiem go opuszczają, a on pozostanie na gospodarstwie jedynie w towarzystwie obcego chłopaka, Szymka Wielopolskiego. Czuła mściwą satysfakcję, że stracił nad nią władzę, ale nie chciała krzywdzić go bardziej, niż było to konieczne. Wiedziała, że nikogo już nie obdarzy takim uczuciem jak jego. Pełnym pasji i oddania. Zabrał jej tak wiele, ale również dał coś, dzięki czemu poczuła smak prawdziwej miłości, i za to była mu wdzięczna.

– Adrianno, przestań opowiadać głupoty – burknął, gdy usłyszał rewelację,

że oto jego partnerka kilka godzin wcześniej poślubiła innego mężczyznę. – Takie obrączki na bazarze można kupić za bezcen.

Milczała. Nie było sensu w tym momencie udowadniać mu cokolwiek. Zjedli w ciszy obiad, Adrianna pozbierała naczynia, pozmywała je starannie i równie starannie poukładała w kuchennym kredensie, po czym udała się do ich niewielkiej sypialni i wyciągnęła upchniętą za szafą swoją starą walizkę. Dotknęła jej delikatnie palcami, jakby owa walizka była jej wierną towarzyszką i świadkiem życiowych upadków i wzlotów. Łzy napływały Adriannie do oczu z żalu, że coś, co miało być takie piękne, skończyło się zupełnie inaczej. I być może ze strony Emila nigdy nie było prawdziwe. Ze ściśniętym gardłem układała swoją garderobę, spakowała nieliczne rodzinne pamiątki, po czym wyciągnęła kolejną torbę i zaczęła upychać w niej rzeczy Karolka.

Wzięła w dłonie bagaże i wyszła do przedpokoju. Emil siedział przy stole, czytał gazetę i popijał herbatę. Spojrzał bezwiednie na bagaże i powrócił do czytania gazety, by dopiero chwilę potem ocknąć się i zerwać się na równe nogi.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? Adrianno... – jęknął, zaskoczony i zdziwiony.

Tak, właśnie tę minę chciała zobaczyć Adrianna.

– Odchodzę. Do męża. To chyba nie byłoby właściwe, gdybym nadal tutaj mieszkała, Emilu – powiedziała zupełnie spokojnie.

– Na miłość boską, Adrianno. Przecież niczego złego ci nie zrobiłem... – Emil robił się coraz bardziej blady.

– Dobrego też nie... – mruknęła i podeszła do łóżeczka, by wyciągnąć z niego Karolka i ubrać go na drogę.

W tym momencie dotarło do Emila, że to nie jest żadna melodramatyczna scena mająca na celu zwrócenie jego uwagi na Adriannę. Ona naprawdę chciała go zostawić. I wtedy dopiero zrobił się wściekły. Jego bladość minęła, na czole pojawiły się żyły, a twarz przybrała purpurowy kolor.

– Zostaw Karolka – syknął. – Nie będzie mieszkał u twojego gacha i patrzył, jak się z nim łajdaczysz.

– Przecież nigdy go nie kochałeś! – krzyknęła, zaskoczona reakcją Emila.

– Powiedziałem ci, dziwko, żebyś go zostawiła. – Emil odepchnął ją od łóżeczka i dodał ze złością: – I wynoś się!

– Nie pójdę bez Karolka. – Adrianna zaczęła łkać.

– Nie musisz. Sam cię wyrzucę, niewdzięczna suko!

Postanowiła zagrać ostatnią kartą.

– A skąd wiesz, że to twój syn? – syknęła.

Wymierzył jej policzek, po czym zrobił to samo, co niegdyś. Wyrzucił ją z domu wraz z jej przepastną walizką.

Odkąd Szymek Wielopolski stracił swoją jedyną przyjaciółkę, Noemi, nie chciał już sprzedawać szmuglowanych towarów w getcie. Zresztą Emil Lewin pewnego dnia podjął decyzję, że czasowo muszą zawiesić swoją działalność, bo niemieckie władze depczą im po piętach. Lewin zniknął na całe dni, a Szymek został bezrobotny. Miał gdzie spać i co jeść, ale nadmiar wolnego czasu powodował, że chłopak myślał o rzeczach, o których myśleć nie chciał. Był przybity i nawet nie miał z kim o tym porozmawiać, bo przeważnie siedział w domu sam albo snuł się bez celu po warszawskich ulicach.

Gdy Adrianna opuściła ich gospodarstwo i wyjechała do rodziny, jak twierdził Lewin, jedynym zajęciem Szymka było doglądanie od czasu do czasu małego Karolka. Jednak nie pozostawał z nim na dłużej, bo nie potrafił ani przewinąć malca, ani go nakarmić. Zresztą Emil także tego nie umiał, wysługując się sownie opłacaną sąsiadką. Kiedy jednak nadchodził wieczór i obaj musieli wykonać te wszystkie czynności, którymi zwykle zajmowała się Adrianna, Emil Lewin klął jak szewc, a niekiedy nawet czymś rzucił, żeby rozładować napięcie. Z czasem przywykli do takiego trybu życia i Szymek już nawet nie pytał, kiedy wróci Adrianna. Miał przecucie, że z jego ciocią stało się coś złego, a Emil Lewin milczy w tej sprawie tylko dlatego, żeby nie przysparzać mu cierpień.

Pewnego dnia, gdy kolejny raz przemierzał bez celu stołeczne ulice, jakaś nieznana siła kazała mu pójść do ruin kamienicy, gdzie było tajemne przejście do getta. Przecisnął się przez zawaloną gruzami piwnicę i niepewnie wyrzwał przez okienko wychodzące na teren getta. Niewiele się tam zmieniło od ostatniego razu, dlatego przecisnął się przez otwór i kolejny raz znalazł się w miejscu, do którego niegdyś tak często przychodził. Niemal natychmiast powróciły wspomnienia. Popatrzył na placyk, gdzie zastrzelono Noemi. Plamy krwi na chodniku już wyblakły i nie różniły się od innych, powstałych zupełnie niewinnie, ale on wiedział, skąd pochodzą i jak się tam znalazły. Przeszedł tuż obok nich i udał się na pokruszony murek, gdzie siadali często z Noemi, by snuć marzenia o lepszym życiu. Stara derka oczywiście zniknęła i zapewne służyła teraz jakiemuś biedakowi, a być może ten ktoś sprzedał ją za kromkę chleba in-

nemu, równie biednemu Żydowi.

Przycupnął na murku, rozpamiętując koleżankę, by potem wodzić oczami po tym koszmarnym miejscu, gdzie jedynie śmierci i cierpienia było pod dostatkiem. Patrzył na wymizerowane sieroty, w podobnym do niego wieku, brudne i wychudzone, w połatanych ubraniach, tulące się do ścian budynków. Ich spojrzenia były puste i beznamiętne. Jakby nie znali albo nie pamiętali innego świata niż ten, na który patrzyli.

Zeskoczył z murku i przeszedł na ulicę Żelazną, gdzie było niemal czarno od snujących się ludzi, a co kilka metrów leżały ludzkie zwłoki, na które nikt nie zwracał uwagi. Ulokował się na schodkach jednej z kamienic, przez nikogo niezauważony, i tak przesiedział do zmroku, wpatrując się w świat, gdzie duchy mieszały wraz z żywymi, a granica między światami zdawała się cienka jak pajęczna nić. Każdy, kto go mijał, był o krok od tej granicy, a niektórzy ją przekraczali na jego oczach. Szymek nie miał pojęcia, dlaczego napawał się tym widokiem, jakby zazdrościł tym, którzy są gdzieś w magicznej krainie, skąd nigdy się nie wraca. Tam była również Noemi, jego śliczna przyjaciółka o oczach jak dwa węgielki i długich warkoczach. Zastanawiał się, czy nadal je nosi, czy w końcu najadła się do syta i czy odnalazła swoją ukochaną mamę, której podarowała czekoladę na urodziny. Pobyt w tym okrutnym, nieludzkim świecie getta leczył jego duszę po stracie przyjaciółki, bo czuł bliskość Noemi. Jak gdyby miała nagle pojawić się w bramie czy wyjść zza załomu budynku. Ściskając w dłoni łańcuszek z serduszkiem, który mu niegdyś podarowała, czekał z irracjonalną nadzieją, że tak właśnie będzie, a jego tęsknota na powrót przywiedzie do niego tę piękną dziewczynkę.

5. Apraksin, Leningrad, 1942

Kompania propagandowa, do której przydzielono Waltera von Lossowa, miała nie tylko podnosić morale niemieckich żołnierzy i zjednywać ludność cywilną, ale także dokumentować poczynania armii na wschodzie. I właśnie taką rolę otrzymał Lossow. Miał być kronikarzem wojny z Sowietami. Odkąd trafił w okolice oblężonego Leningradu, zdążył zrobić kilka tysięcy zdjęć. Szokujących, tragicznych i pokazujących ogrom ludzkiego cierpienia. Walter, przeglądając je, nie myślał o stronach tego konfliktu, Rosjanach czy Żydach, ale po prostu o drugim człowieku.

Niekiedy żołnierze Wehrmachtu albo SS prosili o fotki dla siebie. Stali nad stosami trupów czy na tle szubienic, uśmiechnięci albo z minami zdobywców, jakby owe ofiary w oddali to było wojenne trofeum. Niektórzy, wbrew zakazom, wysyłali te zdjęcia w listach, do swoich rodzin w Rzeszy, chociaż trudno było zrozumieć, po co to robili. Być może spowodowały to spotkania propagandowe, gdzie czytano żołnierzom odezwy, że to, co robią, jest chwalebne i godne najwyższego uznania. On także preparował podobne teksty, z rozwagą dobierając słowa, aby działały na ich wyobraźnię i podnosiły statystyki zabitych Rosjan. Inni, mniej podatni na siłę słowa, po prostu mieli dosyć i łudzili się, że im szybciej wyłuką przeciwnika, tym prędzej powrócą do domów.

Ostatnia zima niemal rzuciła na kolana wielką Rzeszę i zdziesiątkowała wojsko pod Moskwą. Nie ginęli tam jak bohaterowie, od wrogich kul, ale umierali z głodu albo zamarzali. Hitler był przekonany, że wojna ze Związkiem Radzieckim zakończy się, zanim nadejdą rosyjskie mrozy, ale pomylił się. Był tak pewny swojego szybkiego zwycięstwa, że nawet nie zadbał o odpowiednie okrycia dla żołnierzy. Gdy stało się jasne, że operacja „Tajfun” potrwa wiele miesięcy, naprędce zaczęto organizować zbiórki ciepłych okryć. Do Związku Radzieckiego docierały cywilne ubrania, z darów zebranych wśród ludności niemieckiej. Ale nikt nie zwracał już uwagi, że oto idealnie skrojone mundury przykrywają przedziwne ubrania, jak damskie futra, męskie pelisy i czapki z lisa, odbierając im powagę. Nawet oficerowie SS, którym szyto służbową garderobę u samego Hugo Bossa, nie zważali na swój wygląd, gdy okręcali swoje twarze dzierganymi damskimi szalami, nadającymi im wygląd męskich dziwek. Wściekali się, gdy Lossow robił im wówczas zdjęcia, jakby chcieli zachować resztki godności i woleli mieć fotografie ze stosami trupów na tle spalonych wiosek, jako jedyne kadry pasujące do rasy panów.

Walter von Lossow zawsze był estetą. Kochał piękno w każdym jego aspekcie. Gdy studiował w Paryżu, nie błąkał się po zadymionych kawiarenkach, gdzie nie tylko pito alkohol, ale także eksperymentowano ze środkami odurzającymi. Odwiedzał sale koncertowe, galerie sztuki albo przechadzał się po Montmartrze czy bulwarach nad Sekwaną, by słuchać ulicznych grajków albo obserwować domorosłych artystów. Nie stronił od alkoholu, nie widział także niczego złego w odurzaniu się od czasu do czasu opium czy korzystaniu z usług prostytutek, ale nie był to świat, który fascynował go na tyle, by pozostawać w nim na dłużej.

Umiłowanie piękna dotyczyło także kobiet. Lubił idealnie wyrzeźbione sylwetki, regularne rysy twarzy i pięknie wykrojone usta. Tylko jeden raz zrobił wyjątek, gdy spodobała mu się kobieta nie tyle szpetna, co niezbyt urodziwa. A była to Holly Evans, którą spotkał w Warszawie. W niej jednak zobaczył piękno duszy i ono przyćmiło wszystko, co w jej wyglądzie było niedoskonałe.

Tak, Walter von Lossow był estetą, miłośnikiem piękna, i nagle trafił do miejsca, gdzie próżno go było szukać. Zawiódł go instynkt. Zanim nadeszła wojna, owo wysublimowane piękno widział także w idealnie uformowanych szeregach Wehrmachtu, dumnie kroczących podczas wieców i defilad, w doskonale skrojonych mundurach i przystrojonych flagami budynkach. W tym uporządkowanym świecie ludzkich mas także dostrzegał coś, co mogło zastąpić mu sztukę. Przemowy, odezwy i wreszcie propagandowe artykuły niosły w sobie ładunek dążenia do ideału państwa. Wielkiej Rzeszy. Miał świadomość, że to ułuda i wojna nigdy nie będzie piękna, ale sądził, że już sam widok niemieckiej potęgi rzuci na kolana wszystkie narody i obędzie się bez rozlewu krwi. Nie chciał myśleć o wypędzonych i poniewieranych Żydach, unicestwianych kalekach i powstających obozach koncentracyjnych. Był estetą, a to psuło idealny obrazek.

Przybył jednak do miejsca, gdzie nie mógł już odwracać wzroku. Ani oszukiwać siebie, że te okrutne widoki nie dotyczą. Tyle zrobionych zdjęć i ani jednego, o którym mógłby powiedzieć, że jest chociażby ładne. Taplał się w odmęcie tego, co okrutne, w barbarzyństwie, które z pięknem nie miało nic wspólnego. Nie mógł jednak od tego uciec, było już na to za późno.

Niekiedy zastanawiał się nad swoją decyzją. Może była zbyt pochopna? Może łatwiej byłoby żyć z Renate Zoll? W końcu była piękna, łóżko ciepłe, a strawa nie przypominała papki. Tutaj, uwięziony w jakimś podłym miasteczku, wykonujący rozkazy, też nie był wolny, ale chociaż nie musiał udawać, że

go to bawi. Po tylu miesiącach już nikogo nie bawiło. I dlatego budziły się instynkty, które w normalnych okolicznościach zapewne nadal pozostałyby uśpione.

Potarł przy piecu zmarznięte dłonie i czekał, aż odzyska czucie w palcach. To było ważne. Czucie. Nawet bólu. Byli tacy, którzy przestawali go czuć, a wtedy zdejmowali swoje obuwie albo rękawice wraz z własnymi palcami. A wówczas oznaczało to, że mogą stracić całe kończyny.

Poruszył palcami dłoni, a potem stóp uwięzionych w oficerkach i odetchnął z ulgą. Zaczął powoli zdejmować płaszcz, buty i odwijać onuce. Jego dwaj koledzy powrócili wcześniej, siedzieli przy drewnianym, prostym stoliku, opatuleni kocami, i grali w karty, oszukując swoje żołądki wypijaną wódką. Ona także rozgrzewała ich ciała i przywracała normalne funkcjonowanie.

– Za godzinę idziemy do nauczycielki. Idziesz z nami? – zagadnął jeden.

– Jest chętna? – zapytał Lossow, któremu także doskwierał brak kobiet, a lokalna nauczycielka była jedną z najładniejszych w okolicy.

– Nie pytaliśmy... – zarechotał jeden z nich.

Walter milczał. Nie pociągały go gwałty. Zrozpaczone kobiety z zapłakanymi twarzami nie były piękne. I w samym akcie było coś potwornego. Potrzebował jednak kobiety. Nawet gdyby miał jedynie na nią popatrzeć. Postanowił, że pójdzie do niej z kolegami, a gdy oni dadzą upust swojej żądzy, po prostu posiedzi w jej towarzystwie. Zapewne już przywykła do odwiedzin żołnierzy z SS i kolejne obcowanie z nimi nie wywoła na jej twarzy tego, czego nie chciałby oglądać.

Olga Iwanowna mieszkała tuż obok niewielkiej szkoły, w której otrzymali kwatery. Nikt nie wymawiał jej imienia, mimo że wszyscy je znali. Jakby chcieli zapomnieć, że jest człowiekiem i posiada jakieś uczucia czy przemyślenia. Dla żołnierzy i oficerów SS z kompanii propagandy była „nauczycielką”. Niemal każdego wieczoru gwałcili ją brutalnie, zachowując się potem, jakby kompletnie nic nie zaszło. Walter nie chodził z nimi. Widywał ją niekiedy, gdy ugięła się pod pałąkiem, na którym zwisały ciężkie wiadra z wodą. Miała piękną twarz z wyrytym na niej smutkiem i puste oczy uciekające przed spojrzeniami ludzkimi. Nie tylko stacjonujących żołnierzy, ale także mieszkańców wsi. Dla nich była niemiecką dziwką, oddającą wrogowi swoje ciało do używania, i nie zastanawiali się, że była po prostu ofiarą. Lossow także się nad tym nie zastanawiał. Widział tyle trupów, kalek, płaczących sierot i okrucieństwa, że nie starał się skupiać na pojedynczym człowieku mijanym po dro-

dze. Gdyby tak było, rychło by zwariował. Poza tym przywykł. Nie czuł już odruchów wymiotnych, mógł normalnie zasypiać, a przede wszystkim skupił się na sobie. Żeby przeżyć.

Zapukał do drzwi drewnianej chatki Olgi Iwanowny. Odpowiedziała mu cisza. Stojący kilka metrów dalej żołnierze, którzy kilkanaście minut wcześniej opuścili domostwo, zaśmiali się.

– Walter, do tych drzwi się nie puka. Wchodzisz jak do siebie.

Lossow zawahał się, ale po chwili nacisnął klamkę i wszedł do środka. W niewielkiej izbie stało drewniane łóżko, niewielki stół i piec. Przy łóżku, na małej szafce, tliła się lampa naftowa. Olga Iwanowna siedziała skulona w grubych, wełnianych skarpetach i rękawiczkach bez palców, i powoli przewracała poźółkłe strony grubej, sfatygowanej książki. Oderwała się na moment od lektury i spojrzała z rezygnacją na Waltera. Zamknęła z hukiem książkę i odłożyła na stolik. Westchnęła i zaczęła podwijać długą spódnicę.

– *Niet. Nie diełajtie etowo* – wydukał łamanym rosyjskim Walter.

Zaskoczona Olga opuściła spódnicę i wciąż milcząc, przyglądała się przybyszowi, zastanawiając się, czego od niej może chcieć.

– Znasz niemiecki? – zapytał.

– Tak. Znam – powiedziała gorzko. – Studiowałam w Leningradzie literaturę i tam nauczyłam się niemieckiego. Chciałam czytać Goethego w oryginale.

Lossow rozejrzał się po pomieszczeniu, odnalazł wzrokiem krzesło, przesta-
wił je w pobliże łóżka, usiadł i rozpiął płaszcz.

– Tołstoj... – Dotknął palcami grubej księgi.

– Tak. *Anna Karenina*. Książki pomagają mi przetrwać. Uciekam w fikcyjną opowieść, by nie myśleć o rzeczywistości – wydukała.

I nagle w Lossowie coś pękło.

– Olgo – zwrócił się do niej po imieniu, być może jako jedyny, który do niej przychodził. – Masz dokąd uciec?

Pokręciła przecząco głową.

– Moi rodzice wykładali na uniwersytecie, kiedyś nazywał się Petersbur-
skim. Mieszkaliśmy przy Srednim Prospekcie, nie miałam rodzeństwa. I pew-
nego dnia uznano, że mój ojciec spiskuje przeciwko nowej władzy. A on był
jedynie filozofem, którego nowa władza chyba nie rozumiała, dlatego postano-
wiła się go pozbyć. Zabrali ich oboje, dostali paragraf pięćdziesiąty ósmy, nie
wiem, gdzie są, zostali skazani na dwadzieścia lat łagrów, a mnie nakazano
podjąć pracę tutaj, w tej mieścinie. Miałam wielu przyjaciół w Leningradzie,

ale nawet nie wiem, czy żyją – powiedziała smutno i popatrzyła wielkimi, przeraźliwie smutnymi oczami na Waltera.

Wyciągnął do niej rękę, chciał pogłaskać ją przyjacielsko po dłoni, ale odsunęła się jak zranione zwierzę, które nikomu nie ufa.

– Posłuchaj, wiem, co oni ci robią... Postaram się, żeby przestali – powiedział cicho.

Wzruszyła ramionami.

– Są rzeczy, z którymi uczysz się żyć. To już będzie ze mną zawsze... – wyszeptała, po czym sięgnęła po książkę, znalazła wystający koniuszek zakładki i zaczęła czytać. Na głos.

Walter nie rozumiał ani słowa, ale wsłuchiwał się w melodyjny język, tak bardzo zniechęcony i kojarzący się z całym złem, jakie przyszło mu oglądać na froncie wschodnim.

– Nauczysz mnie rosyjskiego? – zapytał i dodał: – Szybko się uczę. Chyba że wolisz nadal być narzędziem rozpusty dla moich towarzyszy?

Ponownie popatrzyła na niego smutno. Nie do końca chyba wierzyła w jego słowa, ale on chociaż wymienił jej imię.

– Tak, nauczę cię rosyjskiego... – Zawahała się.

– Walterze... – dokończył za nią.

– Walterze... – powtórzyła i wysiliła się na coś na kształt uśmiechu.

Podwładni Waltera von Lossowa byli wściekli, gdy ten kategorycznie zabronił im obcowania z piękną Olgą. Rzucali przekleństwa i przestali zapraszać go do wspólnej partyjki kart. Od tego dnia dla nich Olga Iwanowna była nietykalna, została bowiem zwerbowana jako współpracownica i tłumaczka Biura Propagandy III Rzeszy. To był jedyny argument, jakim mógł się posłużyć. Żaden inny nie dotarłby do nich.

Późnym wieczorem zszedł do małej szkolnej biblioteki i dotykał książek ustawianych równo w regałach. Niekiedy którąś wyciągał i wodził palcami po zapisanych cyrylicą kartkach. Gdyby znał rosyjski, on także chętnie uciekłby w cudze opowieści, by nie słuchać swojej własnej.

6. Warszawa, 1942

Alicja wysiadła z tramwaju przy Wolskiej i podążyła w kierunku miejsca, gdzie miała nadzieję zastać znajomą pielęgniarkę, Teresę. Ujrzała kościół Świętego Wawrzyńca, postawiła kołnierz płaszcza i zamyśliła się nad przyszłością swoją i Juliana. Naprawdę obawiała się Weroniki. Oprócz tego, że ta kobieta była zdeterminowana, by rozkochać w sobie Juliana, posiadała także coś, czego w Alicji próżno było szukać. I gdy tak rozważała, jak zmienić się w damę, usłyszała krzyk:

– Łapanka!

Zaczęła panikować. O tej porze dnia na ulicach stolicy kręciło się mnóstwo ludzi, ale zabudowa, jak również szerokość arterii w znacznym stopniu utrudniały ucieczkę. A Alicja nie mogła dać się złapać. Bo to oznaczało wielkie kłopoty. Zakłęła w duchu i zaczęła przepychać się w kierunku kościoła, stojącego jakieś sto metrów przed nią. Ktoś ją popchnął, próbując uciekać w niewiadomym kierunku, docierały do niej komendy niemieckich żołnierzy. Ludzie zaczęli już ustawiać się w szereg, z podniesionymi do góry rękami, jakiś dzieciak płakał rozdzierająco, bo zgubił matkę, ale Alicja dalej parła przed siebie, by złapać się ostatniej szansy i zniknąć. Jeden z żołnierzy zobaczył ją przepychającą się przez tłum i z całej siły uderzył ją kolbą karabinu. Zachwiała się i mimowolnie skuliła pod wpływem ciosu, ale żołnierz dopełnił swego dzieła, kopiąc ją ciężkim oficerskim butem w podbrzusze. Upadła i przez chwilę leżała skulona, czując, jak z rozbitego nosa sączy się krew. Kolejni ludzie ustawiali się w szeregu, zasłaniając ją, gdy wiła się z bólu pod białym murem kościoła. Tak niewiele dzieliło ją od kutej, metalowej furtki. Najpewniej była otwarta, bo stał przy niej żołnierz z przeładowanym karabinem i niczym cerber broził do niej wejścia.

Alicja wciąż udawała nieprzytomną, powoli czołgając się w kierunku bramki. Liczyła, że żołnierz przesunie się wraz z tłumem prowadzonym do stojącej kawałek dalej ciężarówce Steyr 1500, a ona skorzysta z okazji i przemknie się za murek kościoła. Idący ludzie co chwilę szturchali ją swoimi butami, przerażeni wpatrywali się przed siebie, nie zważając na leżącą kobietę. Mieli swoje kłopoty, bo właśnie szli na spotkanie z niewiadomym. Poza tym zdawali sobie sprawę, że gdy się pochylą nad raną lub wykonają jakiś nieprzemyślany ruch, nawet nie zdążą dowiedzieć się, co ich czeka. Alicji było to na rękę. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza niemieckich żołnierzy. Dla nich

mogła być martwa. Nie miała jednak za wiele czasu. Gdy ulica opustoszeje, zapewne ktoś zwróci uwagę na leżące na ulicy ciało. Pozostało jej kilka metrów do furtki kościoła, gdy pilnujący jej żołnierz odszedł kilka metrów dalej i odwrócił się tyłem, by zdyscyplinować idących ludzi. Podniosła się na kolana, nacisnęła kławkę i w takiej pozycji przedostała się za bramę. Usiadła skulona pod murkiem kościoła i nasłuchiwała, kiedy odjadą ciężarówki i motocykle patroli.

Poczuła piekący ból w podbrzuszu i zdołała wyszeptać w niebo:

– Błagam, tylko nie dziecko. – Po czym ktoś szarpnął ją za ramię.

– Nie może tu pani zostać – usłyszała zatroskany głos i zobaczyła młodego księdza, kuczającego tuż przy niej.

– Proszę dać mi chwilę, zaraz sobie pójdę – jęknęła.

– Niech pani spróbuje dyskretnie przejść do końca muru, a stamtąd udać się do sieni kościoła. Otworzyłem go, schroniło się tam już kilka osób. Mój organista zaprowadzi was na dzwonnice i przeczekacie – szeptem powiedział ksiądz.

Pokiwała głową i, wciąż kuczając, próbowała przemierzyć kilka metrów, ale ból brzucha dosłownie odbierał jej władzę w nogach.

– Proszę się pospieszyć – wysapał wikariusz.

Próbowała wstać, ale nogi jej drżały, a ból w trzewiach nie ustępował. Zaczęła nieudolnie przemieszczać się na czworakach. Ksiądz chyba spostrzegł, że Alicja ma problem z chodzeniem, bo gwałtownym ruchem wziął ją pod rękę i niemal biegnąc ze słaniającą się na nogach kobietą, dotarł do drzwi kościoła.

Pierwsze osoby w mdłym płomieniu zapalanej świecy już wchodziły powoli po wąskich schodkach prowadzących na dzwonnice. Alicja oparła się o ścianę, próbowała w mroku sieni złapać jakąś ostrość widzenia, słyszała szepty spanikowanych ludzi, nieco donośniejszy męski głos, nawołujący do szybkiego opuszczenia przedsionka, gdy nagle owe kontury ludzi, ławek i drzwi zaczęły się rozmywać przed jej oczami, głosy ucichły, a ona osunęła się na podłogę.

Ocknęła się w niewielkim pokoju oświetlanym naftową lampą, przykryta drapiącym kocem. Miała obolałą twarz i najpewniej opuchniętą, bo nawet otwarcie powiek stanowiło dla niej wyzwanie. Gdy próbowała podnieść się z posłania, zaskrzypiały drzwi i do środka weszła młoda pielęgniarka, niosąca na tacy jakieś fiolki z medykamentami.

– Gdzie jestem? – zapytała słabo, dotykając językiem przednich zębów, jakby chciała sprawdzić, czy silny cios ich jej nie pozbawił.

– W zakładzie opieki. Ksiądz Witold nas zawiadomił, miałaś szczęście, to niedaleko kościoła.

– Szłam do was, chciałam się zobaczyć z Teresą. Nie wiem, jak ma na nazwisko. Ruda i ma piegi – wyjęczała.

Tak naprawdę chciała odwrócić swoją uwagę od najważniejszego pytania, jakie ją nurtowało. Bała się zapytać o dziecko. Ból nieco zelżał, ale pamiętała uczucie, gdy otrzymała kopniaka.

– Przychodzi na dyżur za godzinę... – delikatnie powiedziała siostra. – Był u ciebie lekarz... Dostałaś krwotoku, opatrzył cię.

Alicja wiedziała, co to znaczy. Zamknęła powieki i szepnęła:

– Straciłam je, prawda?

Pielęgniarka pokiwała głową. To był prawie piąty miesiąc. Jej brzuch w rozkloszowanym płaszczu nie był widoczny, ale z każdym tygodniem robił się coraz większy. Julian często kładł na nim rękę albo przykładął ucho, chcąc poczuć jakiś ruch lub usłyszeć dźwięk świadczący, że oto ich potomek tam się znajduje.

Pierwsze tygodnie ciąży stanowiły dla Alicji czystą abstrakcję. Owszem, czuła mdłości, senność, była wrażliwsza na zapachy i bolały ją piersi, ale trudno było jej utożsamić te fakty z rosnącym w niej człowiekiem. Zwłaszcza że jej brzuch był niemal wklęsły i nie zdradzał żadnych oznak, aby rychło miał się powiększyć. Dopiero później, gdy zrobił się okrągły, dotarło do niej, że w istocie powije potomka, a ona, Julian i to małe stworzenie zostaną rodziną. Wyczekiwała pierwszych ruchów, oznak, że dziecko ma się dobrze, i zastanawiała się wraz z Julianem, jak będzie wyglądało ich maleństwo.

Chełmicki, początkowo przeciwny, potem oszalał z radości, że dał nowe życie i cokolwiek się stanie, ród Chełmickich nie zaginie. Teraz jednak będzie musiał zmierzyć się z faktem, że nie tym razem.

Alicja zaś wypierała tę myśl. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że ktoś pozbawił jej kawałka serca, duszy i umysłu. Pogodzenie się z rzeczywistością było po prostu zbyt trudne.

– Siostro – jęknęła. – Czy istnieje szansa, żeby ktoś przekazał wiadomość do Dzieciątka Jezus? Muszę odwołać jutrzejsze spotkanie. Jeśli nikogo nie zawiadomię, pomyślą, że nie żyję.

Siostra uśmiechnęła się.

– Tak, przekazemy co trzeba. Zaraz przyniosę coś do pisania.

Alicja przez chwilę zastanawiała się, co napisać. Nie chciała, żeby Weroni-

ka dowiedziała się pierwsza o ich tragedii. Jednak Julian musiał. Był ojcem i właśnie stracił dziecko.

Napisała informację, że jutrzejsze spotkanie jest odwołane i nawiąże kontakt, gdy tylko będzie to możliwe, nic więcej. Teraz nie chciała widzieć nikogo znajomego, z nikim rozmawiać o tym, co przeżywa. Nie zniosłaby współczujących spojrzeń, wyrzutów, że mogła siedzieć na wsi, a potem wyjechać do rodziny, pod Kielce. Czy czuła się winna? Chyba nie. Wiedziała, że jeśli los chciał, żeby straciła dziecko, na niewiele zdałaby się ostrożność. A może właśnie Bóg wymierzył jej karę za krnąbrne i niemoralne zachowanie? Pozbawił życia jej nienarodzone dziecko, tak jak ona pozbawiła życia Martina? Jedno było pewne, chciała zostać sama ze sobą i poukładać pewne sprawy w swoim sercu. Pogodzić się z faktami i postanowić, co zrobić dalej ze swoim życiem.

Tak jak się spodziewała, Teresa, której niegdyś pomogła, ulokowała ją w swoim mieszkaniu. Alicja pozwoliła się pocieszać, rozpieszczać i opiekować sobą.

– Ja cię rozumiem, moja droga. – Poklepała ją po ramieniu. – Człowiek nie może żyć w oderwaniu od innych. Dbać tylko o siebie i nie zauważać gehenny drugiego człowieka. Ryzykować życiem swoim i bliskich. Ale co warte byłoby życie, gdybyśmy nie pomagali innym?

– Dziękuję – powiedziała cicho Alicja. – Jesteście takie dzielne i odważne, i wciąż dbacie o innych. A ja ciągle egoistycznie myślałam jedynie o sobie i najbliższych, łudząc się, że tym samym nie spotka mnie żadna krzywda.

– Ja wierzę w dobro. I w to, że powraca do nas. Jeśli nie teraz, to za dziesięć lat. Może nawet nie od tych, którym pomogliśmy, ale zupełnie z innej strony. Warto o to walczyć i ryzykować. – Teresa znowu się uśmiechnęła.

– To ma sens – odpowiedziała, uśmiechając się pierwszy raz od czasu, gdy natrafiła na łapankę.

Dni, podczas których Alicja dochodziła do siebie po wypadku, były czasem spędzonym w samotności. Teresy ciągle nie było w domu, powracała doń późnym wieczorem, by po krótkiej rozmowie padać na tapczan obok i zasypiać jak niemowlę. Teresa miała w życiu cel i to dodawało jej sił. Zawsze pogodna, nigdy się nie skarżyła. Alicja podziwiała ją. Teresa robiła w życiu coś pięknego, dobrego i chociaż na co dzień stykała się z cierpieniem, umiała się cieszyć z każdego uczynku, który komuś pomógł.

Alicja miała czas na przemyślenia. Jaki był jej cel w życiu? Jedyne, jaki miała do tej pory, to zaciągnąć Juliana do ołtarza, reszta była jedynie dodat-

kiem i przypadkiem, który rządził jej poczynaniami. Zapatrzona w siebie zastanawiała się, czy jej poświęcenie dla przyjaciół także nie wynikało z pewnego rodzaju egoizmu. Z głową pełną marzeń szła przez życie i robiła wszystko, żeby je urzeczywistnić. A obcy świat, który ją otaczał, nie obchodził jej w ogóle. Chciała szczęścia i spokoju dla siebie i tych, których kochała, altruizm i poświęcenie sprawie, zostawiając tym, którzy w nie wierzyli. Teraz zapragnęła jednak czegoś więcej, bo utrata dziecka uświadomiła jej, że jeśli teraz straci jeszcze Juliana, a być może nastąpi to wkrótce, nie pozostanie jej już nic innego.

Chciała czerpać garściami swoje szczęście, radość i przyjemności. A gdy to wszystko wymykało jej się z rąk, patrzyła na puste dłonie. Może życie polegało na czymś innym? A jeśli prawdą jest, że dobro wraca, może powinna zasłużyć, aby i do niej powróciło?

Po tygodniu Teresa wróciła wcześniej niż zwykle i cicho weszła do ich pokoju.

– Przyprowadziłam ci gościa – powiedziała.

Chwilę potem w drzwiach stanął Julian. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Podeszedł do Alicji, klęknął przy niej i położył głowę na jej kolanach. A potem zaczął płakać.

7. Magnuszew, 1942

Hanka wyszła przed dom z kubkiem zbożowej kawy i rozkoszowała się słonecznym porankiem. Rozciągające się przed jej oczami łąki nabrały koloru soczystej zieleni, kilka rosnących na podwórku drzewek obsypanych było białym i różowym kwieciem, a świergot ptactwa działał na nią uspokajająco. Korzystała z tych krótkich chwil, zanim dzieci nie wstaną, a obowiązki nie wezwą jej do siebie. Na razie jedyne, co zrobiła, to podsypała kurom ziarna i wydoiła Maryskę, resztę zostawiając na później. W takich momentach, gdy mogła w spokoju popatrzeć na otaczający ją i z dnia na dzień coraz piękniejszy świat, myślała o Igorze. Zapewne i on z ulgą przywitał nową porę roku. A może tam, na wschodzie, wciąż trwała zima? Nie wiedziała, gdzie on jest. Może w okolicach Moskwy, a może gdzieś na północy, koło Murmańska? Jedną z niewielu książek, jakie miała, był przedwojenny, mocno sfatygowany atlas geograficzny. Zaglądała do niego często i palcami wodziła po mapie Związku Radzieckiego, zastanawiając się, gdzie rozkazy rzuciły jej ukochanego. Nie było dnia, żeby za nim nie tęskniła. A gdy nachodziły ją czarne myśli, że być może Igor już nie żyje, odpędzała je, wynajdując sobie kolejne obowiązki.

Mały Grześ jeszcze bardziej spotęgował jej uczucia, bo z każdym miesiącem widziała w nim coraz więcej cech jego ojca. Nieco skośne oczy, bujne blond włoski i szelmowski uśmiech. Grześ, w przeciwieństwie do Nadii, miał z niej niewiele. Jakby był matrycą Łyszkina i jego dziedzictwa. Nadia zaś jakby zapomniała, że pochodzi ze znakomitego rodu Niechowskich, i łudząco przypominała Hankę z dzieciństwa.

Lewinówna niekiedy myślała o tym, jak puste byłoby życie bez tej dwójki, dzięki której jej smutna egzystencja nabierała sensu. Dodawało skrzydeł, rozbudzało nadzieje i marzenia, a wreszcie napędzało jej siły witalne, by podołać niełatwym obowiązkom. Nie chciała wyręczać się Ireną, ta bowiem miała pod dostatkiem roboty w swoim własnym gospodarstwie, ale wciąż widywały się i wzajemnie wspierały. Irena, jak każda kobieta, miała swoje rozterki i kłopoty małżeńskie, a Hanka była osobą, z którą mogła na ten temat porozmawiać. Kazio nie był ideałem, a i „Wariatka” nie była prosta w pojęciu.

– I ja jej mówię: „Hela, jak wieszasz pranie, to zakładaj dłuższą kieckę, bo ci gacie widać”, a ona do mnie, że jestem stuknięta – perorowała Irena, zajądając łyżką tłuczone ziemniaki.

– Przestań się Helą przejmować, brzydka ona jak nieszczęście, nawet poka-

zywanie gaci jej nie pomoże – mruknęła Hanka.

– Ale ja niby stuknięta? – oburzyła się Irena. – Wrzuciłam ją do świńskiego koryta. A Kazek się obraził.

– Irena – jęknęła Hanka. – Nie można tak. Najpierw wrzuciłaś w krzaki bratanka, teraz sąsiadkę do koryta. Palcami was będą wytykać, a jak ktoś się w końcu zdenerwuje, to cię do mundurowych podadzą. Albo gorzej, bo do Niemców.

– A ja przecież szwabom nic nie robię. – Wzruszyła ramionami, po czym nagle się zerwała i powiedziała z westchnieniem: – Pójdę, przeproszę.

Taka była. Najpierw robiła, co według niej wydawało się słuszne, a potem miarkowała, co bardziej opłacalne. A Hanka była jej wyrocznią. Jeśli ta uznała, że Irena nie zrobiła dobrze, należało się poprawić. Nie oznaczało to wcale, że dawała się przekonać, nadal uważała, że postąpiła właściwie, ale biorąc pod uwagę korzyści i straty, przepraszała i na krótki czas był spokój.

Hanka, gdy miała ją obok siebie, zawsze stawała za nią murem. Znała ją dobrze i starała się zrozumieć jej ułomną naturę i proste postrzeganie świata. Może nazbyt proste. Wśród innych jej zachowania nie znajdowały zrozumienia i były obiektem w najlepszym razie kpiny, w najgorszym złości. Kazimierz z trudem przyzwyczajał się do poczynań swojej połowicy, nie mając świadomości, że należy z nią postępować nieco inaczej niż z innymi. Irena przyjmowała krótkie oceny i komunikaty, uważając wszelkie dyskusje za zbędne. Sama także nie miała zbyt wielu dylematów i sądziła, że inni myślą podobnie jak ona. Towarzyskie niuanse były jej obce i nawet nauki Hanki wystarczały jedynie na pewien czas, bowiem później dochodził do głosu instynkt nakazujący bronić bliskich Irenie osób i wyrażać poglądy tak samo jasne, co niekiedy kontrowersyjne. Tak więc, gdy zapraszano Hankę na rozmaite uroczystości bądź spotkania, zastrzegano, by, broń Boże, nie ciągnęła na nie swojej przyjaciółki, Ireny „Wariatki”. Ubolewała nad tym, ale rozumiała, że ludzie po prostu czują lęk przed tym, czego nie rozumieją.

Któregoś wieczoru Hanka usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła je bez lęku i przestraszyła się dopiero wówczas, gdy w progu ujrzała niemieckiego oficera. Przełknęła ślinę.

– Czym mogę służyć? – zapytała grzecznie drżącym głosem.

Oficer uśmiechnął się i uklonił.

– Nazywam się Hermann Ritz, jak ten hotel w Paryżu. Poczęstujcie mnie pani herbatą? – powiedział łamaną polszczyzną.

Wystraszona Hanka zaprosiła przybysza do środka, usadowiła w pokoju przy stole i zaczęła przyrządzać herbatę, która z tą prawdziwą niewiele miała wspólnego. Ona już się przyzwyczała i nawet jej zasmakowała, wzbogacana od czasu do czasu cykorią, ale jej gość o mały włos nie opluł obrusu, wykrzywiając grymaśnie twarz. Po chwili przywołał się do porządku i powiedział, uśmiechając się czarująco:

– Następnym razem przyniosę swoją herbatę.

– Co pana porucznika do mnie sprowadza? – zapytała chłodno Hanka.

– Pani jest ładna, a ja samotny. – Spowaźniał.

Kolejny raz przełknęła ślinę, przerażona słowami oficera. Czyżby miał ochotę zrobić z niej swoją kochankę? Odpowiedziała hardo:

– Nie jestem zainteresowana romanssem. Mój mąż... zginął tak niedawno.

– Ja też nie, bo moja żona żyje i cieszy się całkiem dobrym zdrowiem. – Roześmiał się.

Hance nieco ulżyło. Zapytała więc:

– Więc czegoż pan porucznik oczekuje ode mnie?

– Porozmawiać, posłuchać, jak pani śpiewa, popatrzeć na te słodkie dzieciaki. Dostaję... – Nie potrafił znaleźć właściwego słowa, więc popukał się w głowę.

– Świra – dokończyła za niego.

– Swihra... Zabawne słowo. – Uśmiechnął się.

– A nie będzie pan miał kłopotów? Jesteśmy Polakami – zapytała z nadzieją, bo nie miała ochoty na odwiedziny Niemców w swoim domu.

– Ja? Nie... Ja tutaj jestem najważniejsza osoba. – Pokręcił głową.

„No, masz ci los” – pomyślała Hanka, ale stwierdziła, że nie będzie zbyt harda. To mogłoby wzbudzić niezdrowe zainteresowanie oficera jej osobą, a wówczas mógłby zacząć węszyć i Bóg raczy wiedzieć, co by wywęszył. Nie wiedziała jednak, jak na taką znajomość zareaguje mała społeczność Magnuszewa, ale w tym przypadku mogła co najwyżej stracić znajomych, a nie życie.

Ku jej rozpaczy porucznik Ritz odwiedzał ją niemal codziennie. Trzeba przyznać, że nie przychodził z pustymi rękami i przynosił im dobra, o jakich inni mogli pomarzyć. Nie podrywał jej, nie adorował ani nie próbował uwieść. Cieszyło ją to, bo przynajmniej jeden problem miała z głowy. Pojawił się natomiast inny. W miasteczku zawrzało od plotek, a Hanka przestała być zapra-

szana na spotkania i uroczystości. Czasami miała ochotę krzyknąć i zapytać tych ludzi, co wobec tego miałyby zrobić, ale pomyślała sobie, że nie będzie się przed nikim tłumaczyć.

Któregoś wieczoru, gdy odwiedziła ją Irena, Hanka zapytała:

– A ty, Irenka, też mnie masz za dziwkę, bo Niemiec do mnie przychodzi?

– A do wyrka chodziecie? – zapytała bez ogródek „Wariatka”.

– Nie, Irenka. Przyjdzie, porozmawia, dzieciakom czekoladę przyniesie, i tyle – jęknęła Hanka.

– No to nie jesteś dziwka. Ale jakbyś była, to mi to nie przeszkadza – odpowiedziała stanowczo Irena.

– Na Boga, Irena, nie jestem. Wierzysz mi?

– Jak mówisz, to co mam nie wierzyć. A ktoś ci nie wierzy? – Irena zmarszczyła brwi.

– A ja tam wiem, co ludzie gadają? – Hanka wzruszyła ramionami.

– No, że niemiecka dziwka jesteś.

– Irena, tylko proszę, jak usłyszysz, że tak mówią, nic nie rób, dobrze? – Lewinówna obawiała się, iż teraz jej przyjaciółka zechce tłuc każdego, kto w ten sposób się wypowie na jej temat.

– Dobrze, dobrze. Ale będę mówić, że nie jesteś dziwka, bo nie chodzisz z tym szwabem do łóżka – powiedziała Irena.

Na to Hanka mogła się zgodzić, chociaż obawiała się reakcji Ireny, gdyby jednak ktoś usiłował temu zaprzeczyć. Tak, nie obawiała się złych języków, ale martwiła się o „Wariatkę”, że znowu komuś przyłoży i narobi sobie kłopotu, a jej mąż kolejny raz naje się wstydu.

8. Równe, Ukraina, 1942

Gęsty dębowy las ciągnął się po obu stronach drogi. Na niej zaś poruszały się trzy furmanki. W pierwszej siedział Łyszkin oraz jeden z jego towarzyszy. Oczywiście obaj mieli na sobie niemieckie mundury. W kolejnych, tuż za nimi, jechali partyzanci Miedwiediewa, przebrani za ukraińskich policjantów. Jechali wolno, nasłuchując nadjeżdżających samochodów. Planowali atak. Ich zdobyczami mieli być tym razem major Hahn z komisariatu Ukrainy i radca Reiss z Berlina, specjalista od łączności. Nie zamierzali ich jednak zabić, byli zbyt cenni i zapewne posiadali wiele ważnych informacji. Dlatego należało działać z rozwagą.

Ujrzeni przed sobą pierwszy samochód. Stanowił obstawę niemieckich oficerów i tych żołnierzy należało unicestwić. Gdy pojazd znalazł się na wysokości środkowej furmanki, przebrani za Ukraińców mężczyźni zeskoczyli z wozu i obrzucili samochód granatami przeciwczołgowymi. Siedzący wewnątrz niemieccy żołnierze nie mieli szans. Jadący za nimi volkswagen KDF zatrzymał się z piskiem opon i po chwili próbował zawrócić, ale Igor i jego kompan dopadli do niego i wycelowali swoje pistolety w kierunku kierowcy i dwóch oficerów siedzących na tylnych siedzeniach. Ci byli oszołomieni i przerażeni. Zbyt wiele słyszeli o okrucieństwie Rosjan, których czyny w niczym nie ustępowały tym popełnionym przez ich rodaków.

– Wysiadać! – krzyknął Igor.

Cała trójka potulnie spełniła rozkaz. Łyszkin popchnął oficerów w stronę stojącej furmanki, zaś jego towarzysz zastrzelił kierowcę i pomachał ręką do jadących z tyłu kompanów.

– Zwiążcie ich – nakazał Igor i dodał: – Tylko gazem, bo zaraz może się ktoś napatoczyć.

Mężczyźni dość zwinnie unieruchomili oficerów, zakneblowali im usta starymi szmatami, po czym przykryli resztkami słomy.

– Koń nam się spłoszył po wybuchu – zdyszczanym głosem powiedział jeden z mężczyzn jadących środkową furmanką.

– Podczepcie wóz do naszego i od razu w las. Nie możemy zostawić żadnych śladów. Do „zielonej latarni” jest dwadzieścia trzy kilometry, powinniśmy dać radę. Najwyżej w połowie drogi zamienimy konie z ostatnim wozem – zaordynował szybko Igor.

Pozostali uczestnicy zasadzki sprawnie wypełnili polecenia i kilka minut

później jechali leśnym duktem do bazy NKWD, zwanej potocznie zieloną latarnią.

To była kolejna udana akcja Igora Łyszki. W obozie Hahna i Reissa przejęli oficerowie śledczy i trzy dni później jeńcy objaśnili im plany i treść więzionych dokumentów. A dotyczyły one kwatery Hitlera, zlokalizowanej w okolicach Winnicy, połączonej z Berlinem specjalnym kablem telefonicznym. Igor nie brał udziału w przesłuchaniach i mógł się jedynie domyślać, jakich metod użyto, by wydobyć z oficerów niemieckich tak cenne informacje.

Wieczorem trzeciego dnia nadał depeszę do Moskwy. Wiedział, że kwatery w Winnicy już niebawem zostanie zrównana z ziemią. Potem położył się na pryczy i zapalił papierosa. Kolejni mordercy zostali schwytani i zapewne niechybnie zostaną straceni. Ale Igor nie postrzegał ich jako ofiar, a siebie nie widział w roli kata. Wręcz przeciwnie, to, czego był świadkiem, wymazało z jego świadomości jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. I nawet nie tęsknił już za Mariną, do której wracał myślami, gdy obrzydliwe obrazy przesuwają się w jego pamięci.

Tego dnia, gdy wsiadł do ciężarówki pełnej esesmanów po tym, jak ich kübelwagen uległ awarii, dotarli do jednej ze wsi położonych kilkanaście kilometrów od Zwiahela. Jak go poinformowano, jadące Teilkommando wyodrębnione z Sonderkommando miało przeprowadzić kolejną *Aktion*. Podobno mieszkańcy wsi ukryli kilkunastu Żydów, o czym donieśli ich lokalni sprzymierzeńcy, nazywani *melnykowcami*.

– Pojedziesz z nami, to nie potrwa długo, a potem odstawimy cię do Zwiahela. – Lekko zezowały blondyn poklepał Igora po ramieniu.

– Pod warunkiem że nie ty będziesz strzelał – zarechotał inny żołnierz i kaszlnął.

Po chwili wyciągnął z kieszeni woreczek z tytoniem i bibułkę. Mimo że samochód cały się trząsał na nierównej drodze, usiłował przygotować sobie papierosa, wzbudzając tym śmiech swoich kompanów.

– Aż dziw bierze, że ktoś jeszcze pomaga tym straceńcom – mruknął, śliniąc bibułkę do zwijania machorki i nie zważając na śmiech kolegów. – We Lwowie to nawet nie mieliśmy za dużo roboty, bo ludzie sami zakatowali tych parców. Okładali ich kijami albo kopali, póki nie wydali ostatniego tchnienia. Ale co się dziwić, jak im taki los zgotowały Żydziska.

Łyszkin pomyślał, że niemiecka propaganda działała bez zarzutu, jeśli nawet niemieccy żołnierze wierzyli w spisek żydokomuny.

– O tak, pamiętam Lwów. Ależ to było widowisko. W końcu ktoś im powiedział, co Sowieci po sobie zostawili w więzieniach. Przyszły tłumy. Kobiety zawodziły, mężczyźni uzbrojeni byli w drewniane drągi. Mijanych Żydów nieraz poczęstowano kopniakiem albo normalnie walono ich po łbach kijami. Pilnujący ich Feldfebel nie oponował, a wręcz zagrzewał do samosądu, drąc się: *Juden Kaputt*. Gdy upadał kolejny Żyd albo zalewał się krwią, obserwatorzy klaskali. Żydzi wynosili kolejne zwłoki, niekiedy już rozkładające się, i rzucali je na wozy, popychani przez niemieckich żołnierzy, którzy ich pilnowali. Każdy wynoszony trup wywoływał kolejną falę agresji. Istny cyrk. Nawet kobiety rzucały się z pazurami, wykrzykując wyzwiska i złorzecząc każdemu Żydowi, jaki chodził po świecie. Gdyby tak odpuścić i zostawić ich samych, za kilka dni nie byłoby kogo rozstrzeliwać. – Blondyn z orlim nosem zarechotał i dodał: – Już mi obrzydło patrzeć na trupy.

Kilkanaście minut później dotarli do wsi. Wskoczyli z samochodu i rozpierchli się po chałupach, wyciągając z nich przerażonych mieszkańców. Igor stał oparty o maskę ciężarówki i przyglądał się płaczącym kobietom, krzyczącym starcom i kwilącym dzieciom, uczeponym matczynych spódnic.

– Gdzie oni są?! – wrzasnął dowódca Teilkommando.

Nastąpiła wrzawa, jedni oglądali się na drugich, niektórzy bezradnie rozkładali ręce, nie bardzo wiedząc, o kogo chodzi. W końcu jakiś mężczyzna podszedł do jednego z żołnierzy i wskazał dłonią dużą stodołę. Kilku żołnierzy podbiegło do ciężarówki i wyciągnęło z niej dwa kanistry z paliwem. Oblali stodołę, a żołnierz skręcający sobie papierosa podczas podróży zapalił zapalniczkę i podpalił nią wiecheć słomy, po czym rzucił pochodnię do stodoły. Chwilę potem podpalił następny i położył przez oblanymi benzyną wierzejami stodoły.

Kilka minut później ze stodoły zaczęli wybiegać ludzie. Starcy, kobiety i dzieci. Niektórzy krzyczeli, bo ich ubranie zajęło się ogniem i płonęło na nich jak niedawno zwitek słomy w rękach esesmana. Kilku żołnierzy momentalnie otoczyło uciekających ludzi, celując do nich z karabinów. Ustawili ich w rzędzie i poprowadzili w stronę zagajnika. Inni nakazali mieszkańcom wioski wziąć łopaty i także popędzili ich w stronę lasu.

– Chodź, Kriege, z nami, popatrzysz, jak nam fachowo idzie! – krzyknął żołnierz z orlim nosem.

Igor przymknął powieki. Nie mógł odmówić, mając na sobie epolety świadczące o przynależności do Einsatzgruppen. Ruszył za nimi do lasu. Mieszkańcy wioski kopali dół według wytycznych, a ukrywający się w stodole Żydzi stali,

czekając na nieuchronny los. Niektórzy płakali, inni odmawiali cicho modlitwę. W końcu nastąpił moment egzekucji, a kolejne ciała wpadały z głuchym łoskotem do grobu.

– Za mały dół – mruknął dowódca i krzyknął do mieszkańców: – Udepczcie ich trochę. Jak kapustę.

Ludzie zawahali się, spoglądając na siebie i szukając śmiałków do tego zajęcia, gdy dowódca ryknął:

– Albo każę wam ich wszystkich powyciągać i wykopać kolejny.

Jakiś młody mężczyzna zatkał usta, nie chcąc zwymiotować i niemal z zamkniętymi oczami wszedł do dołu. Po chwili w jego ślady poszli kolejni.

Minęła godzina, gdy egzekucja dobiegła do końca. Życie stracili nie tylko ukrywający się Żydzi, ale także dziesięciu mężczyzn zamieszkujących wioskę. Większość żołnierzy zaczęła wracać już do samochodu. Na końcu szedł Igor, starając się nie myśleć o leżących w dole ofiarach, które pozostali przy życiu mieszkańcy przysypywali ziemią.

– Kriege. – Dowódca odwrócił się do niego. – Tam jeszcze ktoś się rusza, dobij go, bo jeszcze wylezie. Mnie już się nie chce wracać.

Łyszkin stanął jak wryty, ale chwilę potem wziął głęboki oddech i powrócił nad mogiłę. W istocie ktoś ostatkiem sił próbował wygramolić się spod sterty ciał. Był to jeden z mieszkańców wsi, rosły chłopak o ciemnych, kręconych włosach, przypominający Cygana. Igor wyciągnął broń i wycelował w chłopaka. Zobaczył w jego oczach przerażenie i niemą prośbę. Łyszkin zamrugał powiekami, po czym wystrzelił w leżące obok martwe ciało.

– Załatwione! – krzyknął i ruszył w stronę ciężarówki, mając nadzieję, że chłopaka wydostaną dopiero wtedy, gdy ciężarówka z esesmanami odjedzie.

Igor patrzył na płonąca stodołę, od której zajęła się stojąca obok obórka, widział lamentujące kobiety i płaczące dzieci. Wystarczyła godzina, by zmienić życie tych ludzi w piekło. Sześćdziesiąt minut, po których nic już nie będzie takie samo.

9. Warszawa, 1942

– Ty, Lewin, cwany gapa. Ty przypadkiem nie wysiudałeś mnie z interesu? – zapytał Franek, międląc w ustach zapałkę i podejrzliwie zerkając na Emila.

– Przyjacielu, jak tu stoję i żebym miał jutra nie dożyć, skończyłem ze szmuglem. Gestapo mi po piętach depcze, a dużo to mi z tej forsy nie przyjdzie, jak mnie wyślą do świętego Piotra. – Machnął od niechcienia i odwrócił wzrok.

To przypadkowe spotkanie wcale nie było mu na rękę. Ostatnio celowo uniikał Franka i dlatego wybrał się po zakupy nie jak zwykle na Kercelak, ale na bazar Różyckiego. Następnego dnia miał odwiedzić prześliczną pannę Zoll, która ostatnio zdawała się ulegać jego umizgom.

W istocie zaprzestał szmuglu z obawy przed Niemcami, po ostatnich wypadkach wolał zejść im z oczu. Na Szucha zmieniła się władza i nie chciał się z nią bratać jak z poprzednią, bo przynosiło mu to więcej szkody niż pożytku. Poza tym obawiał się, że mogą podejrzewać go o to, że miał coś wspólnego z odbiciem z więzienia na Pawiaku jego brata, Juliana Chełmickiego. Była to, oczywiście, bzdura, nie miał pojęcia, jak jego braciszek zdołał wymknąć się z łap gestapo, ale nie chciał się tłumaczyć przed ludźmi, którzy traktowali go jak śmiecia. Co więcej, ogarnęła go złość, gdy dotarły do niego informacje, że Chełmicki cieszy się wolnością, a wszyscy poplecznicy Lewina z alei Szucha zostali wysłani na „zieloną trawkę”.

Znalazł jednak inne źródło pozyskiwania pieniędzy, ale nie miał najmniejszego zamiaru wtajemniczać w swój nowy interes Franka. Po pierwsze, nie był mu potrzebny, po drugie, obawiał się, że „Diamentowa Rączka” nie zaprobuje takiego sposobu zarabiania.

– Źródełko wyszło, a tu, panie, czekoladki, herbatka angielska... Jak tak dalej pójdzie, za parę miesięcy będziesz goły jak święty turecki. – Franek wciąż był podejrzliwy.

– Randkę mam – bąknął Emil i dodał, śmiejąc się nienaturalnie: – No, wiesz, kawka, winko i słodycze, a od razu nóżki się szerzej rozchylają.

– Kobitki i bez tych rarytasów nóżki ci rozkładały. Mnie to ganc pomada, ale twoja baba to wie, żeś ty taki amant?

– Adrianna odeszła. Do innego gacha – mruknął Emil.

Franek roześmiał się.

– Niósł wilk razy kilka, ponieśli i wilka. To cię wycykała na perłowo.

– No, widzisz, Franek, jakie te baby są. A mnie gospodyni potrzebna i dzieć-

mi musi się kto zająć, bo ja do tego mam dwie lewe ręce. Ale najpierw muszę absztyfikanta zgrywać. – Emil odetchnął z ulgą, że zeszli na inny temat.

Po chwili pożegnał się ze starym kumplem i opuścił bazar. Nawet nie pomyślał, że Franek ani przez chwilę nie dał się zwieść i ruszył za nim, by wywęszyć nowy interes Lewina.

Najpierw Emil w istocie poszedł do domu i siedział w nim prawie do wieczora. „Diamentowa Rączka” jednak nie odpuszczał i obserwował kamienicę z sąsiedniego podwórka, więc gdy ten ponownie znalazł się na ulicy, Franek nie spuszczał go z oka. Na szczęście Emil Lewin nie wsiadł ani do tramwaju, ani do rikszy, tylko piechotą przeszedł kilkanaście przecznic. Zatrzymał się przed jedną z kamienic przy Miodowej, postawił kołnierz płaszcza i nasunął mocniej kapelusz, który teraz zasłaniał mu niemal pół twarzy.

Lewin wszedł na drugie piętro kamienicy i zapukał do dwuskrzydłowych drzwi. Po chwili stanęła w nich około czterdziestoletnia kobieta i nieco przestraszona zapytała:

– Pan do kogo?

– Pani Gajewska? – zapytał beztrosko i uśmiechnął się szeroko.

– Taaak... A o co chodzi? – Kobieta zmarszczyła czoło.

– Musimy porozmawiać. Czy pani mąż jest w domu? – Lewin przestał się uśmiechać.

– Jest... Ale... – Kobieta nie miała pojęcia, jak powinna się zachować. Nie знаła stojącego w drzwiach człowieka i nie wiedziała, czy powinna go wpuścić do środka, jeśli nie był ani z administracji, ani z gestapo.

– Lepiej będzie, jeśli pani mnie wpuści – warknął.

Chwilę potem do rozmowy włączył się mąż kobiety, który wyszedł z pokoju, sprawdzić, co się dzieje. Po krótkiej wymianie zdań małżeństwo Gajewskich postanowiło wpuścić przybysza do środka.

Lewin usiadł przy stole i wyciągnął z zewnętrznej kieszeni płaszcza plik fotografii. Położył je przed oczami gospodarzy. Małżeństwo zaczęło oglądać przyniesione przez Emila zdjęcia i ten mógł spostrzec, jak ich twarze robią się blade, a usta wyginają się w podkówkę.

– Tak, mili państwo. Mam tego więcej. A chyba nie muszę państwu mówić, co grozi za pomaganie Żydom. Jestem jednak rozsądnym człowiekiem i nie zamierzam wam przeszkadzać w tym procederze. Pięć tysięcy i nadal możecie spokojnie pomagać tym nieszczęśnikom – spokojnie rzekł Lewin.

– Ale ich już tutaj nie ma – desperacko powiedziała kobieta.

Lewin rozłożył ręce.

– Nie wnिकam, nie pytam. Ale to są dowody, że tak powiem, czarno na białym. Każdy niemiecki urzędnik rozpozna te twarze. Czysto semickie... – bezlitośnie ciągnął dalej.

– Nie mamy takiej kwoty – zasępił się Gajewski i dodał: – Ale na jutro, no może za dwa dni... spróbujemy coś zorganizować.

Emil rozzłościł się.

– Pan masz mnie za idiotę czy jak? Jutro czy za dwa dni to pewnie kłamkę pocałuję. Jeśli nie macie gotówki, wezmę biżuterię albo coś innego, równie cennego.

Spojrzelili na siebie. Uznali, że nie mają wyjścia.

Pół godziny później przed Emilem leżała niewielka walizeczka, do której małżeństwo włożyło srebrną cukiernicę z sześcioma deserowymi łyżeczkami, złotą broszkę z rubinem, pierścionek z małą perłą, cienki złoty łańcuszek z krzyżykiem oraz antyczny kałamarz wysadzany bursztynami.

Lewin uklonił się nisko, chwycił walizkę i chwilę potem opuścił mieszkanie na Miodowej. Do godziny policyjnej zdołał odwiedzić jeszcze jedno mieszkanie, po czym powrócił do siebie.

Franek nie spuszczał go z oczu i zachodził w głowę, co też za interesy ubija Lewin z tymi ludźmi. Gdyby sprzedawał im fanty, raczej nie szedłby tam z pustymi rękami. Tymczasem to z odwiedzonych mieszkań wyszedł z walizeczką przypominającą damski neseserek na kobiece kosmetyki. „Diamentowa Rączka” tymczasem zapamiętał adresy i postanowił, że nie odpuści, dopóki nie dowie się, co jego kompan kombinuje.

Renate Zoll nie mogła dojść do siebie po tym, jak została potraktowana przez Waltera. Na początku wpadła w czarną rozpacz z powodu wysłania jej oblubieńca na front wschodni, ale rychło okazało się, że jej ukochany zgłosił się na ochotnika. Nie musiała być specjalnie błyskotliwa, żeby domyślić się, że po prostu uciekł od niej. Perfidnie wykorzystał i zwiął. I cóż z tego, że mogła na niego donieść, jeśli sama mu pomagała w ucieczce pilnie strzeżonego więźnia. Obojgu groził sąd wojskowy, a potem zapewne kara śmierci. Póki szantaż sprawiał, że Lossow był na każde jej zawołanie, miało to jakiś sens. Teraz żaden. Zwłaszcza że wschód oznaczał dla wielu żołnierzy śmierć. Jeśli nie żył, tym bardziej nie było powodu, aby marnować sobie życie.

Rychło jednak wściekłość zamieniała się w ból, żal i tęsknotę. Za byciem kochaną. Ona kochała. Niewłaściwego mężczyznę, który ją zdradził i opuścił. Pogrzyżała się w kompleksie, że oto ona, piękna i pełna seksapilu panna Zoll, nie była w stanie rozkochać w sobie mężczyzny. Już nie wystarczały jej łóżkowe zabawy ani pożądliwe spojrzenia mężczyzn, ona chciała być kochana. Więc gdy kolejny raz ujrzała nieopodal swojej kamienicy niestrudzonego Emila Lewina, postanowiła, że da mu szansę. Niech ją wielbi, szaleje za nią, kocha nieprzytomnie i niech na powrót uczyni z niej kobietę pewną swojej wartości.

Emil Lewin spisywał się w tej roli doskonale. Kwiaty, czekoladki i inne dobra luksusowe przynosił jej niemal na każde spotkanie. Był szarmancki, słodki i jedyną jego wadą było to, że nie jest Walterem von Lossowem. Odszedł nawet dla niej od narzeczonej, jak jej oznajmił, niestety miał na głowie małe dziecko i nieco większego pomocnika w interesach, który dzielił z nim mieszkanie. No cóż, nikt nie był doskonały, a ona niezbyt nadawała się na gospodynię domową, ale pomyślała, że jeśli jej wielbiciel potrafi sam zadbać o siebie i niemowlę, zaopiekuję się także nią i odstręczające obowiązki domowe nadal pozostaną jej obce. Poza tym lubiła Emila jako kochanka. Wciąż ją czymś zaskakiwał, a przy tym zachowywał się, jakby była jedyną kobietą na ziemi.

Oboje się oszukiwali. On tym, że potrafi przywiązać się na stałe do jednej kobiety, ona, że pustkę w jej sercu po odejściu Waltera może wypełnić inny mężczyzna. Angażowali się jednak coraz bardziej w ten przedziwny związek, jakby chcieli sobie coś udowodnić. Było to na tyle poważne, że Renate zaczęła rozważać możliwość zamieszkania z Lewinem. Emil bardzo tego pragnął, liczył bowiem, że urocza panna Zoll okaże się równie dobra w pracach domowych, co w łóżku. Chciał także upokorzyć Adriannę, która co kilka dni go odwiedzała, niemal zebrząc o możliwość spotkania się z synem. Niekiedy w swej wspaniałomyślności godził się na krótkie wizyty, ale nie chciał słyszeć, że dzieciak, który w metryce miał wpisane jego nazwisko, będzie mieszkał z Adrianną i jej nowym mężem. Kierowała nim gorczy porażki, pewien rodzaj upokorzenia, który zadała mu Adrianna, odchodząc, i upierał się przy swoim, by zadać jej ból i odpłacić za to, że uraziła jego męską dumę. Jego, Emila Lewina, syna Antoniego Chełmickiego, nie można było traktować jak śmiecia. To on rozdawał karty i to on decydował, kto będzie w jego życiu, a kto z niego odejdzie.

10. Apraksin, Leningrad, 1942

Przed drewniany budynek niewielkiej szkoły w miasteczku oddalonym o dwadzieścia cztery kilometry od Leningradu podjechała niemiecka wojskowa ciężarówka. Wśród stacjonujących w Apraksinie żołnierzy zapanowało ożywienie. Przyjazd samochodu zwiastował nie tylko dostarczenie zapasów jedzenia, ale także listów z Rzeszy i nowych rozkazów.

– Koperta z dowództwa kompanii dla *Obersturmführera* Lossowa! – krzyknął siedzący obok kierowcy żołnierz. – Paczki z domu dla Hintza, Schillera i Brummana. Listy mogą odebrać Goetze, Berg i Kuntz.

Wyczytani żołnierze podbiegli odebrać swoje przesyłki, szczęśliwi, że tym razem to oni będą się cieszyć z listów i paczek od rodziny. Lossow wykazał nieco mniejszy entuzjazm, bo spodziewał się, że wraz z nastaniem wiosny kolejny raz będzie musiał udać się ze zwiadowcami do Leningradu, by udokumentować życie mieszkańców. Do miasta niemal każdego dnia docierali żołnierze niemieccy z grupy specjalnej, w cywilnych ubraniach, by siać niepokój wśród mieszkańców. Podrzucali fałszywe kartki żywnościowe, zatruli wodociągi albo preparowali listy pisane rzekomo przez leningradczyków do czerwonoarmistów walczących na froncie, że ich największym marzeniem jest poddanie się. W ten sposób chciano zmusić ludność, aby wypowiedziała posłuszeństwo Kremlowi i oddała miasto w ręce wroga.

Walter był tam ostatni raz w grudniu i tylko na jeden dzień. Każdy kolejny groził zamarznięciem w tym pozbawionym opału mieście. Nawet grupa funkcjonariuszy przebywających tam niemal na stałe opuściła miasto i udawała się do Leningradu tylko na kilka godzin. Jednak nawet te parę godzin wystarczyło, aby Lossow mógł spostrzec, co się tam dzieje. Leningrad – jedno z najpiękniejszych miast Związku Radzieckiego – umierał. Zabytkowe obiekty, ze smakiem zaprojektowane kamienice, wreszcie romantyczne przeprawy przez kanały nosiły ślady nalotów Luftwaffe. Niekiedy zamienione w rumowiska, a gdzieś tam roztrzaskane fragmenty budynków, które niegdyś pyszniły się wzdłuż reprezentacyjnych ulic. Nie to jednak wzburzyło najbardziej Lossowa, miłośnika wszelkiego piękna, ale widok ludzkich cieni snujących się z trudem w siarczystym mrozie. Okutani w zniszczone odzienia, wychudzeni, z zapadniętymi oczodołami i policzkami świadczącymi o długotrwałym niedożywieniu. Niemal na każdym rogu leżały ludzkie zwłoki, na wpół zamarznięte, niczym pomniki zrzucone z postumentu. Wrzucano je potem na furmanki niczym

polana drewna, ale służby miejskie wciąż nie nadążały z ich uprzątnięciem. Pozbywano się ich szybko, bez chwili refleksji nad ludzkim życiem i śmiercią. Rodziny, którym udało się dotrzeć do zwłok swoich krewnych, przykrywały nieboszczyków jasnymi płachtami z grubego płótna, prymitywnymi całunami, by zachować resztkę godności ofiar. Obwiązywano ich następnie sznurkami, kładziono na sanie i ciągnięto w kierunku cmentarza Piskariowskiego, gdzie chowano w masowych mogiłach wraz z innymi mieszkańcami, którzy nie przeżyli oblężenia.

Upiorne widoki wychudzonych ludzi jak gdyby potwierdzały krążące plotki o aktach kanibalizmu i spożywania rzeczy na ogół służących do innych celów, jak kleje stolarskie, skórzane elementy garderoby, które zmiękczano wielogodzinnym gotowaniem, czy makuchy albo trawa wycinana spod pryzm śniegu.

– Co, Lossow, Leningrad? – zapytał jeden z kompanów. – Wiosna przyszła, to może cię nie zjedzą.

Walterowi nie spodobał się ten dowcip. Mógł sobie jedynie wyobrazić, jak zdesperowani musieli być ludzie, by spożywać ludzkie mięso. Największy upadek człowieczeństwa, dno, którego się dotyka, gdy nie ma się już żadnego wyboru. Nie potępiał ich jednak. Przypominał sobie dni, gdy śnieżycy i dojmujące mrozy niweczyły dojazd samochodów z prowiantem. Niekiedy przez trzy dni nie jedli kompletnie nic albo żuli tytoń, żeby oszukać żołądek. A gdy już dotarło zaopatrzenie, należało oszczędzać, bo nigdy nie było wiadomo, co może wydarzyć się przy kolejnym transporcie. Pamiętał, że wdzierali się w czasie posuchy do domostw radzieckich wieśniaków i zabierali im ich nędzne zapasy kaszy, zmarzniętych kartofli czy brukwi. A ci ludzie, tam, w oblężonym mieście, musieli sobie poradzić przez całą długą zimę.

– Tak... – odpowiedział od niechcienia. – Pojutrze przyjeżdżają po mnie zwiadowcy. Tylko teraz pewnie z tydzień mnie nie będzie na kwaterze.

– Uuu... To niezbyt bezpieczne. – Jego kompan niedbale machnął ręką, jakby co najmniej starcia z Armią Czerwoną czy jakiegokolwiek inne akcje na terenie wroga były niczym przyjęcie u cioci.

– Teraz to się dużo naszych tam kręci. Wybaczcie, muszę przygotować sobie ubrania – odpowiedział i ruszył w stronę szkoły.

Po chwili jednak zawrócił i podążył w kierunku drewnianego domku Olgi Iwanowny.

Siedziała w kuchni i obierała kapustę z na wpół zepsutych liści. W całej chłupie roznosił się fetor zgnilizny. Do następnych zbiorów warzyw było jednak

jeszcze daleko, a należało coś jeść.

– *Zdrawstwujtie*, Olga – powiedział.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się.

– Wyjeżdżam na tydzień. Do Leningradu. Chciałbym, żebyś pojechała ze mną – powiedział ze stanowczością w głosie. – Będiesz moim przewodnikiem.

Przestała się uśmiechać.

– Przecież tam nie ma Niemców... – Nie rozumiała, na czym ma polegać misja Waltera.

– Ale ja muszę się tam udać, by sporządzić raport i dokumentację fotograficzną dla biura propagandy. To miasto powinno już dawno się poddać, ale Stalin uważa, że może poświęcić milion istnień ludzkich, by coś nam udowodnić. Chcemy pokazać światu, jak potraktował swoich obywateli – z goryczą powiedział Walter.

– Jestem Rosjanką i chociaż nienawidzę Stalina, twoje wywody brzmią jak propagandowy bełkot – mruknęła.

– Tak czy inaczej, pojedziesz. Bo jeśli tylko stąd zniknę, moi koledzy znowu zaczną cię odwiedzać. Poza tym znasz miasto. Przydasz mi się.

– Jako tarcza? – zapytała z sarkazmem, po czym dodała: – I tak możesz mnie do tego zmusić. Albo mnie zabić.

– Olgo... – Lossow poczuł się głupio. – Nie chcę cię zabijać ani cię do niczego zmuszać. W porządku, nie chcesz, zostań.

Ruszył w stronę drzwi.

– Kiedy wyjeżdżamy? – zapytała z westchnieniem.

– Jesteś pewna? – Walter zatrzymał się w progu.

– Tak. Masz rację. Ty wyjedziesz, a oni tu wrócą... – wyszeptała.

– Wyjeżdżamy pojutrze o piątej. Zwiadowcy dowiozą nas do ostatniego posterunku, a potem zostaną nam rowery... i modlitwa. – Uśmiechnął się.

Wyznaczonego dnia wyruszyli o świcie gazikiem wraz z dwoma zwiadowcami. Walter von Lossow, ubrany w wyświechtaną marynarkę, znoszone trzewiki i wypchane na kolanach spodnie, miał na szyi niewielki aparat fotograficzny, który ukrył pod sfilcowanym szalikiem. Olga założyła na swoją codzienną sukienkę jasny płaszcz. Walter miał także ze sobą plecak z prowiantem oraz niewielki zeszyt i ołówek do robienia krótkich notatek. Postanowił, że dla bezpieczeństwa owe zapiski prowadzić będzie Olga po rosyjsku, a potem, gdy wrócą do Apraksinu, przetłumaczą je. Chodziło głównie o nazwy najważniejszych

ulic, rządowe obiekty i miejsca znane dotychczas leningradczykom jako ostoje kultury i sztuki. Założenie było proste – pokazać niemieckim obywatelom i walczącym żołnierzom, jakimi barbarzyńcami są Rosjanie, bo pozwolili, by najszlachetniejsza kolebka ich kultury obróciła się w perzynę tylko dlatego, że ambitny i uparty Stalin nie chciał oddać miasta zwycięzcom.

Gdy zbliżali się do brzegów Ładogi, gazik zatrzymał się. Jeden z żołnierzy wyciągnął lornetkę i wpatrywał się w spokojną taflę jeziora. Przez wiele miesięcy skute grubym lodem jezioro było jedyną drogą łączącą obleżone miasto ze światem. To właśnie tym zamrożonym szlakiem Rosjanie dostarczali do miasta żywność lub ewakuowali ludność. Gdy lód stopniał, transport lądowy zastąpiły kutry i łodzie.

– Widzę kolejny. Jest daleko, ale ugina się pod ciężarem ludzi. Jest dużo dzieciaków – odezwał się żołnierz. Następnie spojrzał w niebo i ponownie przyłożył lornetkę.

– Chyba dlatego nazywają jezioro „Drogą Życia” – mruknął jego kompan.

– Nie tym razem... – bąknął obserwujący niebo żołnierz.

Po chwili cała czwórka usłyszała dźwięk nadlatującego samolotu Luftwaffe. Myśliwiec Messerschmitt Bf 109 zmniejszył pułap i zaczął ostrzeliwać płynący kuter. Walter wyrwał lornetkę zwiadowcy i zaczął przyglądać się tej okrutnej scenie. Widział wyskakujące z łodzi dzieci i dorosłych do zimnego jeszcze o tej porze roku jeziora, a chwilę potem jednostka przechyliła się i zaczęła tonąć.

– Chyba teraz nazwą to „Drogą Śmierci” – zarechotał drugi z żołnierzy.

– To były dzieci... – wybełkotał Walter i poparzył na pobladłą twarz Olgi Iwanowny.

Ta jednak odwróciła wzrok i zacisnęła usta. Chociaż bez odpowiedniego sprzętu niewiele było widać, a płynący kuter był zaledwie niewielkim punktem, dobrze wiedziała, co się właśnie stało. A i usłyszała wystarczająco dużo. Właśnie kilkadziesiąt bezbronnych dzieci straciło życie. Tak, dla nich Droga Życia okazała się ostatnią drogą.

Godzinę później dotarli do posterunku strzegącego wjazdu do miasta, odmeldowali się i wsiedli na stojące obok drewnianego baraku rowery.

Im bliżej byli centrum Leningradu i ich „dziupli”, tym gorsze wrażenie robiło na nich miasto. W końcu porzucili rowery w jednym z pogruchoconych przez pociski budynków i dalej poszli pieszo w kierunku Newskiego Prospektu. Minęli most na Newie i znaleźli się na szerokiej arterii, która niegdyś stanowiła

wizytówkę tego pięknego miasta. Teraz z owej wizytówki pozostał smutny obraz targanego głodem i brudem miasta. Po zimowych roztopach ulicę pokrywała warstwa błota i resztek niemal czarnego, zbrylonego śniegu, który oparł się wiosennym temperaturom. Wiele budynków było pogruchotanych przez pociski, w niektórych prowizorycznie podparto stropy żerdziami i deskami. Słychać było stukot tramwajów, które zastygłe po zimowej przerwie w kursowaniu, wydawały z siebie jęczące dźwięki, jakby kurs, który odbywały, miałyby być ostatnim.

Kiedy Walter przybył tutaj w grudniu, ulice były niemal puste, teraz zdawało się, że są na nich tłumy ludzi. Wrażenie potęgowały grupki uprzątające miasto i bezskutecznie próbujące przywrócić mu chociaż odrobinę dawnego blasku. Ruchy pracujących ludzi były jednak spowolnione, a umęczone twarze zdradzały wielomiesięczne niedożywienie. Mimo że to, co najgorsze, mieszkańcy mieli już za sobą, w ich oczach nie było widać entuzjazmu i nadziei. Byli przegazeni, walczyli ostatkiem sił z naturą, która nakazywała dostarczać organizmowi niezbędnego pożywienia i czystej wody.

Olga Iwanowna patrzyła na miasto oczami pełnymi trwogi, bowiem nie takim go zapamiętała, gdy kilka lat temu dane jej było opuścić Leningrad i ruszyć na prowincję. Mijając kolejny zbombardowany budynek, zatykała usta dłonią, by nie wybuchnąć szlochem, że oto jej ukochane miasto stało się cmentarzyskiem, a kolorowy niegdyś świat – pogorzeliiskiem. Nawet Stalin, zaciętrzewiony w swoim bolszewickim myśleniu, doceniał walory sztuki i architektury, mimo że miasto największy swój rozkwit zawdzięczało znieprawionej przez proletariatus carskiej rodzinie. Niekiedy zatrzymywała się w jakimś miejscu, patrząc z niedowierzaniem, by potem przymykać duże, szare oczy, jakby próbując odzyskać w pamięci wspomnienie, gdy owo miejsce wyglądało zupełnie inaczej.

Przeszli przez most na Fontance i podążyli na ulicę Łomonosowa, gdzie w dwupiętrowej kamienicy znajdowało się niewielkie mieszkanie niemieckich zwiadowców i szpiegów. Kiedy dotarli na miejsce, Walter spostrzegł, że zamek w drzwiach jest wyrwany. Zostawił Olę na klatce i najpierw sam wszedł do środka, aby sprawdzić, czy Sowieci nie odkryli ich tajnej dziupli. Jednakże widok, jaki zastał, kazał mu się domyślać, że włamywaczami nie były żadne służby, ale zwykli, zdesperowani mieszkańcy, poszukujący w pustych mieszkaniach pożywienia i materiału na opał. Mebli pozostało niewiele, jedynie takie, których nie udałooby się spalić w piecach i „burżujkach” – niewielkich własnoręcznie montowanych kozach, do których wrzucano wszystko, czego nie udało

się skonsumować. Na podłodze pozostały drzazgi po secesyjnym kredensie i stelażu tapczanu, ktoś nawet próbował wyrywać klepki parkietu, ale najwyraźniej intruz został spłoszony i rozebrano jedynie niewielki fragment podłogi. Na ironię zakrawał fakt, że inne elementy wyposażenia, takie jak kuty żyrandol, kryształ czy srebrna patera, leżały porzucone niczym bezwartościowe śmieci. Tak, zarówno teraz, jak i podczas zimy w istocie były bez wartości, bo nie dało się ich zjeść, spalić czy przykryć się nimi podczas wielostopniowych mrozów. Zapewne gdyby w mieszkaniu znajdowały się złote przedmioty czy szlachetne kamienie, zostałyby potraktowane w sposób podobny, bo czym jest bogactwo, za które nie możesz kupić strawy czy opału.

– *Wchodit, Olgo* – powiedział głośno.

Olga weszła niepewnie do mieszkania i rozejrzała się z przerażeniem dookoła, jakby lokum było dopełnieniem obrazów mijanych po drodze. Usiadła na ocalałym fragmencie tapczanu i wciąż wodziła oczami po zrujnowanym pokoju.

– *Odpocznij* – powiedział, już po niemiecku. – Ja muszę coś zrobić z drzwiami. Może uda mi się naprawić zamek albo zorganizować chociaż jakiś skobel.

– *Spróbuję zrobić herbatę. Widziałam samowar. Szkoda że nie mam konfitur i miodu, mógłbyś posmakować prawdziwie rosyjskiej herbaty* – powiedziała monotonnym głosem.

– *To ścierwo, które moje dowództwo nazywa herbatą, zapewne nie smakowałyby dobrze nawet z tymi rarytasami.* – Uśmiechnął się do niej.

Zazwyczaj była przygnębiona, ale widok miasta chyba jeszcze bardziej ją dobił. Nie miał pojęcia, o czym myślała. Czy o utraconych nadziejach, czy może o gwałtach, których dopuścili się jego kompani. Cóż mógł jej powiedzieć w takiej chwili? Wojna była bezsensu i nie widział w niej żadnego dostojenia. Wolałby znaleźć się w tym mieście, gdy nie było zniszczone naltami, odwiedzać galerie, muzea i cerkwie, zamiast skupiać się na walce o przetrwanie. Zapewne póki Związkiem Radzieckim rządził komunista i tak pewne rzeczy byłyby niemożliwe, ale chociaż ocalałoby to, co zniszczyli narodowi socjaliści.

Herbatę i posiłek spożywali, siedząc w milczeniu na zrujnowanym tapczanie. Walter przez chwilę pomyślał o ich wspólnej nocy. Broń Boże, nie chodziły mu po głowie żadne amory, ale miejsce, w którym siedzieli, było jedynym, gdzie mogliby się przespać. Ocalały jeszcze fotele, jednak nawet zsunięte mo-

gły stać się legowiskiem jedynie dla małego dziecka. Postanowił, że rozstrzygnie to, gdy powrócą z miasta.

– Walter, chciałabym odwiedzić jedną rodzinę. To przyjaciel mojego ojca i jego żona Wiera – cicho i niepewnie powiedziała Olga.

– Nigdzie sama nie pójdziesz. Będę udawał niemowę albo poczekam na ciebie gdzieś w pobliżu – stanowczo zaproponował Walter. – Myślę jednak, że to zły pomysł, Olgo.

– Wiem, że możesz mi zabronić, ale tak bardzo chciałabym zobaczyć kogoś bliskiego. Możesz udawać niemowę, wolę jednak, żebyś na mnie poczekał gdzieś w okolicy. Walterze, nie wiem, czy oni przetrwali, ale byłabym szczęśliwa, gdybym mogła sprawdzić, co się z nimi dzieje. Mieszkali kiedyś przy Kazańskiej, to kilka ulic dalej, jakieś pół godziny drogi. Bardzo cię proszę...

– Dobrze, dzisiaj rozejrzemy się po najważniejszych miejscach i jeśli uznam, że to bezpieczne dla ciebie, wtedy się zgodzę. I nie będę cię pilnował. – Walter pomyślał, że jeśli odwiedziny u przyjaciół nieco poprawią nastrój Olgi, niechże to zrobi.

– Nie obawiasz się, że ucieknę? – zapytała podejrzliwie.

– Mam twarde serce, możesz to uczynić, gdy zasną. Myślę jednak, że jesteś jeszcze młoda i masz szansę na szczęśliwe życie. Pozostając tutaj bez przydziału kartkowego, bez pracy i domu, po prostu podzielisz los tysięcy ludzi, którzy tutaj umarli. A ja bym chciał, żebyś przeżyła. Ta wojna musi się niedługo skończyć. Obojętnie, kto ją wygra – powiedział ugodowo.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Walterze. – Olga uśmiechnęła się delikatnie i chyba pierwszy raz, odkąd dotarli to Leningradu.

– Nie jestem, Olgo. Ale dziękuję. Chodźmy, póki jeszcze jest jasno. Bo potem pozostanie nam jedynie siedzenie tutaj aż do rana.

Wyszli na ulicę i ruszyli w stronę centrum. Walter dyskretnie fotografował wszystko, co najgorsze spotkało to miasto. Leżące na furmankach trupy, wychudzonych niczym żywe szkielety ludzi, zbombardowane kamienice, wreszcie kroczące dumnie szczury, które piękna pogoda zachęciła do większej aktywności. Od czasu do czasu, gdy widział przerażoną minę swojej towarzyszkę, ścisnął delikatnie jej dłoń, by dodać otuchy i gestem tym oznajmić, że jemu także się to nie podoba.

Weszli do jakiegoś gmachu, którego przeznaczenia z początku nie odgadł, bo napis wykonany był w rodzimym języku Olgi, jednak niebawem odkrył, że to duża biblioteka. Niemal cała czytelnia była wypełniona ludźmi. Siedzieli po-

chyleni nad grubymi księgami, jakby tam, na zewnątrz, nic się nie zmieniło. Zapewne, podobnie jak Olga w swojej skromnej chatynce, uciekali od rzeczywistości, krocząc w wyobraźni po bezpiecznych i spokojnych miejscach, a być może chcieli przez ten czas poczuć się kimś innym, by nie myśleć o tym, co utracili.

Przysiedli przy jednym z wolnych, długich stołów i kilka minut później Olga przyniosła kilka książek. Nie mieli czasu na czytanie, a Walter i tak nie byłby w stanie rozszyfrować tego zawiłego języka, więc tylko przekładali stronicę, zatrzymując niekiedy wzrok na zamieszczonych fotografiach i rycinach. Olga przyniosła mu książkę o Leningradzie, pełną zdjęć z dawnych czasów, zanim samoloty Luftwaffe nie zrujnowały go. Wskazywała palcem na ciekawe obiekty i uśmiechała się. Nie do niego, ale do zamieszczonych zdjęć, do pięknych wspomnień, gdy wraz z rodzicami wiodła tutaj spokojne życie.

11. Warszawa, 1942

W cieniu narodowej tragedii, jaką niewątpliwie była okupacja i wszelkie restrykcje z tym związane, w ludzkich sercach rozgrywały się pojedyncze klęski, niknące w obliczu spraw ważkich, śmierci setek ludzi, terroru i życiowej wegetacji. Gdy jednak taki dramat dotykał konkretnego człowieka, świat wokół znikał, jakby nie miał znaczenia, bez względu na sytuację.

Każdy przeżywał takie chwile na swój sposób. Julian Chełmicki chciał cały ból wyrzucić ze swojego wnętrza, znaleźć winnych i szukał odpowiedzi na pytanie: „Co by było, gdyby...?”. Gdyby Alicja tego dnia nie powróciła do Warszawy, gdyby wcześniej wyjechała do rodziny pod Kielce, gdyby, gdyby... Julian nie obwinał bezpośrednio Alicji, ale z jego słów i rozważań wynikało, że jest w nim wiele żalu kierowanego w jej stronę.

Ona, dla odmiany, milczała. Nie chciała rozmawiać o tym, co ją spotkało. Jakby nigdy nie była w ciąży, a potem nie straciła dziecka. Mogłoby się wydawać, obserwując z boku zachowanie Juliana i Alicji, że tylko on przeżywa tę tragedię, ona zaś niespecjalnie. Mimo że znali się tak długo, Chełmicki nie wiedział, że owo omijanie tematu i cisza, jaka zapadała, gdy do tego wracał, świadczyły o tym, że cała sprawa dotknęła Alicję bardziej niż cokolwiek innego do tej pory.

To spowodowało, że między nimi powstał mur niezrozumienia i utrata dziecka oddalała ich od siebie.

– Boże, Alicjo, byłaś w ciąży. Jak mogłaś zachować się tak niefrasobliwie? – zapytał kolejny raz z rozpaczą w głosie, gdy odwiedził ją w mieszkaniu Teresy.

– Myślę, Julianie, że powinieneś już pójść. Zaraz zacznie się godzina policyjna, a ty jeszcze trochę utykasz... – powiedziała cicho.

I to nie tylko obawa o narzeczonego kazała jej niemal wyprosić go z kwatery, ale nie była w stanie już słuchać jego pytań. Zwłaszcza że temat ich ślubu, który planowali od kilku tygodni, po prostu przestał pojawiać się w ich rozmowach. Ona nie robiła żadnych aluzji, nie napomykała nawet przypadkiem ani też nie wspominała o obiecany pierścionku zaręczynowym, który miał pojawić się na jej palcu, gdy Julian dojdzie do siebie.

– Tak, pójdę. Pojutrze jest spotkanie grupy. Rozumiem, że nie przyjdiesz – odpowiedział z westchnieniem Julian.

– Przyjdę, teraz już nie mam nic do stracenia – szepnęła.

Wzruszył ramionami, pożegnał się chłodno i opuścił mieszkanie Teresy. Sam tymczasem nocował u Weroniki, ponieważ nie miał jeszcze zapewnionego bezpiecznego lokum. Powrócił do Warszawy wcześniej, niż było zaplanowane, a i Weronika nie kwapiła się, aby w trybie alarmowym organizować mu kwatery. Miała świadomość, że naraża już nie tylko siebie, ale także Pawełka, który powoli przystosowywał się do nowego życia u boku mamy. Jednak gdy siadali we troje do stołu, rozmawiali o mało ważnych sprawach, Weronika czuła, jakby miała namiastkę pełnej rodziny. Chciała chociaż przez chwilę zaznać szczęścia, gdy człowiekowi wydaje się, że wszystko jest takie, jakie być powinno. Na krótko, na kilka dni, ale czuła w tych momentach, że rosną jej skrzydła, a świat mimo wojny jest piękny i radosny. Nie zastanawiała się, iż przez swoją nieodpowiedzialność zaraz ten poukładany świat może runąć, bo przecież Chełmicki był jedną z najbardziej poszukiwanych osób w Warszawie.

Gdy Pawełek zasypiał i zostawali w salonie tylko we dwoje, Julian mógł dać upust swojej frustracji, żalowi i bólowi, który mu towarzyszył, odkąd dowiedział się, że nie zostanie ojcem. W swoim nieco egoistycznym zachowaniu myślał jedynie o swoim cierpieniu, jakby Alicja nie czuła równie ogromnego.

Na spotkaniu było gwarno, a kompani z grupy „Sokoła” co chwilę z uznaniem klepali Chełmickiego po plecach, traktując jak prawdziwego bohatera. Był w centrum zainteresowania i dawał innym ten rodzaj ukojenia, że nie należy się bać, bo nawet z najgorszej opresji można wyjść cało.

Alicja siedziała cicho w kącie pomieszczenia i bezwiednie patrzyła na zacieki na ścianach, trociny zalegające w magazynie i zdezelowane maszyny. Potem skupiła wzrok na Julianie. Nie wyobrażała sobie, że nadal mógłby być jej dowódcą. Czuła do niego tak wielką niechęć, że zastanawiała się nawet, czy jeszcze wciąż go kocha tak bezwarunkowo, jak dotychczas. Wydawało jej się, że coś między nimi pękło, a ich uczucie znalazło się na drodze, która nieuchronnie prowadzi do końca miłości. Postanowiła jednak, że nie będzie go obwiniać, zastanawiać się nad tym, czy zamienił ją na piękną Weronikę, ani jątrzyć rany, która powstała, gdy stracili swoje nienarodzone dziecko.

Myślała o Hance. Wysłała jej wiadomość, że profesor nie żyje i żeby uważała na siebie. Ale wydawało jej się, że uczyniła zbyt mało. Hanka, obarczona opieką nad dwójką małych dzieci i niezbyt rozgarniętą przyjaciółką, była kompletnie bezradna. A może to ona panikowała za bardzo? Wiekowa ciotka pro-

fesora nie była jego najbliższą rodziną, poza nią i jej synem nikt z jego krewnych tam nie mieszkał, a jednak Alicja wciąż czuła niepokój. Postanowiła, że teraz już nie musi tak bardzo na siebie uważać i jak tylko zapadną decyzję odnośnie do jej dalszej działalności w Armii Krajowej, spróbuje wyrwać się na kilka dni z Warszawy. Pomyślała ze złością, że to „uważanie na siebie”, gdy była przy nadziei, na niewiele się zdało, bo łapanka mogła spotkać ją niemal każdego dnia. I nie tylko ją. Takie akcje były codziennością, a ludzkim życiem rządził ślepy los.

– Dzisiaj wylądowali kolejni chłopcy z Anglii. Już niebawem dostaniemy od nich wsparcie. A tymczasem dotarł do Warszawy kolejny transport broni – powiedział z entuzjazmem „Sokół” i zerknął na zegarek. – Zaraz powinien tu być.

Wśród chłopaków nastąpiło poruszenie, tylko Alicja, jedyna kobieta obecna na spotkaniu, zdawała się być myślami zupełnie gdzieś indziej.

Kilkanaście minut później przed magazyn podjechała furgonetka i jej kompani wyszli, by pomóc kierowcy wylądować skrzynie z pistoletami, karabinami i granatami. To było radosne wydarzenie, ponieważ wyposażenie w broń wciąż pozostawiało wiele do życzenia.

Mężczyzna, który dostarczył ładunek, był potężny, wysoki i szeroki w ramionach. Miało się wrażenie, że tak właśnie zbudowani byli mityczni herosi. Owo wrażenie dodatkowo potęgował jego ubiór – połowe spodnie od munduru i wojskowe buty, będące na wyposażeniu żołnierzy Wehrmachtu. Górę stanowił czarny podkoszulek niebezpiecznie napinający się na mocno rozbudowanych ramionach. Jedynie twarz zdawała się kompletnie nie pasować do atletycznej budowy mężczyzny. Była niemal chłopięca. Błękitne oczy i mięsiste usta nadawały mu wygląd cherubina i do kompletnie brakowało mu jedynie złotych loków okalających kształtną głowę.

Alicja nie poświęciła mu jednak zbyt wiele uwagi. Nie była już tą samą dziewczyną, co przed wojną, która trzepotała sztucznymi rzęsami za każdym razem, gdy w zasięgu jej wzroku pojawiał się jakiś interesujący mężczyzna. Podeszła jednak do skrzyń z bronią ciekawa, jakie to cacka im dostarczono.

– Sprawdźcie, czy wszystko się zgadza – odezwał się mężczyzna niskim, spokojnym głosem.

– Daj spokój, „Kary”, a co to my pierwszy raz robimy z tobą interesy? – uśmiechnął się „Sokół”.

– Pierwszy taki duży, więc lepiej będzie, jeśli wszystko przeliczycie.

Mężczyzna także się uśmiechnął, po czym wyjął z kieszeni paczkę amerykań-

skich papierosów i poczęstował stojących wokół niego mężczyzn. Jedyne w kierunku Alicji nie wyciągnął paczki, jakby z góry zakładając, że nie pali. To prawda, odkąd zaszła w ciążę, nie sięgnęła po papierosa, bo przeczytała kiedyś, że to może szkodzić dziecku w łonie, ale teraz już nie musiała robić podobnych wyrzeczeń.

– A ja? – zapytała głosem dziecka, które nie otrzymało prezentu pod choinką.

Rozległ się śmiech jej kompanów. „Kary” zmieszał się nieco i poczęstował Alicję.

– Przepraszam... – mruknął i sięgnął kolejny raz do kieszeni. Wyciągnął z niej owocowe dropsy i podał Alicji, po czym dodał, uśmiechając się: – To jako rekompensata za moje niegrzeczne zachowanie.

Nieco rozluźniona atmosfera chwilę potem zamieniła się w skrupulatne przeliczanie broni, a „Sokół” ustalał jej podział na poszczególne grupy.

– Zgadza się. Ani przez moment w to nie wątpiłem – powiedział „Sokół” i uściśnął dłoń mężczyzny.

– W takim razie uciekam. Jutro rano wyjeżdżam do Radomia – odpowiedział „Kary” i ruszył w stronę drzwi.

Alicja nagle jakby oprzytomniała. Magnuszew był po drodze. Może zatem ten człowiek mógłby ją zabrać ze sobą? Zapewne jechał do byłych zakładów Łucznika, obecnie znajdujących się w rękach austriackiego Steyra, by nielegalnie nabyć broń od skorumpowanych pracowników fabryki albo życzliwych Polaków pracujących jako robotnicy przymusowi.

Kiedy wyszła przed magazyn, mężczyzna wsiadał już do furgonetki. Zazwyczaj bezczelna i pewna siebie, jakby nagle straciła rezon w obecności człowieka, któremu sięgała zaledwie do ramienia.

– Przepraszam, ale czy byłaby taka możliwość, żeby zabrał pan jutro pasażera? – zapytała niepewnie. – Do Magnuszewa, to po drodze.

– Mówią na mnie „Kary”... Może mógłbym, ale mam nadzieję, że to nie jest żaden ranny albo poszukiwana osoba. Wolałbym się nie narażać, bo jak mnie przyskrzynią, nie będzie komu wam dostarczać broni – powiedział ze spokojem.

– Aha... – zmieszała się Alicja, bo przecież była osobą poszukiwaną, i to bardzo intensywnie. – Ja mam na imię Aldona.

– To twoje prawdziwe imię? – zapytał ze śmiechem.

– No przecież, że nie. A moją prośbę uznaj za niebyłą. – Odwróciła się i chciała odejść.

„Kary” miał rację. To byłoby nieodpowiedzialne narażać go w sytuacji, gdy był człowiekiem tak bardzo użytecznym.

– Jeśli to ważne, zaryzykuję – powiedział. – Kto miałby być moim pasażerem?

– Ja. – Spuściła głowę.

– W porządku. Wyruszamy o siódmej, czekaj na mnie przy dworcu Wileńskim – odpowiedział i uśmiechnął się do niej.

– Będę na pewno. Chociaż dzisiaj słowo „na pewno” brzmi dziwnie. – Również się uśmiechnęła i dodała: – Jeśli nie dotrę, to znaczy, że nie żyję.

Powróciła do magazynu. Chełmicki patrzył na nią podejrzliwie i zachodził w głowę, jakie to konszachty mogła mieć Alicja z „Karym”. Nie miał także pojęcia, skąd mogli się znać, on sam rozmawiał z tym człowiekiem zaledwie kilka razy, przy okazji dobijania targu. Nie zadał jednak tego pytania Alicji, bo podobnie jak ona czuł, że między nimi nie jest już jak kiedyś. Miał jednak nadzieję, że z czasem będzie potrafił nie obwiniać jej za to, co się wydarzyło. I wybaczy jej, jak wszystko do tej pory.

Chwilę później „Sokół” poprosił Alicję na rozmowę w cztery oczy. Nawet Julian pozostał w hali magazynowej, gdy poszła z dowódcą do małego biurowego pomieszczenia.

– Słyszałem, co się stało. Bardzo mi przykro – powiedział ze współczuciem i zupełnie szczerze.

Alicja wciąż była zdystansowana i nieufna. Gdy dostała ostrzeżenie, że gestapo za nią chodzi, zostawił ją kompletnie samą, a jedynym jej ratunkiem była miłość Martina Grossa. Miała nadzieję, że już wkrótce nie będzie musiała spotykać „Sokoła” tak często i udawać, że żywi do niego jakieś cieplejsze uczucia. Milczała.

– Jeśli potrzebujesz jeszcze czasu... – zaczął delikatnie.

– Potrzebuję kilku dni, majorze. A potem, jeśli to możliwe, chciałabym zająć się innymi zadaniami niż do tej pory. Wiem, że Armia Krajowa pomaga pielęgniarkom z Referatu Opieki Otwartej, chciałabym współpracować z nimi – powiedziała odważnie, póki major jej współczuł i była w stanie wymóc na nim decyzje, które być może niezbyt mu się podobały.

– Nie szkoda twoich umiejętności do takich spraw? – zapytał z nadzieją w głosie.

Alicja była mu potrzebna. Była świetnie wyszkolona, odważna i udowodniła, że potrafi być lojalna i uczciwa.

– Majorze, wiele złego spotkało mnie ostatnio. Chcę coś zrobić, ale nie jestem jeszcze gotowa na brawurę. Byłam łączniczką, zajmowałam się tym, co zlecacie młodym, niedoświadczonym dziewczynom, praca z pielęgniarkami jest daleko bardziej niebezpieczna. One mają całą masę roboty i znikąd pomocy. Tam, za murami getta, umierają ludzie, dzieci...

– Naprawdę robimy, co możemy, by je wesprzeć – przerwał jej „Sokół”, chociaż miał świadomość, że to wciąż za mało. A przecież ratowanie ludzkiego życia było najważniejsze. Być może nawet bardziej potrzebne niż akcje sabotażu czy polowanie na znenawidzonych oficerów niemieckich i polskich kapusiów. Koniec końców zawsze życie było priorytetem.

– Dobrze. Oddeleguję cię do Referatu. Będziesz naszym ogniwem i łącznikiem. Przez tydzień uporasz się ze swoimi sprawami? – Jego głos ponownie zrobił się oschły i stanowczy.

– Tak, majorze. Od poniedziałku mogę zacząć współpracę z Referatem Opieki – równie stanowczo odpowiedziała Alicja.

Opuściła magazyn, nawet nie żegnając się z Julianem. Poinformowanie go o jej nowym zajęciu zostawiła majorowi. Nie chciała żadnych komentarzy, dyskusji, w ogóle nie miała ochoty na rozmowę z nim. Nie po tym, jak się zachował. Każdy przeżywał tragedie po swojemu. Jedni odczuwali potrzebę rozmowy, inni, jak ona, zamykali się w sobie. Ale nie oznaczało to wcale, że nie cierpieli. Przeciwnie, to tłumienie emocji i bólu było tak nowe dla Alicji, iż mogło oznaczać tylko jedno. Że to, co czuje w tej chwili, jest nieporównywalne z niczym innym.

– A jednak umrzeć nie jest tak prosto, nawet w dzisiejszych czasach. – To były pierwsze słowa, jakie „Kary” skierował do Alicji, gdy wsiadła do jego furgonetki stojącej przy dworcu Wileńskim.

– Widocznie los ma jeszcze dla mnie jakieś zadania do wykonania – odpowiedziała.

– Papiery masz mocne czy powinienem się martwić? – zapytał rzeczowo.

– Są w porządku. Ale... – Alicja sama nie była pewna. Dla niej lepiej byłoby, żeby nie musiała się o tym przekonywać.

– Co zrobiłaś?

Alicja milczała. Z jednej strony nie powinna na ten temat rozmawiać, z drugiej „Kary” musiał wiedzieć, jak bardzo ryzykuje, podróżując z nią.

– Zastrzeliłam niemieckiego oficera... – odpowiedziała niepewnie, mając nadzieję, że nie wysadzi jej na następnej ulicy.

– Uuu... – „Kary” cmoknął. – Twarda sztuka z ciebie.

Gdyby wiedział, jak bardzo się mylił...

– To był przypadek. Właściwie, gdybym nie musiała, nie zrobiłabym tego. Nie wiem, czy rozumiesz... Jeśli dostałabym taki rozkaz, nie mam pojęcia, czy potrafiłabym tropić swoją ofiarę, czaić się w zaułkach, a potem z zimną krwią wycelować i strzelić. Więc nie rób ze mnie takiej bohaterki... – westchnęła.

– Więc nie będę. – Roześmiał się.

Przejazdowi przez stolicę towarzyszyło napięcie. Zatrzymywano ich trzy razy w tym czasie, ale „Kary” miał chyba doskonałe dokumenty, bo nikt nie ośmielił się ani skontrolować paki furgonetki, ani też nie przyglądał się zbyt wnikliwie papierom Alicji. Nie miała pojęcia, kim był ten potężny człowiek i co kombinował, miała jedynie nadzieję, że nie jest żadnym szemranym cwaniakiem, któremu zależy jedynie na wzbogaceniu się i świętym spokoju. Podczas jednego z zatrzymań Alicja usłyszała stukot dobiegający z paki samochodu. Zbladła, przerażona, że za chwilę mogą mieć kłopoty.

– Nie bój się – szepnął „Kary. – To gołębie. Prawdziwie rasowe. Dla hodowców koneserów. Wiozę je takiemu jednemu...

– Boże... – Z ulgą wypuściła powietrze. – Myślałam, że nie jestem jedynym pasażerem.

– Jesteś mężatką? – zapytał nagle.

– Nie jestem. Ale mam narzeczonego – burknęła.

„Chyba jeszcze mam” – pomyślała. Między nią a Julianem nie było dobrze, ale nie padły słowa, który definitywnie kończyłyby ich związek. Pewnie dlatego, że oboje, mimo wszystko, nie wyobrażali sobie życia bez siebie. To, co ich spotkało, było kolejną próbą dla nich, a przeszli ich już tak wiele, iż każda następna nie powodowała dramatycznych rozstań. Alicja jednak czuła przez skórę, że teraz jest inaczej. Nie patrzyli już na siebie z taką miłością, jak niegdyś. W ich oczach jednak widać było tęsknotę. Nie za sobą nawzajem, ale za utraconym uczuciem, które jest w stanie przetrwać każdą tragedię. Jednak oboje wiedzieli, iż ta może ich jedynie od siebie oddalić.

– Nie martwi się o ciebie? W końcu wyruszasz w podróż z szemranym towarzyszem, który jest tak samo podejrzany, jak przydatny. Niewiele jednak o mnie wiedzą, oprócz tego, że moje dostawy są bez zarzutu i nie kosztują fortuny.

– Zrezygnowałeś ze spodziewanego zysku? Przecież broń dla nas to artykuł pierwszej potrzeby – zapytała z lekką ironią w głosie.

– Posłuchaj, nie jestem może bohaterem ryzykującym życie w brawurowych akcjach angielskich spadochroniarzy, ale nie jestem świnia. – „Kary” lekko się rozzłościł.

Kolejna osoba patrzyła na niego pogardliwie, widząc w nim jedynie wielkiego cwaniaka dorabiającego się na dostawach broni dla polskiego podziemia. Nikt nie myślał w takich chwilach, że ryzykował niemal w każdej minucie swojego życia, a dorobić mógł się na znacznie bezpieczniejszych towarach.

– Nie złość się – uspokajająco powiedziała Alicja. – To chwalebne, co robisz...

– Ale nie należę do was. Nie składałem przysięgi i nie śpiewam patriotycznych pieśni w zacisznych lokalach... – mruknął.

– Ja też nie śpiewam. – Roześmiała się. – To mogłoby być strasznym przeżyciem dla słuchaczy. Ale kiedyś tańczyłam i byłam w tym naprawdę niezła.

– Nie gardzisz mną? Przecież powinienem to robić „ku chwale Ojczyzny”. – Teraz w jego głosie pojawił się sarkazm.

Pokręciła głową.

– Może i gardziłabym tobą, gdybym sama była święta. Ale nie jestem i nigdy nie byłam. Wolałam po wojnie być żywa, niż stać się granitowym pomnikiem. Chyba dopiero teraz dojrzałam do decyzji, żeby zrobić coś naprawdę dla innych, nie patrząc jedynie na własne korzyści. Ale uwierz, musiałam przejść krętą i wyboistą drogę, zanim znalazłam się tu, gdzie jestem.

– Czy stało się coś, co spowodowało taką przemianę? Nie pytam ze wścibstwa, po prostu zastanawiam się, czy mnie też to grozi. – Roześmiał się.

Alicja pomyślała, że „Kary” jest taki, jak ona kiedyś. Nie umiałaby go potępić, bo akceptowała siebie taką, a nawet lubiła. Po prostu coś w jej życiu się zmieniło i to spowodowało, że chciała robić bardziej wzniosłe rzeczy. A może w głębi duszy wciąż była dawną Alicją i pragnęła jedynie zaskarbić sobie uczynkami przychylność losu, by podarował jej w zamian coś pięknego i dobrego? A może to były wyrzuty sumienia, że niszczyła każde uczucie, świadomie lub nie?

Rozpatrywanie całej sytuacji w kategorii winy odsuwało na dalszy plan emocje, jakie nią targwały, a których nie potrafiła wyrzucić na zewnątrz. Pierwszy raz poczuła miłość bezwarunkową do kogoś, kogo jeszcze nie widziała, a kto był częścią niej i Chełmickiego. Alicja myślała jednak, że bez względu

na to, z kim poczęłaby dziecko, kochałaby je równie mocno. I z każdym dniem coraz bardziej. W końcu zrozumiała swoją przyjaciółkę, Hankę. Było coś magicznego w zostaniu matką, a jednocześnie bardzo naturalnego. Nawet uczucie jakby nie dawało wyboru, kierował nim instynkt czy Bóg wie co. Nie oznaczało to wcale, że Juliana przestała kochać, po prostu pojawiła się w jej życiu inna miłość. I pewnego dnia ktoś postanowił, że nie może już mieć w sobie tej pasji, bo to dziecko nigdy nie pojawi się na świecie. Nie pozostawiono jej wyboru. W przypadku Chełmickiego to ona poniekąd mogła zadecydować, co dzieje się w jej sercu, będąc w ciąży, została niejako obarczona miłością, by potem zostać z ogromną pustką. Miała wrażenie, że nikt jej nie rozumie. Mimo współczucia. Ona sama nie pojmowała tego, co się dzieje i nie wiedziała, co teraz robi. Wciąż powtarzała sobie, że nic złego się nie wydarzyło. Mówiąc o całej sprawie musiała schodzić na ziemię, a bardzo tego nie chciała. Wolą się okłamywać. Z ogromną determinacją i uporem osoby zaklinającej rzeczywistość. Dochodziła jednak do punktu, gdy czas było się otrząsnąć. Przeżyć żałobę i ruszyć dalej, tak jak Julian. A może zagłuszyć tęsknotę obwinając kogoś konkretnego, by zrzucić z siebie ten ogromny ciężar. Tak jak Chełmicki. Tylko kogo ona mogła obarczyć winą, jeśli sprawca pozostał anonimowy? Jedyne siebie.

– Byłam w ciąży. I straciłam ją podczas łąpanki. Czuję się cholernie winna, bo nie powinno mnie być tam, gdzie byłam. Igrałam z losem, a on pokazał mi, że tego robić nie wolno... – Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Może dlatego, że „Kary” był człowiekiem, z którym znajomość w ciągu kilku dni przejdzie do historii, a być może właśnie fakt, że byli odrobinę do siebie podobni, sprawił to wyznanie.

– Aldona, nie stanęłaś na środku ulicy i nie krzyczałaś: „Hej, wy, z tamtego patrolu, spuście mi łomot, bo mam ochotę pozbyć się ciąży”. Do licha, nie obwiniaj się. Mamy takie czasy, że każde wyjście na miasto może zakończyć się tragicznie. Co ja mówię, nawet siedzenie w domu nie jest bezpieczne, bo w każdej chwili gestapo może do niego zapukać i zgarnąć człowieka, czy jest winny, czy nie. Mogłaś nawet potknąć się na schodach, wpaść pod tramwaj, mogło cię spotkać milion różnych rzeczy, które sprawiłyby, że i tak straciłabyś to dziecko... – perorował „Kary”.

– A ty jak masz na imię? – zmieniła temat Alicja. – Nawet tak na niby. Używając twojej ksywki, cały czas mam wrażenie, że zwracam się do konia.

– Nie chcesz o tym mówić... Rozumiem. A to znaczy, że bardzo cierpisz.

Mów mi Sergiusz, jeśli przypominam ci konia. Jeszcze wpadniesz na pomysł, żeby założyć mi chomąto. – Uśmiechnął się.

Zbliżali się do przeprawy promowej na Pilicy, gdy nagle „Kary” zatrzymał się na poboczu drogi. Zadumał się przez chwilę, po czym wjechał w pole i postawił furgonetkę w cieniu bujnej kępy krzewów, tak że była prawie niewidoczna z drogi. Wysiadł z niej i otworzył część bagażową. Stały w niej klatki z gołębiami. Otworzył delikatnie stojącą najbliżej drzwi i sięgnął po jednego z siedzących w niej ptaków.

– Chodź – powiedział do Alicji.

Ta była tak zdziwiona nietypowym zachowaniem swojego towarzysza podróży, że bez słowa wysiadła i poszła za Sergiuszem. Gdy znaleźli się na łące, która o tej porze roku była już soczyście zielona, „Kary” zatrzymał się. Stał za Alicją, otulając ją szerokimi ramionami, i włożył w jej ręce gołębia.

– Co ty robisz? – zapytała zdziwiona.

– Weź go w dłonie – powiedział niemal rozkazująco.

Zrobiła, co kazał, wciąż nie mając pojęcia, do czego zmierza.

– A teraz zamknij oczy... Pomyśl, że trzymasz w dłoniach życie swojego narodzonego dziecka.

Próbowała się cofnąć i uciec, ale wciąż miała za plecami ogromnego mężczyznę, który budził w niej taki respekt, że nawet nie ośmieliła się bez jego zgody wypuścić gołębia.

– Nie uciekaj... I stój spokojnie. Jeszcze raz.

Przestała się szamotać, przymknęła powieki i pomyślała, że trzyma w dłoni swoje małe dziecko.

– A teraz pożegnaj się z nim i wypuść go na wolność – niemal wyszeptał Sergiusz.

Zaczęła drżeć. Tak, nie chciała się pogodzić z utratą swojego dziecka. Pragnęła zamknąć się w świecie, gdzie ono wciąż było. Jakby było uwięzione w jej duszy. Dlatego nie chciała o tym rozmawiać. Bo wszyscy mówili tylko o jego śmierci, a ono dla niej wciąż żyło. W tym momencie czuła, jakby ktoś kazał jej zrobić krok w przepaść, gdzie stanie twarzą w twarz z rzeczywistością, bo nie da rady już dłużej żyć w wymyślonym świecie, bez przyszłości i bez nadziei.

Wyciągnęła dłonie w górę i wciąż walcząc ze sobą, wypuściła gołębia z rąk. Ptak zatrzepotał skrzydłami i uniósł się ku górze. Stała jeszcze przez chwilę, po czym znowu zamknęła powieki, czując, jakby właśnie część jej duszy od-

frunęła w przestworza, odzyskując wolność. Gorące łzy płynęły po jej policzkach i były symbolem żałoby po dziecku, którą musiała przeżyć, by móc iść dalej. „Kary” objął ją mocno i trzymał tak długo, aż płynące łzy nie przeszły w szloch, a wewnętrzny ból nie zamienił się w fizyczny, powodując, że Alicja niemal zwijała się w kłębek, wydobywając z siebie to, co tak bardzo chciała ukryć przed światem i samą sobą. Nigdy nie pomyślałaby, że ten kompletnie obcy człowiek zrozumie ją bardziej niż najbliższa jej sercu osoba, czyli ojciec tego maleństwa, z którym właśnie się pożegnała. Było to dziwne, ale czasami spojrzenie prawdzie w oczy zrzuca z barków ogromny ciężar i pozwala uwierzyć, że istnieje lepsze jutro bez względu na to, co wydarzyło się wczoraj.

12. Magnuszew, 1942

– Mój Boże... – szepnęła Hanka. – Profesor zamordowany... Może to gestapo?

– Nie mam pojęcia, kto mógłby być na tyle podły, żeby pozbawić takiego dobrego człowieka życia. Oprócz Niemców. Ale oni lubią porządek, nawet jeśli zabiliby go w domu, nie zostawialiby trupa w mieszkaniu i nie czekali, aż ktoś przypadkowo go odkryje. Ale, Hanka, ty nie słuchasz, co mówię. Dzieciaki z kamienicy mówiły, że ktoś wypytywał o mieszkające u niego kobiety. Nie mam pojęcia, o co może chodzić. Gestapo po prostu zwinęłoby wszystkich mieszkańców na Szucha i w ciągu dziesięciu minut wiadano by o nas wszystko. Tymczasem kręcił się tam jakiś dzieciak. Dlatego przyjechałam sprawdzić, czy nic ci nie jest – tłumaczyła Alicja.

– No nie jest... To wydarzyło się kilka miesięcy temu. Gdyby ktoś mnie szukał, a profesor zdradziłby im miejsce mojego pobytu, już bym wiedziała... Co prawda pęta się koło mnie jeden taki szwabski oficer, ale raczej robi to z sympatii i nudów – Hanka myślała na głos.

– Musisz jednak przyznać, że to dziwne. W razie czego rozejrzyj się za nowym lokum – z westchnieniem powiedziała Alicja.

– Nie mam siły, Alka. Mam dwójkę dzieci i jedyną wyrękę z Ireny. Ale ona wyszła za mąż, jest szczęśliwa, nie wyrwę jej z gniazda. Żebym chociaż wiedziała, jak znaleźć Emila, wtedy miałabym miejsce, gdzie mogłabym uciec. Alicja, błagam, odszukaj go, jeśli to możliwe i powiedz mu, gdzie jestem albo chociaż uprzedź, że mogę pewnego dnia zwalić mu się na głowę.

Alicja milczała przez chwilę. Nie ufała Emilowi, ale co miała powiedzieć Hance? „Twój ukochany brat to konfident, zdrajca i najgorsza polska szumowina”? Przecież byli rodzeństwem. Poza tym oboje z Julianem doszli do wniosku, że Emil doniósł na Łyszkina, bo chciał się pozbyć bolszewika z otoczenia siostry, a uwięzienie Hanki było pokłosiem tej decyzji. Jej samej nie chciał zrobić krzywdy i nie było powodu, żeby miało się to zmienić. W dramatycznym momencie w istocie mógłby udzielić jej schronienia i wsparcia.

– Spróbuję, Hanka, ale to może się okazać trudniejsze, niż myślisz. Nie mamy wspólnych znajomych... – Alicja wzruszyła ramionami.

– Tak bardzo za nim tęsknię – westchnęła. – Wiesz, mój brat często chodził na Kercelak, robił tam jakieś interesy. Chociaż nie widziałam go od tak dawna... więc nie wiem, czy to wciąż aktualne.

– Hanka, musimy jednak pomyśleć, co zrobić teraz. Nie możemy czekać, aż znajdę Emila... Albo nie znajdę. Poza tym powrót do Warszawy? Najgorszy z pomysłów. Szwaby dostają wścieklizny. Na prowincji jest spokojniej. – Alicja odwróciła wzrok.

Hanka jednak nazbyt dobrze znała swoją przyjaciółkę, by nie dostrzec tego ledwo uchwytnego smutku w oczach, który chciała ukryć.

– Znowu coś nawywijałaś? – zapytała podejrzliwie Hanka.

– Straciłam dziecko.

– Przecież ty nie miałaś dzieci...

– Byłam w ciąży. I już nie jestem. Ale chyba nie chcę już do tego wracać. Pogodziłam się z tym. Całkiem niedawno, ale doszłam do siebie. Tylko mój związek z Julianem się sypie. On także to przeżył i oddaliliśmy się od siebie. – Alicja machnęła ręką.

– Mówisz o tym tak spokojnie? – Hanka była podejrzliwa.

– Wiesz co... Przez te wszystkie lata, zwłaszcza gdy Julian był zaręczony z Adrianną, wydawało mi się, że jest człowiekiem bez skazy. Chodzący ideał. Męski, pewny siebie. Taki, który zawsze wie, jak się zachować i jak postąpić. Gdy poznałam go lepiej, powoli odkrywałam jego prawdziwe oblicze. To nie zarzut, sama mam mnóstwo wad i słabości. Po prostu Julian nie jest wyjątkowy. Jest człowiekiem. Ani lepszym, ani gorszym ode mnie. Jednak on pragnie, żebym wciąż w nim widziała ideał, a w sobie tę złą dziewczynkę. Nie godzę się na to. Myślę także, że gdyby nie było w jego pobliżu Weroniki, tej lekarki, która ugania się za nim, jak ja niegdyś, może Chełmicki patrzyłby na siebie w sposób bardziej przystający do rzeczywistości. Tymczasem ona utwierdza go w przekonaniu, że wszystko, co robi, jest słuszne albo w pełni usprawiedliwione. Trudno zdobyć się na obiektywizm w stosunku do siebie, gdy masz wokół siebie ludzi, którzy są bezkrytyczni i ślepo w ciebie zapatrzeni. A Julian za każdym razem, gdy powinien dokonać osądu własnych czynów, biegł schronić się pod skrzydłami pani doktor, która jest absolutnie piękna i mądra, a zatem nie może się mylić. Nie to co prosta dziewczyna z Chełmic, mająca diabła za skórą i mnóstwo mało chwalebnych czynów za sobą. Ja byłam taka sama. Wszystko brałam za dobrą monetę, rozgrzeszałam się w zaciszu domowym i wybaczałam sobie wszystko. Teraz, gdy spotkało mnie tak wiele złego, potrafię patrzeć na siebie mniej łaskawym wzrokiem. Julian po prostu jeszcze do tego nie dojrzał, a towarzystwo Weroniki wcale mu w tym nie pomaga, tak jak mnie nie pomagał związek z Martinem.

Alicja wyrzuciła w końcu z siebie to, co leżało jej na sercu. Bolało, uwierało i obdarło ze złudzeń, że istnieje miłość idealna, wybacząca najgorszą podłość i taka, która jest w stanie przezwyciężyć wszystko. Ale taka miłość nie istniała, tak samo, jak nie było na świecie idealnych ludzi. Gorzka to była pigułka, ale należało ją przełknąć i kochać mimo wszystko. Jej narzeczony jeszcze tego nie zrozumiał i jedyne, czego się bała, to tego, że nigdy nie zrozumie.

– Nie kochasz już Juliana? – Hanka aż podniosła brwi ze zdumienia.

Odkąd się zaprzyjaźniły, Chełmicki był w życiu Alicji jak kompas. Podążała jedynie w kierunku, który on wyznaczył. Nie było w życiu jej przyjaciółki niczego ważniejszego niż miłość do Juliana. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że to oszałamiające, wręcz narkotyczne uczucie może nagle się skończyć i to w chwili, gdy wszelkie przeszkody między nimi zdawały się już zniknąć.

– Nie wiem, co czuję. – Alicja bezradnie rozłożyła ręce. – Myślę jednak, że miłość tak się nie kończy. Nie może, bo wtedy nie byłaby prawdziwą miłością. To nie kartka z kalendarza, którą wyrywamy jednym ruchem, gdy minie dzień. Ale zmienia się, dojrzewa, wystawia na próby. Gdyby nie Weronika...

– A nie możesz tej lafiryndy za ondulację wyczochrać? – rozbrajająco zapytała Hanka.

Alicja poklepała ją po dłoni i powiedziała z westchnieniem:

– Nie mogę. Uratowała życie Julianowi. Zresztą to nie o to chodzi, żebym usuwała z drogi swoje rywalki. Tylko o to, żeby Julian to czynił. Kobiety, które w ten sposób bronią swojego terytorium, są żałosne. Co z tego, że jedna czy druga zniknie z horyzontu, jeśli zamieszka w jego sercu, zadomowi się i będzie źródłem jego westchnień i tęsknoty. Można kogoś wymazać z życia, ale nie z serca i umysłu. A na to nie pomoże żadna izolacja ani sceny zazdrości. Mogę knuć intrygi, doprowadzić do tego, że przestaną się widywać czy w jakikolwiek sposób kontaktować, ale czy to sprawi, że Julian przestanie o niej myśleć? Uważam, że to największy błąd kobiet, które nagle spotkają na swojej drodze taką rywalkę. Wtedy nigdy nie przekonają się, czy zatrzymały przy sobie mężczyznę, bo są przez niego kochane, czy dlatego, że wbiły kij w mrowisko. Nie jestem desperatką. Jeśli to, co jest między nami, jest prawdziwe – przetrwa. Jeśli nie – oznacza, że nigdy nie było.

Hanka uśmiechnęła się.

– Wiesz, Alicja, nigdy nie pomyślałabym, żeś tak zmądrzała. Myślę podobnie, chociaż pewnie nie umiałabym ubrać tego w tak piękne słowa. Igor jest te-

raz daleko. Zapewne nawet w czasie wojennej zawieruchy spotyka na swojej drodze inne kobiety. Być może nawet ulega pokusie, ale co mogą zrobić? Zadręczać się, gryźć z powodu zazdrości? Ja po prostu tęsknię. A jeśli pokocha inną? Cóż będą mogła zrobić?

Siedziały obie prawie do rana, rozważając, jak skomplikowana potrafi być miłość. Zwłaszcza gdy wystawiana jest na próby rozłąki i życiowych katastrof. A może to owe tragedie zbliżały ludzi mimo przejściowych kłopotów? Alicja była przekonana, że utrata dziecka albo scementuje jej związek na zawsze, albo rozsypie się on niczym domek z kart. Nie chciała jednak pełna tęsknoty biernie czekać na wynik, ale wypuściła swoje uczucie na wolność, jak niedawno gołębia, którego włożył w jej dłonie Sergiusz. Ten gest, tak prosty w swej wymowie, był symbolem tłumionych uczuć, którym niekiedy należy dodać skrzydeł, wypuścić w przestworza i nie czekać na ich powrót.

Wciąż jednak nie mogły dojść do porozumienia w kwestii pozostania Hanka w Magnuszewie. Alicję bardzo niepokoił ów niemiecki oficer odwiedzający jej przyjaciółkę niemal codziennie. Z jednej strony najciemniej bywało pod latarnią, z drugiej cała sytuacja wydawała się dość niejasna. Jeśli znasz wroga, zaczynasz zastanawiać się, jak z nim walczyć, taki anonimowy powoduje bezradność. Jednak Hanka miała rację – jeśli do tej pory nic się nie wydarzyło, a ona wciąż żyła w spokoju, zapewne to nie jej szukał ów dzieciak.

I nagle przed oczami Alicji stanął obszarpany chłopak, którego spotkała nieopodal kamienicy, w której mieszkała niegdyś z Martinem. Dzieciak przychodzący z ostrzeżeniem, że oto gestapo na nią poluje. Co gorsze, okazało się to prawdą. Wyszła z całej sprawy bez szwanku, właśnie dzięki temu nieznanemu chłopcu, bo po jego ostrzeżeniu była czujna i uważna. I dopiero gdy zabiła Grossa, zawisnął nad jej głową miecz Damoklesa. Czy tym razem także to on jej szukał? Co miał jej do przekazania i dlaczego zginął profesor? Może dlatego, że wiedział o niej zbyt wiele? Albo tak się wydawało jego oprawcy? Nie miała pojęcia, kto i dlaczego chce ją chronić.

Przełknęła ślinę. Jej Anioł Stróż bywał niekiedy bardzo brutalny.

13. Równe, Ukraina, 1942

Rozłożona mapa była do niczego. Igor przykładał drewnianą linijkę, przeliczał kilometry, szukał dróg, które powinny być na mapie, a nie mógł ich odnaleźć, w końcu rozzłoszczony cisnął płachtę w kąt i syknął:

– Jakiś kompletny ignorant to robił.

– Pewnie był pijany w trzy dupy. – Stojący obok kompan roześmiał się i dodał: – Traktujesz to strasznie poważnie. Przecież to tylko mapa.

Łyszkin zdenerwował się. Nie tylko faktem, że miał mapę do niczego, ale też niefrasobliwością swoich towarzyszy. Miał świadomość podejmowanego ryzyka. Za każdym razem, gdy wyruszał na akcję. Chciał jednak, żeby to było skalkulowane ryzyko. Z prostej przyczyny – pragnął jeszcze trochę pożyć. Miał plany, marzenia i pragnienie egzystencji w świecie, gdzie nie ma wojny. Myślał o tym, że chciałby chociaż przez jakiś czas rozkoszować się rodzinnym ciepłem, spłodzić potomstwo i radować zwyczajnymi rzeczami. Dotychczas albo walczył, albo poświęcał się idei. I pewnie gdyby nie Hanka, nadal żyłby w świecie, gdzie podobne sprawy wydają się zbyt małe i proste, by dążyć do nich. Tymczasem to szaleństwo, które stało się jego udziałem, życie na krawędzi bez końca, pozwoliło mu docenić inne sprawy. Prosty żywot. Radość ze wschodów i zachodów słońca, szczęście, że obok jest ukochana osoba, czy wreszcie codzienne obcowanie z rodziną. Naturalna kolej życia, wyznaczana prozaicznymi sprawami, bez ciągłego uciekania, lęku i igrania ze śmiercią, jakby ta była pierwszoplanową postacią. Ciągłe napięcie, adrenalina, złość i wciąż podsycana nienawiść do wroga nie były dla Łyszkinina czymś, co uważał za normalne. Ale tkwił w tym, bo nadzieja na lepsze jutro pozwalała mu to dziwne życie zaakceptować. Nie chciał zaznać jedynie takiego losu. Zginąć od kul wroga albo podczas tortur. Dlatego brawura była mu obca, starał się wszystko planować z najmniejszymi detalami, przewidzieć każdy problem i znaleźć jego rozwiązanie. I chociaż uchodził za narwanego w swoim otoczeniu, on zauważył przemianę, jaka w nim zaszła. Miał cel. A było nim rodzinne szczęście z Hanką Lewin u boku. Nie chodziło nawet o nią samą, przecież mógł zakochać się w innej kobiecie, ale o namiastkę tego, co zaznał, gdy mieszkał z ukochaną i jej córką w Bocianowie.

– Gadasz *kak durak* – mruknął poirytowany Igor. – Teraz będę musiał wszystko sam policzyć i rozrysować. Pamiętaj, Niemcy nie znają tych terenów i łatwo ich zgubić, ale Ukraińcy to nie są nasi bracia i przyjaciele, tylko tacy

sami wrogowie jak „frycki”. A oni, mój *drugu*, znają te tereny jak własną kieszeń.

– Podobno przysłali ci dziewczynę do pomocy – ugodowo powiedział żartujący z radzieckich map żołnierz.

– Tak, prosiłem o jakąś sprytną, ładną kobietę.

Igor pokiwał głową, wciąż myśląc o kolejnym zadaniu, które go czekało. A było nim zabójstwo jednego z sędziów powołanego przez Reichskommissariat Ukraine bezlitosnego sądu specjalnego. To była ważna figura, chociaż nie aż tak bardzo, jak znienawidzony Erich Koch. Ten jednak musiał poczekać na swoją kolej.

– Jest już u dowódcy. Chłopcy mówili, że niezła z niej sztuka – zarechotał żołnierz.

– Jesteście tak spragnieni bab, że nawet czarownica mogłaby uchodzić tutaj za piękność – złośliwie odpowiedział Igor i wyszedł z baraku.

Przebrał się w niemiecki mundur i zdjął plandekę z niemieckiego motocykla. Miał zamiar sam sobie zrobić mapę i ustalić drogi ewakuacji z Równego po zabiciu sędziego *Sondergerichtu*, Rudolfa Gerlinga. Ten człowiek był fiszą. Jeździł z obstawą, hulał w towarzystwie Kocha i innych dygnitarzy oraz cieszył się bardzo złą sławą. Nie tylko wysyłał na śmierć Żydów i Polaków, których nie dopadli Ukraińcy przed nastaniem jesieni 1941 roku, ale także wydawał bezlitosne wyroki na zatrzymywanych towarzyszy z NKWD i radzieckiej partyzantki. Zamach na jego życie zapewne postawi na równe nogi cały aparat gestapo w Równem i okolicy, a także inne służby, w których szeregach wciąż było wielu Ukraińców dobrze obeznanych w dzikim terenie.

Sędzia miał jednak pewną słabość. Do młodych, ładnych kobiet. I mimo że był zagorzałym wyznawcą teorii *Übermensch*, nie przeszkadzało mu to kompletnie w obcowaniu cielesnym z młodziutkimi Słowiankami, a nawet Żydówkami. Owi niemieccy idealisci najwyraźniej nie panowali nad swoją chucią, bo w łóżku te dziewczyny już nie były „brudne” i „skazone” złą krwią. Dlatego Igor potrzebował wabika w postaci ponętnej niewiasty, by ta mogła zaciągnąć Gerlinga w ustronne miejsce. Sędzia podniecony, rozebrany i pozbawiony czujności mógł być łatwym celem, ale zaraz potem należało się ewakuować, zanim rozpęta się piekło.

Rozeznanie w terenie zajęło Łyszkinowi cztery godziny. I w tym czasie zdołał zaplanować ucieczkę. Na wypadek, gdyby się nie powiodła, miał jeszcze kilka innych dróg odwrotu. Pogratulował sobie, że nie zaufał radzieckim ma-

pom, bo nie tylko obliczenia odległości okazywały się fałszywe, ale także brakowało na nich trzech dróg, które mogły być doskonałymi szlakami ucieczki.

Powrócił do kwatery i rozpostarł zgniecioną pod wpływem złości mapkę. Zaczął nanosić na nią własne oznaczenia i drogi. Było to znużające i nużące, ale nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Jego pora snu była dokładnie wyznaczona, jak również czas odpoczynku. A to miało nastąpić dopiero za trzy godziny.

Drzwi baraku zaskrzypiały i stanął w nich jeden ze zwiadowców.

– Dowódca cię wzywa – poinformował, ziewając.

Igor odłożył mapę i udał się do baraku dowódcy. Wiedział, po co go wzywa. Zapewne przybyła dziewczyna przeszła weryfikację i była gotowa do dyspozycji Łyszkin. Wszedł do środka i z przerażeniem stwierdził, że jego przynętą ma zostać... Marina.

– Co jest, do cholery? – wyrwało mu się zamiast powitania.

– Podobno się dobrze znacie. To nawet lepiej – stwierdził dowódca.

Marina patrzyła na Igora z takim samym zachwytem jak w Kijowie. Ale Łyszkin był wzburzony. Pragnął pozbyć się jej ze swojego życia, poza tym uważał, że kompletnie nie nadaje się do tej roli. Była płacziwa, gadatliwa i zbyt emocjonalnie podchodziła do wykonywanych obowiązków. Jedynym jej plusem było posłuszeństwo, ale on do tego zadania potrzebował osoby, która sama będzie umiała pokierować pewnymi aspektami akcji.

– Nie chcę jej – powiedział bez ogródek i dość arogancko.

Mógł sobie pozwolić na wyrażanie swojego zdania nawet niepytany i w towarzystwie przełożonych, bo był najlepszy. Jego akcje zawsze kończyły się bezpiecznie i przyniosły wiele dobrego. Miał więc nadzieję, że jeśli wyda Marinie złą opinię, dowództwo ugnie się i odeśle ją do domu.

Dziewczynie w jednej chwili zrzędała mina. Nie tak sobie wyobrażała spotkanie z ukochanym. Nie zraziło jej to jednak, ponieważ знаła go dobrze i wiedziała, że potrafi być dla niej okrutny.

– Marino, zostaw nas samych – spokojnie powiedział dowódca.

Wstała i spłoszona opuściła barak.

– Co z nią nie tak, Łyszkin? – warknął dowódca, marszcząc brwi.

– Nie nadaje się.

– Nie mamy lepszej agentki. W każdym razie takiej, która byłaby piękna, młoda i pojętna. Mogła tu przybyć Tamara Rudajewna, ale zapewniam cię, że nawet taki spaślak jak Gerling nie połasiłby się na nią. Chyba że byłby zdespe-

rowanym pedałem, bo Tamara jak żywo przypomina faceta. – Z każdym wypowiedzianym słowem dowódca robił się coraz bardziej zły.

– Marina jest apetyczna i zapewne nasz sędzia byłby zachwycony jej towarzystwem, ale nie chcę, żeby moje życie zależało od kogoś tak nieporadnego, jak ona. – Igor był nieugięty.

Nie tylko fakt, że nie miał najlepszego zdania o umiejętnościach Mariny, to sprawił, ale także dziwne uczucie, którego nie rozumiał. Nie chciał się sam przed sobą przyznać, że robił się wściekły na samą myśl, że spocone dłonie Rudolfa Gerlinga będą ją dotykać, a tłuste cielsko przywierać do jej doskonałego ciała, które do niedawna należało do niego. Wystarczająco męczył się z myślą, że niegdyś jego ukochana Hanka sypiała ze swoim mężem, innym mężczyzną, który przez jakiś czas zajmował jego miejsce. Nie kochał Mariny, ale zachowywał się jak samiec broniący swojego terytorium.

– Posłuchaj, nie masz wyboru. To jest rozkaz – kończąc dyskusję, mruknął dowódca, rozżłoszczony postawą Łyszki.

Igor wyszedł bez słowa. Na zewnątrz, na niewielkim pieńku siedziała Marina i zaplatała długie włosy w warkocz, nucąc pod nosem rosyjską pieśń rewolucyjną. Przymknął powieki i westchnął. Był przekonany, że zgłosiła się na ochotnika, by uczestniczyć w akcji tylko po to, by znaleźć się blisko niego. W normalnych okolicznościach zapewne taka postawa mile polechtałaby jego męskie ego, ale w obecnej sytuacji nie chciał i nie powinien kierować się żadnymi sentymentami. Jeśli jego towarzyszka sądziła, że teraz nastąpi czułe powitanie zakończone upojną nocą, to nigdy w życiu tak się nie pomyliła.

– Chodź ze mną. Do jutra musisz być gotowa – powiedział chłodno.

– Dziękuję, że jednak się zgodziłeś – zaszczebotała słodko Marina i popatrzyła na niego wzrokiem pełnym uwielbienia.

– Taki dostałem rozkaz. I jestem zły, że przywlokłaś tutaj swoje dupsko – mruknął.

Zmieszała się.

– Ja też dostałam rozkaz... – Próbowała się bronić i jednocześnie zmiękczyć nieugiętego Igora.

– A nie zgłosiłaś się przypadkiem na ochotnika? Co? – warknął.

– Nie chciałam już siedzieć beczynie w Kijowie. – Zrobiła naburmuszoną minę.

– I uznałaś, że pieprzenie się ze spasionym Niemcem zapewni ci rozrywkę i zastrzyk adrenaliny?

– Chciałam być przy tobie...

– Ale ja nie chciałem, żebyś ty była przy mnie – westchnął i dodał: – Chodź, muszę ci wszystko objaśnić.

Weszli do baraku, w którym rezydował, i usiedli przy zbitym z surowych desek stole, gdzie rozłożona była mapa przykrywająca plamy z jedzenia i zbożowej kawy. Marina przesunęła dłonią po odsłoniętej części stołu, chcąc zmieść okruszki chleba. Igor pokręcił głową.

– Tutaj jest pełno drzazg. To nie luksusowe mieszkanie w Kijowie – burknął.

– Bądź miły – jęknęła i szybko zabrała rękę ze stołu.

– Wyjeżdżamy jutro o siódmej wieczorem. Motocyklem. Chłopcy pojedą za nami furgonetką. Wsiądziesz na obrzeżach Równego i będziesz musiała w ciągu dwudziestu minut dotrzeć do tej knajpy. – Popukał palcem w plan miasta, równie dokładny, co radzieckie mapy. – Nie możesz korzystać z okazji i w ogóle powinnaś być niewidzialna. Założysz na swój seksowny strój długi, bezkształtny prochowiec, a na głowę chustkę. Zanim wejdiesz na salę, udasz się do toalety i zrobisz na bóstwo. Będę na ciebie czekał w holu. Potem wejdziemy do środka i przysiadzimy się do Gerlinga. Dalej będziesz robiła wszystko, co zaraz powiem.

Pokiwała głową.

– A teraz przeczytaj, kim jesteś, skąd pochodzisz i jak to się stało, że zaczęłaś puszczać się z Niemcami. Gerling nie powinien być zdziwiony twoim akcentem, bo zanim się odezwiesz, będzie kompletnie pijany. Do tego momentu możesz wypowiadać pojedyncze słowa, lepiej jednak, żebyś tylko uśmiechała się uwodzicielsko.

– Daj spokój, wiem jak uwodzić mężczyzn – burknęła, nieco urażona tak szczegółowymi instrukcjami.

– No tak, w rzeczy samej – mruknął.

– Kocham cię... – powiedziała cicho. – A ty mnie nie?

– Zamknij się i słuchaj dalej, bo odeślę cię do Kijowa, a z sędzią sam się rozprawię.

– Wiesz, że beze mnie będzie to daleko trudniejsze... – Marina robiła się coraz pewniejsza.

– Ale nie będę musiał słuchać twoich ckliwych wyznań – powiedział ostro, po czym podszedł do dziewczyny i chwycił ją za ramiona. – Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Nigdy cię nie kochałem, nie kocham teraz i nie ma

szans, żeby to się zmieniło. Co mam ci jeszcze powiedzieć, żebyś w końcu zostawiła mnie w spokoju?

– Kochaj się ze mną. – Patrzyła mu w oczy, jakby nie słuchała tego, co jej mówił.

– Tak... Mógłbym teraz rzucić cię na tę brudną pryczę i poużywać sobie, bo, jak widzisz, jest u nas deficyt kobiet. Albo mógłbym oprzeć cię o ten upaprany stół, nie zważając na drzazgi, odwrócić tyłem, zrobić sobie dobrze, a po jakichś trzech minutach już o tobie nie pamiętać. W końcu jestem zdrowy, młody i mam swoje potrzeby, a z ciebie jest *krasawica*, ale wtedy skrzywdzę cię jeszcze bardziej. Tak jak to zrobiłem w Kijowie. Miałem nadzieję, że mi to wybaczysz i zapomnisz o mnie, ale ty lecisz jak ćma do ognia. Lubię cię, życzę ci wszystkiego dobrego i nie chcę być tym płomieniem, który podpali ci skrzydła. Jesteś taka młodziutka, śliczna i dobra z ciebie dziewczyna. Poszukaj sobie kogoś, kto zasłuży na twoją czystą i bezwarunkową miłość, bo ja do tego grona się nie zaliczam – powiedział z rezygnacją, bo już nie miał pojęcia, jak dotrzeć do Mariny, jeśli jego obcesowe, a nawet chamskie zachowanie jej nie zraziło.

Obawiał się, że po tym wywodzie się rozklei, zacznie histeryzować, wylewać łzy i żale, zamiast skupić się na planach akcji, ale pomylił się.

– Gerling chodzi z dziewczynkami do swojej kwatery czy gdzieś indziej? – zapytała rzeczowo.

Popatrzył na nią podejrzliwie, ale broda jej nie drżała, a oczy nie wypełniły się łzami.

– Zabiera je do siebie. Nie jest jednym z tych żołdaków, którzy są tak napałeni, że robią to w toalecie albo opierają dziewczynę o najbliższy płot.

– Albo o brudny stół... – odcięła się.

Przewrócił oczami i ciągnął dalej:

– Gerling mieszka na parterze, ale jego sąsiadami są niemieccy oficerowie, więc mogą być czujni. Musisz sprawić, że otworzy okno. My zajmiemy się resztą. Jak tylko wejdziemy, wyskakujesz i odjeżdżasz z chłopakami.

– A ty? – zatroskała się Marina.

– Ja wrócę motocyklem. Jak już będzie po... wszystkim. Zobaczymy się na punkcie – odpowiedział Igor, nie zważając na słodki ton Mariny. Po chwili dodał: – Przywiozłaś ze sobą coś ładnego do ubrania?

– Tak... – bąknęła. – Chcesz zobaczyć i sprawdzić, czy w tym stroju wystarczająco przypominam tanią kurewkę? – zapytała złośliwie.

– Pieprzysz się z oficerem z Einsatzgruppen, więc pewnie do najpośledniejszych nie należysz. – Igor starał się nie zwracać uwagi na przytyki Mariny. – Dobrze, pokaż się.

Po kilku minutach weszła z powrotem do baraku, w zwiewnej sukience odsłaniającej rowek między piersiami i w makijażu, który rozwiewał złudzenia co do jej profesji. Łyszkin podszedł do niej i dłonią starł z jej ust czerwoną szminkę. Wyciągnął z upiętych w wysoki kok włosów metalowe szpilki i pozwolił, żeby swobodnie opadały na ramiona. Zapiął jej dwa guziki w sukience i odkleił niezbyt delikatnie sztuczne rzęsy.

– Masz wyglądać świeżo, jak gdybyś była nowicjuszką w branży, a nie jakbyś zaliczyła całe koszary – powiedział i z pewnej odległości przyjrzał się Marinie. – Tak, teraz wyglądasz ponętnie i tak... dziewiczo.

Parsknęła śmiechem.

– Ekspert od dziewic – mruknęła i wyszła z baraku.

Po chwili otworzyła ponownie drzwi i, stojąc w progu, powiedziała:

– I tak będziesz mój...

14. Warszawa, 1942

– Upłynnisz mi fanty. Dam ci dziesięć procent – powiedział Emil, trzymając w dłoniach starą walizkę.

Franek splunął i bez słowa odwrócił się plecami do Lewina.

– Ej, ej... No co ty, Franek? Zły jesteś o co na mnie? – zapytał zdziwiony Emil.

„Diamentowa Rączka” odwrócił się i syknął:

– Ty, Lewin, lepiej mi z patrzyków zejdziesz, bo jak nie, to tak ci cyferblat obiję, że cię rodzona stara nie rozpozna – warknął.

– A za co ty mnie chcesz po ryju lać, Franek?

– Nie wiesz, parszywcu? Ja tam, psia twoja mać, wszystko kapuję i sam na ministranta się nie nadaję, ale to co ty robisz, stary, to na drewnianą jesionkę zasługuje. I nie przyłaż mi tu więcej, bo jak mnie z tobą kto wypatrzy, to pomyśli, że ja taki sam skurczygnat jestem, jak i ty. – Franek patrzył na Lewina z pogardą.

– Ty, Franek, nie bądź taki hop do przodu. Dorabiałeś się na przemyście, jak i ja. I wtedy było cud malina, jak musiałem szwabom smarować, a teraz, jak się ucięło, to wielki mi patriota się zrobiłeś. – Emil był przekonany, że niechęć Franka dotyczy procederu, którym się obaj parali, tylko nagle jego kompan doszedł do wniosku, że nie było to moralnie słuszne.

„Diamentowa Rączka” złapał Lewina za poły marynarki i przycisnął do ściany jednej z drewnianych bud.

– Powiadają, że pieniądze nie śmierdzą. Pewnie i tak, ale są takie, których lepiej nie wachać. Ja tam pejsaków nie lubię, ale żebym ich miał na krawat posyłać, to już bym najgorszym bydlakiem był. A ty, hieno w dupę lepsza, wyciągasz od ludzi szmal, bo pejsaków ukrywają i straszysz ich, że doniesiesz do szwabów. Powiniennem ci za to kosę sprzedać, ale mam miętkie serce nawet dla parszywców, więc drzyj zelowy, pókim dobry. I skończ z tym kurestwem, bo jak jeszcze raz się dowiem, że ci ludzie smarują za takie rzeczy, to skończysz w Wiśle jako topielec. Jasne? – Franek coraz mocniej przyciskał Lewina.

Emil chciał coś powiedzieć, okłamać Franka, ale ten był bardzo pewny swoich słów. I jeśli dotychczas akceptował pewne metody Lewina, to teraz ten najwyraźniej przekroczył granicę, której „Diamentowa Rączka” przekroczyć nie chciał za żadne pieniądze. Nie było to dla Emila niespodzianką, że jego

nowy proceder nie zyskał uznania w oczach kompana, dlatego nic mu o nim nie powiedział, martwiło go jedynie to, że ten o tym wie.

– Rozumiem twoją złość. Odpalę ci działkę i możemy dalej działać wspólnie. – Emil starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie.

– Błagujesz... – Franek puścił połę marynarki Lewina i zapytał chytrze: – A kto ci nadaje, Emil?

– Taki jeden z getta. Listy przemyca na drugą stronę. No i wtedy wiadomo, że tam gdzie się ukrywają pejsaki – bąknął Lewin, wzruszając ramionami.

– Aha, to taka kombinacja... – burknął „Diamentowa Rączka”. – Słuchaj, Lewin, dałeś mi mamony zarobić i masz kiepełę do tych spraw, dlatego nie nadam chłopakom na ciebie. Ale teraz bierz dupę w troki i więcej mi się na patrzyły nie pokazuj. – Franek popchnął Emila w stronę chodnika prowadzącego do wyjścia.

– To po coś mnie wypytywał, hę?

– Nie bądź taki cwaniak z miodem w uszach. Na ciebie nie nadam, ale tamtego franta zza muru wysypię komu trzeba i zajmą się frajerem. Nie będzie mógł odróżnić własnej dupy od dziury w ziemi – mruknął Franek.

– Ale on mnie wyda... – jęknął Lewin.

– Jak byłeś taki cwancyk, żeś ludzi chciał na pewną śmierć wydawać, to teraz powąchaj, jak to jest żyć przez cały czas z pełnymi portkami. – Franek uśmiechnął się szyderczo i wmieszał się w tłum.

Lewin skierował swoje kroki ku bramie wyjściowej i doszedł do wniosku, że jego kompan nie pozostawił mu wyboru. Postanowił, że pozbędzie się go na zawsze, a wtedy oddali od siebie niebezpieczeństwo wpadki. Z najnowszego interesu postanowił nie rezygnować, bo zarabiał na tym krocie. Nie zastanawiał się nad innymi aspektami swoich czynów. Jego także nikt nie żałował ani nie litował się nad nim. Dlaczego zatem on miał martwić się o innych? Musiał mieć pieniądze, i to niemałe, bo w tym świecie były one najlepszą polisą ubezpieczeniową. Być może nadejdzie taki dzień, że będzie musiał uciekać z kraju. A to kosztowało fortunę. W dodatku miał dziecko i nieletniego podopiecznego, więc im także musiał zapewnić byt i bezpieczeństwo.

Pełen goryczy i złości na siebie, że tak łatwo dał się podejść Frankowi, dotarł do domu. Karolek był u sąsiadki, ale nie miał zamiaru jeszcze po niego iść. Ukroił sobie kromkę chleba, kawałek słoniny i sięgnął po elegancką kryształową karafkę, do której Adrianna zwykła przelewać bimber, by dodać ich życiu odrobiny luksusu. Kiedy był już na lekkim rauszu, usłyszał pukanie do

drzwi. Przełknął kęs zagryzki i pomyślał, że Franek jednak go wydał i właśnie ktoś do niego przyszedł, żeby wykonać wyrok. Chwiejnym krokiem podszedł do komody w korytarzu i wyciągnął z niej mausera. Wcisnął za pasek spodni i podszedł do drzwi.

– Kto tam? – wybełkotał.

– Adrianna – odpowiedział mu głos zza drzwi.

Odetchnął z ulgą i otworzył drzwi. Nie przywitał się jednak zbyt serdecznie, wciąż nie mogąc jej wybaczyć, że od niego odeszła. Tak, Emil Lewin uważał, że jego można porzucić tylko wówczas, gdy on sam tego chce.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Wpuść mnie. Chcę porozmawiać – powiedziała spokojnie, po czym oddechnęła go lekko z przejścia i weszła do mieszkania. Rozejrzała się po pokojach i zapytała: – Gdzie Karolek?

– Tam, gdzie zawsze go podrzucałaś, jak szłaś się gzić z tym swoim miglancem – warknął.

– To jest mój mąż, Emilu... Może to i lepiej, że go nie ma, bo przyszłam porozmawiać z tobą.

– Chcesz do nas wrócić, dziwko? – wysapał Emil i czknął głośno.

– Nie chcę do ciebie wrócić. Spójrz na siebie, jesteś zapijaczonym chamem. Zawsze byłeś chamem, tylko udawałeś pana. – Adriannę nieco wzburzyły takie słowa.

– Więc czego chcesz?

– Oddaj mi syna.

– Pocałuj mnie w dupę, suko, i wracaj, skąd przyszłaś. – Emil wciąż był wściekły na dawną kochankę, a dzisiejsze spotkanie z Frankiem dodatkowo wprawilo go w zły nastrój.

Adrianna jednak nie zrażała się ordynarnym tonem Lewina. Usiadła nieproszona na krześle przy stole i przez chwilę zastanawiała się, jak mogła kiedykolwiek kochać tego człowieka. Co siedziało jej w głowie, że zamieniła Chełmickiego na kogoś takiego. Prostaka i ordynusa.

– Tak, Adrianno. Wiem, co teraz sobie myślisz. Że jestem zerem. Pytasz pewnie samą siebie, jak mogłaś wybrać mnie, a nie mojego brata. Ale pewnie nie zastanawiasz się nad tym, że on miał wszystko podane na tacy, bo miał szczęście być kochanym przez swojego ojca. A mnie stary nie kochał i dlatego musiałem do wszystkiego dojść sam. Mówisz, że jestem chamem? A czego miał mnie nauczyć Ignasz Lewin? Ogłady, kultury czy dystyngowanego zacho-

wania? Nigdy tego nie pojmiesz, wychuchana lalko. – Emil wygłosił tyradę to-
nem człowieka, który nienawidzi samego siebie.

– Masz rację. Ja też miałam niewłaściwe wzorce. Uczono mnie, że jestem
jak piękna rzecz, którą należy oddać najwięcej ofiarującemu. Miłość była ułu-
dą, mrzonką. Czymś, co możemy otrzymać, jedynie patrząc w kinowe ekrany
albo zanurzając się w lekturze. Gdy jednak spotkałam ciebie, nauczyłam się tej
trudnej sztuki. Najpierw, jak zwykle, szacowałam twoją majętność, przyznaję,
bo tak mnie nauczono, że jeśli chcę żyć w dostatku, to mężczyzna musi mi go
zapewnić. Niczego nie umiałam, jedyne, co potrafiłam, to dbać o swoją urodę,
bo ona była moim kapitałem. Z czasem jednak to przestało mieć dla mnie zna-
czenie. Mogłeś być biedakiem, człowiekiem wychowanym w chałupie krytej
strzechą. Zrozumiałam, że w miłości to nie ma znaczenia. Mój żal do matki mi-
nął już dawno. Ona chciała dla mnie dobrze. Pewnie dlatego, że pewnego dnia
zderzyła się z biedą i tysiącem problemów, które ta za sobą niosła. Ty wciąż
hodujesz w sobie żal i gniew. Pragnąłeś być innym, a wciąż jesteś taki sam.
Chciałeś się zmienić i nie dajesz rady. Dlaczego? Czy nie możesz w końcu
oderwać się od swojej ponurej przeszłości? Zostawić w tyle urazy? Nie mo-
żesz, nie potrafisz, dlatego zawsze pozostaniesz w tej swojej chacie, gdzie się
wychowałeś i dostawałeś razy – powiedziała mściwie Adrianna.

Te słowa jednak nie przekonały Emila i robił się coraz bardziej zły, a wypity
alkohol jeszcze potęgował jego agresję.

– I przyłazłaś tu tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć? Żeby kolejny raz
mnie poniżyć? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nie... Emilu. Przyszłam po swojego syna. Nie chcę żadnych rzeczy,
w końcu ty je kupiłeś. Wezmę go w tym, w czym jest. – Adrianna nadal była
spokojna.

Śmiech Emila zabrzmiał szyderczo.

– Wynoś się. Dzieciak zostanie ze mną.

– Zastanów się. I to bardzo poważnie. Zatrzymałeś Karolka, żeby mnie uka-
rać. A nie dlatego, że go kochasz i jesteś jego ojcem. Nie ryzykuj więc dla nie-
go. – Błękitne oczy Adrianny pociemniały.

– Nie bardzo rozumiem tych twoich wywodów – burknął.

– Jeśli nie oddasz mi Karolka, pójdę sobie. Ale nie do domu. Udam się do
mieszkania pewnego mężczyzny i opowiem mu kilka interesujących historii.
A właściwie tylko jedną rzecz mu przekażę. Gdzie może cię znaleźć. Więc jak
będzie? Zaryzykujesz swoje życie dla Karolka? Jeśli tak, może wtedy uwierzę,

że naprawdę go kochasz. – Adriannie lekko zaczął drzeć głos. Nie przyszło jej łatwo szantażowanie kogoś, kto sam niegdyś się tym parał.

– Ty szmato! Chcesz mnie szantażować? Mnie? Emila Lewina? – Prychnął, ale po chwili jego twarz stężała.

Adrianna Daleszyńska wcale nie była taka głupia, jak mu się dotychczas zdało. Przestała również go kochać, a to sprawiło, że była gotowa go zniszczyć. Wiedział, jak to działa. Dzisiaj przyszła po syna, następnego dnia może powrócić, by ogołocić go ze wszystkiego, co ma. Mógł uciec, ale ścieżki, które ostatnio wydeptał, były pewne i bezpieczne. Aż do dzisiaj. Zrobiło mu się niedobrze. Najpierw spotkanie z Frankiem wprowadziło go w niepewność i zdenerwowanie, teraz Adrianna próbowała z niego zrobić swojego zakładnika. Nie mógł do tego dopuścić. Podszedł do gramofonu i włączył muzykę. Pokój wypełniły dźwięki pieśni, które z taką wirtuozerią wykonywała jego siostra, Hanka. Chciał rozpocząć nowe życie z piękną Renate przy boku i stworzyć rodzinę z osobą, która nigdy nie pozna historii jego przykrego dzieciństwa. I nagle to wszystko może runąć, bo jacyś ludzie postanowili mówić mu, co ma robić. Wyciągnął zza paska pistolet, podszedł do siedzącej Adrianny i strzelił jej w skroń. Dźwięk strzału rozplątał się w trzaskach kręcącej się na patefonie płyty. Adrianna Daleszyńska osunęła się na dywan, wpatrzona martwymi oczami w największą miłość swojego życia.

Emilowi trzęsły się ręce, gdy odkładał na stół mausera. Ukłękął przy martwej Adriannie i zaczął łkać, szeptał:

– I coś ty zrobiła, Adrianno? Po coś to uczyniła?

Po chwili podniósł głowę i zobaczył w drzwiach przerażoną twarz Szymka Wielopolskiego. Nie miał pojęcia, co zobaczył dzieciak, ale wrócił do równowagi w jednej chwili.

– Wyjdź, Szymek. Błagam cię, wyjdź stąd.

– Dlaczego ciocia Adrianna się zastrzeliła? – zapytał przerażony chłopiec i wybiegł z pokoju.

15. Leningrad, 1942

Walter von Lossow przez cały poranek stał w oknie i wypatrywał powrotu Olgi. Nie dręczyła go obawa o to, że ucieknie, ale drżał o jej życie i zdrowie. Gdyby pozostała w Leningradzie, groziła jej śmierć z głodu i wycieńczenia. Mimo nadchodzącej wiosny, odsłaniającej tysiące trupów zmarłych z zimna i braku jedzenia, nic nie zapowiadało, aby miasto miało się poddać. Jednak Olga Iwanowna została tak bardzo upokorzona ciągłymi gwałtami i ostracyzmem społecznym, że nie zdziwiłby się, gdyby postanowiła z tym skończyć i zaryzykować pozostanie w Leningradzie. Tak niewiele o niej wiedział, była małomówna, a jeśli już podejmowała rozmowę, najczęściej wypowiadała się na temat literatury albo muzyki. Lossow także się nie zwierzał. Stali po dwóch stronach barykady, uwikłani w okrutną wojnę, której oboje nienawidzili. Co mogli sobie powiedzieć? Żadne słowa nie oddawały tego, co czuli. Nie było między nimi zauroczenia nakazującego zmianę optyki ani dylematów z tym związanych. Po prostu pewnego dnia znaleźli się w obcym im świecie, jak rozbitkowie, których łajba roztrzaskała się przy brzegu bezludnej wyspy. I musieli nauczyć się z tym żyć, pogodzić się z faktem, że nie mogą uciec, i jedynie, co powinni, to przetrwać na owej wrogiej wyspie, zachowując resztki człowieczeństwa.

Około południa Olga powróciła do ich kwatery. Spóźniła się ponad godzinę, podczas której Walter zdążył już się z nią pożegnać i poczuć zarówno tęsknotę, jak i złość. Gdy ujrzał ją idącą ulicą, postanowił, że rozmówi się z nią stanowczo, bo kolejny raz nie przeżyje podobnego scenariusza. Jednak kiedy stanęła w drzwiach, roześmiana i z błyskiem w oczach, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział, cała wściekłość ulotniła się.

– *Izwinitie* – powiedziała z miną małej dziewczynki, która z pełną premedytacją narozrabiała, licząc na łagodną karę. – Jak ja się ucieszyłam, że oni wszyscy przeżyli...

– Zabrałaś z plecaka prawie cały nasz prowiant – powiedział łagodnie Walter.

– Ale przyniosłam go z powrotem. Zięć Kuźniecówów pracuje w Smolnym, siedzibie Frontu Leningradzkiego. Jedzenia mają dość. A ja się tak strasznie bałam, że jak tylko wyciągnę niemieckie puszki i suchary, to od razu wpadniebezpieka i mnie zamknie. Oni nigdy by mnie nie wydali, myślę, że moja przyjaciółka Irina także, ale skąd wiem, co to za gagatek ten jej mąż... – Olga wyjątk-

kowo się rozgadała.

– Ale co im powiedziałaś? – zatrwożył się Walter. – Przecież już sama twoja obecność mogła się wydać podejrzana, jeśli miasto jest zewsząd okrążone.

– Powiedziałam, że przyjechałam do miasta z oficerem niemieckim odpowiedzialnym za propagandę na rzecz Trzeciej Rzeszy – powiedziała poważnie, po czym, widząc wystraszoną minę Lossowa, wybuchła śmiechem. Dźwięcznym, radosnym i naturalnym. – Przecież żartuję. Nic im nie powiedziałam konkretnego. Tylko tyle, że to tajna misja. Uwierz, nie pytali dalej. I tak wystarczająco są wystraszeni, że mają enkawudzistę za zięcia. Chociaż, po prawdzie, dzięki niemu żyją.

– To był głupi żart. – Walter naburmuszył się.

– Ale ja nie jestem głupia, a to powinieneś już wiedzieć – mruknęła. – Chodźmy, czeka nas jeszcze długi spacer po Leningradzie.

W Olgę wstąpił nowy duch. A sprawił to drobiazg, na który normalnie nie zwraca się uwagi – krótka wizyta u znajomych, nawet nie u rodziny. Jednak sam fakt, że ktoś, kogo znała i lubiła, ocalał, wyzwolił w dziewczynie nowe pokłady energii. A może sprawiła to sama podróż do Leningradu i przeświadczenie, że duch miasta nie umarł?

Przecieli Newski Prospekt i udali się w kierunku Filharmonii Leningradzkiej, gdy nagle Lossow zatrzymał się i położył Oldze dłoń na ramieniu.

– Słyszysz? – zapytał.

Olga przez chwilę wsłuchiwała się w dźwięki ulicy, po czym zrobiła zdziwioną minę.

– Nie... A co miałabym usłyszeć? – zapytała.

– Muzyka... – westchnął Lossow. – Słyszę muzykę.

– To filharmonia, może coś się tam dzieje – powiedziała Olga, po czym popchnęła ciężkie drzwi wiodące do obiektu.

– *Zdrawstwujtie* – powiedziała do stojącego w holu portiera, ubranego w szykowny uniform, który zwisał beładnie na jego wychudzonym ciele. – Są teraz jakieś próby?

– Tak, miła pani. Maestro Szostakowicz skomponował symfonię i trwają próby koncertowe i do nagrania dla Radia Komintern. Dyryguje sam Karl Eliasberg – dumnie odpowiedział portier, po czym dodał: – Smutne to próby... Każdego dnia kogoś ubywa, ale maestro Szostakowicz podarował nam naprawdę coś pięknego. Nie słyszała pani o tym?

– A moglibyśmy wejść na próbę? – zapytała przymilnie Olga Iwanowna, nie

podejmując tematu swojej niewiedzy w kwestii nowej symfonii.

– Ale jak to tak? – zasępił się portier.

Olga jednak nie poddała się. Wyciągnęła kilka sucharów, wrzuconych luzem do kieszeni, i podała mężczyźnie. W świecie, gdzie przydział chleba był na poziomie stu dwudziestu trzech gramów, czyli tyle, ile waży jedna kromka, nawet kilka sucharów wydawało się niezwykłym rarytasem.

– Tylko proszę być cichutko jak myszka, a nawet ciszej, bo w tym mieście to nawet myszy zostały zjedzone – wyszeptał.

– Tak, wiem – westchnęła Olga. – Ja pracuję w Smolnym, mój towarzysz również, więc jakoś damy radę, ale wiem, co się dzieje.

Portier nachylił się w jej kierunku.

– To niech mi pani powie, czy to prawda, co mówią na mieście, że są całe szajki handlujące ludzkim mięsem? Podobno jak takich złapią, to kara śmierci albo więzienie.

Dziewczyna wzdrygnęła się. Dotychczas sądziła, że plotki o kanibalizmie w Leningradzie są mocno przesadzone i rozpowszechnia je niemiecka propaganda, ale zarówno Kuźniecownicy, jak i ten obcy człowiek utwierdzili ją w przekonaniu, że jest to prawda.

– Tak, przecież to nielegalne – odpowiedziała Olga najbardziej stanowczym głosem, na jaki było ją stać.

– Ale, pani kochana, a co ludzie mieli zrobić? Ja ich nie potępiam, sam zjadłem swojego psa, który towarzyszył mi w niedoli od piętnastu lat. Płakałem i jadłem. Moja sąsiadka, tylko niech pani tamtym, w Smolnym nie mówi, to miała pięcioro dzieci. Jedno zmarło, to go nie pochowała, tylko na balkonie trzymała i po kawałku dawała pozostałym dzieciom do zjedzenia. A słyszałem, że w nocy na cmentarz to normalnie furmankami przyjeżdżali i świeże groby odkopywali, a potem w drogę...

Olę zemdliło. Na szczęście Walter nie miał pojęcia, o czym z taką zaciętością opowiada portier. Swoją drogą musiał być odważny, jeśli podobne opowieści snuł przed pracownicą Smolnego. A może ludzie po prostu przestali bać się władzy, bo głodu obawiali się bardziej?

Usiedli w ostatnim rzędzie sali prób, w niemal kompletnych ciemnościach. Właściwie cała widownia tonęła w mroku, jedynie podest dla orkiestry oświetlało mdłe światło ramp, które docierało niemrawo do ostatnich rzędów siedzeń. Muzycy dopiero stroili swoje instrumenty i Olga zaczęła się zastanawiać, czy owa muzyka, którą Lossow usłyszał w pobliżu filharmonii, nie zro-

działa się w jego głowie.

– Codziennie nas mniej – westchnął dyrygent.

– „Trąbka” zmarł dzisiaj rano, jego żona mi powiedziała. A „kontrabas” nie miał siły wstać z łóżka, więc raczej nie dotrze. I jedne skrzypce... – zaczął wyliczać wiolonczelista.

Dyrygent odłożył batutę.

– Nie zrobimy tego koncertu – westchnął. – I w ogóle tego nie zagramy. Trzeba poinformować Smolny, że muszą nam przysłać muzyków, jak chcą mieć *Siódmą symfonię*...

– Dyrekcja już rozmawia z władzami. Mają nawet w armii muzyków dla nas szukać. Szkoda tylko, że nie możemy grać w normalnym składzie – odpowiedział skrzypek.

Dyrygent rozejrzał się po podeście. Tyle pustych krzeseł. Każdego dnia coraz więcej, a zamiast muzyków leżące na siedziskach partytury. Zaczęli grać.

Olga przymknęła powieki. Było to nowe dzieło Szostakowicza, wielkiego kompozytora, który najwyraźniej powrócił do łask radzieckiej władzy. Nie zastanawiała się jednak nad tym zbyt długo, jedynie chłonęła dźwięki, niekiedy przerywane donośnym głosem dyrygenta, który wygłaszał uwagi do muzyków. Tak dawno nie słuchała muzyki na żywo. Odkąd sześć lat wcześniej opuściła Leningrad, ani razu nie pojawiła się w sali koncertowej. Niegdyś, gdy jeszcze wiodła normalne życie u boku kochających ją i muzykę rodziców, nie było tygodnia, żeby nie uczestniczyli w jakimś koncercie. Czasami w filharmonii, a niekiedy w kameralnych salkach koncertowych, gdzie artyści urządzali recitale. Potem ani nie chciała przyjeżdżać do Leningradu zbyt często, ani też nie miała za co, bo jej marna pensja nie rozpieszczała. Ponieważ nie była członkiem partii, a jej rodzice uchodzili za wrogów ludu, nie czerpała także z dobrodziejstw, jakie niosła sympatia dla nowego ustroju. Dano jej do zrozumienia, że największym szczęściem powinno być dla niej to, że nie podzieliła losu swoich krnąbrnych rodziców i może spokojnie żyć na prowincji, a nie na dalekiej Syberii. Nie mieli pojęcia, że nie potraktowała tego jako przywileju i daru losu. Kochała swoich rodziców ponad wszystko i chciała być przy nich, bez względu na to, jak ciężko by jej było. Łaskawość władzy ludowej okazała się dla niej największą karą. Czasami wysyłała rodzicom paczki i listy do gułagu na Kołymie, ale nigdy nie dowiedziała się, czy naprawdę tam dotarły ani tego, czy w istocie zostali w to miejsce wywiezieni.

Teraz jednak, gdy życie stawało się nieznośne, a ona musiała oddawać się

wrogowi, jak poślednia prostytutka, gdy wszystko, co piękne i dobre, zostało zbrukane, takie chwile jak ta zdawały się jedynym jasnym punktem jej życia. Muzyka symfoniczna słyszana w miejscu, gdzie głód pchał ludzi do najgorszego bestialstwa, biblioteka wypełniona ludźmi szukającymi wytchnienia w literaturze i ona sama wkraczająca w świat fikcji, zmysłowego języka i romantycznej miłości, gdzie cielesne obcowanie z mężczyzną jest ukoronowaniem najgłębszych i najsubtelniejszych uczuć. Takie chwile pozwalały jej na powrót poczuć się kobietą. Rozpływała się w błogich dźwiękach muzyki, w marzeniach snując się po urokliwych uliczkach, zielonych parkach i pełnych kwiatów skwerach u boku tego, dla którego będzie księżniczką z bajki, jedyną i niepowtarzalną Olgą, którą posiadzie jako ten jedyny. Nie chciała myśleć o brutalnych, zwierzęcych aktach, kiedy była traktowana jak kawałek mięsa, sprowadzona do roli tej, której imienia się nie wypowiada. Tęskniła za światem pełnym bezpieczeństwa, subtelnych doznań, spokoju i tego wszystkiego, co w swoim wielkim talencie i kunszcie może stworzyć człowiek, by każdego dnia stawać się bardziej ludzkim. Tęskniła do świata wypełnionego miłością i pięknem, nie potrafiła ogarnąć w swojej duszy, że człowiek może wybrać zło i brzydotę, destrukcję zamiast tworzenia, nienawiść zamiast pokoju. Gorące łzy zaczęły płynąć po jej policzkach, jakby w tej jednej chwili przestała akceptować obojętność, która dotychczas wydawała jej się jedyną drogą, by nie zwariować, jakby dopiero teraz gotowa była umrzeć, byle nie godzić się więcej na piekło, po którym stąpała i które wciągało ją coraz głębiej, oblepiając ciemnością i przejmującą ciszą, gdzie nawet rozpacz przestawała krzyczeć.

Walter zerknął na Olgę i sam miał ochotę się rozpłakać. Dotknął delikatnie dłoni dziewczyny. Ścisnęła ją mocno i w takim uścisku dotrwali do końca próby. Lossow nie wypuścił jej dłoni, gdy opuścili gmach filharmonii ani gdy wracali do obskurnego mieszkania. Trzymał ją za rękę nawet wtedy, gdy zasypiali na zdemontowanym tapczanie. Nie mówili wiele, od czasu do czasu dotykali jedynie swoich twarzy w ciemności, jakby chcieli zapamiętać swoje rysy. Oboje wiedzieli, że już nigdy więcej się nie spotkają, a Olga zniknie o poranku, jak gdyby była ułudą i słodkim snem. Kolejna kobieta o pięknej duszy odchodziła z życia Waltera, pozostawiając po sobie niewyobrażalną pustkę. Miał jednak nadzieję, że nie podzieli ona losu Holly Evans i mimo wszystko odnajdzie szczęście w obłożonym Leningradzie. Pragnął wierzyć, że przetrwa wbrew wszystkiemu, by odrodzić się na nowo, powstać niczym Feniks z popiołów i pójść przez życie z wysoko podniesioną głową.

16. Warszawa, 1942

Nie tylko Alicją targały wątpliwości. Miał je również Julian Chełmicki. Dotychczas wydawało mu się, że on i Alicja są niezniszczalni. Odkąd uciekli z wyspy Uznam, ich związek każdego dnia stawał się silniejszy. Julianowi nigdy nawet nie przyszło do głowy, że kiedykolwiek miejsce jego ukochanej mogłaby zająć inna kobieta. Tym, co dodawało mu pewności, była bezwarunkowa miłość i oddanie Alicji. Wierzył, że każdy jej krok w życiu będzie nakierowany na troskę o ich wspólne dobro. Tymczasem Alicja okazała się bardzo nieodpowiedzialną osobą i przez swoją niefrasobliwość naraziła siebie i ich dziecko na niebezpieczeństwo. Niestety, ono nie przeżyło. Bez względu na to, jak bardzo próbował poukładać to sobie w sercu i racjonalnie podejść do całego zdarzenia, na końcu i tak pojawiał się żal do niej. Nie mógł z czystym sumieniem pomyśleć, że Alicja była ofiarą, a to, co się stało, jest winą wojny, Niemców i ich cholernego terroru. Może dlatego, iż jej zachowanie było co najmniej nieadekwatne do sytuacji. Jakby cała sprawa mała ją obeszła. Ot, stało się. Nie chciała o tym rozmawiać, nie płakała godzinami w poduszkę i snuła plany na przyszłość, jakby nie straciła ich dziecka. Być może dusiła to w sobie albo przeżywała na swój własny sposób, ale widział jej rozpacz po zamordowaniu Martina Grossa i był on niewspółmiernie duży w porównaniu z jej postawą po poronieniu. Tak jakby ten szwab był dla niej ważniejszy niż ich dziecko.

Wielką podporą dla niego okazała się Weronika, a rozmowy i zabawa z jej synem były kojące. Życie w tym rodzinnym ognisku stało się antidotum na śmierć potomka i zimną postawę Alicji. Zauważył jednak, że zmierza to wszystko w niewłaściwym kierunku. Weronika nabrała nadziei, iż między nimi pojawi się coś więcej niż tylko przyjaźń. Zawsze była mu oddana i miał świadomość, że go kocha, ale dotychczas sytuacja była między nimi jasna. Tak było bardziej w porządku. Tymczasem widziała, jak sypie się jego związek i zaczęła żyć złudzeniami, że niebawem pozostanie z niego kupka popiołu.

Jednak to nie było takie proste. Weronika jawiła mu się jako kobieta niemal doskonała, ale nie żywił do niej uczuć, jakich się spodziewała. Nie chciał zbyt brutalnie niszczyć jej marzeń, zwłaszcza gdy widział ją szczęśliwszą niż kiedykolwiek wcześniej. Dlatego mimo że ból w nodze jeszcze bardzo mu dokuczał, postanowił wrócić do swoich zadań.

Siedzieli z „Sokołem” w knajpce U Loli i sączyli piwo. Chełmicki pomyślał,

że major byłby bardzo niezadowolony z faktu, że ostatnim razem, gdy Julian tutaj przebywał, rozmawiał niemal po bratersku z rosyjskim agentem wywiadu.

– Jesteś pewien, że możesz powrócić do swoich zadań? Weronika mówiła, że potrzebujesz jeszcze rekonwalescencji, aby twoja noga była w pełni sprawna – zapytał major, marszcząc krzaczaste brwi.

– Weronika powiedziałaaby nawet, że grozi mi amputacja, bylebym siedział na tyłku – mruknął Julian, po czym zreflektował się, że jego wypowiedź była co najmniej niestosowna, więc dodał: – Nic mi nie jest, chcę wrócić do służby.

– W porządku, nie jesteś dzieckiem i wiesz, co robisz. A jesteś mi bardzo potrzebny. Świetnie znasz języki, jesteś wysportowany i sprytny, a jednocześnie potrafisz być dyplomatą. Czyli jesteś idealnym kandydatem na łącznika pomiędzy nami i Londynem. Chciałbym, żebyś wyruszył za kilka dni szlakiem przez Tatry. Już raz przedostałeś się tamtędy do Francji, teraz jednak musisz pamiętać, że sytuacja jest o wiele groźniejsza, ponieważ Bałkany nie są już wolne. Myślę jednak, że to szlak bezpieczniejszy niż przedzieranie się bezpośrednio przez teren Rzeszy – powiedział „Sokół”.

– Poza tym mamy po drodze swoje punkty kontaktowe.

Chełmicki uśmiechnął się. To zadanie było mu na rękę. Nie tylko dlatego, że w końcu zacznie coś robić dla Polski, ale również opuści miejsce, gdzie targają nim niechciane emocje, wyrzuty sumienia w stosunku do Weroniki i przygnębiające myśli dotyczące Alicji i ich związku.

Po kilku dniach był gotowy do drogi i miał zaszyte w połach marynarki raporty dla rządu londyńskiego. Wyruszył na południe kraju o świcie, gdy tylko minęła godzina policyjna. Na nos nasunął okulary w grubych, czarnych oprawkach, a w papierach widniała informacja, że jest inżynierem pracującym dla niemieckiego przemysłu.

Gdy wsiadł do pociągu, pomyślał o chwili, gdy w 1939 roku także udawał się w Tatry, by przez zieloną granicę uciec z kraju. Wtedy jednak był pełen nadziei i wiary, że wojna nie potrwa długo, bo alianci wypełnią swoje zobowiązania i wykurzą Hitlera z Polski. Tymczasem okupacja kraju trwała bez mała trzy lata, a wróg sprawiał wrażenie coraz bardziej pewnego siebie. Jediną nadzieją zdawał się Stalin, ale na razie Wehrmacht jak burza szedł przez Związek Radziecki. Tylko sroga zima nieco przystopowała Hitlera pod Moskwą,

jednak wraz z nadejściem wiosny ten zaczął nadrabiać straty. Czy jednak Stalin w istocie stanowił antidotum na ich sytuację, czy po prostu stałby się takim samym okupantem, rozlewając swoje zwierzchnictwo na tereny Polskie obecnie zajęte przez Niemców? Alianci jednak zaczęli widzieć w nim sprzymierzeńca i jedyną siłę mogącą przeciwstawić się potędze militarnej III Rzeszy. Chełmicki był zaniepokojony tymi ruchami, uważając, że podobne sojusze nie mogą się dobrze skończyć dla Polski.

Pod wieczór dotarł pod Kraków i w niewielkiej mieścinie odnalazł punkt kontaktowy. Tam również miał się posilić i przenocować. Mieszkanie należało do jednego z emerytowanych nauczycieli akademickich z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który zdołał uniknąć represji po wejściu do Krakowa Hansa Franka i uciec na prowincję. Może dlatego, że dosłownie kilka miesięcy wcześniej odszedł na zasłużoną emeryturę, a na uczelni wykładał jedynie gościnnie. Jego dużo młodsza żona była autorką podręczników do geografii dla gimnazjalistów i w tej chwili pozostawała bezrobotna.

– Pozdrowienia od wuja Witalisa przesyłam – powiedział Julian, stając w progu ich małego mieszkanca, znajdującego się w jednej z jednopiętrowych kamienic okalających niewielki rynek.

– Mam nadzieję, że w jego nogę nie wdała się gangrena. – Profesor uśmiechnął się i poklepał przybysza po plecach.

Usiedli przy dużym, prostokątnym stole, na którym gospodyni postawiła wazę z gorącą zupą i koszyk z pajdami ciemnego chleba.

– Czym chata bogata – powiedziała z westchnieniem i jakby trochę ze wstydem, że nie może podjąć gościa bardziej wyszukanymi potrawami.

– Pięknie pachnie. – Chełmicki pociągnął nosem i dodał: – Cały dzień nie jadłem.

– Niestety, mogłam zaserwować jedynie kartoflanekę – ze smutkiem powiedziała profesorowa.

– Basiu, przestań. A co to chłopak nie wie, jak jest dzisiaj z jedzeniem? Trzeba się cieszyć, że w ogóle mamy go czym poczęstować – fuknął profesor.

– Święte słowa. – Julian uśmiechnął się, po czym przeżegnał się, co czynił zawsze przed posiłkiem, i zaczął pałaszować parującą zupę.

– W Nowym Sączu będzie czekał na ciebie kurier. W okolicach Zakopanego trzepią, jakby wściekliczny dostali – poinformował profesor, przeżuwać gliniasty chleb.

– Słyszałem – powiedział Julian, zastanawiając się, jak wiele mogło się

zmienić od ostatniego razu.

Na pewno nie dotrze do Zakopanego, bo mało komu udało się tam przedrzeć, poza tym po co miał ryzykować, jeśli i tak granicę przekraczali kilka kilometrów dalej. Ale żałował, że nie zobaczy tego cudownego kurortu, w którym dawniej spędzał czas ze swoim ojcem. Antoni wciąż żył i jego stan nie uległ zbyt niemu pogorszeniu nawet po tym, gdy jego syn był ścigany, a potem uwięziony na Pawiaku. Przekazywali sobie od czasu do czasu wiadomości poprzez łańcuszek znajomych, ale nie widzieli się, odkąd Chełmicki odwiedził go po powrocie z Anglii. Z matką zaś było coraz gorzej. Podobno w ogóle przestała mówić, a jedynie wpatrywała się w krajobraz za oknem, kiwając się jak obłąkana. Wieści, jakie docierały do Juliana, były dość lakoniczne, dlatego nie znał szczegółów i nie miał pojęcia, co naprawdę dzieje się w jego rodzinnym domu. Wiedział jednak, że odkąd rodzice dowiedzieli się, że nie opuścił kraju, musi co jakiś czas przesyłać im informacje, że żyje. Pomyślał, że teraz nawet nie skłamałby, bo w istocie wybierał się za granicę.

Głos profesora ocknął go z zamyślenia.

– Ty im powiedz, co o nich myślisz...

– O kim? – Julian zmieszał się, bo odpłynął myślami tak daleko, że niezbyt uważnie słuchał wywodów profesora.

– No jak to komu? Anglikom i Amerykanom. Bo przecież nie zabojadom, co to ich Hitler jak dzieci załatwił. Jak oni mogą spać spokojnie? Żydzi zawsze mieli pieniądze, ogromne pieniądze, a teraz siedzą w Ameryce i nic nie robią. Czy wiesz, młody człowieku, że w Oświęcimiu jest fabryka śmierci dla Żydów, a nie tylko dla Słowian? To właściwe określenie. Już nawet nie udają, tylko mordują na masową skalę. Cyklonem B. Każdego dnia setki ludzi upychają w specjalnych pomieszczeniach i zamiast z pryszniców lecieć woda, wylatuje trujący gaz. A potem trupy palą w krematoriach. A świat siedzi cicho. – Profesor był bardzo wzburzony.

– To niedorzeczne, panie profesorze – powiedział nieco zde gustowany Chełmicki.

Niejedno słyszał o getcie i okrucieństwie Niemców, ale podobne praktyki nie mieściły mu się w głowie. Brzmiały jak koszmar.

– Spotkałem takiego jednego, co stamtąd uciekł. Nawet przez kilka dni mieszkał u nas. Nie wyglądał nawet jak człowiek, ale jak żywy trup. Miał przydział do pracy przy łaźniach. Wchodziło do takiej kilkudziesięciu nago, a po jakimś czasie wołali go do środka i kazali wynosić trupy. Od jednego

kapo się dowiedział, że tam gaz puszczają i w taki sposób mordują ludzi. Na początku myślałem, że człowiek bredzi, bo mu się od trudnych warunków życiowych w głowie poprzestawiało, ale opowiadał o tym ze szczegółami. Nawet liczył tych, których musiał wynosić, wrzucać na wózki i wieźć do krematorium – odparł stanowczo profesor.

– To przecież jakaś nieludzka potworność. – Julian wciąż był daleki od tego, by uwierzyć w tak okrutną historię. Po chwili dodał: – Musiałbym mieć żelazne dowody, żeby przekazać je aliantom. Opowieść jednego człowieka, w dodatku anonimowego, nie będzie dla nich wystarczająco wiarygodna, aby mogli zacząć działać.

– Ale trzeba coś zrobić, bo w takim tempie wymordują nas wszystkich w ciągu kilku lat. Ja to sobie nawet próbowałem policzyć. Ale takich obozów jak w Oświęcimiu jest pełno. I jeśli w każdym robią to samo, uwierz, człowieku, za jakiś czas nie będzie tutaj ani jednego Żyda i połowy Polaków.

– Jak wrócę z tej misji, pewnie za kilka tygodni, przekażę dowódcom te informacje. Myślę, że znajdziemy sposób, żeby zdobyć zeznania świadków. A wtedy musi się coś wydarzyć, bo nie wierzę, że świat będzie spokojnie na to patrzeć. Amerykanie i Brytyjczycy mają potencjał, by zniszczyć Hitlera, zwłaszcza że ten skierował teraz największe swoje siły na wschód – głośno myślał Chełmicki.

– To wytłumacz mi, młodzieńcze, na co oni, u licha, jeszcze czekają... – westchnął profesor. – Wiesz, kiedyś miałem złudzenia. Nie tylko wierzyłem, że „ciocia Frania” i „ciocia Aniela” ruszą nam na pomoc, ale także w to, że jednak Niemcy są cywilizowanym, mądrym narodem. Że cokolwiek się stanie, nie będą zachowywać się jak barbarzyńcy. Wszyscy byliśmy naiwni, nawet ludziom nauki nie przyszło do głowy, iż można pogrzebać największe polskie intelekty. Przecież ich wiedza to nie tylko dziedzictwo Polski, ale całej Europy. Pamiętam, jak profesorowie z uczelni otrzymali zaproszenie do Collegium Novum na wykład pułkownika Müllera. O funkcjonowaniu uniwersytetu po utworzeniu Generalnego Gubernatorstwa. Wstąpił w nas nowy duch, nadzieja, że ta dziedzina życia pozostanie nietknięta. W końcu antropologia, matematyka czy filozofia są naukami neutralnymi i niezbędnymi w każdym społeczeństwie, a Niemcy cenili zarówno kulturę, jak i naukę. Było mi nawet przykro, że jako emeryt nie dostałem zaproszenia, więc poszedłem chociaż pod uczelnię, aby choć z boku uczestniczyć w tym ważnym dla szkolnictwa wyższego wydarzeniu. Wszędzie rojło się od wojska. Kordony Niemców otoczyły plac i uliczki

między Collegium Novum i Maius, nie można było przejść nawet do holu auli, gdzie miał być wykład. Zaniepokoiło mnie to. Po co pilnować największych intelektów Jagiellonki, jak bandziorów z targowiska? Nie wiem, ile czasu tam stałem, ale ów wykład trwał bardzo krótko. A potem wypędzili ich jak bydło na plac i pognali do ciężarówek. Takich ludzi... To już nie był upadek polskiej nauki, to był upadek człowieczeństwa. Wywieźli ich najpierw do więzienia Montelupich, a potem przez Breslau podobno do obozu w Sachsenhausen. Litościwie zwolnili dwie kobiety i stąd wiemy, że Brunon Müller zamiast wykładu, wygłosił krótkie oświadczenie, że profesorowie tej znamienitej uczelni są podżegaczami i buntownikami. Najpewniej zgładzono wybitne osobistości, prawie stu dziewięćdziesięciu naukowców. Nie uwierzyłbym, gdybym tam nie był. Nie uwierzyłbym, gdybym nie słyszał kobiety, która uczestniczyła w spotkaniu. Sądziłem, że cały świat naukowy Trzeciej Rzeszy stanie murem za ludźmi nauki, ale nic takiego nie nastąpiło. Więc jeśli ktoś mi mówi, że gazują ludzi – wierzę w to. I w to, że jeśli nie wstrząśnie się zachodnimi sojusznikami, będą żyli w przeświadczeniu, w jakim ja żyłem i w jakim żyjesz ty. Że w dzisiejszym świecie, gdzie mamy żarówkę, samochody na ulicach i telefony, pewne rzeczy nie mogą się wydarzyć. Okazuje się, że jednak byłem w błędzie. Pewnego dnia i ty uwierzysz, że jeśli posądza się nazistów o jakieś nedorzeczne okrucieństwo, to zapewne jest w tym ziarno prawdy.

Chełmicki niejedno widział, sam zresztą miał okazję się przekonać, do czego zdolni są faszyci, ale wciąż nie mógł pojąć, że można po prostu unicestwić całe narody. Wierzył także, w swojej naiwności, że gdy tylko zdobędzie dowody na podobne praktyki, alianci ruszą z odsieczą.

Następnego dnia opuścił podkrakowskie mieszkanie profesora i dotarł do Nowego Sącza, gdzie spotkał się z krzepkim góralem, który miał przeprowadzić go bezpiecznie na słowacką stronę.

17. Magnuszew, 1942

– Przyjechałaś, żeby sprawdzić, czy jestem bezpieczna, a sama żyjesz na becze prochu. Julian zresztą też. Martwię się o ciebie. I w dodatku zamiast gdzieś przeczekać, pchasz się w kolejne awantury, jakby mało ci było tragedii – z westchnieniem powiedziała Hanka i upiła łyk prawdziwej herbaty, delektując się jej smakiem.

To były takie drobiazgi w obliczu tego, co mogło spotkać jej przyjaciółkę, brata i ją samą. A jednak nawet taki szczegół mógł sprawić, że chociaż przez chwilę czuła się dobrze, gdy smakowała gorący, aromatyczny napój. Uznała, że to nagroda za ryzyko, jakie ponosiła, goszcząc u siebie Ritza. Na szczęście był na tyle taktowny, że gdy oznajmiła mu o wizycie gości, nie pchał się na pogawędkę. Zostawił jej jedynie czekoladę dla Nadii i paczkę herbaty.

– Hanka, teraz już niewiele mam do stracenia. To, co najpiękniejsze i najcenniejsze, odeszło. Moje dziecko i moja idealna miłość. Muszę coś robić, bo inaczej zwariuję. A jeśli mnie złapią? Cholera, straciłam dziecko, idąc ulicą... – jęknęła Alicja.

– Ale to, co planujesz, jest szaleństwem. Nawet gdybyś nie była poszukiwana, ratowanie dzieci z getta jest co najmniej ryzykowne, a w twojej sytuacji, mów, co chcesz, zakrawa na brawurę. Jakbyś sama się im wystawiała na tacy. To może od razu strzel sobie w łeb!

– Posłuchaj, te dziewczyny robią to od miesięcy. Nikt ich nie podejrzewa. Przechodzą legalnie na drugą stronę, robić dezynfekcje, zastrzyki, i szwaby się cieszą, że ktoś ryzykuje i się tym zajmuje. Pamiętasz, boją się wszelkiej zarazy i nawet nie mają odwagi, żeby taką pielęgniarkę czy samochód sanitarny zatrzymać. Właściwie te kobiety największy problem mają, gdy już opuszczają getto. Przecież tym dzieciom trzeba zapewnić schronienie i aryjskie dokumenty czy nauczyć modlić się po chrześcijańsku. Mogłabym zostać w grupie, ale chcę przez jakiś czas być z dala od Juliana... – przekonywała Alicja. – Hanka, jutro wyjeżdżam, nie wiadomo, kiedy teraz się spotkamy, nie chcę tego ostatniego wieczoru spędzić na kłótni z tobą.

– Alka, nie kłóć się. Ja tylko się martwię. Dotychczas miałaś więcej szczęścia niż rozumu, ale po ostatnim twoim wypadku mam prawo myśleć, że twój limit się wyczerpał. A ten facet, ten cały „Kary”, nie mógłby cię zabrać po drodze? Teraz to strasznie kontrolują, bo wiadomo, że jak kto ze wsi wraca, to pewnikiem żarcie wiezie – jęknęła Hanka. – Ritz mi powiedział, że mają

zwiększyć kontrole. Nie żeby mi tak ufał, ale utyskiwał, że ma mało ludzi, a tu jeszcze takie wytyczne przychodzą.

– Nie, ustaliliśmy, że bezpieczniej będzie, gdy wrócimy osobno – mruknęła Alicja. – Powiedz mi lepiej, Hanka, a jak wojna się skończy, to wrócisz na scenę?

– Chciałabym. Przecież niczego innego nie umiem. Tylko śpiewać. Nawet muszę ci się przyznać, że codziennie ćwiczę. Nie wiem, czy kiedykolwiek zobaczę Igora, a Tomasza to nawet nie chcę widzieć, a mam dwoje dzieci. Muszę im jakoś zapewnić byt. Teraz żyjemy skromnie, właściwie tylko z tego, co wyrośnie, trochę jajek mamy i mleko od Maryśki, ale przecież ja nie zostanę w Magnuszewie na zawsze. Kiedyś wrócę do Warszawy... – westchnęła.

Położyły się późno, wciąż rozmawiając. Nie o swoich problemach, ale o marzeniach. Obie wierzyły, że ten koszmar wojenny dobiegnie końca i będą mogły w końcu normalnie żyć. Hanka nie zastanawiała się, co będzie, jeśli ponownie w jej życiu pojawi się Łyszkin, a Tomasz Niechowski nie zechce dać jej rozwodu. W jej marzeniach wszystkie problemy same się rozwiązywały. Alicja zaś pragnęła otworzyć swoją szkołę tańca, taką jak Tacjana Wysocka. Uważała, że jest za stara, żeby wrócić na deski, ale dobrze wiedziała, jak wytrenować młode dziewczyny, aby były tak dobre, jak ona kiedyś.

Hanka obudziła się wcześniej, a raczej zrobiły to dzieci, ale Alicja spała błogim snem i kompletnie nie przeszkadzały jej hałasy dobiegające z kuchni. Jedynie, jakby przez sen, czuła zapach świeżego chleba, ale wciąż drzemała, od czasu do czasu przekręcając się na drugi bok.

Gdy Hanka usłyszała pukanie do drzwi, odstawiła na kuchnię tygielek z mlekiem, wzięła Grzesia na ręce i otworzyła drzwi, bowiem przybysz nie reagował na jej „proszę”. Ujrzała w progu ogromnego mężczyznę o szerokich ramionach i chłopięcym uśmiechu.

- Dzień dobry – powiedział. – Przyjechałem po Aldonę.
- Po kogo? – zapytała, zdziwiona. – Tutaj taka nie mieszka.
- Pani ma na imię Hanka? – zapytał, równie zdziwiony.
- Jak dla kogo – burknęła.
- Dla mnie. Trzy dni temu przywiozłem do pani przyjaciółkę z Warszawy. Ma ciemne włosy do ramion, duże piersi... – zaczął niemrawo „Kary”.
- A... to pan... – Hanka wypuściła powietrze jak parowóz. – Ta Aldona

mnie zmyliła.

„Kary” także odetchnął i wszedł do izby. Usiadł na długiej drewnianej ławie, a Hanka niemal od razu postawiła przed nim kubek gorącego mleka i pajdę świeżego chleba z grubymi plastrami twarogu.

– Proszę jeść, ja w tym czasie obudzę... – Już chciała wymienić prawdziwe imię przyjaciółki, ale zreflektowała się i powiedziała: – Aldonę...

Sergiusz uśmiechnął się. Zdawał sobie sprawę, że imię „Aldona” jest równie prawdziwe, co jego nazwisko w dokumentach.

Obudzona gwałtownie Alicja powiodła nieprzytomnym wzrokiem po izbie i wstała z łóżka. Miała na sobie koszulę nocną Ireny, w której niemal tonęła. Nie zastanawiając się jednak ani przez chwilę, jak wygląda, wkroczyła do kuchni, by sprawdzić, co może od niej chcieć „Kary” i dać mu reprimendę, że przyjechał do Hanki furgonetką wypełnioną bronią.

Sergiusz popatrzył na nią rozbawiony.

– Kobieto, tylko nie pokazuj się tak ukochanemu nawet dwadzieścia lat po ślubie – powiedział.

Alicja ziewnęła i cofnęła się odruchowo do pokoju, by przejrzeć się w dużym lustrze umieszczonym na drzwiach ciemnej, solidnej szafy. W istocie wyglądała koszmarnie. Koszula sięgała niemal ziemi i otulała ją niczym czasza spadochronu, a włosy tworzyły na głowie jeden kołtun. „Nic tylko dać mi miotłę i odleć w przestworza” – pomyślała i przygładziła włosy, po czym uśmiechnęła się do swojego oblicza i powróciła do kuchni.

– Jeśli masz zamiar mi się oświadczyć, to lepiej będzie, żebym w ten sposób schłodziła twoje zapędy – odcięła się.

– Bądź pewna, że ci się to udało. – Roześmiał się.

– Co tutaj robisz? – zapytała, marszcząc czoło.

– Niestety, wracam na pusto, więc pomyślałem, że zabiorę cię z powrotem do Warszawy. Na pace nic nie mam – odparł.

– Czyżbym miała w niej podróżować?

– Jeśli czegoś ze sobą nie zrobisz, bądź pewna, że nie zaproszę cię do szoferki. Twój wygląd mógłby mnie za bardzo rozpraszać. – Sergiusz wciąż się uśmiechał.

– Jeśli coś ze sobą zrobię, tym bardziej nie będziesz mógł prowadzić. Z wrażenia – odpowiedziała z udawanym westchnieniem.

– Przywołam wtedy na kilka sekund twój obraz sprzed chwili i bądź pewna, że będę pruć przed siebie jak rakieta.

Hanka przysłuchiwała się rozmowie tej pary i przenosiła wzrok to na Alicję, to na ogromnego mężczyznę. Żartobliwa wymiana zdań była jedynie maską, pod którą Lewinówna wyczuła flirt. Wcale jej to nie zmartwiło. Alicja ostatnio wiele przeszła, a osoba, która powinna ją wesprzeć w tych ciężkich chwilach, lizała rany w towarzystwie jakiejś atrakcyjnej pani doktor.

Pociągnęła Alicję za rękaw koszuli.

– Chodź, Alicja, musisz się ubrać – bąknęła.

„Kary” kolejny raz się uśmiechnął i powiedział:

– A więc masz na imię Alicja... Bardziej mi się podoba niż Aldona. Chociaż jest mniej... frapujące.

– To prawie jak ja o poranku... – burknęła i wycofała się z Hanką do pokoju.

Po kilku minutach zapytała ze zdziwieniem Lewinównę:

– Co ty tak gmerasz w tej szafie? Nie idę na randkę ani goła do ciebie nie przyjechałam. Lepiej rozczesz mi włosy. Odkąd mam dłuższe, żyją własnym życiem i nie umiem nad nimi zapanować. Jakby nocą jakiś chochlik robił mi na głowie kołtun – rozzłościła się Alicja.

– Jakie ty tam rzeczy masz, jakieś stare szmaty. A mnie tutaj krawcowa uszyła kilka ładnych ubrań, to ci dam. I w ogóle przestałaś o siebie dbać. Rozumiem, że jest wojna, a ty musisz się ukrywać i jeszcze spotkała cię tragedia, ale na Boga, Alka, nie przestałaś być kobietą. Jak siedziałam na Pawiaku, kobiety marzyły, żeby ktoś im w paczkach przesyłał szminki, pudry i czernidła do brwi. Nieważne, że następnego dnia mogły umrzeć, a w pobliżu nie było żadnego mężczyzny, ale do samego końca pragnęły być ponętne. To pomaga. – Hanka poklepała czule przyjaciółkę po ramieniu.

Lewinówna miała rację. Niegdyś nic bardziej nie poprawiało Alicji nastroju niż piękny wygląd. Było to dziwne, ale dbanie o urodę pomagało przetrwać jej chwile trwogi i dodawało pewności siebie.

– Dobrze, to zrób mnie na bóstwo. Bo nie zniosę kolejnego przytyku tego gbura – powiedziała z westchnieniem.

W godzinę później z lustra w szafie patrzyła na Alicję zupełnie inna kobieta.

„Kary” okazał się idealną niańką dla dzieci, którymi w tym czasie musiał się zająć. Gdy obie weszły do kuchni, zastały go trzymającego Nadię i Grzesia na kolanach. Popatrzył zdziwiony na Alicję, po czym zmrużył oczy i zapytał:

– Chcesz mnie uwieść, kobieto?

– Chciałam... godzinę temu, teraz chyba już nie. – Alicja wyszczerzyła zęby

w uśmiechu i sięgnęła po kromkę chleba.

Przeżuwała powoli i bezgłośnie, jak dama jadająca jedynie w najlepszych restauracjach, i pierwszy raz, odkąd straciła dziecko, poczuła w sobie optymizm. „Jakoś to będzie, musi być” – pomyślała, mrużąc powieki.

Pozegnali się z Hanką i ruszyli w stronę stolicy. „Kary” nie obdarował jej ani jednym komplementem, nie powracał także w rozmowie do jej przeżyć. Nie chciał burzyć kruchego spokoju Alicji i pozwolił, by rozkoszowała się sama sobą.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział i przechylił się, by wyjąć ze skrytki małe zawiniątko.

Położył na jej kolanach przedmiot owinięty w niezbyt czysty kawałek płótna. Dotknęła dłońmi szmatki i odwinęła. Spodziewała się czegoś, co świadczyłoby o tym, że spodobała się Sergiuszowi, ale ujrzała nowiutki pistolet walther pp.

– Jakiś ty romantyczny... – wycedziła przez zęby.

– Praktyczny. Chyba nie spodziewałaś się kolii brylantowej. Wracasz do chłopaków, przyda ci się – mruknął.

– Niezupełnie. Będę teraz pracowała w Referacie Opieki Otwartej – powiedziała, przymierzając do dłoni pistolet.

– Prawie jak sanitariuszka, to dopiero trąci ckliwością. – Uśmiechnął się, po czym spoważniał i dodał: – Bez względu na to, co będziesz robiła, może ci się przydać. Chyba że masz swój, lepszy, to oddam go bardziej potrzebującej istocie.

– Miałam, ale pozbyłam się go. Pod wpływem impulsu. Gdy zastrzeliłam tego oficera niemieckiego, nie mogłam patrzeć na broń – westchnęła.

– Dajże spokój, Niemców trzeba tłuc, bo nigdy się stąd nie wyniosą – powiedział uspokajająco.

– To nie był taki sobie zwykły Niemiec... – szepnęła.

– A co w nim było niezwykłego? Ratował żydowskie dzieci z getta? – zapytał z sarkazmem.

– Nie, uratował mnie.

– W takim razie obiecuję, że nie będę miał zamiaru nigdy cię ratować. Chciałbym jeszcze pożyć, mam plany... – Roześmiał się.

– Jak ty mnie wkurzasz – wycedziła i przestali rozmawiać, bo zbliżali się do granic Warszawy, a to oznaczało kontrole i należało się na tym skupić.

Alicja pomyślała, jak bardzo spojrzenie na życie może się zmienić w ciągu

kilku dni. Wiedziała, że będzie tęsknić i nieraz powróci smutek albo ból, ale była gotowa, żeby je przyjąć.

18. Równe, 1942

Wewnątrz restauracji było bardzo gwarno. Podchmieleni oficerowie oraz wyżsi rangą urzędnicy niemieccy pili wódkę w towarzystwie urodziwych Ukrainek. Przy zdezelowanym pianinie siedział równie pijany jegomość, próbując przygrywać towarzystwu, i nieco bełkotliwym głosem nucił bawarskie przyśpiewki. W niektórych utworach usiłował nawet jodłować, jednak bardziej przypominało to jęki zranionego kota. Na sali było ciemno od papierosowego dymu, a kelnerki uwijały się między stolikami, donosząc kolejne porcje wódki i zakąsek.

Wystrój restauracji miał imitować barokowe wnętrza, ale sztuka ta udała się jedynie połowicznie, ponieważ mimo luster w połączonych oprawach i rzeźbionych krzeseł całość trąciła tanim kiczem. Była to jednak najbardziej luksusowa knajpa w Równem i dlatego oficjele zaanektowali ją na swój lokal, zwabiając doń prostytutki i zwykłe dziewczyny, dla których romans z Niemcem był nobilitacją. Sypianie z Rosjaninem zakrawało niemal na zdradę, ale przecież naziści byli wyzwolicielami i przyjaciółmi, którzy pomogą Ukrainie odzyskać długo wyczekiwaną niepodległość. Niektórym już dawno opadły klapki z oczu i mieli świadomość, że wpadli z deszczu pod rynnę, ale niemiecka propaganda działała bez zarzutu i wielu mieszkańców nadal wierzyło w dobre intencje Hitlera.

Łyszkin stał w holu, oparty o kontuar szatni, puste o tej porze roku, i wpatrywał się we wskazówki zegarka. Za dziesięć minut powinni zjawić się chłopcy, a kilka minut później Marina. Zerknął w głąb sali, odsuwając dyskretnie bordową, aksamitną kotarę, wykończoną złotymi frędzlami. Sędzia siedział przy stoliku i pałaszował sztukę mięsa, od czasu do czasu wychylając kieliszek wódki, po którym wykrzywił w grymasie twarz, a następnie wschodnim zwyczajem wachał chleb, by chwilę potem upchnąć go w ustach. Co kilka minut wycierał serwetką zroszone potem czoło, ale wciąż siedział w mundurze, który niebezpiecznie napinał się na jego zwalistej sylwetce.

Igor pomyślał, że Rudolf Gerling jest wyjątkowo odpychającym typem i nie miał pojęcia, jak śliczna, młodziutka Marina poradzi sobie z zadaniem. Będzie musiała wznieść się na szczyty aktorstwa, by uwieść tego obleśnego drania. Jak na razie nie miała konkurencji i żadna z obecnych na sali kobiet nawet nie próbowała się do niego przysiąść. Zapewne po kolejnych paru kieliszkach sędzia znajdzie sobie ofiarę, ale Łyszkin miał nadzieję, że Marina już wówczas

będzie na posterunku.

W końcu zobaczył swoich kompanów wtaczających się do restauracji. Dali znać Igorowi, że są gotowi, po czym, śmiejąc się głośno, weszli do środka i usadowili się przy stoliku znajdującym się najbliżej wyjścia. Nie minęło kilka minut, gdy ujrzał Marinę. Zwinnie przemknęła do toalety, po drodze ściągając z głowy kwiecistą chustkę. Wydawało mu się, że siedzi tam bez mała godzinę, ale zerkając na zegarek, stwierdził, że metamorfoza trwa zaledwie dziesięć minut. Gdy wreszcie stanęła w drzwiach toalety, stwierdził, że wygląda dokładnie tak, jak jej nakazał dzień wcześniej. Emanowała dziewczęcym urokiem, świeżością i tym, co opasył Gerling lubił najbardziej. Młodością. Mimo że sukienka była zapięta niemal pod szyję, a twarz nie zdradzała śladów makijażu, Marina wyglądała niezwykle pociągająco. Żałował, że poczuła do niego coś więcej. Gdyby podeszła z dystansem do ich znajomości, tak jak on, mogłaby być świetną odskocznią i sposobem na rozładowanie jego permanentnego napięcia, które towarzyszyło mu od chwili, gdy wcielił się w rolę Ottona Kriego. Tymczasem Marina ze słodkiej kochanki zamieniła się w zakochaną bez pamięci dziewczynę, a miłości, niestety, nie mógł jej ofiarować, bo jego serce wciąż było zajęte. Niekiedy dopadały go wyrzuty sumienia, w końcu pozwolił sobie na obcowanie cielesne z inną kobietą, ale po pewnym czasie doszedł do wniosku, że najważniejsze jest to, co czuje do Hanki Lewin, a nie to, co wyczynia jego mały przyjaciel. Zresztą, będąc w Kijowie, zwariowałyby bez tych chwil wytchnienia, gdy wydawało mu się, że znalazł się w jakimś koszmarnym śnie, który nie miał końca i wciągał go coraz głębiej lepkiemi maczkami.

Ocknął się z chwilowego zamyślenia i wprowadził Marinę do sali restauracyjnej. Przecisnęli się między stolikami, udając, że szukają dogodnego miejsca, i dotarli do narożnika, w którym siedział samotnie Rudolf Gerling.

– Dobry wieczór. Możemy się dosiąść? Nie ma wolnych stolików – zapytał grzecznie Łyszkin.

Gerling oderwał wzrok od talerza, zmarszczył brwi i utkwiał spojrzenie w Marinie. Bruzdy z czoła zniknęły, a czerwona, nalana twarz przybrała przyjemny wyraz.

– Oczywiście, będzie mi bardzo miło, poruczniku... – odpowiedział szarmancko.

– Kriege, Otton Kriege. A to moja towarzyszka, Oksana – powiedział Igor.

Sędzia ponownie spojrzął na Marinę, ale ta spuściła wzrok i uśmiechnęła się

delikatnie.

– Przepiękna kobieta – mruknął Gerling i zapytał: – Zna niemiecki?

– Odrobinę – odpowiedział Igor i roześmiał się rubasznie. – Do pewnych rzeczy nie potrzeba słów. To język, że tak powiem, międzynarodowy.

Chciał dać do zrozumienia sędziemu, że dziewczyna, z którą przyszedł, nie jest dla niego nikim ważnym.

– Jest prostytutką? – wypytywał sędzia, nie czekając nawet, aż znajomość z przypadkową parą trochę bardziej się zacieśni.

– Mam nadzieję, że nie – roześmiał się Łyszkin. – Nie lubię, jak mnie szczypie przyrodzenie.

Igor próbował przesunąć granicę znajomości, badając, czy sędzia Gerling jest świnią jedynie w zaciszu swojej sypialni, czy też publicznie zachowuje się jak cham.

– O tak, kurwy mogą załatwić człowieka na długie miesiące. – Gerling roześmiał się i stuknął kieliszkiem w szkło swojego sąsiada.

Łyszkin łyknął wódkę, a po chwili to samo uczyniła Marina, wciąż udając zahukane dziewczę.

– Słuchaj, Kriege... – Coraz bardziej pijany Gerling nachylił się w kierunku Łyszkin. – Podoba mi się ta twoja *krasawica*. Ale ty z nią przyszedłeś i co tu dużo mówić, jesteś ode mnie przystojniejszy. Jeśli jednak przez najbliższy miesiąc chciałbyś w tym lokalu mieć otwarty rachunek, możemy się dogadać.

– Ależ majorze... – niby obruszył się Igor.

– Och, nie tak oficjalnie, Otton. Dzisiaj nie jestem ani majorem, ani sędzią, tylko twoim kompanem – przymiłał się Gerling, coraz bardziej zauroczony milczącą Mariną, która prawie nie odzywała się, ale po mistrzowsku posyłała w kierunku sędziego powłóczyście spojrzenie, uśmiechała się, delikatnie prz gryzając wargi, i poprawiała włosy, dotykając ich szczupłymi palcami.

– Mnie też się podoba, Rudolfie. Ale cholernie nie lubię zbiorowych uciech – wybełkotał Łyszkin.

– Ja też nie – zarechotał Gerling i dodał: – I dlatego proponuję ci wyszynk w tej knajpie przez następny miesiąc.

– Jestem tutaj chwilowo, moje komando wyrusza pojutrze do Żytomierza, więc kiepski zrobiłbym interes z tobą. – Igor udawał, że nie daje za wygraną.

– No właśnie, w Żytomierzu znajdziesz sobie inne cipki, a ja... Jak jej tam było... Oksanę pozostawię sobie na dłużej.

– To ja się dzisiaj z nią zabawię, a od jutra będzie do twojej dyspozycji –

zarechotał Łyszkin, po czym spoważniał. – Cholera, nie powinienem pić tego ścierwa, ledwo co wyszedłem z dezynterii.

– To rzeczywiście nierozważne. – Sędzia zmarszczył czoło.

– Chyba muszę wyjść – powiedział cicho Łyszkin i miał nadzieję, że ma wystarczająco zbolały wyraz twarzy, by świadczył o powracającej jeszcze dolegliwości. – Jestem zdrow, ale lekarze zabronili mi ostrych trunków i kiepskich potraw. Cholerne konowały, jak tu nie chlać...

Wstał z krzesła, zachwiał się, aby uwiarygodnić zarówno rausz, jak i nieprzyjemne klucie w podbrzuszu, po czym zaczął się żegnać. Marina także podniosła się z krzesła, ale Igor dotknął jej ramienia i powiedział:

– Zostań. Skończ kolację. Przyjdę jutro. Rozumiesz?

Pokiwała głową i niepewnie usiadła z powrotem przy stoliku, jakby nieco zmieszana, że pozostanie sama w towarzystwie Gerlinga. Marina była doskonała w swojej roli, wręcz idealnie dopasowała się do sytuacji, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń.

Łyszkin opuścił lokal, chwilę potem jeden z jego kompanów i udali się w kierunku domu, w którym mieszkał sędzia. Na dworze zmierzchało. Igor wprowadził motocykl na tyły domu i wcisnął go w krzew jaśminu. Jego towarzysz zaparkował furgonetkę kilkadziesiąt metrów dalej i obaj powrócili w pobliże restauracji. Igor denerwował się jak nigdy dotąd, bo pierwszy raz powodzenie całej akcji zależało od kobiety. Obawiał się, czy Marina nie zdezerteruje, gdy obślizgłe łapy Gerlinga zaczną ją obłapiać. Z tego, co wiedział, podobne akcje nie były dla tej młodej dziewczyny nowością, ale zakochane panny potrafią nie wytrzymać ciśnienia w podobnych sytuacjach. Jako stary komsomolec powinien traktować kobiety na równi z mężczyznami, nie potrafił się jednak wyzbyć pewnych przekonań. Uważał, że są emocjonalne, zbyt delikatne, a Marina była wyjątkowo płaczliwa. A może zechce zaskarbić sobie uznanie w oczach Łyszkina i spisz się koncertowo?

Nie zdążył bardziej wgryźć się w temat ewentualnych oporów Mariny, bo drzwi knajpy otworzyły się i wytoczył się z nich Gerling, obejmujący swoją nową zdobycz. Rozejrzał się i pomachał do opartego o samochód żołnierza. Mimo że od jego kwatery dzieliło go zaledwie kilkaset metrów, zawsze odwożono go pod same drzwi. Przeważnie w towarzystwie młodych Ukrainek, które potem wymykały się nad ranem z jego domu.

Samochód wiozący sędziego wykręcił na dość wąskiej ulicy i wolno wjechał w następną przecnicę. Zarówno manewry przed restauracją, jak i powol-

na jazda sprawiły, że zanim Gerling wraz ze swoją towarzyszką wygramolił się z auta, Łyszkin i jego kompani zdążyli zająć swoje stanowiska.

W sypialni Gerlinga rozbłysło światło, a chwilę potem Marina otworzyła okno i niezbyt dokładnie zasłoniła zasłony. Igor podszedł do okna i przez pozostawioną szparę obserwował sytuację. Sędzia najwyraźniej nie miał zamiaru krępować się jasnym oświetleniem, bo niemal od razu przystąpił do zdzierania sukienki z Mariny. Ta stała bezwolna i spanikowanym wzrokiem zerknęła w stronę okna. Wołała, żeby Łyszkin załatwił Gerlinga, zanim ten rozbierze ją do końca i zechce się na niej położyć. Wiedziała jednak, że plan jest inny, a sędzia ma być już na tyle roznegliżowany, żeby nie mieć dostępu do broni, i tak bardzo rozochocony jękami Mariny, że nie zwróci uwagi na wchodzącą przez okno postać.

Gdy Rudolf Gerling miał na sobie jedynie bieliznę, rzucił się na półnągą Marinę, jak wygłodzone zwierzę na kawałek mięsa. Dziewczyna zachichotała sztucznie i zaczęła wykrzykiwać pojedyncze słowa po ukraińsku. Najwyraźniej nie spodobało się to napalonemu sędziemu, bo wymierzył jej dwa siarczyste policzki i ostrym tonem nakazał, żeby się zamknęła. Jęknęła cicho i poddała się brutalnym pieszczotom Gerlinga. Igor, mimo że nie czuł do Mariny nic oprócz sympatii, nie mógł dłużej na to patrzeć. Wskoczył na parapet, przedostał się do wnętrza i strzelił w ogromne cielsko sędziego.

– Teraz szybko – syknął do Mariny.

Wygramoliła się spod ogromnego, bezwładnego ciała Gerlinga, zgasiła światło i zaczęła w pośpiechu zakładać sukienkę. Gdy była gotowa, podbiegła do okna i już miała przełożyć nogę przez parapet, kiedy rozległ się głuchy strzał. Sędzia ostatkiem sił wygrzebał pistolet, który najpewniej trzymał pod poduszką, i strzelił w kierunku dziewczyny. Marina jęknęła i osunęła się na podłogę. Łyszkin błyskawicznie wycelował i oddał, nieco na oślep z powodu panującego w pokoju mroku, kilka strzałów. Podniósł ranną Marinę i próbował wypchnąć ją przez okno, gdzie czekał na nią jeden z jego towarzyszy, ale dziewczyna z trudem trzymała się na nogach.

– Co jest, do cholery? – syknął stojący pod oknem partner Łyszkina.

– Marina oberwała, musisz ją złapać, nie da rady sama zeskoczyć – powiedział Igor i ostatkiem sił popchnął niemal nieprzytomną dziewczynę w objęcia kompana.

– Co teraz? – zapytał spanikowany chłopak. – Nie zdołam donieść jej do samochodu, tak żeby nikt nie zauważył, a ona nie da rady sama pójść. Za chwilę

zrobi się zbiegowisko, bo pewnie ktoś usłyszał strzelaninę.

– Leć do samochodu, spotkamy się tam, gdzie mieliśmy, ja zabiorę Marinę motorem – wyszeptał Igor, nie mając pojęcia, jak poprowadzi motocykl z raną dziewczyną.

Odpalił silnik, kolega pomógł mu posadzić Marinę przed nim, po czym pobiegł w kierunku furgonetki. Łyszkin z impetem wyjechał za bramę i ruszył na północ. W oddali usłyszał dźwięk ambulansu. Pędził na złamanie karku, żeby jak najszybciej wydostać się z miasta, ale jego pasażerka co chwilę traciła przytomność, przechylając się na jedną ze stron. Jednoczesne podtrzymywanie dziewczyny i manetek stanowiło dla Łyszkina nie lada wyzwanie, zwłaszcza gdy motor niebezpiecznie się chybotał.

– Wytrzymaj, kochana, błagam, to już niedaleko! – krzyczał do ucha Marinie.

– Nie dam rady, nie mogę oddychać – jęczała.

W końcu wyjechali z miasta. Na szczęście nikt ich nie zatrzymywał, bowiem wieczorne przejażdżki niemieckich oficerów w towarzystwie dziewczyn nie budziły niczyjego zdziwienia. Każdy potrzebował rozluźnienia i odrobiny zabawy w tym paskudnym miejscu.

Kilka kilometrów za miastem skręcił w leśny dukt i zatrzymał się. Jego kompani powinni dotrzeć za kilka minut. Marina nie mówiła już ani słowa, niemal przelewając mu się przez ręce. Ułożył ją na trawie i wyciągnął latarkę. Poświecił jej w twarz i za chwilę zgasił światelko. Wystarczyło kilka sekund, by zobaczyć nieruchome oczy, wpatrzone w przestrzeń i świadczące o tym, że Mariny nie uda się już uratować. Nie chciał na to patrzeć. Usiadł obok dziewczyny, wziął za rękę i rozpłakał się.

– Mówiłem, żebyś tego nie robiła. Nie chciałem, żebyś ze mną jechała – łkał, wściekły na los i na siebie, że nie był bardziej stanowczy.

Być może ryzykowałby bardziej, jadąc samemu, a może w ogóle nie udałoby się dopaść sędziego Rudolfa Gerlinga, ale Marina żyłaby. Być może spotkałaby odwzajemnioną miłość, była przecież taka śliczna, ale ona zaryzykowała dla niego i przez niego zginęła. Nie miał pojęcia, jak się z tym pogodzi, bo chociaż widział już śmierć wielu swoich kompanów, Marina była w tym piekle jedynym jasnym punktem. Małym światelkiem oświetlającym ponurą rzeczywistość, która go otaczała. I wiedział, że dopóki nie zacznie normalnie żyć, będzie tęsknił za nią i za tym, jak bardzo go kochała.

19. Warszawa, 1942

Ostatnie słowa, jakie wypowiedział Emil po dokonaniu kolejnej zbrodni, zostały odebrane przez małego Szymka Wielopolskiego w sposób, który był bardzo na rękę Emilowi. Oczywiście, lepiej byłoby, gdyby w ogóle nie widział martwej Adrianny, a on nie popełniłby morderstwa, ale stało się i należało jak najszybciej wybrnąć z sytuacji. Wyrzuty sumienia i rozważania na temat swojego czynu postanowił pozostawić sobie na później.

Szymek, słysząc słowa: „Dlaczego to zrobiłaś, Adrianno”, wiedział, że mogły oznaczać jedno. Jego ciocia targnęła się na swoje życie. Skutecznie zresztą. Miał świadomość, że ludzie robią podobne rzeczy, ale nie rozumiał tego. W świecie, gdzie śmierć czyhała na każdym kroku, a człowiek potrafił posunąć się niemal do wszystkiego, by ocalić życie, ktoś po prostu postanawia, że nie jest ono nic warte. Nikomu nie było lekko w dzisiejszych czasach, nawet on mimo młodego wieku czynił rozważania w tym temacie, zwłaszcza gdy stracił Noemi albo sypiał wygłodzony w zaszczurzonej piwnicy, ale nigdy nie odważyłby się na podobny krok. Wywnioskował więc, że ciocia Adrianna musiała być osobą głęboko nieszczęśliwą.

– I co teraz? – zapytał rozpaczliwie Szymek, z trudem przełykając ślinę i starając się powstrzymać łzy.

To było dobre pytanie. Należało powiadomić policję, która zapewne zacznie węszyć i rychło domyśli się, że to wcale nie musiało być samobójstwo. Adrianna miała męża, zapewne i on nie uwierzy, iż jego świeżo poślubiona małżonka tak po prostu postanowiła się zastrzelić w domu byłego kochanka, zwłaszcza że kilka metrów dalej, w sąsiednim mieszkaniu, znajdował się jej ukochany syn. Okłamanie dwunastoletniego chłopca było zdecydowanie prostsze. Emil podszedł do chłopca, złapał go za ramiona i posadził na kanapie.

– Posłuchaj, Szymek, to straszne, co tutaj się stało. I nie tylko dlatego, że twoja ciocia nie żyje. Będziemy musieli powiadomić granatowych, a oni współpracują z gestapo i kripo. A ja jestem poszukiwany za ten cały nasz szmugiel i zabiorą mnie na Pawiak, a ty trafisz do pryjuta, razem z Karolkiem. Tak to będzie wyglądało – zaczął tłumaczyć Emil.

– Ale dlaczego ciocia to zrobiła? – zapytał Szymek, wciąż nie rozumiejąc, jak mogło do czegoś takiego dojść, a pan Emil Lewin na to pozwolił.

– Nie miałem pojęcia, co planuje. Myślałem, że przyszła zobaczyć się z Karolkiem, nawet ucieszyłem się z jej wizyty, a gdy wychodziłem do Malczew-

skiej po dzieciaka, Adrianna wyciągnęła z szuflady pistolet i strzeliła sobie w głowę... – zaczął jąkać się Emil.

– Ale dlaczego? – Szymek nie dawał za wygraną.

– Jest taki jeden człowiek... Nienawidził cioci Adrianny, nienawidzi mnie i wszystko, co najgorsze mi się przytrafiło w życiu, to przez niego. Jest jak diabeł, który postanowił, że wciągnie mnie do samego piekła... Nazywa się Chełmicki. Julian Chełmicki. To wszystko przez niego, wszystko przez niego... I teraz przez niego zdechnę w więzieniu – wybełkotał Lewin i zaczął płakać.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz to robił. Ale każda rzecz, w którą się wplątał, każda zbrodnia, jakiej się dopuścił, miała swój początek i przyczynę. I był nią jego przyrodni brat, którego zdaje się wspierał sam diabeł.

– Ja nikomu nie powiem, panie Lewin. Ale ciocia nie może tak tutaj leżeć nieżywa w pokoju – zauważył bystrze Szymek.

– Posłuchaj, Szymek, zajmę się wszystkim. Idź gdzieś, nie wiem, może do szarni na strych, a ja wywiozę stąd Adriannę. Pożyczę od węglarza Matyska furę, wyjadę za miasto i pochowam ciocię. Tylko zaprzysięgnij mi się tutaj, że nikomu pary z gęby nie puścisz, bo w pryjucie nie będzie ci tak dobrze, jak u mnie – złowrogo powiedział Emil.

– Ale tak całkiem bez księdza? – zapytał Szymek.

– Nie bądź głupi. Ksiądz samobójców nie chowa, bo grzech ciężki samemu się życiu sprzeniewierzyć. Idź już – warknął.

– Pomogę panu, panie Lewin. Tak jak pan mi pomógł, gdym jak żebrak żył. I pod chajrem mówię, że słowa nikomu, żeby mi miał kto nawet głowę uciąć. – Szymek zaczął walić pięścią w swoją wątlą pierś.

– To chodź, przyprowadzimy furmankę, a potem zawinę w dywan ciało i wyniosę.

Emil był już spokojny. Szymek Wielopolski był mu oddany do ostatnich granic i to dawało mu nadzieję, że dochowa tajemnicy.

Stary węglarz niechętnie pożyczał konia i furmankę, ale Lewin zaproponował mu taką ilość pieniędzy, że niechęć zamieniła się wręcz w entuzjazm.

Podjechali przed kamienicę, weszli do mieszkania, po czym zawinęli ciało w dywan i z wielkim trudem znieśli je po schodach. Równie ciężko im było, gdy wciągali zwiniętą w rulon nieboszczkę na furę. Odsapnęli dopiero, gdy usiedli na koźle i ruszyli w stronę Ursynowa. By nie budzić podejrzeń, Lewin i Szymek wynieśli z piwnicy stare meble, które żal było wyrzucać, ale były

zbyt obskurne, by trzymać je w domu, i poustawiali na deskach, przygniatając zwinięty dywan.

Po kilku przecznicach natknęli się na patrol. Lewin cały się spocił, zanim wyjął z kieszeni marynarki dokumenty. Żołnierze obejrżeli je, po czym bez specjalnego zainteresowania powiedli wzrokiem po starych meblach.

– Ciotce wiozę, bo mi tylko piwnicę zagracają, a jej się przydadzą – drżącym głosem powiedział Lewin.

– Chyba na rozpałkę. – Żołnierz zarechotał i nakazał jechać dalej.

Emil otarł pot z czoła i zerknął na Szymka. Chłopak był blady i przez cały czas zaciskał mocno usta, żeby patrol nie usłyszał, jak szczęka zębami ze strachu. Nie myślał już o tym, dlaczego Adrianna pozbawiła się życia ani o tym, czy przypadkiem pan Emil Lewin nie ukrywa przed nim czegoś, chciał jedynie bez problemów dotrzeć do miejsca, gdzie obaj pozbędą się ciała. A ostatnie, czego pragnął, to wylądowanie w domu dziecka, gdzie panuje surowa dyscyplina, brak szacunku i zniewolenie nakazami i zakazami. Nie wspominając już o mrozących krew w żyłach plotkach o zabijaniu przez Niemców dzieci, które potem lądują w świńskich korytach.

Gdy wyjechali z Warszawy, Emil skręcił w leśny dukt. Wciąż oglądał się za siebie, nasłuchiwał i był bardzo zdenerwowany. W końcu znalazł miejsce na pochówek i zaczął kopać grób dla swojej młodzieńczej miłości, Adrianny. Z każdym wbiciem łopaty zadawał sobie w duchu pytanie, czy musiała zginąć. Pytał ją w myślach, dlaczego straszyla go wydaniem polskiemu podziemi. Przecież miała świadomość, że dla niego oznaczało to śmierć. Zatem życie za życie. Chcąc ratować siebie, musiał zabić Adriannę. Może blefowała, może powinien oddać jej dziecko, które przez czas rozłąki zdążył obdarzyć ojcowskim uczuciem? Pytania kołatały mu w głowie, jakby chciały zagłuszyć dźwięk szpadla wbijającego się w twardą ziemię. Ale zostałyby wówczas jej zakładnikiem. Kiedyś go kochała i była gotowa wiele dla niego zrobić, gdy przestała, nie miała już nic do stracenia.

Pogrzebali Adriannę i nawet wbili w miejsce pochówku byle jak sklecony z grubych gałęzi krzyż, a potem pełni ulgi powrócili do Warszawy. Tego dnia Szymek i Emil nie zamienili już ze sobą ani słowa. Chłopiec w trudnych dla niego chwilach zamykał się w sobie i nie rozmawiał o swoich uczuciach, a Lewin wiedział, że cokolwiek powie Szymkowi, będzie nieprawdą. A on miał dość oszukiwania. Wystarczająco mocno okłamywał samego siebie, za każdym razem usiłując znaleźć winnego swoich występków. Zagłuszał w sobie głos,

który szeptał mu niekiedy, iż jedynym odpowiedzialnym jest on sam, a każdy zły uczynek pociągał za sobą następne. Tak jakby wszedł na drogę, z której nie było odwrotu.

Renate Zoll wprowadziła się do niego kilka dni później. Planowali nawet ślub, ale póki trwała okupacja musieli go odłożyć. Renate sądziła, że mając przy boku Emila, zapomni o Walterze i porażce, jaką odniosła w związku z nim. On natomiast liczył, że zagłuszy koszmary powracające po popełnieniu zbrodni. Wieczorami nie mógł zasnąć, a gdy już to czynił, pojawiały się wciąż te same sny. Twarz Adrianny, piękna i uśmiechnięta, zamieniająca się w woskową maskę, jasne niebo, na które nadciągały ciemne, burzowe chmury, wręczcie słyszał jęki cierpienia swoich ofiar. Próbował szukać zapomnienia w alkoholu, ale on tylko pogłębiał jego fatalny nastrój.

– Renatko, zabiłaś kiedyś człowieka? – zapytał któregoś dnia, jakby usiłował znaleźć sprzymierzeńca w dylematach, które nim targały.

Był słoneczny niedzielny poranek. Mały Karolek bawił się w łóżeczku, a Szymek, jak niemal co dzień, wyszedł z domu, by włóczyć się bez celu po warszawskich ulicach. Renate odwijiała z włosów papiloty i wpatrywała się w swoje odbicie w niewielkim lusterku ustawionym na kuchennym stole.

– Jutro przyniosę ci wszystkie dokumenty, żebyś mógł się wpisać na folkslistę – mruknęła, udając, że pytanie nie padło.

– Zapytałem cię o coś...

Renate przestała odwijać papiloty, sięgnęła po papierosa, mocno zaciągnęła się dymem i powiedziała, wzruszając ramionami:

– Jest wojna, a ja jestem funkcjonariuszem państwowym.

– Rozumiem, chciałbym tylko wiedzieć, co się wtedy czuje.

Kobieta za nic w świecie nie przyznałaby się, że zabijanie ludzi jest dla niej nie tylko przykrym obowiązkiem, ale także sposobem na rozładowanie złości. To kompletnie nie pasowało do wizerunku ujmującej, słodkiej kobiety.

– Dajże mi spokój z takimi pytaniami. No nie jest to jedzenie lodów waniliowych. Ale cóż... – burknęła.

– Wiesz, chodzi mi bardziej o to, czy nie masz potem koszmarów, wyrzutów sumienia? – nie dawał za wygraną Emil.

Ta jakby się zreflektowała. Najwyraźniej Lewin nie posiadał czystych rąk i miał na sumieniu ofiary, jednak jego wrażliwość nie pozwalała mu przejść

nad tym do porządku.

– Posłuchaj, ci ludzie zasłużyli na śmierć. Jeśli ja nie zabiłabym ich, być może pewnego dnia to oni zabiliby mnie. Dlaczego więc miałabym zadrećzać się śmiercią polskich terrorystów, którzy bez wahania i przy najbliższej nadarzającej się okazji wypatroszyliby mnie jak prosiaka. Polacy to naród morderców i nie należy się z nimi patyczkować – powiedziała spokojnie.

– Jestem Polakiem... – wymamrotał Lewin.

– Więc sam wiesz, że niektórzy aż proszą się o to, żeby ich wysłać na tamten świat. – Kolejny raz wzruszyła ramionami i powróciła do szykowania swojej fryzury.

Lewin uśmiechnął się. W końcu spotkał na swojej drodze kogoś, kto podchodził bardzo praktycznie do wszelkiej zbrodni. Renate miała rację, z nim nikt się nie patyczkował, a on zbyt cenił wygodne życie, by pozwolić sobie na jakąkolwiek formę zniewolenia. Ta krótka wymiana zdań z panną Zoll bardzo mu pomogła. Demony drzemące w jego głowie powoli cichły, a on doszedł do wniosku, że nie zabiłby żadnej ze swoich ofiar, gdyby nie musiał. W końcu nie biegał z siekierą po ulicy, uśmiercając przypadkowych przechodniów, ale niszczył ludzi próbujących mu zaszkodzić.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Emil wstał z taboretu i wyszedł do korytarza. W wizjerze ujrzał wymizerowaną twarz jakiegoś mężczyzny. Otworzył niepewnie i zapytał:

– Słucham, pan do kogo?

– Nazywam się Kamil Grotowski – odpowiedział mężczyzna drżącym głosem i dodał: – Jestem mężem Adrianny.

Emilowi serce biło jak oszalałe. Zdjął łańcuch z drzwi i wpuścił przybysza do środka. Weszli do pokoju. Tego samego, w którym Lewin zastrzelił Adrianę. Po tamtej zbrodni nie został już ślad, na podłodze leżał nowy dywan, a krwawe plamy zniknęły pod wpływem zastosowania detergentów.

– A więc to pan jest mężem Adrianny – bąknął Emil. – Czemu zatem mogę zawdzięczać pańską wizytę?

– Adrianna zniknęła – jęknął mężczyzna i zakrył twarz rękoma.

– Wie pan... – zaczął niepewnie Emil. – Wie pan, co się dzieje w Warszawie. Nie trzeba wiele, by skończyć na cmentarzu...

– Szukałem wszędzie. Poruszyłem niebo i ziemię. Nie została stracona, nie była ofiarą łapanki ani nie zgarnęło jej gestapo. Pomyślałem w końcu, że wróciła do pana. Ona... ona kiedyś bardzo pana kochała, poza tym kochała Karol-

ka i... – Grotowski niemal wyłkał.

Lewin przełknął ślinę. Tak, kiedyś Adrianna go kochała, a dzień, w którym przestała, był jednym z jej ostatnich. Patrzył na Grotowskiego, ale nie współczuł mu. Gdyby nie on, Adrianna by nie odeszła i być może nadal by żyła.

– Nie mam pojęcia, gdzie mogła się podziać... Była u mnie, to znaczy u syna, jakiś tydzień, może dziesięć dni temu... Porozmawialiśmy, nie powiem, że była to miła pogawędka, i potem wyszła. – Emil starał się również mieć zaniepokojony wyraz twarzy.

– Pokłóciliście się? – zapytał Grotowski.

– Wiem pan, odeszła do innego, chciała zabrać mi syna... To nie jest atmosfera do podtrzymywania przyjacielskich relacji. Nasze spotkanie jednak nie różniło się od innych... – bąknął Lewin.

– Ja wyczerpałem swoje znajomości. Ale może pan zna kogoś, może ją wywieziono do obozu albo na roboty? Byłem też u granatowych, ale wie pan, jak oni będą się starać. – Kamil Grotowski musiał być zdesperowany, jeśli był gotów połączyć siły z mężczyzną, którego nienawidził.

– Przecenia pan moje możliwości, ale oczywiście zrobię wszystko, żeby ustalić, gdzie jest i co się z nią dzieje. W końcu to matka mojego dziecka – ugodowo powiedział Lewin, chcąc jak najszybciej pozbyć się intruza ze swojego domu.

– Bardzo panu dziękuję. Tutaj jest numer telefonu do mojego miejsca pracy, a to mój prywatny adres. Jeśli dowie się pan czegoś, proszę mnie zawiadomić.

– Mąż Adrianny drżącą ręką zapisywał niezbędne dane na skrawku kartki wyciągniętej z marynarki.

– Oczywiście – mruknął Emil i pożegnał Grotowskiego.

Gdy ten tylko opuścił mieszkanie, Lewin wypuścił powietrze, usiadł przy stole i próbował się uspokoić. Nawet nie zauważył stojącej w drzwiach pokoju Renate. Piłowała swoje paznokcie i nawet nie patrząc na Emila, powiedziała ze śmiechem.

– Co, narzeczona zalazła ci za skórę i ją zakopałeś w lesie?

Popatrzył na Renate i zbladł. Jak, u licha, się dowiedziała? Krople potu wystąpiły mu na czoło.

– Emil, żartowałam. – Wybuchła śmiechem.

20. Leningrad, 1942

Lossow postanowił skupić się na swoim zadaniu i starał się nie myśleć o Ol-dze Iwanownie. Jeśli postanowiła zaryzykować i zniknąć w Leningradzie, mu-siał uszanować jej decyzję. Uważał, że to szaleństwo. W swojej mieścinie miała dużo większe szanse na przeżycie, chociażby dlatego, że zdobycie poży-wienia w tym miejscu było znacznie prostsze. Być może jednak jej słowa: „Muszę nauczyć się z tym żyć” w żaden sposób nie przystawały do rzeczywi-stości. Nie potrafiła pogodzić się z upokorzeniem i wolała zaryzykować pozo-stanie w Leningradzie niż powrócić do miejsca, gdzie stanowiła obiekt gwał-tów czynionych przez niemieckich żołnierzy. Rozumiał ją i podziwiał. Była kolejną kobietą w jego życiu, w której oprócz wyglądu dojrzał także duszę. Miała odwagę, której on nie potrafił w sobie odnaleźć, i obrała trudną drogę, gdy tymczasem Walter poszukiwał tych najprostszych. Ale żyć pięknie nie oznaczało wcale żyć wygodnie i łatwo.

Wyszedł na ulice Leningradu, przeszedł Newskim Prospektem do ocalałego cudem soboru Kazańskiego, a potem jakaś siła popchnęła go w stronę filhar-monii. Na szczęście w holu stał ten sam wymizerowany portier, co poprzed-niego dnia. Ukłonił mu się jedynie, po czym wyjął z kieszeni pięć sucharów i bez słowa ruszył w kierunku sali koncertowej. Portier usiłował nawiązać z nim jakiś kontakt, ale mimo kilkumiesięcznej nauki języka niewiele zrozumiał z tego, co mówił. Usiadł w ostatnim rzędzie i wsłuchiwał się w dźwięki sym-fonii. W takim miejscu zapominało się o wojnie, okalających miasto Niem-cach, a przede wszystkim o panującym głodzie i milionie ofiar, które pochło-nęły te działania. Marzył o tym, że za chwilę zjawi się obok Olga, bo Walter nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak bardzo samotny. Do końca próby jed-nak miejsce obok Lossowa pozostało puste.

Jeszcze dwa dni pozostał w mieście, snując się po leningradzkich ulicach i przy obiektach przemysłowych, po czym powrócił do punktu, skąd zwiadow-cy zabrali go do Apraksinu.

– Gdzie nauczycielka? – zapytał jeden z żołnierzy, gdy Walter wszedł na kwaterę i były to pierwsze słowa, jakimi go przywitano po tygodniowej nie-obecności.

– Zginęła. Zastrzelił ją enkawudzista, gdy próbowała robić zdjęcia Smolne-go – mruknął Walter i zaczął rozpakowywać plecak. Miał nadzieję, że jego kompani nie będą zbyt wnikliwie wypytywać go o szczegóły.

– Szkoda – bąknął żołnierz. – Liczyłem, że ci się znudzi i znowu będziemy mogli się z nią zabawić.

Walter popatrzył na kolegę i poczuł obrzydzenie.

– Ona wcale nie miała ochoty się z tobą zabawiać. Ani z nikim innym! – wybuchnął.

– Ty, Lossow, nie bądź taki dżentelmen. To zwykła ruska szmata. Nadawała się tylko do jednego – odpowiedział mu równie ostro kompan.

Walter podszedł do niego i chwycił za poły munduru. Zbliżył swoją twarz do niego i wysyczał:

– Co ty o niej wiesz? Co ty o niej wiesz, bydlaku?!

Żołnierz był przerażony zachowaniem spokojnego dotychczas Lossowa. Jeśli ktoś taki stracił nerwy, oznaczało to, że temat nauczycielki był zbyt drażliwy dla młodego porucznika.

– Nie wygłupiaj się, Walter. Zakochałeś się w niej czy co? No jeśli tak, to w porządku, ale skąd mogliśmy wiedzieć. Trzeba było tak od razu. Ja bym tam w Rusce nigdy się nie zakochał, bo to ścierwo, ale jak ty... to co mi do tego – niemal wybełkotał.

– Do cholery, a co to za różnica? – westchnął Walter, puścił poły marynarki żołnierza i trzaskając drzwiami, opuścił pokój.

Wyszedł przed budynek i popatrzył na okolicę. Przyroda wraz z wiosną dodała kolorytu temu miejscu, ale von Lossowowi wydało się wyjątkowo odstręczające. Poszedł do chatki, w której niegdyś mieszkała Olga, i wszedł do srodka. Usiadł na jej łóżku i wziął do ręki leżącą na szafce *Annę Kareninę*. W świetle wpadającym do izby przez małe okienko dotykał pożąłkłych kartek i żałował, że za słabo zna cyrylicę, by móc zanurzyć się w lekturze. Tak bardzo rozumiał teraz Olgę Iwanownę, że w chwilach trudnych uciekała w świat fikcyjnych postaci, a każda opisywana historia wydawała się znośniejsza niż otaczająca rzeczywistość.

Po godzinie odłożył książkę i wodził oczami po skromnym domku swojej przyjaciółki. Jakby chciał odnaleźć jakąś część niej. Pragnął, żeby nagle zakrzypiały drzwi i Olga stanęła w progu. Wiedział jednak, że to nie nastąpi. W każdym razie dopóki on tutaj będzie przebywał. Zapewne niebawem dostanie kolejny rozkaz i znów będzie taplał się w wojennym brudzie, dokumentując egzekucje i jeńców w dulażach, i stworzy propagandowe historie podtrzymujące ducha walki w niemieckich chłopcach. Ducha, który u niego już dawno zgasł.

Pod wieczór powrócił do kwatery i zjadł puszkę tłustego gulaszu z pajdą paskudnego ciemnego chleba, który nawet nie pachniał pieczywem, a jedynie rozstaczał woń spalenizny. Podczas posiłku nikt z jego kolegów nie odezwał się do niego ani słowem.

Następnego dnia pojechał w miejsce masowej mogiły utworzonej przez NKWD, gdzie spoczywały dziesiątki ludzkich zwłok. Starał się, żeby zdjęcia oddały nie tylko skalę mordu, ale także robił zbliżenia powyginanych ciał, częściowo w stanie rozkładu, fragmentów garderoby charakterystycznych dla tej części świata i niemieckich patologów w białych kitlach, pochylających się nad trupami. Oczywiście ich praca i zaangażowanie były pozorne, chodziło tylko o to, aby na zdjęciach uchwycić przejęcie Niemców losem ofiar stalinowskich czystek. Te wszystkie obrazki nie tylko pokazywały obywatelom III Rzeszy okrucieństwo Rosjan, ale dodawały animuszu żołnierzom Wehrmachtu i SS i wyzwalały w nich mordercze instynkty. Tak, odpowiednia propaganda mogła z każdego uczynić krwawego zbrodniarza, subtelny dżentelmena zamienić w żarłocznego drapieżnika, a miłośnika pokoju w maszynkę do zabijania. Na froncie wschodnim służyło wielu młodych chłopców, przyzwyczajonych do innych widoków, więc były chwile, gdy po prostu przestawali wierzyć w swoją służbę. Jednak okrutne zdjęcia potrafiły na powrót zmienić ich w dzielnych i posłusznych żołnierzy, bo wpajano im, że jedynym ratunkiem dla świata jest podbicie Stalina i wymordowanie Słowian.

Były takie chwile podczas służby, że Walter miał ochotę zdezerterować. Spakować plecak, włożyć cywilne ubranie i ruszyć na zachód tak daleko, jak to tylko możliwe. Ale dokąd? Do Polski? Do Rzeszy? Olga Iwanowna miała swój azyl, miejsce na ziemi, które, chociaż nie dawało gwarancji przeżycia, było namiastką wolności. Być może tylko pozornej, bo wszędzie trwała wojna, ale Apraksin mógł jej się kojarzyć tylko z jednym.

- Poruczniku, przyszyły rozkazy. – Żołnierz podał Walterowi kopertę. Ten rozdarł ją pośpiesznie. Był ciekawy, gdzie tym razem rzuci go los.
- Znowu dulag... – westchnął i zaczął pakować plecak.

21. Warszawa, 1942

– To cudowna wiadomość, może teraz w końcu coś drgnie. Będziemy miały pieniądze i całą siatkę ludzi, którzy nam pomogą. – Teresa klaskała w dłonie, jak mała dziewczynka.

– Tak, wiem, mam być łącznikiem między stowarzyszeniem Żegota i Armią Krajową – powiedziała Alicja.

– To znaczy, że nie będziesz już w naszej grupie? – zmartwiła się Teresa.

– Ależ będę, jako łączniczka niewiele miałabym roboty... A Julian wyjechał, więc muszę być zajęta przez cały czas. Bez wytchnienia. – Uśmiechnęła się smutno.

– Co się dzieje, Alicjo? – zatrwożyła się koleżanka.

– Wszystko w porządku. Po prostu będę się martwiła, a nie lubię tego – odpowiedziała na odczepnego, bo chociaż lubiła Teresę, nie chciała się jej zwierzać.

Poza tym sama nie wiedziała, co właściwie czuje. W zasadzie powinna być zadowolona, że Chełmicki opuścił urocze gniazdko pani doktor, bo to dawało szansę na odrodzenie ich związku, jednocześnie wolałaby wiedzieć, co się z nim dzieje. Tymczasem Julian opuścił kraj i z tego, co zdołała ustalić, nie powróci ze swojej misji szybciej niż za kilka tygodni. A przecież w tym czasie mogło się wydarzyć tyle złych rzeczy.

– Dzisiaj nigdzie nie jest bezpiecznie. – Teresa poklepała Alicję po ramieniu. – Chodźmy, czekają na nas.

Kilkanaście minut później weszły do obszernego mieszkania przy Puławskiej. Już od drzwi słyhać było gwar, podobny do tego, który pobrzmiwa po przekroczeniu progu ochronki bądź szkoły. W jasnym salonie, na grubym dywanie, siedziało jakieś dziesięcioro dzieci w schludnych ubrankach i bawiło się zdobytymi przez opiekunów zabawkami. Jedna z kobiet krzątała się po pokoju i doglądała maleństw, z których najstarsze miało nie więcej niż siedem lat.

– Maria z Eleonorą są w kuchni – powiedziała donośnym głosem kobieta.

Weszły do przestronnego pomieszczenia, ale tutaj widok już nie był taki siełankowy. Na jednym z taboretów siedziała kobieta i zalewała się łzami.

– Co się stało, pani Gajewska? – zapytała zatrwożona Teresa, ale kobieta nie miała siły wypowiedzieć słowa.

– Był u niej taki jeden. I wyciągnął od nich wszystko, co mieli. Straszyl, że

z pyskiem na gestapo poleci, bo Zajdlów u siebie chowa. Musimy ich ewakuować gdzieś indziej, ale oni są wciąż przerażeni, że ten szubrawiec wróci. Gdy tymczasem oni już nic nie mają... Swoją drogą, jak się ta gnida dowiedziała? – Eleonora, pulchna kobieta około pięćdziesiątki, była wyraźnie poruszona.

Alicji nie udzielił się ten atak zbiorowej paniki, więc odrzekła, kalkulując na chłodno:

– Nie wróci. Po co? Ogołocił was ze wszystkiego i zapewne ma świadomość, że pozbędziecie się tej rodziny ze swojego domu. Poszuka sobie innych ofiar. Skąd wie? Mało to życzliwych... A oni skąd się wzięli w waszym domu? Z getta?

– Tak – odpowiedziała Eleonora. – Uciekli i pomogliśmy im znaleźć lokal. Gajewscy się zgodzili, bo jest ich tylko troje. Małżeństwo z małą córką. Reszta rodziny została za murami. Nie dość, że szwabom trzeba smarować i daniny nosić, to jeszcze i wśród naszych takie wszy się trafiają. – Eleonora wciąż była roztrzęsiona.

– A ktoś z getta wiedział, że uciekli? – wypytywała Alicja.

– Oprócz rodziny to nikt. Listy przychodzą zaś pewnym kanałem – bąknęła Maria, druga z kobiet, sądząc po wyglądzie najpewniej siostra Eleonory.

– Może ten kanał wcale nie jest taki pewny. Następnym razem pójdę z dziewczynami i przycisnę tego waszego pewniaka – mruknęła Alicja.

Kobiety uśmiechnęły się, a Eleonora trąciła łokciem Teresę.

– Skądś ty ją wzięła? Straszna z niej chojraczka...

– Nie takie rzeczy się robiło, siostró. – Alicja pstryknęła palcami i także się roześmiała.

Zapłakana dotychczas Gajewska też nieco się uspokoiła i chociaż wciąż miała minorową minę, przestała histeryzować.

– Dajcie adresy, bo nie zdążę dzieciaków odprowadzić do godziny policyjnej – powiedziała Alicja i wyszła z kuchni, by zabrać kolejne dziecko i przeprowadzić je pod wskazany adres, gdzie znajdą schronienie.

– Znalazłyśmy jeden sierociniec u sióstr zakonnych. Mogą przyjąć dziesiątkę, ale to jakieś sto kilometrów od Warszawy, w Tomaszowie – powiedziała Maria i dodała, zwracając się do Alicji: – Może i na to masz jakieś genialne rozwiązanie?

– Kto wie... Może i coś wymyślę.

Uśmiechnęła się szelmowsko i pomyślała o obrotnym Sergiuszu. W końcu

powiedział jej, gdzie może go znaleźć, gdyby potrzebowała pomocy. I właśnie ta chwila nadeszła.

Tym razem odprowadzała sześciolatniego chłopca do rodziny mieszkającej w Alejach Jerozolimskich. Kobieta, która zdecydowała się nim zaopiekować, straciła wszystkich bliskich i, jak stwierdziła, to małe dziecko może okazać się ratunkiem dla niej i jej poranionej duszy. Wzięła do ręki podrobioną metrykę chłopca i wyłkała:

– Masz na imię Jaś... Tak jak mój synek...

Po chwili przytuliła nieco oszołomione dziecko i usiłowała wprowadzić je do pokoju.

– Ciociu, zostawiasz mnie? – zapytał chłopczyk.

– Skarbie, tutaj będzie ci dobrze i wygodnie. – Alicja nachyliła się nad dzieckiem i ucałowała je w czoło.

Już nie przeżywała, jak na początku, każdej rozłąki ze swoimi podopiecznymi. Nie mogła sobie na to pozwolić. Ich znajomość była krótkotrwała, ale dzieciaki ją uwielbiały, ponieważ zawsze starała się je rozśmieszać, by chociaż minimalnie im zrekompensować brak rodziców. Spostrzegła jednak, że ta nadmierna ckliwość, której potrzebowała po utracie własnego małżeństwa, usypia jej czujność. A to nie było dobre ani dla niej, ani dla tych dzieci, które niejednokrotnie nie potrafiły wymówić ani słowa po polsku. Świadomie zrezygnowała z eskortowania niemowląt, bo pchanie wózka, w którym nie leżało jej dziecko, było ponad siły.

Gdy skończyła swoje zadania na ten dzień, udała się na Pragę i odszukała znajdującą się w suterenie pralnię. Wśród wiszących futer, płaszczy i pelis pachnących świeżością odnalazła niewielki kontuar. Nacisnęła znajdujący się na blacie dzwonek i chwilę potem zza grubej kotary wyszła dziewczyna z wyglądu przypominająca znaną aktorkę, Karolinę Łubieńską. Już samo spojrzenie młodej kobiety, przypominające wzrok spłoszonej sarny, mogło wywołać w mężczyznach przyśpieszone bicie serca.

– Szukam właściciela – powiedziała Alicja.

– Nie ma go. A w jakiej sprawie? – zapytało urocze dziewczę.

– Mam futro z karakułów i czapkę z lisa na sprzedaż – odpowiedziała Alicja, posługując się wcześniej ustalonym hasłem.

Dziewczyna zmierzyła Alicję od stóp do głów, wygięła usta w podkówkę i zniknęła z powrotem za grubą kotarą. Kilka minut później wyłoniła się z niej ogromna postać „Karego”. Uśmiechnął się szelmowsko na widok Alicji i po-

wiedział:

– Ładnie ci w tym stroju pielęgniarki. Wyglądasz tak niewinnie, że nawet ja dałbym się nabrać.

– Ty dałbyś się nabrać, nawet gdybym tu weszła w stroju kapeluszonej – odpowiedziała.

– Nie masz, widzę, o mnie najlepszego zdania. – Roześmiał się.

– Powiedziałaś, że mogę przyjść, gdybym potrzebowała pomocy. – Alicja spoważniała.

Z twarzy Sergiusza także zniknął uśmiech.

– Wejdźmy do środka.

Ruszyli wąskim korytarzykiem, mijając po drodze otwarte drzwi do dwóch pomieszczeń. W jednym z nich czyszczono i prano ubrania, w drugim unosiły się kłęby z parujących żelazek. Na końcu korytarza „Kary” otworzył kolejne drzwi i znaleźli się na klatce schodowej. Weszli na pierwsze piętro i chwilę potem Alicja po raz pierwszy przekroczyła próg mieszkania Sergiusza. Tak niewiele wiedziała o tym człowieku, oprócz tego, że pewnego dnia pomógł jej pozbyć się demonów z przeszłości i dławiącego poczucia winy.

Mieszkanie sprawiało wrażenie niemal pustego. Kilka sprzętów, dywan w pokoju, ciężkie, ciemne zasłony i żadnych bibelotów, obrazów czy wazonów.

– Niedawno się wprowadziłem – mruknął, jakby czytając w myślach Alicji.

– Twoja dziewczyna zapewne urządzi ci tutaj przyjemne gniazdko.

Alicja starała się, żeby w jej głosie nie było słychać zazdrości. Nie była zazdrosna o „Karego”, ale o to ich wspólne miejsce do życia i uczucie tak bardzo potrzebne w tych okrutnych czasach. Tylko miłość stanowiła antidotum na ciągły strach, beznadzieję i tęsknotę za normalnością. Była namiastką tego ostatniego. Ucieczką w czyjeś ramiona, gdy lęk obezwładniał, czarne myśli plątały się po głowie, a każde pukanie do drzwi mogło być ostatnim, jakie się słyszało. Tymczasem miała wrażenie, że jej związek legł w gruzach. Julian wyjechał i nawet się z nią nie pożegnał. „Sokół” powiedział, że nie mógł... ale ona wiedziała swoje. Oboje żyli na krawędzi, poszukiwani przez gestapo, ryzykując wyjściem na ulicę, więc nie przemawiały do niej proste słowa „nie mógł”. Gdyby chciał, znalazłby drogę do niej i sposób, żeby mogli chociaż na chwilę się zobaczyć. Miał mnóstwo okazji, on ich jedynie nie wykorzystał. A to oznaczało, że ich miłość została wystawiona na naprawdę ciężką próbę.

– Zosia nie jest moją dziewczyną. – Uśmiechnął się i dodał: – Zresztą jest

dobrze wychowaną panną i nie zamieszkałaby z mężczyzną bez ślubu.

Czyżby był to przytyk to jej nieformalnego związku uchodzącego za gorszący, wszak mieszkała do niedawna z Julianem i nawet dopuścili się grzechu?

– To na co czekasz? – warknęła. – Jest śliczna.

– Tak, jest śliczna i ma dobre serce. Dlatego nie chcę, żeby przedwcześnie została wdową – odparł zupełnie poważnie. – Ale mów w końcu, jakie masz kłopoty, bo my tu gadu-gadu, a twoja sprawa czeka.

– Potrzebuję przewieźć dziesięcioro dzieci za Warszawę. Niedaleko... – zaczęła się jąkać.

– Ale to chyba nie są twoje dzieci? I jak „niedaleko”? – zapytał nieco kpiarsko, bo zdążył wymyślić już różne kataklizmy, które dotknęły Alicję, gdy tymczasem ona szukała pomocy dla innych.

– Nie kpij. To dzieci z getta, ale mają mocne aryjskie dokumenty i metryki z polskich kościołów... Niedaleko... jakieś pięćdziesiąt kilometrów, no może odrobinę więcej, ale na pewno nie więcej niż sto... dziesięć. Sto dziesięć. – Płatała się, nie chcąc zniechęcić Sergiusza tak znaczną odległością od stolicy.

– Zaraz okaże się, że miałbym jechać do Katowic – mruknął „Kary”.

– Posłuchaj, wymyśliłam to tak... – powiedziała, podekscytowana. – Zrobimy z twojej furgonetki ambulans, a w razie kontroli powiemy, że wieziemy chorego na tyfus. Oni boją się cholernie tej choroby.

– Poczekaj, poczekaj. – Uniósł dłoń ku górze. – Przecież nie powiedziałem, że się zgadzam. Poza tym nie dość, że wiózłbym na pace istną bombę zegarową, to mam jeszcze zaryzykować z granatem bez zawleczonej w szoferce? Chyba masz mnie za idiotę albo zdesperowanego wielbiciela. Nie słyszałaś, że niejaki Erich Vader, uczeń samego Keniga, awansował i dostał kompletnego świra na punkcie złapania wszystkich osób, których bezskutecznie poszukiwał Kenig. Taka, wiesz... sprawa ambicjonalna, nie mówiąc o chęci stania się pupilkiem gubernatora Fischera.

– To szansa dla tych dzieci. Jeśli ja mogę ryzykować i ludzie, którzy je ukrywają, dlaczego człowiek z takimi koneksjami nie mógłby zrobić dla nich czegoś pożytecznego? – Alicja próbowała zagrać na jego czułych strunach.

– Moja droga, jeśli wpadnę, nasz kraj poniesie niepowetowaną stratę. Nie pomyślałaś o tym? – Prychnął.

– Nie stawiaj sobie pomników za życia, chyba aż tak bardzo nie przysłużyłeś się ojczyźnie. Ja odkryłam najważniejszą datę w historii... dzień napaści Hitlera na Ruskich. – Alicja podparła się pod boki.

– Naprawdę jesteś z siebie taka dumna, że rozkładałaś nogi przed Martinem Grossem? – zapytał złośliwie.

Alicja zaczynała go złościć. Przyszła po pomoc i był gotów jej udzielić, ale nie miał zamiaru słuchać jakichś przytyków. Gdyby poprosiła, to owszem, ale ona niemal składała żądania.

W jednej chwili Alicja straciła rezon. Poprawiła drżącą dłonią pielęgniarską chustkę i bez słowa ruszyła w kierunku drzwi.

– Poczekaj, Alicja, po prostu mnie wkurzyłaś – jęknął.

– Nie masz prawa mnie oceniać – wysyczała i otworzyła drzwi na klatkę schodową.

Sergiusz zamknął je z hukiem.

– A ty masz prawo oceniać mnie? – zapytał ostro.

Wzruszyła ramionami.

– Przychodzisz do mnie po pomoc. Jak dla mnie, wcale niebagatelną, a kiedy zastanawiam się nad ryzykiem, prychasz mi pogardliwie pod nosem. Może Chełmicki pozwalał sobie na ciosanie kołków na głowie, ale ze mną ten numer nie przejdzie – warknął i otworzył drzwi, żeby mogła wyjść.

Alicja cała trzęsa się w środku. Nie tylko dlatego, że nagle jej wyczyn stał się niemal publiczną tajemnicą, co, jak wiadomo, zwiększało dramatycznie ryzyko wpadki, ale również dlatego, iż tym razem jej bezczelność i urok osobisty po prostu nie zadziałały. Być może dlatego, że na dole, w pralni, czekała na Sergiusza zakochana piękność, która zapewne nigdy nie odważyłaby się mu przeciwstawić.

Gdy dotarła do mieszkania, które wciąż dzieliła z Teresą, bez słowa rzuciła się na łóżko i zaczęła pięściami okładać poduszkę, zła na siebie za tak fatalne rozegranie całej sprawy. Mimo że naprawdę chciała pomóc tym dzieciakom i nieco odciążyć dziewczyny, odezwała się w niej dawna duma i złość, gdy nie otrzymywała tego, co chciała, bez względu na to, czy była to chęć zostania tancerką, czy zdobycie Juliana Chełmickiego. A teraz pragnęła, żeby ten ogromny człowiek z ramionami jak stal zapewnił jej poczucie bezpieczeństwa, gdy będzie dokonywała heroiczych czynów.

– Nie udało się załatwić transportu? – zapytała niepewnie Teresa, czesząc swoje długie włosy.

– Jeszcze nie, ale się uda – odpowiedziała dumnie Alicja i usiadła wyprostowana na łóżku.

Postanowiła, że znajdzie sposób, żeby przekonać „Karego”, nawet gdyby

miała na powrót stać się uwodzicielską, słodką seksbombą.

22. Magnuszew, 1942

– Piękne pomidory, pani Borowik – powiedziała z westchnieniem Hanka i odwróciła się w stronę stojącej obok Ireny. – Kupimy. Nasze to takie, jakby kto je w lesie na dziko posadził.

Kobieta trzymająca ogromny kosz z pomidorami odwróciła wzrok, jakby spoglądała na kościelną wieżę, po czym przykryła go brudną derką i burknęła, nie spoglądając na kobiety:

– Nie są na sprzedaż.

– Jak to? – zdziwiła się Hanka. – Przed chwilą Staškowa od pani brała całą torbę.

– Brała, brała – prychnęła kobieta. – A pani brać nie będzie.

Nagle do Lewinówny dotarło, że jest teraz w Magnuszewie wyklęta z powodu częstych odwiedzin niemieckiego oficera. Bóg raczy wiedzieć, co roiło się w głowach mieszkańców, jeśli zdobyli się na tak jawną niechęć do niej.

– Rozumiem. Uważa pani, że bratam się z tym szkopem. – Hanka zmarszczyła brwi.

– Ja tam, pani, nic nie uważam, ale pomidorów nie sprzedam, i już. Nie będzie niemiecka morda ich żarła. I co mi, pani, zrobisz? – Borowikowa nachmurzyła się i oparła ręce na biodrach.

– Ona nie chodzi z nim do wyrka – burknęła urażona Irena.

– Tak, pewnie jej przy sianokosach pomaga. A pani to niby skąd wie, pod łóżkiem siedzi? – prychnęła kobieta.

– Hanka nie kłamie. – „Wariatka” miała wciąż ten sam wyraz twarzy.

– Chodzi, nie chodzi, ale w chałupie przyjmuje jak swojego – warknęła Borowikowa.

Hanka jednak postanowiła się wtrącić, bo obawiała się, że zaraz na niewielkim placu targowym wybuchnie jakaś awantura.

– Daj spokój, Irenka. Obejdę się bez pomidorów – powiedziała i chwyciła „Wariatkę” pod rękę.

Ta jednak wyrwała się i dalej stała, wpatrując się w Borowikową.

– Niech już panie idą, tutaj nic dla was nie ma – burknęła kobieta.

– Hanka chce kupić pomidory, nie ukraść – powiedziała Irena.

– To na pewno nie u mnie. – Borowikowa nie dawała za wygraną.

„Wariatka” także. Odsunęła szmatkę z koszyka, wyjęła jeden z dorodnych pomidorów, po czym rozgniotła go w dłoni jak w imadle i soczystą miazgą na-

tarła twarz kobiety.

– Nazrój się tymi swoimi pomidorami – wysyczała.

Borowikowa wrzasnęła, ale nie straciła zimnej krwi. Zdjęła przykrycie z koszyka, obtarła nim twarz i powiedziała, rezygnując z form grzecznościowych:

– Ty sobie lepiej klepki we łbie poukładaj, kocmołuchu jeden – pisnęła, po czym wyjęła z koszyka nadgniły pomidor i rzuciła nim w Irenę.

Hanka jęknęła ze zgrozą. Szykowała się pomidorowa jatka, jakiej w Magnuszewie nie widziano. Po chwili uderzona pomidorem Irena chwyciła okazały kosz z warzywami, jakby ważył kilka dekagramów, wykonała z nim piruet, po czym rzuciła na niewielki placyk. Kręcący się ludzie rozpiezchli się w popłochu, a w powietrzu unosiły się dorodne pomidory, które po chwili lądowały na bruku, drewnianych ławkach i ludzkich głowach, tworząc krwawą masę.

– Zniszczyła mi pomidory! – wrzasnęła Borowikowa.

– Oddam pani za wszystkie... – jęknęła udręczonym głosem Hanka, próbując odciągnąć Irenę z placyku targowego.

Oniemiali ludzi zastygli w bezruchu, starając się odgadnąć, co się właściwie wydarzyło.

– Co się gagicie?! – ryknęła Irena. – I tak były nadgnite.

– Sama jesteś nadgnita. – Kobieta nie była dłużna.

– A ty stara i pomarszczona jak suszona śliwka – odcięła się Irena.

Ktoś się zaśmiał, ktoś inny chwycił drewniany drąg i ruszył w kierunku „Wariatki”. Kolejne osoby także nabrały odwagi zgodnie z zasadą, że w kupie siła i również podążyły w stronę Ireny. Hanka wyszła im naprzeciw, żeby nieco uspokoić atmosferę.

– Ona nie chciała, pokryję straty – próbowała się tłumaczyć, ale Irena zwyczajowo nie zamierzała pokornie pochylić głowy.

– Właśnie że chciałam, bo ta ropucha mówi, że pani Hanka ze szwabem do wyrka chodzi! – krzyknęła.

Lewinówna nie chciała mieć takiego plenipotenty. Nie tylko z uwagi na straty materialne, ale nie uważała za stosowne tłumaczyć się publicznie ze swoich intymnych spraw. Zakryła twarz rękoma i rozpłakała się. Na zgromadzonych mieszkańcach jednak nie zrobiło to wrażenia i rozpoczęła się pyskówka. Hanka wiedziała, że teraz mieszkańcy zatrują jej życie tak dotkliwie, iż jedynym wyjściem będzie przeprowadzka. Problem polegał jednak na tym, że nie miała dokąd pójść. Zwłaszcza z przychówkiem u boku.

Nagle rozległ się warkot samochodu i na rynecek podjechał niemiecki ga-

zik. Dwóch żołnierzy wysiadło z samochodu i oddało kilka strzałów w powietrze. Po chwili na ryneczku zrobiło się zupełnie cicho. Czym innym były bowiem lokalne awantury i pranie brudów we własnym gronie, a czymś innym obecność Niemców i możliwość utraty życia.

Gdy zgromadzeni ludzie stali oniemiały, łącznie z Ireną „Wariatką”, z gazika wysiadł Ritz. Podszedł do Hanki i zapytał:

- Czy ci ludzie zrobili pani jakąś krzywdę? – zapytał ostro.
- Nie... – bąknęła i odwróciła wzrok, nie chcąc się ponownie rozpłakać.
- Proszę powiedzieć. Winni zostaną ukarani. – Ton Ritza złagodniał, po czym wziął pod rękę Hankę i dodał: – Odwiozę panią do domu.
- Zostawcie mnie wszyscy w spokoju – wyłkała, wyrwała się z rąk Ritza i ruszyła w kierunku swojej posesji.

Umazana pomidorami Irena podążyła za nią. Oficer stał oniemiały na placyku i nie bardzo wiedział, jak się zachować. Hanna Niechowska po prostu go zignorowała. Mógłby w zasadzie wyjąć pistolet z kabury i ją zastrzelić, ale nie chciał nikogo krzywdzić, tym bardziej Hanki, bo wieczory, które spędzał z nią i jej dziećmi, były najmiłszymi chwilami w ciągu dnia i dzięki nim zapominał o tym, jak daleko jest od własnej rodziny.

- Proszę się rozejść! – krzyknął i zmieszany wsiadł z powrotem do gazika.

Po chwili uczynili to także towarzyszący mu żołnierze i samochód odjechał z placyku targowego.

- Zaparzę herbatę – powiedziała rzeczowo Irena, gdy weszły do domu. – A potem muszę iść, bo Kazek na obiad czeka.

Hanka usiadła na zydelku i zwróciła się do „Wariatki”:

- Irena, błagam, nie rób takich rzeczy. Nie jestem małą dziewczynką, której musisz matkować. Nie wtrącaj się, nie wściubiaj nosa, nie zaczepiaj ludzi i nie broń mnie przed nimi. Niech sobie gadają, że jestem polską szmatą, zadającą się z wrogiem. W dupie to mam, słyszysz? Słyszysz? Ja i tak kiedyś stąd wyjadę, bo nienawidzę prowincji. Ale muszę jakoś przetrwać tę wojnę, więc nie potrzeba mi dodatkowych zmartwień. Poradzę sobie.

Hanka straciła cierpliwość po kolejnej awanturze z udziałem Ireny. Wyskoki „Wariatki” nie tylko stały się uciążliwe, ale także zagrażały ich bezpieczeństwu. Ludzie mogli w swojej złości tak im dopiec, że oczami wyobraźni ujrzała pewną scenę z książki Reymonta, gdy rozwścieczeni mieszkańcy wsi wywieźli z niej niepokorną kobietę. A Lewinówna nie miała dokąd pójść, a nic nie zapowiadało nadejścia upragnionego pokoju.

- Ale ona nie chciała ci pomidorów sprzedać. Stara mała – jęknęła Irena.
- I co z tego? I co z tego?! – Hanka mówiła coraz głośniej, nie bacząc, że pewne argumenty po prostu nie dotrą do „Wariatki”.
- Nie chciałaś ich ukraść, tylko kupić – upierała się Irena.
- Idź już sobie – warknęła Hanka i wyszła do drugiej izby, nie chcąc już ani widzieć, ani słyszeć Ireny.
- Głupiaś, Hanka – powiedziała Irena, idąc za nią. – I przepędź tego szwaba, bo same kłopoty przez niego. Albo ja go popędzę.
- Tak, jestem głupia, a ty nikogo nie będziesz przepędzać. Sama sobie poradzę. Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Czy w końcu dotrze do ciebie, że nie potrzebuję twojej żalostnej pomocy? Że nie mam siły każdego dnia zastanawiać się, co wywiniesz? Idź już stąd i zostaw mnie w spokoju. Wszyscy mnie zostawcie w spokoju. Mam dosyć. – Hanka niemal wpadła w histerię.
- Nie rozumiem... – rozpaczliwie powiedziała Irena, po czym zawiązała na głowie chustkę i wyszła z chałupy.

Gdy Irena opuściła dom Lewinówny, Hanka zrobiła to również, by odebrać dzieci od sąsiadki. Przekazała drobne pieniądze kobiecie za opiekę nad Nadią i Grzesiem i gdy już wychodziła od niej, ta powiedziała:

- I nie przyprowadza ich pani więcej. Już nie będę się nimi zajmować.
- Hanka nie powiedziała ani słowa, tylko cicho wyszła z domu sąsiadki i zdruzgotana powróciła do siebie i swoich obowiązków. Miała nadzieję, że chociaż tego dnia porucznik Ritz okaże się na tyle wrażliwy i przejęty, iż nie zaszczyci jej domu swoją obecnością. Obawiała się, że przy nim także wybuchnie, a to mogło spowodować na nią kłopoty. Ritzowi wystarczyłoby bowiem kilka minut, by poznać o niej prawdę, a wtedy na powrót mogła znaleźć się na Pawiaku. Teoretycznie nie była poszukiwana i została oficjalnie zwolniona z więzienia, ale nie miała pojęcia, czy po ucieczce Łyszki na powrót nie wpadną na pomysł, by zrobić z niej zakładnika. I chociaż nie otaczały jej obskurne mury ani zakratowane okna, kolejny raz poczuła się jak w więzieniu.

Ritz nie pojawił się tego wieczoru u Hanki, ale przyszedł następnego dnia. Niepewnie wszedł do chałupy i nie był jak zwykle roześmiany, ale usiadł przy stole i milczał przez dłuższy czas, jakby nie wiedział, co powiedzieć i jak się zachować. Dobrze wiedział, że do incydentu doszło z powodu jego wizyt u niej i bardzo go to trapiło. Nie uważał jednak, iż robią coś złego. Oboje byli uwikłani w tę wojnę, która wydawała im się niepotrzebna. Gdyby nie wysłano go do Polski, nie musiałby odwiedzać obcych ludzi, by poczuć namiastkę ro-

dziny, ale bawiłby się z własnymi dziećmi i co noc przytulał się do swojej żony.

– Przykro mi, pani Hanno – powiedział w końcu cicho.

Popatrzyła na jego strapioną minę i machnęła ręką.

– Wczoraj byłam zła na pana. Dzisiaj już mi przeszło. Co mogę zrobić?

– Może nie powinienem już pani odwiedzać. – Wzruszył ramionami.

– Teraz już mleko się rozlało, panie poruczniku. – Uśmiechnęła się słabo.

– Wie pani, mieszkalem w małym miasteczku, w Bawarii. Zewsząd otaczały je piękne wzgórza porośnięte gęstymi lasami i ogromne łąki, na których wypasano bydło. To był widok jak z taniego obrazka. W każdą niedzielę zabierałem rodzinę do gospody na obiad, a potem na lody. Gdy nadchodziło lato, szliśmy potem nad rzekę. Dzieci biegały po łące z naszym kundlem, Frickiem, a my z Anne rozkoszowaliśmy się szumem drzew, zapachem traw i snuliśmy marzenia o romantycznej podróży do Paryża. Postanowiliśmy, że chociaż jedną noc spędzimy w hotelu Ritz, bo moje nazwisko było niczym omen. Chciałem zrobić karierę w wojsku, bo to był pewny kawałek chleba. Czasami wyjeżdżałem ze swojej jednostki znajdującej się nieopodal mojego miasteczka, ale wciąż ufałem, że wojny nie będzie. I w końcu, po intensywnym kursie polskiego, trafiłem do równie małej miejsciny jak moja. Ale tutaj jest okropnie. Ludzie mnie nienawidzą, nie ma gór, a rzeka sprawia wrażenie, jakby stała w miejscu.

Jak na Ritza było to długie przemówienie, przetykane gdzieniegdzie niemieckimi słowami. Hanka nie musiała wszystkiego dokładnie rozumieć, by spostrzec, jak rozgoryczony jest ten człowiek. Był to chyba pierwszy Niemiec, jakiego spotkała, odkąd wybuchła wojna, który wydał jej się taki ludzki. Nawet Martin Gross, który wstawił się niegdyś za nią, gdy miała występować w Café Clubie, nie wydawał się jej tak porządny, jak porucznik Ritz. A przy tym nawet nie próbował z nią flirtować, nie uwodził jej ani nie namawiał na szalony romans. Kochał całym sercem swoją żonę i dzieci, i chciał jedynie zaznać odrobiny normalności w tym ponurym świecie. Nie potrafiła mieć do niego żalu, że została wykluczona poza nawias społeczności tego małego miasteczka. Tych ludzi także rozumiała. Niejedna rodzina straciła kogoś z bliskich albo ktoś tułał się jako przymusowy robotnik. Nic jednak nie było takie czarno-białe. Nie każdy Niemiec był oprawcą, jak Schwartz, i nie każdemu z Polaków można byłoby dać medal za odwagę, honor i walkę z okupantem. Normalni ludzie po obu stronach barykady usiłowali odnaleźć się w tym przedziwnym życiu, jakie przyszło im wieść.

– Każdy z nas coś stracił. Zrezygnował z marzeń i planów, i patrzy tylko, jak przetrwać. Rozumiem pana – odpowiedziała Hanka, po czym wstała zza stołu i jak co wieczór poszła zaparzyć przyniesioną przez Ritza herbatę.

Ten wieczór jednak nie przypominał poprzednich. Oboje byli przygnębieni, jakby zastanawiali się nad tym, co utracili z powodu wojny. Nawet dziecięca radość Nadii i Grzesia, nieświadomych otaczającej ich rzeczywistości, nie poprawiła ich nastroju. W powietrzu jak ciężka chmura wisiała nostalgia za tym, co już nigdy nie powróci, bo nawet jeśli wojna się skończy, nic już nie będzie takie, jak przedtem.

23. Równe, 1942

- Co z nią? – zapytał jeden z żołnierzy, wysiadając z furgonetki.
- Nie żyje – odpowiedział cicho Łyszkin.
- Bydlaki... – warknął żołnierz. – Trzeba ją do bazy zawieźć i tam pocho-
wać. Mam na pace jakąś plandekę, jest cała pokrwawiona...
- Tak, zabierzcie ją. Ja jeszcze nie wracam – mruknął Łyszkin.
- Jak to? W Równem zaraz dostaną szau i przetrzepią całą okolicę. Musimy
się zwijać. – Kompan Łyszkina jakby nie dowierzał, że ten ma zamiar pałętać
się w pobliżu, zamiast jak najszybciej ewakuować się do „zielonej latarni”.
- Muszę jeszcze coś załatwić – upierał się Igor. – Tylko dajcie mi swój
mundur, mój całkiem przesiąknął krwią.

Żołnierz już nie dyskutował. To Łyszkin dowodził akcją i jeśli postanowił pozostać na miejscu i nadstawiać karku, nie mógł go od tego odwieść ani on, ani też drugi z uczestników, siedzący za kierownicą i nerwowo palący machorkę. Zanim wyciągnęli derkę z samochodu, by zawinąć ciało Mariny, Igor zdążył wyjąć z samochodu PPS-a, zarzucić go sobie na ramię, wsiaść na motocykl i ruszyć z impetem, wznecając tumany kurzu.

Wyjechał na szosę i skierował się do centrum Równego, gdzie znajdowała się knajpa, w której spotkali Rudolfa Gerlinga. Martwił się trochę, że miał na sobie mundur szeregowego żołnierza, zaś dokumenty wskazywały na oficera nieco wyższego rangą. Poza tym oficer z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię także mógł wzbudzić wątpliwości podczas zatrzymania. Rozpiął przymocowaną do siedzenia niewielką saszetkę i wyszarpnął z niej pałatkę przeciwdeszczową. Zarzucił ją niedbale na plecy i zapiął guzik. Nie padało, ale motocykliści często nakładali je na siebie, bo osłaniała ich od wiatru.

Tuż przy głównej ulicy natknął się na patrol. Żołnierze skontrolowali jego dokumenty, oddali honory i bez słowa puścili dalej. Łyszkin dodał gazu. Chciał jak najszybciej dotrzeć do restauracji, zanim opustoszeje po informacji, że w okolicy grasują bojówki mordujące niemieckich oficjeli.

Podjechał przed budynek restauracji i nie zdejmując kasku z głowy, wszedł do środka. W przejściu, gdzie wisiała bordowa kotara, zdjął z ramienia karabin i przygotował do strzałów. Po chwili stanął w progu sali restauracyjnej, gdzie większość gości stała w oknach, poruszona wyciem syren i przyjazdem ciężarówek z żołnierzami, którzy rozpierzchli się po okolicy. Otworzył ogień do zgromadzonych. Przez zamglone gogle patrzył na wyginające się od poci-

sków ciała i tryskającą krew. Słyszał histeryczne krzyki. Strzelał, dopóki nie opróżnił magazynku, po czym wycofał się, wrzucił karabin, kask i gogle za kontuar pustej szatni i wybiegł na ulicę. Pałatkę zwinął w rulon i wcisnął pod mundur.

Zobaczył biegnących w stronę budynku żołnierzy, najpewniej zwabionych hukami wystrzałów.

– Widziałem go! – krzyknął do nich i wskazał dłonią sąsiednią kamienicę. – Pobiegnij za tamten budynek!

Kilku żołnierzy momentalnie zmieniło kierunek i popędziło w stronę wskazaną przez Łyszkina. Chwilę potem Igor schował się za stojącą ciężarówkę. Wiedział, że musi natychmiast zniknąć, zanim ktoś się nim zainteresuje i zacznie zadawać pytania. Przeszedł szybko na drugą stronę rynku i wszedł do klatki jednego z budynków. Wbiegł na półpiętro i popatrzył przez okno. Wkrótce cały plac i przyległe ulice wypełniły się ciemnymi mundurami żołnierzy.

Piętro wyżej otworzyły się drzwi i jakaś młoda kobieta zbiegła ze schodów i przystanęła obok Łyszkina.

– Co tam się dzieje? – zapytała po ukraińsku.

– Pewnie zamach – odpowiedział jej po niemiecku, ale kobieta chyba nie zrozumiała go, bo zaczęła wyginać szyję, by lepiej dojrzeć zbiegowisko.

Konary okazałego wiązu zasłaniały część okna, zapewne z jej mieszkania nie było już kompletnie nic widać i dlatego postanowiła sprawdzić z klatki schodowej, co się dzieje. Igor popatrzył na nią i zaczął imitować strzelanie. Pokiwała głową i zapytała:

– *Nimetzkyje? Giermańcy?*

Potaknął. Dziewczyna mimowolnie uśmiechnęła się.

– Znasz rosyjski? – zapytał.

– *Da*. Ja z ojca Ukrainka i matki Rosjanka – odpowiedziała niepewnie.

– A wolisz Ruskich czy Niemców? – zapytał po rosyjsku.

– *Ruskie swoje, a Giermańcy to swołocz* – odpowiedziała hardo i marszcząc czoło, spojrzała na Łyszkina, po czym dodała: – *Ty mienia strieljat?*

Uśmiechnął się do niej, po czym ponownie spojrzał na rynek. Niemieccy żołnierze zaczęli wchodzić do wszystkich kamienic po kolei.

– Tak, Niemcy to *swołocz*, dlatego musisz mi pomóc – powiedział Łyszkina po rosyjsku, nie zastanawiając się, jak wiele ryzykuje, oddając los w ręce obcej kobiety.

Dziewczyna zamyśliła się przez chwilę, po czym dotarło do niej, że ma do czynienia nie tylko z Rosjaninem w przebraniu, ale także z człowiekiem, który może mieć związek z zamieszaniem panującym w okolicy.

– Chodź – powiedziała i ruszyła po schodach.

Wprowadziła go do przedpokoju swojego mieszkania, na które składały się niewielki pokój i kuchnia. Podeszła szybko do tapczanu stojącego przy ścianie i wyjęła z niego pościel, po czym zaściła łóżko.

– Rozbieraj się. Szybko. Do golasa. I wskakuj do łóżka! – krzyknęła do niego.

Zrobił to, niedbale rzucając ubrania na stojące obok krzesło. Wkrótce jego towarzyszka zrobiła to samo.

– Jeśli mnie dotkniesz, wydam cię. I przestań się gapić – warknęła i szybko wsunęła się pod kołdrę.

Chwilę potem Igor poszedł w jej ślady. Nie w głowie mu były jednak amory, ale chęć uratowania życia po swoim nieodpowiedzialnym wyczynie, którego się dopuścił pod wpływem chwilowych emocji. Był jednak tak zdruzgotany śmiercią Mariny, że nie potrafił opanować chęci natychmiastowego odwetu. Nie miał pojęcia, jak teraz wydostanie się z miasta i dotrze do oddalonej o dwadzieścia pięć kilometrów od Równego „zielonej latarni”, gdzie stacjonowała jego grupa dywersyjna.

Kilka minut później, które spędzili oboje niemal nieruchomo, usłyszeli rumor na klatce schodowej, a chwilę potem ostre pukanie w drzwi.

– Mam na imię Tatiana – powiedziała zdenerwowanym głosem kobieta, po czym wstała z łóżka i założyła na gołe ciało kwiecistą podomkę.

Łyszkin słyszał dźwięk otwieranych drzwi i bicie własnego serca. Nie zdążył nawet wsłuchać się w rozmowę Tatiany z dobijającymi się do drzwi żołnierzami, gdy ci wtargnęli do pokoju i popatrzyli na leżącego w łóżku Igora, a potem na krzesło z leżącym mundurem. Jeden z żołnierzy podszedł do Łyszkinina i zdarł z niego pierzynę. Gdy ujrzał go nagiego, uśmiechnął się pod nosem i powiedział:

– W mieście istne piekło, a ty się zabawiasz? Dokumenty.

Igor wstał z łóżka i sięgnął do munduru, po czym zsunął go umyślnie na podłogę, aby nie było widać dystynkcji, a raczej ich braku.

– Jakie piekło, do licha? – zapytał ostro.

Żołnierz zerknął w dokumenty, po czym zaczął się jąkać.

– Przepraszam, poruczniku, ale po tym, co się wydarzyło, musimy zaglądać

nawet pod pierzyny.

– A dowiem się w końcu, co się wydarzyło? – Ton Łyszkin wciąż był lodowaty.

– Zastrzelili sędziego Gerlinga, a potem w tej restauracji w centrum kilkudziesięciu naszych oficerów. Istna jatka. Musiało być ich co najmniej kilku, chociaż świadkowie, którym udało się przeżyć, twierdzą, że widzieli tylko jednego. Ubrany był w niemiecki mundur. Dowództwo uważa jednak, że zamachowiec musiał mieć współników. Pewnie też przebierańców, więc lepiej uważać – zaraportował żołnierz.

– To okropne – jęknął z udawanym przejęciem Igor. – Muszę natychmiast powrócić do swojej jednostki. Mam nadzieję, że nie będziecie mi towarzyszyć, gdy będę się ubierał.

– Tak jest, poruczniku Kriege. Już wychodzimy, idziemy sprawdzić pozostałe domy – odmeldował się żołnierz i wyszedł z mieszkania.

Tatiana usiadła z impetem na łóżku, wypuściła powietrze, po czym złapała się za głowę.

– Musiałam oszaleć... – westchnęła.

Łyszkin poklepał ją po ramieniu.

– Jest wojna, a ty byłaś bardzo dzielna. Rodzice mogą być z ciebie dumni.

– Nie będą. Rozstrzelali ich Niemcy w czterdziestym pierwszym, jak tylko pojawili się w Równem. Sędzia Rudolf Gerling, niech go piekło pochłonie, uznał, że są sabotażystami, i skazał ich na karę śmierci. A oni byli tylko nauczycielami... – powiedziała smutno.

– Tatiano, zapewniam cię, że tego drania już pochłoneło piekło czy co tam jest po śmierci. Ja myślę, że nic nie ma, ale grunt, że nigdy więcej nie wyda podobnego wyroku – zapewnił Łyszkin.

Patrzyła na niego i nie zapytała o nic. Nie chciała wiedzieć niczego więcej. Igor opuścił jej mieszkanie następnego dnia. Na szczęście nad Równem rozpadało się na dobre i zarzucona na ramiona pałatka nie wzbudzała niczyjego zainteresowania.

Tatiana, wychowana w Równem od urodzenia, wskazała mu także szlak, którym bezpiecznie opuścił miasto, i dała na drogę kawałek chleba ze słoniną. Podczas wielokilometrowej marszruty przez okalające miasto lasy ten skromny posiłek okazał się dla Łyszkinia zbawienny, a wcześniejsze rozpoznanie dróg ewakuacji pozwoliło mu na dotarcie do upragnionego celu. Gdy dostrzegł znajome baraki, z jednej strony poczuł ulgę, z drugiej miał świadomość, że czeka

go przeprawa z dowództwem i konsekwencje jego niesubordynacji. Nie żałował jednak tego, co zrobił. Dokonał krwawej zemsty za śmierć Mariny, chociaż w obliczu faktu, że nigdy więcej jej nie zobaczy, niewielkie miało to znaczenie. Jedyne, co podtrzymywało go na duchu, to świadomość, że pomógł przenieść się na tamten świat kilkunastu zbrodniarzom.

24. Warszawa, 1942

Odkąd Erich Vader przejął stery w warszawskim oddziale gestapo, starał się jak mógł, aby zaskarbić sobie przychyłność najwyższych władz i utrzymać się na swoim stanowisku jak najdłużej. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, Gerarda Keniga, nie interesowało go życie na wysokiej stopie, wożenie się limuzynami i uczestniczenie w oficjalnych bankietach, które urządzano w siedzibie gubernatora Fischera czy innych miejscach zaanektowanych przez III Rzeszę, a dających posmak luksusu i wysublimowanej elegancji. Erich Vader uważał, że w czasie wojny podobne uciechy są co najmniej niestosowne. Na tego typu rozrywki miał się znaleźć czas, gdy niemieccy chłopcy i obywatele przestaną ginąć z rąk oprawców. On chciał zostać bohaterem i być na ustach najwyższych prominentów, jednak nie za sprawą picia z nimi francuskiego szampana i wspólnych rautów, ale osiągnięć zawodowych. Kenig był sprawnym szefem gestapo, dopóki nie zgubił go ów blichtr i apanaże należne mu z tytułu piastowanego stanowiska. Stracił wówczas czujność i był nakierowany jedynie na swój własny interes, co spowodowało, że zamiast tropić polskich bandytów, usiłował znaleźć zdrajców w szeregach niemieckich oficerów.

Erich Vader uważał, iż to był największy błąd Keniga. Zapewne wybaczone by mu ucieczkę z Pawiaka szpiega z wyspy Uznam i bolszewika Łyszki, gdyby nie podejrzenia, jakie rzucił na Martina Grossa, robiąc z niego zdrajcę i, co tu dużo mówić, idiotę, który dał się podejść jakiejś polskiej dziwce. Założenie było słuszne. Układanka zdawała się aż nadto oczywista, ale Keniga zawiodła ostrożność. Powinien wiedzieć, że często nic nie jest takie, jakie się wydaje. Jeśli wszystko staje się oczywiste, należy skupić się na tym, co jest wątpliwe. To jest jedyna droga do prawdy. Tymczasem Kenig był tak pewny stworzonej przez siebie teorii, że wszystkie fakty dopasowywał do niej, zamiast snuć rozważania na podstawie faktów. Do samego końca upierał się przy zdradzie Grossa, nawet wówczas, gdy było to wbrew logice.

Jego następca także zdawał się bezradny. Julian Chełmicki i jego dziewczyna, Alicja Rosińska, rozplynęli się we mgle. Szybciutko ukuto teorię, że opuścili Polskę i zapewne znaleźli schronienie w miejscu, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby ich szukać. Chełmicki był bogaty z domu, jego kochanka obłowiła się, żyjąc u boku równie zamożnego Grossa, więc pieniądze nie stanowiły dla nich problemu. Szukano więc ich już mniej intensywnie, niż należa-

ło, zostawiając odłogiem wątki drugoplanowych bohaterów tej historii, które mogłyby być kluczem do rozwiązania zagadki.

Nie to jednak pogrążyło kolejnego szefa warszawskiego gestapo, następcę Keniga, ale jego bezradność w stosunku do coraz prężniejszego polskiego podziemia. Na Szucha trafiały płotki, które najczęściej kończyły przed plutonem egzekucyjnym, nie wnosząc kompletnie nic do sprawy. Natomiast dowódcy tej bandy terrorystów wciąż chodzili na wolności i chociaż zapewne nie oni bezpośrednio odpowiadali za ataki w kawiarniach, kinach i na warszawskich ulicach, byli mózgamii wszystkich tych akcji. Po szeregowych bandytach przychodzili następnii i robili dokładnie to samo, co ich poprzednicy, gdy tymczasem osoby planujące całe operacje, dostarczające broń, amunicję i pieniądze stawiały sobie coraz bardziej zuchwałe cele. Zakręcenie kurka z forszą, która najpewniej napływała od aliantów z Zachodu i pozwalała w Polsce kupić niemal wszystko, dawało nadzieję na ukrócenie procederu, a schwytanie dowódców – na załatwienie sprawy raz na zawsze. Co gorsze, obok wykonawców rozkazów rządu londyńskiego w Warszawie zaczęły się mnożyć komunistyczne bojówki, równie mocno zdeterminowane, by zaszkodzić władzom okupacyjnym. Vader nawet nie chciał myśleć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby obie strony postanowiły zakopać wojenny topór i zaczęły działać wspólnie na rzecz unicestwienia wroga, zwłaszcza po podpisaniu układu między Sikorskim i Majskim, normalizującego stosunki polsko-radzieckie i nawiązującego coś w rodzaju sojuszu w walce z III Rzeszą.

To właśnie walka z czerwoną Gwardią Ludową przyniosła Erichowi Vaderowi awans na [SS-Standartenführera](#) i możliwość wykazania się na stanowisku szefa gestapo. A może zaskarbił sobie przychylność *Obergruppenführera* Reinharda Heydricha pewnym stwierdzeniem, które dotarło do jego uszu? Otóż w czasie, gdy wszyscy uważali Martina Grossa za kreta i nikt nie podawał w wątpliwość działań Keniga, on ze stanowczością stwierdził, że jest to kompletna bzdura. Nie powiedział tego, oczywiście, samemu Heydrichowi, ale człowiekowi z jego otoczenia. Nigdy nie posunąłby się tak daleko w ogłaszaniu swojego stanowiska, tak odmiennego od założeń swojego szefa, gdyby nie to, że był niemal kompletnie pijany. Wytknął wówczas brak logiki i spójności w tej całej sprawie. Gross był lojalnym oficerem SS i nigdy nie poszedłby na podobny układ z wrogiem z powodu spódniczki. I tak miał ją w ręku z powodu Hanki Lewin, której osobą mógł żonglować w dowolny sposób, by zatrzymać kochankę. Miał także możliwość, żeby zrobić tysiące innych rzeczy, aby jej

wdzięczność była nieograniczona.

Miłość i zdrada ojczyzny były dla niego uproszczeniem, niczym scena z taniego romansu. Owszem, nie negował roli Alicji Rosińskiej, ale według niego Martin był poza podejrzeniami. Zbyt ostentacyjnie pokazywał się z tą kobietą, zrobił z niej jawną kochankę i nawet interwencja jego żony nie zawróciła go z tej drogi. Przytyki otoczenia zbywał i był gotów wydrapać oczy każdemu, kto ośmieliłby się szkalować tę kobietę. Gdyby ów romans miał być przykrywką dla jego podejrzanego działania, nikt z otoczenia zapewne nie usłyszałby o tym narażonym na ostracyzm związku. Martin Gross był nieprzeciętnie inteligentny, znał także układy i układziki w szeregach wojska. Każdy chciał wspinać się po szczeblach kariery, najlepiej opierając ową wyimaginowaną drabinę na plecach innych oficerów, a taki związek zamykał drogę do awansów i apanaży. Jednak Kenig uważał, że największą siłą tego układu była właśnie jawność i bezczelność, bo to osłabiło czujność większości współpracowników. Ale nie znakomitego i przebiegłego Gerarda Keniga. Tymczasem pomylił się co do Grossa, natomiast podejrzenia w stosunku do jego kochanki okazały się strzałem w dziesiątkę.

Erich Vader kolejny raz rozłożył teczki podejrzanych osób oraz kartkę, na której rozrysował łańcuszek przypadkowych i mniej przypadkowych powiązań. Najważniejsze ogniwa jednak wciąż pozostawały w ukryciu. „Cierpliwość jest cnotą bogów” – pomyślał Vader, wpatrując się w dokumenty. Tą sprawą postanowił zająć się osobiście i dopilnować wszystkiego, tak jak życzyło sobie dowództwo. Winni zbrodni na Martinie Grossie musieli zostać schwytani, pokazani światu i straceni, aby raz na zawsze uciąć spekulacje na temat ewentualnej zdrady oficera Ministerstwa Wojny.

Wezwał do siebie młodego podwładnego, który brak doświadczenia nadrobił pracowitością i lojalnością. Günter Keppler zjawił się z raportem i położył go na biurku Vadera.

– Wydaje mi się głęboko podejrzanego, że Chełmicki zniknął z Pawiaka w czasie pełnienia służby przez Renate Zoll, która okazała się blisko związana z jego przyrodnim bratem – powiedział dumnie.

– Byłoby... – westchnął Vader – ale to właśnie dzięki jego bratu schwytaliśmy Chełmickiego. Poza tym w tym czasie Renate Zoll spotykała się z oficerem z Ministerstwa Propagandy. Zresztą musi być z niej straszna hetera, jeśli zgłosił się na ochotnika na front wschodni. Ale masz rację, panna Zoll mogłaby się okazać kluczem do rozwiązania zagadki.

- Mamy ją obserwować? – zapytał Keppler.
- Nie. Ona nas nie interesuje, ale jej nowy chłopak. I nie dlatego, że ma coś na sumieniu, ale istnieje pewien schemat powiązań prowadzących do celu. Emil Lewin to kanalia, ale choć nienawidzi przyrodniego brata, nad wyraz ciepłe relacje łączą go z siostrą, Hanką. Ta z kolei była kochanką radzieckiego szpiega, niejakiego Łyszkina, i przyjaciółką naszej gwiazdy, Alicji Ross, współpracownicy Chełmickiego. A wszystko zaczęło się od małej miejsciny, w której nasi bohaterowie się wychowali. Zatem wcześniej czy później rodzeństwo Lewinów zechce nawiązać kontakt, a jego siostra doprowadzi nas do swojej przyjaciółki i jej gacha. Rzecz w tym, że mimo obserwacji okazało się, iż Emil Lewin rzeczywiście albo nie ma kontaktu z siostrą, albo nas przechytrzył. Ja bym obstawiał to drugie. Jednak dużo prościej jest kluczyć i oszukiwać na odległość, a dużo trudniej, gdy ma się obserwatora w swoim własnym domu. Podejrzane telefony, ukradkowe wizyty, wreszcie przekazywane po cichu wiadomości mogły ujść uwagi naszych śledczych, ale nie umknęłyby osobie, która z nim mieszka. Oczywiście, mógłbyś wziąć go w obroty, ale nie wiemy, na ile silna jest jego miłość do siostry, uważam zatem, że lepiej wykazać się sprytem i podstępem. Poza tym Lewin może jeszcze kiedyś się na coś przydać. Wezwijcie na jutro pannę Zoll. Niech stawi się na Szucha, powiedzmy o dziesiątej. Rozkaz przekazcie jej przez kierownika zmiany na Pawiej. Jej kochaś nie może się dowiedzieć o tym spotkaniu – powiedział Vader.
- Sprytnie pan podchodzi do tematu, *Standartenführer* Vader – usłużnie powiedział Keppler.
- Dlatego zostałem szefem gestapo w tym parszywym mieście – wycedził Vader i odesłał podwładnego do innych zajęć.

Następnego dnia oszłamiająco piękna Renate Zoll przekroczyła próg gabinetu Vadera. Szef gestapo pomyślał o młodym oficerze biura propagandy uciekającym w popłochu przed tą zjawiskową istotą.

- Renate Zoll, heil Hitler.
- Zechce pani usiąść. – Wskazał jej miejsce naprzeciwko biurka.
- Przysiadła niepewnie, jakby obite pluszem siedzisko parzyło jej pośladki odziane w wąską spódnicę munduru strażniczki.
- Pamięta pani tę noc, gdy z Pawiaka zabrano niejakiego Juliana Chełmickiego? – zapytał spokojnie.

Serce Renate zaczęło walić jak opętane. Sądziła, że ta sprawa została zamknięta, przynajmniej jeśli chodzi o personel więzienia. Pamiętała to zdarzenie z dwóch powodów: była poniekąd sprawczynią zniknięcia tego polskiego szubrawca, a jej jedyna miłość okazała się wypranym z uczuć draniem. Chętnie pogrzyżałaby go, bo nawet po wielu miesiącach od tego wydarzenia żywiła do niego żal, ale nie mogła tego zrobić, nie narażając siebie. Być może gdyby się przyznała i okazała skruchę, darowano by jej życie, ale wizja frontu wschodniego była w tym momencie jeszcze bardziej okrutna niż wówczas. Mimo że nastąpiło lato i niemieccy żołnierze nie zamarzali na froncie na kość, Sowietci nie odpuszczali i robili się coraz bardziej zajadli.

– Oczywiście, że pamiętam, *Standartenführer* Vader. Jak również to, że byłam wielokrotnie przesłuchiwana. Właśnie przez pana. Złożyłam wyczerpujące zeznania i nie mam w tej sprawie nic więcej do dodania, oprócz tego, że potraktowałam ten incydent jako swoją osobistą porażkę.

Renate starała się, aby jej głos brzmiał naturalnie i swobodnie. Jednak nie do końca się to udało, bo Vader zapytał:

– Panno Zoll, czyżbym słyszał zdenerwowanie w pani głosie?

– Ależ, *Standartenführer* Vader, to chyba zrozumiałe. Nie codziennie jest się wzywanych przed oblicze szefa całego gestapo – odpowiedziała, już nie ukrywając drżenia głosu i trzęsących się rąk.

– Powiedzmy, panno Zoll, że nie wezwałem pani, ale zaprosiłem na rozmowę. Pani wie, że jeszcze nie schwytaliśmy tych drani. Ani Juliana Chełmickiego, ani ludzi, którzy pomogli mu zbiec. A niech mi pani wierzy, gestapo zrobiło w Warszawie jatkę po tym godnym ubolewania wydarzeniu. Wszystko na nic. Podobnie jak pani traktuję to jak osobistą porażkę. Byłem w Warszawie nowym, chociaż bardzo doświadczonym oficerem, a sprawa szpiega z Uznamu moją pierwszą tak dużą i ważną. I klęska. – Vader próbował być przyjacielski w stosunku do Renate.

– A jednak awansował pan, *Standartenführer* Vader. Moje gratulacje, ja otrzymałam naganę i pozbawiono mnie urlopu – odpowiedziała słodko Renate, jednak za chwilę pożałowała swojej złośliwości. W jej przypadku była ona wyjątkowo nie na miejscu. – Oczywiście, uważam, że to było doskonałe posunięcie, naprawdę był pan bardzo skrupulatny, jest mi jedynie przykro, że mnie potraktowano dość surowo.

– Panno Zoll, mój awans był wynikiem innych świetnych akcji, które miałem okazję poprowadzić. I to one wyniosły mnie na szczyt, ale cóż, porażek się nie

zapomina – spokojnie odpowiedział Vader.

– W rzeczy samej... – cicho przyznała Renate.

– Niepokoi mnie jedna rzecz... Biuro Hermanna Rilkego było jednym z najlepiej strzeżonych pomieszczeń w więzieniu. Ze rozumiałyich względów. Obecny dyrektor jest równie dobrze, a nawet lepiej strzeżony. Tymczasem ktoś znalazł się w posiadaniu oryginalnych blankietów rozkazów, a one mogły pochodzić jedynie z szafy pancерnej biura Rilkego. Zatem ktoś z jego współpracowników musiał być w to zamieszany. Nie żaden polski bandyta, ale Niemiec albo folksdojcz. Być może połasił się na ogromną łapówkę? – Vader jakby głośno myślał.

– Chyba nie podejrzewa pan mnie, *Standartenführer* Vader? – zatrwożyła się Renate.

– Nie... panno Zoll, ale jednak ktoś to zrobił. Być może nawet sam Rilke dał się skusić. Natomiast nie podejrzewam pani, bo nie sędzę, żeby ktoś chciał pertraktować z panią. Kobiety zazwyczaj nie potrafią być dyskretne, nawet jeśli od tego zależałoby ich życie, i oni zapewne o tym wiedzieli – mruknął szef gestapo.

„Gdybyś wiedział, jak bardzo się mylisz” – w duchu powiedziała Renate, po czym uśmiechnęła się delikatnie.

– Zatem czego pan ode mnie oczekuje? – zapytała w końcu.

– Ostatnio wprowadziła się pani do niejakiego Emila Lewina, prawda? – niemal retorycznie zapytał Vader.

– Czyżbym była śledzona? – Renate kolejny raz się zaniepokoiła.

– Nie, pani nie, ale Emil Lewin, owszem. Otóż całkiem niedawno dowiedzieliśmy się, że pani narzeczony jest bratem przyrodnim Juliana Chełmickiego, naszego zbiega – stanowczo powiedział Vader, bacznie wpatrując się w twarz Renate, chcąc odgadnąć, czy wiedziała o tym.

Ale Renate Zoll była równie zdziwiona jak Vader w chwili, gdy posiadał tę informację.

– Nie miałam pojęcia... Jeśli ma z tą sprawą coś wspólnego, natychmiast zerwę z nim znajomość – wybełkotała.

– Panno Zoll, Emil Lewin i Julian Chełmicki są spokrewnieni, ale oprócz tego łączy ich wzajemna niechęć do siebie. Więc raczej nie podejrzewałbym pani narzeczonego o takie poświęcenie dla znenawidzonego brata – odpowiedział Vader.

– Skąd pan...? – zaczęła Renate, ale Vader jej przerwał.

– Ludzie w Chełmicach, skąd obaj pochodzą, są bardzo rozmowni, resztę potwierdził sam Emil Lewin. I pewnie nie uwierzylibyśmy, ale to dzięki niemu dorwaliśmy Chełmickiego. Dalej... No cóż, to wielka niewiadoma. Może Lewina dopadły wyrzuty sumienia, w końcu Chełmicki to Polak i brat, może nieświadomie komuś przekazał informacje o naszych rozmowach na Szucha? Hipotez jest wiele, ale żadna pewna. Emil Lewin raczej jawi się jako osoba, która w żaden sposób nie bruździ władzom okupacyjnym. Panno Zoll, powiem wprost. Chciałbym, żeby pani była moimi oczami i uszami w domu pana Lewina. Cokolwiek wyda się pani podejrzaną, a nawet niepodjezraną, musi natychmiast być zaraportowana. I to bezpośrednio do mnie lub porucznika Kepplera. Listy, telefony, znajomi. Nawet pozwolimy mu na prowadzenie nielegalnego handlu, bo tylko wówczas będziemy mogli odkryć, z kim się spotyka i robi tak zwane interesy. Co pani na to, panno Zoll? – Vader wyłożył karty na stół.

– To mój... narzeczony – jęknęła Renate.

– I Polak. Proszę o tym nie zapominać – zganił ją Vader. – I o tym, że wciąż możemy grzebać w sprawie zniknięcia blankietów z biura dyrektora Rilkego. Teraz ma pani okazję się zrehabilitować za ten blamaż.

– Przecież nie miałam z tym nic wspólnego, a dokument był oryginalny. Nie było też niczym dziwnym wywiezienie więźnia do szpitala, jeśli został okaleczony podczas przesłuchań. Każdy strażnik na moim miejscu zrobiłby to samo. Wypełniłam pisemne polecenie przełożonego. – Renate zaczęła się irytować, bo poczuła się, jakby szef gestapo ją szantażował.

– Panno Zoll, po co te nerwy? Pewne sprawy już ustaliliśmy. Natomiast teraz kieruję do pani propozycję. Chciałbym, żeby pani dokonała wyboru pomiędzy polskim narzeczonym a dobrem naszej ojczyzny – uspokajająco przemawiał Vader.

– Rozumiem, *Standartenführer* Vader. I przepraszam, że się uniosłam. Ta sprawa po prostu mnie także dotyka, zwłaszcza jeśli ktoś próbuje mnie podejrzewać o udział w tym przestępstwie. Oczywiście, że wypełnię pański rozkaz. Poza tym mój narzeczony podpisał folkslistę, ma pochodzenie niemieckie – powiedziała stanowczo.

Vader wiedział, że słowo „rozkaz” może odnieść skutek odwrotny do zamierzonego. Przynajmniej w przypadku panny Zoll. A on chciał, żeby postarała się bardziej i wcieliła się w nową rolę z entuzjazmem, z jakim robią to osoby w pełni przekonane do słuszności powierzonego im zadania. Oraz mają motywację, by całą sprawę zachować jedynie dla siebie.

– Tak jak powiedziałem wcześniej, nie wezwałem pani, ale ją zaprosiłem. I to nie jest rozkaz, ale ogromna prośba, która na pewno zostanie przeze mnie odpowiednio doceniona. Mam świadomość, że to może potrwać, więc nie oczekuję natychmiastowych wyników, niech pani nadal cieszy się rodzinnym ciepłem i udanym związkiem... Chociaż... z pana Lewina jest taki Niemiec, jak ze mnie Chińczyk... – Vader uśmiechnął się.

– Ale mam mieć oczy i uszy szeroko otwarte, *Standartenführer* Vader. – Renate także się uśmiechnęła.

– W rzeczy samej, panno Zoll.

Vader wstał i wyciągnął dłoń w kierunku Renate. Następnie złożył na niej pocałunek, co miało świadczyć o szacunku, jakim ją darzył. Spojrzeli sobie w oczy. I jakby oboje dostrzegli iskrę, która przemknęła między ich spojrzeniem.

Renate pomyślała, że uwiedzenie szefa gestapo to byłoby coś. Nie na jedną noc czy nawet kilka, ale na długo. W końcu stałaby się kimś, a nie tylko podrzędną strażniczką w więzieniu i narzeczoną podejrzanego Polaczka. Już widziała minę swojego ojca i podziw w oczach braci, gdyby została narzeczoną takiej osoby jak *Standartenführer* Erich Vader. W dodatku szef gestapo był na tyle przystojny, że mogłaby bez najmniejszych oporów wskoczyć mu do łóżka. Wiedziała jednak, że takiemu mężczyźnie nie wystarczy trzepotanie rzęsami i ponętne kręcenie biodrami. Na nim zrobiłaby wrażenie, gdyby położyła mu na tacy Juliana Chełmickiego. Jakaż to była ironia losu i chichot jej historii. Musiała złapać coś, co sama wypuściła z rąk.

Podobne myśli towarzyszyły Vaderowi, gdy spoglądał na Renate. Tym bardziej po plotkach o ucieczce z jej ramion niemieckiego oficera. Jakież byłoby to podniecające ujarzmić taką dziką kobietę i doprowadzić ją do stanu, gdy sama będzie jadła mu z ręki. Na to jednak był jeszcze czas. Postanowił, że najpierw Renate ugruntuje jego pozycję jako najlepszego szefa gestapo, a potem spróbuje z niej zrobić swoją wielbicielkę.

25. Leningrad, 1942

Na tydzień przed przybyciem do jednostki w Apraksinie sekretarza stanu w [Ministerstwie Propagandy i Oświecenia Publicznego](#), Leopolda Gutterera, i jego świty w oddziale zapanowała nerwowa atmosfera. Korytarze szkoły, gdzie stacjonowali żołnierze, wypełnił zapach pasty do podłogi, którą znaleziono w piwnicy, myto lamperie, a nawet wykonano gazetki ściennie na przy-mocowanych do ścian tablicach i w szklanych gablotach. Wyciągnięto z magazynków niemieckie flagi, otrzepano je z kurzu, a te, które wisiały w miasteczku, uprano. Gdy oddział Lossowa zajął szkołę, wszędzie wisiały portrety Lenina i Stalina, a także inne symbole Związku Radzieckiego. Wówczas usunięto je i spalono w piecach, ale miejsca po nich pozostały puste. Teraz jednak miał im złożyć wizytę sam Gutterer, dla którego podobne szczegóły miały ogromne znaczenie. Wierzył on głęboko, że odpowiednia propaganda i ukazanie hartu ducha niemieckiego żołnierza wypełnią ich skurczone z głodu żołądki albo rozgrzeją przemarznięte członki. Sama wizyta także miała na celu podniesienie morale żołnierzy, a płomienne przemówienie sekretarza stanu spowodować ich większą wydajność. Gutterer ufał, że już jego odwiedziny będą ogromnym zaszczytem, ponieważ obecność na froncie wschodnim miała świadczyć o jego solidarności z walczącymi. Grafik spotkań był bardzo napięty, w Apraksinie miał zabawić zaledwie kilka godzin, ale towarzyszący mu oficerowie z ministerstwa zapowiedzieli się na nieco dłużej. Dlatego nie wystarczyło przygotować i przyozdobić mównicę oraz rozwiesić flagi na drodze jego przejazdu. Było bowiem wiadome, że pozostałe osoby wetkną swój nos niemal w każdy kąt, by potem zdać relację ze swoich spostrzeżeń szefowi. Co jak co, ale kompania propagandowa powinna świecić przykładem, dlatego żołnierze uwijali się jak w ukropie, by zadowolić wizytujących ich gości.

Po uroczystym obiedzie, podczas którego zaserwowano potrawy przywiezione z oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Kołpina, Gutterer pojechał dalej, by zagrzewać żołnierzy do walki. Walter von Lossow zaś czekał na ocenę swojej dotychczasowej pracy. Nie denerwował się przesadnie, ale też niezbyt lubił, gdy go krytykowano, dlatego wizytacja z ministerstwa wprowadziła go w lekki dysonans.

Helmut Krentz miał w środowisku opinię mężczyzny wymagającego i humorzastego, a przy tym przesadnego pedanta. Każdy drobiazg potrafił zepsuć mu nastrój. Tajemnicą poliszynela był jego homoseksualizm i skutek tego przy-

pisywano mu cechy będące raczej domeną kobiet. Tak bowiem wyobrażano sobie tę orientację. Oczywiście, niemożliwe było ujawnienie się Krentza, bo sympatia do innych mężczyzn była wśród nazistów surowo zakazana. Zatem Helmut udawał kobieciarza, a inni udawali, że mu wierzą, pomijając milczeniem liczne ofiary jego chuci. Walter, mimo że był świadomy swojej atrakcyjności, nie obawiał się zainteresowania ze strony Krentza, wszak wkroczył w wiek, który automatycznie eliminował go z kręgu upodobań podsekretarza.

– Paskudna ta herbata. – Krentz odstawił filiżankę na spodeczek i zmarszczył nos. – Ale cóż, mamy wojnę.

– Zdobyłem najlepszą. My pijamy znacznie gorszą – mruknął Walter.

– Doprawdy? Niepodobna, żeby coś gorszego niż to w ogóle nazwać herbatą. Podobnie jest z kawą. Od dwóch tygodni jesteśmy na wschodzie, a ani razu nie udało mi się napić porządnej kawy. Więc w ogóle przestałem ją pić, żeby nie psuć sobie smaku. Najlepszej kosztowałem w Wiedniu i nie mówię tego, bo jestem Austriakiem, ale po prostu była wyśmienita, o delikatnym, subtelnym aromacie, dosłownie pobudzała wszystkie zmysły... – perorował Krentz.

Walter cierpliwie słuchał tych wywodów i być może kilka miesięcy wcześniej również podzieliłby się swoimi uwagami w tym temacie, ale w jego obecnym życiu liczyły się dużo bardziej przyziemne sprawy.

– Doprawdy, *Obersturmbannführer*? My cieszymy się, jeśli w ogóle możemy napić się przyzwoitej kawy i dostać posiłek. Zimą zdarzało nam się to raz na trzy dni, więc wybaczy pan, że nie włączę się do tej baristycznej dyskusji – powiedział stanowczo Walter.

Zdawał sobie sprawę, że nieco się naraża swojemu przełożonemu. Irytowali go jednak dygnitarze, którzy przyjeżdżali do Związku Radzieckiego, jak na egzotyczne wakacje. Ostatecznie jego dokumentacja nie powinna pozostawiać złudzeń co do tego, jak naprawdę wygląda życie żołnierzy na froncie wschodnim. Krentz zmieszał się, ale nie powrócił do tematu, tylko rozpoczął rozmowę na temat funkcjonowania oddziału Lossowa.

– Świetnie się pan spisał, poruczniku. Zdjęcia są poruszające, zresztą pana opisy również. Relacje z Leningradu były wstrząsające i zrobiły ogromne wrażenie na mieszkańcach Rzeszy. Doprowadzić do takiego stanu tak piękne miasto mogli tylko nieokrzesani Rosjanie. Poświęcić to wszystko dla chorej ambicji... Straszne. Jednak, poruczniku, te wstawki z Filharmonii Leningradzkiej i miejskiej biblioteki były nie na miejscu. Miasto wymiera z głodu, a w tle rozbrzmiewa Szostakowicz. To nie wygląda dobrze, jakby Leningrad wciąż

żył i nie tracił ducha. A my musimy pokazać jego upadek, w przeciwnym razie Niemcy pomyślą, że Stalin swoimi decyzjami podbudował ducha narodu. Podobnie z tą biblioteką pełną ludzi. Czyż te wszystkie annały nie powinny skończyć w piecach, gdy ludzie rąbią własne meble, a i tak umierają z zimna? Za to zeznania świadków na temat kanibalizmu – majstersztyk. Odzew społeczny był niesamowity. Ludzie przynosili żywność, koce i oddawali biżuterię dla niemieckich chłopców, byle nie byli zmuszeni do tego typu praktyk – powiedział Krentz.

– To pan decyduje, co ukaze się w publicznym obiegu, a co pozostanie tylko do wiadomości ministerstwa – bąknął Lossow.

– W rzeczy samej, ale tutaj żołnierze mają dostęp do wszystkiego. Jeszcze gotowi zamaryć sobie o sprowadzeniu pod Leningrad berlińskiej orkiestry symfonicznej. – Krentz wykrzywił w grymasie twarz.

– Oczywiście, *Obersturmbannführer*, to się więcej nie powtórzy. Żadnych wzmianek o tym, że Rosjanie są kimś więcej aniżeli mięsem armatnim Stalina. Prosty, ogłupiony naród, bez kultury, sztuki i muzyki – z sarkazmem powiedział Lossow, co nie umknęło uwagi Krentza.

– Pańskie złośliwości są zupełnie zbędne. Zajmujemy się propagandą, a to oznacza, że musimy propagować jedynie to, co słuszne i właściwe, pozostawiając własne zdanie dla siebie na inne okoliczności. Większość naszych żołnierzy to prości chłopcy, nie zrozumieliby subtelności, im trzeba jasnego przekazu, że każdy Rosjanin to barbarzyńca. Upodmiotowienie wroga może wywołać wyrzuty sumienia, jakieś wątpliwości, a to już prosta droga do tego, żeby się poddać. Ta wojna powinna się już skończyć. Taki był plan, a tu okazało się, że Sowietci nie są łatwym przeciwnikiem. Dlatego, *Obersturmführer* Lossow, musimy coraz mocniej zagrzewać do walki naszych żołnierzy. Myślę, że jest to dla pana oczywiste. – Krentz tłumaczył Walterowi to, co on sam dobrze wiedział i do czego był dobrze przygotowany.

– Sądziłem, że to będzie pierwszorzędne zestawienie. Koncert symfoniczny, a tuż obok bandy wykopujące ludzkie zwłoki – bąknął Lossow.

– *Obersturmführer* Lossow, to tak, jakby pan chciał wyjaśnić tym chłopcom różnicę pomiędzy jedzeniem ziemniaków drewnianą łyżką i srebrnym widelcem. Zapewniam pana, do nich dotrze jedynie słowo „ziemniaki”. Zatem koncert w obłożonym mieście zostanie odebrany jako „ci Rosjanie to wielki naród”. Ale myślę, że nie ma sensu się już nad tym rozwodzić, ponieważ od nowego miesiąca zostanie pan przeniesiony w inne miejsce. I proszę to odebrać

jako oznakę najwyższego zaufania z naszej strony. Pojedzie pan do Witebska i tam dołączy do ludzi z organizacji Todt. Otóż wpadli oni na bardzo ciekawy trop, który może zatrząść zawartymi sojuszami, zwłaszcza z Polską, i niedawnym układem Sikorski–Majski. Otóż Todt natrafił na miejsca, gdzie bracia Polaków, Rosjanie, masowo ich mordowali. Zarówno przed tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym rokiem, jak i później. Mamy kilku świadków, Polaków i Białorusinów, trwają także prace ekshumacyjne. Musimy zrobić z takiego miejsca materiał wstrząsający i szokujący. I pan, *Obersturmführer*, będzie idealnym sprawozdawcą. Pana relacje z Leningradu chwytają za serce, podobnie jak zdjęcia z dulałów i ulic radzieckich miasteczek. A teraz zrobi pan coś naprawdę potężnego, tak silnego, że Sikorski dozna szoku, a Churchill przestanie kibicować Stalinowi. To nieodręczne, że tych oprawców nazywają sojusznikami, a nas katami Europy – powiedział Krentz.

– Tak jest, *Obersturmbannführer* Krentz – odrzekł Lossow i nawet ucieszył się z wyjazdu.

Okolice Leningradu wydawały mu się przygnębiające, a wspomnienie Olgi budziło w nim niechciane odczucia. Miał świadomość, że grzebanie w trupach będzie jeszcze bardziej odstręczającym doświadczeniem, ale przynajmniej zwalczy w sobie pokusę, by zdezerterować i umrzeć w Leningradzie przy dźwiękach symfonii Szostakowicza.

26. Warszawa, 1942

–Naprawdę, Alicjo, rozbawiłaś mnie. – Sergiusz nie mógł przestać się uśmiechać.

– To nie jest zabawne. Przeprosiłam i przyszedłam ponownie prosić cię o pomoc. Wiem, że w Tomaszowie mają przesiedleńców z kraju Warty, ale siostry zgodziły się przyjąć te dzieciaki. Więc nie bardzo rozumiem, co w tym zabawnego. – Alicja obruszyła się, bo „Kary” zaczynał ją denerwować.

– Nie to jest zabawne, ale twoje zachowanie. Przychodzisz do mnie z gałązką oliwną, ubrana jak luksusowa dziewczyna, umalowana jak cichodajki z Bristolu i próbujesz mnie do czegoś przekonać. Nie jestem Martinem Grossem, który nabierze się na podobne sztuczki. To chwalebne, że tak bardzo się angażujesz w ratowanie tych sierot, ale, na Boga, nie rób ze mnie takiej szmaty! – Sergiusz w końcu przestał się śmiać.

Alicja zrobiła naburmuszoną minę, ale to na siebie była najbardziej zła. Jak mogła pomyśleć, że „Kary” da się nabrać na taki tani chwyt. W końcu ryzykował bardzo wiele, a ona chciała przekonać go do tego ryzyka, uwodząc go. Z pewnością nie takie kobiety za nim szalały, jak chociażby ta mała z pralni, a ona sądziła, że jest na tyle wyjątkowa, by zrobić dla niej wszystko, o co poprosi.

– Nie miałam zamiaru robić z ciebie szmaty... – zaczęła się jąkać Alicja.

– A jak to nazwać? Rozważam wszystkie za i przeciw. Kombinuję, czy nie będzie z tego więcej szkody niż pożytku, a ty sądzisz, że rozłożysz nogi i znikną moje wszystkie dylematy?

– Nie miałam zamiaru rozkładać nóg! Mam narzeczonego.

– To jeszcze gorzej. – Ponownie się roześmiał.

– To co mam zrobić? – jęknęła w końcu rozpaczliwie.

– Może nic. Albo na początek wytrzymaj usta, bo ta szminka okropnie cię postarza.

Alicja spuściła głowę, ale nie miała zamiaru wypełniać jego poleceń. W każdym razie nie takich. Posiedziała kilka minut, milcząc, po czym doszła do wniosku, że nie będzie się poniżać dla żydowskich dzieci bez względu na to, jak bardzo chciała im pomóc. Wstała więc z kanapy i ruszyła do drzwi.

– To jest ich koniec. Co tydzień wyjeżdżają transporty do Treblinki, a tam to już tylko śmierć – powiedziała, stojąc już w drzwiach.

– Posłuchaj, przemyślałem to i podjąłem decyzję. Zawiozę was, musisz jednak zdobyć dokumenty, że dzieciaki są chore na tyfus. I nie dla jednego, ale dla

wszystkich. Dasz radę to zorganizować? – zapytał.

Pokiwała głową.

– Z mojego wozu zrobimy sanitarkę, ale tuż przed samym wyjazdem, aby nie wzbudzać sensacji. Podjadę z samego rana, musicie jakoś odwrócić uwagę sąsiadów, żeby nikt nie domyślił się, że dzieci wsiadają do mojego samochodu. Dopiero potem namalujemy krzyże sanitarne, a ty założysz czepek. Pojedziemy bocznymi drogami, bo na głównej co i rusz stoją patrole. I jedna ważna uwaga: to ja dowodzę i masz mnie słuchać. Bez względu na to, czy będziesz uważała to za słuszne, czy nie – powiedział Sergiusz.

Znowu pokiwała głową i niemal szepcząc, powiedziała:

– Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte. A w tej sukience rzeczywiście wyglądasz oszałamianą. – Roześmiał się.

Nic nie odpowiedziała, tylko wyszła z mieszkania i wciąż wściekła na siebie ruszyła do Eleonory i Marii, by przekazać im radosne wieści.

Dwa dni później Alicja z plikiem papierów wsiadła do szoferki i naciągnęła na głowę czepek.

– Naprawdę nie rozumiem tego, że ja siedzę w szoferce, a nie z dziećmi – bąknęła.

– A jednak próbujesz dyskutować – westchnął Sergiusz. – One mają tyfus, ty nie. Kto uwierzy, że z własnej i nieprzymuszonej woli chcesz jechać samochodem z chorymi dziećmi, chociaż to prawie pewnik, że się zarazisz. One muszą być odizolowane, jesteś pielęgniarką, a nie siostrą miłosierdzia. I proszę, jeśli zgodziłaś się mnie słuchać, nie każ mi tłumaczyć się ze wszystkiego.

– Pozjadałeś wszystkie rozumy – warknęła i skupiła się na obserwowaniu drogi.

– Chcę jak najszybciej wyjechać z miasta i modłę się o cud. Bo tak można nazwać tę przejażdżkę, jeśli nikt nas po drodze nie zatrzyma – powiedział spokojnie i dodał: – Podrzędny żołnierzyna spostrzeże, że wieziemy małych Żydów. Wystarczy, że się któreś dziecko odezwie.

– Jeśli zajrzy do środka... – powiedziała Alicja.

– Tak, a to, że zajrzy, jest prawie pewne, więc lepiej będzie, jeśli nie będziemy musieli się o tym przekonywać. – Sergiusz był wyjątkowo podenerwowany.

– Będę modliła się całą drogę, chociaż tylko Bóg jeden wie, jak dawno tego nie robiłam – westchnęła Alicja.

Sergiusz podał jej mapę.

– Zazaczyłem ołówkiem naszą trasę. Jak zbliżymy się do tego miejsca, daj mi znać. – Popukał palcem w miejscowość oddaloną od Warszawy o jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

– Tam jest jakiś rozjazd? – zapytała.

– Nie, tam lubią stać patrole i trzepać warszawiaków – powiedział „Kary”.

Wkrótce opuścili stolicę. Gęsta zabudowa ustąpiła miejsca bezkresnym łąkom i bujnym lasom. Wraz z ulicami miasta zniknęły wojskowe i policyjne patrole, co uspokoiło obydwoje.

– Czym zajmowałeś się przed wojną? – zapytała Alicja, gdy opuścili centrum.

– Hodowałem konie – odpowiedział krótko.

„Tak jak Antoni Chełmicki” – pomyślała Alicja.

– Konie zawsze będą kojarzyć mi się z bogactwem i luksusem – westchnęła.

– Byłem bogaty i żyłem w luksusie, oczywiście dzięki moim rodzicom. Ale zabili ich Rosjanie, gdy zajęli Wileńszczyznę, a majątek sobie przywłaszczyli. Pewnie już nigdy go nie odzyskam, tak samo jak rodziców. Moja matka była Rosjanką, ale też kułaczką i burżujką. Uciekłem stamtąd w ostatniej chwili. Reszty nie będę ci opowiadał – rzekł ze smutkiem.

– Masz rodzeństwo? – zapytała.

– Siostrę. Jest teraz w Anglii – odpowiedział lakonicznie.

– Ja jestem tylko wnuczką krawca. Swojego ojca nigdy nie poznałam, nie wiem, kim był i skąd pochodził. Moja babcia natomiast była kiedyś projektantką mody, ale tworzyła rzeczy, które niezbyt podobały się nobliwym matronom, a te, jak wiadomo, miały najgrubsze portfele. Więc z uliczek Berlina i Paryża trafiła na prowincję i tam wychowała moją matkę, a potem mnie. Sam widzisz, moje drzewo genealogiczne będzie miało tylko jedną gałąź.

– Ale za to jaką ciekawą. – Puścił do niej oko.

– Mogę cię o coś zapytać? – zagadnęła Alicja.

– Pytać zawsze możesz, ale nie obiecuję ci, że odpowiem. Zresztą mam wrażenie, że cały czas to robisz.

Sergiusz zrobił się czujny. Nie lubił mówić o sobie, a zdawało mu się, że i tak powiedział zbyt wiele. Tymczasem zaraz miały paść kolejne pytania.

– Skąd się dowiedziałeś o Martinie Grossie?

– Moja droga, musiałem zdobyć pewne informacje, zanim zaryzykowałem dla ciebie życie. – Roześmiał się sztucznie. – Nie martw się, moje źródło jest bezpieczne. Znam wasze kryjówki, dostarczam nielegalną broń, więc jestem człowiekiem godnym najwyższego zaufania.

– Nie podoba mi się to – burknęła.

– Powiedziałem, że nie stanowią dla ciebie zagrożenia. W każdym razie większego niż ty dla siebie samej – stwierdził z naciskiem.

– Nie o to chodzi. Myszkujeś i grzebiesz w sprawach, które nie powinny cię interesować. – Alicja zaczynała być zła.

– Nie myszkuje, tylko sprawdzam, z kim mam do czynienia. Byłbym nieodpowiedzialnym idiotą, robiąc pewne rzeczy z ludźmi, o których nic nie wiem. – „Karemu” także nie podobała się ta rozmowa. Zmienił więc temat. – Minęliśmy wieś Kamionka, pilnuj mapy.

Po kilkunastu minutach ciszy Alicja przerwała milczenie.

– To już niedaleko. Zaraz powinno być miejsce, gdzie zwykle stoją. Myślę, że powinniśmy się zatrzymać i sprawdzić, czy z naszymi dziećmi wszystko w porządku.

Sergiusz zjechał na pobocze, wyciągnął spod siedzenia lornetkę i udał się na rekonesans. W tym czasie Alicja otworzyła drzwi do części bagażowej, podała dzieciom wody i po kawałku gliniastego chleba. Były wystraszone, ale żadne nie histeryzowało ani nie płakało.

Z powrotem wsiadła do szoferki i czekała na powrót „Karego”. Chwilę potem podbiegł do samochodu i otworzył drzwi.

– Stoją. Ustawili bariery, więc będą sprawdzać każdego. Nie mamy jak ich ominąć. Ty wysiadasz i wracasz do Warszawy. Kilka kilometrów dalej jest stacja kolejowa, wsiądziesz w pociąg i będziesz czekała na informacje ode mnie. Jeśli ich nie otrzymasz, będzie znaczyło, że wpadłem. No już, pośpiesz się! – wysapał Sergiusz.

– Oszalałeś? Jedziemy razem, najwyżej ich sprzątniemy.

– Albo oni nas i te dzieciaki, które wieziemy. Poradzę sobie, ty znikaj – warknął Sergiusz.

– Nigdzie nie idę – odburknęła, splatając ręce na piersiach.

– Cholera jasna! Miałaś mnie słuchać. Więc słuchaj, do pioruna!

„Kary” nie miał ochoty prowadzić z Alicją dyskusji. I tak był zdenerwowany faktem, że może stracić życie nie tylko swoje, ale także jadących w furgonetce dzieci. Przez chwilę kombinował, żeby przeprowadzić je lasem i przejechać

przez punkt kontrolny pustą sanitarką, ale obawiał się, że będzie to jeszcze bardziej podejrzane. Poza tym przeprawa z dziesięciorgiem żydowskich dzieci także nie wydawała się bezpieczna. Postanowił więc, że pozbędzie się poszukiwanej Alicji i sam doprowadzi sprawę do końca. Nie miał jednak zamiaru wdawać się z nią w jakiegokolwiek awantury. Przeszedł na jej stronę, otworzył drzwi, po czym szarpnął dziewczynę i wyciągnął z samochodu. Zarzucił na ramię niczym zwinięty w rulon dywan i zaniósł do lasu. Mało delikatnie zsunął ją w pobliskie krzewy, po czym wrócił do szoferki, odnalazł jej torebkę, wyjął z niej dokumentację medyczną wiezionych dzieci i chwilę potem rzucił ją w miejsce, gdzie siedziała Alicja, próbująca wygramolić się z kłujących krzaków i wyplątać włosy z drapiących gałęzi. Nie zdążyła nic powiedzieć, była zbyt oszołomiona zachowaniem swojego kompana i nim się spostrzegła, usłyszała odgłos odjeżdżającej ciężarówki.

Nie miała pojęcia, dlaczego Sergiusz uznał, że plątanie się pociągami jest bezpieczniejsze niż ominięcie jednego patrolu. Była wściekła i nie bardzo wiedziała, co zrobić. Czy odbyć drogę powrotną w stroju pielęgniarki, czy może wyrzucić go gdzieś po drodze? Najlepiej byłoby trafić na transport jadący ze wschodu z rannymi żołnierzami, ale patrząc na miejsce, w jakim była, wydawało się to mało prawdopodobne, ponieważ od tej strony takie transporty nie docierały do Warszawy.

Dotarła na stację, kupiła bilet i rozejrzała się. Po peronie przechadzało się dwóch żołnierzy z patrolu, którzy kontrolowali dokumenty. Zaczęła się bać i przeklinała w duchu „Karego”. Tymczasem żandarmi trzymali w dłoniach teczkę ze zdjęciami poszukiwanych osób i skrupulatnie przyglądali się każdemu sprawdzanemu podróżnemu. Alicja wycofała się pod filar i myślała gorączkowo. W końcu zobaczyła napis: „Pomieszczenie gospodarcze – obcym wstęp wzbroniony”. Podeszła do drzwi i nacisnęła kłamkę. Na szczęście drzwi były otwarte, być może dlatego, że w środku nie było niczego, czym mógłby zainteresować się potencjalny złodziej. Brudne fartuchy, kubły i sfatygowane ścierki i miotły. Alicja założyła jeden z fartuchów na siebie, na głowie przewiązała śmierdzącą ścierkę, po czym chwyciła kubeł, wrzuciła do niego swoją torebkę, przykryła ją szmatami i ruszyła wzdłuż peronu, od czasu do czasu udając, że oddaje się porządkom. W istocie patrol nie zwrócił na nią uwagi, skupiając się na podróżnych. Po kilkunastu minutach podjechał pociąg. Alicja przeszła wzdłuż niego i dotarła do wagonu pocztowego, gdzie kolejarze zaczęli ładować worki z listami.

– W holu chyba został jeszcze jeden worek – mruknęła.
– A ty kim jesteś? Nowa? – zapytał zdziwiony kolejarz.
– Nowa – mruknęła i bezczelnie weszła do wagonu, by przetrzeć podłogę.
– Władek, idź, sprawdź ten worek, podasz mi przez okno, bo zaraz zanieśmy całą podłogę – powiedział stojący w drzwiach mężczyzna, pilnujący wagonu pocztowego.

Gdy kolejarz odwrócił się w stronę hali dworca, Alicja zamknęła drzwi wagonu i czekała, aż usłyszy głos nawołujący do odjazdu pociągu.

– Coś się babie pomyliło! – krzyknął Władek, stojąc w drzwiach magazynu.
– Gdzie ona się podziała?

– A nie wiem, pewnie wróciła na stację. No nic, do zobaczenia! – krzyknął stojący przy oknie kolejarz i chwilę potem pociąg ruszył.

Alicja weszła do toalety dla personelu i modliła się, żeby mężczyzna z pocztowego wagonu nie zapragnął z niej skorzystać. Pomyślała, że w razie czego po prostu mu nie otworzy, a na najbliższej stacji ucieknie przez okno. Na szczęście podróż do Warszawy trwała zaledwie czterdzieści minut i w tym czasie nikt nie dobijał się do drzwi toalety. W stolicy zaś wysiadła z pociągu, zanim zrobili to inni i wciąż dzierżąc kubek ze szczotką, udała się do hali dworca, od czasu do czasu udając, że wyciera pobrudzoną podłogę.

Dopiero gdy znalazła się w domu Teresy, odetchnęła z ulgą. Szwaby w istocie dostali szалу i kontrolowali wnikliwie każdego, zerkając na listę i fotografie poszukiwanych osób. Nie miała wątpliwości, że zarówno ona, jak i Julian mieli tam swoje zaszczytne miejsce. Co prawda zmieniła kolor włosów i fryzura także nie przypominała tej, jaką nosiła przedtem, ale rysów swojej twarzy zmienić nie była w stanie. W Referacie Opieki Otwartej mogła czuć się względnie bezpiecznie, jak również przechadzając się po ulicach w uniformie pielęgniarki. Do miasta przybyło ze wschodu wielu rannych żołnierzy Wehrmachtu, brakowało personelu medycznego, dlatego nikt nie ośmielił się atakować osób potencjalnie ratujących życie dzielnych niemieckich chłopców. Podróżowanie jednak było skrajnie nieodpowiedzialne, zwłaszcza środkami komunikacji publicznej. Jeśli więc „Kary” uznał, że jej powrót w taki sposób zapewni jej bezpieczeństwo, to był w błędzie.

Następnego dnia usłyszała głos kierownika:

– Aldona, telefon do ciebie.

Weszła do jego pokoju i podniosła słuchawkę.

– Dzień dobry – usłyszała „Karego”. – Twoi siostrzeńcy czują się dobrze, wujek Kazik także.

– Ach, dziękuję za telefon i proszę im życzyć szybkiego powrotu do zdrowia – odpowiedziała drżącym głosem i odłożyła słuchawkę.

Przekaz dotyczący siostrzeńców zrozumiała, ale kim, u licha, był wujek Kazik? Nie zastanawiała się jednak nad tym zbyt długo, doszła do wniosku, że Sergiusz miał na myśli siebie. Cieszyła się, że wyprawa się udała, a dzieci są teraz bezpieczne. Wciąż jednak była zła za to, w jaki sposób została potraktowana przez „Karego”.

27. Magnuszew, 1942

Lato zbliżało się ku końcowi. Wieczory zrobiły się chłodniejsze, na rabatach kwitło coraz mniej kwiatów, a żniwa zakończyły się. Przez ten czas stosunki między Ireną i Hanką znacznie się ochłodziły. Nie tylko z uwagi na fakt, że żadna z nich pierwsza nie zamierzała wyciągnąć ręki, ale także dlatego, że Irena od rana do wieczora pracowała wraz ze swoim małżonkiem w polu. Panu Kaziowi bardzo odpowiadał taki układ, czuł się wystarczająco podle, gdy wytykano go palcami z powodu posiadania niezbyt rozgarniętej żony. Znajomość ze zdrajczynią, jak niekiedy nazywano Hankę, byłaby tylko gwoździem do trumny. Powoli powracał do łask mieszkańców, temperując nieco krnąbrną połowicę, która zyskiwała uznanie swoją pracowitością podczas żniw.

Irena absolutnie nie patrzyła na całą sprawę pod kątem ewentualnego pokłasku wśród miejscowych, ale czuła się urażona wybuchem Hanki i było jej z tego powodu bardzo przykro. Gdyby jednak ta zechciała być dla niej miłsza i nie zbywała ją obojętnością, zapewne ich przyjaźń nadal trwałaby bez względu na obecność Ritza w domu Hanki.

Mijały jednak tygodnie, a chłód Lewinówny w stosunku do „Wariatki” nie mijał. Owszem, widywały się od czasu do czasu, Irena nawet przychodziła w odwiedziny do dzieci, ale widać było, że ich wzajemne relacje są dalekie od ideału.

– Kazek mówi, żebym do ciebie nie chodziła – powiedziała jak zwykle szczerza do bólu Irena.

Hanka wzruszyła ramionami.

– To nie przychodź. Płakać nie będę – warknęła.

– Ale nie chcę go usłuchać, bo ty pierwsza byłaś. I Nadię kocham jak własne dziecko. No jakże ja bym tak mogła? – zasepiła się Irena.

– Nie wiem, rób jak chcesz, ale ja nadal będę utrzymywała znajomość z Ritzem. Wiem, że to wróg, ale przecież nie mogę go tak po prostu wypędzić z chałupy. On nic złego nie robi, ani mnie, ani innym.

– Ale Malinowskiego zapodał na gestapo. Przyjechali po chłopca, skuli jak bandziora i podobnie do więzienia, do Kozienic, zawieźli. A stamtąd to się tak łatwo nie wychodzi i ponoć biją, i jeść nie dają. – Zatrokała się „Wariatka”.

– Doprawdy? A tyś się dopiero urodziła i nie wiesz, że ja też siedziałam? Wtedy, gdy chowałaś mi dzieciaka, ja sypiałam na przegniłych materacach,

zarłam zupę z brukwi i opierałam głowę o kubel z gównami. Więc nie musisz mi mówić, jak tam jest. Dlatego będę miła dla Ritza i dla każdego szwaba, od którego będzie zależało, czy przetrwam tę wojnę na wolności, czy w obozie albo więzieniu. Jeśli nie możesz tego zrozumieć, to trudno. Wracaj do Kazka i nie odwiedzaj mnie więcej. – Rozzłościła się Hanka.

– Przecież ja o ciebie się martwię, żeś u ludzi na językach. – Naburmuszyła się Irena.

– To przestań się martwić, bo ja już całkiem zobojętniałam na ludzkie gadanie – westchnęła Hanka.

Irena bawiła się z dziećmi przez chwilę, gdy do chałupy wkroczył Ritz.

– Dzisiaj wcześniej zaszedłem, bo mam służbę w nocy – powiedział od progu.

– Wejdz, zaraz zaparzę herbaty – odpowiedziała łagodnie Hanka.

Spojrzała znacząco na Irenę, żeby ta już powoli zbierała się do domu. Ale „Wariatka” nie zamierzała tego robić. Po pierwsze, chciała okazać Hance coś w rodzaju solidarności, a po drugie, szykowała się, żeby powiedzieć kilka przykrych słów temu szkopowi. I tego Lewinówna obawiała się najbardziej.

– To moja przyjaciółka, Irenka – powiedziała słodko.

Ritz kiwnął głową, ale „Wariatka” nie odwdzieczyła się tym samym ani też nie wyciągnęła do niego ręki.

– Pan coś często tu zachodzisz – powiedziała, marszcząc czoło. – A Hanka męża niedawno pochowała.

Zmieszany oficer spojrzał pytająco na Hankę.

– Jesteśmy tylko dobrymi znajomymi – bąknął.

– Ino żeby Hance ta znajomość bokiem nie wyszła, panie Niemiec. Ona się dość przez was nacierpiała – warknęła Irena.

– Chyba musisz już iść, Irenko – wysyczała Hanka.

– Pójdę sobie, ale niech no pan się od Hanki odczepi – burknęła Irena w kierunku Ritza i wyszła z domu.

– Przepraszam cię – jęknęła Hanka, gdy jej przyjaciółka opuściła chałupę. – Irenka to dobra kobieta, ale nigdy nie pomyśli, zanim coś powie.

– No cóż, po prostu jest szczerą – odpowiedział spokojnie. – Sam myślę podobnie jak i ona. Że tylko kłopoty masz przeze mnie. Jeśli mam nie przychodzić, powiedz. Nie będę miał żalu i nie będę się mścił.

– Nie zakończę naszej znajomości tylko dlatego, że ludzie tego oczekują. Zrobię to wtedy, gdy sama będę chciała – powiedziała z naciskiem. – I mam

do ciebie ważną sprawę... Myślę, że mógłbyś mi pomóc.

Hanka pomyślała, że Ritz dysponował możliwościami, aby odnaleźć jej brata. Znając jego adres, czułaby się pewniej. Przynajmniej miałaby poczucie, że istnieje dla niej jakaś droga ucieczki.

– Ja też mam do ciebie ważną sprawę – powiedział zupełnie poważnie. – Właściwie mógłbym dać sobie z tym spokój, ale dzisiaj zachowałam się bardzo... ładnie...

– To kto pierwszy? – Uśmiechnęła się. – Może ty, w końcu jesteś moim gościem.

Ritz westchnął i powiedział:

– Wiesz, gestapo bardzo chciałoby wiedzieć, gdzie jesteś...

Hanka upuściła łyżeczkę i zrobiła się kredowo biała.

– Boże... Tyle czasu siedziałam w więzieniu i gdy w końcu mnie wypuścili, uznając za niewinną, teraz znowu czegoś ode mnie chcą. Znasz mnie, wychowuję dzieci, uprawiam jakiś nędzny spłachetek ziemi, żeby przeżyć. Oprócz Ireny i ciebie prawie nikt mnie nie odwiedza. Hermann, czym ja mogę zaszkodzić Rzeszy? – jęknęła.

– Tak, Haniu, znam cię i dlatego od miesiący udaję, że jesteś zupełnie kimś innym. Ale teraz, gdy ludzie przestali cię akceptować, musiałem ci powiedzieć, bo nie wiem, do czego mogą się posunąć, a ja nie będę mógł ci już pomóc. Zniknij stąd, wyjedź do jakiejś innej wsi, gdzie nikt cię nie zna... Wiem, że to, co robię, naraża mnie na poważne konsekwencje, ale bardzo cię polubiłem i nie znam chyba spokojniejszej osoby od ciebie. Dla mnie to niedorzeczne, że można cię o coś podejrzewać, ale wiem także, jak to działa. Zanim udowodnisz, że jesteś niewinna, znowu może minąć wiele miesięcy. – Ritz mówił spokojnie, ale była w tym jakaś rezygnacja.

– Nie wiem, nie wiem, co robić. – Hanka wzruszyła ramionami. – Chciałam, żebyś pomógł mi ustalić nowy adres mojego brata, który mieszka w Warszawie, ale w tej sytuacji to najgorszy z możliwych pomysłów.

– Haniu, pewnie i dzisiaj miałbym opory, żeby ci to powiedzieć, ale w przyszłym miesiącu przenoszą mnie do Zamościa, a mój następca może okazać się mniej wyrozumiały. Co prawda nie figurujesz jako osoba niebezpieczna, ale jednak szukają cię i... Posłuchaj, niedaleko stąd pod lasem stoi opuszczona chałupa. Mieszkali w niej Żydzi, więc wywieziono ich do getta, ale dom nie został zasiedlony i wciąż widnieje w naszej ewidencji. Mogę cię tam umieścić, ale nie pod twoim nazwiskiem. Wymyślmy ci jakieś i tak masz się

przedstawiać tamtejszym ludziom. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Przykro mi. Jeśli chcesz, mogę poszukać twojego brata, ale wolałbym w ogóle nie zwracać uwagi na wasze nazwiska. Wszyscy wiedzą, że Hanka Niechowska to Hanka Lewin, wielka gwiazda estrady. Kupiłem sobie nawet twoje płyty, masz naprawdę piękny głos i wielki talent, który teraz marnujesz, siedząc beczynnie na prowincji – powiedział smutno.

– A czymże jest mój piękny głos i talent, jeśli mogę stracić wolność albo życie? Odkąd trwa wojna, właściwie nic więcej nie jest ważne. Byle przeżyć. Nawet nie dla siebie, ale dla dzieci, bo co z nimi będzie, gdy mnie zabraknie? Już dawno moja kariera przestała być czymś istotnym. Kiedyś byłam sławna i podziwiana, żyłam w luksusie i największe znakomitości w tym kraju mi się kłaniały. A potem wszystko się zmieniło... – westchnęła Hanka.

– A kim był dla ciebie Igor Łyszkin? – zapytał Ritz, marszcząc czoło.

Hanka zawahała się. To nie był ani dobry moment, ani właściwy powiernik.

– Przyjacielem, chociaż Bóg mi świadkiem nie miałam pojęcia, że jest jakimś czerwonym szpiegiem. Zresztą gdyby mi o tym powiedział, marny byłby z niego szpieg... Od dawna pewnie siedzi u siebie, w końcu mają tam piekło, więc nie wiem, co gestapo może ode mnie chcieć – jęknęła.

– Podobno znasz również kobietę, która z nim współpracowała i zamordowała niemieckiego oficera – ciągnął dalej.

– Kogo, na miłość boską? – zapytała, zdziwiona.

Miała świadomość, że za śmierć Grossa odpowiedzialna jest Alicja, ale podejrzania dotyczące jej powiązań z Igorem były po prostu absurdalne.

– Niejaka Alicja Rosińska, znana także jako Alicja Ross. – Ritz jakby zrobił się podejrzliwy i Hanka zaczęła się czuć jak na przesłuchaniu.

– Alicja i Łyszkin? Nie mam pojęcia... Owszem, znałam ją, w końcu mieszkałyśmy w jednej miejscowości, niewiele większej od Magnuszewa, więc trudno, żebym nigdy o niej nie słyszała, ale nie mam z nią kontaktu od... mój Boże... od bardzo dawna – skłamała.

– Nie wiem, Haniu. W biuletynach nie podają szczegółów. To jaka jest twoja decyzja? – Ritz postanowił nie wypytywać jej dłużej. Obawiał się, że jeśli coś jest na rzeczy, a Hanka pęknie i zechce mu o tym opowiedzieć, on znajdzie się w kłopotliwej sytuacji.

Hanka Lewin rozejrzała się po pokoju i zatrzymała wzrok na oknie, za którym roztaczał się widok bezkresnych łąk, poprząkanych gdzieniegdzie kępkami zagajników. Popatrzyła na małą obórkę i stąpające po podwórku kury,

a wreszcie na niewielki ogródek osłonięty rabatą kwitnących astrów.

Przeniosła spojrzenie na Grzesia, śpiącego w drewnianej kołysce, i małą Nadzię, przebierającą jedyną lalkę, jaką miała. Któregoś dnia córeczka obciąła jej włosy i lalka wyglądała, jakby była chora na tyfus, ale Hanki nie było stać na to, by nabyć nową. Ale jakież to miało teraz znaczenie? Pomyślała o pewnym dniu, gdy jechała z Alicją w bocianowskie lasy, by odszukać swoje dziecko. Wówczas jej przyjaciółka wręczyła jej fałszywe papiery, których użyła zaledwie kilka razy w życiu. Z właściwym sobie humorem Alicja nadała jej nazwisko mężczyzny, za którego o mały włos nie wyszła. I przed którym chciała uciec na niepewny los do Warszawy. Nie sądziła, że jeszcze nadejdzie dzień, w którym kolejny raz będzie musiała je wykorzystać.

– Daj mi dwa dni na spakowanie dobytku i pożegnanie się z tym miejscem. I od dzisiaj nazywam się Stefania Koniuszko – powiedziała Hanka cichym głosem i dodała, niemal szeptem: – Proszę, idź już, chciałabym zostać sama.

Ritz wziął ze stołu czapkę i nie mówiąc ani słowa, wyszedł z chałupy. Nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze powiedzieć w takiej chwili osobie, której życie kolejny raz miało się wywrócić do góry nogami. Nie pytał, czy ma dokumenty, czy może dopiero zdobędzie. Jego rola musiała się w tym miejscu zakończyć.

Lewinówna wciąż stała pośrodku pokoju, bezradnie wodząc oczami po wnętrzu, i poczuła, jakby nie miała już siły walczyć o lepszy los. Miała jednak dzieci, które kochała ponad wszystko. Miłość była prosta. Jeśli kogoś kochasz, dla niego zawsze znajdziesz siły, by się podnieść, gdy upadniesz.

28. Okolice Równego, Ukraina 1942

Łyszkin obudził się z ciężkim bólem głowy. Pijał wódkę, jak wszyscy Rosjanie, ale zawsze pilnował, aby się nie upijać. Jednak poprzedniego wieczoru kolejny raz spożył za dużo trunku i o poranku musiał zmierzyć się z czymś, co nazywało się kacem. Jego koledzy leczyli tę przypadłość, wychylając szklankę wódki, ale Łyszkin wiedział, że to najprostsza droga, by alkohol zdominował go, a on nie lubił czuć się zniewolony.

Odkąd dokonał krwawej jatki po śmierci Mariny, miał zakaz opuszczania leśnej bazy i uczestniczenia w jakichkolwiek operacjach. Wielotygodniowa bezczynność dawała mu się we znaki. Wydawało mu się, że zlecane mu zadania są bezsensowne i marnują jego potencjał. Czekał na decyzje dowództwa, bo otrzymana nagana była jedynie wyrazem niezadowolenia przełożonych, zaś dalsze kroki, jakie mieli podjąć, chłodną kalkulacją. Zanim jednak miało to nastąpić, musieli wiedzieć, jak bardzo Łyszkin odkrył się swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem i co o nim może wiedzieć wróg. To bezczynne oczekiwanie nie pomagało Igorowi uporać się z demonami, które go nawiedzały. Wyrzucał sobie, że Marina zginęła przez niego. Gdyby był bardziej stanowczy i zaryzykował przeprowadzenie akcji jedynie w towarzystwie swoich kompanów, ona wciąż by żyła. Tłumaczenie, że jest wojna i ofiary są nieuniknione, nie przekonywało go, więc gdy nie mógł znieść dręczących go wyrzutów sumienia, po prostu upijał się niemal do nieprzytomności. To pozwalało mu nie myśleć ani o Marinie, ani o Hance czy rodzicach. Wódka powodowała, że zapadał się w nicość, rozkoszując się szumem w głowie i bezwiedną obserwacją otoczenia. Znacznie gorzej było, gdy wódka traciła swoją moc, a on z hukiem wracał do rzeczywistości. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że jeśli spędzi w ten sposób kolejny dzień, po prostu zwariuje albo strzeli sobie w skroń.

Wyszedł przed barak. Oślepiło go ostre słońce przedzierające się przez konary rozłożystych wiązów. Zmrużył oczy, chwycił brudny ręcznik, wiszący na drewnianym pałku, i pobiegł truchtem w kierunku niewielkiego strumienia, oddzielającego obozowisko od reszty gęstego lasu. Zdjął z siebie mundur polowy i bieliznę, po czym zanurzył stopy w lodowatej wodzie. Na brzegu, tuż pod drzewem, leżała zawinięta w starą gazetę kostka szarego mydła, a obok metalowa kwarta. Mimo panującego chłodu postanowił się umyć. Odwinął mydło i zaczął intensywnie się namydlać, jakby pragnął zmyć z siebie po-

przednią noc, woń „rykowki” i czarne myśli spowijające jego umysł.

– Weź się, chłopie, w garść – mówił do siebie i polewał głowę zimną wodą, by jak najszybciej dojść do równowagi.

Umył się i kolejny raz spojrzął w błękitne niebo. Poczł się zdecydowanie lepiej i postanowił porozmawiać z Miedwiediewem. Nie chciał dłużej czekać.

Dowódca wciąż patrzył na Łyszkina nieprzychylnym wzrokiem. Brawura Igora mogła nie tylko doprowadzić do jego śmierci i pozbawić oddział najlepiej wyszkolonego człowieka, ale także narażała ich obóz na zdemaskowanie, a następnie unicestwienie. Jednak Igor Łyszkin wraz ze swoim alter ego był osobą niezwykle przydatną w walce z wrogiem.

– Pułkowniku – powiedział odważnie Igor – wiem, że zachowałem się nieodpowiedzialnie, ryzykując odkrycie przez wroga naszej „zielonej latarni” oraz całej grupy Mitia, ale chciałbym powrócić do zadań specnazu.

Dmitrij Miedwiediew milczał przez chwilę, po czym zapytał ostro:

– Czy wiecie, ile kosztuje wyszkolenie takiego człowieka jak wy? Wiele miesięcy życia w ośrodku i praca kilkudziesięciu osób.

– Pułkowniku... – zaczął Igor, ale Miedwiediew przerwał mu.

– Dużo. Więc jesteście coś winni naszej władzy i swojemu krajowi. Nie tylko posłuszeństwo, ale także starania, aby to wszystko, co dla was zrobiliśmy, nie poszło na marne. A ja dostałem raport z Równego. Jesteście spaleni. Dopadli tę twoją dziewczynę, u której zanocowałeś. Już nie żyje, ale zdążyła opowiedzieć gestapo, jak wyglądałeś i że nie byłeś żadnym sfrustrowanym żołnierzem Einsatzgruppen, ale radzieckim partyzantem. A to oznacza, że wasza misja w Równem i na całej Ukrainie dobiegła końca – wysyczał coraz bardziej wściekły Miedwiediew. Właśnie będzie musiał odesłać gdzieś swojego najlepszego człowieka.

– To co teraz ze mną będzie, pułkowniku? – niepewnie zapytał Łyszkin.

– Dzisiaj w nocy nasz samolot zabierze was do Witebska. Tam będzie na was czekał generał Sudopłatow. Oprócz reprimendy ma dla was kolejne zadanie. Niech cię cholera! – Miedwiediew rzucił w jego stronę szarą kopertę. –

Wczoraj przysły rozkazy. Zapoznajcie się z nimi i idźcie się spakować. I dziękuję wam za dotychczasową współpracę. Byliście najlepsi, a nasz oddział poniósł niepowetowaną stratę.

– Dziękuję, pułkowniku, i jeszcze raz pragnę wyrazić ubolewanie z...

– Skończcie pierdolić, kapitanie – przerwał mu Miedwiediew, po czym wstał i uściskał dłoń Łyszkina. – Nie dajcie się zabić z powodu waszej bra-

wury. Na chłodno, kapitanie, na chłodno. Takie mamy czasy.

Igor podziękował i opuścił barak dowódcy. Pomyślał przez chwilę o słodkiej Tatianie, która uratowała mu życie kosztem własnego. Nie pozwolił sobie jednak na to, by kolejny raz się rozkleić. Miedwiediew miał rację. Takie mieli czasy, a ofiary były nieuniknione.

Spakował niewielki plecak, przyswoił wytyczne z rozkazów, po czym spalił kopertę w palenisku kozy. Przed północą udał się na oddaloną o sześć kilometrów polanę i rozpalił na niej niewielkie ognisko mające na celu naprowadzenie samolotu. Dwie godziny później był już w powietrzu i zastanawiał się, co tym razem przygotował dla niego Sudopłatow, oprócz steku wyzwisk.

Kiedy o świcie dotarł do punktu kontaktowego i wręcz runął na przygotowane przez gospodarza łóżko, rozległo się pukanie do drzwi. Został powiadomiony, że oto generał oczekuje go w sąsiednim pokoju. Łyszkin zaklął pod nosem i pomyślał, że odbieranie mu snu jest częścią kary, jaką z pewnością zaserwuje mu generał.

Sudopłatow w istocie wyglądał na wzburzonego. Wygłosił kilka sloganów na temat żołnierzy specnazu, kosztownego szkolenia i wreszcie o tym, że wróg czai się wszędzie. Kończąc swoją tyradę, dodał:

– Wasze szczęście, Łyszkin. I tak mieliśmy was zabrać z Ukrainy. Musicie nam pomóc tutaj, bo zdaje się, że Niemcy szykują się do swojego perfidnego planu poróżnienia nas z nowymi sojusznikami. Sprawa jest bardzo delikatna, my jednak musimy być przygotowani na odparcie zarzutów. To może być słowo przeciwko słowu, dlatego ważne jest zbadanie tego, co znaleźli, co wiedzą i, najważniejsze, co planują.

– Co mam robić? – zapytał Igor, nieco rozdrażniony zmęczeniem.

– Wiecie, co to jest Todt? To organizacja skupiająca niemieckie firmy budowlane, które pracują dla wojska. Budują umocnienia, schrony i fabryki broni. Podczas prac na naszych terenach odkryto coś, co nigdy nie powinno ujrzeć światła dziennego. Ostatnio zaś Niemcy sprowadzili w ten rejon mnóstwo ludzi i zaczęli żywiej interesować się tym miejscem. Coś kombinują, to pewne – powiedział Sudopłatow.

– A co odkryli? – zapytał bez specjalnego entuzjazmu Łyszkin, ziewając ukradkiem.

– Groby – mruknął Sudopłatow.

Igor wzruszył ramionami.

– I co z tego?

– To są groby polskich oficerów... – Generał nieco się zmieszał.

– Nadal nie rozumiem...

– Nie rozumiecie?! – rozzłościł się Sudopłatow. – Jak to nie rozumiecie?!

Oficjalnie polscy oficerowie zatrzymani we wrześniu są w Mandżurii, zresztą to nieistotne. Ważne jest to, że oni od dawna nie żyją, a świat nie może się o tym dowiedzieć. Polska to nasz sojusznik, podobnie jak Wielka Brytania. Upublicznienie takiej informacji mogłoby zatrzęść naszą polityką zagraniczną. Dlatego pojedziecie do Smoleńska, a potem do Katynia i zbadacie, co ci dranie kombinują.

Łyszkinowi przypomniały się sceny z lwowskiego więzienia. Mordowane i wywożone do masowych mogił ofiary dyrektyw Berii. Czy i tym razem władze zechcą obarczyć winą Niemców? Dziesiątki tysięcy polskich oficerów i osób ze służb cywilnych zapadło się pod ziemię. Pytania polskich dyplomatów, wreszcie zadane przez tego najważniejszego przywódcę, Sikorskiego, zbywane milczeniem lub mało wiarygodnymi opowieściami. A oni dosłownie zapadli się pod ziemię, pod tę katyńską, jako wrogowie ustroju Związku Radzieckiego. W istocie ujawnienie tej informacji mogłoby zniweczyć kruchy sojusz między tymi państwami, a kto wie, może po czymś takim Wielka Brytania i pozostałe kraje odwróciłyby się plecami do matki Rosji? Łyszkin wcale się nie dziwił, że Rzesza, która powoli wytracała na wschodzie swój impet, chciałaby taki smakowity kąsek wykorzystać. Igor był przekonany, że to masowe morderstwo to sprawka tego psychopaty, Berii, który zawsze miał na wszystko jedno rozwiązanie. Tymczasem gdy Związek Radziecki dramatycznie potrzebował wsparcia, pomysły tego człowieka mogły okazać się gwoździem do trumny.

– Jakie zatem jest moje zadanie? – zapytał Łyszkin.

– Czuwanie nad prawidłowym przebiegiem całego procesu. To oczywiście oficjalnie. Nieoficjalnie musicie zdobyć wszystko, co wiedzą i jak zamierzają wykorzystać swoje Ministerstwo Propagandy. Swoją drogą, robią to po mistrzowsku, szkoda tylko, że nasza propaganda szwankuje. Mandżuria i Kazachstan? Szkoda, że nie Ziemia Ognista... Być może uda się wam wziąć jakiegoś jeńca i przytargać go do Witebska. A my zajmiemy się nim i postaramy, żeby ptaszek zaczął ćwierkać – burknął Sudopłatow.

– Tak jest, generale – odmeldował się Łyszkin.

– A teraz idźcie spać, bo zaraz mnie połkniecie albo wywichniecie sobie szczękę. Potem zapoznacie się dokładnie z moją instrukcją. I tym razem bez sa-

mowolki. W przeciwnym razie skończycie na Łubiance – ostro powiedział Sudopłatow i nakazał Igorowi odejść.

Łyszki nie trzeba było długo do tego namawiać. Nieprzespana noc dawała mu się we znaki. Zapewne gdyby wcześniej nie pochłaniał takiej ilości „rykowki”, zarwana noc nie odcisnęłaby na nim swojego piętna, ale teraz po prostu musiał się zregenerować i zebrać siły przed kolejnym zadaniem.

29. Warszawa, 1942

– Nie uważacie, panowie, że ten tekst jest zbyt... mało dyplomatyczny? – zapytał „Sokół” siedzących wokół stołu mężczyzn.

– Mało dyplomatyczny? Nas mordują, wywożą do obozów na pewną śmierć, a my mamy myśleć o dyplomacji? – zirytował się jeden z mężczyzn, o zapadniętych policzkach i ciemnym oczach.

– Zatem będzie, jak chcecie – westchnął „Sokół” i wręczył dokument Chełmickiemu.

– Spróbuję dostać się do najwyższych władz, ale nie ukrywam, że atmosfera nie jest ostatnio najlepsza. Odnoszę wrażenie, że Churchill postawił tylko na jednego konia, a reszta ma mniejsze znaczenie. Nasz rząd także ma niewielki wpływ na politykę Wielkiej Brytanii, ale oczywiście zrobię, co w mojej mocy, aby świat się dowiedział zarówno o losie Żydów w getcie, jak i o obozach zagłady. Mam nadzieję, że wówczas politycy inaczej spojrzą na wasze roszczenia, chociaż także uważam, iż słowa „żądamy i domagamy się” nie najlepiej brzmią w języku dyplomacji – ostrożnie zaczął Julian.

– Człowieku, Żegota nie poradzi sobie w obliczu takiej zagłady. My nie możemy żyć jak szczury, musimy wydostać się z tego piekła. A na to potrzebujemy pieniędzy, złota i prawdziwych paszportów. Niemcy są przekupni, ale żaden nie podłoży się, by zwolnić Żyda na lewych papierach. Muszą mieć podkładkę w swoim biurowym gównie. A my nie mamy ani pieniędzy, ani kosztowności. I oczywiście legalnych dokumentów. Zaś Brytyjczycy i Amerykanie posiadają i jedno, i drugie. Niech chociaż to dla nas zrobią – niemal rozpaczliwie powiedział wiekowy Żyd o gęstej brodzie, którą skubał nerwowo przy każdym wypowiedzianym zdaniu.

– Rozumiem, dla nas to także byłaby ogromna pomoc – odezwał się młody chłopak o rumianej twarzy, reprezentujący Żegotę.

Organizacja działała dość sprawnie, ale wciąż była to kropla w morzu potrzeb. Ludzie bali się udzielać schronienia Żydom, zwłaszcza dorosłym, w obawie przed konsekwencjami. A ostateczną karą zawsze była śmierć. Opuszczenie kraju przez zwolnionych z getta ludzi zapewne rozwiązałoby niektóre problemy.

Rozeszli się tuż przed godziną policyjną. Chełmicki powrócił do swojej nowej kwatery. Nie chciał już dłużej narażać Weroniki, nie chciał także dawać jej złudnej nadziei, że będą kiedykolwiek razem. Julian znalazł się w takim

punkcie swojego życia, że nawet nie był pewien, czy chce się wiązać z jakąkolwiek kobietą. Jego uczucie do Alicji przybrało dziwny obraz. Z jednej strony, wciąż o niej myślał i martwił się, czy jest wystarczająco bezpieczna, z drugiej, dławiał go żal, że okazała się inna, niż sądził. A może to było jedynie jego pobożne życzenie i oszukiwał się przez cały czas? Bez względu jednak na to, co działo się w jego sercu, postanowił, że spotka się z nią, zanim kolejny raz wyruszy przez Tatry do Wielkiej Brytanii. Nie wiedział, czy chce sam się przekonać o swoich uczuciach do niej, czy też sprawdzić jej stosunek do ich związku. Był na rozdrożu, rozdarty pomiędzy snuciem marzeń o idealnej miłości a smutną rzeczywistością, która tak bardzo różniła się od jego wyobrażeń. Może gdyby nie wojna, wszystko między nimi wyglądałoby inaczej. Jednak okupacja wciąż trwała i zbierała ponure żniwo, zmieniając nie tylko świat, ale przede wszystkim ludzi.

Parkowe drzewa przypominały spacerującym, że jesień już niebawem zdominuje się na dobre. Pojawiły się pożółkłe liście, a popołudniami wyraźnie czuć było powiew chłodnego wiatru. Alicja miała nogi jak z waty, gdy zbliżała się do ławki znajdującej się pomiędzy bujnymi krzewami dzikiej róży. Julian czekał już na nią. Przywitali się chłodno i jakby niepewnie. Kilka tygodni rozłąki jeszcze bardziej oddaliło ich od siebie. Oboje wciąż nosili w sobie żal, a jednocześnie tęsknotę za tym, co było między nimi.

– Jak sobie radzisz? – zapytał Julian drżącym głosem.

– Zależy o co pytasz.

– W Referacie... – bąknął Julian.

I czar prysnął. Sądziła, że zapyta o jej żalobę i smutek po stracie ich dziecka, a jednak to najważniejsze pytanie nie padło.

– Dobrze. Chociaż wciąż oglądam się za siebie. Podobno ten nowy szef gestapo to prawdziwa kanalia... – mruknęła i dodała: – A co u ciebie?

– Ciągle w drodze. I uwierz, też rozglądam się dookoła. Gdybym wpadł... Zresztą oboje wiemy, co się stanie, jeśli nas dopadną – westchnął Julian.

– Kochasz mnie jeszcze? – zapytała nagle Alicja, jakby wbrew sobie.

Z jednej strony, bała się odpowiedzi, jaka mogła paść, z drugiej – chciała zakończyć bezustanne rozważania. Teraz miała poczucie, jakby kręciła się w miejscu i nie miała pojęcia, co tak naprawdę stało się dla niej ważne. Praca z dziećmi z getta, rodzina mieszkająca teraz pod Kielcami, a może Hanka ukry-

wająca się na prowincji? Kiedyś nie miała podobnych rozterek. Najważniejszy był Julian, a potem cała reszta. I mimo że kochała swoją matkę i dziadków, a także żywiła do Hanki siostrzane uczucia, Chełmicki był niczym kompas na wzburzonym morzu. Wyznaczał azymut. Nie miała pojęcia, co będzie, gdy go zabraknie. Już teraz nękały ją wątpliwości i zadawała sobie pytanie, czy to było prawdziwe uczucie, czy tylko tęsknota za idealną miłością. Bo Julian Chełmicki okazał się tak samo nieidealny, jak i ona.

Miłość była przecież prosta, jeśli kochasz kogoś naprawdę, nie zadajesz sobie pytania, czy wciąż kochasz, bo odpowiedź jest ci doskonale znana.

– Tak, Alicjo. Wciąż cię kocham, chociaż nie umiem ci wybaczyć. – Julian w końcu wyrzucił to z siebie.

Te słowa rozżłościły Alicję na dobre.

– A co ty masz mi, u licha, wybaczać? – zapytała, mrużąc swoje zielone oczy.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– To, jak się zachowywałaś po stracie naszego dziecka. I w ogóle, że narażałaś się, chociaż nie musiałaś. Przecież prosiłem cię tyle razy, żebyś wyjechała do wuja – powiedział dość ostro.

– Wiesz co, Julian, zacytuję ci jednego pisarza. Jeśli ja znam ciebie, tak jak ty mnie, to oboje bardzo się nie znamy – westchnęła z rezygnacją, po czym wstała z ławki i zaczęła iść w kierunku parkowej alejki.

Zerwał się chwilę potem, nieco oszołomiony jej reakcją. Chwycił ją za rękę.

– Chciałaś wiedzieć, co czuję. Powiedziałem prawdę, chociaż jest ona dla mnie równie niewygodna, co dla ciebie – jęknął.

– Wiem. I ta prawda mnie przeraża – powiedziała cicho Alicja, po czym wyswobodziła rękę i ruszyła przed siebie.

Ona także powiedziała prawdę. Przeraziło ją to, że Julian naprawdę czuł do niej żal, i czas, który minął od ich ostatniego spotkania, nie wywołał w nim żadnej refleksji. Mogła zrozumieć, że na początku ten smutny incydent spowodował jego dziwną reakcję, ale po tylu miesiącach powinien uświadomić sobie, że Alicja nie narażała się celowo, a wszystko, co się wydarzyło, było przypadkiem. Do diabła, nie mogła siedzieć pod łóżkiem, bo była wojna. Przypomniała sobie czas, gdy Hanka była w ciąży, a zewsząd docierały przeraźliwe huki bomb. W każdej chwili któraś mogła trafić w ich kamienicę i zamienić je w popiół. Pamiętała, jak woziły zdezelowanym wózkiem wodę, gdy zamiast światła miały ogarki, a wybite okna zabijały drzwiami od szafy. I gdyby wów-

czas Hanka poroniła, ktokolwiek mógłby mieć o to do niej pretensje? Był zły na jej reakcję? To dlaczego, gdy minęło trochę czasu, nie porozmawiał z nią, tylko lizał rany u swojej wiernej wielbicielki, Weroniki?

„Niech cię piekło pochłonie, Julianie” – myślała, wzburzona, gdy podążała do swojego domu. Chełmicki nie miał pojęcia, co czuła i jak bardzo zawałił się jej świat.

Powróciła do siebie i usiadła skulona na łóżku. Miała kilka godzin, by móc uzalać się nad sobą. To był czas, który wygospodarowała z trudem tylko po to, żeby przeżyć kolejne rozczarowanie. Nie rozumiała Juliana, a to nie pozwalało jej patrzeć na niego jak niegdyś. Podobne rozterki przeżywała w związku z Martinem, ale wtedy czuła się winna i pozwalała Julianowi na te chwile, kiedy z goryczą wypowiadał się o jej poczynaniach. Teraz jednak Alicji się zdawało, że pretensje Chełmickiego są irracjonalne. Być może to pomagało mu przetrwać te ciężkie chwile, ale w żaden sposób nie pomagało jej.

Życie było wystarczająco ciężkie i niebezpieczne, a teraz pozbawiło ją mocnego oparcia w postaci ramion Juliana, w które mogła się wtulić, gdy przerażała ją sytuacja. Nie myślała o przyszłości, nie snuła marzeń, cieszyła się, gdy udało jej się przeżyć dzień i nie spotkało jej w tym czasie nic złego. Ani nikt z jej bliskich. Wciąż czuła na swoich plecach oddech gestapo, była jak wieczny uciekinier, gotowy, by ewakuować się z każdego miejsca, w którym się znalazła. Były chwile, kiedy wydawało jej się, że już nie da rady, i obojętniała tak bardzo, że przestawała być ostrożna. I nie dlatego, iż cechowała ją odwaga, ale po prostu nie miała siły. I w tych momentach zwątpienia, kiedy jedynym sensownym rozwiązaniem było rzucenie się z mostu w odmęty Wisły, pojawiała się światełko w tym mrocznym tunelu. Miłość Juliana. Powracały wtedy chęci, by walczyć, gubić tropy, stosować uniki, bo pragnęła jeszcze choć raz poczuć obecność Juliana, jego dotyk i smak, usłyszeć niski męski głos, a wreszcie zaznać chwili szczęścia, wyrwanej życiu po kawałku.

Teraz czuła pustkę i tęsknotę. Ramiona Juliana okazały się złowrogie i dalekie. A tęsknoty za tym czymś nieuchwytnym, magią pocałunków i romantycznych wyznań, nie mogła zastąpić niczym innym. Nagle jakby ta idealna miłość zdjęła maskę, ukazując swoje prawdziwe oblicze. I śmiała się z niej szyderczo, że miłość jest prosta, ale niepozbawiona bólu i ciągłych rozterek. Łatwo było kochać, gdy uważasz człowieka za chodzący ideał, gorzej, gdy okazuje się ułomny i pełen wad. Naginamy więc obraz swojej miłości do własnych wyobrażeń, zamazujemy to, co nam się nie podoba, i oszukujemy się, że to, co

widzimy, jest realne i prawdziwe.

Tak bardzo brakowało jej płonącej w sercu miłości, tej pierwszej, świeżej i nieskażonej wątpliwościami, gdy z młodzieńczą fascynacją rzuciła się w ramiona ukochanego, z ufnością wierząc, że tak będzie zawsze i nie ulegnie zmianie. Tymczasem poczuła, jakby nagle stała się dorosła, a tak bardzo nie chciała się z tym zmierzyć. Postanowiła, że jeszcze nie teraz, że to jeszcze nie pora na nią i wciąż pragnęła żyć złudzeniami, które pozwalają na szczenięcą radość i przeświadczenie, że nie spotka jej nic złego. Nie chciała z hukiem spadać na ziemię, stwierdzając ze zdumieniem, iż życie nie zawsze układa się tak, jakbyśmy tego pragnęli. Postanowiła jednak, że na rozpacz pozwoli sobie tylko wtedy, gdy straci nadzieję, a tę wciąż jeszcze miała.

30. Katyń, 1942

Chałupa była skromna, drewniana i pokryta strzechą. Sklecone były jak żerdzie imitowały płot, na wpół spróchniałe, pokryte zielonym nalotem, ledwie trzymały się zardzewiałych gwoździ, bezlitośnie ulegając siłom grawitacji. Podwórze przypominało klepisko, a wąska ścieżka prowadziła na tyły gospodarstwa, gdzie stała niewielka obórka i klatki z niezbyt dorodnymi królikami.

Walter niepewnie wysiadł z samochodu, a za nim towarzyszący mu mężczyzna w wyświechtanej kufajce i wypłowiałym berecie. Chwilę później w drzwiach domostwa stanął postawny mężczyzna koło pięćdziesiątki.

– Stiepan Wołkow? – zapytał Lossow.

Mężczyzna pokiwał głową i wpuścił przybyszy do środka. Nie był chyba zbyt zadowolony z takich odwiedzin, bo gdy jego małżonka zaczęła wyjmować z kredensu wódkę i kieliszki, zgromił ją wzrokiem. Kobieta niemal natychmiast na powrót schowała butelkę i potulnie usiadła na drewnianym zydelku koło okna, z ciekawością wpatrując się w przybyłych mężczyzn.

Usiedli przy stole. Walter wyciągnął z aktówki notatnik i pióro, po czym zwrócił się do towarzyszącego mu mężczyzny:

– Możemy zaczynać, Andriusza.

– Nazywacie się Stiepan Wołkow? – powtórzył pytanie Andriusza, by formalności stało się zadość. – I dalej... miejsce urodzenia, pracy.

Stiepan odchrząknął i zaczął podawać dane personalne.

– Urodzony w Smoleńsku, piętnastego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku, syn chłopca, zamieszkały w Demidówce, w obwodzie smoleńskim. Robotnik przymusowy niemieckiej firmy Koch, należącej do Todta od października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, wcześniej pracownik kolei na stacji Gniezdowo.

Andriusza tłumaczył cicho słowa Stiepana, które to Lossow skrupulatnie notował, po czym równie cicho zadawał pytania poprzez swojego tłumacza.

– Co widzieliście wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego roku na stacji w Gniezdowie?

– Moją uwagę zwróciła więzienna ciężarówka podjeżdżająca pod stację. A potem przyjechały następne. To taki jakby autobus. Mówiliśmy na niego „czornyj woron”. No, to żeśmy stanęli przy płocie i patrzyli. Jak ludzie wysiadali z pociągu, to nie widziałem, bo stałem po drugiej stronie stacji, ale widziałem, jak ich prowadzili do tych samochodów, do „woronów” znaczy –

wydukał Stiepan.

– A skąd wiecie, że to byli polscy wojskowi? – padło kolejne pytanie.

– No jak skąd? Mundury mieli, nie nasze. I niektórzy jeszcze czapki na głowie nosili, z orzełkami polskimi. I jak tak szli, to też jakby nie po naszemu gadali ani nie po niemiecku, to ja wiem. Teraz wiem, że po polsku.

– A dlaczego teraz wiecie? – zapytał ostro Andriusza.

– Bo jak mnie do tego Kocha dali, to tam pracowało dwóch takich, spod Poznania byli. Polacy. I oni tak gadali. Zresztą opowiadali, że jak umocnienia robili, to wykopali swojego rodaka w mundurze porucznika. Strasznie wtedy przeklinali Stalina. Że współbraci im pomordował. I że to by trzeba gdzieś zgłosić. I chyba zgłosili do takiego niemieckiego brygadzysty, miał na nazwisko Luger, kawał skurczybyka... – Stiepan zreflektował się i natychmiast poprawił: – Kawał chłopca był, znaczy.

– Tych dwóch Polaków to jak się nazywało? – zapytał Walter.

– Zenek i Bolek. Nazwisk nie znam. Mieli przydzielone numery siedemnaście i trzydzieści trzy. Tyle co wiem.

Wołkow opowiedział jeszcze kilka szczegółów z tego dnia, gdy pociąg z polskimi oficerami przyjechał na stację, po czym podpisał się pod notatkami Waltera kanciastym, niewyrobnym pismem. Trzęsły mu się ręce, bo właściwie nie miał pojęcia, czy w istocie podpisuje się pod swoimi słowami.

Kilka minut później Lossow i Andriusza opuścili domostwo Stiepana i ruszyli dalej, by odnaleźć kolejnych świadków egzekucji dokonanych na polskich oficerach. Lossow musiał być skrupulatny, bo wkrótce miał stworzyć raport, który posłuży jego przełożonym do obwieszczenia światu, iż sojusznik Polski i Wielkiej Brytanii ma bardzo brudne ręce.

Walter wiedział, że to żmudne i niezbyt ciekawe zajęcie jest ostatnim momentem wytchnienia przed kolejnym zadaniem, jakie otrzyma. Niemieckie władze bardzo mocno chciały odnaleźć masowe groby i zdobyć niepodważalne dowody, jakimi byłyby zdjęcia i filmy z miejsca zbrodni. Musieli wiedzieć jednak, gdzie szukać i czy strzępy informacji, jakie posiadali, są wystarczająco przekonujące, by ściągać ludzi i rozpocząć wykopaliska. A Walter von Lossow miał się tego dowiedzieć, gromadząc jednocześnie wiarygodne materiały.

Teraz musiał odnaleźć grupę budowlaną Lugera i dwóch polskich robotników, którzy natknęli się na ciała. W drodze do Archipowki Walterowi towarzyszył kierowca. Lossow z ulgą oddał kierownicę i zdrzemnął się po drodze.

Do bazy Kocha dotarli późnym popołudniem. Nie prowadzono tu żadnych

prac, czekając bezczynnie na kolejne zlecenia. Nie było także przymusowych robotników, oddelegowanych w inne regiony Związku Radzieckiego.

– Pan porucznik przyjechał o nas film nakręcić? – przywitał ich Ernst Luger, postawny brygadzieta.

– Nie, szukam takich jednych Polaków. Mieli numery siedemnaście i trzydzieści trzy – ostro odpowiedział Walter. Był rozdrażniony zbyt krótką drzemką i nie miał ochoty na żarty.

– A co nawywijali? – zapytał Luger.

– Nic szczególnego. Musimy z nimi porozmawiać – burknął Lossow.

Luger wszedł do baraku i zaczął przeglądać opasłą księgę.

– Zenon Brycz i Bolesław Sowiński – odczytał brygadzieta i dodał: – To powodzenia, poruczniku. Obaj zostali wysłani w okolice Sewastopola.

– Niech to szlag... – przeklął Walter i zapytał z nadzieją: – Podobno zgłaszali ci odnalezienie jakichś zwłok w okolicach Katynia?

Luger zmieszał się nieco.

– Wielkie mi co. Mało to trupów Sowiety pogrzebali? Kazałem zakopać z powrotem i po krzyku. To nie byli nasi.

– A kto? – nie dawał za wygraną Lossow.

– Polacy. Mieli polskie mundury oficerskie. Jednemu nawet epolety było wiadać. Był w stopniu kapitana – zaczął tłumaczyć Luger.

– Potrafisz wskazać to miejsce? Chociaż w przybliżeniu? – z nadzieją zapytał Walter.

– Jasne. Mam plany prac na tym terenie, to wam dam i kopcie. Ale po jaką cholere szukacie rozkładających się trupów tych Polaczków? – zdziwił się Luger.

– Nie bądź taki ciekawski, Luger. Zanocuję tutaj, a jutro weźmiesz paru ludzi i pojedziemy w to miejsce.

– E... panie poruczniku, póki co Koch jest prywatną firmą. Co prawda realizuje zlecenia rządowe, ale ja muszę mieć zgodę swoich szefów na takie wybieżki – prychnął Luger.

– W porządku. Do jutra otrzymasz stosowne wytyczne. Ale miejsce na nocleg to chyba nam wskażesz?

– Mogę nawet panu porucznikowi pokazać, gdzie można dobrze zjeść, napić się wódki i poużywać sobie z ładnymi Białorusinkami – zarechotał brygadzieta.

– Są chętne na igraszki z najeźdźcami? – zapytał złośliwie Lossow.

– Nikt ich nie pyta – ponownie zarechotał Luger.

Waltera zemdliło. Kolejny amator gwałcenia kobiet. Dokąd zmierzał ten świat, jeśli mężczyźni zachwycali się stosunkami z przerażonymi dziewczynami, które ich nienawidziły? Kompletnie stępienie nie tylko wartości, ale samej estetyki. Czego jednak mógł się spodziewać po tym tępym osiłku, który zalewał betonem ludzkie zwłoki.

Nazajutrz dotarli do wyznaczonego miejsca i ludzie Lugera rozpoczęli kopanie we wskazanym punkcie. Po kilku godzinach odnaleźli najpierw jedne szczątki, a potem kolejne i następne. Lossow skrupulatnie fotografował ofiary, w większości w stanie kompletnego rozkładu, skupiając się na elementach garderoby, dystynkcjach i fragmentach dokumentów, które udało się wydobyć. W południe udał się do Smoleńska, gdzie stacjonował, i nadał komunikat o znalezieniu masowego grobu polskich oficerów. Chciał, żeby przysłano w okolice Katynia patologów i przede wszystkim ludzi, którzy mogliby się zająć wykopaliskami. Wszystko musiało odbyć się zgodnie z procedurami, tak jakby w tej ziemi spoczywali niemieccy obywatele. A potem ta misternie przeprowadzona ekshumacja zostanie udokumentowana i ogłoszona światu, by wstrząsnąć Polską i jej sojusznikami.

31. Warszawa, 1942

– No, pod Bogiem ci mówię, Franek, skończyłem z tym – jęknął Emil. Odkąd Renate poznała go z pewnym wpływowym oficerem, mógł spokojnie powrócić do szmuglowania jedzenia i innych dóbr luksusowych. A do tego potrzebny był mu Franek i jego układziki na bazarach i u drobnych handlarzy. Poza tym wolał go mieć po swojej stronie. Morderstwo Adrianny mocno nim wstrząsnęło i nie chciał już zostawiać po sobie ofiar.

– A co nagle tak ci się odmieniło, Emil? W portki robisz ze strachu? – „Diamantowa Rączka” wciąż był nieufny.

– Ja? Ze strachu? Nie obrażaj mnie, Franek. Przemysłałem sprawę i doszedłem do wniosku, że to kurestwo. Pejsak nie pejsak, ale zawsze człowiek – z westchnieniem powiedział Emil. – No przecież i tak bym nie doniósł, jakby kto nie dał mamony albo fantów.

– A kto cię tam wie? – Franek machnął ręką. – Ty jesteś lepszy cwaniak.

– No, jak mówię, to mówię – zirytował się Lewin. – To wchodzisz w to czy nie?

– A szkopy obcykane? – zapytał Franek.

– Tak, szafa gra. Moja narzeczona ma układy, więc i ja mam. Główka pracuje. – Emil popukał się w czoło.

– Chędożysz szwabkę? – zniesmaczył się „Diamantowa Rączka”.

– Nie szwabkę, tylko folksdojczkę. A w wyrku to one jednakowe, byle nie były szpetne. – Lewin zaśmiał się sztucznie, chcąc ukryć przed kompanem, że z Renate Zoll łączy go coś więcej niż tylko seks i interesy.

Franek splunął.

– Fuj. A żeby cię chudy byk... Lewin. W życiu bym nie obrabiał Niemry, nawet żebym miał brać te z Powiśla.

– Nikt ci nie każe – burknął urażony Emil. – To co, bracie, działamy?

– A co mamy nie działać. W końcu wspieramy warszawiaków, żeby nie musieli żreć tego pierdolonego „dźwiękowca” i marmolady ze smarów okrętowych. – Zarechotał i uścisnął dłoń Lewinowi.

W istocie Franek ucieszył się z perspektywy powrotu do interesu. On nie chciał i nie miał najmniejszego zamiaru bratać się z okupantem, by odnieść korzyści, ale najwyraźniej Lewin nie miał takich oporów. Co innego, gdyby Emil miał kapować, ale wręczanie łapówek, popijanie ze szwabami wódki czy wreszcie sypianie z wpływową folksdojczką było mu bardzo na rękę. „Dia-

mentowa Rączka” lubił pieniądze, a ostatnimi czasy polubił nawet duże pieniądze, ale co by mu z nich przyszło, gdyby skończył z kulką w głowie albo zgnił w niemieckim więzieniu.

Powrócili do dawnych zwyczajów, jedynie odpuścili sobie handel w getcie. Mały Szymek nie chciał już tam chodzić z towarem. Mężczyźni wcale mu się nie dziwili. Z każdym dniem getto bardziej przypominało umieralnię niż miejsce do życia. Poza tym większość przebywających tam ludzi już nie miała nic, czym mogłaby płacić za jedzenie, a desperacja zmuszała ich do czynów, których w normalnych warunkach nigdy by się nie dopuścili. Było prawie pewne, że Szymek rychło stałby się ofiarą napadów, a kto wie, może pewnego dnia nawet nie powróciłby stamtąd. I nie dlatego, że zostałby zamordowany przez Niemców, ale przez wygłodniałych ludzi, w których brak pożywienia budził najgorsze instynkty.

Szymek jednak miał inny powód. Im częściej przechodził na drugą stronę, by wspominać swoją przyjaciółkę, tym bardziej docierało do niego, że proceder, w którym wcześniej brał udział, był bardzo niemoralny. Fortuny wydawane na kawałek chleba czy rodzinne pamiątki zamieniane na ochłap mięsa stanowiły czysty rozbój. Cóż z tego, że robili to inni, a mieszkający w getcie ludzie mogli dzięki temu przeżyć jeden dzień dłużej, ale miał świadomość, że teraz już nie mógłby żądać od nich niczego i wszystko rozdałby bez żadnego wynagrodzenia. To z kolei mogło bardzo nie spodobać się panu Lewinowi i może ten nawet wyrzuciłby go z domu. I tak Szymek coraz rzadziej tam przebywał z powodu obecności tej obrzydliwej folksdojczki, która chełpiła się znajomościami na Pawiaku i na gestapo. Nie rozumiał Emila, że mógł się związać z kobietą, która spokojnie patrzyła na śmierć Polaków. Lewin jednak wytłumaczył mu, że jeśli się kogoś lubi, takie rzeczy nie mają znaczenia. Być może coś w tym było. On zawsze śmiał się z Żydów, że zalatuje od nich czosnkiem i cebulą. Szydlił z ich pejsów i chałatów i uważał, iż są kanciarzami, którzy nie oszukują jedynie swoich. Tymczasem w swoim dotychczasowym życiu najbardziej polubił małą Żydówkę, Noemi, i gdy z nią przebywał, nawet nie myślał, kim jest. Może więc pani Renate także była miła dla pana Lewina i dlatego nie przeszkadzało mu, że jest folksdojczką. Żałował jednak cioci Adrianny, która mimo początkowej niechęci okazała mu wiele serdeczności i niemal matczyne-go ciepła. Czasami był zły, że pozbawiła się życia, a jego i Karolka zostawiła, wiedział bowiem, że Renate nigdy nie będzie dla nich tak dobra i życzliwa.

Kolejny raz Szymek Wielopolski siedział na schodkach kamienicy w getcie

i wypatrywał Noemi, chociaż wiedział, że to głupie i bezsensowne. W tłumie wychudzonych ludzi ujrzał jego – pijanego oficera, który zamordował mu przyjaciółkę. Znowu był nieco podchmielony i trzymając w dłoni drewnianą pałkę, rozglądał się, najwyraźniej szukając kolejnej ofiary. Jakkolwiek w dniu, w którym bestialsko zastrzelił Noemi, ludzie unikali spotkania z nim, chowając się w bramach albo uciekając, tak teraz nie robili nic. Jakby nie mieli siły i poddali się jego woli. Uderzy – taki los, ominie – fakt bez znaczenia. Szymek przyglądał się oprawcy i miał ochotę go zabić. Zapijaczona morda, która zabrała mu najlepszą przyjaciółkę.

Chwycił jakiegoś młodego chłopaka za ramię.

– Czego chcesz? – wymamrotał blady młodzieniec z zapadniętymi policzkami.

– Jak się nazywa ten pijany strażnik z pałką?

Chłopak popatrzył na niego, jakby nie rozumiał, że jest pytany o taką oczywistą kwestię.

– Skąd ty się urwałeś, smarkaczu? – zapytał podejrzliwie.

– Jestem tu od niedawna – bąknął Szymek.

Blady chłopak spojrział na niego, mierząc wzrokiem od stóp do głów. W istocie, mimo niezbyt eleganckiego ubrania dzieciak nie wyglądał na wygłodzonego.

– Jeśli masz jeszcze siłę, to spieprzaj, jak tylko go zobaczysz. To najgorszy bydlak ze wszystkich. Dlatego dostał przydomek „Szmata”. Ale naprawdę nazywa się Joseph Ripke. A jak będzie szedł z jakimś Żydem obok, to od takiego też uciekaj. To zausznicy Ripkego. Za bochenek chleba mogą cię obić prawie jak „Szmata” – powiedział chłopak.

– Aha... – mruknął od niechcienia Szymek i wycofał się do brudnej bramy, by z daleka obserwować Ripkego.

Postanowił, że pewnego dnia ten mężczyzna zapłaci za to, co zrobił Noemi. I nie tylko jej, ale wszystkim, których zastrzelił albo skatował swoją pałką.

Chwilę potem wychudzony chłopak, z którym rozmawiał, wpadł przerażony w bramę i pociągnął Szymka za rękaw koszuli.

– Zmykaj stąd! Transporty szykują.

– Jakie transporty? – zdziwił się Szymek. Czyżby w końcu gehenna tych ludzi miała się skończyć? Dlaczego więc chłopak uciekał?

Wycofali się na brudne podwórze. Na ziemi walały się jakieś porwane gazety, a pod jedną ze ścian ułożone były bezładnie połamane stare meble.

– Podobno na śmierć ich wiozą, durniu. Tyle ludzi wywieźli, a żaden ani nie napisał, ani nie wrócił. Mówili tacy jedni, że tam ludzi gazują. Pakują na golasę do budynku i, proszę ciebie, trują jak wszy na łbie – ze zgrozą powiedział chłopak.

– Jakieś bajki mi tu nawijasz – prychnął Szymek. – A niby oni skąd wiedzą?

– A mało tu takich, co z Niemcami interesy robią? To się rozeszło i jak kto się dowie, że ma się na transport stawić, to próbują się wykupić. Ale takich, co by jeszcze coś mieli cennego, to już niewielu zostało, bo każdy na żarcie wydał. Po co komu złoto, jak żołądek do krzyża przyrasta. – Chłopak machnął ręką.

Szymek pomyślał przez chwilę, że być może ojciec i brat Noemi też zostali wywiezieni, a potem zamordowani. Postanowił to sprawdzić i ruszył w stronę kamienicy, w której niegdyś mieszkała jego przyjaciółka.

Zapukał do znajomych drzwi. Odczekał kilka minut, zanim drzwi mieszkania otworzyły się i stanął w nich starszy mężczyzna, który na pewno nie był Mojsze Goldbergiem, ojcem Noemi.

– O, przepraszam – bąknął zmieszany i nieco wystraszony Szymek. – Myślałem, że tutaj mieszkają Goldbergowie.

– Mieszkają. Ojciec i syn – odpowiedział starzec. – Zawołałbym Mojsze, ale on nie ma już siły z wyrka wstać. Wejdiesz?

– To w takim razie nie będę przeszkadzał – wymamrotał. – A mały Jakub jest?

– Jeszcze jest, ale jak ojciec oczy zamknie, to pewnie go do sierocińca zabiorą, bo matka umarła już jakiś czas temu. To wchodzisz czy nie? – Mężczyzna zaczął się irytować.

– Nie, proszę pana, przyjdę innym razem – bąknął Szymek i zbiegł ze schodów.

Zatrzymał się tuż przed wyjściem i czuł, że serce wali mu jak oszalałe. Według Szymka przyjut był najgorszą rzeczą, jaka mogła przytrafić się dziecku. A Noemi zapewne nie chciałyby, żeby jej brat trafił do koryta razem z żarciem dla świń. Ojca, Mojsze Goldberga, czekała zapewne już tylko śmierć, ale może udałoby się uratować chociaż małego Jakuba, by uchronić go przed losem znacznie gorszym. Co jednak mógł zrobić, jeśli sam mieszkał kątem u pana Lewina i tej okropnej panny Zoll. Pan Emil być może zlitowałby się nad małym pejsakiem, ale ta folksdojczka zapewne od razu doniosłaby na niego. A wtedy obaj trafiliby do sierocińca.

Wyszedł na ulicę, a potem do miejsca, skąd przeciskał się na aryjską stronę. Cały czas dręczyła go myśl o bracie Noemi i o tym, czy byłby w stanie cokolwiek dla niego zrobić.

32. Smoleńsk, 1942

– Cholera jasna, a było tu tak spokojnie. Można było wódeczki w spokoju się napić, a teraz całe chmary ludzi tu przysyłają. Budowlańcy pilnują przymusowych, budowlańców Wehrmacht, a żołnierzy – oddziały SS. A nad nimi wszystkimi czuwają koleś w białych kitlach. Po jaką cholere grzebią w tych trupach, to ja nie wiem. Jakbyśmy to mało własnych mieli – mamrotał wkurzony oficer, wypisując kwity nowo przybyłemu oficerowi SS, Ottonowi Kriegemu. Przydział na kwaterę, bony na posiłki, przepustki na wjazd do lasów katyńskich i przydział na paliwo do kübelwagena.

– Chłopie, a ty myślisz, że to taka radość grzebać w tych dołach? Smród na całą okolicę. Wiem, co mówię, bo jak otwieraliśmy więzienie we Lwowie, to co drugi rzygał w kącie jak kot – powiedział Łyszkin, chowając wypisane dokumenty do kieszeni.

– Coś musiałeś ostro nawywijać, że cię tu zesłali – zarechotał oficer.

– To nagroda. Podobno. W sumie zawsze to lepiej smród wciągać nosem niż proch dupą. – Igor również się roześmiał i opuścił punkt kwatermistrzowski.

Nie miał zamiaru jednak udać się do wskazanego miejsca zakwaterowania, bowiem przywiezione przez niego rozkazy były równie prawdziwe jak cały Otton Krieger. Chętnie natomiast skorzystał z przydziałowego paliwa i udał się na skraj miasta, gdzie znajdowała się jego dziupla. Był to jednopiętrowy budynek, o brudnej elewacji, z równie brudnymi szybami w oknach i łuszczącą się farbą na ościeżnicach. Wzdłuż kocich łbów uliczki bawiły się umorusane dzieciaki, a między nimi plątał się niemrawo pies z oklapniętym uchem i zaropiałymi ślepiami. Gdy Igor zatrzymał samochód kilkadziesiąt metrów od kamienicy i ruszył w stronę bramy, dzieci w mgnieniu oka rozpiezchły się i ukryły w pobliskich podwórzach. Jedyne pies pozostał na miejscu, nie zważając na przybysza.

Na klatce schodowej śmierdziało gotowaną kapustą i stęchlizną charakterystyczną dla zawilgoconych pomieszczeń. Wszedł skrzypiącymi schodami na pierwsze piętro i zapukał. Chwilę potem w drzwiach stanął młody mężczyzna ubrany w płócienne, powypychane na kolanach spodnie i mocno spraną podkoszulkę. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby jego głównym zajęciem było raczenie się wódką. Igor przeraził się trochę, patrząc na przekrwione oczy mężczyzny, ponieważ wolał współpracować z ludźmi trzeźwymi. Wtedy czuł się daleko bezpieczniejszy.

- Dmitrij Maszenko? – zapytał ostro Łyszkin.
- Porucznik Otton Kriege? Z Witebska? – odpowiedział pytaniem mężczyzna.
- Tak, przywożę mapy z Ostaszkowa – podał hasło Igor.
- Mam jeszcze plany Kozielska – odpowiedział Dmitrij i wpuścił przybysza do środka.

Przy bliższym poznaniu Dmitrij jednak nie sprawiał wrażenia, jakby był pijany. Zmęczona twarz i przekrwione oczy znalazły swoje wyjaśnienie.

– Pilnują tego, skubańcy, jakby złóż diamentów szukali – mruknął i wyciągnął szarą teczkę, skąd wyjął ręcznie odrysowane plany i fotografie miejsc, gdzie niebawem miały nastąpić wykopaliska.

– Chcą mieć dobry materiał propagandowy – stwierdził Łyszkin.

– Chyba tak. Słyszałem, że zaprosili do współpracy Międzynarodowy Czerwony Krzyż i chcą robić badania pod ich czujnym okiem. Ciekawe, czemu się tak przejęli losem Polaków? Myślałby kto, jacy przyjaciele okupowanego narodu – burknął Dmitrij, po czym powiódł brudnym paznokciem po jednej z kartek. – Tutaj jest jedyna droga, przy której ustawili tylko jednego żołnierza. Zaraz za posterunkiem będziesz mógł zostawić samochód i dalej pójść piechotą. Chłopcy mają dojechać jutro rano, mają przepustki i będą bezpośrednio uczestniczyć w ekshumacjach. Lepiej pojechać późnym popołudniem, patolo-dzy już kończą robotę, nie kręcą się filmowcy i ludzie z propagandy robiący zdjęcia.

– To cenna informacja, Dmitrij. Jeszcze tego by brakowało, żeby jakiś dureń uwiecznił mnie na kliszy. A powiedz mi, jak oceniasz szanse na dywersję i za-blokowanie tych działań? – zapytał rzeczowo Igor.

– Na zerowe. To musiałyby być regularna bitwa, a przedarcie się przez linię wroga chociażby batalionu jest po prostu niemożliwe. – Dmitrij bezradnie rozłożył ręce.

– W takim razie zostaje nam tylko obserwacja, raportowanie i wzięcie jeń-ców. Nawet jeśli zdobędziemy ich materiały, będą mieli inne. Cholera jasna! – zdenerwował się Łyszkin.

Pozostawił Dmitrija przy stole i udał się do drugiego pokoju. Powiedział swojemu kompanowi, że zamierza się przespać, ale on po prostu chciał pomy-sleć. Nie lubił uczestniczyć w akcjach z góry skazanych na porażkę, poza tym kolejny raz przekonał się, jak bardzo ręce władz jego kraju są nieczyste. Wszystko po cichu zamiatano pod dywan, ale, niestety, nadchodził moment, że

należało to posprzątać. I co miał zrobić w obliczu spraw, które mu się nie podobają? Tak samo, jak masakry w lwowskich i kijowskich więzieniach, jak podpalenie Kijowa? Odwrócić się plecami i kibicować Niemcom, żeby wygrali tę wojnę? Po czyjej stronie powinien stanąć, jeśli po obu działają się rzeczy okrutne i niepotrzebne?

Mimo tych dylematów wiedział, że będzie bronił swojej ojczyzny, bo tak trzeba było postąpić. Bez względu na to, jak bardzo otwierały mu się oczy na poczynania władzy, miał świadomość, że ten potężny kraj musi w końcu pokonać wroga. A co dalej? Tego nie wiedział. To, w co tak bezkrytycznie wierzył, zaczynało rozsypywać się jak domek z kart. Ale była jeszcze Hania, jego ukochana, i to do niej uciekał myślami, gdy nie mógł już znieść podobnych dylematów. Czasami mówił do niej w myślach: „Haniu, jestem mordercą. Nieważne, że zabijam tych, którzy krzywdzili ciebie, ale mam krew na rękach. Czy po zbrodni życie może wyglądać tak samo, jak przedtem, zanim to się stało? A może pewnego dnia obudzę się z myślą, że właściwie nie czuję nic? Kiedy działam, strzelam, a nawet wtedy, gdy widzę tryskającą krew i powyginane od kul ciała, nie myślę o swoich ofiarach. To wrogowie i koniec. Ale wieczorami, gdy zasypiam, te obrazy powracają do mnie. Szukałem wtedy ukojenia w ramionach innej kobiety, żeby odpędzić koszmary. Szukałem w niej ciebie. Wiem, że to idiotyczny wykręt. Po prostu cię zdradziłem, ale uwierz mi, ani przez sekundę nie przestałem cię kochać i za tobą tęsknić. Zrobiłem źle. Bo myśl o tym, że ty mogłabyś szukać pocieszenia w ramionach innego mężczyzny, wywołuje u mnie zazdrość i ból. Nie chcę, żebyś cierpiała ani próbowała mnie zrozumieć, po prostu nigdy ci o pewnych sprawach nie powiem. Czy to będzie uczciwe? Nie będzie, ale tak samo nie będzie uczciwe obciążanie cię sprawami, przez które zrobiłem ci świństwo. Haniu, czy to kiedyś się skończy? A może przyjdzie dzień, że już nie będę czuł tęsknoty?”.

Igor Łyszkin snuł rozważania na temat własnego postępowania. Rozpatrywał moralne kwestie sytuacji, których był uczestnikiem, niekiedy mimowolnym. Ale były także momenty, na które nie znajdował usprawiedliwienia. Rozkochał w sobie młodzieńką Marinę, która przez niego zginęła. Zdradził Hanę, chociaż była miłością jego życia. Dlaczego to wszystko było takie trudne? Zachowanie prostego kręgosłupa w obliczu spraw, które go naginały, by potem złamać.

W końcu zasnął, przepełniony wyrzutami sumienia i żalu do siebie samego. Wiedział jednak, że obudzi się następnego dnia i jak pies myśliwski podąży we właściwe miejsce, by próbować ratować honor swojego kraju. I tak będzie

aż do chwili, gdy kolejny raz wyłonią się demony, by przypomnieć mu o sprawach, o których myśleć nie chciał.

Hania powiedziała mu kiedyś, że najmocniej raniły osoby, które najbardziej kochamy. To nie była prawda. Najsilniej raniły tych, którzy kochają nas.

33. Warszawa, 1942

– Jak dobrze, że zechciałaś zmienić Anielcię. Sama nie dałabym rady. Dziś wiesz, że musimy wywieźć szczepionki i środki dezynfekcyjne, a mamy zabrać ze sobą odpady medyczne. Tylko że zamiast nich wywieziemy jednego niemowlaka. Ale najpierw spróbujemy przeprowadzić trochę starszego chłopca, bo nie wiem, czy uda nam się ukryć go na samochodzie. Ma trzy lata i jest trochę niesforny – powiedziała Teresa, gdy zmierzały w kierunku Referatu, gdzie czekała na nie ciężarówka.

– Wiesz, nigdy nie byłam tam, za murem – powiedziała cicho Alicja.

Gdy Aniela Drobniak złapała tyfus, Alicja zaproponowała, że ją zastąpi, właściwie bez głębszego zastanowienia. Załatwiono jej stosowne dokumenty i w trzy dni po podjęciu decyzji mogła ruszyć wraz z Teresą na teren getta. Nie tylko po to, żeby oficjalnie zajmować się chorymi i zakażonymi, ale miała także pomóc w wywiezieniu dzieci, co czyniły pielęgniarki z Referatu Pomocy Otwartej. Teraz jednak, gdy zmierzała do pracy, nadszedł moment refleksji i miała nogi jak z waty. Do tej pory nie była w tym miejscu, o którym opowiadano tak straszne rzeczy, że aż trudno było w to uwierzyć. I w dodatku, podobnie jak Teresa, ryzykowała życiem. Nigdy nie zastanawiała się, czy jest zdolna do heroicznych czynów, zawsze działała spontanicznie, nie myśląc ani o konsekwencjach, ani o swoich bohaterstwie. Jedynie gdy była w ciąży, kalkulowała i rozważała ryzyko. I cóż z tego, jeśli właśnie wtedy doszło do najgorszego.

Czuła lęk. Nie przed tym, że może zostać złapana czy zamordowana. Tego typu obawy wyparła z umysłu i postanowiła, że nie będzie o nich myśleć, bo zwariuje. Ale tym razem jej lęki dotyczyły tego, co zobaczy. Nie chodziło o leżące pod ścianami trupy czy chodzące wygłodniałe szkielety, ale o ludzkie tragedie rozgrywające się w chwili, gdy oddają własne dzieci pod opiekę obcych ludzi ze świadomością, że być może już nigdy nie przytulą swojej córki czy syna. Teresa wiele razy miała łzy w oczach, gdy opowiadała o tych rozdzierających duszę scenach pożegnań. A Teresa była twardą dziewczyną, więc jeśli ona chwilami nie umiała sobie z tym poradzić, musiał być to widok przerażający.

Dotarli do szlabanu. Kontrolujący żołnierz był znudzony, a może zmęczony, bo ledwie omiół wzrokiem dokumenty, równie niemrawo podniósł plandekę samochodu, po czym dał znak ręką, żeby jechać dalej.

Alicja wpatrywała się w ponure ulice pełne ludzi ubranych w łachmany, ze wzrokiem pustym i jakby nieobecny. Gdzieniedzie dostrzegła leżących na chodniku. Nie wiedziała, czy byli w agonii, czy już umarli, ale ci, co ich mijali, zdawali się nie zauważać leżących tuż obok ciał. Z okien samochodu Alicji zdawało się, że ogląda jakiś ponury film, bo ta okrutna rzeczywistość po prostu do niej nie docierała.

Podjechali przed punkt medyczny i wraz z Teresą rozpoczęły szczepienia dzieci. Nie były w stanie rozczulać się nad każdym z nich, one podchodziły i odchodziły. Niektóre głośno płakały, inne były kompletnie otepiały, jakby nic je nie obchodziło. Gdy skończyły swoje zajęcia, Teresa powiedziała z westchnieniem:

– Teraz idziemy do Anielewiczów.

Przeszły piechotą kilka przecznic i dotarły do jednej z szarych kamienic. Weszły na drugie piętro i zapukały do drzwi pomalowanych na paskudny zielony kolor. Zastukały zaśniedziałą i nieco staroświecką kołatką i chwilę później stanęły w progu dużego pokoju z wysokim sufitem i zwisającym z niego ogromnym żyrandolem kontrastującym z dość lichym umeblowaniem. Wokół solidnego okrągłego stołu siedziało osiem osób w różnym wieku. Wielopokoleniowa rodzina, której historia i dziedzictwo mogły zakończyć się w tym miejscu. Na stole nie stało nic, oprócz świecznika. Nie było co stawiać, chyba że pustą zastawę. Nie było także czego celebrować, bowiem każdy dzień mógł być ostatnim.

– Jesteśmy – westchnęła Teresa, byle powiedzieć cokolwiek.

Powitanie w stylu „dzień dobry” wydawało się w tym pokoju jakby nie na miejscu. Dni tutaj już od dawna nie były dobre.

Młoda kobieta podeszła powoli do Teresy i rzekła:

– Mój ojciec nie zgadza się.

– Panie Anielewicz, co się stało? – zatrwożyła się Teresa.

– Jesteśmy żydami, a wy chrześcijanami. Moje wnuki trafią do takich rodzin i będą nawracane na waszą wiarę. A do tego nie możemy dopuścić, bez względu na intencje – oświadczył stary Anielewicz.

– Nasza organizacja skupia także ateistów, a nawet trafiają prawosławni czy żydzi. W obliczu takiej tragedii to chyba bez znaczenia. Te dzieci kiedyś dowiedzą się, kim są i skąd pochodzą, wtedy same zdecydują. Nie wywozimy tych dzieci, żeby zyskać nowych wyznawców, ale żeby ratować ludzkie życie – jęknęła Teresa, ale nie była specjalnie zdziwiona, ponieważ już niejednen

raz spotkała się z podobnymi wątpliwościami.

– Rabin mówił... – zaczął Anielewicz, ale jego córka nie dała mu skończyć.

– Więc niech rabin uratuje moje dzieci! – prawie krzyknęła młoda kobieta. Miała blade oblicze i długie ciemne włosy zaplecione w gruby warkocz.

Starszy człowiek myślał przez chwilę. W tym czasie w pokoju zapanowała niemal grobowa cisza, przerywana głośnym tykaniem zegara. Nawet niesforny dotychczas chłopczyk zamilkł, wpatrując się w swojego dziadka, chociaż nie miał pojęcia, że właśnie ważą się jego przyszłe losy. Najmłodsze dziecko zaś spało błogim snem, od czasu do czasu wzdychając i być może śniąc o powrocie w bezpieczne ramiona matki.

– Boże mój... – jęknął starzec, zakrył twarz rękoma i załkał: – Boże, dlaczego nas skazujesz na takie rzeczy...?

Kobieta w warkoczu, matka dwójki dzieci, które za chwilę miała oddać w ręce Alicji i Teresy, podeszła do mężczyzny i przytuliła go do siebie.

– Tato... nie płacz. One mają szansę, my już nie. Niech żyją, niech nie chodzą głodne, niech będą szczęśliwe – pocieszała go.

– Dobrze – powiedział w końcu cicho. – Niech je zabiorą. Masz rację, córeczko. Niech one mają szansę...

Kobieta podeszła do maleństwa w łóżeczku, wyjęła je i mocno przytuliła. Przełknęła ślinę, jakby powstrzymywała się ostatkiem sił, aby nie wybuchnąć szlochem. Potem podała dziecko Teresie.

– A co będzie, jeśli zaczniesz płakać? – zapytała.

– Musimy je na trochę uspić luminalem. Proszę się nie martwić, po takiej dawce nic mu nie będzie – powiedziała pocieszająco Teresa.

– Ma na imię Rebeka. Rebeka Mojzesowicz. Wiem, że teraz będzie nazywała się inaczej, ale chciałabym, żeby kiedyś dowiedziała się, kim naprawdę była – powiedziała cicho kobieta.

– Dowie się. Nasza Irenka bardzo skrupulatnie spisuje prawdziwe dane dzieci, aby kiedyś mogły poznać swoje korzenie. A może tak się stanie, że sami im o tym powiecie – odpowiedziała ze spokojem Alicja, chcąc pozostać w tych ludziach odrobinę nadziei.

– Dziękuję. A teraz chciałabym pożegnać się z synkiem. Jemu będzie najciężej. Ma już prawie cztery lata i dopiero cztery... Dawidku, chodź do mamusi, muszę ci coś powiedzieć – zwróciła się do syna.

Chłopczyk był prześlizgnięty. Miał kędzierzawe jasne włosy i ciemne duże oczy, które patrzyły z przerażeniem na obce kobiety, jakby przeczuwał, że za

chwilę wydarzy się coś nieprzyjemnego. Podeszedł powoli do matki i złapał ją za spódnicę, mocno zaciskając piąstki. Ta kucnęła przy nim i powiedziała w jidysz:

– Dawidku, mamusia bardzo cię kocha i zawsze będzie cię kochać. Rozumiesz?

Chłopczyk pokiwał głową.

– A teraz powiedz po polsku paciorek, tak jak cię uczyłam.

– Aniele Boze, stłózu mój, ty zawse psy mnie stój... – wydeklamował niezbyt wyraźnie chłopczyk, po czym przeżegnał się tak, jak robią to chrześcijanie.

– Ta pani... – Wskazała na Alicję, ponieważ Dawid widział ją po raz pierwszy i nie kojarzył z lekarstwami, jakie przynosiła Teresa pielęgniarka. – ...to twoja nowa ciocia, zaopiekuje się tobą i zabierze w ładne miejsce. Tylko obiecaj mamie, że będziesz grzeczny i będziesz słuchał się cioci, dobrze?

– A mama? – zapytał, wykrzywiając usta w podkówkę.

– Mamusia musi zostać i zaopiekować się dziadkiem i ciocią Rabe. – Głos kobiety z każdym wypowiedzianym słowem robił się coraz bardziej drżący.

– Ja nie chcę iść – upierało się dziecko.

Alicja patrzyła na tę okropną scenę i coś ścisnęło ją za serce. Ona nigdy nie poznała swojego dziecka, a jednak tak trudno było jej pogodzić się z jego utratą. Tymczasem widziała moment, w którym matka rozstawała się ze swoim ukochanym synem, by ratować mu życie. Wyobraziła sobie, jakie piekło będzie przeżywała ta kobieta, gdy one wyjdą z Dawidkiem, a ona zostanie z ogromną pustką w duszy. Nie było chyba większego poświęcenia i miłości. Nawet oddanie za kogoś życia musiało być w takim przypadku łatwiejsze, bo kończyło cierpienie. Tymczasem ta kobieta, która niedawno straciła męża, znajdzie się w piekle na ziemi, dopóki nieuchronny los nie zabierze jej z tego świata.

Alicja podeszła do dziecka i kucnęła obok jego matki.

– Mam na imię Aldona i jestem twoją ciocią. Nie bój się mnie. – Wyciągnęła ręce w kierunku chłopca.

Ten jednak odwrócił się, naburmuszony, i powiedział stanowczo:

– Nie chcę. Ja chcę być z mamą.

Teresa podeszła do nich i szepnęła do kobiety:

– Jeśli nawet podamy mu luminal, nie damy rady przenieść go do samochodu i ukryć. Alicja miała z nim przejść na drugą stronę przez gmach sądu. Nie wiem, co robić, nie mamy wiele czasu.

– Dawidku, mama niedługo do ciebie przyjedzie. – Skłamała, ale wiedziała, że to jedyna możliwość, aby jej synek bez oporu zgodził się opuścić mieszkanie Anielewiczów.

Po kilku minutach negocjacji chłopczyk wsunął drobną rączkę w dłoń Alicji i oboje wyszli na klatkę schodową. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, usłyszeli rozzwierający szloch kobiety, która przez cały czas zdawała się opamięniona i pogodzona z losem. Alicja przypomniała sobie pewną scenę sprzed dwóch lat, gdy obie z Hanką pojechały w okolice Tomaryn, by odebrać Nadie z rąk Ireny „Wariatki”. Ale teraz nie mogły wrócić po zrozpaczoną matkę, by zabrać ją ze sobą. Ryzyko było zbyt wielkie, wtedy mogły zginąć także jej dzieci.

Najszybciej jak to tylko możliwe zeszły na dół, by chłopczyk nie skojarzył płaczu ze swoją matką. Zapewne nigdy nie pozwalała sobie przy nim na podobne chwile słabości, łkając jedynie w chwilach, gdy była sama.

Przed budynkiem stała już furgonetka. Teresa szybko podniosła plandekę, po czym przysunęła drewnianą skrzynkę, w której przywiozły fiolki z lekami i strzykawkę, po czym włożyła do środka uspięte niemowlę. Skrzynka była wyłożona watą, by zapobiec potłuczeniu się szklanych buteleczek, okryła nią dziecko i zasunęła wieko. Pożegnała się z Alicją i odjechała.

– Spokojnie, Dawidku, teraz pójdziemy do takiego dużego budynku. Nazywa się sąd i jest tam bardzo dużo ludzi – powiedziała Alicja ze spokojem do chłopczyka, chociaż nie była ani trochę spokojna.

Gdy odjechała jej kompanka i przyjaciółka, poczuła się nieswojo. Nie znała dobrze getta, drogę z kamienicy Anielewiczów do gmachu sądu przebyła zaledwie raz, nie miała także pojęcia, co robi, jeśli natknie się na jakichś wścibskich strażników.

I jakby przeczucie jej nie myliło, bo nagle ujrzała nadjeżdżające ciężarówki z żołnierzami i tłum ludzi zmierzający w ich kierunku, ponaglany przez żydowskich porządkowych. W panice skręciła na najbliższe podwórze i skryła się za załomem budynku, by obserwować ulicę. Nie miała pojęcia, kiedy to się skończy i czy przypadkiem żołnierze nie zechcą zajrzeć na posesję, by wypędzić z niej ukrywających się ludzi. Serce waliło jej jak oszalałe, a krople potu zrosiły czoło. Puściła na chwilę dłoń Dawidka i wytarła moką twarz. Tę chwilę nieuwagi wykorzystał niecierpliwy chłopczyk i pognął wprost w światło bramy.

Nie myślała w tym momencie nic, zadziałał u niej instynkt i nie zważając na

nic, pobiegła za dzieckiem. Stojący na ulicy żołnierz zobaczył ich i zaczął krzyczeć:

– Stać! Ręce do góry!

Ale Alicja zdawała się tego nie słyszeć. Chwyciła chłopczyka na ręce i zaczęła biec z powrotem w stronę podwórza. Wpadła do klatki i zaczęła gorączkowo się rozglądać.

W pewnym momencie usłyszała głos:

– Tędy. Do piwnicy. Wyjdziemy inną klatką na drugą stronę kamienicy.

Po chwili zobaczyła chłopaka, miał może ze trzynaście, czternaście lat. W napadzie paniki pomyślała, że już gdzieś widziała tę twarz, a może to było tylko złudzenie, że ktoś nad nią czuwał, zsyłając anioła w postaci małych chłopców.

W piwnicy było ciemno i śmierdziało stęchlizną. Dawidek zaczął łkać, ale Alicja nie zważała na to, niosąc go rękach. Czuła, że za chwilę opadnie z sił, ale obawiała się, że gdy tylko postawi go na ziemi, ten rozpłacze się na dobre. Ręce jej mdlały, a droga piwnicznymi korytarzami zdawała się nie mieć końca. Jednak to było jedynie złudzenie, bo chwilę potem znaleźli się na cichej uliczce, rozświetlonej zachodzącym słońcem.

– Niech cię Bóg błogosławi, chłopcze – wysapała Alicja i oparła się o ścianę budynku, wyczerpana bardziej strachem aniżeli wysiłkiem.

– Pani to chyba nie stąd? – zagadnął chłopak.

– Nie, jestem pielęgniarzką, ale nie chciałam, żeby go zwinęli do transportu. – Wskazała na Dawidka.

– Chce go pani zabrać na aryjską stronę?

Alicja zawahała się. Ten dzieciak, chociaż im pomógł, był jednak obcy. I nie wyglądał na zagłodzonego i wycieńczonego.

– Muszę dostać się do budynku sądu – powiedziała.

Chłopak popatrzył na nią, zdziwiony.

– Nie chce pani przejść na aryjską stronę z tym maluchem? Bo jakby pani chciała, to ja znam wyjście. Pani to nie przelezie, ale małego mogę zabrać.

– Jak ty przeleziesz, to i ja bym dała radę – mruknęła.

– Z przeproszeniem, ale pani trochę za gruba jest – wytknął jej. – I nie da rady.

– A jeśli wziąłbyś go, to gdzie byśmy się spotkali? – Alicja wciąż była podejrzliwa.

– Po drugiej stronie Chłodnej jest taka zrujnowana kamienica. Tam będę cze-

kał. A co z nim będzie? Do pryjuta pójdzie? – dopytywał się chłopak.

– Nie. Będzie miał normalną rodzinę – powiedziała cicho Alicja, coraz bardziej zdecydowana na skorzystanie z pomocy chłopaka.

– A jeszcze jednemu takiemu dzieciakowi, też by pani dała radę nową rodzinę skołować?

– Da się zrobić. – Uśmiechnęła się i dodała: – Słuchaj, nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że ja cię skądś znam.

– Pewnie dlatego, że często się tu kręcę. Wołają na mnie Szymek.

– Nie... Nie stąd. Dzisiaj jestem tu pierwszy raz... Ale może mi się tylko tak wydawało. Chodźmy już.

Dotarli do jednej z kamienic i Alicja, pełna niepewności, patrzyła, jak obcy jej chłopak wchodzi z Dawidkiem do budynku. Nie wiedziała, dlaczego powierzyła dziecko Szymkowi, uznając, że będzie to bezpieczniejsze rozwiązanie niż pałętanie się po sądzie i przechodzenie podziemiem na aryjską stronę. W istocie czuła, że zna go skądś i to uczucie nie opuszczało jej ani przez chwilę. Co ważniejsze, miała wrażenie, że już kiedyś uczynił dla niej coś dobrego.

Szybkim krokiem, chwilami nawet biegnąc, dotarła do szlabanu. Zwolniła i uspokoiła oddech. Wciąż jednak była zdenerwowana. Nie podarowałyby sobie, gdyby małemu Dawidkowi coś się stało. Podała strażnikowi przepustkę. Ten oddał ją szybko, jakby nie chcąc się zarazić poprzez papier tyfusem, wiadomo było bowiem, że polskie pielęgniarki spędzają swój czas w getcie z zakażonymi i chorymi.

Po drugiej stronie, już nie zważając na nic, pobiegła w kierunku wskazanym przez Szymka i w końcu dotarła do zrujnowanej kamienicy. Weszła do wnętrza i zaczęła rozglądać się nerwowo, bo nie miała pojęcia, gdzie w tych ruinach mogłoby być przejście na drugą stronę. Odmierzając bez mała sekundy, w końcu usłyszała dźwięk odsuwanej gipsowej płyty i wynurzyli się z niej zakurzeni chłopcy. Dawidek miał uszczęśliwioną minę, jakby przeżył właśnie niesamowitą przygodę.

– Nie płakał? – zdziwiła się Alicja.

– Powiedziałem mu, że idziemy przez lochy czarodziejskiego zamku. Bardzo mu się to spodobało. – Szymek wyszczerzył zęby.

– Masz podejście do dzieci – z uznaniem stwierdziła Alicja.

– Opiekuję się czasami takim mniejszym dzieciakiem. Jest dla mnie prawie jak brat, ale on to jeszcze niegramotny i nie bardzo rozumie, co mu nawijam. – Roześmiał się i dodał: – Pamięta pani o mojej prośbie?

– Oczywiście, spotkamy się pojutrze i podasz mi adres tych ludzi. Tylko... – Zawahała się. – ...czasami mimo zagrożenia rodzice nie chcą oddać swoich dzieci.

– Jego matka i siostra nie żyją, a ojciec już nawet z barłogu nie wstaje – westchnął Szymek. – Jak pani dobrze pogada, to się zgodzi pewnikiem.

– Dobrze, Szymek, uratujemy twojego znajomego. – Alicja poklepała chłopaka po ramieniu.

– To nie jest mój znajomy, ale lubiłem jego siostrę. „Szmata” ją zastrzelił, pierdolony cwel – ze złością powiedział Szymek.

Alicja odruchowo zasłoniła uszy Dawidkowi.

– Nie przeklinaj – zrugła go.

– Kiedy się nie da... Czasami się nie da, pani ładna – westchnął Szymek, po czym pożegnał się i pobiegł w stronę przystanku tramwajowego.

Alicja wzięła za rękę Dawidka i zastanawiała się, co zrobić z malcem. Był przestraszony i nieufny. Nie miała pojęcia, jak zareaguje, gdy zostawi go w przechodnim domu Marii i Eleonory. Zamiast więc do ich kamienicy skierowała swoje kroki do znajomej parafii i księdza, który pomagał organizacji.

– Niech będzie pochwalony, księżu proboszczu. – Alicja dygnęła jak pensjonarka z przyklasztornej szkoły.

– Na wieki wieków, panno Aldono.

Alicja uśmiechnęła się.

– Potrzebuję metrykę dla tego kawalera.

Ksiądz popatrzył na dziecko i powiedział:

– Nie wygląda na Żyda.

– Ale nim jest, proszę księdza.

Pokiwał głową i otworzył przepastną księgę, po czym wyciągnął z szuflady blankiet i zanurzył pióro w kałamarzu.

– Wystarczy taka, czy mam poszukać kogoś w księdze zgonów? – zapytał.

– Wystarczy... – szepnęła Alicja i zerknęła na Dawidka.

Nie miała pojęcia, co miał w sobie ten dzieciak, ale wiedziała, że nie będzie w stanie tak po prostu się z nim rozstać, jak z wieloma innymi, których widywała do tej pory. Teraz siedział grzecznie na krzeselku, machał nóżkami i rozglądał się ciekawie po zakrystii, gdzie stały ciemne, bogato rzeźbione szafy z ornatami i komzami, a na ścianach wisiały obrazy przedstawiające Ostatnią Wieczerzę i ukrzyżowanego Jezusa, któremu spod cierniowej korony spływały po twarzy krople krwi.

– Proszę podać dane – powiedział ksiądz.

Tak jak wiele razy w swoim życiu i tym razem Alicja zadziałała pod wpływem impulsu.

– Mateusz... Rosiński. Urodzony w Warszawie, dwudziestego czwartego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku – wyrecytowała.

Kiedy ksiądz wpisywał do metryki dane, w pomieszczeniu zapanowała cisza, przerywana cichym skrobaniem pióra po papierze. Alicja pomyślała, że właśnie przypieczętowała los dwojga ludzi. Swój i małego Dawidka, który od tej pory będzie jej dzieckiem i ukochanym synkiem. Wiedziała, że pokocha tego malca równie mocno, jak gdyby sama wydała go z łona. Kiedyś sądziła, że mogłaby zaakceptować jedynie własne dziecko i to tylko wówczas, gdyby spłodziła je z ukochanych mężczyzn, ale w tym dniu zrozumiała, że nie zawsze więzy krwi decydują o rodzicielskich uczuciach. Pomyślała, nie wie dzieć czemu, o Emilu Lewinie. Płynęła w nim krew Antoniego Chełmickiego, a jednak nie był nigdy kochany przez swojego ojca. Tak jak ona.

34. Magnuszew, 1942

– Ale jakże to tak? Hanka, ja wiem, że kawał francy ze mnie, ale ty jak siostra dla mnie jesteś. I matka w jednym. A ty tak teraz... – Irena „Wariatka” była zdruzgotana informacjami o przeprowadzce przyjaciółki.

– Irena, ja muszę. Zostałabym w Magnuszewie, ale zrozum, nie mogę. Jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć mnie i dzieci, to muszę się stąd wynieść. – Hanka próbowała tłumaczyć niby proste rzeczy, ale dla Ireny to nie było takie łatwe do zaakceptowania.

– To czemu mi nie chcesz powiedzieć, gdzie będziesz mieszkać? Boś zła na mnie. – „Wariatka” zaczęła chlipać.

– Irenka, to dla twojego bezpieczeństwa. Ale będę niedaleko i będziemy mogły się widywać – ugięła się Hanka. – Pamiętasz to miejsce nad rzeką, koło takiego zagajnika, co to tyle tam piachu się naniosło? Co sobotę będę tam z dziećciakami przychodzić, nawet jak słota będzie.

– Bo ty myślisz, że jak mnie Niemcy w obroty wezmą, to ja zakapuję. A ja to bym prędzej zdechła, niżbym miała cię na pastwę szwabów wydać – zarzekała się Irena, szlochając i waląc się ogromną pięścią w pierś.

– Dobrze, Irenka, pomyślę i jak już będę wiedziała na pewno, gdzie osiadę, powiem ci – ugodowo zapewniła Hanka, głaskając Irenę po głowie. Po chwili dodała, żeby uspokoić kobietę jeszcze bardziej: – Co było, to było, Irena, ale ty też jesteś dla mnie jak rodzina i nie mogłabym się długo na ciebie gniewać.

„Wariatka” uspokoiła się nieco i powiedziała:

– Pomogę ci się pakować. I załaduję to na furmankę.

Uspokajanie Ireny pozwoliło Hance zapomnieć o kolejnej niewiadomej, która ją czekała. Magnuszew był jej domem, znała tutaj każdy kąt i ludzi, którzy, chociaż ostatnio jej nieprzychylni, stanowili część jej życia. Wiedziała, że plotkowali i niekiedy spode łba na nią zerkali, ale gdyby działa jej się krzywda, zapewne wielu z nich przybyłoby z pomocą. Tymczasem miała przenieść się do chaty znajdującej się na niemal kompletnym odludziu i żyć w niej z dwójką małych dzieci, jak niegdyś Irena „Wariatka” w leśnej szopie ukrytej w głębokim mazowieckim lesie. Wiedziała, że będzie zdana jedynie na siebie, bo nawet Hermann Ritz niebawem wyjedzie do Zamościa i nie będzie jej odwiedzał. To odludne miejsce nie tylko było ponure i smutne, ale będzie musiała uważać na wilki i lisy, niekiedy podchodzące blisko takich domostw, by załować na kurczęta i inne zwierzęta gospodarskie. Nie miała jednak wyboru,

jeśli jeszcze kiedyś chciała zaznać normalnego życia.

To była tak przygnębiająca sytuacja, że nawet romantyczna miłość do Igora Łyszki zdawała się nieważna w obliczu tak prozaicznych spraw. Gdyby nagle jakaś tajemnicza siła zesłała jej hrabiego Niechowskiego, a ten chciałby zabrać ją do Anglii, nie zawahałaby się ani przez chwilę. Pragnienie bezpieczeństwa i spokoju było w tej chwili ważniejszy niż miłosne uniesienia. Po prostu w tym momencie nie miała siły kochać i marzyć, gdy jej życie kolejny raz waliło się w gruzy. Jedyne jej siłą były dzieci, bo wiedziała, że mają tylko ją.

W czasie, gdy Hanka omiatała izby, by zdać domostwo właścicielowi, Irena zniknęła na godzinę, uprzedzając jednak Hankę, aby ta nie wyjeżdżała, zanim nie powróci. Lewinówna nie chciała się zastanawiać na tym, co tym razem wymyśliła „Wariatka”, bo była zbyt mocno zajęta własnym nieszczęściem. Wkrótce jednak jej przyjaciółka powróciła, prowadząc na smyczy ogromnego psa, którego rasa nie przypominała Hance żadnej jej znanej.

– Pamiętasz go? – zapytała Irena.

– Nie... – bąknęła Hanka.

– To nasz Ziutek. Kazik go przyniósł, jak mu zdechł Azor, taki był jak futrzana kulka, a teraz to się z niego mały byczek zrobił. – Irena uśmiechnęła się i dodała, poważniejąc: – To dobry pies i jak trzeba, to pół tyłka wygryzie. Weź go ze sobą.

– A mnie nie wygryzie? – zapytała Hanka, nieco przerażona zarówno wielkością zwierzęcia, jak i jego agresywnym charakterem.

– Daj mu co zezreć i bądź miła dla niego, to cię nie capnie – ze spokojem zapewniła Irena.

– Od razu mi lepiej – z sarkazmem powiedziała Hanka.

Wyciągnęła rękę w kierunku Ziutka, który momentalnie wyszczerzył zęby.

– Ziutek, durniu ty, to swój – zrugła go Irena i odrzekła beztrząsco: – Przyzwyczaisz się.

– Irka, nie dość, że Niemcy na mnie polują, to jeszcze własny pies ma się na mnie zasadzać? – jęknęła Lewinówna, obawiając się, że pies może zrobić krzywdę nie tylko jej, ale także dzieciom.

Tymczasem Nadia podeszła do psiaka i zaczęła ciągnąć go za ogon. Ten nie wykazywał ani odrobiny agresji, liżąc ogromnym jęzorem twarz dziewczynki.

– Znają się. Jak zabierałam Nadie, to do budy mu wchodziła i tam siedziała z nim. – Irena wzruszyła ramionami.

Hanka przeżegnała się.

– Na miłość boską, Irenka, tyś puściła dziecko do tego potwora?

– Nie mów tak o Ziutku. On najmądrzejszy jest ze wszystkich. Będzie bronił ciebie i dzieci, choćby nawet mu kosą łeb ucieli. – Irena była nieprzejednana.

Hanka pomyślała przez chwilę, nie zważając na owo dziwne porównanie. W istocie, gdy już uda jej się zaprzyjaźnić z Ziułkiem, poczuje się nieco bezpiecznej na tym odludziu. Już sam jego wygląd mógł odstraszyć potencjalne osoby nastające na ich dom. Obawiała się jednak, czy pies zaakceptuje nową panią.

– Ale on bez ciebie to nie rzuci się na mnie?

Irena kucnęła przy Ziutku, chwyciła go za ogromny pysk i zaczęła do niego przemawiać, jak do człowieka.

– Ziułek, kocham cię, ale teraz musisz iść do Hanki. Musisz być grzeczny dla niej i dzieci, ale jak kto obcy przyjdzie, to mu dupę wygryź, jak temu pijakowi Pulińskiemu, co to potem miesiąc na tyłku nie mógł siedzieć. I pamiętaj, jak mi Hanka naskarzy, żeś nieposłuchany, to będę się na ciebie bardzo gniewać.

– Co ty, Irka, do psa gadasz, jak to dzieciaka? – prychnęła Hanka.

– On rozumie, ja ci to mówię – stanowczo odpowiedziała Irena.

Lewinówna westchnęła, podeszła do cynowej miski i wyciągnęła z niej pożądaną kość, na której zamierzała ugotować zupę na nowym gospodarstwie. Podała psu, a potem jakby niepewnie pogłaskała go po sztywnej, ciemnej sierści. Ziułek popatrzył na nią i Hanka wiedziała już, że nawiązali ze sobą nic porozumienia. Nie miała jednak pojęcia, czy sprawiła to dorodna kość, czy słowa skierowane do niego przez Irenę.

Pod wieczór, gdy zachodzące słońce spowiło niebo różową poświatą, Hanka wyruszyła z dziećmi, dobytkiem, nowym przyjacielem Ziułkiem i przywiązaną do furmanki krową na spotkanie niewiadomego. Nie pożegnała się z nikim, oprócz Ireny i właściciela domostwa, któremu przekazała klucze i który to użyczył jej konia i wóz, aby mogła przewieźć swoje rzeczy. Miała oddać go następnego dnia Irena, z którą umówiła się na polnej drodze wiodącej nad rzekę.

Tego dnia jednak nie zadomowiła się w nowym miejscu. Wypakowała jedynie rzeczy, nakarmiła zwierzęta i dzieci, i półżywa usiadła na krześle, obserwując izbę w mdłym świetle naftowej lampy. Myślała o ludziach, którzy niedługo tu mieszkali, skromnie, ale widać było, że dbali o swoje małe gospodarstwo. Była samotna i zmęczona, a jedynym jej towarzyszem tego wieczoru był Ziułek, który ułożył się tuż przy jej nogach w całej swojej krasie jakichś sześć-

dziesięciu kilogramów. Nie chciała myśleć, czy będzie tutaj wystarczająco bezpieczna, najbardziej obawiała się samotnych wieczorów, gdy nie będzie mogła liczyć nawet na towarzystwo Hermanna Ritza. Nie mogła także powiedzieć Irenie, gdzie mieszka, bo obawiała się, że ta wiedza może zgubić jej przyjaciółkę.

Następnego dnia rozpakowała rzeczy, przymocowała do niewielkiego okienka fantazyjną zazdrostkę, postawiła na parapecie doniczkę z prymulką i położyła na stole kolorowy obrus w kwiaty. Wyszorowała podłogi, wytarła z kurzu sprzęty i ugotowała na węglowej kuchni zupę. I wtedy pomyślała, że jej nowe lokum zrobiło się całkiem przyjemne, dzięki ozdobnym drobiazgom i wypełnione zapachem jedzenia wydobywającym się z parujących garnków. Nadia także zaakceptowała zmianę, uradowana z faktu, że towarzyszy im Ziutek, którego uwielbiała nad wyraz. Tak bardzo, że przez kolejne kilka dni nawet nie zapytała o Irenę, do której była przywiązana równie mocno, co do Hanki.

Wieczorami podjeżdżał pod jej ganek Ritz, chcąc spędzić z nią ostatnie chwile swojego pobytu w Magnuszewie. I za każdym razem wkraczał do chaty z naręczem potrzebnych i mniej potrzebnych sprzętów. Dostała od niego nowe wiadro i łańcuch do żurawia studni, elegancką miotłę i żeliwne garnki. Kolejnym razem obdarował ją kompletem pościeli, a innym wręczył kraciasty, ciepły pled, by mogła wieczorami otulić się nim. Ostatniego dnia przywiózł jej elegancki, prawie nowy fotel z wysokim wezglowiem, który na tle jej skromnych mebli prezentował się prawie po królewsku.

– Hermann, dajże już spokój. Tyle rzeczy mi podarowałeś, a teraz jeszcze i to... – powiedziała z jednej strony wdzięczna, z drugiej nieco skrępowana sytuacją Hanka.

– W Magnuszewie mogłem ci dać tylko to, co mieściło się w kieszeniach, żeby ludzie nie gadali, ale teraz... teraz mogę dać ci to wszystko, czego ci brakowało. – Uśmiechnął się do niej ciepło.

– Ale skąd wiedziałeś, że garnki już mam marne, a miotłę wybrakowaną? – Puściła do niego oko.

– Obserwowałem cię. Gdy cerowałaś pościel i gdy martwiłaś się, że myszy wyjadły ci dziury w kocu. Patrzyłem, jak robiłaś z drutu ucho do sagana, a niekiedy ucinając sobie drzemkę, siedząc na twardym krześle. Sprawiało mi przyjemność kompletowanie tych wszystkich rzeczy, bo czułem, jakbym zajmował się własną rodziną. Wiesz, nigdy nie lubiłem tego robić i utyskiwałem za każdym razem, gdy moja żona informowała mnie o popsutych drzwiczkach pieca,

urwanej przy kredensie kłamce czy poźółkłej firanie w salonie. A teraz... te proste problemy wydają się tak drogie mojemu sercu i wiele bym dał, żeby borykać się z nimi na co dzień. Bo miałem swoje dzieciaki tuż obok i miłą żonę, na którą mogłem liczyć – powiedział z westchnieniem.

– Tak, jakie to życie bywa inne, niż myślimy. Jestem pewna, że gdyby ktoś zobaczył te wszystkie podarunki, pomyślałby, że mnie adorujesz. Nawet ja, gdybym cię nie znała i nie wiedziała, jakim głębokim uczuciem darzysz swoją kobietę, myślałabym podobnie. Jesteś dobrym człowiekiem i prawdziwym przyjacielem – odpowiedziała Hanka, uśmiechając się.

– I jestem Niemcem... – bąknął.

– Tak, jesteś. Ale, jak widać, to nie kraj, w którym się urodziliśmy, świadczy o naszym człowieczeństwie, ale to, co nosimy w sercu i umyśle. Myślę, że gdyby nie ta cholerna wojna, mieszkańcy Magnuszewa polubiliby cię tak samo, jak ja. Ale gdzieś w tym szaleństwie potrafimy odróżnić wroga jedynie po kolorze munduru. Zaznałam wiele cierpień od Niemców, a jednak wciąż wierzę, że i wśród was trafiają się porządni ludzie – powiedziała ze smutkiem Hanka.

– Ech. – Ritz machnął ręką. – Sądziłem, że żołnierz powinien walczyć na polu bitwy, a nie z normalnymi ludźmi.

– Wszyscy tak myśleliśmy, ale mieszkałam trochę w Warszawie i okazało się, że wojna może wyglądać zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażaliśmy. Dziękuję ci z całego serca za wszystko i mam nadzieję, że w Zamościu poznasz taką drugą Hanke, dzięki której zapomnisz o tęsknocie za domem. – Mówiąc to, miała łzy w oczach.

– Nie wiem, czy już drugi raz odważę się na taką znajomość. Gdybym wiedział, że mieszkańcy niemal cię wyklną, także do ciebie bym się nie zbliżył. Muszę zaakceptować taki stan rzeczy i jedynie mieć nadzieję, że to wszystko się kiedyś skończy, a ja powrócę do swojej rodziny – ze smutkiem odparł Ritz.

Podszedł do Hanki i przygarnął ją mocno do siebie, wtulając twarz w jej włosy i z trudem hamując łzy. Było mu ciężko, ale dzięki Hance świat wydawał mu się znośniejszy, a życie mniej puste. Teraz jednak musiał jechać w kolejne miejsce i co gorsze, coraz dalej od swojego prawdziwego domu.

Po jego odjeździe Hanka usiadła w fotelu, który jej podarował, otuliła się kocem od niego i przymknęła powieki, myśląc o tym, że czasami aniołowie przybierają dziwną postać. Naszych wrogów.

35. Londyn, 1942

Grudniowy wieczór w Londynie w niczym nie przypominał tych, jakie zwykle Julian oglądał w swoim rodzinnym kraju. Pomyślał o tym, że dwa lata temu przy podobnej aurze skakał ze spadochronem i planował swój powrót do kraju, przepełniony nadzieją, że wojna wkrótce dobiegnie końca, a Anglicy i Amerykanie rozprawią się na dobre z Hitlerem. Tymczasem dyplomaci i mężowie stanu po obu stronach oceanu zdawali się Julianowi działać zbyt opieszale, a potyczki Amerykanów na dalekim Pacyfiku z Japończykami nie miały zbyt dużego wpływu na życie Europejczyków w okupowanych krajach. Wciąż jednak żywił nadzieję, że polscy generałowie, w tym ten najważniejszy, zmuszą w końcu Brytyjczyków do bardziej radykalnych działań.

Tymczasem oprócz dokumentów wiezionych jak zawsze dla rządu w Londynie Julian Chełmicki został obarczony arcyważną misją, jaką powierzyli mu polscy Żydzi. Byli zdesperowani i uważali, że alianci i współbracia zza oceanu nie udzielają im pomocy tylko dlatego, że nie mają pojęcia, do czego doprowadziły okrutne rządy Hitlera. Mieli nadzieję, nawet graniczącą z pewnością, iż w obliczu takich informacji, wszyscy ruszą im z pomocą. Jeśli nie działaniami zbrojnymi, to pieniędzmi i dyplomacją. W końcu filmy propagandowe kręcone na potrzeby Międzynarodowego Czerwonego Krzyża okażą się tak samo prawdziwe, jak to, że getta utworzono po to, by ratować polskich Żydów przed antysemityzmem Polaków. Naród wybrany być może w istocie nie był zbyt kochany i akceptowany, ale czymś innym była niechęć, a czymś innym nieludzkie praktyki Niemców.

Julian był bardzo zdenerwowany tą misją. Oprócz apelu Feinera, przedstawiciela polskich Żydów, wiozł także osobiste notatki dotyczące tej sprawy. Opisywał życie w getcie, cytował opowieści świadków, a także informował o obozach zagłady w Oświęcimiu i Treblince. Miał zamiar poruszyć niebo i ziemię, dostać się do samego Churchilla, a nawet do władz Kościoła katolickiego, aby te poinformowały Watykan i Piusa XII. Tak, on, chłopak z Chełmic, zwykły kapitan polskiego wojska, miał zamiar nawiązać kontakt z najważniejszymi ludźmi na świecie. Wiedział, że tylko oni są w stanie zareagować na dziejące się w Polsce okrucieństwa. Sprawy polskiego podziemia, dowództwa AK czy wreszcie coraz bardziej panoszących się w kraju komunistów uznał tym razem za kwestie drugorzędne w obliczu zagłady Żydów i konieczności natychmiastowego podjęcia działań, bo każdy dzień pochłaniał setki ofiar.

Zameldował się w polskim hotelu dla oficjeli na uchodźstwie i chociaż był przeraźliwie zmęczony nużącą drogą, jeszcze długo nie mógł zasnąć. Przeglądał kolejny raz sporządzone przez siebie notatki, wciąż analizując, czy brzmią wystarczająco wiarygodnie i dostatecznie krwawo, by poruszyć sumienia polityków. Miał nadzieję, że Mikołajczyk czy Raczkiewicz pomogą mu dostać się do najważniejszych brytyjskich oficjeli i potraktują sprawę poważnie. Obawiał się jednak, czy będzie wystarczająco przekonujący zarówno w swoich opowieściach, jak i pisemnych raportach.

Kolejny raz przetarł zroszone potem czoło. Było chłodno, zarówno w pokoju, jak i na zewnątrz, ale Chełmickiemu wciąż było gorąco ze zdenerwowania. Wyciągnął następną kartkę z szuflady i chwycił za pióro. Kolejne zdania popłynęły strumieniem na biały papier, a potem następne, aż powstało pięć stron, które Julian dołączył do swojego raportu.

Tej nocy nie zmrzył oka. Rankiem napił się kawy w sali restauracyjnej i rozdygotany ruszył na spotkanie z polskimi władzami. Przekazał zwyczajowe raporty i nie mogąc już wytrzymać, wyrzucił z siebie:

– My musimy coś zrobić, po prostu jesteśmy to winni naszym obywatelom pochodzenia żydowskiego. Polakom też jesteśmy to winni, bo giną w obozach tak samo, jak Żydzi czy Cyganie. Dlaczego wszyscy milczą i udają, że nie dzieje się nic takiego, co mogłoby wstrząsnąć światową opinią publiczną? Co jeszcze trzeba powiedzieć i napisać, żeby ktoś w końcu się obudził?

– Proszę się uspokoić, kapitanie. I proszę zrozumieć, my sami niewiele możemy zrobić, ale myślę, że powinien pan to wszystko opowiedzieć tutejszym Żydom i wysoko postawionym Brytyjczykom. Umożliwimy i zorganizujemy takie spotkania. Ale proszę podejść do tego racjonalnie. Pan, kapitanie, to widział, rozmawiał pan z ludźmi, ci tutaj są daleko od tego i mogą nie odczuć takich emocji jak pan. Politycy brytyjscy czy amerykańscy szukają globalnych rozwiązań, a tak wielkie pieniądze, o jakie prosi Feiner, mogłyby zasilić armię w kilka samolotów, statków podwodnych czy kilkanaście nowoczesnych czołgów. Tutaj myśli się takimi kategoriami, a pojedynczy człowiek niknie w tym wszystkim. Myślę jednak, że społeczność żydowska w tym kraju jest na tyle wpływowa, że wymusi na władzach jakieś działania – uspokajał sytuację minister spraw zagranicznych, Raczyński.

– A nasz rząd? – zapytał drżącym głosem Julian.

– Wystosujemy noty dyplomatyczne do Narodów Zjednoczonych, proszę się nie martwić, nagłośnimy odpowiednio sprawę – dokończył minister.

Tego wieczoru Chełmicki spotkał się jeszcze z dwoma przedstawicielami Rady Narodowej: Szmulem Zygielbojmem i Ignacym Schwarzbartem. Mężczyźni sądzili, że będzie to zwykła dyplomatyczna pogadanka, ale mylili się. Julian Chełmicki ani przez chwilę nie zamierzał być delikatny. I chociaż uczyniono go kurierem właśnie z powodu jego kultury, ogłady i powściągliwości, tym razem nawet w nim te zalety jakby rozplynęły się we mgle.

– To nie jest takie proste – odezwał się Zygielbojm, głośno wzdychając. – Te żądania są wręcz niemożliwe do spełnienia, żeby nie powiedzieć – absurdalne. Jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę Żydów zamieszkujących Polskę, robią się z tego astronomiczne sumy. Nie sądzę, abyśmy byli w stanie tyle zebrać ani wymusić na rządzie Wielkiej Brytanii wyasygnowanie podobnej kwoty.

– Do cholery jasnej, Żydzi w Ameryce mają w rękach banki, ropę i kolej. I nie są w stanie zebrać funduszy na zdychających w cierpieniach współbraci? – zirytował się Chełmicki.

– Panie kapitanie, proszę tak nie mówić. Tutaj liczy się wiarygodność i to, że tak naprawdę opłacając tych niemieckich bydlaków, po prostu zasilimy budżet Trzeciej Rzeszy, a chyba nie to jest naszą intencją – mruknął Szmul.

– To proszę głośno krzyczeć i domagać się rozprawienia się z Hitlerem raz na zawsze – naciskał Julian.

– Rozumiem, że pan chce, żeby Żydzi wygrali dla Polski pokój kosztem naszych braci? – ostro zapytał Zygielbojm.

– Nie przyszedłem do was, żebyście za nas wygrali tę wojnę, ale ktoś musi pomóc Żydom w Polsce – upierał się Chełmicki.

– Jeśli nie pieniądze, które są... niemożliwe do zdobycia, co pan proponuje, kapitanie? – Głos Schwarzbarta był równie lodowaty, co Zygielbojma.

– Nie wiem, niech któryś z was podejmie głodówkę, niech umiera na oczach świata, niech pokaże, jaki jest los milionów... Niech któryś podpali się publicznie i niech ludzie zobaczą, jak płoną ludzie w obozach. To wasi bracia... – rozżłościł się Julian.

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia, jakby Chełmicki był niespełna rozumu. Powiedzieli kilka frazesów, złożyli niewiele znaczące obietnice i nieco zniesmaczeni pożegnali Juliana. Chełmicki wiedział, że niewiele wskórał. Wyrzucał sobie, że może jego raporty nie są zbyt doskonałe, a mikrofilmy ze zdjęciami nieprzekonujące. Postanowił jednak, że się nie podda, dopóki nie wykorzysta wszystkich swoich możliwości.

Zawiedziony, powrócił do swojego pokoju i zasnął wyczerpany, jednak ży-

wiąc nadzieję, że kolejne spotkania przyniosą lepsze efekty.

Siedemnastego grudnia 1942 roku w parlamencie angielskim odczytano deklarację dwunastu państw sprzymierzonych w kwestii odpowiedzialności państwa niemieckiego za zagładę Żydów. Rozeszło się to echem w mediach, przemówienie pojawiło się na pierwszych stronach brytyjskich gazet i cytowano je w BBC. W Juliana wstąpiła nowa nadzieja, zwłaszcza gdy doszło do spotkania z Hieronimem Retingerem, doradcą politycznym samego generała Sikorskiego. Ten przeczytał wnikliwie raport, po czym powiedział:

– Proszę go skrócić i skupić się na najważniejszych sprawach. Politycy po piętnastu minutach przestają słuchać i wówczas może umknąć to, co najważniejsze. Poza tym więcej liczb, zdecydowanie statystyki przemawiają do polityków bardziej aniżeli kwieciste oratoria. Oczywiście, to tylko moja rada, ale zapewniam pana, że mam duże doświadczenie w takich sprawach.

– Nie chodzi mi o przemówienia, tylko o skuteczność. Jeśli twierdzi pan, że to wywoła lepszy efekt, skrócę swoje wypowiedzi i postaram się potraktować sprawę w sposób bardziej ogólny. Chociaż, nie ukrywam, sądziłem, że to właśnie drastyczne szczegóły najbardziej poruszają ludzkie sumienia – mruknął Chełmicki.

– W dyplomacji sumienie znajduje się na dalekim końcu. Już teraz przebąkuje się w angielskim parlamencie, że Polska powinna zacieśnić dobrosąsiedzkie stosunki ze Stalinem i zgodzić się na ustępstwa, by ratować Żydów – ze smutkiem powiedział Retinger.

Było w tym wiele racji, a Chełmicki po raz kolejny przekonał się, że wielka polityka równa się wielkie gówno. Politycy, bezpieczni i najedzeni, rozgrywali swoje potyczki jak partyjkę szachów, przejęci bardziej politycznymi sukcesami i głosami wyborców niż ludzkim losem.

Wkrótce okazało się, że doradca generała zna swoich kolegów po fachu bardzo dobrze. Każda kolejna rozmowa była festiwalem ubolewania, kiwania głowami i słowami poparcia bez konkretnych czynów. Żądania polskich Żydów kwitowano zażenowaniem albo dziwnymi uśmiezkami, jakby były one oderwane od rzeczywistości i równie niemożliwe, co loty międzyplanetarne.

Kolejne posiedzenie brytyjskiego parlamentu zupełnie pozbawiło Juliana złudzeń. Przez chwilę nawet myślał, że śni, gdy jeden z polityków wygłaszał swój spicz na mównicy:

– Żądanie Żydów, abyśmy w odwecie ostrzeliwali i bombardowali niemieckie miasta, źle wpłynie na morale naszych żołnierzy. Nie możemy do tego dopuścić, aby nie byli pewni, czy działają w słusznej sprawie, czyli w obronie własnych obywateli. Poza tym co odpowie na to niemiecka propaganda? Otóż napiszą kolejny raz, że owe naloty są winą Żydów, jak wszystko, co złego wydarzyło się w Europie.

Chełmicki poczuł się pokonany. Uznał też, że wykorzystał wszystkie swoje możliwości i nic więcej nie uda mu się zrobić. Przyjechał do Londynu taki dumny, że będzie wybawcą narodu żydowskiego, emisariuszem i świadkiem historii, gdy tymczasem został potraktowany tak samo, jak Polska w 1939 roku, gdy padały deklaracje i obietnice, i na tym się skończyło. Poczuł, bardziej nawet niż wówczas, że los jego ojczyzny i jej mieszkańców nikogo nie obchodzi, a polskie władze są bezradne i zdane na łaskę wielkich tego świata.

Siedząc w pociągu zmierzającym w kierunku Warszawy, z dokumentami polskiego folksdojczy, inżyniera pracującego ku chwale III Rzeszy, czuł się bezsilny i ogromnie zawiedziony. Sądził, że gdy dziennikarze, politycy czy pisarze usłyszą, co ma im do powiedzenia, nagle świat się ocknie i ruszy z pomocą unicastwianym ludziom. Tymczasem nawet sami Żydzi byli niemal obojętni, jakby nie dowierzali, że w XX wieku może dochodzić do takich rzeczy. A on przecież nie kłamał i nie koloryzował. Opowiedział im wszystko, pokazał dowody i nie mógł zrozumieć tego oporu i obojętności. Co jeszcze musiało się wydarzyć i ilu ludzi zginąć, by w końcu ktoś ważny zareagował?

Tak, Julian Chełmicki musiał z żalem stwierdzić, że przegrał.

36. Katyń, 1943

– Panowie, tutaj macie nasze dotychczasowe materiały. Fotografie, opisy naszych patologów, zdjęcia znalezionych dokumentów, fragmentów mundurów i epoletów. – Lossow nachylił się nad ogromnym, zbitym z desek stołem i chuchając w dłonie, z pietyzmem rozkładał dokumenty.

Mężczyźni siedzący wokół także wstali i zaczęli przyglądać się zdjęciom i raportom z oględzin.

– Wszystko jest zrobione zgodnie ze sztuką, zatem jaka jest nasza rola? – mruknął niezbyt przyjaznym tonem doktor Franz Holler.

– Rosjanie próbują nas oskarżać o fałszowanie dokumentacji i wmawiają międzynarodowej opinii publicznej, że to Rzesza stoi za tą zbrodnią – powiedział Walter. – Dlatego potrzebujemy raportów niezależnych ekspertów, którzy potwierdzą nasze tezy.

– Przedstawione przez pana dowody, poruczniku, świadczą o zbrodni, ale nie o tym, kto tego dokonał. Waltherami posługiwali się nie tylko funkcjonariusze NKWD – ostrożnie zauważył drugi z patologów, grubszy mężczyzna z czerwoną twarzą, który wciąż nerwowo poprawiał niesforną zaczeskę na swojej głowie.

– O, nie zgodzę się z panem. Jest mnóstwo dowodów, jednak nie czuję się kompetentny, żeby o nich rozprawiać. Jestem jedynie dokumentalistą tej straszliwej zbrodni. Myślę jednak, że rozmowa z naszymi ekspertami oraz zaznajomienie się z dokumentacją pozwolą panom przynajmniej nabrać wątpliwości co do sprawstwa Rzeszy. A wówczas podejmiecie decyzję o uczestniczeniu w kolejnych ekshumacjach – powiedział uprzejmie Lossow.

– Panowie, zdaje się, chcecie wykorzystać Międzynarodowy Czerwony Krzyż do własnych interesów politycznych – bąknął niepewnie doktor Holler.

– A czyż sprawiedliwe jest obarczać nas za grzechy niepopelnione? – słodko zapytał Lossow.

– Panowie, zdaje się nie przejmują się nawet tymi popełnionymi – mruknął mężczyzna z zaczeską.

– A panowie są zobligowani, żeby zgłębić temat i przedstawić wiarygodne dowody na forum międzynarodowym. Polacy powinni dowiedzieć się, co naprawdę stało się z oficerami Wojska Polskiego, których rząd polski poszukuje od co najmniej dwóch lat. – Ton Lossowa zrobił się ostrzejszy.

– Oczywiście, oczywiście... – zmieształ się Holler i poprawił okulary na no-

sie.

– Możemy wam zaproponować kwatery w Smoleńsku, nic wyszukanego, rzecz jasna, ale myślę, że jak na wojenne warunki, całkiem znośnego – zakończył von Lossow.

Na początku wraz z dowództwem zastanawiali się nad eleganckimi mieszkaniami należącymi niegdyś do dygnitarzy partyjnych, ale po burzliwych dyskusjach doszli do wniosku, że mogą zostać posądzeni o przekupstwo. Gdyby w istocie mieli w tej sprawie nieczyste sumienie, nie wahaliby się ani przez moment, bo już niejeden przedstawiciel MCK dał się skusić na eleganckie wypady w Alpy, luksusowe paryskie hotele i rejsy jachtami wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Teraz jednak było to kompletnie zbędne.

Kolejny raz pomyślał o Holly Evans. Czystej, niewinnej idealistce, która nie dała się nabrać na wyreżyserowany obrazek, jaki pokazał jej w getcie. Może i dobrze, że nie dożyła czasów, gdy wybuchła wojna na wschodzie i nie usłyszała o tych wszystkich zbrodniach, których dopuszczali się zarówno Niemcy, jak i Rosjanie. Już widział jej oczy pełne bólu, gdyby pokazał jej oblężony Leningrad, pełen trupów albo ludzi, którzy byli na najlepszej drodze, by nimi się stać. Zastanawiał się nad jej reakcją, gdyby usłyszała o grasujących w mieście kanibalach, gwałconej Oldze Iwanownie, która wybrała godność zamiast upodlenia, i o bombardowaniu statków przewożących ewakuowane z miasta dzieci. Jej czysta dusza nie zniósłaby tego. A może przywykłaby, tak jak i on?

Los bywał przewrotny i lubił sobie kpić z człowieka. Miłośnikowi piękna zafundował taplanie się w nieludzkim brudzie śmierci i upokorzenia, a bojownicze o dobro na świecie podarował śmierć. Romantycznej Oldze zwierzęce gwałty, a patriocie Chełmickiemu szykany gestapo i bratobójczą wojnę. Lossow nie wiedział, jak długo to wytrzyma i jak wiele zdoła znieść, by nie pozabawić się resztki złudzeń, które w sobie nosił. Nie potrafił już sobie wyobrazić normalnego życia, przy taktach wdzięcznej muzyki, kontemplowaniu sztuki i u boku pięknych kobiet, by nie mieć przed oczami obrazów wisielców, wygłodniałych ludzi gotowych do najgorszych czynów za kawałek chleba czy poniewieranych kobiet, zbrukanych żądzami spragnionych uciech żołnierzy. Czuł, że to, co widział, już do końca życia będzie jak brudna plama na pięknej sukience, fałszywa nuta w idealnie skomponowanej symfonii czy rysa na obrazie artysty. W śmiechu zawsze już będzie słyszał skowyt rannych, płacz cierpiących po stracie bliskich, a na bezchmurnym niebie dostrzeże złowróżbną chmurę.

Nawet teraz, gdy domagano się prawdy o rzezi w Katyniu, było to wyrafinowaną grą, nastawioną na zdobycie określonego, propagandowego celu, bo nikogo nie obchodził los tych ludzi, których zwłoki wydobywano z głębokich dołów. Wciąż walczyli, jeśli nie czołgami i karabinami, to słowami, ale Walter von Lossow przeczuwał, że koniec nie będzie dla nich pomyślny. Okrucieństwo spotkało się z takim samym okrucieństwem, a manipulacja równa z ich poczynaniami na tym polu. Ktoś mógłby rzec: „Trafił swój na swojego”, ale, u licha, po co?

Mimo że wojna trwała już ponad trzy lata, Walter von Lossow nie widział w niej najmniejszego sensu.

– To ten... – Młody Iwan Kniejew trącił łokciem palącego papierosa Łyszkinina.

Igor wziął lornetkę od swojego kompana i zaczął mówić, jakby do siebie:

– No, odwróć się, ptaszku, niech ja zobaczę twoją hitlerowską twarzyczkę. No nie! Nie, nie idź z powrotem do baraku, muszę cię obejrzyć, zanim się ściemni. Masz ci los... – mruknął i powiedział do Iwana: – Cholera jasna, wrócił do baraku i dalej nic nie wiemy.

– Żeby chociaż te białe fartuchy z siebie zdejmowali, to można byłoby rozpoznać dystynkcje, ale oni jak na złość wszyscy zakryci od stóp do głów – mruknął Kniejew.

– Przy trupach robią, co się dziwicie – burknął Łyszkin i powrócił do obserwacji baraku.

– *Job twoju mać*, przecież on tylko zdjęcia robi i filmy kręci – rozzłościł się Iwan, przeżywając w ustach zapałkę.

– Czytaliście napis przed posterunkiem, więc przestańcie pieprzyć i czekać, aż zdejmie fartuch – warknął Igor.

– Nie uczyłem się szwabskiego, na cholere mi to.

– A na to, żebyście wiedzieli, co tam jest napisane. „Poruszanie się po terenie jedynie w odzieży ochronnej”. Całe popołudnie jak psu w dupę, bo temu oficerkowi zachciało się bezustannie w budzie siedzieć. I wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, co to za jedni tam z nim siedzą – mruknął niezadowolony Igor.

– Jak dopadniemy gnoja, to się dowiemy. Ale moglibyście tam wejść, macie dokumenty. – Iwan wciąż nie rozumiał, dlaczego jego towarzysz nie chce wejść na teren wykopalisk, mając tak mocne papiery.

– Dajże spokój, Iwan. Z tych oddziałów nikogo tu nie ma. Na budzie nikt nie zwróci na to uwagi, same tępaki stoją na szlabanach, ale jak zaczną pałętać się przy dołach, mogą się zainteresować. Poza tym cały czas mają włączone kamery i strzelają zdjęcia jak gwiazdom filmowym. Muszę tego drania dopaść w Smoleńsku, jak będzie raczył się wódą i zabawiał z dziewczynami.

– Wy to macie łeb, towarzyszu – z uznaniem powiedział Iwan.

– Kurwa, nic już nie widać w tej szarudze. Zwijamy się. Jutro od rana zaczynamy z powrotem obserwację. Już mi dupsko przymarzło do ziemi – zarządził Łyszkin.

Obaj, ubrani w niemieckie mundury, wyszli z gęstwiny i odpalili motocykl, ukryty w bujnych krzewach. Był dużo poręczniejszy niż samochód i mniej rzucał się w oczy. Powrócili do kwatery, ale Łyszkin przez cały czas był podenerwowany. Chciał, żeby ich cel był już w ich rękach. Jednak całą operację musiał przeprowadzić sam.

Kniejew niemal od razu nalał sobie do szklanki wódki i wypił duszkiem, po czym chrząknął i zaczął przygotowywać sobie posiłek złożony z chleba, słoniny i wędzonych ryb. Łyszkin nie był głodny ani nie miał ochoty na picie wódki, chociaż na to ostatnie skusiłby się, gdyby nie to, że chciał mieć jasny umysł, a następnego dnia obudzić się bez kaca, który bardzo go dekoncentrował.

Zastanawiał się nad przybyłymi do Katynia mężczyznami. Ponieważ, tak jak wszyscy, chodzili w białych kitlach, nie mógł odgadnąć, czy są cywilami, czy oficerami, ale sądząc po obuwiu, obstawiał raczej cywili. Może to byli w istocie lekarze, patolodzy MCK? Ale dlaczego, u licha, przesiedzieli bez mała cały dzień w baraku administracyjnym, zamiast wziąć się do roboty? Poza tym towarzyszący im stali bywalcy wykopalisk byli dla nich mili, poklepywali ich po plecach i Łyszkin tylko czekał, aż wejdą im w tyłek. Jedynie interesujący go oficer, dokumentujący całe przedsięwzięcie, właściwie nie opuszczał na krok baraku. Był prawie pewny, że znowu coś kombinowali, by udowodnić światu winę Rosjan. A że reputacja Niemców była bardzo mocno nadwątlona, musieli znaleźć sobie neutralnego sojusznika. Może w istocie zwerbowali przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, aby ich ustami przekazać opinii publicznej wyniki swoich badań?

Rozważając wszystkie możliwości, zasnął w końcu, bo mimo adrenaliny, która go niemal rozsadzała, cały dzień na świeżym, chociaż chłodnym, powietrzu zrobił swoje.

Następnego ranka czuwał w ich punkcie obserwacyjnym już od świtu. Tak jak się spodziewał, jego kompan był prawie nieprzytomny, ziewał jak krokodyl i ledwie był w stanie utrzymać w dłoniach ciężką lornetkę.

– No i lisek wylazł z nory – powiedział z triumfem Iwan i z ulgą oddał lornetkę Łyszkinowi.

Podeksytowany Igor wziął ją do ręki, spojrzął i natychmiast opuścił ją z powrotem. Serce zaczęło walić mu jak oszalałe.

– Coś się stało? To on przecież – zapytał Kniejew.

– Tak... Przez chwilę straciłem ostrość widzenia. – Igor uśmiechnął się sztucznie i ponownie podniósł lornetkę.

Wpatrywał się w swoją ofiarę. Człowieka, którego miał zamiar pojmać jako jeńca, wydać właściwym ludziom na brutalne przesłuchanie, a potem na śmierć. Igor Łyszkin patrzył na twarz swojego przyjaciela, Waltera von Lossowa.

– Widziałem i zapamiętałem – zaraportował z pobladłą twarzą.

– Kiedy go zgarniamy? – zapytał Iwan.

– Nie bądźcie tacy w gorącej wodzie kąpani, ja nie działałem po omacku – burknął pod nosem Igor i usiadł pod drzewem.

Nie miał pojęcia, co teraz powinien zrobić. Przecież nie spaprze zadania ani nie wyda władzom przyjaciela, bo to będzie albo jego koniec, albo koniec życia Waltera. Na powrót wziął do ręki lornetkę, żeby nie wzbudzić podejrzeń Kniejewa i zaczął intensywnie myśleć. Może zamiast Lossowa zatrzyma kogoś innego? Ale to przecież Lossow miał wszystkie materiały i dowody w rękę. Jaki miał wybór? Jeśli nie on, to ktoś inny zajmie się Walterem, władza na pewno nie odpuści. A jeśli ostrzeże Lossowa, źle skończy. Najlepszym rozwiązaniem byłoby przechwycenie dokumentów i puszczanie Lossowa wolno, ale nie spodziewał się, że jego przyjaciel tak po prostu przekaże mu materiały i powie: „Chłopie, proszę, weź, w imię dawnej przyjaźni”. Jakiż to był kaprys losu i zbieg okoliczności, że w tym potężnym kraju spotkali się obaj niemal twarzą w twarz.

„Nie mógłbym, do jasnej cholery, siedzieć teraz na Ukrainie albo Lossow w Sewastopolu albo Stalingradzie? Czy Walter musiał przywlec swoje dupsko akurat tutaj” – myślał Igor, coraz bardziej rozdarty. Postanowił, że nie ma wyjścia. Spotka się z Walterem i porozmawia z nim. Nie jak z wrogiem ojczyzny,

ale jak z przyjacielem. Musiał jednak pozbyć się ludzi, którzy mieli mu towarzyszyć.

– Słuchajcie, Kniejew, sam muszę załatwić tę sprawę. Powinienem dobrze rozeznąć się w jego rozkładzie dnia. Nie będziecie mi potrzebni. Wracajcie na drugą stronę i róbcie dokumentację wykopalisk – powiedział stanowczo Łyszkin, chociaż głos mu drżał.

– Miałem was nie odstępować na krok – niepewnie odpowiedział Kniejew.

– Zmieniłem zdanie, towarzyszu. To rozkaz – burknął Łyszkin.

Gdy tylko jego kompan zniknął mu z pola widzenia, wypuścił powietrze i odetchnął. Miał wiele do przemyślenia i zaplanowania, a Iwan tylko go rozpraszał.

W zagajniku, skąd obserwowali miejsce ekshumacji, Łyszkin spędził cały dzień. Walter był tam obecny, dopóki trwały prace. Robił zdjęcia, pilnował kamerzystów i sporządzał notatki. Patrząc z perspektywy Związku Radzieckiego, nie było dobrze. Igor, znając Lossowa, wiedział, że ten mimo rozrywkowego podejścia do życia jeśli się czymś zajął, robił to dokładnie i skrupulatnie. I wszystko mogłoby się zakończyć dobrze, gdyby nie fakt, że Igor nie chciał polować na Waltera jak na innych nazistów.

Lossow opuścił bazę około godziny szesnastej i powrócił do Smoleńska. Mieszkał niemal w centrum miasta i do kantyny, gdzie spożywał kolację, miał zaledwie kilkaset metrów. I to było kluczowe. Igor nie chciał zapukać do jego drzwi, bo nie wiedział, czy Walter mieszka sam, obawiał się także jego reakcji, gdy wejdzie do lokalu ubrany w mundur SS.

Tak, to był dobry plan. Natomiast nie miał żadnego pomysłu, co mu powie. Doszedł do wniosku, że jeśli niczego nie wymyśli, po prostu pójdzie na żywioł i przywita się z przyjacielem, jakby nie widzieli się zaledwie kilka dni.

37. Warszawa, 1943

– Źle robisz, Alicja – powiedziała z westchnieniem Teresa. – Im dłużej mały będzie z tobą, tym trudniej będzie ci go oddać.

Alicja milczała. Ona już podjęła decyzję. W dniu, w którym stanęła w progu kościoła i poprosiła księdza o metrykę dla Dawidka. Wciąż jednak ukrywała ten fakt przed Teresą, udając, że oswaja chłopca z nową rzeczywistością. Nie miała pojęcia, dlaczego zataiła przed swoją koleżanką fakt, że chce stać się dla tego dziecka matką. Może nie chciała zasiać w sobie wątpliwości? A co będzie, jeśli jego matka przeżyje i pewnego dnia zjawi się po niego? W takich chwilach bardziej niż kiedykolwiek rozumiała Irenę „Wariatkę”.

Zyskała też nowego przyjaciela, znajomość z którym także ukrywała. Jednak w przypadku Szymka Wielopolskiego zrobiła to po prostu z obawy o jego bezpieczeństwo. Im mniej osób wiedziało o jego istnieniu, tym lepiej. Tak jak mu obiecała, przeprowadzili brata Noemi na aryjską stronę, a Alicja znalazła dla chłopczyka dom. Z wdzięczności Szymek jeszcze kilka razy pomagał przemyścić dzieci z getta i nawet nie czuł się bohaterem, gdy Alicja dziękowała mu i mówiła o jego odwadze i szlachetnym charakterze.

Dzisiaj postanowiła, że wynagrodzi swojego współnika największymi lodami, jakie uda im się znaleźć w Warszawie. Przed wojną nie byłoby w tym nic niezwykłego, ale gdy nastąpiła okupacja, tego typu rarytasy jadali tylko nieliczni. Jednak Alicja wyasygnowała ze swojego skromnego budżetu pieniądze, aby chociaż w ten sposób podziękować chłopakowi.

Gdy skończyli, Szymek powiedział szarmancko:

– Ja stawiam, panno Aldono.
– Nie mogę się na to zgodzić. Przecież to ja cię zaprosiłam – obruszyła się.
– Stać mnie na lody. Dla pani także – mruknął Szymek.
– A jak to robisz, że cię stać? – zapytała z uśmiechem.
– Jak mi rodziców zabili, to zaopiekował się mną jeden człowiek. Trochę handluje, trochę szmugluje, ja mu pomagam, a on mi daje kieszonkowe i dach nad głową. Wiele mu zawdzięczam, nawet to, że ładnie się wyrażam. Ale... teraz ma nową narzeczoną, co nie za bardzo mnie lubi, więc wracam do pana Emila tylko po to, żeby się przespać.

– W istocie porządny i dobry człowiek. Ale przekonuję się, że dużo jest dobrych ludzi. Tylu dzieciakom znalazłam dom... – z westchnieniem powiedziała Alicja.

– Panna Aldona też dużo dobrego robi. No dla tych dzieci – mruknął. – Ale pan Lewin nie wie, że ja na getto chodzę i nie chcę, żeby wiedział, bo będzie się denerwował.

– Jak powiadasz? – Alicja aż się zachłysnęła.

– Nie chcę, żeby się denerwował – odparł Szymek.

– Nie... To nazwisko powtórz. Lewin?

Nie mogła uwierzyć, że zupełnie przypadkowo odnalazła brata Hanki. Jak również w to, że Emil zaopiekował się obcą sierotą. Ale cóż, ludzie się zmieniali. A ona była tego najlepszym przykładem.

– Słuchaj, Szymek. Znam siostrę tego człowieka, Emila Lewina, Hankę. Kiedyś prosiła mnie, żebym go odnalazła. Powiesz mi, gdzie mieszkacie? – Alicja mówiła z podekscytowaniem.

– Normalnie to bym nie powiedział, bo to wiadomo... ale panna Aldona to widać dobra kobieta i nikomu krzywdy by nie zrobiła. I jak mówi, że panią Hankę zna, co to pan Emil ma jej płyty w domu, to znaczy tak jest. Ostatnio co prawda nie słucha już swojej siostry, bo mówi, że z tęsknoty mu się płakać chce, ale jakby się dowiedział... – Chłopak był również rozpromieniony wiadomością.

– Nie, Szymek. Ty nic mu nie mów, bo ja nie wiem, czy Hanka zdoła do niego przyjechać, po co ma sobie robić nadzieję. Ale jak jej się uda, to dopiero się ucieszy.

Zatrwożyła się, bo w istocie nie miała pojęcia kiedy i jak jej przyjaciółka mogłaby dotrzeć do Warszawy i czy byłoby to bezpieczne dla niej.

– A to Emil Lewin nie ożenił się z panną Adrianną Daleszyńską? – zapytała.

Szymek spuścił oczy i zaczął drzeć.

– Panna Adrianna zastrzeliła się. Prawie na moich oczach. Pan Emil nawet nie zdążył jej wyrwać z rąk pistoletu. – Ta historia wciąż budziła w Szymku niechciane emocje.

– Mój Boże... – jęknęła Alicja, ale informacja nie wywołała w niej szoku.

Nie zadała także pytania „dlaczego?”. Wiele osób nie mogło znieść panującego reżimu ani przywyknąć do warunków, które przed wojną były zupełnie inne. Adrianna była wychuchaną damą, rozpieszczaną przez rodziców i narzeczonego, funkcjonowała w świecie piękna i dostatku. Zderzenie z nową rzeczywistością, wreszcie zbyt długie oczekiwanie na zmianę sytuacji i powrót do poprzedniego trybu życia zapewne wpędziły ją w stan, gdzie jedynym rozwiązaniem wydaje się śmierć. Alicja przypominała sobie matkę Juliana, która

wraz z wybuchem wojny powoli popadała w obłęd. Jednak to, co zastanowiło Alicję, to dziecko. Adrianna miała potomstwo, a jednak pewnego dnia po prostu okazała się tchórzem i porzuciła je na pastwę losu i Emila Lewina.

– Panna Adrianna na początku nie była dla mnie życzliwa, ale opiekowała się mną dobrze. Potem zrobiła się naprawdę miła i traktowała prawie tak samo, jak Karolka – z westchnieniem powiedział Szymon.

– Więc co, u licha, jej się stało? – Alicja zdziwiła się na wieść, że jej niedysiejsza konkurentka i rozpuszczona panna zamieniła się w dość dobrą i zaradną gospodynię.

– Nie chcę tego mówić przy panu Emilu, ale wydaje mi się, że to z miłości do niego. Oni myśleli, że ja nie wiedziałem, bom się nie wtrącał, ale pan Lewin zakochał się w pannie Renacie i chyba panna Adrianna tego przeżyć nie mogła. I czasami w złości mówił, że Karolek to bękart i niemieckie nasienie – ponuro stwierdził Szymek.

Nigdy wcześniej nie dzielił się swoimi spostrzeżeniami z kimkolwiek. Zrobił to po raz pierwszy, bo sam wielokrotnie usiłował zrozumieć postępek Adrianny, nie zamierzał jednak puścić pary z ust na temat tego, co było potem. I tak powiedział Alicji zbyt wiele, a ona pewnego dnia mogła zacząć zadawać pytania, na które za nic w świecie nie chciałby odpowiadać.

Alicja jednak nie pytała o nic więcej. W końcu Adrianna była jej obca, a tyle okrucieństwa panowało wokół, że nie miała siły już opłakiwać przypadkowych ofiar wojny.

– Słuchaj, Szymek... w getcie coś się dzieje – zmieniła temat. – Znowu wożą transporty do obozów. Musimy teraz przeprowadzić jak najwięcej dzieci na aryjską stronę, bo obawiam się, że zaraz będzie po wszystkim i getto zniknie z Warszawy. Wiem, że i tak zrobiłeś bardzo wiele, ale pomożesz mi?

Szymek Wielopolski zamyślił się. Właściwie było w nim ogromne pragnienie życia. Wierzył, że kiedyś będzie wielkim panem, bez mała światowcem jak pan Emil Lewin, a wojna i okupacja staną się jedynie mglistym wspomnieniem. Działania, jakie podejmował, by ratować maluchy z getta, narażały go na to, że nigdy nie będzie mu dane spełnić swoich marzeń. Na początku zrobił to spontanicznie, po prostu ujrzał przerażoną pielęgniarkę i jeszcze bardziej wystraszonego dzieciaka i zareagował bez głębszego zastanowienia. Potem chciał coś zrobić dla brata Noemi, żeby samemu sobie pokazać, jak bardzo ta dziewczynka była dla niego ważna, i stanowiło to swoistego rodzaju transakcję wiązaną. Ale teraz? Jaki miał powód, żeby narażać swoje życie dla obcych mu lu-

dzi? Nieważne, czy to byli Żydzi, czy nie, ale osoby, których nigdy nie widział na oczy, nie rozmawiał z nimi i nie czuł z nimi żadnej więzi. Poza tym pan Emil i pan Franek powrócili do starego biznesu i jemu także dali zajęcie, przez co miał coraz mniej czasu na inne sprawy. Odkładał każdego zarobionego moniaka, by kiedyś się wykształcić i zarabiać duże pieniądze. Tymczasem jego sentymentalne odwiedziny w getcie w czasie, gdy był pozbawiony zajęcia, zmieniły się nagle w niebezpieczne akcje mogące skończyć się dla niego źle.

– Panno Aldono... – zaczął niepewnie i jakby zawstydzony, że musi odmówić sympatycznej pielęgniarki, która znalazła zamożny i ciepły dom dla małego Jakuba Goldberga.

– Rozumiem, Szymek. W końcu jesteś jeszcze dzieckiem i powinnam się wstydić, że w ogóle ci to zaproponowałam. Postaram się sama precyzyjnie przejść i nie angażować cię więcej. Droga przez sąd już jest niemożliwa, bo nasz człowiek podzielił los innych przesiedlonych, samochodami możemy wywozić jedynie najmłodszych, więc twoje przejście jest jedyną deską ratunku dla nich – powiedziała Alicja i naprawdę nie miała żalu do małego Szymona, że nie chciał się narażać dla obcych dzieci.

– Dobrze, pokażę pani to przejście. Może pomogę odwalić trochę gruzu na bok i jakoś da pani radę. Ale nie chcę skończyć w drewnianej jesionce, bo ja to bym kiedyś adwokatem chciał zostać, wie pani. Znałem takiego przed wojną, aligancki był i miał nawet samochód. Sikor to mu się z daleka błyskał i podobnie miał parasol zakończony srebrną rękojęścią. A do sądu to tylko ze samymi bogaczami chodził, żadnego kiziorstwa, więc miarkuję, że musiał być bardzo mądry. A ja to chłopak z nizin, sam na siebie muszę zarobić i na szkoły różne, bo pan Lewin mówił, że to z dziesięć lat się trzeba kształcić, żeby taką papugą zostać.

– Życzę ci tego z całego serca, Szymek. – Uśmiechnęła się do niego i dodała: – Przez kilka dni mnie nie będzie, jakbyś mnie szukał. Muszę wyjechać na wieś. A potem spotkamy się i pokażesz mi przejście. Umówmy się na piątek, tak na piątą po południu. I jeszcze raz dziękuję.

Chłopak pokiwał głową, wciąż nieco zawstydzony, że odmówił pomocy. Cieszył się jednak, że panna Aldona nie potępiła go i życzyła mu jak najlepiej.

Po spotkaniu z Szymkiem, gdy w końcu dowiedziała się, gdzie mieszka brat Hanki, spakowała niewielką walizkę i wraz ze swoim nowym podopiecznym wyruszyła do Magnuszewa. Nie wiedzieć czemu, mając przy boku dziecko, czuła się bezpieczniej. Sądziła, iż nikt nie domyśli się, że ta podróżująca matka

z małym synkiem to jedna z najbardziej poszukiwanych osób w Warszawie i całym dystrykcie. Poza tym chciała pokazać Mateuszkowi wieś. Był malutki, gdy trafił z rodzicami do getta i oprócz murów i tłumów ludzi nie widział niczego więcej. Pragnęła, żeby pobiegał po zaśnieżonych polach, poślizgał się na zamarznętej sadzawce i poczuł, jak to jest, gdy wokół nie ma ludzi, a jedynie pola i lasy. Żałowała, że panowała zima, zapewne wizyta na wsi latem sprawiłaby mu większą frajdę, ale musiała odwiedzić Hankę. Nie tylko po to, żeby przekazać jej adres Emila, ale pragnęła podzielić się z nią nowiną, że oto ona również została matką.

Wysiedli z pociągu i ruszyli do przeprawy promowej. Było dość chłodno i wiał porywisty wiatr, więc Alicja co chwilę sprawdzała, czy chłopcu nie jest za zimno, poprawiała mu czapkę, naciągała mocniej rękawiczki i szczerzej owijała szalik wokół szyi i twarzy. Sama była zdziwiona tą ciągłą troską i czułością, z jaką przytulała, całowała i obdarowywała pięknymi słowami obcego dzieciaka. Mateuszek odwdzięczał się jej uśmiechem, nieporadnymi rysunkami i radosnym krzykiem, gdy po pracy odbierała go z ochronki. Niekiedy myślała, co Julian powiedziałby na ten szalony akt i czy zobaczyłby w Mateuszkowi swojego syna, tak jak ona. Chełmicki jednak już od kilku tygodni był na misji w Londynie i nie miała okazji, żeby się o tym przekonać.

Idąc w kierunku chałupy Hanki, uśmiechnęła się do siebie. Nie tylko z powodu rychłego spotkania z przyjaciółką, ale wiedziała, że pod jej dachem zarówno ona, jak i Mateuszek poczną namiastkę prawdziwego domu. Jednak im bliżej była domostwa Lewinówny, tym czuła coraz większy niepokój. W oknach było ciemno, mimo że zbliżała się prawie dziewiętnasta i Hanka powinna być w domu. Podchodząc bliżej, spostrzegła, że nie ma firan, a drugie okno przysłonięte jest drewnianą okiennicą.

Zapukała do drzwi. Trochę irracjonalnie, bo wszystko wskazywało na to, że dom jest opuszczony, jednak mimo braku odpowiedzi waliła w nie pięściami coraz mocniej i głośniej.

– Coś pani za jedna i co to za awantury pani wyczyniasz? – W drzwiach sąsiedniej chałupy ukazała się rozżłoszczona kobieta z drągiem w dłoni.

– Szukam pani Hanki Niechowskiej – powiedziała rozpaczliwie.

– A nie widzi pani, że ciemno i wszystko na głucho zamknięte, tylko wali pani bez opamiętania? Wyprowadziła się, pani, już z pół roku będzie, jak furmanką dobytek i dzieci wywiozła – powiedziała ostro sąsiadka.

– Dokąd? – zapytała Alicja.

– A kto ją tam wie, ale widzi mi się, że żyć z tym szwabem gdzieś poszła, żeby jej ludzie palcami nie wytykali w Magnuszewie. – Sąsiadka zmieniła nieco ton.

– Ja muszę ją znaleźć – jęknęła bezradnie Alicja.

– Idzie się pani tej jej stukniętej przyjaciółki zapyta. Może ona co wie, bo nikt inny. Nawet się nie pożegnała, tylko jak złodziej uciekła. Widać od razu, że miała nieczyste sumienie – perorowała dalej sąsiadka.

– A pani ma niewyparzony pysk – warknęła Alicja, po czym wzięła za rękę Mateuszka i podążyli, coraz bardziej zmęczeni podróżą, w stronę domostwa Ireny i Kazia.

Na szczęście zarówno Irena, jak i jej mąż ugościli należycie Alicję i chłopca, a nawet zaproponowali nocleg. Gdy malec już zasnął, Alicja zwróciła się do „Wariatki”:

– Irena, ty naprawdę nie wiesz, gdzie ona się wyniosła? – zapytała delikatnie.

– Jak Boga kocham, nawet mnie nie powiedziała. Ale widujemy się nad rzeką. Ale żebyś mnie ze skóry obdarła, to ci nie powiem ani gdzie, ani kiedy – stanowczo powiedziała „Wariatka”.

– A że niby dlaczego? Hanka jest dla mnie jak siostra, przestań się wygłupiać.

– A to dlatego, że Hanka mówić nie kazała. Inaczej do Pawiaka wróci, więc nie powiem, i już – upierała się Irena.

Alicja westchnęła i widząc, że nic nie wskóra, powiedziała jedynie:

– To jak pójdziesz teraz, to zapytaj Hanki, czy mnie i mojego dziecka nie chce widzieć, dobrze?

– A to twoje? – zapytała podejrzliwie „Wariatka”.

– Moje – stanowczo odpowiedziała Alicja.

– E... coś kantujesz. Toż chłopak prawie w wieku Nadii, a ja z nim go nigdy nie widziała.

– U mojej matki był... – zbyła ją Alicja.

– Dobrze, zapytam, ale to prędko nie będzie.

– To znaczy kiedy?

– Chyba jak mówię, że nie powiem, to nie powiem. – Irena zmarszczyła czoło.

– W takim razie oddasz jej list. My pojutrze musimy wracać do Warszawy. – Alicja czuła się bezradna.

– Toć mogę.

Alicja usiadła przy stole i na lekko zatłuszczonej kartce otrzymanej od Ireny zaczęła pisać do Hanka list miękkim, kiepsko zaostrzonym ołówkiem. Miała podać jedynie adres i sklecić parę słów, ale gdy zaczęła przelewać na papier swoje troski, obawy, a w końcu opisywać swoje uczucia, jakie zawładnęły nią po spotkaniu z małym chłopcem, Irena musiała dać jej jeszcze trzy następne kartki papieru. Tak, Hance mogła powiedzieć wszystko. Ona ją rozumiała, kochała i akceptowała, nawet jeśli robiła dziwne i nieracjonalne rzeczy. Kochała Hania, prawdziwa przyjaciółka i jedyna w swoim rodzaju.

Być może fakt, że Alicja nie miała rodzeństwa, sprawił, iż Hanka Lewin stała jej się tak bliska. A może w świecie hipokryzji i ciągłego udawania obie miały odwagę przyznać się głośno do tego, o czym inne dziewczyny marzyły w skrytości, jakby wstydziły się własnych pragnień lub bały ośmieszenia. Tymczasem to właśnie im te marzenia się spełniły i przynajmniej przez jakiś czas posmakowały życia, którego sceny wymyśliły w swoich głowach. Żadna z nich z osobna zapewne nie poradziłaby sobie w tym bezwzględny świecie, gdzie niekiedy pieniądze były ważniejsze niż największy talent, a ci, którzy ich nie mieli, nie posiadali także odwagi, by rzucić światu wyzwanie. Były tak różne, a jednak to pragnienie spełnienia i głód zrealizowania obranych celów stanowiły wystarczający powód, by trzymać się razem.

Alicja nie bardzo wierzyła w przyjaźń, dopóki nie spotkała na swojej drodze starszej od siebie Hanka. Pewnego dnia po prostu zaczęły sobie opowiadać z godną uznania szczerością o swoich dziewczęcych marzeniach, nie wstydząc się ich i nie oszukując, że inne, bardziej wzniosłe cele im przyświecają. Obie chciały być szczęśliwe.

Minęło wiele czasu od dnia, gdy po raz pierwszy zapalały do siebie sympatią, ale dalej były sobie bardzo bliskie, ponieważ obie wciąż wierzyły, że piśniany im jest lepszy los, a to, co je spotkało, jeszcze nie przekreśliło ich marzeń. I chociaż przekazanie adresu brata przez Alicję było solidnym pretekstem, by spędzić bez mała pół dnia w podróży, tak naprawdę dziewczyna chciała pokazać Hance małego Mateuszka i pragnęła z całego serca, aby ta pokochała go równie mocno, co ona jej potomstwo. Wiedziała, że tak właśnie będzie, tymczasem Irena „Wariatka” z uporem godnym podziwu pozbawiła je szansy spotkania. Alicja jednak po chwilowej złości nie potrafiła gniewać się na Irenę, miała bowiem świadomość, że ta jest jak Cerber broniący wejścia do tajemniczego świata umarłych. To dawało Alicji nadzieję, że Hanka ma w po-

bliżu osobę, która będzie ją chronić za wszelką cenę.

Jednak oprócz miłych wspomnień i docenienia postawy „Wariatki” Alicję bardzo zaniepokoił fakt, że jej przyjaciółka musiała się znowu ukrywać. Irena nie знаła szczegółów tej decyzji, ale Alicja domyśliła się, że jeśli Hanka postanowiła zmienić miejsce pobytu i ukryć się przed całym światem, łącznie z „Wariatką”, musiała mieć ku temu powód. Zatem szukano także jej. Zapewne nie z powodu szpiega bolszewika, Łyszkiną, który miał swoją wojnę z Niemcami, ale być może z powodu jej osoby. Nie było tajemnicą, że się przyjaźniły od czasów dzieciństwa, zatem było wysoce prawdopodobne, iż pewnego dnia spróbują nawiązać ze sobą kontakt. A wtedy Hanka ponownie mogła stać się przynętą dla gestapo, jak niegdyś stała się nią, bo chciano dobrać się do skóry Łyszkinowi. Jakiż to był paradoks – kobieta, która nigdy nie tknęła się niebezpiecznych spraw, nagle była ścigana jak zwierzyna łowna. Tylko dlatego, że przyszło jej w życiu pokochać niewłaściwe osoby.

Alicja także miała problemy, których początek miał miejsce w chwili, gdy poszła za głosem serca i zapragnęła odszukać ukochanego. Wszystko inne było konsekwencją tego jednego kroku. A teraz, gdy między nią i Julianem było bardzo źle, zastanawiała się, czy było warto. Mogła nadal wymachiwać nogami w Café Clubie, dobrze jadać na zapleczu lokalu i budzić się każdego dnia ze spokojem, że jej wojna nie dotyczy. Albo dotyczy w stopniu umiarkowanym. Tymczasem wciąż musi uciekać i jeszcze sprawiła, że jej przyjaciółka robi to także. A może tak musiało być, by pewnego dnia mogła spotkać na swojej drodze małego Dawidka, którego każdego dnia uwielbiała coraz mocniej i mogła przelać na niego miłość, którą obdarowała niegdyś swoje nienarodzone dziecko.

Powrócili oboje do Warszawy tuż przed godziną policyjną. I chociaż nie udało się Alicji spotkać ze swoją przyjaciółką, nie uważała, że zmarnowała czas. Dzięki tej podróży mogła spędzić go z Mateuszkiem i cieszyć się ciągłą obecnością synka. Teraz jednak musiała powrócić do swoich zadań i uratować jeszcze kilka istnień ludzkich, póki nie było za późno.

Julian Chełmicki miał wrażenie, jakby właśnie odebrał ostatnią nadzieję ludziom, którzy jeszcze uchowali się w getcie. I mimo że większość już została wywieziona i zapewne unicestwiona, na terenie tego ponurego, odizolowanego miasteczka wciąż pozostało około pięćdziesięciu tysięcy osób.

– W takim razie musimy sami sobie poradzić z tymi oprawcami – powiedział jeden z przedstawicieli Żydowskiego Związku Wojskowego.

– Będziemy was wspierać po aryjskiej stronie, ale musicie to bardzo poważnie przemyśleć. Rząd w Londynie przekazał wam niewielką ilość broni. I niezbyt przychylnie patrzy na waszą współpracę z Żydowską Organizacją Bojową – westchnął „Sokół”, kompletnie nieprzekonany do pomysłu powstania w getcie. Uważał, tak jak wielu jego kolegów, że taki zryw powinien objąć całą Warszawę, ale należało się do tego przygotować, by mieć jakąkolwiek szansę z dobrze uzbrojoną stroną niemiecką.

– Dzisiaj wszyscy jesteśmy Żydami skupionymi na walce z tym samym wrogiem. Nie czas na waśnie i spory. Nie możemy także czekać, aż ktoś zdecyduje o ogólnonarodowym powstaniu... Bo nie mamy czasu. Po ostatnich wywózkach zostało nas niewielu, z każdym transportem coraz mniej. I jesteśmy pewni, że nasi bracia już od dawna nie żyją. Nie mamy czasu – westchnął Mojsze.

– Ale nie macie szans... – powiedział cicho Julian.

– Mamy wykopane tunele i w razie kłopotów możemy się przedostać kanałami na aryjską stronę. A jeśli nie... Nie chcę czekać na egzekucję ani na to, że ktoś puści mnie z dymem, wolę taką śmierć, w walce, a przy okazji zabiję paru Niemców. Niech ich także oplakują rodziny i przyjaciele, tak jak i my oplakujemy swoich bliskich – odpowiedział Mojsze ze stanowczością w głosie i dodał: – Ludzie mają dość. Czy wiesz, że niektórzy od tygodni siedzą w bunkrach, by ukryć się przed wywózką? Jakie to jest życie? To już nawet nie życie... Pewnego dnia i wy zrozumiecie, że tak dłużej się nie da. Obojętnie, co się stanie. Przychodzi taki moment, że w ludziach coś pęka. W was także pęknie, chociaż nigdy nie zaznaliście podobnego piekła.

Chełmicki spuścił głowę. Starał się zrozumieć tych ludzi i powoli mu się to udawało. Jak żołnierz. Oni także walczyli w Wojsku Polskim, byli na polu bitwy we wrześniu, gdy sytuacja niemal od razu była jasna. Że nie mają szans z przewagą militarną wroga. A jednak bili się i liczyli na cud. Ci młodzi, pełni pasji Żydzi także liczyli na cud, bo na nic więcej nie mogli. Pomoc, jaką mogła zaoferować AK, była niewspółmierna do potrzeb. Cała operacja zdawała się szaleństwem, a jednak Julian rozumiał, dlaczego się na nią zdecydowali.

Gdy opuścił spotkanie, przez chwilę zastanawiał się, dokąd pójść. Stał przed drzwiami magazynu i palił papierosa, myśląc o tym, że nie chce tego wieczoru pozostać sam. Odespał już trudy podróży z Londynu i teraz dzień wydawał mu się zbyt długi, by spędzić go w samotności. Nie chciał jednak widzieć Alicji,

między nimi stanął potężny mur niezrozumienia, a on potrzebował akceptacji i pocieszenia po nieudanej misji w Londynie. Przemknęła mu przez głowę myśl o Weronice i gdy już postanowił, że ją odwiedzi, przed budynek wyszedł „Sokół”.

– Nie odchódź jeszcze, muszę ci o czymś powiedzieć. Nasze zebranie właściwie dobiega końca... – powiedział dowódca.

– Przecież jutro się spotkamy – zdziwił się Chełmicki.

– To ważne... – „Sokół” spuścił głowę i powrócił do magazynu.

W istocie, kilkanaście minut później siedzieli w obskurnym biurze zupełnie sami.

– Dostałem wiadomość, że twój ojciec jest umierający... – prawie wyszeptał dowódca.

Chełmicki miał świadomość, że jego ojciec jest już stary i schorowany, jednak wciąż żywił nadzieję, że obaj doczekają końca wojny i będą mogli spędzić razem trochę czasu. Tymczasem Julian znalazł się w sytuacji, w której nawet nie mógł pożegnać się z Antonim. Ale jak to zniesie ojciec, jeśli w ostatnich chwilach życia nie będzie przy nim najważniejszej dla niego osoby, jego ukochanego syna? Przez chwilę pomyślał także o Emilu. To był także jego ojciec, ale nie miał ochoty informować go o stanie Antoniego. Nie chciał go widzieć po tym, jak okazało się, że jest zwykłym sługusem okupanta, a na dodatek szuka sposobności, by mu dokuczyć. Jakby czuł w tej chorej rywalizacji jakąś pasję.

– Mogę zostać tu przez chwilę i pomyśleć? – zapytał cicho Chełmicki.

„Sokół” podszedł do niego i poklepał po ramieniu, by w ten sposób chociaż odrobinę dodać mu otuchy. Nic jednak nie powiedział. Cóż mógł powiedzieć w obliczu takiej sytuacji? Nie chciał także udzielać żadnych rad Julianowi. Jeśli ten postanowi, że pojedzie do Chełmic i pożegna ojca, on nie powie ani słowa. Były takie chwile w życiu każdego człowieka, w których musiał sam podjąć decyzję i ryzyko.

Julian siedział w pustym magazynie aż do zmierzchu. Nie tylko bił się z myślami i zastanawiał, czy powinien pojechać do ojca, ale wspominał wszystkie cudowne chwile, które razem spędzili. I cóż z tego, że miał do niego żal o Emila Lewina, ale kochał go. Bezkrytycznie i równie mocno, jak w czasach, gdy był małym chłopcem i niekiedy czekał w oknie cały dzień, wypatrując, czy nie wraca ze swoich biznesowych spotkań. Wiedział bowiem, że bez względu na zmęczenie czy inne obowiązki, których nie brakowało w chełmickim dwor-

ku, dla niego na pewno znajdzie czas. Czasami jeździli konno, niekiedy grali razem w szachy i Julian cenił ojca za to, że nie dawał mu wygrywać, dzięki czemu, gdy nadszedł dzień i wygrał partyjkę, mógł być naprawdę z siebie dumny.

Tak, w takiej sytuacji jak teraz nie było miejsca na dylematy. Przecież mógł nigdy więcej nie zobaczyć człowieka, któremu tak wiele był winien. Wyszedł z magazynu i postanowił, że pojedzie do Chełmic bez względu na grożące mu niebezpieczeństwo.

Na stołecznym dworcu łatwo było wmieszać się w tłum, ale martwił się o stację w Chełmicach. Zapewne od razu zostanie rozpoznany przez miejscowych, fama się rozejdzie i kto wie, czy nie dotrze do niewłaściwych osób. Gdy po raz pierwszy był w domu, odkąd wylądował wraz z innymi skoczkami po pobycie w Anglii, nie był jeszcze poszukiwany i gdyby wówczas spotkał kogoś znajomego, nie byłoby tragedii. Teraz jednak sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Zapewne gestapo węszyło w jego rodzinnej miejscowości i cały personel chełmickiego dworca był zaopatrzony w jego fotografię. Mógł dokonać pewnego przeobrażenia, na przykład założyć okulary, jak to czynił, chodząc po Warszawie i wyjeżdżając w góry, by przedostać się do Anglii, ale w rodzinnych stronach nikogo by nie zmyliła ta drobna korekta wyglądu. Był jedną z najbardziej znanych postaci w okolicy, podobnie jak jego ojciec.

Bił się z myślami cały wieczór i w końcu wpadł na pewien pomysł. Ojciec wciąż miał gorzelnię i chociaż sam nie zarządzał już swoim przedsiębiorstwem, produkcja szła pełną parą. Gdyby załatwił jakiś dostawczy samochód i miał papiery, że jedzie po towar, mógłby dotrzeć pod gorzelnię, a stamtąd lasem w ciągu kilkunastu minut dostać się do dworku. Zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć człowieka, który może legalnie poruszać się samochodem, i wpadł mu do głowy mężczyzna handlujący bronią, „Kary”. Postanowił, że następnego dnia zdobędzie od dowódcy kontakt do niego i poprosi o przysługę, za którą był gotów dużo zapłacić.

Człowiek, z którym Julian Chełmicki miał zamiar dobić targu, nie zrobił na nim dobrego wrażenia. Gdy od czasu do czasu spotykali się podczas dostawy broni, „Kary” sprawiał wrażenie człowieka pogodnego i życzliwego. Teraz jednak przez cały czas miał posępną minę i patrzył na Juliana podejrzliwie.

– Trzeba by kwity załatwić, że po gorzałę jedziemy. Oczywiście dla jakiejś

niemieckiej knajpy. I to muszą być dobre papiery, bo kawał drogi jest do Chełmic. A ty jaki masz ausweis? – zapytał zimno.

– Inżyniera zatrudnionego w niemieckiej firmie budowlanej – bąknął Julian, speszony mało życzliwym zachowaniem „Karego”.

– To dość duży rozdźwięk...

– Posłuchaj, gdybym nie musiał, nie prosiłbym cię o przysługę. Mój ojciec jest umierający, jeśli się z nim teraz nie zobaczę, nie zrobię tego już nigdy – jęknął nieco rozgoryczony Chełmicki.

– Za co cię ścigają? – zapytał rzeczowo Sergiusz, chociaż doskonale wiedział, kim jest Julian Chełmicki i co zrobił.

Zapewne nie stanowiłby dla niego obiektu zainteresowań, ale jego osoba wypłynęła przy okazji zdobywania informacji na temat pewnej bardzo interesującej go kobiety, Alicji Rosińskiej. Wiedział także, że byli parą, a siedzący naprzeciwko niego mężczyzna to największa miłość w życiu Alicji. Był także człowiekiem, który w obliczu tragedii, jaką przeżywała Alicja po stracie dziecka, nie udzielił jej wsparcia. Musiał jednak przyznać, że Chełmicki mógł podobać się kobietom, jak również wzbudzać sympatię wśród mężczyzn. Mimo starannego wykształcenia i nienaganych manier, które to Sergiusz potrafił rozpoznać z daleka, nie traktował ludzi w wyższością i po wielkopańsku. A była to dość rzadka cecha wśród dobrze urodzonych paniczów. Być może to wybuch wojny i liczne przejścia nieco utemperowały Juliana, tak jak i zmieniły charakter „Karego”. Oto nagle musieli sami o siebie zadbać i podejmować decyzje, jakie dotychczas podejmowali za nich rodzice i liczne konwenanse, z którymi należało się liczyć. Bez względu jednak na to, jak bardzo zmieniło się życie ich obu, taki mężczyzna musiał robić na Alicji wrażenie i bezgranicznie jej imponować. On – jedynek, syn bogacza, właściciela ziemskiego i biznesmena, ona – uboga, kiepsko wykształcona wnuczka krawca, która nawet nie zdołała poznać nazwiska swojego ojca. A jednak byli parą, jedną z najgorętszych, o której krążyły plotki, mimo iż napotykali przeszkody, jakie już dawno powinny ich rozdzielić. Dopiero tragedia, gdy stracili swoje nienarodzone dziecko, wstrząsnęła tymi, zdawało się, mocnymi fundamentami ich związku.

Sergiusz miał wielką ochotę zapytać Chełmickiego o jego uczucia do Alicji, ale nie zamierzał odkrywać, że znają się lepiej, niż Julian mógłby przypuszczać. Mimo że „Kary” wyczuwał w Julianie Chełmickim rywala, postanowił mu pomóc. Dobrze pamiętał, jak wiele kosztowało go to, że nie zdołał pożegnać swoich rodziców, zanim dopadła ich bolszewicka ręka sprawiedliwości

społecznej, jak niekiedy o tym myślał ze wzgardą. Poza tym Sergiusz nie miał pojęcia, kim dla niego jest Alicja, która niekiedy irytowała go tak bardzo, że nachodziła go ochota, by przetrzepać jej skórę. Wyczuwał jednak, że są do siebie bardzo podobni. Niepokorni i krnąbrni, a niekiedy naiwni i gotowi dla swoich bliskich poświęcić bardzo wiele.

– Dobrze, załatwię ci kwity. Tylko ubierz się, że tak powiem, mało elegancznie. Jakiś waciak, znoszone trzewiki i obowiązkowo wypłowiały beret. – Sergiusz uśmiechnął się, po raz pierwszy odkąd rozpoczęli rozmowę. Po chwili dodał: – Jesteś moim pomocnikiem, będziesz ładował skrzynki z wódką. Nie ma rady, musimy coś z tych twoich Chełmic przywlec do Warszawy.

– Dziękuję. Ile mam ci za to zapłacić? – zapytał uradowany Julian.

– Tylko tyle, ile będę musiał zapłacić dostawcy dokumentów. Jeśli jednak to problem, poradzę sobie bez twoich pieniędzy – szczerze odpowiedział Sergiusz.

– Nie, to żaden problem. I proszę, dolicz sobie za fatygę – mruknął nieco urażony Chełmicki.

Trudno było stwierdzić, dlaczego hojna propozycja „Karego” obruszyła go. Może nie chciał wyglądać w jego oczach jak ofiara losu, bo mimo delikatnych rysów twarzy „Kary” wręcz emanował męskością i siłą, a Chełmicki podświadomie wcale nie miał ochoty czuć się gorzej.

Wyruszyli następnego poranka. Julian nie pytał swojego towarzysza, w jaki sposób udało mu się zdobyć stosowne dokumenty, ale sprawiały wrażenie oryginalnych. Odsunął jednak od siebie wątpliwości i podejrzenia, nawet jeśli jego kompan wszedł w jakieś układy z okupantem, był użyteczny dla Armii Krajowej, a jemu zupełnie bezinteresownie pomógł. Nie spodziewał się również, że „Kary” chce w ten sposób infiltrować podziemie, gdyby miał takie intencje, zapewne przyłączyłby się do nich i zostałby przyjęty z otwartymi ramionami, mając takie koneksje. Nurtowało go jednak pytanie, jakie to były koneksje i jak dalece „Kary” bratał się z wrogiem, by osiągnąć swój cel, a przy tym dorobić się okazałego majątku. Kim był, u licha, ten tajemniczy człowiek, który z jednej strony budził w Julianie podziw, z drugiej pogardę? Jak widać, potrafił załatwić niemal wszystko, ale Chełmicki uważał, że zarabianie na zniewolonej ojczyźnie jest niemoralne.

– A twoja matka? Żyje? – zagadnął „Kary”, gdy cisza zrobiła się nieznośna

i nienaturalna.

– Tak. Żyje, ale dzieje się z nią coś niedobrego. Nie mam na myśli jej zdrowia fizycznego. Raczej chorobę duszy – westchnął Julian, używając eufemistycznego określenia na jej pogłębiające się problemy psychiczne. Nie chciał jednak zwierzać się „Karemu”. Uważał to za zbędne.

– A żona, dzieci? – nie dawał za wygraną Sergiusz, chcąc okrężną drogą dojść do nurtującego go pytania, a mianowicie, czy Alicja jest wciąż kimś ważnym w jego życiu.

– Chyba w tym względzie nie należę do szczęściarzy. – Uśmiechnął się smutno. – Dwa razy miałem się ożenić i w obu przypadkach moje związki się rozpadły. Chyba nie powinienem nigdy oświadczać się żadnej kobiecie, bo gdy tylko to robię, od razu los pokazuje mi figę z makiem. A ty?

– To nie jest właściwy czas na zakładanie rodziny. Poczekam z tym, aż ta cholerna wojna się skończy – enigmatycznie odpowiedział „Kary”.

– A jeśli będzie trwała bardzo długo? Albo zginiesz? Dobrze jest umierać ze świadomością, że ktoś będzie za tobą płakał. – Chełmicki roześmiał się sztucznie.

– No jak to? Wy na pewno będziecie, bo nikt nie sprzeda wam karabinów za taką cenę. – Sergiusz także się roześmiał.

Była jednak w tej rozmowie jakaś sztuczność. Jakby obaj chcieli ukryć wzajemną niechęć.

– Wybacz, cały czas myślę o ojcu. Wiem, że chcesz mnie jakoś oderwać od tych rozważań beztróską pogawędką, ale to na nic. I tak z tyłu głowy mam myśli o tym, jak wiele ojciec dla mnie zrobił. – Julian ponownie zrobił zatroskaną minę.

– Rozumiem. Ja też długo nie mogłem dojść do siebie po śmierci swojego ojca. Tak jakby zabrakło w moim życiu drogowskazu. Zatem pomilczmy – odpowiedział spokojnie Sergiusz, nieco zły na siebie. Jego towarzysz przeżywał właśnie jedno z najtrudniejszych chwil w życiu, a on naciągał go na płytkie pogawędki, by wyłowić z nich to, na czym mu zależało.

Sergiusz nie miał także pojęcia, dlaczego pomógł Chełmickiemu. Rzykował wiele, tak samo, jak w przypadku Alicji, i miał wrażenie, że coraz bardziej nadstawia karku. Zupełnie niepotrzebnie. Ani wyjazd dziewczyny, ani też wizyta Juliana u umierającego ojca nie były powodem, by stawiać na szali swoje bezpieczeństwo. Jednak wciąż napotykał na swojej drodze ludzi, którzy patrzyli na niego pogardliwie, bo zamiast chwycić za broń, on na niej zarabiał.

Nie tyle, ile mógłby, ale przy tak dużej ilości zostawało mu w kieszeni co nieco. Inni szeptali w kularach, że brata się z Niemcami, ale jak, do diabła, miał zajmować się takimi sprawami, nie mając w kieszeni skorumpowanych wrogów. Czuł się jednak nieswojo z łatką cwaniaka i dorobkiewicza, dlatego od czasu do czasu robił coś jedynie z dobroci serca, by zamazać w sobie ten niezbyt pochlebny obraz. A może w istocie zapędził się zbyt mocno, działając na kilku frontach, i zaczęły dopadać go wyrzuty sumienia, że ma tak wiele, gdy inni nie posiadają nic? Nie żył jak król i nie afiszował się swoją zamożnością, ale odłożone pieniądze i złoto dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Pokutowało w nim przeświadczenie, że gdyby pewnego dnia przekupił odpowiednich ludzi, jego rodzice nie skończyliby na szubienicy, w charakterze wrogów ludu. Bo gdzieś tam, na samym końcu ludzkiego charakteru, istniała taka kwota, która przysłańiała szczytne ideały.

Po ponad trzech godzinach zatrzymali się na podwórzu chełmickiej gorzelni i oczekiwali na magazyniera, który wyda im partię towaru. Kierownik zakładu chodził po terenie zakładu jak pan na włościach i Chełmicki z żalem stwierdził, że nie jest to stary zarządca, Biedziak, ale młody człowiek z kartą folksdojcza, czym chełpił się nawet niepytany.

– Pan kierownik to się trochę pospieszy, jeszcze dzisiaj musimy wrócić do Warszawy. A wieziemy towar nie dla byle kogo, tylko dla najważniejszych ludzi w dystrykcie – burknął „Kary”, chcąc jak najszybciej opuścić teren zakładu.

– Oczywiście, oczywiście, ale te leniwe gnoje ruszają się jak muchy w smole – usłużnie odpowiedział kierownik i pobiegł w stronę magazynu, krzycząc donośnym, ostrym głosem na każdego robotnika, którego spotkał po drodze.

– Gdy byłem mały, wydawało mi się, że to miejsce musiało być dziełem cudotwórcy. Nie mogłem pojąć, jak to się dzieje, że do zakładu wjeżdżają wozy z ziarnem, a wyjeżdżają skrzynki i beczki z alkoholem. – Julian smutno uśmiechnął się i dodał: – Ojciec chciał, żebym po kapitulacji powrócił tutaj i zajął się interesami. Ale nie zniósłbym chyba dobijania targu ze szwabami, nie mówiąc o współpracy z tym rozkrzyczanym gówniarzem. Ciekawe, skąd ojciec go wziął, bo zdaje się, że to nikt od nas.

– Twój ojciec pewnie musiał tak zrobić – westchnął Sergiusz i wpatrywał się w imperium Antoniego Chełmickiego.

Zapewne przed wojną ojciec Juliana wyobrażał sobie, że schedę po nim przejmie ukochany syn, gdy tymczasem Juliana najwyraźniej interesowały

kompletnie inne sprawy. Nie mówił o gorzelnii jako o miejscu, które musiał opuścić z powodu zawirowań dziejowych, ale o czymś, co jedynie w dzieciństwie go fascynowało. „Kary” wyczuł to, bo w jego życiu było inaczej. Nie mógł się wręcz doczekać, kiedy zostanie hodowcą koni, tak potężnym, jak jego ojciec, i takim znawcą tematu jak on. Widząc puste stajnie, nie mógł powstrzymać łez, że nigdy nie będzie mu dane stać się takim jak ojciec. A Julian martwił się jedynie, iż musiałby znosić niemieckiego pacholka w gorzelnii i robić interesy z wrogiem. Było jednak coś, co ich łączyło. Miłość do koni.

Po godzinie mieli załadowany samochód i ruszyli wolno leśnym duktem prowadzącym do posiadłości Chełmickich. Po kilkunastu minutach Julian kazał się zatrzymać, wysiadł z samochodu i piechotą ruszył w stronę domu. „Kary” miał na niego poczekać, ukrywając samochód w gęstwinie przy krańcu lasu. Kawałek dalej rozciągały się już tylko łąki i pola położone na falistych wzniesieniach, gdzie jedynymi widocznymi zabudowaniami była otoczona drzewami posiadłość Chełmickich.

Julian przemierzał znajome mu połączenie grząskiej ziemi, która gdzieś tam pokryta była plamami topniejącego śniegu. Wdychał rześkie, wiejskie powietrze i maszerował, od czasu do czasu pocierając dłonią udo, bo ból nogi dośkwierał mu niekiedy podczas szybkiego marszu. Przyzwyczyił się już do tego i miał świadomość, że owa dolegliwość będzie mu towarzyszyła jeszcze przez długi czas, jeśli nie przez całe życie.

Dotarł do drewnianego ogrodzenia, które oddzielało niegdyś pastwiska dla koni. Pamiętał, że Antoni potrafił godzinami wpatrywać się w swoje okazy i o każdym z nich rozprawiać z wielką pasją. W Chełmicach nie było już koni i trudno było orzec, jaki był dalszy ich los. Nie wiedział także, jak długo służbie udało się zachować ten fakt w tajemnicy przed Antonim i w jaki sposób zareagował, gdy dowiedział się, że drogie rumaki, o które dbał z taką pieczołowitością, zasiliły szeregi polskiego wojska idącego na Warszawę. Tak, bez koni to miejsce już nie było takie samo i nic nie wskazywało na to, by stary Chełmicki dożył czasów, by mogli bez przeszkód odbudować swoją hodowlę.

Przeskoczył przez kolejne drewniane zagrody i znalazł się przy tylnej furtce prowadzącej na posesję. Ukryta w gąszczu dzikiego wina, była prawie niewidoczna, dlatego Chełmiccy nigdy jej nie zamykali na kłódkę. Lekko zardzewiałe skrzydło furty zaskrzypiało głośno, jakby od dawna nikt go nie otwierał. Po drugiej stronie Julian znalazł się w miejscu, które było jego domem. Być może pora roku to sprawiła, a może brak należytej opieki nad posesją, ale

młody Chełmicki miał wrażenie, że stąpa po jakimś zapuszczonym miejscu, gdzie jedynie ptactwo i duchy mogły czuć się dobrze. Na kamiennych ścieżkach pojawił się żółtordezawy nalot, nieprzycięte krzewy, o tej porze ogołoczone z listowia, wdzierały się bezlitośnie na ogrodowe ścieżki, a fikuśnie kute ławeczki pokrywała warstwa rdzy. Niewielki staw pokryty był gdziegdzie brunatnymi, przegniłymi liśćmi, których nikt nie zebrał, gdy jesień dobiegała końca. Mała fontanna, ukryta w zacisznym miejscu ogrodu, otoczona niegdyś równo przyciętym żywopłotem, stała ponuro, oblepiona sinymi i zielonkawymi plamami. Alabastrowy ptak wieńczący fontannę miał odłupane skrzydło, które pogruhotane leżało przy fundamencie, w niewielkiej niecce, w tej chwili pozbawionej wody. Jego matka często przesiadywała w tym miejscu, wsłuchiwała się w szum wody i z lekko przymkniętymi oczami błędziła myślami w nieznanym Julianowi zakamarkach duszy.

W końcu znalazł się na dziedzińcu, gdzie stała jedynie zdezelowana bryczka, równie wiekowa, co ich stangret, Majkowski, i nie wpatrując się zbyt bacznie w fasadę domu, szybkim krokiem podszedł do drzwi wejściowych.

Ludmiła przeżegnała się na widok panicza. Przyzwyczajona była, że młody Chełmicki, nawet gdy odwiedził ich podczas wojny, wyglądał elegancko, a teraz ujrzała go w stroju wiejskiego parobka albo robotnika z gorzelni, w sfilcowanym berecie i wypłowiałej kufajce.

– Pan Julianek – jęknęła, krzywiąc usta. – A co to pan Julianek z transportu uciekł?

W normalnych okolicznościach zapewne rzuciłby jakiś dowcip, ale teraz nie był w nastroju do rozbawiania Ludmiły.

– Nie... Musiałem jeszcze coś załatwić – powiedział na odczepnego i wszedł do domu.

To, co go uderzyło, to przejmująca cisza. Pamiętał swój dom z czasów, gdy ten wypełniony był gwarem gości, muzyką z patefonu i krzątającą się służbą. Już poprzednim razem wydawało mu się, że pewne rzeczy odeszły w zapomnienie, ale teraz ta cisza przytłaczała go. I jakby szeptała mu szyderczo do ucha, że wraz z Antonim Chełmickim odejdzie pewna epoka, pielęgnowana przez niego tradycja otwartego domu i postępowych poglądów.

– Gdzie mama? – zapytał.

– Siedzi przy panu Antonim – szepnęła Ludmiła i powiesiła na wieszaku kufajkę Juliana, patrząc na nią zniesmaczona.

Chełmicki wbiegł po schodach i chwilę potem znalazł się w ciemnej sypialni

ojca. Grube kotary szczelnie zasłaniały okno i nie pozwalały promieniom światła przedostawać się do wnętrza. Nieopodal wezgłowie szerokiego łóża, na niewielkim postumencie, stała gromnica, której płomień pozwalał rozpoznać kontury mebli i drobną postać ojca, niknącą w piernatach. Obok łóżka, na drewnianym, prostym krześle, siedziała Izabela Chełmicka i trzymała w dłoni różaniec. Przesuwała gładkie paciorki i cicho odmawiała zdrowaśki.

– Mamo – powiedział cicho Julian i kucnął przy niej.

Podobnie, jak to było ostatnim razem, popatrzyła na niego jak na zjawę, jednak tym razem nie wypowiedziała ani jednego słowa. Zostawił ją pogrążoną w modlitwie i własnych nieodgadzionych myślach, po czym podszedł do łóżka i przysiadł na nim. Ojciec jakby ocknął się z drzemki i spojrzał na syna zamglonym wzrokiem.

– Przyjechałeś... – powiedział z trudem. – Czekałem na ciebie.

– Tak, tato. Jestem.

– Teraz to wszystko jest twoje... Wierzę, że kiedyś odbudujesz wielkie imperium Chełmickich. To twoje dziedzictwo... – szeptał Antoni.

– To nieważne. Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć – powiedział cicho Julian i wziął ojca za rękę.

– Posłuchaj, Julianie. Zapisy są u notariusza Wolskiego, znasz go, bywał u nas często. Wiem, że musisz się ukrywać, więc na razie zarządzanie majątkiem i opiekę nad matką powierzyłem młodemu Sabinczowi. To rzutki chłopak, znajdziesz go w gorzelni... Synu, chciałem dla ciebie innej przyszłości, ale wiedz, że jestem z ciebie bardzo dumny. – Antoni mówił cicho i wolno.

– Dziękuję, tato. Zawsze miałem obawy, czy akceptujesz to, co robię – powiedział równie cicho i zupełnie szczerze Julian.

– Synu, bronisz swojej ojczyzny... Czyż można wymarzyć sobie lepszego syna? Zwłaszcza że ja... Sam wiesz. Jednak ty nie pamiętałeś zaborów, dorastałeś w wolnej Polsce, która rosła w siłę i stawała się zamożnym państwem. Niełatwo z tego zrezygnować. Jesteś idealnym synem – mamrotał stary Chełmicki.

– O, tato, gdybyś wiedział, jak bardzo jestem nieidealny. – Julian machnął ręką.

– Dla mnie jesteś. Postaraj się o potomstwo, to wtedy zrozumiesz. A ród Chełmickich niech przetrwa. Nawet jeśli Rzeczpospolita miałaby nie przetrwać. Dzieci i ziemia to istota życia – dodał Antoni.

Julian pomyślał, że był bardzo blisko celu, by zostać ojcem i spełnić marze-

nie Antoniego, a jednak niefrasobliwość jego ukochanej pozbawiła go tej możliwości. Być może ta złość kierowana do niej wynikała z wpajanego mu przez lata przeświadczenia, że los daje Chełmickim tylko jedną szansę, bowiem od kilku pokoleń rodził się w tej linii tylko jedyny potomek. Ale był przecież Emil. W nim także płynęła krew ich znakomitego rodu, więc być może i Julian otrzyma od Boga kolejne błogosławieństwo.

Przez chwilę panowała cisza, jak gdyby Antoni szukał w sobie siły, by zdążyć przed śmiercią powiedzieć synowi to, czego nie zdołał przez ostatnie lata. Miał świadomość, że nie są w stanie nadrobić straconego czasu, który Julian poświęcił krajowi, a nie swojej rodzinie.

– Mamę Sabinicz zawiezie do ośrodka pod Lublin. To dobre miejsce, zaopiekują się nią właściwie – odezwał się ponownie.

I dopiero teraz dotarło do Juliana, że nie pomyślał o matce. Przecież to było niemal oczywiste, iż nie będzie mogła pozostać sama w Chełmicach. I kolejna myśl przyszła mu do głowy. Że oto nie będzie miał już domu, chyba że kiedyś, gdy wojna się skończy, powróci do Chełmic i na nowo przywróci mu ciepło i blask. Gdy człowiek wie, że ma rodzinny dom, wciąż czuje się dzieckiem, gdy go traci, nagle w bolesny sposób staje się dorosły. Dotychczas zajmowały go sprawy Polski i walki, ale gdzieś głęboko, na dnie duszy, istniała chełmicka aleja wierzbowa, prowadząca do dworku, jego domu, gdzie mieszkali rodzice. Teraz, gdy oni opuszczą to miejsce, posiadłość będzie jedynie skupiskiem budynków bez duszy, zimnymi murami, bo on i historia przerwali ten łańcuch ciągłości rodu. Czuł się jak słabe ogniwo, które nie zadbało o to, by ten dom wciąż istniał jako dziedzictwo Chełmickich.

Gdyby podjął decyzję i ożenił się z Adrianną przed wybuchem wojny, być może dzisiaj by tutaj była i pełniła honory pani domu, a być może nawet dziecko, które spłodziła z jego bratem, byłoby jego. Wszyscy się pogubili. I on, i Adrianna, a także Emil.

Antoni Chełmicki jakby czytał w myślach swojego syna, bo w końcu powiedział cicho:

– Jeśli kiedyś spotkasz się z Emilem Lewinem, powiedz mu, że mu wybaczam i sam proszę o wybaczenie...

– Dobrze, tato. Powiem mu.

– Jeśli kiedyś postanowisz, że coś mu się należy z naszego majątku, nie będę miał do ciebie żalu, choć on wziął sam... – Antoni zamilkł nagle i nie dokończył zdania.

Nie wypowiedział już ani słowa. Uśmiechnął się jedynie i z takim wyrazem twarzy odszedł ze świata, który tak bardzo kiedyś kochał. Antoni Chełmicki miał szczęśliwe życie i jedyne, czego mu brakowało, by się z nim pożegnać, to syn. Ale i tym razem los okazał mu łaskawość i Julian zjawił się w tych ostatnich godzinach, by mógł zostawić za sobą wszystko, z czego był dumny, i poczuć spokój, gdy przekraczał próg niewiadomego.

Julian posiedział jeszcze przez chwilę przy ojcu, trzymając jego wiotczącą dłoń, i płakał, żegnając na zawsze swoje dzieciństwo i młodość. Wiedział jednak, że nie ma zbyt wiele czasu, jeśli chce kiedykolwiek kontynuować dzieło ojca.

Wyprowadził matkę z pokoju, która pokiwała jedynie głową na wieść, że ojciec odszedł, i ani przez moment nie zmieniła wyrazu twarzy. Julian czuł ból nie tylko z powodu śmierci Antoniego, ale także dlatego, że musiał opuścić Izabelę, która niebawem znajdzie się wśród obcych jej ludzi.

Pożegnał się ze wszystkimi i był rozdygotany. Miał świadomość, że powinien tu zostać, być z bliskimi i uczestniczyć w pogrzebie, by godnie pożegnać ojca. Ale wiedział, że ostatnia droga ojca może stać się ostatnią również dla niego. Ruszył biegiem w stronę zardzewiałej furki ukrytej na końcu ogrodu, minął płoty okalające pastwiska i zanim dotarł do lasu, jeszcze raz się obejrzał, by omieść wzrokiem swój rodzinny dom. Połykając łzy, wspominał przyjęcia i gwar tego miejsca, swoich przyjaciół, którzy teraz walczyli po różnych stronach barykady, ekscentrycznych artystów roztaczających swoje malarskie i literackie wizje, wreszcie brata, Emila, który przyszedł do dworku po śmierci swoich rodziców, a on nie miał pojęcia, skąd niechęć tego obdartego chłopaka do jego osoby. I byłby skłonny wiele mu wybaczyć, bo rozumiał jego rozgoryczenie zachowaniem ojca, ale nie mógł mu darować zdrady ojczyzny, która była dla Juliana równie ważna, co Bóg i honor. Co innego, gdyby w ogóle się nie angażował w sprawy kraju, żyjąc w spokoju i patrząc z boku na wojenną zawieruchę, ale dobijanie i tak osłabionej Polski było po prostu świętokradztwem.

Kiedy młody Chełmicki dotarł do ciężarówki, Sergiusz stał oparty o maskę i palił papierosa. Nie zapytał Juliana o to, jak się mają sprawy. Wystarczyło mu, że popatrzył na jego twarz, która mówiła więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Do Warszawy? – zapytał rzeczowo „Kary”.

Julian pomyślał przez chwilę. Wiedział, że powinien spotkać się z młodym Sabiniczem, który tymczasowo objął pieczę nad majątkiem, ale prawie go nie

znał i obawiał się, że ten nie będzie miał skrupułów, by wydać go Niemcom. Zwłaszcza że zatrudnił tego obrzydliwego, krzykliwego folksdojczka, który traktował Polaków z wyższością i Bóg jeden wiedział, czy nie pastwił się nad pracownikami gorzelni.

– Tak... Do Warszawy – powiedział z westchnieniem Julian.

Ruszyli grząską drogą, słuchając od czasu do czasu dźwięku butelek obijających się o siebie, gdy jechali po nierównym trakcie. Nie mówili wiele, jedynie wymieniali zdawkowe informacje.

Pod wieczór dotarli do stolicy.

– Gdzie cię zawieźć? – zapytał „Kary”, gdy wjechali na ulice Warszawy.

Julian podał adres i niedługo potem stanął przed kamienicą na Hożej. Przypomniawszy sobie pewne chłodne zimowe popołudnie, gdy przepełniony nadzieją i wiarą dotarł w to miejsce po pobycie w Wielkiej Brytanii. Mimo niepokojących widoków, jakie napotkał w zbombardowanej stolicy, wciąż był pełen optymizmu, że ta zawierucha nie potrwa długo i dzięki pomocy aliantów pokonają Niemców. Tymczasem nic nie zapowiadało końca wojny, a oni musieli podać rękę innemu wrogowi, Związkowi Radzieckiemu. Chełmicki nie wierzył jednak w dobre intencje Stalina i miał opory, by wchodzić w układy z polskimi komunistami, ale nie on podejmował decyzje. Robił, co mógł, aby jego ojczyzna była wolna, a słowa ojca na łożu śmierci jeszcze bardziej podbudowały jego wiarę w słuszność swojego postępowania.

Był jednak także człowiekiem, targanym wątpliwościami i pragnieniami właściwymi jego wiekowi. Chciał poczuć bliskość drugiego człowieka, kobiety, która będzie go kochała i wspierała. Istoty, za którą będzie mógł tęsknić podczas swoich niebezpiecznych misji, i pełen przeświadczenia, że i ona za nim tęskni. Dzisiaj zrozumiał, że jedyną osobą, której miłość czuł o każdej porze dnia i nocy, jest Weronika. I mimo że on sam nie darzył jej uczuciem, jakim powinien, pragnął być kochany i rozpieszczany. Dotychczas w jego życiu był ojciec, niemal bezkrytycznie patrzący na niego, i gdy go zabrakło, poczuł ogromną samotność i pustkę. Pomyślał o Alicji. Uwiodła go kiedyś właśnie sposobem, w jakim go kochała, ale teraz zobaczył w tym bezgranicznym uczuciu rysy i pęknięcia. A Weronika, chociaż była spokojną, mądrą i wyważoną kobietą, zawsze dawała mu poczucie absolutnej akceptacji, nie próbując go ani krytykować, ani zmieniać. I w tym momencie potrzebował tego najbardziej.

Nie mylił się. Weronika za każdym razem, gdy spotykała się z Julianem, zapominała o sobie. Była gotowa zmienić poglądy, zaakceptować niezdecydo-

wanie Chełmickiego, wreszcie Alicję, o której rozprawiał, nie zastanawiając się, jaki ból sprawia tym zakochanej w nim kobiecie. Jego problemy stawały się jej kłopotami, jakby współodczuwała wraz z nim, co złe i przykre. I chociaż utrata ciąży przez Rosińską, powinna być dla niej światełkiem nadziei na ich wspólną przyszłość, cierpiała razem z nim. Nie tylko z powodu utraty potomstwa, ale także z uwagi na zachowanie Alicji, które według niego było nieadekwatne do sytuacji. „A czegoż się spodziewałeś po tej cichodajce?” – myślała niekiedy w złości, gdy Julian nie potrafił pojąć tak chłodnego zachowania swojej wybranki. Weronika także zachowywała powściągliwość i przeżywała trudne chwile w samotności, ukazując innym jedynie maskę spokoju i akceptacji, ale Alicja według niej była prosta i spontaniczna, więc jeśli nie rozpaczała po śmierci swojego nienarodzonego dziecka, oznaczało to, że nie cierpi wcale. Ot, jeszcze jedno zawirowanie losowe, z którym należy się pogodzić. Jakby Alicja nie rozumiała, co to dziecko znaczyło dla Juliana. Weronika Sarnowska była tak zaślepiona uczuciem, że ani przez moment nie zastanowiła się, co ono oznaczało dla jego matki.

– Ojciec zmarł – powiedział Chełmicki w drzwiach, zamiast powitania.

– Boże jedyny... – zatroskała się Weronika i wtuliła się w Juliana. – Wejdz, opowiesz mi wszystko.

Tego właśnie oczekiwał. Ramienia, w które mógł się wyzalić, wyciągniętej dłoni i bezinteresownej miłości, jaką mogła obdarzyć go piękna i mądra pani doktor.

38. Witebsk, 1943

Igor Łyszkin miał świadomość, że spieprzył sprawę. Mimo że niemal codziennie zastanawiał się nad najlepszym rozwiązaniem, wciąż nie mógł podjąć decyzji i teraz stał skruszony przed generałem i wysłuchiwał jego wyrzutów.

– Co się dzieje, do pioruna? – zapytał ze złością Sudopłatow.

– Czekałem, aż powstanie pełny raport. Nie tylko niemiecki, ale także przedstawiciele Czerwonego Krzyża. Jeśli podjąłbym decyzję o zdjęciu tego Lossowa teraz, zrobiliby się czujni i nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co znajduje się w raportach MCK, na które świat będzie patrzył mniej podejrzliwie niż na opowieści hitlerowców. – Igor starał się racjonalnie wyjaśnić swoje postępowanie i sam doszedł do wniosku, że owo wytłumaczenie jest jak najbardziej stosowne i wiarygodne.

– To ma sens, ale obawiam się, że im dłużej zwlekamy, tym mniejsze mamy szanse na pojmanie jeńca. Sami mi relacjonowaliście, że do Smoleńska i Katynia przybywają coraz to nowe zastępy wojska. Zapewne dlatego, by chronić dupska coraz ważniejszych oficjeli przyjeżdżających do Katynia, którzy chcą wykorzystać tę sprawę w odpowiedni dla nich sposób – mruknął Sudopłatow, coraz mniej zły, bowiem wyjaśnienia Łyszkinina zdawały się posiadać swoją mądrość. Po chwili dodał: – Dobrze. Wobec tego odpocznijcie kilka dni w Witebsku, a potem wracajcie do Katynia i w końcu dopnijcie swego. Towarzysz Stalin osobiście chciałby się zapoznać z raportami zarówno Niemców, jak i szwajcarskich lekarzy, by przygotować dyplomację do podjęcia odpowiednich kroków. Wzmianki prasowe to jeszcze nie dowody, ale jeśli ta dokumentacja trafi w ręce Polaków albo Brytyjczyków, to może oznaczać koniec naszych sojuszków. A zarówno jedni, jak i drudzy są nam potrzebni, by osłabić wroga na zachodzie. Jeśli tam będzie spokój, Hitler skieruje wszystkie swoje siły na Związek Radziecki, a wtedy nasza wygrana stanie pod znakiem zapytania – powiedział w końcu generał i pożegnał się z Igorem.

Łyszkin doskonale wiedział, że ma już mało czasu, by rozwiązać swój moralny dylemat. A musiał to zrobić, żeby z jednej strony, nie zaprzepaścić kruchego pokoju z Polakami i Anglikami, z drugiej, by nie okazać się świnią wobec przyjaciela. Były na tym świecie ważne sprawy, od których zależał los milionów ludzi, i małe, takie jak życie kogoś bliskiego. Ale Walter należał do świata Łyszkinina i ten nie wyobrażał sobie sytuacji, w której miałby narazić go na śmierć i tortury bez względu na to, jak ważne sprawy zdominowałyby jego

życie. W tej wielkiej polityce, historii, która rozgrywała się na jego oczach i którą poniekąd tworzył, były też zasady dotyczące tych małych drobinek, pojedynczych ludzi i ich wzajemnych relacji. Walter von Lossow był tak różny od Łyszki, wierzył w potęgę kapitału i własną wygodę, tymczasem Igor kupił idea równości i braterstwa. Ale byli przyjaciółmi. Pili razem gorzałkę i grali w karty. Chełmicki także nie cierpiał bolszewików, a jednak pewnego dnia uratował mu życie. Nie komuniście i radzieckiemu szpiegowi, ale jemu, Igorowi Łyszkinowi. I on dzisiaj nie patrzył na nazistę i Niemca, chcącego zachwiać zawartymi sojuszami, ale na Waltera von Lossowa. A to zmieniało całkowicie optykę. Julian nie sprzeniewierzył się ich przyjaźni, chociaż może Igor byłby dla jego kompanów z Armii Krajowej łakomym kąskiem, ale zadziałał tak, jak podpowiadało mu serce. I on czuł podobnie. Pies jebał wielką politykę, bezsensowną wojnę i gierki dyktatorów, nie skrzywdzi Waltera, nawet jeśli nie zdobędzie tych cholernych dokumentów.

Igor Łyszkin, odkąd skończył piętnaście lat, twardo stąpał po ziemi i nie wierzył w cudowne zbiegi okoliczności. Tymczasem napotkał sytuację, która wydawała się wręcz niemożliwa. Spotkanie, którego nie był w stanie przewidzieć w żaden sposób. To go kompletnie sparaliżowało, jakby nie mógł uwierzyć, że oto wśród milionów żołnierzy na terenie największego kraju na świecie ujrzał swojego przyjaciela. Tak jakby jakaś niewidzialna siła przywiodła go do miejsca, gdzie musiał zdać najważniejszy egzamin podczas tej wojny i wystawiła na próbę jego przyjaźń z Walterem von Lossowem.

Te kilka dni wolnego było bardzo na rękę Igorowi, który z natury nie umiał odpoczywać, gdy nie wypełnił do końca powierzonego mu zadania. Teraz jednak z ulgą przyjął ten prezent i postanowił rzeczywiście się trochę rozerwać. W domu, który był punktem kontaktowym Rosjan, zjadł suty obiad, napił się „rykowki”, a potem udał pod adres, gdzie urzędowały prostytutki. Wkroczył w mundurze niemieckiego oficera SS i wybrał dwie młodziutkie Białorusinki, które zaspokajały go przez niemal całą noc.

Następnego ranka, rozluźniony i szczęśliwy, że rozwiązał swoje dylematy dotyczące Lossowa, ruszył do Smoleńska, by wcielić w życie swój chytry plan. Miał trochę wyrzutów sumienia z powodu Hanki, że kolejny raz pozwolił sobie na uciechy cielesne z innymi kobietami, ale szybko doszedł do wniosku, że dla niej ważniejsze było to, co miał w sercu, a nie w rozporoku.

Dotarł do swojej kwatery w Smoleńsku późnym wieczorem i zastał swoich kompanów jak zwykle przy stole i jak zawsze ze szklankami wódki w rękach

i butelką na stole. Żywo o czymś dyskutowali, jednak gdy Igor przysiadł się do nich, zamilkli i zerkali jeden na drugiego, jakby byli czymś mocno zaaferowani, a nie bardzo chcieli się do tego przyznać.

– Co się dzieje, panowie? – zapytał Łyszkin, nie bardzo rozumiejąc zachowanie swoich kompanów.

– Panowie to wyginęli w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku – zarechotał sztucznie jeden z nich.

– Mamy problem – powiedział Iwan. – Myślę, że duży...

– To znaczy? – Igor zmarszczył czoło, czekając na ciąg dalszy.

Kolejna wymiana spojrzeń i nastąpiła cisza, jakby żaden z nich nie był chętny do opowiedzenia, co się właściwie wydarzyło.

– Pojmaliśmy jeńca... – zaczął niepewnie Iwan.

Łyszkinowi serce zaczęło walić jak oszalałe.

– Kogo? – zapytał, przelitykając ślinę i spodziewając się najgorszego.

– Porucznika z biura propagandy, naszego ptaszka, Waltera von Lossowa... – mruknął Iwan.

– I...? – zapytał niepewnie Łyszkin, spodziewając się hiobowych wieści, że oto coś poszło nie tak i jego przyjaciel zginął.

– Trzymamy go pod muszką w starych magazynach. I musimy nadać szyfrogram, żeby ktoś z NKWD go odebrał, ale trochę się boimy... – mruknął Kniejew.

– Boicie się, bo...? – pytał dalej Igor, bo jego towarzysze nie mówili, a sączyli powoli informacje, wielce czymś poruszeni i przestraszeni.

– Miał ze sobą teczkę. I papiery. Byliśmy pewni, że to raport, a wy nas za to ozłocicie, ale okazało się, że te dokumenty... to jakieś gówno, towarzyszu. Rozrysowany plan lasów w Katyniu i nic więcej. Żadnych fiszek z ekshumacji ani wniosków tych doktorków ze Szwajcarii. Po prostu zwykły szajs, jak to mawiają „frycki”. Obserwowaliśmy go cały dzień. Jeden z tych lekarzy wręczył mu teczkę, byliśmy przekonani, że to ich raporty, i dorwaliśmy skurwiela. A tam same śmieci. Trochę go Kalinin poturbował, ale co z tego, jeśli dokumentacja jest złożona w sejfie, w tym jasnym baraku na terenie wykopalisk, i strzeżona przez *Giermańców* jak wejście do sezamu. – Iwan Kniejew spuścił głowę, bo wiedział, że za chwilę posypią się w jego stronę niezbyt pochlebne słowa.

Ale Łyszkin był zbyt oszołomiony całą sytuacją, by wygłaszać reprimendy. Cały jego plan wziął w łeb, a teraz sytuacja była jeszcze bardziej skompliko-

wana niż kilka dni temu.

– *Job twoju mać* – przeklął cicho. – Muszę pomyśleć co dalej, bo inaczej generał obedrze nas ze skóry. I nie wazcie się mi przeszkadzać przez kilka godzin. Żeby was...

Wszedł do swojego pokoju i rzucił się na twardej tapczan. Położył ręce pod głowę i patrząc w sufit, myślał, jak uwolnić Waltera, a na osłodę zdobyć raporty Czerwonego Krzyża i niemieckich śledczych. Być może uda mu się dobić targu z Walterem. I nie dlatego, że miał w rękach życie Lossowa. W tym momencie to Walter, zapewne kompletnie nieświadomy, trzymał za jaja Łyszkina.

Po kilku godzinach wyszedł z pokoju i powiedział ostrym tonem do siedzących wokół stołu mężczyzn:

– Na razie nie meldujcie tego zatrzymania. Osobiście zajmę się tym człowiekiem i spróbuję wyciągnąć od niego informację, gdzie oprócz Katynia znajdują się kopie interesujących nas dokumentów.

– Przykręćcie mu jaja, to od razu powie. Ja to za miękki jestem na takie zabawy. Zastrzelić, to i owszem, ale żeby mi germańska krew tryskała na ubranie, to co to, to nie – zarechotał Kniejew, uspokojony, że nie poniesie kary za swój czyn. Sądził, że robi dobrze i tym samym zasłuży na pochwałę, ale Lossow bez dokumentów był równie przydatny, co ten na wpół ślepy pies kręcący się przed wejściem do ich kamienicy.

– Nadajcie tym z magazynu, że przyjadę w mundurze SS. Niech przypadkiem nie zrobią z mojej dupy jesieni średniowiecza – bąknął Igor i powrócił do swojego pokoju, by wcielić się w rolę Ottona Kriegego.

Gdy zapadał zmierzch, wsiadł na motocykl i udał się w lasy okalające Smoleńsk. Igorowi zdawało się, że ta część Związku Radzieckiego pokryta jest głównie lasami, o których wśród Niemców krążyły legendy. Nie zapędzali się więc w te rewiry, żyjąc w irracjonalnym przeświadczeniu, że kryją w sobie hordy na wpół dzikich ludzi, którzy traktują swoje ofiary w sposób wyjątkowo barbarzyński. Lasy tej części Europy były w istocie imponujące, poprzecinane rozległymi bagniskami, dzięki czemu radziecka partyzantka mogła się bezpiecznie rozwijać na tych terenach. Był to jednak czas, gdy grupy dywersyjne były bardziej potrzebne gdzie indziej, zatem wokół panował względny spokój. Igora także nie wysłano by tutaj, gdyby nie misja wyciągnięcia z rąk Niemców kompromitujących materiałów dotyczących śmierci polskich oficerów.

Wjechał w leśny dukt, bardziej przypominający grzędawisko, i z trudem pokonywał kolejne metry, co i rusz wjeżdżając na leśne poszycie dające możli-

wość przejechania wyznaczonej trasy. Miało jednak tę wadę, że gałęzie drzew bezlitośnie smagały mu szyję, dłonie i resztę ciała, a i kask nie dawał idealnej ochrony.

Przebycie kilkunastu kilometrów zajęło mu niemal godzinę i przez chwilę był pełen podziwu dla swoich kompanów, że zdołali samochodem przetransportować tam jeńca. Dotarł prawie na miejsce, postawił motocykl pod drzewem i ruszył dalej przez leśną gęstwinę, by dojść w końcu do niewielkiej polany, na której stały ceglaste mury należące niegdyś do jakiejś twierdzy czy bunkra, a potem stanowiły magazyny broni dla radzieckich partyzantów. Stanął w kniejach i dał sygnał latarką, że przybył, aby obecni na miejscu funkcjonariusze nie otworzyli do niego ognia. Po chwili zobaczył błysk światła, które za chwilę zgasło, by kolejny raz się zapalić. Wiedział już, że jest bezpieczny. Dotarł do budowli i odnalazł ciężkie blaszane drzwi, nieco już zaśniedziałe i sprawiające wrażenie, jakby były bramą do piekła. Zza załomu budowli wynurzył się żołnierz i powiedział:

– Przepraszam, musiałem się odlać.

Podszedł do drzwi i otworzył je z niemałym trudem. Znaleźli się w ciasnym pomieszczeniu o niskim sklepieniu i z okienkiem tak małym, że mogło pełnić jedynie funkcję wentylatora. Drugi z żołnierzy leżał na brudnym materacu i palił własnoręcznie skręconego papierosa, z którego dym kłębił się przy otworze okiennym.

– Mówiłem, Sasza, żebyś tu nie kopcił, bo się podusimy – warknął żołnierz do swojego kompana.

– Łapska mi odpadną od otwierania tych cholernych drzwi. Sam czekałeś na gościa, żeby za jednym zamachem wpuścić go i skoczyć w krzaki – burknął człowiek o imieniu Sasza.

W rogu pomieszczenia stała lampa na naftę i drewniany, siermiężny stolik z radiostacją.

– Nadaliście szyfrogram do dowództwa, że pojмалиście jeńca? – zapytał niby bez troski Igor, ale czuł lekkie zdenerwowanie.

Sasza zaśmiał się i kaszlnął.

– Wy, towarzyszu, to chyba z choinki się urwaliście. Ten złom ledwie łapie sygnał z bazą w Smoleńsku, do Witebska albo Mińska musielibyśmy chyba gołębia z *nowostiami* puścić.

– Gdzie jeniec? – odetchnął z ulgą Łyszkin.

– Dogorywa w naszej piwniczce po przesłuchaniu Kniejewa. – Tym razem

drugi z żołnierzy roześmiał się.

– Dajecie mu pić i jeść? – zapytał.

– Czyżbyście, towarzyszu, przestrzegali konwencji genewskiej? – zapytał złośliwie Sasza.

– *Duraki* – burknął Łyszkin. – A co nam po nim, jak zdechnie? To lepiej od razu go w lesie zakopać albo do bagna wrzucić.

– Co prawda, to prawda. Nawet miałem ochotę to zrobić, jak musiałem go naszą kaszą poczęstować – odpowiedział drugi z mężczyzn, o imieniu Wasyl.

– Zaprowadźcie mnie do niego – zażądał Igor.

– Tak jest. – Wasyl stanął na baczność, widząc, że przybyły oficer nie jest skory do żartów, a rzucone dowcipy wcale go nie bawią.

Zeszli obłupanymi schodkami w dół i znaleźli się w ciemnym korytarzu, z jednej strony przysypanym gruzem. Przed nimi ukazały się kolejne stalowe drzwi. Tym razem zamknięte na klucz przypominający niemal średniowieczny. Igor wszedł do środka i kazał żołnierzowi zamknąć drzwi. Powiesił zapaloną latarkę na klamce i rozejrzał się po małym, zatęchłym pomieszczeniu. W narożniku ujrzał skulonego człowieka. Nie miał munduru, był w samej bieliźnie, która zapewne niegdyś była biała, i miał bosa stopy. Na widok światła podniósł wzrok. Igor Łyszkin zobaczył twarz przyjaciela. Brudną i pełną krwawych wybroczyn. Podeszedł do niego, kucnął i wyciągnął w jego stronę rękę.

– Walterze, to ja, Łyszkin, już nic ci nie grozi...

39. Warszawa, 1943

Nadchodził zmierzch, gdy zmęczony Emil Lewin wchodził do kamienicy, w której mieszkał. Ostatnio był podenerwowany, ponieważ kilkakrotnie był wzywany na posterunek policji kryminalnej, zarówno granatowej, jak i do niemieckiej kripo. Wciąż wypytywano go o pannę Adriannę Daleszyńską. Ten śmieć, jej mąż, Kamil Grotowski, zasugerował, że Lewin może stać za zniknięciem jego małżonki. Emil miał nadzieję, że nie wezwą małego Szymona, ten bowiem mógłby pęknąć w obliczu przedstawicieli władzy. Jednakże Grotowski być może nawet nie wiedział o jego istnieniu, więc na razie pozostawiono go w spokoju.

Po kilku wizytach i odpowiadaniu na wciąż te same pytania Lewinowi puściły nerwy i poprosił o pomoc swoją nową narzeczoną, Renate. Ta nawet nie wypytywała, czy w istocie ma z całą sprawą coś wspólnego, tylko zainterweniowała u samego Vadera, by zostawiono Lewina w spokoju, w przeciwnym razie stanie się zbyt ostrożny i nigdy nie dowiedzą się, gdzie przebywa ta dwójka z piekła rodem. Pozycja Vadera załatwiła sprawę i od kilku tygodni Emil nie otrzymywał wezwań. Nie miał jednak pojęcia, że gdyby nie chęć zła-pania Chełmickiego i Rosińskiej, na nic zdałaby się interwencja Renate Zoll.

Cała sprawa wytrąciła go na tyle z równowagi, że wciąż oglądał się za siebie. Obawiał się także Grotowskiego, ten zakochany głupiec mógł pewnego dnia wpaść na pomysł, by samemu wymierzyć sprawiedliwość swojemu konkurentowi. Lewin doszedł do wniosku, że jeśli będzie miał tylko cień podejrzenia, że ten chce mu zaszkodzić, po prostu szepnie kilka słów właściwym osobom, a one już zajmą się Grotowskim. W końcu mąż Adrianny pracował w niemieckim banku i był narażony na liczne pokusy, wystarczyłby cień podejrzenia rzucony na niego, a byłby skończony.

W pewnej chwili poczuł szarpnięcie i, przestraszony, odwrócił się gwałtownie. Zobaczył przed sobą człowieka, którego znał, ale o którym jak najszybciej pragnął zapomnieć.

– Lejb Zelman – wykrztusił.

Lejb rozejrzał się dookoła i powiedział:

– Po tej stronie to ja jestem Józek Poniatowski. Dobrze, no nie?

– Więc, jak mnie znalazłeś, Lejb... Józek? I po co? – zapytał Lewin, przełykając ślinę.

– Zapomniałeś o swoim przyjacielu za murem... – bąknął Lejb.

- Przecież wyszedłeś... Uciekłeś? – mruknął Lewin.
- Nie uciekłem, za pieniądze możesz kupić i jedzenie, i lepszą chałupę dostać, i przechodzić sobie na aryjską stronę – powiedział Zelman.
- To dobrze...
- Emil wciąż nie był pewien, co Lejb Zelman może od niego chcieć. Rozliczył się z nim przecież co do grosza. A potem przestał się zajmować procederem, który niezbyt przypadł mu do gustu. I to nie tylko z powodu niepewnego zarobku, ale i ryzyka otrzymania kulki.
- A wiesz, Lewin, dobrze i niedobrze, bo mnie się mamona skończyła, a ty, zdaje się, nie rozliczyłeś się ze mną jak należy. – Złapał Emila za poły marynarki.
- Posłuchaj, Lejb. Rozliczyłem się co do górala. Po prostu skończyłem z tym, bo mi po piętach tacy jedni deptali. Sam rozumiesz.
- A skąd ja mogę wiedzieć, że ty mi prawdę mówisz? Lewin pewnie дума, że Lejb to taki kapcan i był dobry do geszeftu, a potem można Lejba okantować. Wy, goje, to lepsze franty jesteście – wycedził.
- Pod Bogiem mówię, zem z tym skończył. Wszedłem w inny biznes i do tamtego wracać nie chcę. Od takich geszeftów to można kulkę zaliczyć – zaczął tłumaczyć się Lewin.
- A jakież to interesa prowadzi teraz mój fraynd? – zaciekawiał się Zelman.
- O, tak handluję na boku czym popadnie. Głównie żarciem. I nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek byli przyjaciółmi. – Emil machnął od niechcienia.
- Szmugielek widzi mi się. To możemy i w ten geszeft wejść. Ty mnie, ja za mur. Cymes. – Lejb potarł dłonie.
- A przecież was tam już garstka się została. I pewnie wszyscy wydrenowani na amen – prychnął Lewin.
- Nie bój się, nie bój. Już ja znajdę zbyt, tylko cenę od ciebie muszę dostać akuratną – oblizał się Zelman.
- Ty, Lejb, nie bądź taki cwaniak hop do przodu. Jakbym chciał opchnąć towar po akuratnej cenie, to bym swoim sprzedawał, nie pejsakom... Żydom – zirytował się Lewin.
- Ganc, może być i pejsak, i tak wszyscy wiedzą, że wy, goje, nas, Żydków, nienawidzicie. Pewnie zacieracie graby, jak widzicie, że nas w Warszawie mniej coraz – zaszydził Lejb.
- A ty, Żyd, i własnych braci chciałeś wydawać Niemcom. Więc mnie nie

pouczaj – zdenerwował się Lewin.

– Toż to goje majątek za milczenie oddawały, nie nasze. Ale trudne czasy mamy, panie Lewin, a ktoś musi przetrwać, żeby nasza wiara nie zaginęła. Jak tak dalej pójdzie, to nikt nie ocaleje. To jak, robimy ten geszefcik?

– Podrzucę ci trochę towaru, ale idź już, bo z daleka cię Żydem czuć i nawet Józek Poniatowski w papierach nie pomoże.

– I szafa gra, Lewin. A teraz się przejdę po naszych podopiecznych, może jeszcze im co zostało. Więc niech wspomogą starszych braci w wierze – powiedział Lejb i ruszył w stronę bramy.

– A rób, co chcesz, durny pejsaku – mruknął pod nosem Lewin i powrócił do domu.

Nie był uradowany z faktu, że jego kontakt z getta tak po prostu łąził sobie po aryjskiej stronie i próbował go nagabywać. To mogło rodzić obawy, że pewnego dnia doniesie komuś o procederze, którego Emil się dopuszczał, gdy musiał zawiesić swoje interesy związane ze szmuglem jedzenia do Warszawy.

Lewin wszedł do kuchni, chwycił pajdę chleba, kawał kiełbasy i zaczął w pośpiechu pałaszować posiłek. Na ciepłą strawę nie miał co liczyć. Renate jadała w pracy i nie miała najmniejszego zamiaru gotować posiłków tylko dla Emila i tego małego przybłądy, Szymka. Mały Karolek zaś jadał u sąsiadki, która prawie zastąpiła mu matkę.

Lewin zatęsknił za Adrianną. Naprawdę stworzyła mu dom, o jakim kiedyś marzył. A przy tym nie przestała być damą. Piękną i dystygowaną. Gdy włożyła ładną sukienkę, wycisnęła na włosach fale i pociągnęła usta czerwoną szminką, była nawet urodziwsza niż Renate. Tak, uroda Adrianny nie była tak nachalna i budziła w mężczyznach raczej chęć roztoczenia nad nią opieki aniżeli zaciągnięcia jej do łóżka.

Renate próbowała nawiązać z nim jakąś prozaiczną rozmowę, ale wykręcił się zmęczeniem i poszedł do sypialni. Nie zapalając światła, usiadł na krześle i wpatrywał się w zapadający za oknem zmierzch. Pragnął cofnąć czas. Chciał, żeby stał się cud i Adrianna wróciła do niego. Przymknął powieki i zapłakał.

– Co ja zrobiłem? Co ja zrobiłem? – szeptał do siebie i kiwał się na krześle jak osieroczone dziecko.

Pamiętał, kiedy ostatni raz tak fatalnie się czuł. To było dawno temu. Także z powodu Adrianny. Gdy potraktowała go jak śmiecia, a on zaprzysiągł sobie, że wyjdzie na ludzi, zdobędzie pieniądze i ogładę, i wówczas zyska jej miłość. Być może gdyby nie ona, nie byłby taki zdeterminowany, by dokopać swojemu

ojcu i bratu. Tak, to duma nakazała mu pewnego dnia wyruszyć do Warszawy i poszukać szczęścia. A kiedy już zdobył pannę Daleszyńską i pokochała go całym sercem, on potraktował ją okrutnie, by potem pozbawić życia. Pomyślał sobie, że musi być opętany przez samego Belzebuba, jeśli dopuścił się podobnego czynu. Co gorsze, odkąd to zrobił, wciąż jej szukał wśród tłumu innych, niekiedy nawet jeździł w miejsce, gdzie ją pochował i chwilami myślał, że zwariuje. Kolejny raz jego porywczy charakter sprowadził na kogoś nieszczęście. Nie spodziewał się, że tym razem sprowadzi je również na niego samego.

Pogubił się w tym swoim mrocznym świecie, gdzie tylko on się liczył i jego szczęście. Ale czym było szczęście bez innych, bliskich mu ludzi? Teraz dopiero docenił fakt, że jest na świecie Karolek, tak bardzo podobny do niego, że nie miał już wątpliwości, czyim był synem, i miał Szymka, który mimo młodego wieku był jego najlepszym i najbardziej oddanym przyjacielem. Istniała także Renate, tak bardzo do niego podobna, jakby ulepieni byli z tej samej gliny. Więc kiedy nadchodził moment, taki jak ten, gdy nienawidził siebie i tego, co zrobił, to samo czuł do Renate. Złość i pogardę. Gdy potem rozgrzeszał swoje czyny, znajdując w końcu usprawiedliwienie i patrząc w lustro łazienkowe, mówił do siebie, że jest po prostu mądry i przystojny, a to, co robił, było konieczne, aby mógł normalnie żyć, wówczas i uczucie do panny Zoll przybierało cieplejszy odcień. Zaś kiedy nie mógł znieść własnego widoku i gardził sobą, podobny stosunek miał do Renate, nazywając ją w duchu zimną suką albo bezwzględna kurwą. Tak jakby była karą za jego obrzydliwe grzechy. Oboje taplali się w odmętach zła, zapatrzeni jedynie w swój własny interes, usprawiedliwiając swoje czyny złym traktowaniem w dzieciństwie i młodości.

Jednakże do Emila Lewina coraz częściej docierały wypowiedziane niegdyś przez Adriannę słowa, że powinien już dawno pozostawić przeszłość za sobą i żyć teraźniejszością. To były mądre słowa, ale on wciąż wygodnie zrzucał wszystko na nieudane dzieciństwo i brak miłości prawdziwego ojca. Teraz jednak docierało do niego, że ma po prostu paskudny charakter i jest na wskroś złym człowiekiem. Ale może nie do końca zepsutym, jeśli odczuwał tak straszne wyrzuty sumienia w stosunku do tego, co zrobił Adriannie? Chwilami już sam nie wiedział, czy dyktuje je tęsknota za nią, czy za tym, by stać się innym człowiekiem. Zabrnął jednak zbyt daleko w to piekło, które sam sobie stworzył, i miał tylko dwa wyjścia: albo palnąć sobie w skroń, albo zaakceptować siebie razem ze swoją bezwzględnością i egoizmem.

Tej nocy budził się kilka razy. Miał zroszone potem czoło i czuł, jak wali mu serce. Na szczęście Renate spała spokojnym i mocnym snem. Zastanawiał się, kiedy ona dojdzie do ściany, przy której on teraz stał. Nawet nie mógł z nią na ten temat porozmawiać, dla niej podobne dylematy nie istniały. Był jednak pewien, że i o nią pewnego dnia upomni się sumienie.

W mieszkaniu, do którego Alicja przyprowadzała dzieci z getta, znów panowała nerwowa atmosfera. Przyszła bowiem pani Gajewska, ograbiona niegdyś przez szmalcownika. Kolejny raz ktoś ją nachodził i naciągał na pieniądze. Problem w tym, że właściwie wszystko oddała poprzedniemu szantażyście i oboje z mężem żyli bardzo skromnie.

– Przecież Zajdlowie już są na wsi. Niech sobie gada... – Alicja wzruszyła ramionami.

– Ale on listy miał od rodziny z getta, adresowane na nas. Kto nam uwierzy, że nigdy Zajdlów nie widzieliśmy na oczy, jeśli na kopercie i nazwisko, i adres podany – jęknęła Gajewska i dodała cicho: – Mi się widzi, że to ten łącznik z getta. Wyglądał tak... semicko i co chwilę wtrącał jakieś słowo w jidysz.

– No masz ci los – burknęła Eleonora. – Jeszcze nam tylko Żydów zdrajców brakowało.

– Nic mu pani nie daje. Powie mu pani, żeby przyszedł za kilka dni, bo jeszcze pieniędzy nie zebrała, a ja już go wyśledzę i dopadnę. Jak nie po aryjskiej stronie, to w getcie – stanowczo powiedziała Alicja.

– A może go gestapo postraszyć? – warknęła Maria. – Sam musi się ukrywać, bo Żyd, więc niech nie będzie taki cwaniak.

– Jak on wpadnie, to i nas zabiorą. A ja tak się boję... – Gajewska zaczęła chlpać.

– To niechże pani zrobi, jak powiedziałam. A ja się z dziadem już rozmówię po swojemu. Trzeba było od razu wyśledzić gnoja i zastrzelić. – Alicja była wściekła, że po prostu odpuściły temat.

Gajewska przeżegnała się.

– Kto to widział ludzi mordować? Jakże ja bym tak mogła?

– Ktoś musi, pani Gajewska, bo niedługo to tu się kamień na kamieniu nie ostanie albo tylko same szwabki. Jak do naszych strzelają lub do obozów wywożą, to mają jakieś skrupuły? Żadnych – odpowiedziała Alicja z mściwością

w głosie.

– Ja rozumiem, że żołnierze albo partyzanci to robią. Ale normalni ludzie? Nie, to nie dla mnie – jęknęła Gajewska i kolejny raz się przeżegnała.

– Przecie nie każę pani iść i do Niemców albo szmalcowników strzelać. Mówię tylko, że należało ich się pozbyć. Ja bym takich skrupułów nie miała – burknęła Alicja, w istocie gotowa do wyeliminowania natrętów.

W dniu, w którym człowiek o „semickich rysach”, jak to określiła Gajewska, miał odwiedzić znajomą rodzinę, by wyłudzić od nich pieniądze za milczenie, Alicja stała w cieniu bramy kamienicy stojącej naprzeciwko. Ubrana w pielęgniarski czepek i płaszcz narzucony na biały fartuch, wyczekiwała na intruza. Poznała go niemal od razu. I nie dlatego, że wyglądał na Żyda. Przeciwnie, z pewnej odległości mógł uchodzić za polskiego albo niemieckiego urzędnika. Jednak zachowywał się podejrzanie. Rozglądał się nerwowo i jakby zastanawiał się, czy wejść od razu, czy jeszcze chwilę poczekać. W końcu podjął decyzję i zniknął w sieni budynku, w którym mieszkali Gajewscy.

Nie zabawił tam długo, zapewne dlatego, że Gajewscy odesłali go z kwitkiem, i ruszył szybkim krokiem w stronę getta. Co chwilę zerkał na zegarek, jakby bardzo się śpieszył. Alicja, niosąca sakwojaż z medykamentami, ledwie mogła za nim nadążyć.

Kiedy dotarli do szlabanu, zrozumiała, z czego wynikał pośpiech intruza. Stojący żołnierz nawet nie zerknął w dokumenty mężczyzny, tylko wpuścił go i jedynie skinął głową. Alicja podała przepustkę, udała, że nie słyszy sprośnych tekstów stojących funkcjonariuszy, i popędziła za szantażystą. Ten po kilkudziesięciu metrach wyciągnął z kieszeni opaskę z gwiazdą Dawida i naciągnął na rękaw płaszcza. Przeciął plac Muranowski, witając się machnięciem ręki z mężczyznami z Żydowskiej Straży Porządkowej. Byli to ludzie równie mocno znienawidzeni przez mieszkańców getta, co niemieccy funkcjonariusze. Niektórzy starali zachowywać się w porządku i pomagali jak mogli swoim braciom w wierze, ale nie brakowało i takich, których bezwzględność nie ustępowała tej stosowanej przez okupanta.

Alicja dotknęła kieszeni płaszcza. Spoczywał w niej pistolet otrzymany od „Karego” i po raz pierwszy od czasu, gdy zastrzeliła Martina Grossa, zamierzała użyć broni. Nie czuła wyrzutów sumienia ani nie miała dylematów, tak jak w przypadku Martina. Towarzyszył jej jedynie lęk, że może wpaść, jednak adrenalina wciąż pchała ją do przodu i dzięki temu strach jej nie sparaliżował. Tak, Alicja umiała już oswajać lęk. Wiedziała bowiem, że jeśli nie nauczy się

z nim żyć, skończy jak matka Juliana, zamknięta we własnym świecie i pogrążona bezustannie w czarnych myślach. Musiała pewnego dnia stanąć twarzą w twarz ze strachem i powiedzieć mu, że nie da się złamać. Każdy ryzykował pod butem okupanta, w niemal każdej minucie życia, musiała i ona przywyknąć do tego.

Dopadła drania w jego przestronnym, niemal luksusowym mieszkaniu. Nawet nie podejrzewał, że stojąca w progu jego mieszkania pielęgniarka przyszła wymierzyć mu sprawiedliwość, dlatego bez oporu wpuścił ją do środka.

– O co chodzi? – zapytał znużonym głosem Lejb.

Alicja wyciągnęła z kieszeni pistolet i wycelowwała w mężczyznę.

– O to chodzi, śmieciu, żeby już nikt nigdy przez ciebie nie płakał – wycedziła.

Lejb zbladł i zaczął łkać.

– Pani nie rozumie, pani nie wie, nie ma pojęcia, co tutaj się dzieje. Moja rodzina... Musiałem zapłacić fortunę, żeby nie wywieźli ich do Treblinki, a teraz muszą żyć w piwnicy jak szczury, żeby nikt się o nich nie dowiedział. Musiałem ciągle ich opłacać, każdy wyciągał łapy po pieniądze – zaczął jękać się Lejb.

– Kto ci pomagał? Jak się nazywał ten gnojek, któremu przekazywałeś adresy? – syknęła.

– Powiem, wszystko powiem. Tylko niech pani daruje mi życie. A może chce pani pieniądze i złoto? Oddam wszystko... – Mężczyzna był przerażony.

– To mów – powiedziała cicho Alicja, trzymając wciąż wycelowany w stronę Zelfmana pistolet.

– Lewin, jak Lenin tylko przez „w” w środku. Mieszka na... Zaraz mogę zapisać pani adres. Nie pamiętam numeru, ale mogę pokazać, gdzie to jest. Emil ma na imię. Nie Żyd, goj. On mnie szantażował, ale mówił, że to geszeft. A to nie był geszeft, tylko pospolity szantaż – beładnie tłumaczył się Lejb.

Alicja zadrżała. Emil Lewin, brat jej najukochańszej przyjaciółki. Ale czy w istocie stojący przed nią przerażony mężczyzna był tak niewinny, jak twierdził? Miała co do tego wątpliwości.

– Chciałeś wydawać Żydów, nie gojów – powiedziała stanowczo.

– Bóg mi świadkiem, nigdy bym tego nie zrobił. Sam jestem poniewieranym Żydem. A pani chyba wie, co z nami robią? My, naród wybrany, ciągle musimy błąkać się po świecie, znienawidzeni i pogardzani. – Lejb wciąż był zdenerwowany, ale zaczął dostrzegać w twarzy Alicji jakiś cień wątpliwości.

– Boga na świadka wzywasz, ty parszywcu? Pomagam żydowskim dzieciakom, żeby ich wszy i pasożyty żywcem nie zjadły, więc nie mów mi o cierpieniu Żydów, szmatławcu. Jesteś... – Nie dokończyła, tylko podniosła broń wyżej, gotowa zabić Lejba Zelmana.

Jednak, gdy już była tak blisko, dłoń zaczęła jej drżeć. Miała przed sobą ludzkiego śmiecia, bez którego świat stanie się lepszy i nawet jego współbracia temu przyklasną, a jednak nie potrafiła tego zrobić. Mrugała powiekami i mówiła do siebie w duchu, że to jedyna słuszna droga. Nawet jeśli w istocie ratował rodzinę, musiała się go pozbyć, by inni ludzie mogli zasypiać spokojnie. Ale coś nie pozwalało jej nacisnąć na spust bez względu na to, jak bardzo wierzyła w słuszność swojego postępowania.

W pewnej chwili zaskrzypiały drzwi do mieszkania i rozległ się głuchy strzał. Lejb Zelman osunął się na podłogę, łapiąc się za serce. Jednak to nie ona strzeliła. Odwróciła wzrok i ujrzała w pokoju ogromną postać Sergiusza.

– Zmywamy się – powiedział stanowczo i pociągnął za rękę oszołomioną Alicję.

– Skąd...? – chciała zapytać, ale... „Kary” odpowiedział jedynie:

– Nie teraz. Porozmawiamy później.

Zbiegli po schodach i wyszli na ulicę. Sergiusz wciąż ciągnął za rękę Alicję, bo ta nie mogła dotrzymać mu kroku i była oszołomiona zarówno jego pojawieniem się w mieszkaniu Lejba Zelmana, jak i jego śmiercią.

Kilka przecnic dalej Alicja zobaczyła znajomą furgonetkę „Karego”. Otworzył drzwi do części bagażowej, po czym syknął:

– Właź do skrzyni i ani mru-mru, dopóki nie znajdziemy się po drugiej stronie. Dzisiaj ciebie tu nie było.

Alicja zrobiła, co kazał, i weszła do obszernej skrzyni wypełnionej słomą, po czym przymknęła jej wieko. Usłyszała zgrzyt zamykanej kłódki, a potem dźwięk odpalanego silnika. Kilka minut później samochód zatrzymał się.

– Co im dobrego dzisiaj przywiozłeś? – zapytał jeden z żołnierzy.

– Wino, bracie. Czerwone wytrawne, nawet niezły rocznik – zaśmiał się „Kary”.

– Widzisz, jak to się dobrze oficjelom żyje, a my musimy puchy zreć i gówniane zupy – westchnął żołnierz i dodał: – Otwórz pakę.

– Tam tylko pusta skrzynka po wykwinionych trunkach, ale jak chcesz, to zagładaj. O, i masz na pocieszenie paczkę luksusowych cygar i bombonierkę dla dziewczyny – od niechcienia powiedział Sergiusz.

– E, jedź. Jak będą mi dawać do obiadu czerwone wino, to im będę zaglądał do każdej furgonetki, a tak mi się łap nie chce brudzić. I dzięki za to... – Podniósł nieznacznie pudełko, po czym machnął dłonią do drugiego funkcjonariusza, żeby ten otworzył szlaban.

Po aryjskiej stronie, „Kary” wjechał w jedną z bram i wypuścił Alicję ze skrzyni. Wyszła, otrzępując się z resztek słomy.

– Co ci, do cholery ciężkiej, strzeliło do głowy?! – ryknął, gdy wsiadła do szoferki.

– To był szmalcownik i należało się go pozbyć – odpowiedziała nieco urażona Alicja.

– I nie było nikogo innego do tej roboty? Tylko ty? Wystarczyło nadać chłopakom w getcie i oni by się nim odpowiednio zajęli! – Sergiusz nie przestawał krzyczeć.

– Nie znam tam nikogo. W każdym razie nikogo, kto mógłby zabić Zelmana – powiedziała cicho Alicja.

– Ty też nie mogłaś, idiotko. Czy wiesz, co by się stało, gdy Zelman pozostał przy życiu? Nie wyszłabyś już stamtąd. Przynajmniej żywa. – „Kary” wciąż był wściekły.

– Strzeliłabym – powiedziała godnie. – Ale, ale, jak ty w ogóle się tam znalazłeś? Jakbyś spadł z nieba...

– Obawiam się, że gdybym w istocie spadł z nieba, rozległby się huk większy niż przy nalotach Luftwaffe. – Sergiusz w końcu się uspokoił.

– Więc? – nie dawała za wygraną Alicja.

– Robię tam interesy. I tak sobie stoję na placu Muranowskim i gadam z takim jednym, a tu idzie panna Alicja z miną zbrodniarki i z ręką w kieszeni. Bóg mi świadkiem, nawet gdybym ujrzał cię pierwszy raz na oczy, od razu pomyślałbym, że masz zamiar kogoś sprzątnąć. Więc poszedłem za tobą i czekałem pod drzwiami, aż rozmówisz się z tym typkiem. W końcu znużyła mnie twoja konwersacja i załatwiłem temat za ciebie – powiedział, lekko się uśmiechając.

– Dziękuję – wydukała.

Zatrzymał samochód przed domem Teresy i zgasił silnik. Popatrzył na Alicję, z której uciekła cała buńczuczność.

– Powiedziałam „dziękuję” – powtórzyła cicho.

– Słyszałem – odpowiedział równie cicho i przyciągnął Alicję do siebie.

Powiódł oczami po jej twarzy. Przymknęła powieki i lekko rozchyliła usta

w oczekiwaniu na pocałunek. On jednak odsunął ją od siebie.

– Proszę, chociaż nie dodam, że polecam się na przyszłość.

Alicja była oszołomiona i nieco zdezorientowana zachowaniem „Karego”. Najwyraźniej się z nią bawił, chociaż nie miała już wątpliwości co do tego, czy mu się podoba. Chciała już wysiąść z samochodu, gdy zatrzymał ją gestem ręki i odjechał kawałek dalej, pilnie wpatrując się w lusterko.

– Poczekaj chwilę. Coś się u was dzieje. Tam stoi samochód gestapo i dwóch typów od nich. Poznam te mordy od razu.

– O Boże... – jęknęła Alicja i również spojrzała w lusterko.

Kilkanaście minut później ujrzała Teresę wychodzącą w towarzystwie tajniaków. Wsiedli do zaparkowanego przy bramie samochodu i odjechali.

– Nie możesz tam wrócić – powiedział stanowczo „Kary”.

– Wiem... Boże, Teresa... I muszę odebrać syna z ochronki, i nie mamy właściwie dokąd pójść – jęknęła ze zgrozą Alicja.

– Masz syna? Mówiłaś, że to dziecko, które straciłaś, to twoje pierwsze – zdziwił się Sergiusz.

– Bo to prawda, ale od jakiegoś czasu mam synka. Ma na imię Mateuszek – westchnęła.

– Rozumiem. To jedźmy po niego. Zabiorę was do siebie, a potem pomyślimy, co dalej, moja panno – również westchnął i poklepał Alicję po udzie.

Przejechali kilka przecznic i w końcu zatrzymali się przy niskim szarym budynku. Przez cały czas Alicja myślała intensywnie i zastanawiała się, kto je wsypał. Była bowiem przekonana, że zatrzymanie Teresy ma związek z ich działalnością na terenie getta i przemycaaniem dzieci na aryjską stronę. Bo cóż innego mogli od niej chcieć? A jeśli wpadła Teresa, Alicję oraz kilka jej koleżanek także mógł spotkać podobny los.

Przy dziecku starała się, aby jej głos brzmiał normalnie i spokojnie, a twarz nie zdradzała oznak zdenerwowania. Poza tym Mateuszek działał na nią kojąco niemal zawsze.

– Oto mój synek – zaprezentowała Mateuszka dumna mama, upychając dziecko w szoferce.

– Witaj, kolego – powiedział serdecznie Sergiusz i pogłaskał chłopca po płowej głowie.

– Będę jechał autem? – zapytał podekscytowany Mateuszek, zamiast powiedzieć „dzień dobry”, jak go uczyła jego nowa mama, Alicja.

Tęsknił za swoją prawdziwą mamą i ciągle czekał, aż się znowu pojawi, ale

kobieta, którą przez długi czas nazywał ciocią, też była dla niego dobra. Gdy któreś nocy kolejny raz zapłakał z tęsknoty za swoją prawdziwą matką, Alicja zaproponowała, że mu ją zastąpi i na nią również może mówić „mama”. Zdawała sobie sprawę, że to tylko słowo, ale jeśli miało pomóc chłopcu przywyknąć do nowej rzeczywistości, uznała, iż postąpiła słusznie. W istocie Mateuszek coraz częściej nazywał ją mamą, a ona go swoim synkiem, co za każdym razem niewymownie ją rozczulało.

– Synku, należy najpierw powiedzieć „dzień dobry” – ze śmiechem zwróciła mu uwagę, ale malec wpatrywał się z zaciekawieniem w zegary na desce rozdzielczej i duże kółko, które trzymał w dłoni znajomy jego mamy.

– Dajże spokój, Alicjo. Nie widzisz, że chłopak ma ważniejsze sprawy na głowie – powiedział ciepło Sergiusz i pojechał w stronę swojego mieszkania.

Ulokował Alicję i Mateuszka w jednym z wolnych pokoi i zorganizował jej ręczniki i przybory toaletowe.

– Zaraz przyniosę wam jakieś ubrania z pralni, żebyście mieli na zmianę. Mnóstwo ludzi nie odbiera swoich rzeczy, zapewne dlatego, że nie są im już potrzebne – powiedział z westchnieniem.

– Jesteś chyba moim Aniołem Stróżem – stwierdziła Alicja, zdejmując fartuch i odpinając czepek z włosów.

– O tobie pewnie tak będą mówiły dzieci z getta – zmieszał się Sergiusz.

– Moja misja już się zakończyła. I praca w Referacie. I kolejny raz muszę wszystko zaczynać od początku... Muszę natychmiast powiadomić dowódcę o zatrzymaniu Teresy.

– Ty odpocznij i zajmij się małym, ja to załatwię. No i jakbyś potrafiła, to może ugotuj coś ciepłego na kolację – powiedział ciepło.

– Chyba żartujesz, oczywiście, że umiem. Kartoflanek potrafię ugotować na dziesięć sposobów – odpowiedziała dumnie.

– To chwała Bogu, bo ja nie mam o tym pojęcia i jadam na mieście – westchnął.

Kiedy „Kary” opuścił mieszkanie, Alicja zaczęła rozglądać się dookoła, jakby poprzez sprzęty chciała lepiej poznać tego niezwykłego człowieka, który kolejny raz wyciągnął ją z opresji w chwili, gdy czuła się kompletnie bezradna. Jednak jego mieszkanie niewiele się zmieniło od czasu, gdy była tu ostatni raz. Wciąż było niemal puste i zimne, jak gdyby Sergiusz był tu jedynie na chwilę. Zastanawiała się, co grało w duszy tego mężczyzny i dlaczego nie traktował jej zbyt poważnie, jeśli wyraźnie miał do niej słabość.

Po chwili, jakby zupełnie bezwiednie, zaczęła porównywać go do Juliana. Byli tak różni i obaj na swój sposób fascynujący. Chełmicki był jednak dżentelmenem w każdym calu i oddanym patriotą, co niesamowicie jej imponowało, zaś Sergiusz czasami potrafił zachowywać się obcesowo, a sprawy zniewolonego kraju znacznie mniej go zajmowały niż zdobywanie majątku. A gdyby tak mogła popatrzeć na odbicie swojej duszy w lustrze? Nie była damą, to pewne, a i wzniosłe ideały nie zawsze jej przyświecały. Zatem była dokładnie taka jak Sergiusz. Ale być może to właśnie cechy, których sama nie posiadała, tak bardzo jej się podobały w Chełmickim. I może jego pociągała w niej spontaniczność, szczerłość i wreszcie kompletnie zwariowane uczucie, którym go obdarzyła.

Powróciła także myślami do spotkania z Lejbem Zelmanem. Jego współnikiem był Emil Lewin. Znała jego adres i powinna zrobić to, co w przypadku Zelmana albo powiedzieć komuś o tym, by załatwił sprawę. Ten człowiek już od dawna nie miał prawa, by żyć. Ona jednak, tak samo, jak to było poprzednim razem, gdy dowiedziała się o jego sprawkach, postanowiła milczeć, a tym samym ochronić go przed wyrokiem. Był bratem Hanki i Juliana. Płynęła w nim ta sama krew, a jej przyjaciółka bardzo go kochała i nigdy nie chciałaby jego śmierci. A może Lewinówna powinna się dowiedzieć, że jej braciszek to wyzuty z sumienia drań? Alicja wciąż nie była pewna, jak powinna postąpić. Jeśli jednak wypowie pewne słowa, już nie będzie odwrotu i zniszczy w oczach Hanki obraz brata. Postanowiła, że może kiedyś dojrzeje do tej decyzji i jej przyjaciółka pozna prawdę, ale Alicja była niemal pewna, że w tym momencie Hanka nie jest jeszcze na to gotowa.

Nie chciała dłużej się nad tym zastanawiać, pozostawiając te kwestie losowi. Miała teraz dziecko i ono było najważniejsze. Więc może nastał czas, gdy powinna zrezygnować i podobnie jak Hanka osiąść na prowincji, wypatrując końca wojny. Co jednak robiłaby na tym zadupiu, jeśli praca na roli jej nie pociągała, a siedzenie w domu odstręczało ją? To nie było życie dla niej. Musiała coś robić. Wzniosłego albo głupiego. Bo to była cała ona i raczej nie zanośli się na to, by szybko miało to ulec zmianie.

Wieczorem zasiedli we troje przy stole i w milczeniu spożyli przygotowany przez Alicję posiłek. Ta zerkała od czasu do czasu na „Karego” i zastanawiała się, czy woli jego mieć przy boku, czy chciałaby go zamienić na Juliana, gdyby posiadała taką moc. Pod koniec posiłku doszła do wniosku, że na tę chwilę Chełmicki nie byłby właściwą osobą na właściwym miejscu i dobrze było jej

tak jak teraz.

40. Magnuszew, 1943

„Zdziczeję na tym odludziu” – myślała niekiedy Hanka, gdy wychodziła przed swoje domostwo i widziała tylko suche sosnowe lasy i bezkresne pola. Jedyne, co miała, oprócz dzieci i zwierząt, to książki, które przemycała jej Irena w każdą sobotę, kiedy to spotykały się nad rzeką. „Wariatka” pożyczala dla niej książki gdzie się dało. Od księdza, felczera i lokalnych nauczycielek. Wszyscy byli zdziwieni, że oto niezbyt rozczytana kobieta, zapewne posiadająca także jakiś defekt umysłu, niczym erudyta grzebie w księgozbiorach i pożyczka książki. W swej aktorskiej sztuce wspięła się niemal na wyżyny udawania, wszak Irena czytać umiała bardzo słabo i wybierała powieści na podstawie okładek i ewentualnego polecenia przez ich właścicieli. Na pytanie zaś, czy lektura przypadła jej do gustu, miała zawsze tę samą odpowiedź, iż książka była bardzo ciekawa. Niekiedy ostatnie słowo zamieniała na „ładna” i szybko się zmywała, gdy ktoś próbował wciągnąć ją w dyskusję na ten temat. A że owe książki oddawała terminowo i zupełnie nieponiszczone, pożyczano jej rozmaite pozycje chętnie i patrzono z podziwem, że oto Irena pochłania wszystko, co wpadnie w jej ręce. Z uwagi na jej analfabetyzm Hanka otrzymywała cały przekrój ksiąg, począwszy od „Żywotów świętych”, a na romansach Miniszkówny kończąc. Nigdy wcześniej Lewinówna nie pałała sympatią do czytania, miała bowiem inne, ciekawsze zajęcia, a nade wszystko ludzi, których obecność potrzebna jej była jak powietrze. Los czy Bóg jednak postanowił, że ostatnie miesiące Hanka żyła jak eremita, jej dzieci bowiem były w wieku, który niekoniecznie robił z nich kompanów do dyskusji. Pozostało zatem słowo pisane, które chłoneła, nie zważając nawet, że owe „Żywoty świętych”, pożyczone od proboszcza, interesują ją w stopniu umiarkowanym.

Cotygodniowe spotkania z Ireną były dla Hanki jak święto. „Wariatka” przynosiła w to odludne miejsce ploteczki z Magnuszewa i na bieżąco informowała ją o poczynaniach okupanta. Hance zdawało się teraz, że Magnuszew to prawie metropolia i tak wiele rzeczy się tam dzieje. Tymczasem jej rytm życia wyznaczały wschody i zachody słońca, posiłki dzieci i karmienie inwentarza. Gdy nastala wiosna, doszedł jeszcze ogródek, ale był on dość systematycznie niszczoney wielkimi łapskami Ziotka. Ona zaś nie potrafiła zrobić solidnego ogrodzenia, którego nie sforsowałyby potężny mieszaniec.

Godziła się jednak powoli z nowym życiem, wyczekując końca wojny, jak więzień rysujący kreski na ścianie, gdy mijał kolejny dzień odsiadki.

Bardzo żałowała, że gdy Alicja była w Magnuszewie, nie zdołały się spotkać. Jej jedynej zdradziłyby swoje miejsce pobytu, ale teraz nie było wiadomo, kiedy kolejny raz jej przyjaciółka zawita w te strony. Tęskniła za nią i była bardzo ciekawa, jak się czuje Alicja w roli matki. Rodząc własne dziecko, instynkt budzi się prawie natychmiast i pozwala znieść kaprysy dziecięce, płacz w czasie choroby i bezsenne noce. Nie miała pojęcia, jak to jest, gdy ma się przy boku obce dziecko. Czy kocha się je tak samo, jak własne, a może właśnie do cudzego ma się większą cierpliwość?

Kombinowała jak mogła i nawet przemknęło jej przez myśl, żeby udać się do Warszawy, ale jak, u licha, miałyby znaleźć Alicję? Za bratem także tęskniła, ale Alicja pisała, że piękna Adrianna zastrzeliła się z miłości do Emila, a tymczasem jej miejsce zajęła podobno jakaś jędza. Hanka nigdy nie lubiła Adriannej, choć znała ją jedynie z czasów, gdy dumna i naburmuszona przechadzała się po chełmińskim rynku. Po chwili pomyślała, że w jej Warszawie tyle się dzieje, i nie tylko spraw związanych z wojną, a ona tu siedzi samotnie i powoli zaczyna się zamieniać w kobietę, którą niegdyś była. Tylko że wtedy był cały wielki świat Chełmic, ukochana Alicja i Jakub Mozel, którego wypatrywała, idąc po sprawunki czy do kościoła. Niechby chociaż Alicja jakie listy przysyłała przez Irenę, ale nie. Wszystko było nakierowane na bezpieczeństwo i powoli Hanka miała tego pustelniczego życia dosyć.

Uciekała w świat książek i snuła marzenia. O Igorze, wielkiej scenie i pięknych strojach, jakie niegdyś miała w swojej garderobie. Potem schodziła z nieba na ziemię i myślała o tym, że bolszewik przy jej boku i luksus to dwie rzeczy, które się wykluczają. Miała jednak nadzieję, że chociaż na jej występy sceniczne nie będzie sarkał i pozwoli, by chociaż przez kilka godzin dziennie poczuła smak sławy i bogactwa. Cóż z tego, że starzy Łyszkinowie byli bogaci i mogli po wojnie zapewnić im byt na wysokiej stopie, jeśli wybranek jej serca pragnął żyć jak robotnicy z proletariatu. Co zrobiłaby, gdyby nagle ktoś kazał jej wybierać między sławą i bogactwem a Igorem? Dzisiaj uciekłyby w świat bez miłości. Do wygody i wolności. Tak, w końcu poprzednia Hanka doszłaby do głosu. Jak sama niegdyś powiedziała, szczęście to budzić się co rano i mieć wybór. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej czuła, że nie ma żadnego wyboru. Gdyby miała pieniądze, zapewne zdołałaby umknąć za granicę i osiąść w spokojniejszym miejscu, gdzie pukanie do drzwi nie oznaczało wizyty gestapo. Mogłaby kupować lepsze jedzenie, a dzieciom zabawki. Marzyła, że wówczas nabyłaby Nadii najpiękniejszą lalkę, jaką udałoby jej się

znaleźć, nawet jeśli w tydzień później jej córka pozbawiłaby ją włosów. Poza tym byłaby to rekompensata za tę tęsknotę, którą czuła niemal każdego dnia, i lęk o bezpieczeństwo własne i dzieci.

A jeśli spotkałaby kogoś na swojej drodze? W jednej chwili odpowiedziała sobie na to pytanie. Nie sądziła, że kiedykolwiek byłaby w stanie pokochać kogoś tak mocno, jak Łyszkina. Taka miłość zdarzała się tylko raz w życiu i był czas, gdy mogła wiele dla takiego uczucia poświęcić. A niechby nawet karierę. Lecz jej dzieci rosły, miały coraz więcej potrzeb i musiała koncentrować się na ich bycie i przyszłości, zaś romantyczne uniesienia pozostawić na dnie duszy, aby poczekały na swoją kolej.

„Czy ty żyjesz, Igor?” – pytała niekiedy, spoglądając w niebo albo podczas prostych czynności, gdy na przykład sypała kurom ziarna albo dawała jeść Ziutkowi. „A może już nie żyjesz? I patrzysz na mnie z nieba? – mówiła do niego i dodawała: – No, teraz byłbyś ze mnie dumny. Żyję jak uboga chłopka, a przy tym światła, bom w życiu tylu książek nie przeczytała”.

Następnej soboty, gdy wyruszyła na cotygodniowe spotkanie z Ireną, ta przybiegła mocno czymś przejęta.

– Mówią we wsi, że jeżdżą Niemcy i na roboty do Rzeszy zabierają. Jak mi Bóg miły, mnie pewnie wywiozą, bo silna jestem i zdrowa! – krzyknęła.

– Chryste Panie – jęknęła Hanka i aż usiadła na zwalonym pniu leżącym tuż przy brzegu rzeki.

Nie była przerażona, że zabiorą ją. Opiekowała się dwójką małych dzieci, była chuda i mizerna, zatem mało atrakcyjna jako robotnica, ale była niemal pewna, że potężna i silna Irena będzie łakomym kąskiem. Poza tym nie miała dzieci ani nikogo innego pod swoją opieką. Chociaż czy dla Niemców mogło to stanowić jakąkolwiek przeszkodę? Obawiała się także, że gdy *Arbeitsamt* wytypuje Irenę do wywózki na roboty, ta zareaguje w sposób, który sprowadzi na nią kłopoty.

– Irena – powiedziała stanowczo – jak będą kazali ci jechać, to nie graj bohaterki. Pakuj manatki i jedź. Poradzisz sobie. Pewnie dadzą cię do bauera, a robota w polu to dla ciebie nie pierwszozna.

– Niech sami do bauera jadą tyrać. Ja się stąd nie ruszę. – Wzruszyła ramionami, jakby nie pojmowała, co ją może za tę krnąbrność spotkać. Po chwili dodała: – Bardziej się martwię, że ciebie, Hanka, zabiorą, a ty taka cherlawa

przecie.

– Mnie może zostawią w spokoju, bo sama jestem i jak mówisz, chuchro. Ale ty się nie stawiaj, broń Boże, bo z miejsca cię zabiją. – Hanka była coraz bardziej zdenerwowana nieprzejednaną postawą „Wariatki”.

– Już co wymyślę, żeby mnie nie wzięli... – mruknęła Irena.

W istocie kilka dni później do domu Hanka zapukali funkcjonariusze *Arbeitsamt*.

– Czemu nie stawiałaś się w urzędzie, zarejestrować się, jak wszyscy? – warknął jeden z mężczyzn, studiując jej kenkartę.

– A bo to ja wiedziałam, że trzeba – prychnęła Hanka i dodała, już mniej buńczucznie: – Nie widzi pan oficer, że ja tutaj na odludziu mieszkam i jakoś próbuję dwójkę małych dzieci wyżywić?

– A gdzie twój mąż? – zapytał funkcjonariusz.

– Pewnie w piekle się smaży, pijaczysko. – Hanka wzruszyła ramionami. – Już z rok będzie, jak go pochowałam w Mniszewie.

Mężczyzna pokiwał głową i popatrzył na Hanke. Przesunął wzrokiem po jej chudych rękach wystających spod rękawów sukienki i nieco podkrążonych oczach. Lewinówna wciąż nie dojadła, bo obawiała się, że nie wystarczy dla dzieci mleka czy jajek. Kawałek chleba o poranku i zazwyczaj cienka zupa nie były posiłkami mogącymi dodać jej krzepy.

– Jutro będziemy zabierać szczęśliwców. – Niemiec wyszczerzył zęby w nienaturalnym uśmiechu. – Musisz się stawić na plac przed szkołą o siódmej. Jak cię wyczytają, to znaczy, że znalazłaś się w tym zacnym gronie.

Hanka pokiwała głową jak automat i przełknęła ślinę. Obawiała się, że okazane dokumenty nie są wystarczająco dobre i Niemcy rychło odkryją, iż są jedynie fałszyfikatami. Jednak *Arbeitsamt* najwyraźniej nie było wyznaczone do tego, by tropić fałszywe papiery. Opuścili domostwo Hanka i pojechali dalej w poszukiwaniu osób, które dobrowolnie nie pojawiły się na posterunku w Magnuszewie.

Następnego dnia Hanka zjawiała się na placu, dźwigając na rękach Grzesia i prowadząc Nadie, która nieświadoma powagi sytuacji, co i rusz jej uciekała, by obserwować z zaciekawieniem budzącą się wiosnę. Plac przed szkołą był już zaludniony. Niektórzy ze zdziwieniem spoglądali na Hanke, której od dawna nie widzieli i byli przekonani, że wyjechała wraz ze swoim niemieckim kochankiem. Nikt jednak nie podszedł do niej, niektórzy zaledwie kiwali głowami, pozostali zaś udawali, że jej nie znają. Hance było to na rękę, w ten dzień

najchętniej stałaby się niewidzialna.

Przez zgromadzony tłumek przecisnęła się jakaś postać i dopiero po chwili w okutanej od stóp do głów osobie Hanka rozpoznała Irenę.

– A tobie co? – zagadnęła zdziwiona wyglądem „Wariatki” Hanka.

– Tyfusa mam – prychnęła Irena, a po tych słowach w jednej chwili wokół kobiet zrobiło się niemal pusto.

Po kilku minutach przed budynek wyszedł mundurowy i zaczął wyczytywać osoby, które wyznaczono do wywózki na roboty do Rzeszy. Hanka miała nadzieję, że spotka to w większości mężczyzn, ale wyczytywane osoby były różnej płci. Zrobiło się zamieszanie, jakaś kobieta zaczęła głośno łkać, ktoś inny próbował tłumaczyć funkcjonariuszowi, że ma chorą żonę i pięcioro dzieci na utrzymaniu. W końcu rozległ się strzał w powietrze i wszyscy momentalnie zamilkli, a wokół zapanowała niemal grobowa cisza.

– W czterdziestym mi dwóch synów zabrali, a teraz trzeciego – szepnęła cicho przerażona kobieta stojąca tuż za Hanką.

– Bednarek Irena! – krzyknął funkcjonariusz.

„Wariatka” nawet nie musiała się przepychać przez stojący tłum, bo ludzie sami się rozpierchli na boki. Irena, powłócząc nogami, podeszła do wyczytującego mężczyzny i podała mu kenkartę. Ten popatrzył na nią podejrzliwie, potem w dokumenty i zapytał ostro:

– Co ci jest?

Zanim Irena odpowiedziała, ktoś z tłumu krzyknął.

– Chyba tyfus złapała!

Funkcjonariusz odruchowo odsunął się od Ireny, po czym orzekł;

– Niech po zbiórce idzie do lekarza. Jeśli symuluje, zostanie rozstrzelana.

Nie wiadomo, czy słowa na temat kary podziałały na „Wariatkę”, czy w istocie coś jej było, bo Irena jak długa runęła na ziemię, tuż pod nogami funkcjonariusza, który ledwie zdążył odskoczyć od osuwającego się ciała tej potężnej kobiety. Przez tłum przecisnęli się mąż Ireny i wiekowy felczer.

– Zanieście ją do mojego gabinetu – orzekł felczer.

– A kto ją, panie, podniesie? – zarechotał jakiś jegomość z wyglądu w sędziwym wieku. Miał pooraną bruzdami twarz i raczej nie musiał się martwić, że znajdzie się na liście.

– Zabierzcie ją – fuknął żołnierz stojący obok, po czym szepnął coś do mężczyzny trzymającego płachtę papieru z zapisanymi nazwiskami osób jadących na roboty.

Ten niemal bez wahania wykreślił Irenę z listy. Kilku innych mężczyzn, nie wiadomo skąd, przyniosło starą, ale ogromną derkę i z niemałym trudem przenieśli w niej Irenę do białego domu felczera.

Na szczęście Hanka nie została wywołana. Najwyraźniej pracownicy z *Arbeitsamt* doszli do wniosku, że nie jest zdatna do ciężkich robót z uwagi na wychudzoną posturę i bladość twarzy, która mogła być oznaką jakiejś choroby.

Kiedy wszystko już było jasne i tłum zaczął się przerzedzać, a wyczytane osoby wsiadać do stojących na ulicy ciężarówek, Hanka szybkim krokiem ruszyła do domu felczera. Zostawiła dzieci pod opieką otyłej pielęgniarki i weszła do gabinetu.

– Co jej jest? – zapytała, zatrwożona.

– No co ma być? Jak tak runęła na twarde, to się poobijała cała – mruknął felczer.

– A tyfus? – jęknęła Hanka.

– Pani Hanko, a skąd niby miałyby złapać ten tyfus? Zdrowa jak byk – powiedział.

– Boże... Ale musi pan zameldować przecie...

– Zamelduję. Że to tyfus. Zapewniam, iż żaden z tych śmiazków nie zechce tego zweryfikować. Tymczasem niech ją Bednarek do domu zabierze i niech ją ręka boska broni ludziom się przez pięć tygodni na oczy pokazywać. A co u pani, pani Hanko? – powiedział.

– Ona jest nieobliczalna... – westchnęła. – Dobrze, doktorze, chociaż smutno mi tak samej na odludziu siedzieć. Ale musiałam...

– Niech mi pani już nic więcej nie mówi. – Machnął ręką.

Hanka podeszła do leżącej na łóżku Ireny i poklepała ją delikatnie po ramieniu.

– Co ci do głowy strzeliło, Irena? – zapytała, nieco rozzłoszczona. – Jakby zamiarkowali, że udajesz, to by cię zabili.

– Jakaśmy z lasu do Warszawy jechały, to mi kazałyście tyfusa udawać. No to udawałam. – Irena próbowała wzruszyć ramionami, ale chwilę potem wykrzywiła twarz w grymasie bólu. – Alem pizgła...

– Irenka, nie możesz tak ryzykować. Na roboty się jedzie i wraca, a jakby cię zastrzelili, to już koniec.

– A jakbyście sobie beze mnie poradzili? Ty to już nie chcesz mojej pomocy, ale Kazio to by ze trzy dni płakał.

„Wariatka” nawet nie miała pojęcia, jak bardzo Hanka jej potrzebowała.

I nie tylko do pomocy przy dzieciach czy ciężkich pracach gospodarskich, ale było jej po prostu smutno bez niej i jej codziennej obecności nie mogły zastąpić cotygodniowe spotkania na rzeką. Nie powiedziała jednak nic na te słowa, by Irena nie upierała się po raz kolejny, żeby Hanka zdradziła jej miejsce swojego zamieszkania.

– Ja i tak wiem, gdzie mieszkasz – powiedziała „Wariatka”. – A poszła ja kiedyś za tobą i jak Ziułka na podwórzu zobaczyłam, to wiedziałam, że nie z wizytą poszłaś, tylko tam mieszkasz.

Lewinówna uśmiechnęła się. Bo cóż innego mogła zrobić.

– Wiesz co, Irenka, to jak i tak już wiesz, to zachodź do mnie. Oczywiście, jak już z tyfusu wyjdiesz, żebyś mi dzieci nie pozarażała. – Puściła do niej oko.

Po kilku minutach opuściła dom felczera i wracając z dziećmi do swojego domostwa, myślała o Irenie. Mimo ułomności umysłu „Wariatka” robiła rzeczy, o które nikt by jej nie posądzał. Wykpiła się z robót tyfusem, a swoją wiedzę na temat miejsca pobytu Hanki zachowała w tajemnicy nawet przed nią. W prostocie jej charakteru istniała prawdziwa miłość. Większa niż do siebie samej. Skupiona na bliskich jej osobach, naturalna i prosta. I w tej prostocie tkwiło jej piękno.

41. Katyń, 1943

- Igor Łyszkin? – wyjęczał Walter von Lossow.
- Cicho – syknął Igor. – Nie odzywaj się. Ani słowem.

Lossow pokiwał nieznacznie głową. Był obolały, zziębnięty i cholernie chciało mu się pić. Nie zastanawiał się nawet, skąd się wziął jego przyjaciel, który teraz nachylał się nad nim i próbował sprawdzić, czy Walter nie ma żadnych złamań ani obrażeń mogących zagrozić jego życiu.

W końcu Łyszkin, nieco uspokojony stanem Waltera, podniósł się z klęczek i ryknął:

- Ubrać więźnia. Zabieram go do Smoleńska.
- Po chwili ciężkie drzwi zaskrzypiały i ukazał się w nich cień Saszy.
- W co mamy go ubrać, towarzyszu? – zapytał, przestraszony.
- W strój Dziada Mroza – warknął. – A w czym go przywieźliście?
- W mundurze SS... – bąknął Sasza.
- I w niego ubierzcie więźnia – ostro odpowiedział Łyszkin.
- Sam się ubiorę – wybełkotał Walter, ale Sasza nie zrozumiał i wciąż tkwił w drzwiach.
- Przynieś ten mundur, do cholery! – ryknął Igor.
- Sasza po chwili powrócił z ubraniem. Lossow z trudem naciągnął spodnie, włożył buty, nawet ich nie zawiązując, i wsunął bluzę munduru.
- Wezmę wasz samochód, a wam zostawię motocykl. Odbierzecie go sobie w Smoleńsku – warknął Łyszkin.

Nie miał pojęcia, jak przejedzie przez błotnistą drogę. Nie mógł jednak zabrać jeńca motocyklem, bo to od razu wzbudziłoby podejrzenia pilnujących go partyzantów, jako pogwałcenie wszystkich zasad bezpieczeństwa. Taki więzień w każdej chwili mógł zeskoczyć z motocykla i czmychnąć w ciemną cześć lasu, zanim wiozący go człowiek zdoła w jakikolwiek sposób zareagować. W samochodzie zaś jeńiec zostanie skuty kajdankami albo ogłuszony i tak przetransportowany w kolejne miejsce odosobnienia.

- Nie przejedziecie tą drogą, towarzyszu. Musicie naokoło, lasem. Tak jak my – zaczął jąkać się Sasza.
- Wskażecie mi drogę – bąknął Igor.

Na górze Łyszkin skuł kajdankami Lossowa i wepchnął go na tylne siedzenie kübelwagena. Porozmawiał chwilę z Saszą, który objaśnił mu inną trasę przez las i w końcu wąską drogą ruszyli spod bunkra. Igor miał wrażenie, że za

chwilę utkną w gęstych krzewach, a gałęzie drzew rozerwą na strzępy plandekę pojazdu. Po kilku minutach Łyszkin zatrzymał samochód, rozkuł Waltera i pomógł mu przesiąść się do przodu.

– Witaj, przyjacielu – odezwał się Łyszkin.

– Więc nadal nimi jesteśmy? – zapytał niepewnie Lossow.

– A miałeś jakieś wątpliwości? – Igor zaśmiał się, po czym spoważniał i dodał: – Zabiorę cię do Smoleńska, do swojej dziupli. A jak wydobrzejesz, pójdziesz do swoich. Mam nadzieję, że nie z raportem, kto cię uwięził i kto wypuścił. Chociaż teraz to już mi wszystko jedno, pewnie i tak skończę na Łubiance albo przed plutonem egzekucyjnym.

– Nie wydurniaj się, Łyszkin. Musimy pomyśleć, jak to rozegrać – mruknął Lossow.

– Posłuchaj, Walter. Lubię cię, ale nie mamy co rozgrywać. Dzięki tobie mieliśmy zdobyć wasze raporty o Katyniu. I nie zdobyliśmy ich, a jeniec uciekł. Myślisz, że dostanę za to medal? – Prychnął.

– A jeśli dasz im te pieprzone raporty, które i tak za chwilę staną się oficjalne i pokażą je w każdej gazecie w Europie? – zapytał Lossow.

– Pewnie wtedy uratuję dupę – westchnął.

Wkrótce zamilkli, bo znaleźli się w miejscu, gdzie było rozwidlenie leśnych dróg i należało skupić się na podążaniu za wskazówkami Saszy. Wjechanie na trakt, który tonął w błocie, mogło zakończyć ich przejażdżkę, a wtedy mieliby duży problem z dotarciem do Smoleńska.

Szlak wskazany przez Saszę był niezwykle długi i podróż zajęła im bez mała pół nocy, ale udało im się bez przeszkód znaleźć na normalnej drodze prowadzącej do Smoleńska. Adres, pod jaki się udali, nie był tym samym, pod którym rezydował Igor wraz ze swoimi kompanami. Małe mieszkanie znajdowało się na brudnym robotniczym osiedlu i miało stanowić azyl w sytuacji zagrożenia bądź wpadki. I tylko dla najlepszego z grupy, pupilka generała Sudopłotowa, Igora Łyszkin. Gdyby jego patron wiedział, że będzie w nim pielęgnował oficera SS, z pewnością Igor w mgnieniu oka przestałby być jego ulubieńcem.

Mieszkanie składało się z jednego pokoju i przylegającej do niego ciemnej kuchni, ale miało tę zaletę, że wychodek znajdował się wewnątrz lokalu, a nie na klatce schodowej, jak w poprzednim lokum. I nie całkiem na zewnątrz w postaci sławojki, co było dość częstym widokiem w radzieckich dzielnicach robotniczych.

W kuchni Igor znalazł herbatę i puszki z jedzeniem, a także środki dezynfek-

cyjne i opatrunki. Rzucił paczkę z medykamentami w stronę Waltera i powiedział:

– Opatrz te rany, nie będę robił za twoją osobistą sanitariuszkę, ale za to zaparzę herbatę i otworzę ci puszkę z żarciem – powiedział z lekkim sarkazmem Igor.

– Od razu przypominają mi się stare czasy. Zawsze miałeś cięty, bolszewicki język – mruknął Lossow i zaczął rozwijać bandaż.

– Bolszewicy mają język bardzo kwiecisty, ale na sarkazmie to się za grosz nie znają – roześmiał się Igor.

– Jesteś zatem wyjątkiem. Pewnie dlatego, że twój niemiecki zrobił się prawie nieskazitelny. Wcale się nie dziwię, że wcisnęli cię w mundur SS. Idealnie byś pasował do naszych szeregów. – Walter nie był mu dłużny.

– To przebywanie w twoim towarzystwie pozwoliło mi się tak łatwo przystosować. Ale wolę zgnić na Łubiance albo w gułagu, niż przejść na waszą stronę.

– Daj spokój, Łyszkin. Nienawidzę tej wojny pewnie tak samo, jak i ty – odpowiedział Walter i zamyślił się.

Po kilku minutach zapytał:

– Wódkę masz?

– A znasz Rosjanina, który nie miałby? Moi towarzysze ustawili butelki tuż obok puszek z żarciem i sucharów – roześmiał się Igor.

– To nalej. Musimy w końcu coś postanowić – westchnął Walter i odkręcił butelkę ze spirytusem medycznym.

– Tylko nie wypij, bo będziesz musiał dezynfekować się wódką.

– Wódką zdezynfekuję się od środka... – niemal wyszeptał Lossow.

Chodziła mu po głowie pewna myśl. Prześladowała go od dawna, a teraz nadarzyła się niepowtarzalna okazja, aby mogła się zmaterializować. A poza tym był przy nim przyjaciel, z którym mógł o tym porozmawiać.

– Wiesz, Igor, jakie mam marzenie...? – zapytał, gdy był już na lekkim rauszu. – Chciałbym zniknąć. Rozpłynąć się w powietrzu. Poszybować tam, gdzie nie ma trupów. Przyjacielu, odkąd tu przyjechałem, ciągle widzę trupy, roztrzaskane przez pociski budynki, brud i smród. Ta robota, wiesz, w Katyniu... to jakiś koszmar. Od świtu do zmierzchu grzebiemy w czyichś losach, które wymyślił dla nich wujek Stalin...

– Jak znam życie, raczej wymyślił to Beria, a Stalin mu jedynie przytaknął – westchnął Łyszkin.

– Kraj morderców... Ale wiesz, Łyszkin, my nie jesteśmy wcale lepsi. Wy mordujecie wrogów ludu, my ułomnych i Żydów. – Walter czknął i mówił dalej, trochę nieskładnie, z jakąś goryczą w głosie. – Swoją drogą, Stalin, taki wielki dyktator, a chodzi prawie na smyczy u Berii.

– Myślę, że Beria jest starym cwaniakiem. Chłopaki mi opowiadali, że sam przygotowywał zasadzki i zamachy na Stalina, by w odpowiednim momencie zareagować i oczywiście uratować życie wielkiemu wodzowi. No cóż, nie miał trudnego zadania. – Igor zarechotał. – Kiedyś jechali we dwóch do Ak-molińska i nagle przed mostem Beria kazał się zatrzymać i powiedział Stalino-wi, żeby przesiedli się do innego samochodu, bo ma przecucia, że most zosta-nie wysadzony. I został... A jakże. Kilka miesięcy później osłonił go własnym ciałem przed strzałem napastnika, choć ten oddał go tak, że Beria i Stalin ra-zem więzi musieliby mieć ze dwa metry w każdą stronę, żeby człowiek trafił.

– Ot... Jak wy to tutaj mówicie? A, *gieroj*. – Lossow kolejny raz czknął.

– I co postanowiłeś? – spoważniał Łyszkin. Był znacznie odporniejszy na działanie alkoholu niż jego niemiecki przyjaciel i po takiej ilości wypitej wódki nawet nie szumiało mu w głowie.

Lossow zakrył twarz rękoma i Igor miał wrażenie, że jego kompan płacze, ale ten tylko głośno przełknął ślinę i powiedział drżącym głosem:

– Do oryginałów się nie dostaniesz. Ani z moją pomocą, ani bez. Ale zrobio-no kilka kopii, które teraz są w rękach Goebbelsa, Ribbentropa i być może na-wet samego Hitlera. Ja mam jedną kopię u siebie, na kwaterze, bo dużo praco-wałem w domu. Ileż w końcu można siedzieć na cmentarzu? Dam ci je, Łysz-kin. Za miesiąc, dwa i tak cała Europa, a na pewno władze polskie w Londy-nie, będą znały ich treść. Machina ruszyła. – Powiódł ręką wokół. – I już nic nie zrobisz. Ale przecież waszym chodzi o to, żeby wiedzieć, co mamy... Więc zapunktujesz i na Łubiankę cię nie wsadzą.

– Wiedziałem, że się z tobą dogadam. – Igor uśmiechnął się, bo w istocie Walter miał rację. Zapewne władze niemieckie były na bieżąco informowane o postępie w ekshumacjach i o opiniach patologów z Czerwonego Krzyża.

– Ale chciałbym, żebyś potem coś dla mnie zrobił – powiedział cicho Wal-ter.

– Proś o co chcesz, przyjacielu. – Igor poklepał Lossowa po ramieniu.

– Zastrzel mnie... – wybełkotał Walter.

– Ochlałeś się radzieckiej wódki i bredzisz. – Łyszkin zmarszczył czoło.

– Mówię poważnie. Chociaż w istocie jestem nieco pijany. Ale ja już nie

żyję... Co to za życie, przyjacielu, to jakbym wcale nie żył. Ciągłe widzę śmierć i brzydotę. A ja tak kocham piękno... Sztukę, muzykę, kobiety...

– Jeśli cię zabiję, nigdy nie będziesz już miał szansy, by kiedykolwiek to piękno zobaczyć – powiedział cicho Igor.

– Może tam, w zaświatach, istnieje tylko piękno. Bo w piekło nie wierzę. Ono jest tutaj... Czy tam, po śmierci, może być gorzej? Myślę, że nawet sam Belzebub nie byłby w stanie wymyślić takiego cierpienia – nostalgicznie odpowiedział mu Walter.

– Po śmierci, stary, nie ma nic. Jedynie pustka. Więc jeśli chcesz jeszcze znać radości i szczęścia, musisz o nie zawalczyć tutaj, na ziemi – westchnął Igor, który już od wczesnych lat młodości był ateistą.

– Jak zawalczyć? Chodząc z kamerą między jednym grobem a drugim? Skończę tutaj, to wyślą mnie do dulażu, gdzie jeńcy walczą o żarcie jak dzikie zwierzęta i jedzą tylko ci, co przeżyją. Albo trafię do oblężonego Leningradu, gdzie ludzie wykopują zwłoki, by się najeść – zrezygnowanym tonem powiedział Walter.

Już od jakiegoś czasu prześladowała go ta nęcąca wizja, by skończyć swój koszmar na ziemi. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz mógł powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwym człowiekiem, a jego życie wygląda tak jak powinno.

– Rozumiem, że masz dosyć. Mnie też chwilami trzyma przy życiu jedynie myśl, że gdzieś tam, w Polsce, jest moja ukochana kobieta. I nadejdzie taki dzień, że znowu ją ujrzę. Gdyby nie to pragnienie, nie tyle strzeliłbym sobie w łeb, ale chyba bym zwariował. Lossow, masz rodziców, pewnie zamartwiają się o ciebie, rodzeństwo i swoje marzenia o próżniaczym życiu. Zawalcz o to. Nie masz nic do stracenia, a zastrzelić się zawsze zdążysz. – Łyszkin próbował pocieszyć przyjaciela.

– Nie chcę tam wracać... – jęknął Lossow.

– To nie wracaj. – Igor wzruszył ramionami.

– I co mam zrobić? Wybudować sobie szałas w białoruskich lasach i żywić się korzonkami?

– Oszukaj własną śmierć... – powiedział cicho Igor.

– I który z nas jest bardziej pijany?

– Mówię zupełnie poważnie. Jutro, o świcie, pojedziemy do ciebie. Dasz mi kopie dokumentów i zabierzesz wszystko, co ma jakąkolwiek wartość. Ja zorganizuję ci cywilne ubranie i wywiozę, nie wiem, do Orszy. Wsiądziesz w pociąg i udasz się do Grodna, a stamtąd do Prus Wschodnich będziesz miał nie-

spełna trzysta kilometrów. Zasyjesz się w jakiejś wsi i dotrwasz do końca wojny. Albo pojedziesz do Warszawy i odnajdziesz Chełmickiego. A on ci zorganizuje takie kwity, że możesz stać się nawet mongolskim najemnikiem. Nie martw się, do jutra coś wymyślę. – Łyszkin sypał pomysłami jak z rękawa.

– To dezercja, przyjacielu. Jeśli mnie złapią, to czeka mnie sąd wojskowy – powiedział ze smutkiem Walter, chociaż myśl o ucieczce była bardzo nęcąca.

– Już ja się postaram, żeby twoi kompani byli przekonani, że zdychasz w sowieckim łagrze albo zostałeś po prostu stracony. Nikt cię szukać nie będzie. Straceńców nikt nie szuka...

– Zrobiłbyś to dla Niemca? I w dodatku oficera? – zapytał Lossow.

– Nie, zrobię to dla przyjaciela... – westchnął Łyszkin.

42. Warszawa, 1943

– To niewielka pomoc, ale dziękujemy chociaż za to – powiedział ze smutkiem Samuel, jeden z przedstawicieli Wojskowego Związku Żydowskiego.

– Władze myślą o ogólnonarodowym powstaniu, ale musimy się do tego przygotować. Nie mam pojęcia, ile to potrwa, zwłaszcza że pomysł jest dość świeży, ale myślę, że co najmniej kilka miesięcy. Wtedy każdy karabin i każdy żołnierz będzie nam potrzebny – westchnął „Sokół” i dodał, pukając palcem w mapę Warszawy: – Ale będziemy tuż za murem. W tym miejscu. Jak tylko wjadą wozy bojowe, wysadzimy mur i otworzymy drogę ucieczki.

– Czołgi i wozy bojowe będą miały problem na tych wąskich uliczkach. Ale to dobrze, zdążymy je obrzucić butelkami z benzyną – powiedział Samuel. –

Mamy sporo tego i zapasy w beczkach. Broni posiadamy mało, ale musimy spróbować i nie możemy czekać na ogólnonarodowy zryw. Po prostu nie mamy czasu, bo za kilka miesięcy w tym miejscu nie będzie już ani jednego Żyda.

Alicja wsłuchiwała się w rozmowę i pomyślała o Sergiuszu. A więc to dlatego natknęła się na niego w getcie. Musiał tam być częstym gościem, bo zaopatrywał Żydów w broń i benzynę. I pewnie dzięki temu uratował jej życie, ponieważ znalazł się w miejscu zamieszkania Lejba Zelmana.

Od jakiegoś czasu mieszkała z Mateuszkiem w jego domu, a on wciąż zwlekał, by znaleźć im inne lokum. Może smakowała mu zupa, którą Alicja codziennie przyrządzała z kartofli, łożu, a niekiedy marchwi i kilku kości? Był bardzo życzliwy dla jej przybranego syna i często się z nim bawił, a i Mateuszek, z reguły nieufny w stosunku do obcych, bardzo go polubił. Sergiusz był dla niej dobry, niekiedy uszczypliwy, ale nie było mowy o flircie, jaki prowadzili, zanim Alicja zadomowiła się w jego mieszkaniu. Może nie chciał jej krępować, a może Zosia wydała mu się bardziej godna uwagi, bo zachowywał się tak, jakby byli jedynie serdecznymi przyjaciółmi. Niekiedy napotykała jego dziwne spojrzenie, jakby była w jego oczach tęsknota za czymś niemożliwym do spełnienia. A ona? Była zdezorientowana. Wciąż w jej sercu, chyba siłą przyzwyczajenia, jak sobie niekiedy wyrzucała, był Julian Chełmicki. Chłodny i daleki, ale nadal zbyt ważny, by mogła myśleć o miłości do innego mężczyzny. I może Sergiusz widział to. Był człowiekiem zasadniczym, zapewne nie wyobrażał sobie, że musiałby dzielić się z kimkolwiek swoją kobietą, nawet jeśli jedynie w jej duszy tkwiłoby ledwie tłące się uczucie do innego. Gdyby

była pewna, że Julian to przeszłość i nic do niego nie czuje, oprócz sentymentu do starych czasów, może porozmawiałyby z „Karym” i spróbowała rozbić mur, jaki między nimi postawił. Ale nawet jeśli miłość do Chełmickiego byłaby tylko popiołem, to czy była gotowa, by pokochać kolejny raz i narazić się na ból, jakiego doznała ze strony ukochanego mężczyzny? Romans być może byłby idealną odskocznią od życia w ciągłym napięciu, ale Sergiusz nie stosował półśrodków. Było wszystko albo nic. A ona wszystkiego nie mogła mu podarować, a że miała dla niego szacunek i czuła do niego respekt, nie odważyłaby się na to, by igrać z jego uczuciami.

– Porozmawiamy? – zapytał Julian Alicję, gdy spotkanie dobiegło końca.

W jego spojrzeniu nie dostrzegła tęsknoty i chęci pojednania. Jego oczy były niewymownie smutne i nie widziała w nich tej iskry, która ją rozpałała do czerwoności. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Czyżby to miał być koniec ich miłości?

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Zmarł mój ojciec – westchnął Julian.

– O, Boże... Tak mi przykro, kochanie. – Podeszła do niego i przytuliła. Wiedziała, jak wiele w życiu Juliana znaczył Antoni Chełmicki, mimo że były kwestie, wobec których mieli tak odrębne zdanie.

– Kiedy byłem ostatni raz w Chełmicach, czułem, że kres ojca jest bliski. I byłem przy nim do końca. Ale gdy to nastąpiło, po prostu nie mogę dojść do siebie. I jeszcze matka... Kompletnie nie wiem, co robić. Powinienem być przy niej, ale zapewne nie potrwałoby to długo, bo zaraz zjawiliby się gestapo. Jednak myśl, że znajdzie się w przytułku, obezwładnia mnie, nawet jeśli ma to być bardzo luksusowy przytułek – mówił jej do ucha szybko, nerwowo, jakby szukał ratunku.

Tak, teraz potrzebował Alicji. Silnej i zdecydowanej, która zamiast niańczyń powie coś pokrzepiającego. Czas spędzony u Weroniki był pasmem rozważań i dylematów, Alicja była inna. Nie filozofowała, nie analizowała, tylko zamykała drzwi swojej przeszłości i nie oglądała się za siebie.

Chełmicki mylił się jednak. Nie wszystkie drzwi były zamknięte i w jej duszy tkwiły sprawy, o których nigdy nie zapomni, nawet jeśli o tym nie mówiła. Czy mogła zapomnieć o Martinie Grossie, Emilu Lewinie i skrywanej przed przyjaciółką tajemnicy? Albo o swoim nienarodzonym dziecku? A wreszcie o tym, że w sytuacji, gdy najbardziej potrzebowała Juliana, by pomógł jej podnieść się po tym najstraszliwszym ciosie, on zajmował się jedynie swoją pora-

nioną duszą? Wiedziała jednak, iż w tym momencie nie zachowa się jak on i da mu wsparcie, jakiego potrzebował.

– Julianie, wszyscy pomrzemy, to jedyna pewna rzecz na tym świecie. Twój ojciec miał piękne życie i równie piękną śmierć. Czy można sobie wyobrazić bardziej udany żywot człowieczy? A matka... No cóż, to na pewno nie jest miła sytuacja, ale sam mówiłeś, że ona nawet ciebie nie rozpoznaje, tylko wegetuje we własnym świecie. Co za różnica więc, gdzie sobie ów świat zbuduje? Myślę jednak, że nawet jeśli lekarze doprowadzą ją do względnej równowagi, jej największym szczęściem będzie spokój i pewność, iż jesteś żywy, zdrowy i bezpieczny. Czy masz świadomość, co by się stało, gdyby na jej oczach zabrało cię gestapo? Skutego kajdankami? Albo jeśli zastrzelono by cię w obecności matki? Przestań na chwilę myśleć o sobie i pomyśl o niej...

Alicja Rosińska doskonale знаła swojego ukochanego. On wciąż potrzebował potwierdzenia, że robi słusznie i właściwie. A ponieważ nie był już dzieckiem ani nastoletnim chłopcem, należało użyć stosownych argumentów. Alicja jednak miała tę wadę, iż była do bólu szczerą, co niejednokrotnie było bolesne dla Juliana. W tej akurat sytuacji jej bezpośredniość i mówienie bez ogródek okazały się balsamem na jego skołataną duszę.

– Dziękuję, Alicjo. Jesteś cudownym przyjacielem – powiedział z westchnieniem.

„Przyjacielem? No, pięknie” – pomyślała nieco złośliwie Alicja i zamilkła. Miała ochotę krzyknąć: „A co z nami?”, ale doszła do wniosku, że jej duma nie zniosłaby takiego natarczywego domagania się uwagi. A może obawiała się odpowiedzi? Niezdecydowania Juliana i kolejnych miesięcy niepewności? Tylko że teraz ona również żyła na rozdrożu. Nie wiedziała już, czy ma walczyć o ich miłość, czy wpaść w otchłań żalu, by w końcu dźwignąć się z tego i zacząć żyć od nowa. Bez Juliana.

– Słuchaj, Alicja, czy ty wiesz może, jak mógłbym znaleźć Lewina? – zapytał w końcu.

– Może i wiem, a po co ci on?

– Wiesz, myślę sobie, że bez względu na to, co zrobił, jest jednak moim przyrodnim bratem i powinien dowiedzieć się o śmierci ojca – odparł spokojnie, ale jakby niepewnie Chełmicki.

– Nic nie powinien – mruknęła Alicja. – Co najwyżej zawisnąć na szubienicy.

– Ja też nie mogę mu darować, że wpakował Hankę i Igora do więzienia. I że

ze strachu donosił na innych, ale to mój brat. Na razie majątku nie mogę tknąć ze zrozumiałych względów, jednak uważam, że coś mu się po ojcu należy. Nie chcę, żeby przez resztę życia żywił do mnie urazę. Nie musimy się kochać, nawet lubić, ale tak będzie uczciwiej – powiedział Julian.

– Znasz moje zdanie... Zresztą nie wiesz wszystkiego. Twój brat sam się zrobił. Szantażując polskie rodziny, że ukrywają uciekinierów z getta – prychnęła Alicja.

– Skąd o tym wiesz? – Chełmicki zmarszczył brwi.

– Długo cię nie było w kraju... – westchnęła. – Gdy jeszcze pracowałam w Referacie...

Przerwał jej.

– Chwila... A czemu już nie pracujesz i czym się teraz zajmujesz?

– Nie pracuję, bo aresztowano dwie pielęgniarki, które przeprowadzały dzieciaki z getta na aryjską stronę i tam spotkałam... – Alicja mówiła szybko, jakby chciała zakończyć ten temat.

– Masz jakiś pewny lokal? – zatrwożył się.

– Równie pewny, jak mieszkanie Weroniki – powiedziała z sarkazmem.

– Masz kogoś? – zdziwił się.

– Nie rozumiem pytania. Czy ma ono oznaczać, że z doktor Sarnowską łączysz cię coś więcej niż tylko wspólne mieszkanie? – zaperzyła się, czując, że za chwilę ich rozmowa zakończy się kolejną awanturą.

Julian Chełmicki zrobił się niemal pąsowy. Alicja uderzyła w jego czuły punkt. I miała rację. Jego znajomość z Weroniką już od jakiegoś czasu przestała być jedynie przyjacielskim układem. A jednak myśl, że jego Alicja, zamiast czekać, aż w końcu zdecyduje się, co z nimi będzie, mogłaby szukać pocieszenia w ramionach innego, doprowadzała go do rozpacz.

– A jednak... Nie, Julianie, nie mam romansu. Owszem, mieszkam w domu mężczyzny, ale jedyny kontakt fizyczny, jaki mamy, to uścisk dłoni. Nic więcej. Na razie zostałam wyłączona z innych akcji. Z uwagi na aresztowania w Referacie i z uwagi na to, że zajmuję się dzieckiem – wysyczała.

– Czym dzieckiem? – zapytał bezwiednie, bo słowa Alicji uświadomiły mu, że zachował się wobec niej jak ostatnia świnia. Nie pierwszy raz zresztą.

– Moim... – odpowiedziała cicho.

– O czym ty mówisz, bo nie bardzo rozumiem? Masz z kimś dziecko, a nie miałaś romansu? – Julian był kompletnie zdezorientowany.

– Przynosiłam żydowskiego chłopca. Ma niecałe cztery lata, na imię Ma-

teusz i jest najcudowniejszym dzieckiem na świecie – powiedziała, uśmiechając się do siebie.

Bez względu na to, jak potoczą się losy jej związku z Julianem, nie zostanie sama. Myśl, że za godzinę, może dwie przytuli swojego synka, była dla niej kojąca.

– Oszalałaś... – wyszeptał.

– Dlaczego? Bo Żyd czy dlatego, że nie Chełmicki? – zapytała ironicznie.

– Nie... Na Boga, dlaczego masz takie złe zdanie o mnie? Żyjesz na becze prochu i jeszcze będziesz miała na głowie dziecko – powiedział ze smutkiem.

– A jeśli nasze przyszłoby na świat, to co by się zmieniło? – Alicja robiła się coraz bardziej zdenerwowana.

– Wyjechałabyś do rodziny, z dala od tego całego szumu – wydukał.

Uważał, że jeśli Alicja zaszła w ciążę, było to zrządzenie losu i należało zrobić wszystko, aby uchronić ich dziecko przed najgorszym. Jednak świadoma decyzja o zajęciu się obcym dzieckiem, w dodatku żydowskim, wydawała się Julianowi kolejnym szalonym i nieodpowiedzialnym pomysłem Alicji. Tak samo, jak pałętanie się po Warszawie, będąc przy nadziei.

– Nie wyjechałabym, bo chciałam być przy tobie. Pamiętasz, gdzie ty, tam ja. Ale widzę, że teraz wszystko się zmieniło. Gdzie ja, tam nie ma ciebie. –

W oczach Alicji pojawiły się łzy. Nie wiedziała, czy były to łzy złości na Juliana, czy smutku, że między nimi tak wiele się popsuło.

– Jesteś uparta jak osioł – wycedził przez zaciśnięte zęby, bo i jego zaczęła dopadać złość.

– I za to mnie kochałeś... – Alicja rozplakała się na dobre.

Teraz to on ją mocno przytulił. Tak bardzo się pogubił. Gdy walczył z wrogiem, robił coś pożytecznego dla kraju, wszystko było proste, chociaż niebezpieczne. Widział przed sobą cel. A każda droga musiała do niego prowadzić. Nie miał dylematów ani nie rozważał swoich czynów. Niekiedy tylko czuł strach. Na przykład gdy siedział w przedziale i wchodził konduktor z niemieckimi żołnierzami, a on miał mieć beztroski wyraz twarzy i suche, niezmacone drżeniem dłonie. Czuł lęk, kiedy zdawało mu się, że ktoś bacznie mu się przygląda, i w chwilach, gdy mijał patrol albo niemieckich oficerów. I mógłby przypomnieć sobie wiele takich momentów, gdy miał wrażenie, że coś ściska go za gardło. Ale wierzył, że to, co robi, jest słuszne i konieczne.

Jednak jego stosunek do Alicji, Weroniki czy Emila Lewina był dużo bardziej skomplikowany. Wydawało mu się, że pewne rzeczy ma za sobą i na-

uczył się akceptować najbliższych takimi, jakimi byli. Dlaczego więc ciągle się miotał, nie potrafił zrozumieć i pogodzić się z faktem, że ta wojna nie tylko zmieniła granice, ale przede wszystkim ludzkie poczynania. W innych okolicznościach być może zachowywaliby się inaczej, dokonywali odmiennych wyborów, przecież każdy z nich stał w obliczu spraw dotychczas im obcych. Miał świadomość, że jego oceny są bądź krzywdzące, tak jak w przypadku Alicji, albo zbyt pochopne czy po prostu wygodne dla niego. Może zanadto przywykł do roli jedynaka, wokół którego od dzieciństwa wszystko się kręciło, i nie mógł się pogodzić z faktem, że kręcić się przestało? Zatem Ignął do tych, dzięki którym świat znowu wirował, a on był jego centralnym punktem? Potrafił docenić przyjaźń i nie sprzeniewierzył się jej ani przez chwilę, chociaż mogło się to wydawać dyskusyjne, wybaczył Alicji romans z Grossem i nawet docenił jej zasługi. Usprawiedliwiał brata, że donosił, bo przecież płynęła w nim krew Chełmickich, jednak wciąż czuł w sobie jakąś złość na tych ludzi, że nie postąpili tak, jakby sobie tego życzył. Może Weronika ujmowała go swoją uległością, a gdyby nagle pokazała pazurki, przestałaby mu się jawić jako kobieta bez skazy? Pragnął Alicji, kochał ją tak jak potrafił, ale chciał, żeby była taka, jaką ją widział w swojej wyobraźni. A gdy okazało się kolejny raz, że jego wymaginowany obraz nie pasuje do rzeczywistości, miotał się jak zwierzę złapane we wnyki.

– Kochanie... – powiedział w końcu – daj mi trochę czasu, poczekaj na mnie. To, co pojawiło się między nami, było zbyt piękne, żebyśmy mogli z tego zrezygnować. Przepraszam cię za wszystko. Ale błagam, poczekaj na mnie, aż poukładam sobie pewne sprawy w sercu.

– Kochasz ją? – zapytała wprost.

– Nie wiem, co czuję. – Wzruszył ramionami.

– A mnie kochasz? – Alicja mówiła coraz ciszej.

– Tak, Alicjo, kocham cię – wyszeptał.

– Więc na co mam czekać? Aż przestaniesz? – To pytanie zadała bardziej sobie niż jemu.

Odepchnęła go i nie powiedziała już ani słowa. Wyszła z brudnego magazynu, który był dopełnieniem tej żalostnej sceny. Chciała, żeby był uczciwy i szczery, ale prawda kolejny raz ją przerosła.

„Czekać, czekać, czekać!” – myślała o czymś, czego nienawidziła z całego serca. Właśnie czekania. Czekala trzynaście lat, aż ją pokocha, potem aż wybaczy jej romans z Grossem, następnie żeby doszedł do równowagi po śmierci

ich dziecka, a teraz znowu miałyby to robić? Była coraz bardziej wzburzona i doszła do wniosku, że jedyne, na co może w tej chwili już czekać, to na moment, aż Julian Chełmicki stanie się jej obojętny.

Wracała do domu pełna złości i żalu. Miała wrażenie, że ona i Julian kompletnie przestali się rozumieć. Jak gdyby mówili innymi językami. Tak, nie była zdruzgotana, ale wściekła. Nie była marynarką wiszącą w szafie, zdaną na kaprys właściciela, czy ją włożył, a może wybierze tę obok. A może nie będzie pasowała do butów albo spodni? Tak właśnie się w tym momencie czuła. Jak ta nieszczęsna marynarka, która pasowała jedynie na określone okazje.

Przekręciła klucz w drzwiach, weszła do środka i otworzyła drzwi do pokoju, w którym mieszkała wraz z Mateuszkiem. Już spał, sapiąc przez sen i tuląc do siebie pluszowego psa z długimi uszami, który kupiła mu na Kercelaku, by ukoić jego tęsknotę za prawdziwą mamą. Zamknęła cicho drzwi i weszła do pokoju Sergiusza, który siedział w fotelu i czytał gadzinówkę. Czasami wyrzucała mu, że czyta podobną prasę, ale powtarzał jej wówczas, że to, co najważniejsze, można przeczytać i w gadzinówce, jeśli skupia się na tym, co jest między wierszami.

– Dziękuję, że się nim zająłeś – powiedziała, posyłając mu zmęczony uśmiech.

– To fajny dzieciak. Dobrze się razem bawiliśmy.

– Zasnął tak szybko, musieliście się naprawdę dobrze bawić – odpowiedziała ciepło i poszła do łazienki.

Postanowiła zrobić sobie długą kąpiel, jak kiedyś, przed wojną, gdy potem szła uwieść kolejnego kochanka. Zanurzyła się w wodzie i spoglądała na zacieki tworzące się na ścianach łazienki. I nagle... jakiś kluczyk w jej sercu się przekręcił. Nie chciała już czekać. Chciała żyć. Tak jak kiedyś. Wojna mogła potrwać jeszcze wiele lat, Chełmicki zastanawiać się równie długo, a ona miała czekać i patrzeć, jak ucieka jej młodość? Żyć jak jej matka, skupiona jedynie na marzeniach, że Alicji będzie w przyszłości lepiej niż jej?

Wyszła z wanny, okręcona ręcznikiem, i z kroplami wody na ciele weszła do pokoju Sergiusza. Dotknęła dłonią jego ramienia i powiedziała cicho:

– Chcę się z tobą kochać.

Wziął jej dłoń, przyciągnął do siebie, posadził na kolanach i mocno przycisnął. Zbyt mocno jak na czułego kochanka.

– Nie, Alicjo – powiedział stanowczo. – Jak będę chciał sobie poużywać, pójdę na dziwki.

- Przecież ci się podobam – zaszczębiotała słodko.
 - Tak, podobasz mi i nie będę się z tobą kochał, jasne? – Jego ton był ostry, a duże dłonie ścisnęły jej ramię i udo niczym imadło.
 - Dlaczego? – Nie dawała za wygraną, licząc, że mocny uścisk zamieni się w czułą pieśczętę.
 - Nie nadaję się na Samarytanina i nie będę plastrem na twoje poranione serce – westchnął.
 - W takim razie puść mnie. Nie chcesz iść ze mną do łóżka, twoja strata – powiedziała, rozzłoszczona.
 - Zrobię to w dniu, w którym będę pewien, że Julian Chełmicki nic już dla ciebie nie znaczy – burknął.
 - W takim razie ten dzień może nigdy nie nadejść... – odcięła się.
 - Daj spokój, Alicjo. On z pewnością tuli żal po spotkaniu z tobą w ramionach pięknej Weroniki. Muszę przyznać, że dystyngowana i subtelna pani doktor dużo bardziej do niego pasuje niż ty. Ale czy ja wyglądam jak doktor Sarnowska, żebyś w moich ramionach wylewała swój żal? – Sergiusz nie był jej dłużny.
 - Nienawidzę cię! – Zmrużyła oczy i wyrwała się z uścisku „Karego”.
- Roześmiał się.
- Właśnie. Gdy ten dzień nadejdzie, odpowiesz mi, że mam rację i będziesz śmiała się razem mną.
 - Drań. Podły drań – wysyczała.
 - Ja czy Chełmicki? – zapytał ironicznie.
 - Obaj – burknęła i poszła do swojego pokoju, wzburzona jeszcze bardziej niż po rozmowie z Julianem. Ten drań, Sergiusz, rozszyfrował ją w pięć minut i to najbardziej rozzłościło Alicję.
- Kiedy gniew nieco jej minął, pomyślała, że „Kary” lubił ją taką, jaka była naprawdę. Egocentryczną osobę, która za wszelką cenę usiłowała dopiąć swego. Przy Julianie musiała niekiedy przybierać maski, jakie nie zawsze do niej pasowały, a Martin Gross kochał jej obraz, imaginację, która niewiele miała wspólnego z rzeczywistością.
- Uśmiechnęła się do siebie i stwierdziła, że pewnego dnia złamie tego twardego, Sergiusza, a wtedy będzie cała jej. Musiała sobie jednak zadać pytanie, czy ona będzie cała jego, ponieważ uczucie do Juliana wciąż w niej było i zapewne upłynie wiele czasu, zanim pozostanie po nim tylko wspomnienie.

Szymon Wielopolski odnosił dziwne wrażenie, gdy kolejny raz przemierzał coraz bardziej przeredzone ulice warszawskiego getta. Wydawało mu się, że ten pozorny spokój i cisza nie są naturalne dla tego miejsca. Najwyraźniej coś wisiało w powietrzu, ale Szymek nie miał pojęcia, co to jest. Być może ludzie przywykli już do myśli, że niebawem i oni podzielą los swoich współbraci. Opuszczą to miejsce i nigdy do niego nie powrócą. Krążyły plotki, że wywózki Żydów to nic innego, jak pewna śmierć. Może więc ta przejmująca cisza była po prostu akceptacją nieuchronnego losu? Pogodzeniem się z faktem, że należy pożegnać się z tym miejscem i ze światem? Zbliżało się święto Paschy, zatem powinna panować inna atmosfera, nawet jeśli sytuacja nie sprzyjała świętowaniu. W poprzednim roku Szymek chociaż słyszał rozmowy na ten temat, ludzie kombinowali dodatkowe racje jedzenia, a tymczasem wszędzie było niemal pusto, a ci, których mijał, mieli dziwny wyraz twarzy. Jakby na coś czekali.

Pojedynczy strzał rozerwał ciszę ulicy. Potem padły następne. Ludzie rozpierchli się w bramach, inni stali skuleni pod murami budynków, nie mając pojęcia, co się dzieje. Ale byli to tylko nieliczni, pozostali jak gdyby spodziewali się tego. Grupa niemieckich żołnierzy, zdezorientowana sytuacją, rozglądała się po okolicznych budynkach i z wycelowanymi karabinami szukała sprawców tego zamieszania w bramach, oknach i na dachach.

Szymek nawet nie wiedział, kiedy rozpętało się prawdziwe piekło. Stał w okolicach placu Muranowskiego i zastanawiał się, jak dostać się do budynku, przez który prowadziła droga na aryjską stronę. Skręcił w boczną ulicę. Na Muranowskiej ujrzał ciemne plamy niezliczonej ilości wojska i policji, a między nimi powoli wtaczały się wozy opancerzone i czołgi. Te ostatnie, skręcając w boczne alejki, miały problem z manewrowaniem i utykały między budynkami, tarasując drogę żołnierzom. Na dachy niczym koty wylegli ludzie ubrani w cywilne ubrania i zaczęli obrzucać pojazdy oraz maszerujące oddziały niemieckie butelkami z benzyną. Rozlegało się coraz więcej strzałów.

Pierzchnął do bramy i stał w niej, kompletnie sparaliżowany strachem. W tym momencie poczuł się zupełnie bezradny. Zrobienie kroku na ulicę to byłby jego koniec. Kucnął w narożniku sieni, by nie dosięgnęła go żadna zbłąkana kula i patrzył, jak niektórzy z policjantów i żołnierzy padają na ulicę, która pokrywała się plamami krwi rannych i umierających. Z okien wylatywały

szyby, a chłopak wciąż nie miał pojęcia, co robić. Usłyszał rumor na schodach, jacyś ludzie zbiegali w popłochu do piwnicy, tłocząc się w wąskich drzwiach. Poczł szarpnięcie i krzyk:

- Wracaj do domu, wybuchło powstanie.
- Ja... ja nie mam domu – jęknął przerażony Szymek.
- To schowaj się gdzieś, bo tutaj zaraz będzie jatka – powiedział straszny mężczyzna w mieszaninie polskiego i jidisz.
- Nie mam gdzie – jęknął Szymek, coraz bardziej przerażony strzałami na zewnątrz budynku.
- *Aj waj*. – Starzec złapał się za głowę. – To chodź z nami.

Szymek wstał z kucek, wciąż trzęsąc się ze strachu, i podążył za grupką ludzi do piwnicy. Mężczyzna, który zaproponował mu schronienie, otwierał kolejne drzwi i w końcu po pokonaniu kilku schodków znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, które bardziej przypominało pokój mieszkalny niż piwnicę. Pod ścianami stały zbite z desek stelaże, a na nich leżały materace, koce i poduszki. W jednym z narożników znajdował się regał, a na nim worki z kaszą, bochenki ciemnego chleba i konwie z wodą.

Każdy siadał tam, gdzie znalazł miejsce, ludzie dobrze się znali, byli sąsiadami, tylko on czuł się jak intruz. Jednocześnie przepełniała go wdzięczność, że ktoś postanowił mu pomóc i zabrał go z tego piekła. Nie miał pojęcia, iż ludzie w getcie wiedzieli, co się stanie, znali datę wybuchu powstania i tak jak mogli przygotowali sobie schrony na czas trwania walk. Dopiero teraz zrozumiał te pustki na ulicach i napięcie na twarzach ludzi, których mijał. Wyrzucał sobie, że ten jego sentymentalizm do miejsca, gdzie zginęła jego najlepsza przyjaciółka, sprowadził na niego nieszczęście. Skulił się na podłodze, pomiędzy legowiskami, i zaczął płakać. Tak bardzo chciał żyć. Spełnić swoje marzenia, a przede wszystkim dotrzeć bezpiecznie do końca wojny, by rozpocząć normalne życie. Wiele zawdzięczał panu Lewinowi, ale pragnął pewnego dnia stać się samowystarczalny i mieć własny dom i pracę, która zapewni mu godny byt. A teraz siedział w jakimś bunkrze i wraz z innymi przebywającymi tam ludźmi nasłuchiwał kolejnych wybuchów i strzałów.

Jakaś starsza kobieta podeszła do mężczyzny, który zabrał Szymka do schronu, i powiedziała:

- Mamy odliczone porcje jedzenia. Nie wiadomo, czy dla nas wystarczy, a co z tym dzieciakiem?
- Każdy z naszej rodziny odda trochę ze swojej racji i nakarmimy go – za-

wyrokował spokojnie mężczyzna.

Podszedł do Szymona i pogłaskał go po głowie.

– Nie płacz, chłopcze. Wszystko będzie dobrze – powiedział ciepło, chociaż w jego głosie słychać było rezygnację. Po chwili dodał pocieszająco: – Stąd możemy dostać się do kanałów i przedostać się nimi na aryjską stronę. Jak walki ucichną, przejdziemy do normalnego świata, o ile jakiegokolwiek miejsce w Warszawie można nazywać normalnym...

– Widział pan... – bełkotał Szymek – widział pan, ich są tysiące i mają broń. Wszystkich wymordują, wszystkich wymordują...

– Ale nie zginiemy w piecach. Ani nie będziemy sami sobie kopać grobu. To lepsza śmierć – powiedział mężczyzna i zapytał, niemal retorycznie: – Ty nie jesteś Żydem, co tutaj robisz?

Szymek machnął ręką, jakby nie mógł wymówić słowa. Nie rozumiał, dlaczego jakaś śmierć miałaby być lepsza od innej. On po prostu chciał przeżyć.

– Jestem głupcem... – mamrotał. – Jestem jak pani Adrianna... Jestem samobójcą.

Starszy człowiek nie miał jednak siły pocieszać obcego dzieciaka, bo po każdym huku granatu czy wystrzale w pomieszczeniu rozlegały się krzyki i jęki pełne paniki.

Po kilku godzinach od chwili, gdy znaleźli się w schronie, kobiety podeszły do regału i zaczęły skrupulatnie odmierzać kromki chleba. Potem rozpały ogień w prowizorycznej kociołce i wkrótce do nozdrzy Szymka doleciał zapach zupy gotowanej z owsa, na którą mówiło się „pluj” z uwagi na obecność w niej łusek, które nie nadawały się do jedzenia i należało je po prostu wypluć. Poza tym była obrzydliwa w smaku i Szymek jadł ją ostatni raz bardzo dawno temu. Ale i wówczas skosztował jej bardziej z ciekawości niż z przymusu, bo odkąd Emil Lewin zabrał go do siebie, jadał naprawdę dobrze. Prawdę mówiąc, nawet przed wojną w jego rodzinnym domu nie spożywało się codziennie kiełbasy czy szynki. Ale Lewin żył ze szmuglowania takich towarów, zarabiał na tym dobrze i jego rodzinie uczucie głodu było kompletnie obce. Teraz Szymek musiał jeść to, co mogli podarować mu inni ze swoich lichych zapasów, jednak ten skromny posiłek wydawał się mu prawie królewską ucztą. Nie dlatego, że był wygłodzony, ale z uwagi na to, jak pozostałe osoby przebywające w schronie celebrowały jego spożywanie, delektując się każdym kęsem obrzydliwego chleba i każdą łyżką równie okropnej zupy z owsa.

Nie można było stwierdzić, czy na zewnątrz nastał już zmierzch. Jedynie zegarek jakiegoś starca, z pękniętą szybką, informował, że oto nadchodzi noc i należy pomyśleć o spoczynku. Szymek dostał miejsce obok bardzo chudego chłopca i zasnął niemal natychmiast, zmęczony napięciem, jakie towarzyszyło mu przez cały dzień.

Kolejne dni były dla Szymona Wielopolskiego mieszaniną strachu i niepewności. Kiedy nestor rodu podejmował desperacką decyzję, że należy ewakuować rodzinę i kilku sąsiadów kanałami na aryjską stronę, okazywało się, że Niemcy wpuścili do kanałów gaz, który nakazywał im powrót do schronu.

Jedynie małym dzieciom nie udzielił się ten stan trwogi, kompletnie nieświadome usiłowały w ciągu dnia czymś się zająć, bawiąc się kilkoma przyniesionymi z mieszkań sfatygowanymi misiami, drewnianymi klockami czy brudnymi lalkami pozbawionymi włosów i oczu, które zamiast ubranek odziane były w skrawki szmatek równie mocno umorusanych, co ich twarze. Szymkowi się zdawało, że owe lalki i pajacyki odzwierciedlają życie ludzi w getcie. Wyniszczonych i jakby broniących się ostatkiem sił, by nie skończyć w masowym grobie, niczym na śmietniku historii, zmarginalizowani i zapomniani. Tym ludziom wydawało się, że po aryjskiej stronie panuje niemal raj na ziemi, normalne życie, gdzie można pójść do kina czy kawiarni, a nawet na karuzelę ustawioną nieopodal getta i widoczną z wyższych kondygnacji kamienic stojących za murem. Niekiedy dzieciaki tłoczyły się przy okienkach na strychu, by popatrzeć na to miejsce tęsknym wzrokiem i marzyć o takiej zabawie.

– Tam wcale nie jest dobrze – odezwał się w końcu Szymek. – Nie tak strasznie jak za murem, ale z waszych okien nie widać łapanek, samochodów gestapo i długich kolejek ustawiających się po czarny chleb i marmoladę.

Nagle w świetle tłących się świec poczuł na sobie spojrzenia siedzących osób, które nie tylko nie bardzo mu wierzyły, ale również były zdziwione, że oto młody chłopak zamiast kręcić się na karuzeli i jeść lody teraz siedzi z nimi w bunkrze, prawie w ciemnościach, i je coraz mniejsze racje chleba i kaszy.

– To po coś tu przylazł? – Chudy chłopak, z którym dzielił legowisko, szturchnął go łokciem.

– A ja to wiedziałem, że się co szykuje? – burknął. – Znałem przejście na aryjską stronę, przez piwnicę jednego domu, ale wszystko obstawili Niemcy i nijak było przeleźć. Dzieciaki, sieroty, przeprowadzałem na drugą stronę

i pielęgniarki zabierały je do polskich domów. A potem zem tak przyłaził... Ki diabeł, nie wiem po co.

Siedzący ludzie coś zaczęli szeptać między sobą i kiwać głowami, po czym zaczęli zwracać się do niego słowami uznania i podziwu. Chyba pierwszy raz zaznał coś w rodzaju dumy z siebie, że pomógł kilku osobom, samemu nadstawiając karku. Czuł się jak bohater i to mu się bardzo podobało. Tak bardzo, że żałował, iż zamiast siedzieć w zatęchłej piwnicy nie może strzelać do szwabów albo rzucać w nich butelkami z benzyną. Jednak bez względu na wszystko najbardziej chciał opuścić to miejsce jak żywo przypominające mu o czasie ponurym i smutnym, gdy po śmierci rodziców mieszkał w piwnicy, za nic w świecie nie chcąc dostać się do pryjuta. Odliczał godziny i myślał sobie o życiu po aryjskiej stronie, podobnie jak ci stłoczeni ludzie. Że tam panuje sielanka i wolność. Zmieniła mu się optyka, chociaż bywał często w getcie. Wówczas był jednak obserwatorem, mógł współczuć albo komuś pomóc, ale wystarczyło kilka minut, by ponownie znaleźć się w świecie, gdzie mógł najeść się do syta i wyspać w normalnym łóżku, dzięki dobroci pana Lewina. A nade wszystko mógł chodzić, gdzie chciał i robić rozmaite rzeczy, niby zwyczajne, a jednak tak odległe i ciekawe dla ludzi, z którymi dzielił te kilkanaście metrów kwadratowych. Tak, mimo łapanek, brania na przymusowe roboty albo do więzienia Szymkowi zdawało się, że mimo wszystko chciałby się tam znaleźć, zamiast siedzieć jak w grobowcu i czekać, aż Niemcy pogrzebią go żywcem albo zdechnie z głodu.

– Franek, popytaj chłopaków z bazarów, może widzieli Szymka – odezwał się zatrwożony Emil.

– A może Niemcy go zgarnęli? – „Diamentowa Rączka” nerwowo żuł zapalną.

– Nie... Renate sprawdziła wszędzie, gdzie się tylko dało. Kamień w wodę.

Lewin był coraz bardziej zaniepokojony nieobecnością chłopca. Kiedy Szymek zniknął, dopiero dotarło do niego, jak bardzo przywiązał się do tego gówniarza. Mimo młodego wieku była między nimi nić porozumienia, jakiej nie miał ani z Renate, ani z Frankiem, ani z nikim innym. Tak, Szymek Wielopolski nie tylko był mądrym i sprytnym dzieciakiem, ale przyjacielem i podporą w trudnych chwilach. Niekiedy Lewin myślał sobie, że jeśli jest tak bardzo lubiany i szanowany przez Szymka, może to oznaczać, iż nie jest człowiekiem

z gruntu złym. I chociaż chłopak nie miał pojęcia o jego występkach, dawał mu poczucie, że Emil zrobił jednak w życiu coś pożytecznego, wyciągając go z brudnej, śmierdzącej piwnicy, i uchronił przed losem drobnego złodziejaska, który najpewniej kiedyś skończyłby w więzieniu albo w towarzystwie podobnych mu przegranych młodych ludzi.

– E... oni to teraz większą przypałkę mają. W getcie jest jak na froncie. Żydy się postawiły i tłuką się ze szkopami. Chyba już szbawom nerwy puściły, że pejsaki takie zajadłe, bo wszystko palą. Ludzie z okien wyskakują, domy się walą. Powiadam ci, piekło za murami. Nie mają tera kiepeły do tych swoich papierków, więc może zgarnęli młodego i dopiero potem się okaże, gdzie go dali. Pewnikiem do bidula jakiego...

– Idioci, porwali się z motyką na słońce – burknął Lewin, który uważał, że wzniesienie powstania w getcie nie było aktem odwagi, ale zbiorowym samobójstwem.

– Ty, Emil, a może chłopak robił geszefty w getcie i gdzie się tam zaplątał? – wysnuł pomysł Franek.

– Nie łąził za mur już od dawna... – odpowiedział niepewnie Lewin, ale nie miał stuprocentowej pewności, czy w istocie sprytny Szymek nie dorabiał sobie i nie chodził od czasu do czasu z towarem za mur, by dostać zdecydowanie lepszą cenę niż po aryjskiej stronie.

– Łaził, gdzie chciał, ten twój antek. Niezły był z niego rolada, to kto wie... Może już dawno leży gdzie i jedynie do parku sztywnych się nadaje. Git chłopak z niego był – powiedział ze smutkiem Franek.

– Nawet tak nie gadaj... – Lewin przełknął ślinę i dodał: – Chodź lepiej ze mną do kamienicy, może gdzieś tam utknął, jak szwabysy zaczęły nawalankę.

– Ty, Lewin, masz chyba nierówno pod sufitem. Życie ci niemiłe czy jak? – warknął Franek.

– Muszę go znaleźć, muszę... – jęknął przerażony Emil.

Naprawdę był przejęty. Na początku sądził, że jego podopieczny, podobnie jak wielu Polaków, stał się obiektem niemieckiego terroru okupacyjnego, w końcu Niemcy nie zważali w czasie łapanek, czy zwinęli dorosłego, czy dziecko, ale Renate poruszyła wszystkie swoje kontakty, żeby dowiedzieć się w urzędach, co właściwie stało się z Szymkiem. Na początku trochę kręciła nosem, że Lewin przejmując się losem obcego przybłądy, jednak jego zimny wzrok kazał jej wykazać inicjatywę i odnaleźć gówniarza. Ten jednak zdawał się rozpląnąć we mgle. Nie został zatrzymany, nie wpadł na łapankę ani też nie

został odwieziony do żadnego ze stołecznych sierocińców. Sprawdziła nawet ewidencję rozstrzelanych osób oraz ofiar wypadków, ale i to nie przyniosło rezultatu.

Emil Lewin był zdeterminowany. Płonące getto było dla niego nie tylko ponurym obrazem i cmentarzem warszawskich Żydów, ale także miejscem, do którego niegdyś wysyłał Szymka z prowiantem. Od jakiegoś czasu zabronił mu tam chodzić, a i on nie palił się do tego, zwłaszcza że mieszkający tam ludzie mieli coraz mniej pieniędzy, a dwie wielkie wywózki znacznie przetrzebiły populację. Szymek jednak, podobnie jak on kiedyś, łaknął lepszego życia, nawet jeśli wiązało się to z pewnym ryzykiem. Być może chłopak nie posłuchał go i nadal sprzedawał jedzenie do getta, zamiast na Różycu czy Kercelaku?

– Ja idę. Może jakoś odwałę gruz i precisnę się na drugą stronę – powiedział stanowczo Lewin, po czym złapał Franka za poły marynarki. – Słuchaj no, Franek. Jakby mnie tam jakie nieszczęście spotkało, znajdź dom dla Karolka, żeby nie musiał w sierocińcu się chować, dobrze? Zaprzysięgnij się.

– To, że spotka cię co złego, to ja ci mogię już teraz powiedzieć, koleś. Niemcy palą wszystko, co im w łapska wpadnie. Domy razem z ludźmi, magazyny, sklepy. Nawet ściągnęli tu takiego jednego generała, Stroop czy Szprot się nazywa, czołgi i artylerię wprowadzają. Ja ci mówię, mojdę nawet czuję, jak gadam o tym. – Franek próbował odwieść kompana od tego szalonego pomysłu.

– Muszę... Skołuż mi jaką kłamkę na szybko, w razie gdyby mnie kto chciał dziabnąć, to sobie chociaż w łeb palnę – powiedział Emil.

Franek pokręcił się po rynku i po kilku minutach przyniósł Lewinowi starą berettę. Ten wcisnął ją za pasek spodni i poszedł szybkim krokiem w kierunku getta. Obejrzał się jeszcze i zobaczył Franka, który zrobił znak krzyża, jakby już pochował swojego kamrata.

Wokół getta kręciło się mnóstwo patroli, stały wozy opancerzone i kilka czołgów wzdłuż murów. W jednym miejscu była nawet wyrwa w ogrodzeniu, której pilnowali policjanci, gotowi zastrzelić każdego, kto chciałby uciec z terenu getta. Cywili prawie nie było, ludzie bali się podchodzić w pobliże tego miejsca, żeby nie paść ofiarą zbłąkanej kuli, pomyłki czy wybuchającego granatu.

Emil popatrzył w górę, na ogromną łunę, kłębowisko dymu i języki ognia. Ominął jeden z patroli, wszedł za zakręt i ujrzał znajomą kamienicę, skąd szmuglowali jedzenie do getta. Nie myślał o niebezpieczeństwie ani nie zasta-

nawiał się nad bezsensem swoich działań. Jakaś wewnętrzna siła pchała go w to miejsce, by ratować Szymka. Miał wrażenie, że tylko ten dzieciak naprawdę go kocha i szanuje, i cokolwiek się stanie, będzie przy nim. Jeśli przeżyją...

Wszedł do znajomej piwnicy i stwierdził, że ktoś musiał poznać ten szlak, bo gruz został częściowo uprzątnięty i dorosły człowiek bez problemu może przejść na drugą stronę. Uczynił to więc i po chwili wydostał się na uliczkę getta. Nie miał pojęcia, jak miałby w tym piekle odnaleźć Szymka. Huk był przeraźliwy, budynki płonęły, a na ulice spadały belki stropowe, butelki z benzyną, rzucone przez zdesperowanych powstańców, a wreszcie ciała ludzi wyskakujących z płonących budynków. Przebiegł na drugą stronę i wszedł do klatki schodowej jednego z niewielu ocalałych budynków. Jakiś mężczyzna, cały ubrany na czarno, zbiegł ze schodów i ze zdziwieniem popatrzył na Emila.

– Spieprzaj, człowieku, bo wysadzili już pół ulicy, zaraz i tutaj dotrą! – krzyknął.

– Dokąd? Na miłość boską... – wrzasnął Lewin.

– Do piwnicy, a potem do kanałów. Gnoje i tam gaz wpuszczają i wrzucają granaty, ale to jedyna nadzieja – powiedział mężczyzna.

Rozległ się kolejny huk, tak ogromny, że Emilowi zdawało się, że ziemia się trzęsie. Schody, po których jeszcze przed chwilą zbiegał mężczyzna, runęły z łoskotem, wzniesając tumany kurzu. Lewin stał oniemiały, sparaliżowany strachem, i jedyne, o czym pomyślał, to o własnej śmierci, którą niechybnie poniesie. Mężczyzna niemal siłą wepchnął go do piwnicy. Przeszli do jednego z pomieszczeń i człowiek w czarnym ubraniu odsunął starą szafę, za którą znajdował się tunel prowadzący do kanału. Przeczolągali się kilkanaście metrów i znaleźli się w kompletnych ciemnościach.

– Chryste Panie – jęknął Lewin.

– Muszę cię teraz zostawić i poszukać swoich towarzyszy. Idź przed siebie i jak nad twoją głową nastanie cisza, będzie to oznaczało, że już jesteś po drugiej stronie. – Mężczyzna zapalił latarkę i poszedł przed siebie, zostawiając Emila samego.

Lewin stawiał powoli kroki, z trudem pokonując kolejne metry i brodząc w wodzie po kostki. Nie miał pojęcia, dokąd idzie ani czy mijają kogokolwiek po drodze. Po kilkunastu minutach poczuł duszący dym. Zasłonił twarz połami kurtki i niemal biegiem ruszył przed siebie. W oddali zobaczył jakiś świecący punkcik. Nie wiedzieć czemu poczuł ulgę, a owo światło dało mu nowy pokład

nadziei. Było symbolem wyłączenia z tych lochów.

Doszedł do punktu i stwierdził, że ma do czynienia z grupką wycieńczonych ludzi, którzy nie bardzo wiedzieli, dokąd się udać. Ktoś w końcu podjął decyzję i ruszyli przed siebie, powłócząc nogami i nie mówiąc ani słowa.

– Skąd idziecie? – zapytał Emil.

– Z Muranowskiej – odezwał się ktoś słabym głosem i dodał: – To jedyna droga, reszta kanałów obstawiona, wrzucają granaty i gaz puszczają. Pewnie i włazy są pilnowane.

– Ktoś ocalał? – zapytał naiwnie.

– Nie wiemy, jak ktoś miał kryjówkę albo bunkier, to może jeszcze żyje... – mruknął mężczyzna i zaczął poganiać swoją rodzinę do szybszego marszu.

Lewin skręcił w nitkę kanałów, z której wyszła ocalała rodzina, i zaczął iść w kierunku Muranowskiej. Minął po drodze jeszcze kilka podobnych grupek ludzi i za każdym razem pytał:

– Szymon? Szymek? Szycio Wielopolski?

Jednak wciąż nikt nie odpowiadał albo słyszał słabe słowo „nie”.

Gdy zbliżał się do centralnego punktu getta, znowu wzmożyły się okropne dźwięki i wstrząsały ziemią. Minął samotnie stojącego młodego chłopaka. Już stracił nadzieję, więc nawet go nie zaczepił.

– Tam dalej to da się przeleźć? – Tym razem to dzieciak odezwał się pierwszy.

– Idę dobrą godzinę i było spokojnie – powiedział Emil.

– To po co pan się pchasz z powrotem? – podejrzliwie zapytał chłopak, zwłaszcza że mężczyzna mówił po polsku bez żadnych naleciałości w jidysz.

– Szukam kogoś... – westchnął Lewin.

– Panie, a kogo pan chcesz tu znaleźć? Chyba tylko trupy – odpowiedział mu chłopak. – Ja na zwiady wylazłem, bo siedzimy już tyle czasu w piwnicy i jedzenie nam się skończyło.

– Szukam Szymka Wielopolskiego. Przychodził do getta z aryjskiej strony – bez większej nadziei powiedział Emil.

– A jest u nas jeden taki frant. Ojciec go przywlókł, boby go gruz przywalił. Z naszej kamienicy to chyba już nic nie zostało, bo nawet drzwi do piwnicy zawalone na amen. Więc albo tędy wyleziem, albo pomrzemy w tym bunkrze – powiedział chłopak.

– Zaprowadź mnie tam – nakazał Emil.

– No jeszcze nam jednej gęby do żarcia brakuje – burknął chłopak.

– Chcę go stamtąd zabrać, pejsaku, a nie zreć waszą macę – rozzłościł się Lewin.

– On też na głodnego nie wyglądał, a „pluja” pałaszował, jakby nic innego w gębie nie miał od tygodnia – mruknął chłopak.

– Słuchaj, jeśli mnie tam zaprowadzisz i ten dzieciak okaże się tym, którego szukam, pomogę wam po tamtej stronie. – Emil postanowił użyć innych argumentów.

– To chodź pan, ale jeśli mnie pan okantował... – Chłopak nie dokończył i ruszył przed siebie, przyświecając od czasu do czasu latarką.

W pewnej chwili zatrzymali się i znaleźli się przy wydrążonej dziurze. Prze-cisnęli się na czworakach i Emil jakby znalazł się w grobie. Był to mały bunker, gdzie śmierdziało fekaliami i potem, i panował nieziemski wręcz zaduch. Chłopak oświetlił twarz Lewina i powiedział coś w jidysz, czego Emil nie zrozumiał. Usłyszał jedynie, że znajdujący się pod ziemią ludzie wstają ze swoich miejsc i zaczynają gromadzić się przy włączu.

– Pan Lewin – rozległ się drżący głos, a potem głośny szloch.

– Boże, Szymek, znalazłem cię. – Lewina dławiała radość, że odszukał swojego podopiecznego.

Przecisnął się przez grupkę ludzi i mocno przytulił Szymka, który płakał tak donośnie, że pozostali zaczęli go uciszać, chociaż przy hałasie panującym na zewnątrz i tak nikt nie byłby w stanie tego usłyszeć.

– Przepraszam, panie Lewin. Przepraszam – łkał Szymek.

– Już dobrze, to nieważne. Ważne, że żyjesz. – Emil poklepał go po ramieniu i dodał: – Ruszajmy.

Kolejny raz Emil przemierzał kanał, a wraz z nim Szymek i żydowska rodzina, która uratowała życie jego podopiecznemu. Lewin był wycieńczony, ale wstąpił w niego nowy duch, bo udało mu się coś, co zdawało się czymś niemożliwym do zrealizowania.

Dotarcie na aryjską stronę w miejsce, gdzie mogli bezpiecznie wydostać się na zewnątrz, zajęło im dwa dni. Kilkukrotnie zmieniali trasę albo godzinami siedzieli bez ruchu, widząc otwarte włązy i słysząc głosy niemieckich służb. Lewin liczył cierpliwie kroki, próbując zlokalizować, gdzie są. Wciąż wydawało mu się, że jeszcze jest za wcześnie i wyjdą włączem na terenie getta, a wtedy ich trudna wędrówka zostanie zniweczona i wszyscy zginą.

W końcu znaleźli się przy włączu, gdzie zdawało się, że jest cicho. Lewin podniósł go delikatnie, by sprawdzić, gdzie się znajdują. Ulica była spokojna

i Emil stwierdził, że znajdują się na Woli przy ulicy Prostej.

– Co teraz? – zapytał starszy mężczyzna.

– Wyjdziemy z Szymkiem i sprowadzimy jakiś samochód, a potem zawieziemy was w bezpieczne miejsce – powiedział Lewin.

Przez chwilę pomyślał, że zostawi tych ludzi na pastwę losu, ale zdał sobie sprawę, że te pejsaki uratowały życie Szymkowi i ten nigdy nie wybaczyłby mu, gdyby ich porzucił bez żadnej pomocy.

– I tak nie mamy wyboru – powiedział nestor rodu i wycofał się w głąb kanału.

Wprost z kanału Szymek i Lewin udali się do Franka, by ten zorganizował transport poza Warszawę.

– Chryste Panie – jęknął Franek. – Wyglądacie, jakbyście z Bazyliszkiem w karty grali. I zdążyłeś jeszcze geszefcik zrobić, że ci ciężarówka potrzebna?

– Nie... Wydostaliśmy się kanałami i tam zostało jeszcze kilka osób – powiedział Emil.

– Ale się mój kumpel nawrócił – zarechotał Franek, po czym wyszedł ze swojego mieszkania, zostawiając Emila i Szymka, by coś zjedli i umyli się.

Po godzinie jechali już całą trójką w kierunku ulicy Prostej. Lewin nie miał pojęcia, co zrobi później, jak już rodzina znajdzie się w samochodzie. Był gotów wiele zapłacić, żeby ktoś zechciał ich przyjąć, ale w tych czasach życia nie można było kupić za żadne pieniądze, więc obawiał się, że nie znajdzie chętnych.

Po kilkunastu minutach zatrzymali się przy trotuarze i bacznie obserwowali okolice. Kręciło się tu trochę ludzi, a od czasu do czasu trafiał się także pieszy patrol, jednak ulica była w miarę spokojna i to dawało nadzieję, że ich akcja zakończy się powodzeniem. Poczekali, aż nastanie zmierzch, który o tej porze roku przychodził dość późno, i Emil z Szymkiem udali się pod właz. Odsunęli go nieznacznie i zagwizdali. Odpowiedziała im cisza.

– Gdzie oni się podziali, do diabła? – warknął rozżłoszczony Emil.

– Zejdę, zobaczę, może weszli głębiej i nie słyszą – powiedział Szymek.

– Dobrze, razem zejdziemy – postanowił Lewin, ponieważ nie chciał ani na chwilę stracić z oczu Szymona.

Zeszli do kanału, zasunęli właz i zaświecili latarkę. Rodziny nie było w pobliżu. Ruszyli przed siebie, nawołując ich, ale odpowiadało im jedynie echo. Skręcili w bok i przeszli kilkaset metrów, by nagle stanąć i zobaczyć coś, czego nie chcieli ujrzeć. W bocznym kanale leżały zwłoki wszystkich, którzy ucie-

kli ze schronu przy Muranowskiej. Pogruchothane ściany wskazywały na granat, wrzucony przez znajdujący się nieopodal włącz.

Lewin mimowolnie zgasił latarkę, by nie widzieć pokrwawionych ciał i otwartych, nieruchomych oczu, które przypominały mu te, jakie widział u Jana Niechowskiego, gdy dokonał zbrodni. Szarpnął za ramię oszołomionego Szymka i zaczęli wycofywać się w kierunku wjazdu na Prostej. Nie mówili nic, zbyt zszokowani faktem, że tak niewiele brakowało, by ci ludzie ocaleli, a jednak zabrakło kilku godzin i rodzina podzieliła los wielu innych, którzy zginęli w getcie.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Emil powiedział cicho:

- Chciałem, naprawdę chciałem im pomóc...
- Wiem – powiedział ze smutkiem Szymek. – Z pana to jest dobry człowiek...

43. Orsza, 1943

Dworzec w Orszy przypominał zamek krzyżacki, zwieńczony wieżyczkami, na których powiewały flagi ze swastykami. Na bocznicach było niemal pusto, pociągi bowiem krążyły niemal bezustannie, przywożąc z Rzeszy broń i uzbrojenie oraz wywożąc rannych i trumny z poległymi żołnierzami.

Walter von Lossow miał na sobie połowy mundur Wehrmachtu, rękę na temblaku i zabandażowaną głowę, z której spoglądały nieco przerażone oczy. Szedł za Łyszkinem niczym skazaniec i był pełen podziwu, że Rosjanin tak pewnie czuje się w towarzystwie, gdzie byli głównie Niemcy lub spacyfikowani, wystraszeni pracownicy kolei.

– Kiedy przyjeżdża następny skład z rannymi? – zapytał ostro jednego z żołnierzy, który stał przed wejściem i spokojnie palił papierosa.

Żołnierz momentalnie wyprostował się i oddał honory oficerowi SS, w którego wcielił się Igor.

– Za dwie godziny, poruczniku – odpowiedział.

– Jedzie do Rzeszy? – zapytał Łyszkin.

– Część rannych zapewne zostanie w Mińsku i w Grodnie, reszta pojedzie do Warszawy – odmeldował żołnierz.

– Potrzebuję zobaczyć rozkład. I zabierzecie jednego rannego. Do Warszawy. – Ton Łyszkiina wciąż był ostry.

– Trzeba zgłosić się do dyżurnego ruchu i wpisać go na listę – bąknął żołnierz.

Igor wszedł do środka wraz z utykającym Lossowem i zgłosił się do dyżurnego. Tam również mówił głosem pewnym, stanowczym i budzącym respekt.

– Jak się nazywasz? – Dyżurny otworzył księgę i poślinił ołówek.

– Franz Bauer – wybełkotał Walter.

– Jak? – zapytał dyżurny. – Nie mogę zrozumieć, daj dokumenty.

– Ten żołnierz uciekł z sowieckiego obozu jenieckiego, spod Moskwy. Nie ma dokumentów, Rosjanie je skonfiskowali. Proszę zawiadomić urząd leitera, niech wystawią tymczasowy kwit.

– Ale muszę mieć dane – jęknął dyżurny.

– To pisz, kto ci broni – burknął Łyszkin.

– Franz... I jak dalej? – zapytał niepewnie dyżurny.

– Franz Bauer – z westchnieniem powiedział Igor.

– Urodzony piętnastego lipca tysiąc dziewięćset dwunastego roku w Bremie,

Feldfelbel drugiego regimentu, trzeciej dywizji piechoty, syn Wolfganga i Ilse z domu Mitte – z trudem wyrecytował Lossow.

– Nie macie maszyny, tylko smarujecie ołówkiem? – zapytał Łyszkin, marszcząc czoło.

– Melduję, że maszyna się zepsuła – wydukał dyżurny i wykręcił numer do biura miejscowego leitera.

Zarówno na dokumenty, jak i na przyjazd pociągu Lossow i Łyszkin oczekiwali na ławkach dworca.

– Jestem pod wrażeniem. Ja spościłem się cały ze strachu – powiedział Lossow. Gdyby nie była z bandażu, okalająca niemal całą głowę, zapewne uśmiechnąłby się, ale, niestety, nie mógł.

– Przywykłem, przyjacielu, być jednym z was – mruknął Igor.

– Nie wiem, jak mógłbym ci podziękować... – zaczął Walter, ale Łyszkin nie pozwolił mu skończyć.

– To ja ci dziękuję za raport. A podziękować możesz mi tylko w jeden sposób... Nie daj się zabić. Chciałbym po wojnie jeszcze napić się z tobą wódki i zagrać partyjkę brydża. I kto wie, może pójść na jakieś ładne dziwki. Żeby było jak kiedyś. Ty, ja i ten paniczek, Chełmicki – powiedział Igor, uśmiechając się do Waltera. – Gdybyś kiedyś mi powiedział, że zostanę „fryckiem”, to bym cię wyśmiał.

– Gdybyś mi kiedyś powiedział, że zdezerteruję z niemieckiej armii, śmiałbym się równie mocno – wybełkotał Walter.

– Musiałeś niezłe nawywijać, że cię tutaj wysłali. W Polsce miałbyś lepiej, język znasz, więc co się stało, że skończyłeś w tej beczce prochu? – zaciękał się Łyszkin.

– To długa historia... Nie uwierzysz, uciekłem od wielbicielki – powiedział Lossow.

– Na Boga, że powiem jak Julek, co to musiało być za babsko. – Igor nie przestawał się uśmiechać.

– Równie piękne, co złe. A w tej walce zawsze wylezie zło, a piękno zniknie – filozoficznie zakończył Walter, bo podszedł do nich młody żołnierz i wręczył Walterowi tymczasowy kwit na dalszą podróż.

Zbliżała się także pora odjazdu, bo pociąg z rannymi już wjechał na peron dworca. Lossow uściśnął Łyszkiną i powiedział:

– Ty też uważaj na siebie.

Pozegnali się i Walter wszedł do pociągu. Wszedł do przedziału, pełnego

żołnierzy Wehrmachtu, drewnianych kul opartych o siedzenia i wojskowych plecaków poutykanych na drewnianej półce. Współpasażerowie przywitali go i próbowali pytać o jego historię, ale ten wskazał jedynie na zabandażowaną głowę i rozłożył ręce w geście bezradności, by nie musieć odpowiadać na pytania towarzyszy.

Patrzył na przesuwaną się za oknami krajobraz, w którym dominowały gęste lasy, a gdzieś tam tylko pojawiły się pola i bagniska. Raz na jakiś czas można było dostrzec zabudowania, ale było ich tak niewiele, że Walterowi zdawało się, że jadą przez całkowicie wyludnione tereny.

Miał teraz dużo czasu na rozmyślanie i przede wszystkim musiał coś postanowić. Historyjka stworzona przez niego i Igora była dobra na czas podróży, ale co potem? W Warszawie rychło wyszłoby na jaw, że osoba, za którą się podaje, nigdy nie istniała, a on nie znał nikogo poległego w walce, w kogo mógłby się wcielić. Owszem, widział martwych żołnierzy, nawet wielu, ale ich śmierć była dokładnie ewidencjonowana, zatem musiałby udawać, że zmartwychwstał albo zrzucić to na karb bałaganu administracyjnego. Jak jednak wytłumaczyłby swoją rzekomą ucieczkę z obozu jenieckiego spod Moskwy? Nie, to wszystko nie trzymało się kupy. Miał nadzieję, że zanim miną Grodno, będzie miał jakiś plan.

Po menażce zupy i pajdzie chleba, który rozdawały uśmiechnięte pielęgniarki, zasnął z głową opartą o okno przedziału. Chciał już mieć jakiś pomysł, ale żaden sensowny nie przyszedł mu do głowy. Ani gdy minęli Mińsk, ani kiedy dotarli do Grodna.

O poranku zmierzył temperaturę i dość ostro odepchnął dłoń pielęgniarki, która chciała zmienić mu na głowie bandaż. Nie upierała się. I tak miała roboty pod dostatkiem i nie zamierzała dbać o kogoś, komu na tym nie zależało. Gdy opuściła przedział, żołnierze wyciągnęli karty, ale Walter odmówił, wskazując na temblak i obandażowaną twarz. Popatrzyli na niego ze współczuciem i rozpoczęli partyjkę, wspominając swoją walkę na polu chwały.

Znużony Walter ciągle przysypiał albo gapił się tępo w jeden punkt, rozmyślając o tym, czy dobrze zrobił, decydując się na ten krok. To prawda, że brał się w ludzkim okrucieństwie i musiał patrzeć na całe zło, jakie uczyniła ta wojna na froncie wschodnim, ale był poza linią frontu i to dawało mu poczucie, że jest bezpieczny. Nie licząc wpadki w Smoleńsku, w istocie tak było. Mógł przecież skończyć jak ci poturbowani chłopcy albo jeszcze gorzej. Zginąć od kul, katuszy lub zamarzając na śmierć podczas surowych rosyjskich

zim. A jednak miał dosyć i każdego dnia zdawało mu się, że nie wytrzyma kolejnego. Miał ochotę krzyknąć, gdy oglądał kolejnego trupa wyciągniętego z katyńskiego lasu. Więc jeśli nadarzyła się okazja, musiał ją wykorzystać.

– Neidenburg – westchnął jeden z żołnierzy. – Nasze piękne Prusy Wschodnie.

Walter podszedł do okna i otworzył je. Zapytał stojącego na peronie kolejarza, nieco bełkocząc spod opatrunku:

– Długo tu będziemy stali?

– Aż transporty na wschód przejadą! Pewnie najmarniej dwie godziny! – krzyknął kolejarz.

Walter przecisnął się przez współpasażerów, po czym chwycił swój plecak i wysiadł z pociągu. Szybkim krokiem opuścił stację kolejową i rozejrzał się po zbombardowanej okolicy. „Zapewne to była robota Polaków w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku” – pomyślał i zatrzymał chłopca jadącego pustą furmanką.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał po niemiecku.

– Do Kaltenborn – odpowiedział chłop.

Lossow nie miał pojęcia, gdzie to jest, ale uznał, że niedaleko, jeśli człowiek podróżuje furmanką.

– A zabierze mnie pan? – zapytał.

– Z wschodniego? A wsiadaj, chłopcze, dość się tam namęczyłeś z Ruskiemi – powiedział chłop i posunął się na kozle.

– Dziękuję – wymamrotał Walter.

– A ty dokąd? Ja na rynku prosiaka sprzedałem, bo mi córka za mąż idzie i na wesele muszę trochę pieniędzy mieć – powiedział chłop.

Lossow wskazał na opatrunek i jęknął. Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem i zaczął opowiadać o swoim zięciu, który, podobnie jak Lossow, oberwał na froncie wschodnim, pod Stalingradem. Na początku miał go za niezgułę, że dał się drasnąć, i to w głowę, ale jak posłuchał opowieści o tym, co tam się działo, zmienił o nim zdanie i uznał za bohatera. Walter nie odzywał się, ale pomyślał, że córka chłopca miała wiele szczęścia, że w ogóle mogła zobaczyć narzeczonego.

W Zimnej Wodzie, nazywanej po niemiecku Kaltenborn, Walter zeskoczył z kozła, pokiwał w podzięcie głową i ruszył leśnym duktem w gęsty las, nie mając pojęcia, co dalej począć. Pomyślał, że może natknie się na jakieś odludne gospodarstwo albo leśniczówkę i tam najmie się do pracy. Ta część Prus

była dziwną krainą, gdzie Mazurzy raz deklarowali przynależność do rodu niemieckiego, a niekiedy polskiego. Wiedział jednak, że ludzie to spokojni i spolegliwi, a po niemiecku dogada się z nimi bez trudu.

Maszerował w wiosennym słońcu, słuchając świergotu ptactwa, i spoglądał na rosnące gdzieś konwalie. Potem zatrzymał się i zdjął bandaż z głowy i twarzy. Nareszcie odetchnął i uśmiechnął się do siebie. W końcu widział piękno i wierzył, że nie natknie się na masowe groby, sponiewierane zwłoki czy radzieckich partyzantów. Pomyślał, że owo piękno to nie tylko architektura, sztuka i muzyka, ale także dzika natura, nietknięta przez wielki przemysł, a jednocześnie przyjazna i nie tak surowa jak ta na wschodzie. A może to pora roku, ciepła i pogodna sprawiła, że Walter nie mógł nacieszyć oczu pięknem lasu i przenikających przez konary promieni słońca.

Nie potrafił powiedzieć, ile maszerował, gdy nagle ujrzał połyskującą w słońcu tafłę wody, otoczoną bujnymi trzcunami. Poszedł na brzeg, usiadł i wyciągnął z plecaka prowiant, w który zaopatrzył go Igor. Znalazł także metalową piersiówkę wypełnioną wódką i uśmiechnął się pod nosem. Dla Łyszki wyprawa bez wódki nie mogła istnieć. Pociągnął łyk i powąchał pajdę chleba. Potem zagryzł słoniną i z napełnionym żołądkiem przesiedział nad brzegiem jeziora dłuższy czas, uznając, że jednak życie potrafi być piękne.

44. Kleine Seedorf / Natać Mała, 1943

Walter von Lossow dotarł do niewielkiej wsi, której domostwa ciągnęły się wzdłuż jeziora, na brzegu którego spędził kilka godzin. Nie uśmiechało mu się jednak nocowanie na gołej ziemi i bez grubszego okrycia, gdyż po zachodzie słońca czuć było chłód nocnych majowych temperatur, spotęgowanych obecnością akwenu. Omijał nieco większe domostwa, zgadując, że zamieszkiwane są przez liczne rodziny, a on wołał jednak znaleźć się w miejscu, gdzie nie było tak tłoczno.

Na skraju wsi musiał jednak podjąć decyzję, bo nie miał pojęcia, ile jeszcze będzie musiał przejść, by natknąć się na następne siedziby ludzkie. Dostrzegł mały dom z czerwonej cegły i zabudowania gospodarskie znajdujące się na skraju wsi. Pomyślał, że to idealne miejsce i postanowił zapytać mieszkających w nich ludzi o możliwość przenocowania. Obawiał się także, że gdy już całkiem nastanie zmrok, nikt nie zechce wpuścić go do domu.

Zajadły pies rozszczękał się, gdy tylko Walter zbliżył się do drewnianego płotu. Był co prawda na łańcuchu, ale na tyle długim, by zdołać dosięgnąć zębiskami osobnika wchodzącego na ganek. Postać chwilę i w drzwiach ukazała się kobieta w średnim wieku, o szerokich biodrach i z przewiązaną na głowie chustką.

– A coś pan za jeden? I czego chce? – zapytała po niemiecku, niezbyt przyjaznym tonem.

– Szukam noclegu – odpowiedział gromko, by przekrzyczeć ujadające psisko.

– Tutaj? – zapytała zdziwiona kobieta, ale usłyszawszy niemiecki i widząc rękę na temblaku przybysza, podeszła do furtki.

– Dziabnęli mnie skubańcy pod Stalingradem i wróciłem ze wschodu do Neidenburga. Mieszkaliśmy kiedyś przy dworcu, mój ojciec był kolejarzem, a matka kucharką, ale zginęli pod gruzami, jak Polacy zbombardowali teren przy stacji. A ja tak lubię las i jezioro... Może gdzie się zaczepię do jakiej roboty – gładko skłamał Walter, opowiadając historyjkę, którą wymyślił, siedząc nad brzegiem jeziora. Miał także nadzieję, że w tej małej wiosce nikt nie będzie znał żadnego nidzickiego kolejarza.

– I co pan z jedną ręką będzie robił? Kury macał? – zaśmiała się kobieta.

– Niedługo zdejmę to cholerstwo, to może nadam się w polu – bąknął niepewnie Walter. – Ale jakoś pobłądziłem i już prawie ciemno... Jutro popytam po okolicy. Nazywam się Franz Bauer, w kieszeni mam kwit od leitera z Orszy.

– Zostaw pan te kwity, panie Bauer. – Gospodyni machnęła ręką, po czym wrzasnęła na psa, który momentalnie podkulił ogon i schował się w budzie.

Po chwili zdjęła z furtki łańcuch i wpuściła przybysza.

– Mamy dwóch robotników z centralnej Polski. Mieszkają w oborze, ale nie daj Bóg, jakby zwiali. Kłopoty murowane – powiedziała, prowadząc Waltera do domu.

W środku nie było nikogo i panowała absolutna cisza, nie licząc tykającego głośno zegara. Właścicielka domostwa usadowiła gościa przy kuchennym stole i zaczęła się krzątać po kuchni, by przygotować posiłek.

– Mój mąż zmarł w trzydziestym ósmym. A moi dwaj synowie zginęli pod Stalingradem, niech piekło pochłonie tę wojnę... Zostałam sama z córką, jest teraz u swojej znajomej. Dali mi takich dwóch, nawet mili są i robotni, ale to wiadomo, co im tam w głowach siedzi? Sąsiad mi w obórce kraty w oknach zamontował, jak więźniów muszę ich zamykać, a furtkę i bramę łańcuchami pętam. Gdyby mi synów nie zabrali, tobym nikogo nie potrzebowała, ale same w dwie to nie dałybyśmy rady, zwłaszcza że Brygida to ma jeszcze fiu-bździu we łbie – perorowała gospodyni, nalewając ciepłego mleka do kubka i krojąc grube pajdy pachnącego chleba.

– A pani jak na imię? – zapytał przymilnie Lossow.

– Nazywam się Gertrude Lagendorf – odpowiedziała kobieta i usiadła naprzeciwko Waltera. Po chwili milczenia zapytała: – A może byś tak u nas został, Franz? Dużo nie zapłacę, ale miałbyś oko na tych dwóch. Ten jeden to taki spokojny i cichy, ale ten drugi to strasznie na Niemców wyklina i o Hitlerze kawały opowiada, jeszcze na nasz dom jakie nieszczęście sprowadzi. Mamy na górze taki mały pokoik, skromny, ale za oknem las, a po drugiej stronie drogi zaraz jezioro i nawet stary kładkę zrobił – powiedziała Gertrude zachęcająco, bo znalezienie niemieckiego pracownika w czasie wojny graniczyło z cudem. Polacy zaś traktowali Mazurów z wrogością, chociaż wielu z nich deklarowało, że są Polakami.

„Doskonale” – pomyślał Walter, ale postanowił nie zgadzać się zbyt ochotczo.

– Pomyślę, pani Lagendorf. I muszę się na komisję lekarską stawić za mie-

siąc. Jak orzekną, że jestem zdatny do wojaczki, to pewnie znowu wyląduję na wschodzie. A tam, miła pani, prawdziwe piekło. Pod Stalingradem to całe masy naszych chłopaków poległo – powiedział Lossow.

– No i na co to komu? – westchnęła Gertrude. – Tylko ludzie giną, miasta zrujnowane, mężczyźni zamiast w polu robić to gdzieś w okopach albo na mrozie zdychają. Co ja nocy za swoimi chłopcami przepłakałam, to jeden Pan Bóg wie. Ten starszy, Rudolf, to nawet narzeczoną miał. Jak się dowiedziała, że zginął, to się w naszym jeziorze topić chciała, ale ją chłopcy wyciągnęli i jakoś tam żyje. To do niej moja Brygidka zachodzi na plotki i jakoś siebie nawzajem na duchu podtrzymują.

Porozmawiali jeszcze z godzinę, gdy w progu kuchni stanęła piegowata dziewczyna o jasnych rzęsach i, podobnie jak jej matka, szerokich biodrach. Popatrzyła na przybysza i zapytała:

– A co to za gościa mamy, *mutti*?

– To nasz nowy pracownik, Niemiec. – Gertrude puściła oko do Waltera.

– A niechże i tak będzie, pani Lagendorf. – Uśmiechnął się i przywitał z rudą Brygidą.

Walter leżał wieczorem na wąskiej, twardej kozetce, z ręką uwolnioną od ciasnego opatrunku, i wsłuchiwał się w odgłosy przyrody, które wpadały przez małe okienko. Mimo chłodu nocy pozostawił je otwarte, bo owe dźwięki kołysły jego duszę i odpędzały myśli od wspomnień ze wschodu. Gospodyni ostrzegła go przed nietoperzami, dlatego przymknął okienko tuż przed snem i zasnął spokojny, pierwszy raz od wielu miesięcy. Pomyślał sobie, że piękno, które tak niegdyś pokochał, może tkwić także w prostocie dnia codziennego, szumie drzew i dźwięku stukających o pomost łódek. W spokojnej tafli jeziora otulonej wysokimi trzcinami, małych domach z niebieskimi okiennicami i w rytmie życia, które wyznaczają wschody i zachody słońca. Nie wiedział, czy ta mała mazurska wieś to jego miejsce na ziemi, ale wierzył, że przyniesie mu ukojenie i pozwoli narodzić się na nowo. Jego zmiana tożsamości nagle nabrała symbolicznego znaczenia, jakby w istocie wkraczał w nowe życie, nie tylko z innym imieniem i nazwiskiem, ale także spojrzeniem na świat tak różnym od tego, jakie było jego udziałem jeszcze całkiem niedawno. Tak, był gotów ponownie zachwycić się światem. Tutaj, w tym nieco dzikim, ale jakże urokliwym zakątku Mazur.

45. Witebsk, 1943

- Dobra robota, kapitanie. – Sudopłatow poklepał Igora po plecach.
- Dziękuję, towarzyszu generale – odpowiedział z uśmiechem Łyszkin.
- A co z naszym jeńcem? – zapytał dowódca.
- Niestety, towarzyszu generale, zmarł podczas przesłuchania. – Igor przestał się uśmiechać.
- Nieźle go musieliście przycisnąć, kapitanie. – Teraz generał się uśmiechnął.
- Co teraz?
- Zawieziecie to do Moskwy. Na plac Łubiański. A oni już przygotowują się na oszczerstwa, jakie wysunie w naszym kierunku niemiecka propaganda. A potem trzy dni wolnego. I czekajcie na kolejne rozkazy. Front powoli się przesuwa na zachód, kto wie, może znowu będziecie potrzebni w Polsce. – Sudopłatow uznał, że powrót Igora na stare śmieci będzie dla niego nie lada wyróżnieniem.
- Ale przecież to nie Niemcy zabili tych polskich oficerów – powiedział niepewnie Łyszkin.
- Nie bądźcie dociekliwi, przecież ja to wiem i wy to wiecie. Ale dla całego świata ta zbrodnia ma być dziełem „frycków”. I lepiej dla nas, żebyśmy sami w to uwierzyli.
- W rzeczy samej – odparł Igor i odmeldował się.
- Jadąc do Moskwy, wciąż rozmyślał o swoim przyjacielu, Walterze, i o tym, jaką decyzję podjął po drodze. Czy zdecydował się na Warszawę, czy postanowił udać się do Rzeszy, by tam spróbować wcielić się w innego człowieka, tak jak zrobił to Igor.
- Cieszyła go także myśl, że miałby otrzymać zadanie w Polsce. Mógłby wtedy spróbować odnaleźć Hankę. Oficerowi SS nikt przecież nie odmówi pomocy i dzięki wrogom rychło znajdzie się w pobliżu ukochanej. Nie wiedział, co jej powie, gdy się spotkają. Najpewniej zatai przed nią rzeczy, których się wstydział i jakie nie świadczyły o nim najlepiej. O innych mówić nie będzie, bo nie może, i takim sposobem pozostanie dla niej tym samym Igorem, którego pożegnała w Warszawie.
- W istocie trzy dni później dostał rozkaz wyjazdu do Zamościa. Na początku wojny to miasto przejęli Rosjanie, ale wkrótce przeszło ono w ręce Niemców. Chodziły słuchy, że „frycki” mają zamiar zrobić z tego miejsca wzorcowe mia-

sto niemieckie, w hołdzie jednemu z największych oprawców III Rzeszy, Heinrichowi Himmlerowi. Masowo wywozili stamtąd ludność cywilną i zastępowali niemieckimi żołnierzami, by to zabytkowe miasto oczyścić z każdego, w kim nie płynęła aryjska krew. Taki bastion niemieckiego wojska tuż przy wschodniej granicy budził niepokój władz w Moskwie, ale Igor Łyszkin miał nie tylko obserwować kolejne ruchy faszystów, ale również pozbywać się nazistowskich dygnitarzy przybywających do Zamościa.

Tak, Igor Łyszkin w końcu znajdzie się w miejscu, gdzie odnalezienie HANKI Lewinówny będzie miało jakąkolwiek szansę powodzenia. I chociaż nie był pewien, czy mu się to uda, czuł niezwykle podekscytowanie i radość. Po chwili jednak znowu dopadły go wątpliwości. A co jeśli HANKA już o nim zapomniała i znalazła pocieszenie w ramionach innego? Wtedy ogarnęła go zazdrość i ogromna złość, mimo że sam niejedną raz skusił się na wdzięki pięknej, słodkiej Mariny albo używał sobie z ukraińskimi prostytutkami.

Tak, ten czas rozłąki oboje powinni zostawić za sobą i nigdy do niego nie powracać.

46. Warszawa, 1943

W mieszkaniu Weroniki Sarnowskiej było bardzo cicho. Pawełek już spał, a Julian pakował walizkę na kolejny wyjazd. I tak jak było poprzednio, Weronika była zatrwożona i przerażona wyprawą Juliana.

– Skarbie, sądziłem, że już się przyzwyczaiłaś. – Uśmiechnął się i przytulił siedzącą przy stole doktor Sarnowską.

– Nigdy się nie przyzwyczaję... – mruknęła i zmrużyła oczy pod wpływem dotyku Chełmickiego. Zawsze tak reagowała i zdawało się, że nigdy jej nie przejdzie ta słodycz bliskości ukochanego.

– W takim razie zrób tę swoją wspaniałą herbatę, chętnie się napiję, bo nie wiadomo, kiedy następnym razem skosztuję coś równie dobrego – powiedział ze śmiechem Julian, żeby nieco rozluźnić swoją towarzyszkę.

Kiedy po kilku minutach Weronika wróciła do salonu, z parującym dzbankiem i filiżankami, Julian studiował trasę swojego przejazdu. Jeszcze nigdy nie skierowali go tak daleko, ale czuł, że ta misja będzie jedną z najważniejszych w czasie tej wojny. „Sokół” oznajmił mu, że sam generał Sikorski spotka się z nim i wręczy mu arcyważne dokumenty, które powinny dotrzeć do kraju. Obecnie generał przebywał na Bliskim Wschodzie, oficjalnie robiąc przegląd polskich wojsk, nieoficjalnie zaś miał spotkać się z niemieckim ambasadorem z Ankary. Ten miał mu przekazać obszerny raport dotyczący pewnej bardzo delikatnej sprawy. Ostatnio w prasie zarówno zagranicznej, jak i polskiej ukazywały się artykuły mówiące o tym, że poszukiwani od 1940 roku polscy oficerowie ze ściany wschodniej wcale nie wyjechali do Mandzurii i Kazachstanu, jak twierdziła radziecka dyplomacja, ale zostali zamordowani przez Sowieców. Ci szli w zaparte, propagując informacje, jakoby winnymi tej zbrodni byli Niemcy i tak pojawił się gorący kartofel przierzucany z rąk do rąk. Sytuacja była na tyle skomplikowana, że sam Winston Churchill włączył się w tę sprawę, przekonując generała, aby przyjął winę Niemców do wiadomości i nie drażył tematu. Sikorski jednak był nieugięty, stosunki z Moskwą uległy zamrożeniu, a on sam zdecydował, że zapozna się z pełnymi raportami Niemców, Ligi Narodów i Czerwonego Krzyża, bez względu na konsekwencje. Jeśli zaś chciał przewieźć ową dokumentację do Polski, oznaczało to, że nie ufał do końca Brytyjczykom i ich intencjom. Chełmicki czuł, że jego daleka wyprawa może zadecydować o przyszłych losach Polski i z jednej strony czuł ogromną odpowiedzialność, z drugiej był podekscytowany, że bierze udział

w takiej misji.

Weronika zaczęła rozstawiać na stole przykrytym szydełkowym, kremowym obrusem filiżanki, srebrne łyżeczki, a wreszcie dzbanek. Mimo że napój niewiele miał wspólnego z prawdziwą herbatą, a cukier zastąpiła okropna sacharyna, Sarnowska dbała, aby chociaż oprawa była taka, jak przed wojną. Nawet suchy, gliniasty chleb kartkowy podawała w ceramicznym koszyczku wyściełanym śnieżnobiałą serwetką. Chełmicki uwielbiał ją za te wszystkie drobiazgi, bo mógł się nimi cieszyć dość rzadko, a przypominały mu o domu. Tam również celebrowano posiłki, nawet jeśli były to jedynie kruche, maślane ciasteczka albo owoce. Nie był zadufanym w sobie synem wielkiego szlachcica, ale brakowało mu tych szczegółów, zwłaszcza gdy uświadomił sobie, iż nie ma już domu. Wierzył, że jeśli dane mu będzie stworzyć własny, podobne sprawy będą ważne bez względu na to, co będzie działo się dookoła. Weronika świetnie wpisała się w ten obraz, ponieważ przywiązywała ogromną wagę do takich spraw i uważała, że są one niezbędnymi elementami codzienności kulturalnego człowieka.

– Twoja Alicja ma już innego – powiedziała jakby od niechcienia, nabierając łyżeczką sacharynę.

Julian przestał mieszać herbatę. W zasadzie mógł się tego spodziewać, w końcu on także postanowił spróbować związku z inną kobietą, a jednak poczuł jakąś dziwną obręcz zaciskającą mu się na szyi.

– A któż jest teraz jej wybrankiem? – zapytał, starając się ukryć drżenie głosu.

– Taki jeden szemrany cwaniaczek. „Kary” na niego mówią. – Machnęła ręką, jakby należało się spodziewać po Alicji, że ta wybierze mężczyznę, który budził w środowisku kontrowersje.

– „Kary”? – zdziwił się Julian i poczuł złość.

Co prawda ten człowiek bardzo mu pomógł i nawet nie chciał przyjąć pieniędzy za przysługę, ale teraz Chełmickiemu przyszło do głowy, że być może zrobił to, by lepiej poznać swojego konkurenta.

– Tak. Mieszkają razem. Ach, nieciekawego wybrała sobie narzeczonego. „Sokół”, co prawda, wychwała go pod niebiosa i robi z nim interesy, ale ten człowiek bardzo mi się nie podoba. – Weronika przewróciła oczami.

– Są zaręczeni? – wypytywał Julian.

– Nie wiem, ale jeśli razem zamieszkali... – bąknęła.

– My też razem mieszkamy, w dzisiejszych czasach to o niczym nie świad-

czy – prychnął Julian.

– No właśnie – westchnęła Weronika, mając nadzieję, że Julian pojmie subtelną aluzję.

Chełmicki był na tyle inteligentny, żeby zrozumieć przesłanie płynące z ust Sarnowskiej, ale nie był jeszcze gotów, by oświadczyć się Weronice. Swoje obietnice traktował serio i jakkolwiek Adrianna go porzuciła, z Alicją było zupełnie inaczej. Kochała go, on ją i gdy okazało się, że spodziewa się dziecka, bez wahania zaproponował ślub. Nie chciał teraz zbyt pochopnie kolejny raz oświadczać się następnej wybrance, zwłaszcza że nie był pewien, czy naprawdę Weronika jest kobietą, z którą chciałby spędzić resztę życia.

– Weroniko, rozstałem się z Alicją tak niedawno. To wszystko jest jeszcze takie świeże. I bolesne. Jestem wobec ciebie szczerzy, chociaż myślę, że nie do końca uczciwy. Ty jednak postanowiłaś, iż będziesz cierpliwa i poczekaasz, jeśli jednak tego nie zrobisz, nie będę miał do ciebie żalu – wyrzucił z siebie.

– Rozumiem – mruknęła i jak przystało na prawdziwą damę, nie kontynuowała tematu.

Jednak wyrzucała sobie niejedną raz, że pozwala sobie na coś, co było dla niej poniżające. Oczekiwanie w charakterze wiernego psa, aż jej wybranek zdecyduje, czego naprawdę chce. Czuła się paskudnie, gdy patrzyła na swoje odbicie w lustrze i docierało do niej, że Julian Chełmicki traktuje ją jedynie jak chwilowe antidotum na okaleczone serce i miota się za każdym razem, gdy wraca ze spotkania z Alicją Rosińską. Była zła na siebie, że godzi się na ten upokarzający układ, licząc, że jej rywalka raz na zawsze zniknie z ich życia, i kibicowała każdemu mężczyźnie, który kręcił się koło niej. A przecież najważniejsze było to, co Julian miał w swoim sercu. I to była Alicja, a ona jakby czekała w kolejce, zebrząc o uczucie, którego nie mógł jej dać. Kiedy jeszcze żył jej mąż, często żartowali z takich zdesperowanych panien, które godziły się na wszystko, byle usidlić swojego wybranka. I być może los ją ukarał za to szydzenie z zakochanych kobiet, ponieważ teraz ona znalazła się w podobnej sytuacji.

Powinna już dawno postawić sprawę jasno, zwłaszcza że zachowując się tak uległe, nigdy nie dowie się, jak ważna jest dla Juliana. A jednak to ją przerażało. Za każdym razem, gdy wyciągał do niej rękę, lgnęła jak ćma w nadziei, że w końcu usłyszy to, na co tyle czasu czekała. I kiedy czuła gorycz, myślała wtedy, iż tak wygląda rozkład związku i wielkiej miłości, zatem należy cierpliwie poczekać i dać Julianowi to, czego nie potrafiła podarować mu ta dru-

ga. Chodziła jej po głowie myśl, że gdyby obdarowała go potomkiem, o czym marzył, Alicja w jednej chwili zniknęłaby z jego serca. Jednakże taka decyzja byłaby już skokiem w przepaść, prawdziwą desperacją i oszukiwaniem siebie przez resztę życia. A tego nie chciała.

Słowa Juliana sprowadziły ją momentalnie na ziemię.

– Co o nim wiesz? – zapytał.

– O kim? – Weronika udawała głupią.

– O „Karym” – ze spokojem powiedział Chełmicki.

– Niewiele. Jakiś zubożały szlachcic z Wileńszczyzny, który postanowił odrobić straty, wzbogacając się na desperacji partyzantów – burknęła.

– Jednak „Sokół” mówi o nim w samych superlatywach – niepewnie mruknął Julian.

– Bo nie oszukuje go na dostawach broni. Jednak sam fakt, że nie kantuje, nie czyni go człowiekiem prawym. Ma bardzo niejasne układy z Niemcami i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby działał na dwa fronty. W końcu to Rosjanie pozabawili go majątku i gotów jest myśleć, podobnie jak Ukraińcy i Litwini, że oto przybyli do Polski wybawiciele, którzy ochronią nas przed bolszewikami. Kto wie, może jedną ręką sprzedaje nam broń, a drugą pisze donosy? – Sarnowska wzruszyła ramionami.

– Nie, no w to nie uwierzę. Za kogoś takiego jak ja czy Alicja gestapo by go ozłociło, a jednak wciąż mamy się dobrze – stwierdził z przekonaniem Julian.

– Dajże spokój, wy nadal jesteście płótkami, bez względu na wszystko. Ale poznać strukturę, dotrzeć do najwyższych władz Armii Krajowej to dopiero byłaby gratka. Ma was oboje prawie w garści, a Alicję nawet w swoim łóżku. Rozpracowanie całej siatki będzie już teraz proste. I tylko tego się obawiam. –

Weronika chciała koniecznie zaszczepić w Julianie myśl, że Alicja Rosińska wybiera na kochanków jedynie zdrajców, wrogów i hochsztaplerów.

– Jezu... – jęknął Chełmicki. – Muszę natychmiast ostrzec Alicję.

I w tym momencie Weronika pożałowała swoich słów na temat „Karego”. W istocie nie miała o tym człowieku najlepszego zdania i za grosz mu nie ufała, ale wolna i biedna Alicja była jak tykająca bomba dla ich ledwie tłącego się związku.

– Dajże spokój, jutro wyjeżdżasz. Ja się tym zajmę. – Poklepała go czule po dłoni i dodała: – To nasza ostatnia noc, nie wiadomo, kiedy będzie następna, wykorzystajmy to. A ja zajmę się „Karym” i Alicją.

– Jesteś kochana, Weroniko – powiedział Julian i wyciągnął ramiona w jej

kierunku.

Tej nocy on też potrzebował Weroniki. Miał bowiem nadzieję, że obrazy gruchającej pary, „Karego” i Alicji, znikną mu sprzed oczu. Nie miał pojęcia, że jego cudowna Weronika, najszlachetniejsza z kobiet, jakie znał, i do bólu uczciwa, nie miała najmniejszego zamiaru wbijać klina między Alicję i jej nowego amanta. Nawet jeśli miała o „Karym” nie najlepsze zdanie i posądzała go o paskudne sprawy. Władze mu ufały, więc nie powinna jątrzyć, tym bardziej że sama nie wiedziała, czy owo złe zdanie o tym człowieku wynika ze zwykłej złośliwości, czy z dziwnego przeczucia, jakie miała co do niego. Jednocześnie zastanawiała się, jak ta prostytutka i zdzira to robi, że mężczyźni lgną do niej niczym do lepu. Przecież zarówno Gross, jak i „Kary” byli przystojnymi i inteligentnymi ludźmi, ale jednak potrafiła okręcić ich sobie wokół palca. Tak jak niegdyś Juliana.

Następnego ranka zaopatrzony w świetnie podrobione dokumenty Chełmicki ruszył pociągiem do Berlina. Tam miał się spotkać z człowiekiem, który przekaże mu dalsze instrukcje i pomoże przedostać się do odległej Hiszpanii. A potem czekała go piesza przeprawa z przewodnikiem przez góry Sierra Nevada. Jego obecność na Gibraltarze, jak również spotkanie z generałem Sikorskim miały być owiane tajemnicą. Zatem jego ślad powinien urywać się, zanim przekroczy hiszpańską granicę. Nawet najbliżsi współpracownicy i ludzie pomagający mu w każdym kraju, który mijał po drodze, nie mogli wiedzieć, że ostatecznym celem podróży jest południe Hiszpanii.

W przeciwieństwie do Alicji, która niegdyś była zachwycona Berlinem, Julian poczuł się tam jak zwierzę w klatce. Nie zrobiło na nim wrażenia ani tętniące życiem miasto, ani atmosfera spokoju i bezpieczeństwa. On widział jedynie powiewające na niemal każdym budynku swastyki, niemieckie mundury na ulicach i przede wszystkim wielkość i rozmach miasta. Warszawa, na wpół zrujnowana, w dzielnicy żydowskiej właściwie zrównana z ziemią, jawiła mu się jako uboga krewna potężnego i bogatego Berlina. Tutaj wszędzie dostrzeżęło się moc i siłę, i zapewne taki zamysł miał główny architekt Hitlera, Albert Speer, który pilnował, aby wszystko, co powstaje w Berlinie i całej Rzeszy, było ogromne, monumentalne i odstraszało ewentualnych wrogów.

Berlin nie był dla niego miejscem, które widział po raz pierwszy w życiu. Bywał tam w latach trzydziestych, gdy przyjeżdżali z ojcem. Antoni robił inte-

resy, a on wraz z Walterem von Lossowem marzyli o tym, żeby jak najszybciej stać się dorosłymi mężczyznami i móc korzystać z uciech, jakie oferowało to rozwinęte miasto. Teraz jednak z frywolności tego miejsca pozostało niewiele, a wszystko, co widział, nakierowane było na podkreślenie jego wielkości. „Miasto zwycięzców” – jak to mawiała Alicja. Stolica wroga nakazująca czuć respekt i dławiąca nadzieję na zwycięstwo. Może w istocie jedynym krajem, który mógł się przeciwstawić tej sile, był Związek Radziecki z podobnym tyranem na czele. Obaj z Hitlerem mieli zbliżone metody, byli bezwzględni i nie interesował ich los jednostek. Pomyślał o swoich przyjaciółkach – Walterze i Igorze. Ich przyjaźni nie złamali nawet tacy dyktatorzy i była ona dowodem, że są miejsca, do których nie dotrą. Ludzkie serca.

– Zwariowałbym tutaj – powiedział z westchnieniem Julian, gdy gospodyni, a jednocześnie berlińska wtyczka nalewała mu kawy.

– Mogę napić się prawdziwej kawy, to duży plus. – Uśmiechnęła się promiennie kobieta, która w tym mieście nazywała się Leni.

– A nie masz wrażenia, gdy chodzisz po ulicach, że za chwilę pochłonie cię samo zło? – zazartował Chełmicki.

– Wbrew pozorom czuję się tutaj bezpieczniej niż w Warszawie. Tam mogłam stać się przypadkową ofiarą, tutaj nawet przypadek zdaje się zaplanowany – westchnęła.

– A powiedz mi, co tutaj mówią o Katyniu? – zapytał ciekawie Julian.

– Ich propaganda działa bez zarzutu, chociaż akurat teraz piszą prawdę, moim skromnym zdaniem. Rozpętali prawdziwe piekło, mimo że intencje są nakierowane jedynie na własne korzyści. Nie wierzę, iż przejęli się polskimi oficerami, jeśli innych Polaków i polskich Żydów mordują w obozach na przemysłową skalę. Chcieli wbić klin między Stalina i Churchilla, ale zdaje się, że nie do końca to się udało. Prasa brytyjska raczej idzie za wątkiem ukutym przez radziecką propagandę, że była to sprawka Niemców. Myślę, że muszą jakoś wytłumaczyć naloty na Lubekę, Rostock czy Kolonię. Przyznanie, iż wspierają Stalina, mordującego żołnierzy sojusznika, mogłoby budzić opór w brytyjskim społeczeństwie. Już sama chwilami nie wiem, czy to piekło ze Stalinem jest nam teraz potrzebne – powiedziała Leni.

– Uważasz, że rząd w Londynie powinien cicho siedzieć i udawać, że Stalin to dobry wujaszek, który podaruje nam wolność? Nie wierzę w to. Poza tym, z uwagi chociażby na pamięć o tych ludziach, należy powiedzieć głośno i wyraźnie, kto to zrobił – upierał się Chełmicki.

– I co z tego, i co z tego... – Leni machnęła z rezygnacją ręką. – Oni prowadzą swoją grę, a my jesteśmy jedynie pyłkiem w globalnym planie i krajem, który pewnie nigdy nie będzie wolny. Albo będą nas nękać Niemcy, albo Ruscy. Nie mamy z nimi szans i trzeba wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy.

– A jednak jesteś tutaj, pracujesz dla podziemia i walczysz... – powiedział cicho Chełmicki, chociaż podobnie jak Leni miał coraz mniejsze nadzieje na prawdziwe zwycięstwo.

– Ech, łudzę się, że w końcu Brytyjczycy i Amerykanie rozprawią się z Hitlerem i w podzięce za pomoc zwrócą nam ojczyznę.

– Pod warunkiem, że będziemy cicho siedzieć i udawać, że Katyń jest sprawką Niemców – powiedział Julian i machnął z rezygnacją ręką, chociaż morderstwo polskich oficerów w Katyniu było jedynie symbolem prowadzonej przez mocarstwa polityki.

Po szybkiej toalecie poszedł spać. Następnego dnia czekało go studiowanie kolejnych dokumentów, a następnie podróż do Paryża. Był ciekawy, jak teraz wygląda to miasto, które pamiętał sprzed wojny. Podejrzewał, że jest tam teraz podobnie jak w Warszawie. Zrujnowane domy, umęczeni mieszkańcy i wszechobecny terror. A może kolaboracja rządu Vichy sprawiła, że jest inaczej i rozpozna w tym mieście ducha kultury i piękna? Tęsknił za takimi miejscami, nie tylko z uwagi na ciepłe wspomnienia, ale chwilami zdawało mu się, jakby żył w istocie pod ziemią niczym kret i nie dane mu będzie nigdy wyjść na powierzchnię i cieszyć się z małych spraw.

Paryż przywitał Juliana błękitnym niebem, palącym słońcem i atmosferą całkowitej swobody. To był dla niego ogromny szok, ponieważ wydawało mu się, że paryżanie, podobnie jak warszawiacy, będą stawiali opór okupantowi i będą udęczeni równie mocno, co jego rodacy. Nie wierzył w niemiecką propagandę, że oto Paryż tętnił życiem i jedyne, co się zmieniło, to wyparcie kultury francuskiej na rzecz tej wznioślejszej i lepszej, bo germańskiej.

Po przyjeździe i ulokowaniu się w małym hotelu w pobliżu dworca du Nord postanowił przejść się po mieście, chociaż wahał się, czy nie jest to zbyt niebezpieczne. Nie minęło kilka minut, aby przekonać się, że jego obawy są bezzasadne. Gdyby nie widok niemieckich mundurów, Julian mógłby stwierdzić, że niewiele się zmieniło od czasu, gdy był tutaj ostatni raz. Może oprócz pogody, ponieważ wówczas panowała wczesna jesień, a teraz był początek lata.

Ale nawet żołnierze niemieccy wyglądali, jakby wcale nimi nie byli, a jedynie przebrali się na potrzeby jakiejś batalistycznej inscenizacji. Zrozumiał już słowa Leni, że największym marzeniem każdego niemieckiego żołnierza jest służba w Paryżu, bo jedyne zmartwienie, jakie mają, to znaleźć stolik w paryskiej kawiarni. Nie czekał ich tutaj żaden opór mieszkańców, a jedyne, co mogło wywołać kontrowersje, to aluzyjne żarty w kabaretach, które bardziej budziły ich śmiech niż trwogę. Od czasu do czasu ukazywały się artykuły krytykujące wpływ Berlina na modę francuską i jej projektantów, ale te problemy zdawały się po prostu śmieszne w obliczu tego, co działo się w innych okupowanych stolicach.

Kawiarniane ogródki były wypełnione po brzegi żołnierzami Wehrmachtu i oficerami SS, a tuż obok ich stolików siedzieli paryżanie. Każdy z nich rozkoszował się piękną aurą, gasił pragnienie, jakby panujący upał był największym ich zmartwieniem. Mundurowi dyskretnie rozpinali guziki, by poczuć chociaż odrobinę powietrza pod grubym materiałem, dzieci biegały wokół fontann, by znaleźć ukojenie w spadających kroplach wody, a eleganckie Francuzki przechadzały się po Montmartrze, trzymając pod rękę niemieckich oficerów. One nie musiały martwić się, że ktoś ogoli im głowę.

Teatry i kabarety krzyczały setkami reklam, że oto nowy, najlepszy i najgłośniejszy spektakl ostatnich lat można zobaczyć właśnie u nich. Gdziekolwiek można było dostrzec sklepy i ustawiające się przed nimi długie kolejki paryżan oczekujących na swoją porcję kartkowych wiktuałów i usłyszeć narzekania na kiepskie zaopatrzenie. Jednak w tych widokach była jakaś normalność, spokój i to, czego próżno było szukać w Warszawie. Zapewne i tutaj działał ruch oporu, poznał kilku Francuzów na angielskich kursach, jednak w tym tłumie normalnie żyjących ludzi byli oni niedostrzegalni, a rozleniwieni Niemcy – mniej zajadli.

A może to była metoda? Ocalić naród, nawet kosztem kultury i poddaństwa? Być może ta дума cechująca wielu Polaków była po prostu śmieszna i absurdalna w obliczu tak potężnego mocarstwa, jak III Rzesza? Może gdyby nie opór, a Warszawa poddałaby się bez jednego wystrzału, jak Paryż, dzisiaj wyglądałaby zupełnie inaczej? Już nawet nie chodziło o te wszystkie wydarzenia kulturalne i spokój, ale przede wszystkim o ludzkie życie. Czym jednak stałby się honor, jeśli żołnierze, tacy jak on, zaakceptowałyby taki stan rzeczy? Z jednej strony zazdrościł paryżanom, z drugiej, czuł narastającą w nim pogardę, że tak łatwo dali się sprowadzić do roli poddanych. Miał świadomość, że gene-

ralizuje i zapewne krzywdzi tych wszystkich dzielnych ludzi, którzy mieli odwagę przeciwstawić się wrogowi, jednak ten sielankowy niemal widok miasta odstręczał go.

Skorzystał jednak i z kawiarni, i odwiedził galerię, a nawet poszedł na frywolny kabaret, by kolejny raz zachwycić się kankanem, budzącym niegdyś takie kontrowersje, a który teraz stał się znakiem firmowym Paryża, podobnie jak wieża Eiffla i Coco Chanel.

Zastanawiał się także, kogo tego dnia chciałby widzieć u swojego boku. Roześmianą Alicję czy dystygowaną Weronikę. Zapewne ta pierwsza chciałaby oglądać jedynie wodewile, druga zaś dzieła sztuki. A Julian Chełmicki zachwycał się jednakowo lekkimi spektaklami i kabaretami, jak i orkiestrą symfoniczną. Był gdzieś pomiędzy tymi dwiema kobietami, z których jedna była zbyt frywolna, a druga nazbyt sztywna. Jednak w Alicji była pewna szczerść, którą pokochał, spontaniczność, niekiedy męcząca, ale jakże słodka, a wreszcie upór, czasami drażniący, jednak podniecający i rozpalający jego zmysły do szaleństwa.

Kolejny dzień był naznaczony następną wielogodzinną podróżą pociągiem. Julian czuł się jak pielgrzym, wiecznie w drodze, jadący od punktu do punktu, by przedostawać się w miejsca, do których inni dotrzeć nie mogli.

Z Tuluzy udał się do miasta Perpignan, na południu Francji, skąd mały samolot miał go przewieźć w pobliże hiszpańskiej Granady. A potem luksusowe podróżowanie miało dobiec końca. Wozami, pieszo bądź na rowerze miał dotrzeć przez Sierra Nevada do Gibraltaru i kresu swojej drogi.

W Perpignan nie dane mu było rozkoszować się pięknem miasta ani cudami śródziemnomorskich plaż, bo dotarł tam o zmierzchu i kilka godzin później leciał już w kierunku Granady. Im bardziej zbliżał się do Gibraltaru, tym większe czuł napięcie i jakiś irracjonalny niepokój. Być może było to spowodowane faktem, że niebawem miał spotkać się z najważniejszą osobą w państwie, człowiekiem, który był dla niego najwyższym autorytetem? I za nic w świecie nie chciał go zawieść. Wiedział bowiem, że niebawem będzie miał w ręku tykającą bombę i musi ją dowieźć cało do Warszawy.

Niewiele udało mu się zobaczyć podczas tego nocnego lotu. Po wylądowaniu od razu wsiadł do samochodu i wraz ze swoim przewodnikiem udał się za miasto, do wiejskiego domu, gdzie nakarmiono go i dano miejsce do spania.

Obudziło go ostre słońce wpadające przez niedomknięte okiennice. Przeciągnął się i podszedł do okna, otwierając je na całą szerokość. Spodziewał się rześkiego powiewu i pozbycia się zaduchu w niewielkim pokoju, ale do wnętrza zamiast chłodu wpłynęło upalne powietrze. Zmrużył oczy i popatrzył na złowróżbne góry Sierra Nevada. Już niebawem będzie się przez nie przedierał, korzystając z mało wyszukanych środków lokomocji.

Usłyszał pukanie do drzwi i gdy odpowiedział „proszę”, w progu stała młoda kobieta o ciemnych oczach, śniadej karnacji i długich włosach upiętych w niedbały kok. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat i była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

– Dzień dobry – powiedziała po angielsku z nieco dziwnym akcentem.

– Dzień dobry – odpowiedział zmieszany Chełmicki.

Miał świadomość, że jest potargany, a na twarzy ma kilkuniedniowy zarost. Nie tak chciałby wyglądać w towarzystwie tak pięknej kobiety, bez względu na to, jak krótka i przelotna byłaby to znajomość.

– Mam na imię Esperanza i od teraz jesteście narzeczeństwem – powiedziała ze śmiechem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – wydukał frazes Chełmicki, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od smukłej sylwetki dziewczyny i jej anielskiej twarzy.

– Po śniadaniu pojedziemy furgonetką w góry, a potem przedostaniemy się w pobliże wybrzeża. Będę ci towarzyszyła. – Popatrzyła na swoją dłoń i poruszała palcami. – Jakies trzy dni.

– Nie rozumiem, skąd ta konspiracja. Podobno Franco już nie sprzyja Niemcom i dogadał się z aliantami? – zapytał rzeczowo Julian, bo podróżowanie prymitywnymi środkami lokomocji w takim upale odstręczało go.

– Generał Franco przyjaźnił się kiedyś z admirałem Canarisem. Hiszpania jest bardziej naszpikowana agentami Abwehry niż Związek Radziecki minami. Kręcą się w pobliżu Gibraltaru i szpiclują swoich brytyjskich wrogów – powiedziała Esperanza.

Jednak tym razem Julian Chełmicki nie obawiał się Niemców. Gdyby wpadł z dokumentami dotyczącymi Katynia, byłoby im to na rękę. W końcu zależało im na tym, by Polacy dowiedzieli się, kto naprawdę ponosi odpowiedzialność za tę zbrodnię. Jednocześnie był przecież poszukiwany i z pewnością rychło wydałoby się, że jest zbiegłym szpiegiem z wyspy Uznam i mordercą Martina Grossa. Ale przecież jego hiszpańscy sojusznicy nie mieli o tym pojęcia, skąd

więc aż takie środki ostrożności?

Nie zastanawiał się jednak nad tym zbyt długo, uznając, że ci ludzie wiedzą, co robią, zamieniając jego normalną podróż w uciążliwą wędrówkę.

– Sądziłem, że moim przewodnikiem będzie jakiś mdły Brytyjczyk, więc jesteś miłą niespodzianką. – Uśmiechnął się.

– Wielu Hiszpanów nie lubi generała Franco. A wspieranie przez niego aliantów to jedynie puste słowa. Do Związku Radzieckiego wysłał taką garstkę wojska, że mógłby w ogóle dać sobie spokój – powiedziała Esperanza i dodała z westchnieniem: – Umyj się i zejź na śniadanie. Za godzinę wyruszamy.

Towarzyszka Juliana prowadziła nieco zdezelowaną furgonetkę, jakby brała udział w jakimś szalonym pościgu, wzniesając tumany kurzu, który bezlitośnie wdzierał się do środka.

– Na rany Chrystusa, zabijesz nas! – krzyknął Julian, gdy kolejny raz ścięła zakręt, na lekkim wzniesieniu, powodując osunięcie się drobnych kamieni i w dodatku, gdyby ktoś jechał z naprzeciwka, nie mieliby szans i wylądowali w najlepszym razie w rowie, a w najgorszym spadliby w przepaść.

– A mówili mi, że polscy chłopcy są tacy dzielni. – Esperanza roześmiała się dźwięcznie.

– Mogę zginąć w boju, ale nie w jakiejś kupie żelastwa! – ryknął, wcale nierozbawiony.

– No już dobrze, dobrze. Nie złość się – powiedziała i odrobinę zwolniła. – Wyżej musimy zabrać zapasy wody. W tych górach jest bardzo sucho, zaledwie kilka jezior, obok których nie będziemy przechodzić, i żadnych strumyków czy potoków.

– Mam nadzieję, że pieszo poruszasz się wolniej, bo wyzionę ducha w tym skwarze – westchnął.

Dotarli do niewielkiej osady znajdującej się u podnóża gór. W niższych partiach można było dostrzec rzadkie lasy iglaste, a nad nimi dość łagodne skalne masywy. Mógłby się nimi nawet odrobinę zachwycić, ale myśl o pieszej wędrówce podczas takiego upału zdecydowanie odejmowała urody górskim widokom.

– Poczekamy tu do popołudnia, aż upał zelży, zjemy i zrobimy sobie sjęstę – powiedziała uroczo Esperanza.

Gospodarz zagrody był zdecydowanie mniej przyjazny niż nowa znajoma Juliana. Nie mówił, tylko mruczał pod nosem i patrzył groźnie ciemnymi oczami

spod skórzanego kapelusza. Julian i tak nie zrozumiałby tubylca, ale wyraz twarzy tego człowieka nieco go deprymował. Na szczęście Esperanza usadowiła go przy drewnianym, zbitym z desek stole, pod bujnym drzewem oliwnym, które znajdowało się w pewnym oddaleniu od domu. Weszła do domostwa i przyniosła na tacy gliniane miski wypełnione gęstą zupą z papryki i soczewicy. Pod pachą trzymała kraciasty koc, który po posiłku rozłożyła pod drzewem, na rachitycznej trawie.

Gdy posiłek dobiegł końca, położyli się na kocu i Esperanza niemal natychmiast zasnęła, lekko pochrapując. Julian jednak nie był przyzwyczajony do ucinania sobie drzemek w ciągu dnia, dlatego odwrócił się na bok i spod przymruczonych powiek obserwował piękną dziewczynę. Jej płócienna bluzka nieco ściągnęła się i Chełmicki mógł popatrzeć na jej śniady, niemal płaski brzuch, który przy każdym oddechu Esperanzy unosił się delikatnie wraz z drobnymi piersiami. Jego wzrok nie był pożądliwy, ale pełny podziwu dla Stwórcy, który obdarował dziewczynę tak zjawiskową urodą.

– Cały czas na mnie patrzyłeś. – Uśmiechnęła się zaraz po przebudzeniu, ale wciąż z zamkniętymi oczami.

– Bo jesteś bardzo piękna – odpowiedział cicho.

– Wiem. – Ponownie się uśmiechnęła, tym razem ukazując rząd białych zębów.

– Czy jeśli poproszę tego gbura o kubek wody, nie wystrzeli do mnie z dubeltówki? – zapytał Julian, czując suchość w ustach.

– Nie wiem, może. – Zaśmiała się. – Poczekaj, zaraz przyniosę. Mój widok działa na niego kojąco.

– Nie dziwię się, mógłbym patrzeć na ciebie, gdy będę umierał. – Również się roześmiał.

Zmarszczyła czoło, ale nic nie powiedziała, tylko podniosła się z koca i powoli, z gracją udała się do chałupy, lekko kręcąc biodrami.

Wkrótce z niewielkimi plecakami wyruszyli w góry, bo po drodze musieli rozbić obozowisko i zanocować. Chełmicki był ciekawy, co by zrobił, gdyby ta piękna kobieta zechciała go uwieść. Czy byłby w stanie oprzeć się jej urokowi?

Po kilku godzinach marszu po rozpalonej ziemi, pozbawionej niemalże roślinności, wyczerpany do ostatnich granic, stwierdził, że owszem, w tej chwili byłby w stanie oprzeć się Esperanzie i każdej innej kobiecie. Wciąż czuł suchość w gardle, a nogi zdawały się ogromnym ciężarem, jakby były skute gru-

bymi łańcuchami. Po dziewczynie także było widać zmęczenie, już nawet nie uśmiechała się, tylko oddychała z trudem, pokonując kolejne metry.

Pod wieczór zrobiło się chłodniej, ale opadli z sił i postanowili rozbić obozowisko. Rozpalili niewielki ogień, bo wokół było mało drewna, jedynie wysuszone jałowce, które dawały więcej dymu niż płomienia. Esperanza rozglądała się, chociaż nic nie było widać, i zdawała się podenerwowana. Julian nie rozumiał tego. W końcu nie przedzierali się przez Tatry, narażeni na zatrzymanie przez pograniczników. Doszedł więc do wniosku, że jego towarzyszka po prostu czuje się nieswojo, siedząc w towarzystwie prawie nieznanego jej mężczyzny.

– Nie obawiaj się mnie, Esperanzo – powiedział ciepło.

Mruknęła coś pod nosem po hiszpańsku, ale nawet się nie uśmiechnęła. Patrzyła jedynie na Juliana smutnym wzrokiem, jak gdyby żałowała, że nie spotkali się oboje w innych okolicznościach.

Uderzenie w głowę, jakie nagle poczuł Chełmicki, było jak grom z nieba. Twarz Esperanzy rozmazała się przed jego oczami, by zniknąć nagle, a on przestał odczuwać cokolwiek. Zapadł się w nicość jak wówczas, gdy pocisk ranił mu ramię, a on nieprzytomny upadł w bujne krzewy, by ocknąć się potem w łóżku miejscowego felczera. Nawet nie zdążył pomyśleć nad wypowiedzianymi kilka godzin wcześniej słowami, że pragnąłby umrzeć, patrząc na twarz pięknej Esperanzy.

47. Magnuszew, 1943

– Irenka, nie wyganim cię, ale żniwa w pełni, a ty tylko mi pomagasz w polu. Jeśli ten spłachetek w ogóle można nazywać polem – powiedziała z westchnieniem Hanka.

– Niech sobie Kazik sam radzi, jak taki cwaniak z niego. Od południa już pijany pod jabłonką leży, a ja tyram jak wół – obruszyła się Irena.

– To czemu się z nim nie rozmówisz? – zapytała z przejęciem Hanka.

– A co on dziecko jest? Też mi coś. Stary chłop. Chyba wie, co robi – prychnęła „Wariatka”.

– Ale jak nic się nie odzywasz, to może myśli, że ci się to podoba – tłumaczyła cierpliwe Lewinówna.

– A co Hanka taka głupia? Komu by się to podobało? – Irena wzruszyła ramionami i dodała: – Ja to się chyba do ciebie przeniosę...

– Oszalałaś? Kazio zacznie cię szukać i w mig cały Magnuszew się dowie, gdzie mieszkam!

Reakcja Hanki była ostra. Nie tylko ze względu na bezpieczeństwo, ale uważała, że w taki sposób nie rozwiązuje się problemów małżeńskich. Przypomniała sobie własny związek z Tomaszem. Ona także przymykała oczy na jego wybryki i udawała, że wszystko jest w najlepszym porządku. Jednak ona żyła jak wielka pani i korzystała z przywilejów, jakie dawały pieniądze Tomasza. Mimo że była gwiazdą, jej gąże nigdy nie mogłyby się równać z majątkiem Niechowskich. Tymczasem Irena nie czerpała z takiego stanu rzeczy żadnych przyjemności. Przeciwnie, pracowała coraz ciężiej, ponieważ to, co dotychczas robili oboje, teraz spadło na jej barki. A Kazio pił coraz więcej gorzałki, lenił się i od jakiegoś czasu nawet nie zwracał uwagi na wdzięki swojej połowicy.

– Dobrze, to się nie przeniosę – mruknęła i dodała: – Jak byłaś w oborze, listonosz list przyniósł. Urzędowy, bo z pieczętką.

Hanka Lewin sięgnęła po kopertę, ale nie była ani trochę zdenerwowana. Wiedziała, że w środku nie ma żadnego urzędowego pisma, ale długi list od jej przyjaciela, Hermanna. Wysyłał je w ostemplowanych kopertach, by nie budziły ciekawości wśród pracowników poczty.

– Co to może być? – zatrwożyła się Irena. – Otwórz.

– Nic takiego – burknęła pod nosem Hanka, ale „Wariatka” nie dawała za wygraną.

– A skąd wiesz, jak nie otwarałaś, hę? – bystro zauważyła Irena.

– Bo wiem. I już idź do Kazia, póki jeszcze co kontaktuje, bo potem nijak się z nim nie dogadasz.

– Ty coś mnie kantujesz – mruknęła Irena, ale opuściła domostwo Hanki.

Miała nieco obrażoną minę, ale Lewinówna nie miała zamiaru mówić jej o listach Ritza, bo nie chciała narażać się na pretensje Ireny, że oto koresponduje z Niemcem, przez którego miała tyle kłopotów. Bo jakże mogła jej wytłumaczyć pewne skomplikowane sprawy i subtelne uczucie, jakie się między nimi zrodziło. Byli jak para przyjaciół, oboje zakochani w swoich życiowych partnerach, i nie było nigdy mowy o romansie czy wspólnych planach na przyszłość. Gdy jednak ich drogi się rozeszły i zaczęli pisać do siebie listy, rychło okazało się, że ich wzajemna sympatia wcale nie jest taka niewinna. Być może odległość i fakt, że się nie widywali, sprawił, iż mogli w końcu pokazać karty. Po prostu pokusa była tak odległa, że mogli pozwolić sobie na swobodne dryfowanie w marzeniach. Hanka często zastanawiała się, kto pomaga tworzyć te poetyckie listy Hermannowi, wszak jego polski nie był doskonały. Zapewne także ta sama osoba czytała Hermannowi jej słowa, które przelewała na papier. Wyzierała z nich tęsknota i pożądanie, ubrane w aluzje i subtelności. I to pomagało im przetrwać w świecie, który był im obcy.

Minęło tyle czasu, odkąd Hanka powróciła na wieś, ale wciąż nie mogła do niej przywyknąć. Marzyła o powrocie do miasta i tęskniła za wszystkim, co oferowało. Począwszy od prozaicznych spraw, takich jak bieżąca woda w kranie czy elektryczność, a na kawiarnianym życiu kończąc. Wbrew pozorom mimo gorącego uczucia, jakim zapalała do Igora Łyszkina, tęskniła także za hordami wielbicieli, wysyłającymi jej kwiaty, bileciki i miłosne liściki. I chociaż nie myślała o romansach, zaspokajało to jej próżność i leczyło z kompleksów, które przywiozła z Chełmic wraz ze sfatygowaną walizką. W Magnuszewie tę namiastkę uwielbienia dawał jej Ritz, a później jego listy. Odpływała w myślach w jego ramiona, gdy czytała, jak bardzo chciałby zanurzyć dłonie w jej włosach, pieścić jej piersi i ścisnąć wąską kibić. Ona pisała o jego błękitnych oczach, szerokich ramionach i delikatnych dłoniach muskających jej ciało. Nie miała poczucia, że zdradza Igora, bowiem owe erotyczne podróże odbywała jedynie w myślach, z każdym listem coraz bardziej frywolnych i grzesznych. Miotła się także, gdy przychodziły chwile zadumy. Co stanie się, gdy pewnego dnia w jej drzwiach stanie Hermann? Jak wtedy postąpi i czy znajdzie w sobie siłę, by oprzeć się Ritzowi. Tak bardzo chciała, żeby nigdy nie musiała borykać się z podobnymi wątpliwościami. Jednak taki dzień

nadszedł.

Był późny wieczór, niebo pokryło się milionem gwiazd, a księżyc rozświetlał mały domek Hanka i wszystko, co go otaczało. Hanka nie spała, siedząc na ganku i korzystając z odrobiny kojącego chłodu, jaki dawała noc po całodziennym spiekocie. Sączyła prawdziwą herbatę, której mały zapas zostawił jej Hermann, i wdychała intensywną woń maciejki. Ta ostatnia maskowała nieco zapachy dolatujące z obórki i pozwalała Hance snuć marzenia o wielkiej scenie, eleganckich wielbicielach i gustownych strojach, bez psucia wizji odorem, który mógł kojarzyć się jedynie ze wsią.

Odgłos samochodu usłyszała już z oddali i poczuła, jak jej serce zaczyna łomotać ze strachu. Autami poruszali się jedynie Niemcy, a droga do jej domu była niezwykle rzadko uczęszczana, bowiem prowadziła przez pola do zaledwie kilku gospodarstw, rozproszonych na dość dużym terenie. Jeszcze większy lęk poczuła, gdy dotarł do niej dźwięk hamowania. Sparalizowana strachem, wciąż siedziała nieruchomo na ganku, przełykając z trudem ślinę, gdy ktoś otworzył furtkę, a potem cicho skradał się w kierunku wejścia. Nagle kroki ucichły, a ona poniosła głowę i ujrzała postać Ritza.

– Hermann – jęknęła, wypuszczając powietrze.

– Dobry wieczór, Haniu. Bałem się, że będziesz spała – powiedział cicho.

– Przestraszyłeś mnie – wydukała. – Myślałam, że to gestapo.

– Przepraszam – powiedział i usiadł niepewnie obok niej.

– Dobrze, że to ty. – Uśmiechnęła się, ale po chwili ponownie usłyszała głośne bicie swojego serca.

„I co teraz?” – pomyślała, odtwarzając w głowie treść ich przepelnionych namiętnością listów.

– Przyjechałem, żeby zrobić to wszystko, czego pragniesz – wyszeptał.

Wziął ją za rękę i zaczął delikatnie pieścić jej drobną, ale naznaczoną ciężką pracą dłoń. Poddawała się tej pieszczocie, siedząc niemal nieruchomo, z głową pełną pytań do siebie samej: „A co jeśli Igor już nie żyje? A jeżeli przestał mnie kochać? Co czuję do Hermanna, czy to zakochanie, czy tęsknota za mężczyzną?”.

Tak bardzo nie chciała tęsknić. Chociaż przez chwilę zapomnieć o tym strasznym uczuciu, które sprawiało, że zasypiała, płacząc w poduszkę albo w polu czy oborze, gdy nikt nie widział. Na zewnątrz silna i pogodzona z rozłąką, w środku wulkan bólu i niechcianych myśli. Pełna wigoru w ciągu dnia i ani przez chwilę sama, a wieczorami, gdy dzieci zasypiały, samotna z ową

tęsknotą wyrysowaną na twarzy, jakby to była jej wierna, chociaż tak bardzo niechciana towarzysza.

Nie opierała się, gdy Hermann zaczął ją całować ani gdy wprowadził ją do pokoju i położył na wąskim łóżku. Nic nie mówiła, jak zdjął z niej ubranie i kiedy poczuła skrzywienie siennika, gdy położyli się na nim. Nie wyobrażała sobie Igora, w pełni świadomie kochała się z Ritzem i przegnała tęsknotę na tę jedną, krótką noc. Poczuła, jakby nagle odzyskała wolność, wyplątała się z okowów uczucia, które nakazywało jej cierpieć niemal każdego dnia. Pragnęła być tu i teraz, przeżyć tę chwilę, jakby miała być ostatnią i nie myśleć o niczym innym jak o tym, że jest wielbiona przez mężczyznę, który nie był jej obojętny.

Hermann Ritz opuścił dom Hanki nad ranem, zanim zapał kogut, zamuczała krowa domagająca się dojenja i obudziły się dzieci. Jedynie Ziutek podniósł larum głośnym szczekaniem, które usłyszała Hanka. Pomyślała tylko, czy uwiązany na noc pies nie zerwie się i nie pogryzie dotkliwie Hermanna, ale gdy usłyszała warkot odpalanego silnika, uśmiechnęła się do siebie uspokojona i przekręciła się na drugi bok, by jeszcze przez chwilę podrzemać, czując na poduszce zapach Hermanna i powspominać jego czuły dotyk i smak pocałunków.

Wiedziała, że niebawem poczuje się paskudnie z powodu swojej zdrady, ale jeszcze nie teraz. W tym momencie nie chciała myśleć ani o wyrzutach sumienia, ani o kolejnych samotnych wieczorach, które nastaną. Tak, przez te kilka godzin poranka, zanim słońce nie znajdzie się wysoko na niebie, by przynieść upalne godziny, postanowiła sobie zrobić przerwę od rozterek, dylematów i wreszcie od dławiącej ją tęsknoty.

48. Warszawa, 1943

– Pani Hanka to śpiewa jak anioł – westchnął Szymek Wielopolski, wsłuchując się w nieco chrapliwy głos Lewinówny.

Emil wpatrywał się w czarną płytę, która obracała się na gramofonie. Pierwszy raz, odkąd zamordował Adriannę, pozwolił sobie na włączenie krążka z utworami swojej siostry.

Renate siedziała przy stole i leniwie rozkładała pasjansa, nie zważając na muzykę, ale wsłuchując się w rozmowę Lewina i małego Szymka. Tego dnia kolejny raz przekroczyła próg Ericha Vadera i musiała wysłuchiwać jego słów niezadowolenia, że oto mija kolejny miesiąc, a panna Zoll nie wywęszyła w domu Lewina kompletnie nic, co mogło naprowadzić gestapo na ślad Hanki Lewin, Alicji Ross czy tego mordercy, Juliana Chełmickiego. Co prawda szef gestapo nie rugał jej, ale powtarzał co kilka minut, jak bardzo jest rozczarowany brakiem informacji. Ona także była zawiedziona, bo wiedziała, że bez wiadomości na temat tej trójki jej droga na szczyt i do łóżka Vadera znacznie się wydłużyła.

– Mam nadzieję, że Hanka wciąż żyje... – westchnął Emil.

– Żyje, panie Lewin – uśmiechnął się Szymek.

Lewin potarł włosy chłopca i powiedział ze śmiechem:

– Ty zawsze wiesz, jak podnieść mnie na duchu.

– Kiedy ona naprawdę żyje. – Szymek spoważniał, a Renate zadrżała.

– A niby skąd ty taki pewny? – zapytał roześmiany Emil.

– Bo mi taka jedna kobita powiedziała, co ją zna – odpowiedział Szymek, zupełnie poważnie.

Lewin nie bardzo wiedział, co ma myśleć, dlatego zaczął wypytywać chłopaka.

– Jaka kobieta? Jak się nazywa i skąd ją znasz?

– Ale zaprzysięgnie się pan Emil, że na mnie zły nie będzie? – Szymek nieco się wystraszył.

– A za co? – burknął Lewin.

– Bo ja na getto to nie tylko ten jeden raz polazłem. Jakoś mnie tam ciągnęło, bo to takie tam nieszczęście – niepewnie zaczął chłopak i chcąc się wybielić w oczach Lewina, dodał: – Ja to nawet paru dzieciakom pomogłem śmierci spod kosy uciec. Z taką jedną pielęgniarką się zakolegowałem...

– Polka? – nieco wystraszył się Emil.

– Tak. Przychodziła na getto dzieciaki odwszawiać i zastrzyki robić. No i z nią ja te dzieci przez kamienicę wyprowadzałem. Taka ładna nawet, Aldona ma na imię – powiedział Szymek.

– A jakie włosy miała? Gruba, chuda? – Lewin wciąż wypytywał Szymka. Nie znał żadnej Aldony z otoczenia siostry, ale mało kto teraz używał swoich prawdziwych imion i nazwisk.

– Chyba czarne, ale ciągle w takiej chustce, co pielęgniarki noszą, chodziła, więc tylko kawałek jej łba widziałem. Taka raczej nie gruba i nie chuda – tłumaczył się Szymek.

Takich kobiet były w Warszawie tysiące.

– Jak jej powiedziałem, że mnie pan Lewin pod opiekę wziął i z brudnej piwnicy wyciągnął, to ona, znaczy panna Aldona, powiedziała, że zna pana siostrę i o adres poprosiła, bo podobnież pani Hanka to miała do Warszawy z prowincji przyjechać. Ale już tyle czasu, a pani Hanka nie ma, więc może mnie ta panna Aldona okantowała. I teraz sobie miarkuję, że może ja źle zrobiłem. Ale przecie to Polka, jak i my, więc pewnie nie chciała do niczego złego tego pana adresu – dukał Szymek.

Lewin nic nie odpowiedział, bo jak by miał wytłumaczyć małemu Szymkowi, że Polaków się bardziej boi niż gestapo, gdyż miał niegdyś przypadek zostania konfidentem Niemców. Pomyślał jednak, że jeśli do tej pory nikt nie zjawił się w jego domu i nie strzelił mu w łeb, może w istocie owa kobieta nie miała złych zamiarów. Tylko kim, u licha, była?

– To odważna kobita była. Co ona dzieciaków nawyprowadzała, to ho, ho. – Szymek próbował w ten sposób wytłumaczyć swoje zaufanie do kobiety. – A jak chodziła, to jakby w balecie tańczyła, tak nie szła normalnie, tylko jakby w powietrzu się unosiła.

– Alicja... – powiedział z westchnieniem i poczuł ulgę.

Mimo że znał miejsce pobytu swojej siostry, nie miał o niej wieści od niemal roku. Teraz był pewien, że żyła, a on może spać spokojnie, bo Alicja Rościńska nie wyda go polskiemu podziemiu z uwagi na swoją wieloletnią przyjaźń z Hanką.

W czasie, gdy mały Szymek i Emil Lewin nadal wsłuchiwali się w głos Hanki Lewinówny, Renate Zoll starała się ukryć podekscytowanie. Nareszcie coś miała. Teraz już będzie łatwo zlokalizować piękną i występłą Alicję Ross, nawet jeśli wszystkim innym była znana jako uczynna siostra miłosierdzia, Aldona. Najchętniej od razu pobiegłaby przekazać te informacje Vaderowi i za-

łowała, że pora jest dość późna i musi poczekać z tymi rewelacjami aż do rana. Drżącymi dłońmi złożyła talie kart i schowała do drewnianej szkatułki, po czym, ziewając, powiedziała pozostałym domownikom, że idzie spać. Nie chciała, żeby któryś z nich dostrzegł na jej twarzy triumf, poza tym pragnęła w spokoju pomarzyć o tym, jaką bohaterką się stanie w oczach Ericha Vadera, jeśli dzięki tym rewelacjom schwytają najbardziej poszukiwane osoby w Rzeszy.

Następnego ranka Renate Zoll dołożyła wszelkich starań, by wyglądać po prostu i elegancko. Wkroczyła dumnie do gabinetu Vadera i usadowiła się na krześle, zakładając nogę na nogę. Ostatnio, gdy przychodziła w to miejsce z niczym, była zgarbiona, kiwała jedynie głową i trzymała dłonie na udach, które ścisnęła kurczowo ze zdenerwowania. Tym razem w końcu mogła siedzieć z wysoko podniesioną głową.

– ...pielęgniarka Aldona, imię pewnie nieprawdziwe, bywająca częstym gościem w getcie. Zapewne oficjalnie doglądała chorych na tyfus małych Żydków, a nieoficjalnie mogła kolaborować z Żydami i dostarczać broń powstańcom. Przecież ta kobieta, gdzie się nie pokaże, od razu powoduje problemy – dumnie zakończyła swoją opowieść Renate.

– Hm... Znajomość z Hanką Lewin to jeszcze nie dowód, że mamy do czynienia z Alicją Ross – mruknął Vader, ale po chwili dodał, uśmiechając się: – Jednak owa znajomość tej kobiety z Hanką Lewin jest nader interesująca. Jeśli wie, gdzie ona przebywa, my także się tego niebawem dowiemy.

Sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer Güntera Kepplera. Gdy ten zjawił się w gabinecie Vadera, ten nakazał mu zdobyć listę pielęgniarek posiadających przepustki do getta. Szef gestapo wierzył, że teraz już wszystko pójdzie gładko i wkrótce aresztuje najbardziej poszukiwanych w stolicy zbiegów. Miał także nadzieję, że w przeciwieństwie do Keniga i jego sadystycznego pupila, Jürgena Schwartza, zdoła wycisnąć z Chełmickiego nieco więcej informacji o dowódcach polskiego podziemia. Był tylko jeden warunek – musiał ich mieć oboje. Alicja Rosińska byłaby idealną przynętą i powodem, dla którego nawet tak zawzięty żołnierz, jakim z pewnością był Chełmicki, w końcu pęknie. Ona także mogłaby stanowić świetne źródło informacji, które najpewniej przekaże gestapo, jeśli od nich będzie zależało życie jej kochanka i – z tego, co zdołał ustalić – wielkiej miłości ciągnącej się niemalże od lat dzie-

cięcych. Nie znał kobiety, która w obliczu takiego zagrożenia nie wyśpiewała-
by wszystkiego, co wie. A było prawie pewne, że wie bardzo wiele.

– Bardzo nam pani pomogła – powiedział Vader, gdy Keppler opuścił jego
gabinet.

– Zatem rozumiem, że moja rola szpicla już się zakończyła? – zapytała nieco
naburmuszona Renate.

– Panno Zoll... – Szef gestapo uśmiechnął się obłudnie. – Pani rola zakończy
się, gdy w naszych celach będą siedzieli Alicja Ross i Julian Chełmicki.

– A jeśli chciałabym zakończyć swoją znajomość z Emilem Lewinem? – za-
pytała uwodzicielsko, jakby dając do zrozumienia, że już niedługo będzie wol-
na.

– Jeśli pani go zostawi, to jak będzie pani... Jak to pani niezbyt ładnie po-
wiedziała? A... szpiclować? – Kolejny uśmiech zagościł na twarzy Vadera.

Renate popatrzyła na niego i zmrużyła oczy. Widmo szalonego romansu za-
kończonego ślubem zaczęło się oddalać. Zrozumiała, że dla Ericha Vadera jest
jedynie źródłem informacji.

Szef gestapo nie był durniem i dobrze wiedział, że tym stwierdzeniem nieco
schłodził zapędy pięknej Renate, więc dodał po chwili, patrząc na nią przeni-
kliwie:

– Niech pani jeszcze trochę wytrzyma, a obiecuję, że osobiście panią stam-
tąd zabiorę.

– Dokąd? – zapytała słodko.

– W miejsce, gdzie nie będzie nam nikt przeszkadzał – powiedział cicho.

– Trzymam pana za słowo, *Standartenführer* Vader. – Uśmiechnęła się pro-
miennie.

– Nie boi się pani, że straci dla mnie głowę? – W głosie szefa gestapo po-
brzmiewała nutka ironii. Miał świadomość, że władza, jaką dysponował, była
największym afrodyzjakiem dla kobiet. Nie mówiąc o tym, że uważał się za
przystojnego mężczyznę.

– Postaram się, żeby to pan stracił swoją. Dla mnie – powiedziała Renate,
przeciągając sylaby, po czym pożegnała się i opuściła biuro Vadera.

„Nie obawiam się” – powiedział Erich Vader w duchu, gdy już za piękną
panną Zoll zamknęły się drzwi jego gabinetu. Zapewne młody oficer z biura
propagandy miał swoje powody, by uciec przed nią na front wschodni, więc
nie sądził, aby miał jakiegokolwiek problemy z jej uwiedzeniem i przywiąza-
niem do siebie. A on tracił głowę tylko wtedy, gdy musiał polować, a nie

wówczas, gdy trofeum samo pchało mu się w ręce.

Tymczasem Renate Zoll nie miała najmniejszego zamiaru popełnić takiego błędu jak w przypadku Waltera. Była przekonana, że jego ucieczkę spowodował fakt, iż była na każde jego skinienie. Oddana, zakochana i głupia. Wydawało jej się, że gdy istnieje między dwojgiem ludzi gorące uczucie, nie ma miejsca na gierki i uniki. Rychło jednak okazało się, iż nawet w miłości należy mieć strategię i od czasu do czasu poudawać trudną do zdobycia. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Walter von Lossow nigdy nie darzył jej płomiennym uczuciem. Uważała, że gdyby zachowywała się inaczej, zdobyłaby go. I ten fortel, bycie zdystansowaną i chłodną, miała zamiar zastosować, gdy już nieco oswoi Ericha Vadera. Jego pozycja była wystarczającym powodem, żeby opracować taktykę i zapędzić tego pewnego siebie samca w kozi róg.

Tak, dla obojgu gra się rozpoczęła. Erich Vader rozpoczął polowanie, nie wiedząc jeszcze o tym, że jego ofiara potrafi być bardzo szybka i przebiegła.

49. Okolice Kielc, 1943

To był piękny, słoneczny poranek. Jeden z tych, kiedy się wydaje, że cały dzień będzie obfitował jedynie w pomyślne wieści i nie wydarzy się żaden przykry wypadek. Niekiedy jednak owo wyobrażenie jest mylące i ów wspomniały dzień okazuje się koszmarem.

Słowa „Sokoła” docierały do Alicji jakby w zwolnionym tempie, a poczucie bezpieczeństwa runęło niczym domek z kart pod wpływem muśnięcia wiatrem. Bo i to wszystko, co ją otaczało, było jedynie pozornym spokojem, kruchym i delikatnym.

Nie pracowała już w Referacie, nie chodziła do getta, bo po powstaniu zniknęło z powierzchni ziemi, jedynie wspierała swoje koleżanki w ich ciężkiej służbie, by potem powracać pod skrzydła Sergiusza, gdzie czekał na nią jej synek, z którego obecności cieszyła się każdego dnia coraz bardziej. Tymczasem jej serdeczna koleżanka, Teresa, siedziała w więzieniu i zapewne była bita i torturowana. Ona jednak miała jakąkolwiek szansę, dla Alicji oznaczałoby to koniec wszystkiego.

– Zrobiło się naprawdę paskudnie. Najpierw Teresa, a teraz wszyscy, którzy przekroczyli próg Referatu. I każdego pytają o ciebie. Nie mam pojęcia, skąd wiedzą i czy nie blefują, ale wciąż szukają powiązań pomiędzy tobą a Alicją Ross, która brała udział w morderstwie koło wyspy Uznam. Alicjo, musisz zniknąć i wyjechać z Warszawy najdalej, jak to możliwe – znękany głosem mówił „Sokół”.

Nie miała siły przekonywać nawet siebie samej, że jest wystarczająco bezpieczna w mieszkaniu „Karego”, a swoją działalność zawiesi całkowicie. Kilka osób wiedziało, że mieszka u niego, i nie wiadomo było, kiedy gestapo zapuka do jego drzwi. Nawet jeśli Sergiusz miał jakieś koneksje wśród niemieckich władz, nikt nie zechce go chronić w takiej sytuacji. Pozostając w Warszawie, narażała nie tylko siebie i małego Mateuszka, ale także mężczyznę, który okazał jej tyle serca.

Kompletnie rozstrojona powróciła do mieszkania nad pralnią i zaczęła pakować swoje rzeczy. Nie miała wyjścia i musiała opuścić Warszawę, a jedynym bezpiecznym schronieniem wydawała się leśniczówka wuja Makarego, ukryta wśród kieleckich lasów, u którego obecnie przebywali jej matka, babka i dziadek. Nie miała pojęcia, w jaki sposób się tam dostanie, bo bezpieczny kamufaż w postaci stroju pielęgniarki był teraz jak zachęta do wnikliwej kontroli

przez żandarmów.

Następnego dnia miała otrzymać kolejne fałszywe dokumenty dla siebie i dziecka, a reszta wciąż była sprawą otwartą. Podróż pociągiem, wynajętym samochodem, a może końskim wozem? Gdyby nie synek, zapewne wymyśliłaby dziesiątki sposobów ewakuacji, nawet wiążących się z dużym ryzykiem, ale w tym momencie był jeszcze Mateuszek i myślała jedynie o zapewnieniu jemu bezpiecznej przeprawy.

– Co robisz? – zapytał zdziwiony Sergiusz, gdy stanął w drzwiach jej pokoju i popatrzył na tobołki zgromadzone pod ścianą.

– Wyjeżdżamy – powiedziała cicho Alicja.

Patrzył na nią, jakby nie rozumiał powodów tej decyzji i różne myśli przychodziły mu do głowy, oprócz tej najbardziej oczywistej. Milczał, jakby obawiał się zadać pytania, bo nie miał pojęcia, jaka odpowiedź padnie z ust Alicji. Lubił towarzystwo jej i małego Mateuszka, i czuł się naprawdę dobrze, mając świadomość, że jest tak blisko, na wyciągnięcie dłoni, może każdego dnia na nią patrzeć, słyszeć jej śmiech i czytać w mimice jej twarzy wszystko to, o czym nie chciała mówić.

Alicja podeszła do niego, do swojej opoki i najlepszego przyjaciela, jakiego miała, oprócz Hanki, i oparła głowę o jego pierś. Nie pamiętała, kiedy ostatnio płakała, ale teraz stała przerażona i łkała jak dziecko, które czuje się samotne i bezradne.

– Muszę uciekać, zanim tu przyjdą – wydukała.

– Jest aż tak źle? – zapytał Sergiusz, ale było to raczej pytanie retoryczne. Miał świadomość, że jeśli mówi to niezłomna i nieco beztroska dotychczas Alicja, musi to być prawda.

Pokiwała głową i dodała:

– Jutro odbiorę od „Sokoła” nowe dokumenty i od razu muszę opuścić miasto. Mam wuja pod Kielcami, tam teraz ukrywa się moja rodzina i w to miejsce się udam. A jeśli uznam, że i u wuja nie jest bezpiecznie, przynajmniej Mateuszek będzie miał dobrą opiekę. Gdyby nie on, być może zaryzykowałabym pozostanie w Warszawie, ale w tej sytuacji po prostu nie mam wyboru – powiedziała z rezygnacją.

Sam wyjazd nie wydawał jej się taką straszną tragedią, ale fakt, że znowu musi uciekać, ukrywać się i nigdzie w stolicy czy jej okolicach nie może czuć się bezpiecznie. O kieleckiej leśniczówce wuja nikt nie wiedział i to dawało jej poczucie, że tam będzie bezpieczna. Nawet Julian nie miał pojęcia, gdzie

ukrywa się jej rodzina. Chełmicki nie powrócił jeszcze ze swojej misji i zapewne nie zdąży mu powiedzieć, że znika, i pożegnać się z nim. Bez względu na wszystko wciąż był jej bliski i zapewne gdy powróci, będzie zamartwiał się o nią, tak jak ona martwiła się o niego za każdym razem, gdy udawał się do Londynu.

Przypomniała sobie ich ucieczkę po zamordowaniu Martina. Tak, wtedy bała się tak samo, jak teraz, gotowa poddać się, byle ten koszmar wreszcie dobiegł końca. Teraz także czuła, że opadła już z sił i nie da rady znowu uciekać, ale miała syna i to już nie była tylko jej sprawa i wybór. Tak jak niegdyś miłość do Juliana pozwoliła jej przetrwać, tak w tej chwili tą napędową siłą była miłość do małego Mateuszka.

– Jak masz zamiar się tam dostać? – zapytał rzeczowo, gdy minął pierwszy szok.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Polują na mnie, jak na zwierzynę. Każdy sposób wydaje się niebezpieczny. Gdybym mogła komukolwiek zdradzić, dokąd się udaję, poprosiłabym, żeby zabrał w drogę Mateuszka, a ja wyruszyłabym osobno, byle go zanadto nie narażać.

Sergiusz przytulił Alicję i głaskając po głowie, powiedział uspokajająco:

– Coś wymyślę. Wy tymczasem ukryjcie się w pralni. Sam odbiorę dokumenty od „Sokoła”, a potem... Coś wymyślę.

– Nie mogę cię o to prosić. Jeśli wpadnę, pociągnę cię za sobą, a oni nie będą mieli litości dla kogoś, kto pomaga komuś takiemu jak ja. – Pokręciła głową.

– A jednak masz mnie za drania. – Uśmiechnął się smutno.

– Nie... Myślę, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego ostatnio spotkałam na swojej drodze. I dlatego chcę, żebyś przeżył tę wojnę, a potem był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo zasługujesz na to bardziej niż ktokolwiek inny...

– I dlatego chciałabyś, żebym czuł się jak ostatnia świnia?

– Chcę, żebyś żył... – wyjąkała.

– Bez ciebie? Nie ma mowy – odpowiedział cicho.

Usłyszeli głos Mateusza, który wyrwał ich z zadumy.

– Dlaczego płaczesz, mamó? Mówiłaś, że jedziemy do babci.

– Tak, synku, ale będzie mi smutno bez wujka – odpowiedziała, zmieszana.

– Niech jedzie z nami. – Chłopczyk klasnął w dłonie.

– Tak też zrobię.

Sergiusz chwycił malca na ręce, po czym cała trójka zeszła do pralni.

– Wrócę za kilka godzin – powiedział „Kary” i dodał: – Przesunę na drzwi regał z wieszakami, tak w razie czego. Obok macie łazienkę, ale poza tym nie jest tutaj zbyt przytulnie.

– Wytrzymamy, zabrałam książeczki dla Mateuszka, poza tym zaraz pewnie zaśnie – odpowiedziała cicho Alicja i rozejrzała się po pomieszczeniu.

Wszędzie stały stoły obite suknem, a na nich duże żelazka i ubrania czekające na uprasowanie. Obok nich długi drewniany wieszak, gdzie wisiała garderoba gotowa do wydania klientowi. Dwa proste krzesła i mała szafka, a na niej metalowy dzbanek z wodą i obok kubek. Tak, Sergiusz miał rację, było tu mało przytulnie, ale w tej chwili nie miało to kompletnie żadnego znaczenia.

Nie miała pojęcia, jak długo nie było „Karego”, ale zdawało jej się, że całe wieki, i zdążyła wymyślić już kilka dramatycznych powodów tak długiej nieobecności, gdy usłyszała zgrzyt przesuwanego regału. Mimowolnie uśmiechnęła się, gdy ujrzała w drzwiach wielką postać Sergiusza.

– Mam dla was inne dokumenty. O świcie musimy być gotowi do drogi. „Sokół” już wie, że jutro się nie pojawisz. – „Kary” podał jej kenkartę i ausweis.

Alicja zerknęła w dokumenty, by jak najszybciej przyswoić dane w nich zawarte i oniemiała.

– Oszalałeś? – wydukała. – Jakoś pogodziłam się z tym, że musiałam już nazywać się Aldona Świnia, ale Maciej Poniewierko?

– W tym szaleństwie jest metoda, moja droga. – Uśmiechnął się. – Będą szukali kobiety, a nie chłopaka.

– Ale ja nie wyglądam jak mężczyzna. Co ja zrobię... chociażby z tym? – Wskazała na swoje piersi.

– Zobaczysz, w ciągu nocy zrobimy z ciebie idealnego praskiego chłopaczka – upierał się Sergiusz.

I w istocie do poranka Alicja przeszła taką metamorfozę, że nawet Mateuszek rozplakał się po przebudzeniu na jej widok, sądząc, że ma do czynienia z obcym mężczyzną. Alicja miała krótko obcięte włosy, trochę nierówno i niezbyt fachowo, ale Sergiusz nie należał do mistrzów fryzjerstwa. Piersi misternie obwiązali bandażami, pozbawiając ją zarówno wypukłości, jak i oddechu. Miała przyczernione brwi, aby sprawiały wrażenie bardziej krzaczastych, i przyklejone teatralne wąsiki, które upodobiały ją do wizerunku chłopaka widniejącego na fotografii.

Wsiedli do furgonetki i napiili Mateuszka herbatą z odrobiną luminalu, aby

spał przez całą drogę i przypadkiem w najmniej dogodnym momencie nie odezwał się słowem „mama”. Furgonetka wyładowana była materiałami odpadowymi ze szpitala, a oni posiadali komplet dokumentów i oznaczenie na samochodzie, że oto wywożą z miasta do spalarni niebezpieczne dla zdrowia i życia ludzkiego odpady medyczne.

I rzeczywiście kontrole, na jakie się natknęli, nawet nie sprawdzały zawartości pojazdu, żołnierze w pośpiechu oddawali dokumenty, jakby z obawy, że mogą się poprzez ich dotyknięcie czymś zarazić, i nie zaglądali do wnętrza paki. Na to liczył Sergiusz, bowiem kontrolujący żołnierze i policjanci mogliby odkryć, że za metalowymi skrzyniami i kubłami znajduje się drewniana ławka wyłożona kocem, a na niej śpi smacznie mały chłopczyk o anielskiej twarzyczce.

Alicja miała nadzieję, że spływający spod płóciennej czapki pot nie rozmaże jej przyczernionych brwi ani też nie pozbawi wąsów. Zaciskała mocno zęby, przymykała powieki i modliła się w duchu, żeby kontrola przebiegła sprawnie, a ona nie musiała się odzywać. Jednak lęk Niemców przed zarazą był silniejszy niż nagabywanie młodych mężczyzn, którzy, chociaż byli Polakami, mieli wystarczająco parszywą fuchę.

W okolicach Zagnańska zjechali w leśny dukt i zwolnili. Furgonetka trzęsa się na nierównej drodze, chwilami kamienistej i bardzo wąskiej. Alicja prawie nie pamiętała tych terenów, ostatni raz była u wuja, mając zaledwie szesnaście lat. Wiedziała jednak, że w gęstej puszczy nie ma zbyt wielu dróg i w końcu któraś przywiedzie ich do leśniczówki Makarego Rajcy. Kluczyli czas jakiś, w końcu spotkali na drodze chłopca dzierżącego w dłoni dwa zające, zapewne niedawno upolowane, które wkrótce jakaś gospodyni zmieni w smakowity pasztet. Ten pokierował ich we właściwą stronę i późnym popołudniem dotarli do drewnianego domu, otoczonego płotem i ocienionego starymi dębami.

Leśniczówka wuja Makarego była solidną drewnianą chatą, pokrytą szarym gontem, z dużą werandą i sporym podwórkiem. Framugi okien pomalowane były na zielony kolor, co jeszcze bardziej wtapiało dom w otoczenie lasu okalającego posesję. Na tyłach domu stała niewielka drewnutnia, pośrodku podwórza kamienna studnia, a wzdłuż płotu ustawione były klatki z królikami. Na ogrodzonym wybiegu hasały ogary, którym nigdy nie było dość ruchu, poza tym zachowywały się niezwykle przyjaźnie. A przede wszystkim to miejsce kojarzyło się ze spokojem, leniwym biegiem życia, gdzie zegarki zdają się

zbędnym wynalazkiem. To, co jeszcze niedawno wydawało się Alicji przerażające, czyli wszechogarniająca głusza lasu, teraz było jak balsam na skołataną lękiem duszę.

Alicja ujrzała w oddali matkę wieszającą pranie i babkę siedzącą przy drewnianym stole i obierającą ziemniaki, zapewne na wieczorny posiłek. Coś ścisnęło ją za gardło. Szybkim ruchem oderwała wąsy, zdjęła czapkę i wyskoczyła z samochodu, zanim ten zdążył się zatrzymać.

– Błagam, zajmij się Mateuszkiem – powiedziała jedynie i pobiegła w stronę podwórka.

– Mamusiu, babciu! – krzyczała, połykając łzy.

Kobiety od dłuższego czasu przyglądały się obcej furgonetce i zastanawiały się, kto przyjechał. Gdy usłyszały głos Alicji, wydał im się znajomy, ale biegnąca postać, ni to chłopaka, ni dziewczyny – kompletnie obca. Kiedy jednak otworzyła furtkę i zbliżyła się do nich, Michalina rzuciła mokrą koszulę z powrotem do miski, a babka Alutka uśmiechnęła się szeroko.

Po długim i radosnym powitaniu Alicja przedstawiła rodzinie swojego towarzysza.

– To mój... przyjaciel. Mówimy na niego „Kary”, a to śpiące dziecko na jego rękach, to mój synek, Mateuszek – powiedziała roześmiana Alicja.

– Kto? – wyrwało się dziadkowi, który wybiegł z domu, usłyszawszy salwy radości.

– Mój przyjaciel. „Kary”, jak koń – powtórzyła Alicja.

– Dziadek pyta o tego mniejszego – szepnęła babka Alutka.

– Mój syn. Mateusz – z naciskiem powiedziała Alicja.

– A kiedyś ty go urodziła? Bo on już chyba z pięć lat ma... – zapytała Michalina, nieco zdziwiona nowiną, zwłaszcza że gdy ostatni raz się widziały, Alicja nie wspominała, jakoby urodziła dziecko.

Informację, że wówczas była w ciąży, także zataiła, by jej rodzina nie zamartwiała się o nią.

– Cztery, i nie urodziłam go – powiedziała szybko i dodała: – Śpi teraz. Może znajdziecie jakieś łóżko, żeby można go było położyć?

– Oczywiście – odpowiedziała jej zdziwiona matka i zaprowadziła Sergiusza do domu, by ten mógł w końcu położyć śpiącego chłopca.

– Mów no że... To twój dzieciak czy nie twój? Jak go nie urodziłaś, to coś skombinowała? – zapytała babka.

– Nie urodziłam go, to prawda, ale to mój synek – beztróska odpowiedziała

Alicja, na co jej babcia już nic nie odpowiedziała, a jedynie przeżegnała się.

– Siadajcie – powiedział wuj Makary. – Michalina zaraz coś przygotuje do zjedzenia.

– Wujku, Niemców tu dużo? – zapytała zatrwożona Alicja.

Wuj machnął ręką i odrzekł:

– A gdzie tam... Te lasy są naszpikowane partyzantami, jak dobra kasza słoniną. Boją się gnoje i nie łążą tutaj.

Alicja przez moment milczała, jakby wsłuchiwała się w jakiś dźwięk.

– A co to za stukot? – zapytała, zatrwożona.

Każdy stukot kojarzył jej się z nadjeżdżającymi ciężarówkami pełnymi Niemców albo motocyklami patrolowymi.

– Kilometr stąd biegną tory kolejowe, a kawałek dalej jest stacja. Ale rzadko kiedy pociągi się na niej zatrzymują. Jedynie zwalniają trochę, ale i tak je słyszać w całej okolicy – odpowiedział Makary.

Alicja odetchnęła z ulgą i pomyślała, że jest kompletnie przewrażliwiona, a każdy dźwięk wydaje jej się podejrzany.

– Teraz to już chyba nie będziesz z dupą latać, tylko zostaniesz z nami? I wystrzygłaś się jak rekrut. Tyfusa złapałaś? – wypytywała babka.

– „Kary” za dwa, trzy dni wraca do Warszawy, ale my zostaniemy na dłużej.

– Alicja poklepała czule babcię po dłoni.

– I chwała Bogu – dodał dziadek Broniek.

Wkrótce całe towarzystwo siedziało przy stole, racząc się kielbasą z dzika i własnoręcznie wypiekanym chlebem. Wuj Makary nawet postawił na stole butelkę bimbru i wkrótce Alicji zrobiło się jeszcze bardziej gorąco niż w dusznej szoferce samochodu.

Następny dzień obfitował w zabawy z Mateuszkiem i spacerów z Sergiuszem, i Alicji się zdawało, że dopiero teraz czuje się wolna. Gęsty las dawał poczucie izolacji i bezpieczeństwa, a to było coś, czego nie czuła od dawna.

Alicja i Sergiusz, idąc kolejny raz leśnymi ścieżkami, dotarli do niewielkiej polany i usiedli na chłodnej trawie. Przez chwilę milczeli, wpatrzeni w błękit nieba i zasłuchani w cykanie świerszczy.

– Martwię się o Teresę – westchnęła Alicja.

– Pytałem o nią „Sokoła”. Mówił, że znaleźli takiego jednego, co jej pomoże wyjść za dwadzieścia tysięcy. Właśnie zbierają pieniądze – powiedział Ser-

giusz, po czym dodał, jakby od niechcienia: – Wyjdź za mnie...

Alicja spojrzała na niego oczami pełnymi zdziwienia. Postanowiła obrócić to w żart, bo nie miała pojęcia, co mogłaby odpowiedzieć. Wciąż nie wiedziała, jakimi uczuciami darzyła Sergiusza. Gdyby nie było w jej życiu Juliana, zapewne wszystko między nimi byłoby prostsze.

– Przecież powiedziałeś, że ożenisz się dopiero po wojnie – stwierdziła przekornie.

– Ale będziesz zaklepana. – Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– Zaklepać to sobie możesz miejsce w tramwaju – odpowiedziała z udawaną złością.

– Więc jak? – Sergiusz nie dawał się zbyć.

– A mogę się zastanowić? Zaskoczyłeś mnie – odpowiedziała cicho.

– Więc jeśli musisz się zastanawiać, to znaczy, że mnie nie kochasz – westchnął.

Alicja milczała. Nie chciała go stracić, jednak pewne słowa nie mogły przejść jej przez gardło. A co z jej miłością do Juliana? Czy naprawdę to, co miało trwać do śmierci, tak po prostu się skończyło? Wreszcie, czy ich wspólne przeżycia przestały już cokolwiek znaczyć? Nie umiała sobie odpowiedzieć na te pytania i to chyba najbardziej ją denerwowało. Dotychczas zawsze wiedziała, czego chce i robiła wszystko, aby osiągnąć cel. Tymczasem teraz znalazła się na rozdrożu i nie miała pojęcia, co dzieje się w jej sercu.

Sergiusz nie naciskał dłużej, ale czuł ogromny zawód w sercu. Wydawało mu się, że Chełmicki wyparował z serca i umysłu Alicji, a między nimi dzieje się coś ważnego i pięknego.

W milczeniu powrócili do domu wuja, a następnego dnia „Kary” wyjechał, zegnając się dość chłodno z Alicją.

– Gniewasz się na mnie, prawda? – zapytała, gdy stali przy furtce.

– Nie gniewam się. – Uśmiechnął się w końcu i delikatnie dotknął jej policzka.

– To pocałuj mnie... Nie wiadomo, kiedy ponownie się zobaczymy – powiedziała cicho.

– Odwiedzę was, bardzo polubiłem Mateuszkę.

Przez chwilę wodził oczami po jej twarzy i nie wiedział, co zrobić. Nachylił się więc i pocałował Alicję. Właściwie to było zaledwie muśnięcie, przedsmak tego, co mogło być potem. Delikatna pieśczoć, która wywołała w Alicji dreszcz podniecenia, jakiego już od dawna nie czuła. Nie pamiętała nawet,

jak dawno nikt jej nie dotykał, nie całował i nie kochał się z nią. Zdawało jej się, że od tego czasu minęły całe wieki.

Kolejne dni były czasem błędnego lenistwa, wypełnione rozmowami z babką i matką oraz zabawami z synem. Ten ostatni także wydawał się radosny i szczęśliwy, zwłaszcza gdy wuj Makary zabierał go do lasu albo na stację kolejową, by mogli obserwować przejeżdżające pociągi. Fascynowały go szczególnie te jadące na wschód, które wiozły czołgi, armaty i samochody wojskowe. Tak, Alicji zdawało się, że już od dawna nie czuła takiego spokoju.

Po tygodniu stwierdziła, iż jednak jest coś, czego jej brakuje. Obecności Sergiusza. Tęskniła za nim i nie mogła przywyknąć, że go nie ma. Od jakiegoś czasu każdego dnia dzieliła z nim mieszkanie, spędzali ze sobą wszystkie wieczory i nagle go zabrakło. Nie wiedziała, kiedy następnym razem go ujrzy. Za miesiąc? A może rok? Zastanawiała się, co zrobi bez niego i jak wypełni pustkę, gdy on będzie w Warszawie, a wizja spotkania zdawała się bardzo odległa.

Zobaczyła go wcześniej, niż się spodziewała, i wybiegła przed dom, uradowana, zanim zdążył wysiąść z furgonetki. Gdy jednak to uczynił, zatrzymała się nagle, przerażona wyrazem jego twarzy. Był wyraźnie przygnębiony i zapewne nie dlatego, że nie widzieli się od ponad tydzień, ponieważ nawet gdy ją ujrzął, nie zmienił swojej miny. Podeszła wolno, jakby bała się usłyszeć, co ma jej do powiedzenia. Przytulił ją mocno i mruknął:

– Musimy porozmawiać...

Przeszli na tyły domu, gdzie stała dREWUTNIA, i usiedli na grubych pienkach.

– Wiesz, że generał Sikorski nie żyje... – zaczął niepewnie.

– Tak, słyszałam w radiu, że miał wypadek lotniczy, czwartego lipca...

Alicja nie bardzo wiedziała, do czego zmierza Sergiusz. To była fatalna informacja, ale powszechnie znana i nie sądziła, że to jest powodem jego minowej miny i niespodziewanej wizyty w leśniczówce pod Kielcami.

– A wiesz, że Julian Chełmicki miał spotkać się z generałem na Gibraltarze? – zapytał.

Alicja poczuła, że nagle w to gorące lipcowe popołudnie robi jej się zimno.

– Nie... Ale co w związku z tym? – zapytała, zatrwożona.

– Julian do tej pory nie nawiązał kontaktu z naszymi ludźmi i na Gibraltar też nie dotarł. Ani jak był tam generał, ani później. Po prostu zapadł się pod zie-

mię. Ostatnie informacje, jakie mamy, pochodzą z Granady. To było na kilka dni przed wypadkiem. Chełmicki miał odebrać od Sikorskiego jakieś bardzo ważne dokumenty, ale nie ma ani dokumentów, ani Juliana – odpowiedział Sergiusz.

Przyjechał do niej, by przekazać te hiobowe wieści. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Julian Chełmicki po prostu został zamordowany w drodze na Gibraltar. Najwyraźniej ktoś nie chciał dopuścić, aby owe tajemnicze dokumenty znalazły się w kraju. I chociaż Sergiusz nie lubił Juliana, najbardziej za to, że Alicja go niegdyś tak bardzo kochała, nie życzył mu śmierci. Tak samo, jak nie chciał przekazywać takich informacji Alicji. Patrzył teraz na jej twarz i widział, jak robi się blada, a jej błędny wzrok świadczył o tym, że jest to ciężar, którego nie jest w stanie udźwignąć, tak jak wówczas, gdy straciła swoje nienarodzone dziecko.

– Przenocujesz dzisiaj? – zapytała rzeczowo i spokojnie, jakby nie przyjęła do wiadomości, że Julian Chełmicki najprawdopodobniej zginął podczas swojej misji.

– Tak, ale o świcie muszę wrócić do Warszawy – powiedział ze smutkiem.

– Chodź, przywitasz się z babcią i mamą. Bardzo cię polubiły. – W tonie Alicji wciąż pobrzmiwała beztroska.

Tak, Sergiusz Dargiewicz znał ją nazbyt dobrze i wiedział, że upłynie wiele czasu, zanim ta przykra wiadomość do niej dotrze.

Wieczorem, gdy Mateusz już leżał w łóżku i próbował zasnąć, do pokoju wszedł Sergiusz. Zaczęli rozmawiać na neutralne tematy, gdy nagle Alicja odwróciła głowę w stronę „Karego” i powiedziała z zaciętością w głosie:

– Jutro pojedę z tobą. Mateuszek zostanie tutaj.

– Oszalałaś? Dlaczego chcesz wracać w miejsce, skąd niedawno uciekaliśmy w takim popłochu? – Sergiusz nie mógł zrozumieć tej decyzji.

– On żyje. Wiem o tym. Muszę go odnaleźć. Już raz to zrobiłam, teraz też mi się uda.

– Alicja, masz teraz dziecko. Czy naprawdę nie zmieniłaś spojrzenia na niektóre sprawy?

Był zirytowany pomysłem Alicji i nie tylko dlatego, że nabrał przekonania, iż gorące uczucie do Chełmickiego wcale nie wygasło. To było po prostu szaleństwo.

– Tutaj będzie mu dobrze, a ja po prostu muszę... Płynęłam statkiem w jakieś klatce na szczury, zabiłam dwoje ludzi, dam radę – odpowiedziała z de-

terminacją.

Sergiusz nie mógł dłużej tego słuchać. Złapał ją za rękę i mocno ścisnął.

– Więc ciągle go kochasz, tak? Wciąż liczysz, że porzuci swoje ciepłe gniazdko u pani doktor i dostrzeże w tobie bohaterkę i damę? Że w końcu zaakceptuje cię taką, jaka jesteś? – Wyrzucał z siebie pytania, na które w duchu sam sobie odpowiedział, po czym puścił ją i wyszedł z pokoju, głośno trzaskając drzwiami.

Alicja długo nie mogła zasnąć. Wierciła się w łóżku, na zmianę to popadając w rozpacz, to trzymając się kurczowo iskierki nadziei. Sergiusz nie rozumiał, że gdyby tam, w Hiszpanii, zaginęła Hanka albo on, także pojechałaby ich ratować. A może jedynie oszukiwała siebie i Sergiusz miał rację? Żyła podszyta kompleksami, że niegodna jest takiego doskonałego mężczyzny, i wciąż próbowała mu coś udowodnić. Odwagę, determinację i miłość. A może próbowała to udowodnić sobie?

Kiedy zasnęła nad ranem, nękały ją koszmary. Julian zakrwawiony leży gdzieś na drodze, a potem umiera i zostaje wrzucony do bezimiennego grobu, którego nigdy nie odnajdzie i nikt nie dowie się, że stracił tam życie dla swojej ukochanej ojczyzny.

Przebudziła się, gdy bębniący deszcz stukał w parapet okna. Rozejrzała się po pokoju. Musiało być późno, bo łóżko Mateuszka było puste. Poczowała suchość w ustach i zeszła do kuchni, by napić się wody albo chłodnego mleka. Sergiusz siedział przy stole z babką Alutką i nawet nie spojrzał na Alicję, udając, że miska z żytnimi zacierkami na mleku jest bardziej interesująca niż widok nieco potarganej Alicji.

– Gdzie Mateuszek? – zapytała, ziewając.

Nie miała zamiaru powracać do wczorajszej rozmowy z „Karym”. Postanowiła, że sama dostanie się do Warszawy, tam zorganizuje sobie dobre dokumenty i wyruszy szlakiem Juliana.

– Przecie śpi jeszcze – bąknęła babka.

– Nie... Nie ma go w pokoju – powiedziała stanowczo Alicja i nagle ogarnęło ją złe przeczucie.

Wybiegła z domu i nie zważając, że wciąż pada, nawoływała chłopca. Chwilę potem stał obok niej Sergiusz i także wykrzykiwał jego imię.

– Sprawdź w domu – powiedziała Alicja i wróciła do chaty.

Zajrzała niemal w każdy kąt, ale dziecka nigdzie nie było. Ponownie wybiegła na podwórze, a potem na polną drogę i dalej w kierunku torów.

– Gdzie ty biegniesz? – zapytał w końcu Sergiusz, uznawszy, że to szukanie po omacku jest bez sensu.

Postanowił odnaleźć wuja Makarego, który zapuścił się do lasu, i sprawdzić, czy chłopiec jest z nim albo dowiedzieć się, gdzie zwykle chadzali na spacer.

– On lubił oglądać pociągi. A jeśli wpadnie pod któryś? Boże, gdzie jest moje dziecko? – Łkała i wciąż biegła, opętana czarnymi myślami.

Przy torach jednak nikogo nie było. Zwolniła trochę, bo już nie mogła złapać oddechu i ruszyła w stronę stacji, gdzie siedział stary Józef Maleszka, pełniący funkcję biletera, dyżurnego ruchu i informacji.

Na wąskim, betonowym i nieco dziurawym peronie w końcu zobaczyła swojego syna. Ubranego w kurtkę, nieco za grubą na tę porę roku, ze swoim pluszowym pieskiem w dłoni. Obok stała jego walizka.

– Boże, synku, co ty wyprawiasz? – zapytała.

– Na pociąg cekam – odpowiedział chłopczyk.

– Na jaki pociąg? – Alicja nie rozumiała zachowania dziecka.

– Do wujka „Kalego”. – Mateuszek wzruszył ramionami. Ponieważ nie wymawiał jeszcze „r”, Sergiusz był dla niego „Kalym”, co go ogromnie bawiło.

– Dlaczego? Mateuszkule? – wciąż pytała Alicja.

– Bo ty tam jedziesz – odpowiedział chłopczyk.

I wtedy zrozumiała. Malec zapewne usłyszał jej rozmowę z Sergiuszem i nie spodobało mu się, że jego nowa mama chciała go opuścić. Kucnęła przy synku i wyszeptała:

– Nie zostawię cię...

Wzięła go za rękę i ruszyli w stronę leśniczówki. Gorące łzy płynęły jej po policzkach, bo właśnie musiała dokonać trudnego wyboru. I zrobiła to. Musiała być przy dziecku. Sergiusz miał rację. Jeśli postanowiła zostać pewnego dnia matką, musiała zawsze stawiać syna na pierwszym miejscu.

Weszli do domu, nieco przemoczeni deszczem, i udali się do pokoju, by się przebrać i ogrzać. Alicja nie powiedziała ani słowa do stojącego w progu drzwi Sergiusza. Co mogła mu powiedzieć? Miał rację? Nie miał, w innych okolicznościach nic by jej nie przekonało, by pozostać w leśniczówce i umierać z żalu i tęsknoty za Julianem.

Po chwili zaskrzypiały drzwi pokoju.

– Chciałem się pożegnać – niepewnie powiedział Sergiusz.

– Dziękuję, że przyjechałeś, żeby zawiadomić mnie o zniknięciu Juliana – powiedziała cicho, połykając łzy. – Ja wciąż mam nadzieję, że żyje, ale moje

miejsce jest przy dziecku.

Podszedł do niej i położył dłoń na jej ramieniu.

– Posłuchaj, Alicja. Pewnie myślisz, że cieszę się z jego zniknięcia. Nie, nie cieszę się. Nie w taki sposób chciałbym wygrać twoją miłość. Pragnąłbym, żebyś mnie kochała tak po prostu. Przysięgam ci, że odnajdę Chełmickiego. Żywego albo martwego. Obojętnie. Zrobię to za ciebie.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Wybiegła za nim.

– Sergiusz! – krzyknęła, ale nie odwrócił się.

Pożegnał się jedynie z domownikami i po chwili Alicja usłyszała dźwięk odpalanego silnika. Stała oniemiała na schodach i poczuła się paskudnie.

– Ale z ciebie idiotka – burknęła Alutka. – On cię tak kocha...

– Wiem, babciu – westchnęła i wyszła z domu, by w leśnej głuszy posłuchać, co ma do powiedzenia jej serce.

50. Magadan, 1943

– Witajcie, towarzyszu Kaganowski, w Dalstroju – powiedział mężczyzna w mundurze pułkownika NKWD.

– Stiepan Kaganowski melduje się, towarzyszu pułkowniku – powiedział bez przekonania wysoki mężczyzna o jasnych oczach i włosach.

– Nowe wyzwanie – uśmiechnął się pułkownik Bierzowski.

– Niezupełnie, towarzyszu. Dostałem pod Stalingradem, moja noga nigdy nie odzyska sprawności, dlatego oddelegowano mnie tutaj – powiedział z pewnym żalem Stiepan.

– Przykro mi, ale cóż, mamy wojnę. Tymczasem pochłania ona nie tylko ofiary, ale także ogromne zasoby finansowe. A my, tutaj, na Kołymie, mamy prawdziwe góry złota. – Pułkownik zarechotał i dodał: – Odkryliśmy nowe złoża i musimy tam zorganizować obóz, a wy zostaniecie komendantem. Oczywiście, najpierw więźniowie wybudują wam miejsce do mieszkania. Będą dojeżdżać saniami z sąsiedniego Raju. Czyż to nie piękna nazwa dla naszego obozu? Taka budująca i dająca nadzieję. Mamy jeszcze Alzację, Złoto Pustyni i Kar-men. Same intrygujące i takie poetyckie. Pojedziecie teraz z Nikołajem do Raju, tam was tymczasowo zakwaterują, a już za miesiąc przypłynie kolejny statek z ludźmi, którzy chcą się zrehabilitować poprzez pracę na rzecz naszego kraju – powiedział pułkownik i wręczył Stiepanowi niezbędne dokumenty.

Kaganowski wziął je, pożegnał się z pułkownikiem i kuśtykając, udał się w stronę wyjścia. O tej porze roku Kołyma zdawała się przyjazna i przepiękna, choć dzika i surowa. Stiepan wiedział jednak, że taki stan nie potrwa długo i niebawem w to miejsce zawita zima, która pokaże wrogość tego zakątka. I nie będzie miała nic wspólnego z pięknem. Uważał także, że tak zwana nagroda, jaką otrzymał, jest właściwie karą, że dał się zranić pod Stalingradem i przez to stracił cenne dokumenty, które wpadły w ręce wroga. Żona Stiepana od razu zapowiedziała, że do tego miejsca nie pojedzie, bo nasłuchiwała się zbyt wiele ponurych opowieści, aby prestiż bycia komendantową mógł być wystarczającą zachętą. Stiepan obawiał się, że jego połowica ma kogoś, ale odkąd stracił sprawność w nodze, był wciąż przygnębiony i mało co go obchodziło. Nawet to, czy jego połowica ma kochanka.

Dojechali ciężarówką do obozu Raj. Zajęło im to niemal cały dzień, bo drogi przypominały wyżłobione koryta rzeczne, nierówne i z dużą ilością ostrych kamieni. Po jednej stronie drogi rozciągał się gęsty iglasty las, a z drugiej maja-

czyły ogołocone z roślinności wysokie wzgórza. Owe widoki nie zdawały się przyjazne człowiekowi i gdyby nie okazały się cenne minerały, zapewne pozostałyby niemal bezлюдne. Zimą musiało tu być naprawdę złowróźnie.

Obóz składał się z kilkunastu podłużnych, drewnianych baraków, wokół których kręcili się niemrawo mężczyźni z zapadniętymi oczami i wychudzonymi sylwetkami. O tej godzinie skończyli już pracę i było po posiłku, który zaledwie podrażnił ich żołądki, zamiast zaspokoić głód, który tym bardziej się wzmacniał, im większą normę wyrobili. Teraz zapewne wypatrywali okazji, by skombinować cokolwiek do jedzenia. Niektórzy wodzili czujnie oczami, inni wręcz przeciwnie, wyglądali na kompletnie zubożonych, jakby już się poddali i jedyne, na co czekali, to śmierć.

Kawałek dalej stał barak obozowej kuchni, magazyny z roboczą odzieżą i kilka innych budynków, spełniających funkcję rozmaitych zakładów rzemieślniczych. W tym rejonie obozu pojawiło się więcej kobiet, a niektóre z nich były nawet dość zadbane.

– *Krasawice*. – Nikołaj cmoknął i dodał: – Ale strach się z nimi chędożyć, bo robią w miejscowym domu uciech.

– Więźniowie mają tutaj burdel? – zdziwił się Stiepan.

– To dla specjalnych pracowników. – Nikołaj puścił do niego oko. – Brygadzystów i kierowników zmian. Ale brygadziści mogą sobie pozwolić na to, tylko jak ich grupa wyrobi normę wydobywania. Ci, co wyrobią normę, też mogą w drodze wyjątku sobie pozwolić, ale najczęściej już nie mają siły.

– A brygady wyrabiają te normy? – zapytał Stiepan.

– Wyrabiają, wyrabiają – zarechotał Nikołaj. – Co prawda wraca ich wtedy z roboty połowa, ale przynajmniej brygadzysta może z ładną dziewczyną się zabawić, w przeciwnym razie musi brać co jest. A po kilku miesiącach kobitki już nie są takie świeże jak na początku.

– Każdy potrzebuje miłości – westchnął z nostalgią w głosie Stiepan.

– A kto tu mówi o miłości, towarzyszu kapitanie. – Wybuchnął śmiechem.

– No, ale jak taka zajdzie w ciążę, to co wtedy? – zapytał Stiepan.

– Póki karmi, dziecko jest z nią, ale nie za długo. Kobiety robią się mało wydajne, bo zużywają siły na opiekę nad niemowlęciem. Więc zaraz potem, gdy mija rok, dziecko idzie na placówkę. – Nikołaj użył eufemistycznego określenia sierocińca. – Więc jak sobie upatrzycie jaką krasawicę, kapitanie, to nie przejmujcie się. Towarzysz Stalin zadba o wasze potomstwo.

– Zawieźcie mnie najpierw w miejsce, gdzie ma powstać nowy obóz – mruk-

nał Stiepan, chcąc zakończyć tę przykrą rozmowę.

Sam nie doczekał się dzieci, ale trudno było mu sobie wyobrazić, że miałyby je zostawić w państwowej placówce, jak sierotę.

Widok miejsca na obóz przeraził go. Minęli połacie lasu i ich oczom ukazały się skaliste pagórki bez żadnej roślinności, po prostu kamienna pustynia, gdzie nawet nie było jeszcze porządnej drogi. Porywisty wiatr, mimo letniej pory, był chłodny i przenikliwy, a górskie szczyty nieprzyjazne i ponure. I na tych skałach, niczym na opoce, Stiepan miał dokonać niemożliwego. Stworzyć rękami więźniów miejsce do życia i pracy. Musiał zdążyć przed zimą, w przeciwnym razie trzaskające mrozy pozbawią życia tysiące ludzi, którzy byli potrzebni, by poprzez swoją pracę służyć Związkowi Radzieckiemu.

Kołyma była jak wyspa i tak nazywali ją tubylcy, którzy rzadko kiedy ją opuszczali, a gdy już to czynili, mawiali, że jadą na ląd. Stiepan nie miał pojęcia, jak można tu żyć, jeśli miało się jakiś wybór, a jednak byli tacy, którzy mieszkali tu niemal od urodzenia, próbując ujarzmić surową naturę. A może kluczem było życie w zgodzie z nią?

Większość jednak osób przybyła tu nie z własnej woli, ale z przymusu, by nigdy więcej nie opuścić tego miejsca i pozostać w nim na zawsze.

Odkrycie w tym rejonie ogromnych pokładów złota, platyny czy tak rzadkich pierwiastków, jak wolfram czy molibden było krokiem milowym w zdobyciu finansów na rozwój kraju, a w czasie wojny – na broń i wyposażenie armii. To, co wydawało się niemożliwe do ogarnięcia, niedostępne i ukryte w zmrożonych stokach gór, zostało pokonane siłą woli twórców Dalstroju i jego patrona, Edwarda Berzina. Nikt jednak nie zastanawiał się nad trupami zalegającymi połacie tego miejsca, które być może po latach ktoś odkryje, bo leżące w wiecznej zmarzlinie ciała pewnie nigdy nie zamienią się w popiół.

Stiepan nie chciał tu być i uważał, że otrzymał kolejny cios, który zadało mu niewdzięczne życie, a on skończy jak ci, których miał pilnować. Nie miał pojęcia, że pewnego dnia właśnie tutaj zmieni się jego spojrzenie na świat, a on poczuje w sobie przemożną wolę odnalezienia drogi do szczęścia. W tym jednak momencie na rubieżach cywilizacji, gdzie nic nie wydaje się takie, jak powinno, dławił w sobie żal, smutek i nie widział światełka w tunelu, które wskazałoby mu szlak, jakim powinien podążyć, by jeszcze kiedyś poczuć w sobie radość. I chociaż był w daleko lepszej sytuacji niż ci, którzy za talerz zupy harowali w kopalniach przez kilkanaście godzin na dobę, nie potrafił myśleć, że właśnie wygrał los na loterii.

– Witajcie w kolejnym raju na ziemi – z westchnieniem powiedział Nikoła.
KONIEC tomu III